



Sztetl szund bunt i Palestyna

ANTOLOGIA TWÓRCZOŚCI LITERACKIEJ ŻYDÓW W ŁODZI

(1905–1939)



Sztetl, szund, bunt i Palestyna

*Antologia twórczości literackiej Żydów w Łodzi
(1905–1939)*

UNIwersytet Łódzki

Instytut Filologii Germańskiej, Zakład Niemcoznawstwa

Centrum Badań Żydowskich

Polskie Towarzystwo Studiów Jidyszystycznych

Rada Naukowa Serii

Krystyna Radziszewska

Adam Sitarek

Jacek Walicki

Ewa Wiatr

Sztetl, szund, bunt i Palestyna

*Antologia twórczości literackiej Żydów w Łodzi
(1905–1939)*

Redakcja naukowa

Krystyna Radziszewska, Dariusz Dekiert i Ewa Wiatr

Łódź 2017

Przekład z języka hebrajskiego
Dariusz Dekiert, Marek Mrozowski

Przekład z języka żydowskiego
Dariusz Dekiert, Aleksandra Imiłowska, Anna Jakimiszyn-Gadocha, Karolina Koprowska, Natalia Krynicka, Joanna Lisek, Julia Makosz, Agnieszka Marchewa, Joanna Matyjasek, Izabela Olejnik, Przemysław Piekarski, Monika Polit, Inka Stempin, Anna Szyba, Karolina Szymaniak, Marek Tuszewicki, Małgorzata Zaremba

Recenzentka
Magdalena Ruta

Redakcja
Bogusław Pielat

Indeksy
Ewa Wiatr

Projekt graficzny
Studio WW Witold Warzywoda

Skład, łamanie, przygotowanie do druku
Adam Sitarek

Projekt okładki
Tomasz Matczak

Na okładce wykorzystano krój czcionki *Chaim* z 1928 r. ze zbiorów
Muzeum Książki Artystycznej w Łodzi

Wydrukowano z gotowych materiałów dostarczonych do Wydawnictwa UE

Publikacja finansowana w ramach programu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego
pod nazwą Narodowy Program Rozwoju Humanistyki w latach 2012–2017
nr 0078/NPRH2/H11/81/2012



© Copyright by Authors, Łódź 2017
© Copyright for translations by Authors, Łódź 2017
© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2017

Ilustracja Artura Szyka © The Arthur Szyk Society, Burlingame, CA; <http://www.szyk.org>
Ilustracja Pinchasa Skórki [Paul Skoorka] © Susan Skoorka, NY; <http://skoorkadesign.com>
Ilustracja oraz teksty Mojżesza Brodersona © Paul Burstyn, Rosalie Feder, NY

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego we współpracy
z Polskim Towarzystwem Studiów Żydowskich
Wydanie I. W.07203.15.0.K
Ark. druk. 24,5



ISBN 978-83-8088-470-0, e-ISBN 978-83-8088-471-7
<https://doi.org/10.18778/8088-470-0>

Publikacja jest udostępniona na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Użycie
niekomercyjne-Bez utworów zależnych 4.0 (CC BY-NC-ND)

Spis treści

Wykaz skrótów	IX
---------------------	----

Wstęp

Dariusz Dekiert, <i>Wstęp</i>	XIII
Krystyna Radziszewska, <i>Kultura i literatura łódzkich Żydów</i> <i>w okresie międzywojennym</i>	XVII
Jacek Walicki, <i>Międzywojenna Łódź żydowska</i>	XXXIII
<i>Od redakcji</i>	LVII

Część 1. Sztetl

Mojsze Born	
Mój dziadek	3
Miriam Ulinower	
*** [Gdy z miasteczka drogiego]	4
Szczęście	5
Mój dziadek	6
Na szabas	7
Łasuch	7
Łaciarka	8
Z Chełma do Lublina	8
Rikuda Potasz	
Polska jesień	9
Chaim Krul	
Biały sen mojej matki	10
Tata	13
Icchok Hersz Radoszycki	
Wiosna	16
Obudźcie się duszyczki	17
Dowid Frizman	
*** [Niechaj zabrzmi oda]	18
Alter Ajzenszlos	
Mesjasz syn Józefa	21
Żydowskie miłosierdzie	24

Icchok Rzeźnik	27
Martwa żona	29
Zemsta	32
Kłątwa Remu	35
Symcha Bunim Szajewicz	
Heretyk	37
Perec Opoczyński	
Chaskiel Pączner przeprowadza się do Łodzi (cz. 1)	44
Chaskiel Pączner przeprowadza się do Łodzi (cz. 2)	47
Chaim Krul	
Pokolenia (Autobiografia)	51
Symcha Bunim Szajewicz	
Gość z Ameryki	65
Lejb Berman (Graf Kali)	
Bratnia mogiła	69
Michał Rudomin	
Cierpienia wojny światowej	70
Symcha Bunim Gliksman	
Freuenreich. Wspomnienia niemieckiej okupacji w Łodzi	81
Miriam Ulinower	
Lekarstwo	97
Jehuda Judl Rozenberg	
Księga Archaniola Rafaela	98

Część 2. Szund

Abramele	
Rewolucja w niebie (Fantastyczny obraz w pięciu aktach)	111
Beniamin Kacnelson (I. Ben Jamini)	
Pieśni	124
Lejb Berman (Graf Kali)	
Na grobie króla Salomona	134
Josef Jaffe	
Łódzki rabin daje odczuć Poznańskiemu, jak biedota marznie	135
Josele znajdzie nawet w szafie	135
Anonim	
Między dwoma batlonami	137
Bardzo piękna i pełna cudów historia o tym jak święty rabin, rebe Henich, niech pamięć sprawiedliwego będzie błogosławiona, z Aleksandrowa, wypędził z dziewczynki dwa dybuki	146

Szaja Uger	
Księga daczy czyli worek nieszczęść naszych letników	155
Izrael Rabon	
Kino „Wenus”	186
Pogrzeb	187
Józef Zelkowicz	
W domu obłąkanych przy Wesołej	189
Pęknięcie	191
Rikuda Potasz	
Wieczór w mieście	203

Część 3. Bunt

Mojsze Broderson	
Manifest	207
Jankiel Adler	
Śpiewam mą modlitwę	210
Mojsze Broderson	
Zmartwychwstanie	212
Beniamin Gor	
*** [O obojętny Boże burzy]	229
Teraz... ..	229
Lejbel Kuperszmid	
W ogrodzie	231
Pokolenie rozproszenia	232
Mojsze Berszling (M. Goldsztajn)	
Łódź	234
Icchok Hersz Radoszycki	
W letni dzień	235
Kamienie	235
Za późno	236
Śmierć robotnika	237
*** [Nie drażni...]	238
Do kogo?	238
Szczęście	238
Życie	239
Lejb	
Memuary albo okruchy z życia Lejba	240
Perec Opoczyński	
Łódzkie ulice	266

Łódzkie izby	268
Czerwona Łódź	270
Mark Frankental	
Bezsenny	273
Izrael Rabon	
Kupiec kotów	281
Mojsze Born	
Zapomnieć chcę	283
Icchok Kacnelson	
Pogrzeb	284
Lejbel Kuperszmidt	
Modlitwa	286
Icchok Hersz Radoszycki	
Życie	287
Rikuda Potasz	
Jestem królową	288
Moja szafa z sukienkami	288
Momento Mori	289
Pusta kawiarnia	289
 Część 4. Palestyna	
Miriam Ulinower	
Żona Lota	293
Icchok Kacnelson	
*** [Odgłosy, dźwięk wieczorny]	294
Joel Naftali Kamienic	
Noemi i Rut	295
Dowid Friszman	
Puszka rebe Mejera Cudotwórcy	313
Icchok Kacnelson	
Z pieśni izraelskich	318
Malkiel Lusternik	
Pionierzy	319
Szakal	320
Słowniczek	321
Bibliografia	323
Indeks osób	327

Wykaz skrótów

APŁ	– Archiwum Państwowe w Łodzi
ARG	– Archiwum Ringelbluma
AŻIH	– Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie
hebr.	– hebrajski
jid.	– jidysz
pol.	– polski
RG	– Record Group
sygn.	– sygnatura
YIVO	– Archiwum YIVO w Nowym Jorku
TŻŚŚ	– Towarzystwo Żydowskich Szkół Średnich

Wstep

Dariusz Dekiert

Wstęp

„Rozbłysnął sen, lecz jaki? Czym być ma?
I kto rozpalił go – radość czy ból?”

Malkiel Lusternik, *Pionierzy*

Prezentowane w niniejszej antologii teksty są przykładem zjawisk zachodzących w twórczości Żydów w Łodzi początku XX w. Stanowi ona swoiste odbicie przemian społecznych i kulturowych, trendów, fascynacji i lęków cechujących młode żydowskie pokolenie zamieszkujące nowoczesną metropolię przemysłową. Jej ramy czasowe wyznaczone są przełomami wieków dwóch religii: początek to niezwykle istotny dla Łodzi rok 1905, a zarazem przełom XIX i XX w. w rachubie gregoriańskiej. Zakończenie to 1 tiszri 5700 (14 września 1939 r.), początek nowego stulecia kalendarza hebrajskiego. Ten właśnie czas, pomiędzy Rewolucją 1905 r., a Zagładą, był okresem intensywnego rozwoju żydowskiej twórczości literackiej oraz życia społecznego. Jego wyrazem są setki publikacji książkowych, gazety codzienne oraz niezwykle liczne czasopisma literackie – efemerydy, których ukazało się jedynie kilka numerów w niskim nakładzie. Wybór dokonany z tak bogatego materiału źródłowego, na który składają się teksty należące do innego kręgu religijno-kulturalnego, publikowane ponadto w różnych językach, musiał opierać się na specyficznej kategoryzacji. Zazwyczaj stosowana klasyfikacja nie za bardzo się do tego nadawała, stwarzając zagrożenie zafałszowania obrazu wynikające z zastosowania pojęć oraz kategorii funkcjonujących co prawda w kulturze i historii żydowskiej, jednak niekoniecznie rozumianych tak samo. Przyjęte kryteria doboru i podziału tekstów są więc, poza jednym, oparte na czterech pojęciach żydowskich, co umożliwia lepsze zrozumienie fenomenu kulturowego łódzkiego społeczeństwa żydowskiego w tym okresie.

Sztetl, malutkie senne żydowskie miasteczko, jest motywem niezwykle często obecnym w twórczości literackiej Żydów łódzkich i może być interpretowany jako wyraz tęsknoty za utraconym rajem, za dzieciństwem, ciepłem i radością życia, prostego i zbliżonego do natury, lecz pełnego magii i tajemnic. Nie dziwi to w społeczności złożonej w większości przypadków z osób, które przybyły tu

w poszukiwaniu lepszych warunków życia z takich sztetli właśnie. Fascynacja prowincją, czy też stereotypem prowincji, jest w tamtym okresie niezwykle silna i to zarówno w twórczości jidyszowej, jak i hebrajskiej. Jest to dla literatury żydowskiej miejsce wręcz archetypowe, sielankowa enklawa życia tak bardzo kontrastująca z wielkomiejskim gwarem¹. Miasteczko stanowiło oś świata, wobec której musiał usytuować się nowoczesny Żyd, niosąc ze sobą religię, tradycję i normy, będąc ostoją starożytności. Sztetl to również bijące serce chasydyzmu, bardzo ważnego czynnika w środowisku łódzkich Żydów, z którego czerpały inspiracje rzesze twórców religijnych i świeckich. To właśnie w wielkim mieście były drukowane oraz szeroko dyskutowane słowa, które padły w Górze Kalwarii, Aleksandrowie Łódzkim czy Przysusze. Bez pojęcia sztetl niemożliwe jest zrozumienie fenomenu Bałut, dzielnicy żydowskiej biedoty, której mieszkańcy w większości przypadków, mimo formalnej przynależności do społeczności wielkomiejskiej, mentalnie i kulturowo nigdy sztetla nie opuścili, przenosząc tradycyjne wzorce i normy na grunt metropolii.

Szund oznacza w jidysz odpadki, tandetę. Terminem tym przyjęło się określać tanią literaturę brukową, schlebającą najprostszym gustom, skierowaną do najniższych warstw społecznych oraz tworzącego się w tamtych czasach żydowskiego półświatka. Często niósł on ze sobą rubaszny dowcip, tanie rymy i nie stronił od tematów politycznych. Z jednej strony był dzieckiem nowoczesności, wywodził się z industrializacji tworzącej duże skupiska ludzkie oraz upowszechnienia się tanich metod druku, w tym prasy, z którą pozostawał w symbiozie. Nie stronił od innych masowych środków przekazu, jak rewia, kabaret, a w późniejszym okresie również kino. Z drugiej strony często pozostawał zanurzony w żydowskiej tradycji, czerpiąc inspiracje z literatury moralizatorskiej. Za pomocą prostych historii starał się wpłynąć na odbiorców i kształtować ich postawy życiowe.

Bunt jest kategorią uniwersalną, jednak w przypadku łódzkich Żydów niezwykle istotną. Zapoczątkowany wielkim robotniczym zrywem roku 1905 zawsze był wynikiem sporu – zarówno społecznego, jak i osobistego: z tradycją lub Absolutem. Był niezależny od światopoglądu, gdyż w omawianym okresie buntowali się praktycznie wszyscy, choć każdy w swoich ramach, narzuconych mu jego osobistym usytuowaniem pomiędzy tradycją i nowoczesnością. Poprzednia epoka, Haskala, czyli żydowskie oświecenie, nie przekonała swymi ideami szerokich żydowskich mas. Rewolucja 1905 roku oraz trauma pierwszej wojny światowej, której działania dotknęły również Łodzi, stały się udziałem pokolenia publikującego w tym czasie, stanowiąc dla niego ważną cezurę, za którą szło nowe, młode, w języku jidysz *jung*. Powstanie nowoczesnego państwa polskiego, sieci szkół powszechnych oraz instytucji opartych na języku polskim sprawiło, że

¹ Por. M. Adamczyk-Garbowska, *Odcienie tożsamości. Literatura żydowska jako zjawisko wielojęzyczne*, Lublin 2004, s. 20.

doświadczenie kultury polskiej stało się wśród młodego pokolenia żydowskiego faktem, który dostrzec można również poza kręgami asymilatorskimi. Młodzi, zaczytani w polskich i niemieckich romantykach, zaczynają tworzyć swą własną, żydowską romantyczną literaturę. Twórczość ta nie tylko przyswajała pasywnie składniki cywilizacji europejskiej za pośrednictwem innych kultur narodowych, lecz próbowała zbudować na ich podstawie nową, świecką kulturę żydowską z jidysz lub hebrajskim jako językami literackimi. Doprowadziło to do znaczącej zmiany w życiu duchowym Żydów polskich. Przez tysiąclecia religia była jedynym zwornikiem łączącym różne nurty judaizmu, sprawiając, że życie jego wyznawców było *de facto* częścią religii. Postępująca sekularyzacja spowodowała, że czynnik ten tracił na znaczeniu i nagle religia stała się częścią życia. Niosło to ze sobą niebezpieczeństwo rozpadu wspólnoty, a w konsekwencji jej zaniku. Świecka kultura narodowa na nowo scementowała żydowską wspólnotę i położyła fundamenty pod jej dalszy rozwój. Awans społeczny i ekonomiczny Żydów na początku XX w. przyniósł ze sobą również transformację polityczną. Powstanie całego spektrum nowoczesnych partii, których istotą był spór i dążenie do zmiany porządku rzeczy, bunt ten częściowo skanalizowało. Partyjne gazety i czasopisma chętnie udostępniały swoje łamy tekstom zaangażowanym, propagującym idee przez nie głoszone. Oczywiście istniały również czasopisma niezależne, jednakże rys partyjny jest w tym okresie bardzo wyraźny. Linie ideologicznego podziału nie były jednak wyznaczone jednoznacznie i zdarzały się zaskakujące wyjątki, kiedy to tomik poety spierającego się z Bogiem był wydawany przez socjalistyczne wydawnictwo, a ortodoksyjna młodzież demonstrowała pod czerwonymi sztandarami. Mimo to daje się zauważyć wyraźna lewicowa tendencja dużej części utworów – „Czerwona Łódź” nie była tylko pustym hasłem w robotniczym społeczeństwie.

Palestyna, mityczna kraina dawnych przodków, jest dla łódzkich Żydów tego okresu znakiem zapytania. Nie było też do końca jasne, jakim językiem by w Palestynie mówiono. W przypadku Łodzi część tekstów zaangażowanych syjonistycznie ukazuje się w jidysz, choć istnieje oczywiście również piśmiennictwo hebrajskie. Duża część tekstów opisujących rzeczywistość Ziemi Izraela nie była inspirowana empirycznymi doświadczeniami, lecz lekturami, w tym głównie tekstu biblijnego. Dominuje wyidealizowany obraz Ziemi Obiecanej, krainy odrodzonych Żydów, żyjących z pracy rąk, lecz w nowoczesnej społeczności. Wyływają one wprost z tęsknoty diaspory za wyidealizowanym krajem praojców, lecz jest w niej też coś z fascynacji ziemią nieodkrytą, wręcz Dzikim Zachodem. Dopiero konfrontacja z izraelską rzeczywistością, trudne i niebezpieczne warunki życia w Palestynie oraz wysoka cena, jaką przyszło płacić pierwszym osadnikom za urzeczywistnienie swych syjonistycznych marzeń skorygowały ten obraz i uczyniły go bardziej realnym. Wybór emigracji stał się decyzją bardziej skomplikowaną

i choć część osób rzeczywiście wyjechała, większość zdecydowała się jednak wyjazd odłożyć i poświęcić się pracy u podstaw na miejscu, ucząc hebrajskiego, publikując i tłumacząc teksty literackie.

Początek nowego stulecia według kalendarza hebrajskiego oznacza bezpowrotne odejście starego porządku. Wybuch drugiej wojny światowej i zagłada większości żydowskich twórców niosą ze sobą koniec owej romantycznej epoki, zanim jeszcze w pełni wybrzmiała. Powojenna rzeczywistość była zupełnie inna, nie było już komu pisać takich różnorodnych formalnie i tematycznie tekstów i nie było też dla kogo. Z powierzchni ziemi zniknął sztetl, żywe źródło inspiracji i tradycji. Jednocześnie zaś pojawił się Izrael, niepodległe państwo żydowskie, które radykalnie zrywało z tradycjami diaspory, w tym z językiem jidysz. Stary świat zginął i został częściowo zapomniany, a jego ślady w postaci tekstów literackich rozsiane są po bibliotekach i archiwach całego świata. Niniejsza antologia jest próbą jego upamiętnienia.

Krystyna Radziszewska

Kultura i literatura łódzkich Żydów w okresie międzywojennym

Łódź u progu XX wieku nie jest powszechnie kojarzona z rozwojem kultury, lecz z dynamicznym rozwojem przemysłu włókienniczego. Na ten drugi aspekt wskazują choćby takie określenia miasta jak „Manchester Wschodu”, „ziemia obiecana” czy „miasto tysięcy kominów”. Jak wspomina Jechiel Jeszaje Trunk, Łódź „nie posiadała [...] świadomego, zadeklarowanego spojrzenia na własną działalność kulturową. [...] Brakło jej ku temu tradycji i wyrozumiącego spokoju Warszawy”¹. Brak możliwości odwołania się do tradycji stosunkowo młodego miasta, do korzeni, skoncentrowanie na rozwoju gospodarki może być postrzegane jako czynnik spowalniający rozwój kultury. Z drugiej jednak strony ten brak pewnych ram kulturowych wynikających z nieposiadania tradycji stwarzał możliwości świeżego, nieskrępowanego spojrzenia na sztukę. Innym inspirującym czynnikiem była wielokulturowość Łodzi, współlistnienie wielu nacji i religii wzajemnie na siebie oddziaływujących, wspólnie tworzących od podstaw podwaliny pod gospodarkę, infrastrukturę oraz instytucje użyteczności publicznej. Polacy, Niemcy i Żydzi współpracowali także w różnych dziedzinach kultury.

Przedmiotem niniejszego szkicu jest kultura i literatura łódzkich Żydów. Ten aspekt aktywności mieszkańców wyznania mojżeszowego jest mniej znany i pozostaje w cieniu działalności gospodarczej, społecznej czy politycznej. Najbardziej znane i widoczne w obrazie miasta są materialne ślady obecności i działalności łódzkich Żydów. W celu przybliżenia tego mniej znanego pola aktywności przedstawiona zostanie działalność społeczności żydowskiej w dziedzinie malarstwa, teatru, architektury, a także literatury w języku jidysz i hebrajskim oraz ściśle z nią związanej działalności wydawniczej i prasowej.

Literatura Żydów w Polsce w okresie międzywojennym była zjawiskiem trójjęzycznym. Twórcy pisali zarówno w języku hebrajskim, jidysz a także w języku polskim, czyli w językach, którymi posługiwała się ludność żydowska w Polsce. Na podstawie spisu powszechnego z 1931 r. ustalono, że spośród około trzech milionów ludności wyznania mojżeszowego 80% deklaroowało, że ich językiem

¹ J. J. Trunk, *Pojłn. Obrazy i wspomnienia z Łodzi*, Łódź 1997, s. 83.

ojczystym jest jidysz, 12%, że jest to język polski, a 8% uznawało język hebrajski za język ojczysty². W dwudziestoleciu międzywojennym nastąpił zmierzch potęgi języka hebrajskiego. W wyniku emigracji do Palestyny systematycznie zmniejszała się grupa jego użytkowników. Dla hebrajskiego zarezerwowana była sfera *sacrum*, stąd też często określano go mianem *loszn kojdesz* – język święty. Nawet jeżeli pisano w tym języku, była to w większości twórczość religijna – komentarze do Pisma Świętego, traktaty halachiczne czy responsa. Twórczość literacka w języku hebrajskim stanowiła raczej wyjątek i wymagała od pisarza większego zaangażowania oraz poszerzonych studiów nad językiem. Wybór języka hebrajskiego jako języka artystycznego wyraża się też z ryzykiem, że teksty te trafią tylko do wąskiego grona czytelników. Nie przeczyta ich bowiem ani większość żydowskich, ani polskich odbiorców. W dalszym ciągu jednak wydawana była prasa oraz powstawała literatura w tym języku. Jidysz, zwany *mame loszn* – język matki, był językiem potocznym, którym posługiwały się szerokie masy ludności, znające hebrajski tylko w ograniczonym zakresie. Hebrajskiego nie znały kobiety oraz wielu mężczyzn, dlatego dla nich przeznaczono księgę *Cene urene*, parafrazę Pięcioksięgu oraz inne teksty homiletyczne i moralizatorskie, składające się na tzw. literaturę musar³.

W drugiej połowie XVIII wieku jidysz zaczął zanikać w Europie Zachodniej. W tym samym czasie piśmiennictwo we wschodnioeuropejskim jidysz zaczęło się pojawiać w Polsce. Zwolennicy asymilacji traktowali początkowo jidysz jako żargon odmawiając mu racji bytu, szczególnie w dziedzinie literatury, jak choćby redaktor naczelny „Izraelity” Samuel Peltyn, który uważał literaturę jidysz za bezwartościową, a nawet wręcz szkodliwą⁴. Pod koniec XIX wieku zaczęto odchodzić od tego poglądu. Coraz częściej pojawiały się głosy, że jidysz jest nie tylko językiem mas, ale także inteligencji żydowskiej. Do docenienia pisarzy tworzących w jidysz przyczynił się m.in. brak utworów autorów żydowskich tworzących w języku polskim, a także coraz lepszy poziom artystyczny tekstów w jidysz. Zdaniem badaczy innym ważnym czynnikiem było zainteresowanie polskich intelektualistów folklorem, którego elementem była kultura Żydów, w tym również język jidysz⁵. Polscy badacze, intelektualiści i artyści zaczęli dbać o zachowanie literatury ludowej i jej opisywanie. Włączyli w ten proces także folklor żydowski. Polska stała się pod koniec XIX wieku kolebką nowoczesnej

² Ch. Shmeruk, *Hebrew–Yiddish–Polish: A Trilingual Jewish Culture* [w:] *The Jews of Poland between two World Wars*, eds. I. Gutman, E. Mendelsohn, J. Reinharz, Ch. Shmeruk, Hanover and London 1989, s. 287–288, cyt. za: M. S. Szwabowicz, *Polski Żyd piszący po hebrajsku. Problem tożsamości w okresie międzywojennym* [w:] *Żydowski Polak, polski Żyd. Problem tożsamości w literaturze polsko-żydowskiej*, red. A. Molisak, Z. Kołodziejska, Warszawa 2011, s. 45.

³ *Polski słownik judaistyczny*, red. Z. Borzemińska, R. Żebrowski, t. 2, Warszawa 2003, s. 194.

⁴ Por. Z. Kołodziejska, *Czym jest literatura polsko-żydowska w świetle dyskusji w Izraelicie* [w:] *Żydowski Polak, polski Żyd...*, s. 96.

⁵ Por. tamże, s. 98.

literatury jidysz⁶. Jidysz nie był już tylko żargonem, stał się językiem artystycznego wyrazu. W 1908 r. na konferencji w Czerniowcach został proklamowany jako język narodowy Żydów. Swą pierwszą książkę w tym języku opublikował „dziadek” nowoczesnej literatury jidysz Mendele Mojcher Sforim. Tworzył w języku hebrajskim i jak napisał po latach w swojej autobiografii, wstyd mu było się przyznać do twórczości w języku jidysz, choć wiadomo było, że tylko w tym języku można dotrzeć do masowego czytelnika żydowskiego⁷. Uznał jednak, że w języku hebrajskim, zarezerwowanym do studiowania świętych ksiąg, nie da się wiernie odtworzyć powszedniego losu Żydów. „Ojcem” literatury jidysz był Icchok Lejb Perec – redaktor czasopism, popularyzator kultury i folkloru żydowskiego, autor nowel, opowieści ludowych i chasydzkich. Prowadził w Warszawie salon literacki, w którym spotykali się młodzi pisarze i poeci. Perec wspierał ich, czytał teksty i doradzał młodym twórcom. „Synem” literatury był Szolem Alejchem – wydawca i twórca serii „Jidysze bibliotek”, kronikarz życia w żydowskim sztetlu oraz twórca jednej z najbardziej znanych postaci, prostego człowieka, optymisty nie tracącego wiary w Boga, Tewje Mleczarza⁸.

W okresie międzywojennym rozwijało się także żydowskie piśmiennictwo w języku polskim. Język polski stawał się bowiem dla Żydów coraz częściej językiem życia codziennego i komunikacji. Korzystali oni w coraz większym stopniu z polskiego szkolnictwa⁹. Polscy Żydzi piszący w jidysz znali bardzo często literaturę polską. Dialog z nią pojawiał się w ich utworach. Chone Shmeruk podaje przykład Pereca, który znał dobrze język polski i w młodości próbował tworzyć po polsku. Choć określał się mianem pisarza dwujęzycznego, tworzącego w języku hebrajskim i w jidysz, jego kontakty z literaturą polską trwały przez całe życie. Tłumaczył polskich pisarzy, czytał polską prasę i prowadził polemiki z niektórymi przedstawianymi na jej łamach poglądami. Język jidysz postrzegał jako wartość samą w sobie, nie jako pomost do języka krajowego¹⁰. Roman Brandstaetter w 1937 r. tak zdefiniował piśmiennictwo żydowskie w Polsce:

jest to cały dorobek literacki w językach hebrajskim, żydowskim i polskim, tworzony przez Żydów, którzy nie utracili łączności z Żydostwem w sensie narodowym, społecznym i kulturalnym, a dla których problem kultury żydowskiej jest fundamentem ich światopoglądu i świadomości artystycznej¹¹.

⁶ Na temat historii literatury jidysz por. Ch. Shmeruk, *Historia literatury jidysz*, Wrocław–Warszawa–Kraków 2007.

⁷ Tamże, s. 83.

⁸ Więcej na temat wielkich klasyków literatury jidysz, por. M. Adamczyk-Garbowska, *Odcienie tożsamości. Literatura żydowska jako zjawisko wielojęzyczne*, Lublin 2004, s. 26–43.

⁹ Na temat żydowskiego szkolnictwa w II Rzeczypospolitej por. K. Kijek, *Dzieci modernizmu. Świadomość, kultura i socjalizacja polityczna młodzieży żydowskiej w II Rzeczypospolitej*, Wrocław 2017, s. 123–181.

¹⁰ Por. Ch. Shmeruk, *Historia literatury...*, s. 75–78.

¹¹ R. Brandstaetter, *Stwórzmy żydowską samoobronę kulturalną*, „Ster” 1937 (16), cyt. za: E. Prokop-Janiec, *Międzywojenna literatura polsko-żydowska*, Kraków 1992, s. 62.

Niniejszy szkic, który jest wprowadzeniem do prezentowanej antologii, poświęcony został literaturze łódzkich Żydów w języku jidysz oraz hebrajskim. Nie uwzględnia on pisarzy pochodzenia żydowskiego tworzących w języku polskim, gdyż informacje o życiu i twórczości takich łódzkich autorów, jak Julian Tuwim czy Mieczysław Braun przeniknęły w znacznie większym stopniu do świadomości czytelników. Przed omówieniem twórczości literackiej zaprezentowane zostaną skrótkowo inne pola działalności kulturalnej.

Najbardziej widocznym śladem działalności kulturalnej łódzkich Żydów w dzisiejszej przestrzeni miejskiej są dzieła architektów. Przyszli „królowie bawelny”, którzy po zlikwidowaniu rewiru żydowskiego osiedlali się w zależności od statusu majątkowego w innych dzielnicach miasta i wytężoną pracą dorabiali się znacznych majątków, zlecali projektowanie i budowę swych rezydencji, pałaców, synagog i innych budynków użyteczności publicznej żydowskim architektom. Najbardziej znanymi i cenionymi byli Gustaw Landau-Gutenteger, który budował m.in. secesyjne kamienice, synagogę przy ul. Wólczańskiej, Teatr Wielki, Dowid Lande – projektant licznych kamienic, banków, Grand Hotelu oraz Adolf Zeligson, twórca synagogi Żydów ortodoksyjnych na Starym Mieście czy budowli rodziny Poznańskich.

Oprócz uznanych architektów środowisko sztuki tworzyli malarze, graficy i muzycy. W kwietniu 1918 r. oraz na przełomie 1918/1919 Stowarzyszenie Artystów i Zwolenników Sztuk Pięknych zorganizowało dwie wystawy, na których swe prace wystawiali młodzi żydowscy adepci sztuki. Kilku z nich weszło do ugrupowania artystyczno-literackiego „Jung Idysz”, o którym będzie mowa w dalszej części tego tekstu. Najwybitniejsi malarze i graficy to Jankiel Adler, Henoch Barciński, Icchok Brauner, Ida Brauner, Pola Lindenfeld, Marek Szwarc, Maurycy Trębacz. Przy łódzkim Żydowskim Towarzystwie Muzyczno-Literackim działały chóry „Hazomir” prowadzony przez Icchoka Zaksę oraz „Szir” kierowany przez Izraela Fajwisa. W 1928 r. Józef Kamiński założył Kwartet Smyczkowy, znany później jako Warszawski Kwartet Smyczkowy. Urodzony w Łodzi znany kompozytor Aleksander Tansman karierę zawodową rozpoczynał w Łódzkiej Orkiestrze Symfonicznej. Muzykę polską popularyzował w świecie znakomity pianista Artur Rubinstein.

Ważną rolę w procesach emancypacyjnych ludności wyznania mojżeszowego odegrał teatr. Religijny zakaz imitowania żywych stworzeń nie pozwalał przez wiele wieków na stworzenie teatru. Zaczął się on kształtować w średniowieczu w postaci purim-szpiln, to znaczy przedstawień z okazji święta Purim. Na Zachodzie Europy przełom w rozwoju teatru przyniosła Haskala, jednak w pełni uformowany profesjonalny teatr żydowski pojawił się dopiero w drugiej połowie

XIX w.¹² Ojcem sceny żydowskiej został Abraham Goldfaden, którego teatr odniósł ogromny sukces. Zaczęła się tworzyć żydowska publiczność przedstawień w języku jidysz. W 1883 r. władze carskie zakazały wystawiania sztuk w tym języku. Cofnięto go w 1904 r., co doprowadziło do ożywienia życia teatralnego w zaborze rosyjskim¹³. Zanim w Łodzi powstała stała scena żydowska przedstawiciele mieszczaństwa i burżuazji oglądali przedstawienia w teatrze niemieckim lub polskim. W 1905 r. w Teatrze Wielkim, wybudowanym w 1901 r. przy ulicy Konstantynowskiej 10 (obecnie Legionów), utworzono scenę, na której grano sztuki w języku jidysz. Jej dyrektorem został urodzony w Łodzi Icchok Zandberg. Wprowadził on do teatru chór mieszany oraz orkiestrę, co pozwalało na wystawianie operetek. Oprócz tego grano komedie, melodramaty, a także sztuki z repertuaru scen europejskich. Przykładem takiej twórczości jest prezentowana w ramach niniejszej antologii komedia o wyraźnym podłożu politycznym *Rewolucja w niebie*. Teatr gościł wielu wykonawców z zagranicy. Kolejnym teatrem był Teatr Scala utworzony przez Juliusza Adlera przy ulicy Cegielnianej 18 (obecnie Więckowskiego), w którym wystawiano głównie operetki. Ponieważ w tym czasie w Warszawie pojawiły się zespoły grające na wysokim poziomie artystycznym, starano się stworzyć w Łodzi podobny teatr. W tym celu Icchok Kacnelson założył Hebrajskie Studio Dramatyczne, które działało w latach 1928–1932.

Teatr był bardzo ważnym aspektem w twórczości i działalności Kacnelsona oraz jego największą pasją. W wielu swych utworach scenicznych nawiązuje wprost do motywów ze Starego Testamentu, a jego sztuki teatralne często oparte są bezpośrednio na motywach biblijnych i parafrazują np. historie Józefa¹⁴ czy proroków¹⁵. Twórczość teatralną Kacnelsona cechuje niespotykane wśród innych autorów podejście do tekstu biblijnego jako do klasycznego tekstu teatralnego zawierającego doskonały materiał sceniczny. Świadomie odrzuca on wątki dramatyczne i komiczne mające związek z kulturą grecką i koncentruje się jedynie na interpretacji tekstów Starego Testamentu. Połączenie Biblii i teatru miało w przypadku Kacnelsona głęboki wymiar duchowy, choć nie należy pomijać również jego strony praktycznej i edukacyjnej.

Pod wpływem polskich scen rewiowo-literackich zaczęły powstawać tzw. teatry miniatur. Takim teatrem był „Ararat” założony w 1926 r. przez Mojsze Brodersona. W teatrze tym udało się Brodersonowi połączyć różne rodzaje sztuki. W realizacji przedstawień brali udział pisarze, reżyserzy, kompozytorzy,

¹² R. Żebrowski, Z. Borzymińska, *Po-lin. Kultura Żydów polskich w XX wieku (Zarys)*, Warszawa 1993, s. 175.

¹³ Tamże, s. 179.

¹⁴ I. Kacnelson, *Bewert hamiszne*, Warszawa 5680 (1919/1920); tenże, *Mechirat Josef*, Warszawa 1909.

¹⁵ Tenże, *Hanawi*, Łódź 5682 (1921/1922).

muzycy, malarze, scenografowie, aktorzy, śpiewacy i tancerze. Broderson pisał do wystawianych spektakli piosenki i skecze lub wybierał je spośród utworów miejscowych lub zagranicznych pisarzy, takich jak Mordechaj Gebirtig, Jankew Obażanek czy Mojsze Nadir. Za dekoracje i kostiumy odpowiedzialni byli m.in. Dina Matus i Jankiel Adler, muzykę komponowali najczęściej Henoch Kon i Dowid Bajgelman, a reżyseria i choreografia należały do najzdolniejszych aktorów – Szymona Dżigana, Mojsze Puławera i Izraela Szumachera¹⁶. Zdaniem G. Roziera „Ararat” był do wybuchu II wojny światowej najciekawszą sceną kabaretową w języku jidysz w Polsce¹⁷. Broderson był też twórcą pierwszego żydowskiego teatru marionetek „Chad Gadje” oraz kabaretu literackiego „Szorabor”¹⁸.

W Łodzi starano się także popularyzować sztukę filmową. Od 1907 r. przedsiębiorcy żydowscy uruchamiali liczne kina. Spośród 16 kin, których właścicielami byli Żydzi, wymienić można takie, jak: „Arkadia”, „Odeon”, „Kassandra”, „Oaza”, „Theatre Moderne” w Grand Hotelu czy kinoteatr „Flora” na Bałutach. Ich atmosferę świetnie oddaje prezentowany w niniejszej antologii wiersz I. Rabona *Kino „Wenus”*.

Żydzi nazywani są często „narodem księgi”. Ze względu na nakaz religijny oraz system tradycyjnego szkolnictwa byli w sposób szczególny związani ze słowem pisanym¹⁹. W międzywojennej Polsce zaistniały całe rody wydawców, właścicieli drukarni i antykwariuszy. Większość produkcji wydawniczej zajmowały książki przeznaczone dla masowego odbiorcy w języku jidysz. Literatura religijna ukazywała się natomiast w języku hebrajskim. W Łodzi 60% drukarni należało do przedsiębiorców żydowskich²⁰. Pierwszą księgarnię w Łodzi otworzył kupiec żydowski Jankiel Gutstadt. Kolejne księgarnie Moszka Perlmutera i Izraela Zajberta oferowały książki w języku hebrajskim. Intensywny rozwój księgarni żydowskich przypada na lata osiemdziesiąte XIX w. Były to w większości małe sklepiki handlujące książkami w języku jidysz. Prowadziły one też często płatne wypożyczalnie. W mieście różne organizacje społeczno-kulturalne organizowały biblioteki. Żydowskie Towarzystwo Muzyczno-Dramatyczne „Harfa” utworzyło bibliotekę im. Bronisława Grossera, Towarzystwo „Ibrijah” bibliotekę z księgozbiorem w języku hebrajskim. W Żydowskim Domu Ludowym istniała biblioteka „Bet Am” z księgozbiorem w pięciu językach. Biblioteka funkcjonowała także przy szkole Łódzkiego Towarzystwa „Talmud Tora”. Do popularnych bibliotek należała Biblioteka im. Ajzenszłosa, w skład zarządu której wchodził znani literaci²¹. Powstawaniu bibliotek sprzyjał także rozwój prasy w języku jidysz oraz literatury w tymże języku.

¹⁶ E. Nieborski, *Ararat*, „Midrasz”, lipiec–sierpień 2001, s. 12.

¹⁷ G. Rozier, *Mojżesz Broderson. Od Jung Idysz do Araratu*, Łódź 1999, s. 12.

¹⁸ Tamże, s. 12.

¹⁹ R. Żebrowski, Z. Borzymińska, *Po-lin...*, s. 228.

²⁰ Tamże, s. 162.

²¹ Więcej na temat biblioteki im. Ajzenszłosa w szkicu J. Walickiego w tym tomie. Zob. również opowiadania Ajzenszłosa prezentowane w ramach niniejszej antologii.

Prasa odgrywała zawsze ważną rolę w życiu społeczeństwa żydowskiego. Przyczyniła się także w znacznym stopniu do rozwoju świeckiej literatury jidysz. Prasa w języku jidysz jest zjawiskiem dość późnym. Ważnym bodźcem dla jej powstania i rozwoju były dążenia emancypacyjne Żydów. Z jednej strony dążono do uświadomienia szerokich mas żydowskich podkreślając ich odrębność kulturową, z drugiej natomiast do zbliżenia Żydów do polskiego społeczeństwa. Zdaniem Mariana Fuksa, badacza prasy żydowskiej w Polsce, była ona orężem informacyjnym, oświeceniowym, politycznym i propagandowym²². Przełomowym wydarzeniem dla jej powstania był wybuch rewolucji 1905 r. W wyniku liberalizacji życia politycznego władze carskie zaczęły wyrażać zgodę na wydawanie żydowskich gazet oraz ułatwiły procedurę jej uzyskiwania. Początkowo ukazywały się czasopisma w języku hebrajskim uważanym za język literacki. Dla przeciętnych Żydów był to jednak przede wszystkim język modlitwy. Przyszłość należała więc do prasy w języku jidysz ze względu na szerokie masy ludności posługujące się nim. W większości byli to ludzie potrafiący czytać i pisać, wśród Żydów było bowiem niewielu analfabetów. Po słowo drukowane sięgali oni także ze względu na swoją tradycję i uwarunkowania kulturowe. W lutym 1907 r. ukazał się pierwszy numer gazety „Lodzer Nachrichtn”. Jej współzałożycielami byli Emanuel Hamburski, aktywny działacz syjonistyczny, założyciel i współpracownik wielu instytucji kulturalnych, m.in. Stowarzyszenia Właścicieli Drukarń i Litografii, Łódzkiego Żydowskiego Towarzystwa Muzycznego i Literackiego „Hazomir” oraz Szaja Uger dziennikarz, działacz społeczny, pisarz, jeden z organizatorów żydowskiego sportu gimnastycznego, prezes łódzkiego oddziału Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich. Dołączył do nich Abraham Tenenbaum, autor m.in. *Gesichte fun Lodz un lodzer jidn* [Historia Łodzi i łódzkich Żydów]. W skład grupy założycielskiej wchodził także kolporter prasy warszawskiej Abraham Kassman, który po niespełna roku wycofał się jednak z udziału w wydawnictwie. W tej sytuacji pozostali trzej wspólnicy powołali do życia kolejną gazetę. Pierwszy numer „Lodzer Tageblat” trafił do czytelników 24 stycznia 1908 r. Gazeta ukazywała się z przerwami w okresie I wojny światowej do 1936 r. W 1915 r. z inicjatywy „Presse Verwaltung” wychodzi „Lodzer Folksblat”, którego pierwszymi redaktorami byli bracia Lazar i Izrael Kahan. W połowie 1917 r. Kahanowie odkupili gazetę od Niemców i zaczęli ją wydawać na własny rachunek. Od 1923 r. do jej zamknięcia w 1939 r. ukazywała się pod tytułem „Najer Folksblat”. Wspomniane pisma były wysokonakładowe i docierały do szerokiej rzeszy czytelników. Swoje organy prasowe miały też poszczególne partie polityczne i ugrupowania. Odzwierciedlały one wszystkie odcienie polityczne i ideologiczne. Organem prasowym „Bundu” był ukazujący się w latach 1926–1934 tygodnik „Lodzer Weker”, którego

²² M. Fuks, *Prasa żydowska w Polsce XIX i pierwszej połowie XX wieku (do końca drugiej wojny światowej)*, „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego” 1973, nr 12/1, s. 30.

redaktorem naczelnym był Abram Zyngerman. Tygodnik zawierał dodatek „Łodzer Socjalistisz Jung Sztime”. Z inicjatywy partii Poalej Agudas Isroel wydawano tygodnik „Di Jidysze Arbeter Sztime”. Wraz z postępującym procesem asymilacji zaczynają się ukazywać gazety w języku polskim. Henryk Elzenberg był współtwórcą „Dziennika Łódzkiego”, a Feliks Halpern jednym z redaktorów „Gońca Łódzkiego”. Rodzina przemysłowców Konów wspierała wydawanie „Głosu Porannego”. W latach dwudziestych ukazywały się także czasopisma poświęcone sprawom literatury i kultury, jak „Szweln”, założone przez Izraela Rabona i Chaima Lejba Fuksa, „S’Feld”, wydawane w latach 1919–1923 jako częściowy spadkobierca pisma „Jung Jidysz”, z którym współpracowali M. Broderson, I. Kacnelson, Ch. Krul, J. Adler, M. Szwarc i I. Brauner, „Inzl” oraz miesięcznik literacki „Os. Lid, Nowele, Esej, Bild”. Ten ostatni został stworzony przez pisarza Izraela Rabona, aby dać możliwość publikowania utworów młodym debiutującym autorom. Swe teksty publikowali w nim nie tylko debiutanci, ale też twórcy już znani, m.in. Miriam Ulinower, Izrael Trunk, Izrael Rabon, Abraham Joachimowicz oraz Mojsze Broderson.

Z powodu kłopotów finansowych żywot tego periodyku był krótki. Niewiele pomogło wsparcie finansowe w wysokości 100 dolarów pisarza Szolema Asza²³. W okresie I wojny światowej znaczący wpływ na kształt pism literackich miał Icchok Kacnelson. Jego wiersz pt. *Hejmloz* [Bezdomni] otwierał pierwszy numer pisma literackiego „Di ictike cajtn”, które zaczęło się ukazywać w 1915 r. Redaktorem naczelnym był pochodzący z Kalisza H. Słonim. W zaledwie ośmiu jego numerach publikowali swe teksty m.in. Icchok Hersz Radoszycki oraz Miriam Ulinower, krytyki teatralne pisał Zalmen Zylbercwaig. Kacnelson zamieszczał utwory także w założonym w 1916 r. przez Maurycego Poznańskiego piśmie „Literatur”. Publikowali w nim także wspomniany już I. H. Radoszycki, Cwi Kahan oraz rzeźbiarz Marek Szwarc²⁴. Ponadto Kacnelson współredagował z Lajbem Żytnickim miesięcznik „Heftn far literatur un kunst”. W 1918 r. ukazał się w Łodzi almanach literacki *Jugend: zamlheft far szejner literatur un frajen gedank* [Młodość. Zeszyt poświęcony literaturze pięknej i wolnej myśli]. Jego redaktorem był Cwi Kahan, wydawcą A. Akerberg. W manifestie almanachu zatytułowanym *Naje wegn* [Nowe drogi], którego autorem był Baal Halojmes, pojawił się pogląd, że nowe pokolenie twórców żyje w poczuciu pustki duchowej. Autor wzywał do odnowy kultury jidysz. W tomie znalazły się wiersze Icchoka Kacnelsona *Beszas di sztorem* [Podczas burzy] oraz Hersza Radoszyckiego *Wer biz du?* [Kim jesteś?]. Oprócz tekstów znanych autorów w drugiej części *Frojen-motiwn* [Motywy kobiece] publikowały poetki: Róża Jakubowicz, Miriam Ulinower, Szoszana

²³ Por. I. Olejnik, *Jisroel Rabon: Życie i twórczość* [w:] J. Rabon, *Bałuty. Powieść o przedmieściu*, red. K. Radziszewska, N. Krynicka, Łódź 2016, s. 103 i n.

²⁴ Por. G. Rozier, *Mojżesz Broderson...*, s. 28.

Częstochowska, Mirla Erdberg – poetka i nauczycielka pochodząca z Kutna oraz Chana Gerson²⁵.

W okresie międzywojennym ukształtowało się w Łodzi środowisko dziennikarskie. Organizacją je jednoczącą był utworzony w 1920 r. Syndykat Dziennikarzy Polskich. W jego szeregach znalazło się wielu dziennikarzy pochodzenia niemieckiego i żydowskiego. W Łodzi w 1927 r. powstał syndykat miejscowy pod nazwą Syndykat Dziennikarzy Łódzkich. Dziennikarze żydowscy tworzyli w nim autonomiczną sekcję. Członkami tej sekcji byli m.in. Lazar Fuchs, Izrael Rozenberg, Jakub Szulman, Szaja Uger, Izrael Kahan oraz Chaim Brzustowski²⁶.

Należy podkreślić szczególny związek prasy z literaturą. Z „Łodzer Tageblatt” współpracowali wybitni twórcy literatury żydowskiej, także spoza Łodzi: Szolem Alejchem, Mendele Mojcher Sforim, Dowid Fryszman, Mojsze Broderson, Icchok Kacnelson i inni. Jak podkreśla Gilles Rozier gazeta ta stała się dzięki pomysłowej i otwartej polityce Ugera „prawdziwą trybuną pisarzy żydowskich”²⁷. Mojsze Broderson publikował w niej swoje poematy humorystyczne i krótkie opowiadania. Zanim wiele powieści ukazało się drukiem publikowano je w poczytnych dziennikach. Bardzo często była to literatura sensacyjno-brukowa. W ten sposób popularyzowano utwory literackie wśród niższych warstw społecznych. Przykładem może być wybitny pisarz, autor dwóch powieści na wysokim poziomie literackim – *Ulicy* i *Batut* – Izrael Rabon, który pisał popularne sensacyjne powieści w odcinkach, publikowane na łamach prasy.

Najsłynniejszym poetą jidyszowym w okresie międzywojennym mieszkającym w Łodzi był Mojsze Broderson. Pisał poezję, sztuki teatralne, opowiadania dla dzieci, piosenki, skecze dla kabaretu. Był reżyserem, twórcą i dyrektorem Łódzkiego Żydowskiego Rewiowo-Kameralnego Teatru „Ararat”. Najbardziej jest znany jako twórca awangardowej grupy „Jung Jidysz”. W skład grupy wchodziłi poeci oraz przedstawiciele sztuk plastycznych. Ukształtowała się ona w trakcie dyskusji na temat nowoczesnej sztuki żydowskiej. Artyści poszukiwali własnego języka dla wyrażania tradycyjnych żydowskich treści. Postulowali odnowę języka żydowskiego głosząc hasło „Za młody, piękny język żydowski!” Jednocześnie traktowali tradycję żydowską jako fundament sztuki nowoczesnej. Program grupy „Jung Jidysz” przedstawiony został w kilku manifestach, publikowanych w piśmie „Jung Jidysz”. Ukazało się sześć numerów tego pisma, pierwszy z datą luty-marzec 1919. Jego podtytuł „Poematy w słowach i obrazach” wskazywał na ścisłe powiązanie słowa pisanego z obrazem, co dla Brodersona było istotą sztuki.

²⁵ Por. „Głos Żydowski. Niezależny Tygodnik Społeczno-Literacki” 1918, nr 33, s. 7.

²⁶ L. Olejnik, *Środowisko dziennikarskie w Łodzi (1918–1939). Problemy koegzystencji trzech grup narodowościowych* [w:] *Polacy–Niemcy–Żydzi w Łodzi w XIX–XX w. Sąsiedzi dalecy i bliscy*, red. P. Samuś, Łódź 1997, s. 393.

²⁷ Por. G. Rozier, *Mojżesz Broderson...*, 24.

Okladka pierwszego numeru przedstawiająca grafikę ekspresjonistyczną była autorstwa Jankiela Adlera. Nie jest ona jedynie ilustracją, lecz stanowi integralną część tekstu. Zastosowanie grafiki ekspresjonistycznej świadczy zdaniem Gillesa Roziera o przenikaniu myśli europejskiej awangardy do kultury jidysz. Artyści proponowali z jednej strony wprowadzenie do literatury i sztuki tradycyjnych wątków i treści, z drugiej proklamowali związki ze współczesnymi prądami; futuryzmem, ekspresjonizmem i surrealizmem²⁸. Oprócz recepcji niemieckiego ekspresjonizmu dla artystów szczególnie inspirująca okazała się sztuka Marca Chagalla zakorzeniona silnie w chasydzkiej mistyce. Widzieli w nim wybitnego twórcę demonstrującego swoją żydowskość. Grupa dążyła do pogodzenia perspektywy żydowskiej z innymi tradycjami – grecką, chrześcijańską czy mistycyzmem Wschodu²⁹. W drugim numerze pisma Jankiel Adler opublikował prezentowany w niniejszej antologii wiersz *Ich zing majn tfile* [Śpiewam mą modlitwę], w którym opowiada się za metafizyczną koncepcją sztuki. Widzi on połączenie literatury i malarstwa w ścisłym zjednoczeniu z Bogiem.

Czołowymi plastykami grupy byli Jankiel Adler, Icchok (Vincent) Brauner, Ida Brauner, Marek Szwarc, Henoch Barciński, Pola Lindenfeld, Henryk Berlewi, Zofia Gutentag. Teksty pisali Mojsze Broderson, Icchok Kacnelson, Jankiel Adler, Mejlech Rawicz, Chaim L. Fuks, Elimelech Szmulewicz oraz Jecheskiel M. Najman. Artyści wspierani byli finansowo przez przemysłowca Maksymiliana Szydłowskiego i jego żonę Felicję z Prywesów. W ich pałacyku odbywały się spotkania, w których uczestniczyła żydowska brać artystyczna z Brodersonem i Adlerem na czele. Ściany domu Szydłowskich pokrywały obrazy Adlera. Kiedy zaczęto wydawać pismo „Jung Idysz” Maks Szydłowski został jego mecenasem, a Felicja Szydłowska redaktorem. Jej imię i nazwisko, wydrukowane łacińskimi literami znajdowało się na ostatniej stronie pisma³⁰. Artyści spotykali się także w mieszkaniu rodzeństwa Icchoka i Idy Braunerów przy ul. Kościuszki 29 oraz w majątku ich rodziców w Smardzewie. Broderson recytował wiersze, Brauner grał na skrzypcach tradycyjne melodie żydowskie. Wieczory literackie odbywały się także w warsztatach fabryki włókienniczej Maksa Szydłowskiego na Bałutach. Innym miejscem spotkań literackich buntowników była kawiarnia „Astoria” przy ulicy Piotrkowskiej 27, gdzie w spotkaniach poetyckich uczestniczyli Broderson i Kacnelson. Artyści toczyli debaty i spory na temat sztuki, każdy z nich improwizował na ten sam temat. Były plany opublikowania 50 wierszy powstałych w wyniku tych improwizacji. Nie udało się ich niestety zrealizować³¹. Miejscem spotkań artystów były też pomieszczenia Towarzystwa Literacko-Muzycznego

²⁸ Por. tamże, s. 47–48.

²⁹ G. Rozier, *Jung Idysz: banda kpiarzy z polskiego Manchesteru* [w:] *Polak, Żyd, artysta*, red. J. Suchan, Łódź 2010, s. 34.

³⁰ Por. J. J. Trunk, *Pojln...*, s. 102.

³¹ G. Rozier, *Jung Idysz...*, s. 60.

„Hazomir” przy ulicy Kościuszki 21³². W styczniu 1920 r. w sali Grand Hotelu odbył się wielki wieczór poezji z udziałem Brodersona, Adlera i Szwarca.

Ostatni numer „Jung Idysz” ukazał się w listopadzie-grudniu 1920 r. Zabrakło subwencji oraz mecenasa sztuki. Pismo nie spotkało się też z większym zainteresowaniem w środowisku żydowskim. W latach 1920–1921 grupa działała już tylko jako wydawnictwo, które opublikowało sześć tomików poezji Brodersona, sztukę teatralną Kacnelsona oraz wybór poezji Chaima Krula. Kontynuatorem pisma „Jung Idysz” było „S’Feld”.

Ważną postacią w literackim środowisku łódzkich Żydów był Icchok Kacnelson, który pisał zarówno w jidysz, jak i w hebrajskim. Według wspomnień J. Trunka rodzinny dom Kacnelsonów był miejscem szczególnym na kulturalnej mapie ówczesnej Łodzi pełniąc funkcję nowoczesnego salonu artystycznego³³. W późniejszych latach, w gabinecie samego Icchoka zbierała się ówczesna żydowska inteligencja. W łódzkim środowisku autor znany był głównie jako pedagog i dyrektor założonego przez jego rodzinę męskiego hebrajskiego gimnazjum humanistycznego. Uczył w nim języka hebrajskiego i religii. W 1920 r. wydał *Gezang un szpil*, wybór piosenek dla dzieci autorstwa swego oraz Brodersona. I. Kacnelson pisał poezje w tym języku. Odbiór twórczości w języku hebrajskim był mimo prężnego ruchu syjonistycznego w dużej mierze ograniczony gdyż nośnikiem kultury polskich Żydów był jidysz³⁴. Kolejne poematy, opowieści historyczne oraz sztuki dla dzieci Kacnelson tworzył już po przeniesieniu się do Warszawy.

Do rozwoju nowoczesnej literatury hebrajskiej przyczynił się urodzony w Zgierzu, a wychowany w Łodzi Dowid Fryszman. Już jako młody człowiek redagował pisma satyryczne krytykujące ówczesnych literatów, którym jego zdaniem daleko było do poziomu artystycznego Europy Zachodniej. W napisanych w języku hebrajskim *Listach o literaturze* opublikowanych w „Haboker” atakował i krytykował całą literaturę Haskali. Jego satyryczne felietony dotyczyły aktualnych problemów społecznych. Chciał uwrażliwić szerokie masy czytelników na piękno europejskiej estetyki, stąd też podejmował się tłumaczenia klasyki na język hebrajski. Tematem jego tekstów często była tragedia rodziców i dzieci, którzy nie byli w stanie pogodzić tradycji żydowskiej z europejskością. Recenzował także utwory swych kolegów po piórze. Przesycony panującymi po I wojnie światowej nowoczesnymi prądami z zachwytem przyjął tom wierszy Miriam Ulinower osadzony w tradycji sztetla. Miriam Ulinower była jedną z pierwszych kobiet w Polsce i niewielu wówczas na świecie, które

³² K. Radziszewska, *Środowisko literackie łódzkich Żydów 1918–1950* [w:] *Kultura jako czynnik rozwoju miasta na przykładzie Łodzi*, red. V. Krawczyk-Wasilewska, M. Kucner, E. Zimnica-Kuzioła, Łódź 2012, s. 37.

³³ J. J. Trunk, *Pojln...*, s. 103.

³⁴ Por. R. Żebrowski, Z. Borzymińska, *Po-lin...*, s. 143.

wydały swe wiersze w języku jidysz. Tomem, który zachwycił krytyka Dowida Fryszmana był wydany w 1922 r. w Warszawie *Der bobes ojcer* [Skarbczyk babuni]. Krytyk był pod wrażeniem naturalności i prostoty wierszy poetki. Znajdował w nich autentyczność opartą na tradycji. Częstym tematem wierszy Ulinower jest szczęśliwe dzieciństwo w żydowskim sztetlu, ciepła atmosfera rodzinnego domu, w którym mieszka tradycyjna patriarchalna rodzina. Poetki nie interesowało ani wielkie miasto z typowymi dla niego problemami, ani procesy urbanizacji. W swych tekstach nawiązuje do tradycji, do religijności prostego ludu. Jako mieszkanka wielkiego miasta tęskni za utraconym światem. Częstym motywem jej wierszy jest świętowanie szabatu i jego podniosła, magiczna atmosfera. Ulinower wprowadza w nią czytelnika, pokazuje rytuały związane z tym świętem oraz wtajemnicza w przygotowanie do niego. Świat sztetla jest światem idealnym; w domu panuje spokój, dziadkowie udzielają błogosławieństwa jego mieszkańcom, na stole płoną szabasowe świece i czuć zapach przygotowywanych potraw. W twórczości Ulinower jednak na plan pierwszy wysuwają się kobiety. Wnuczka i babcia, która potrafi interpretować symbole i znaki, jest źródłem wszelkiej mądrości, to częste bohaterki wierszy poetki. Biblijne postaci Sary czy Rebeki służą za wzór zachowania dla współczesnych kobiet³⁵. Mimo sukcesu swego pierwszego tomu autorka nie wydała kolejnych. Publikowała pojedyncze wiersze w prasie żydowskiej, głównie w warszawskim dzienniku „Hajnt” oraz w łódzkim czasopiśmie literackim „Inzl”. Były to m.in. wiersze z cyklu *Chełmiade* [Chełmiada] o przygodach mieszkańców z miasteczka Chełm. W swym mieszkaniu przy ul. Narutowicza 11 poetka prowadziła salon literacki, w którym spotykali się główni młodzi łódzcy poeci, jak Jeszaje Szpigiel czy Rachmil Bryks. Grupa ta spotykała się także w bibliotece im. Ajzenszlosa. Ulinower była członkiem zarządu tejże biblioteki. W 1940 r. została wraz z rodziną uwięziona w łódzkim getcie. Po jego likwidacji w 1944 r. zamordowana w Auschwitz.

Innym autorem zakorzenionym w tradycji sztetla był Simcha Bunim Szajewicz. Szajewicz dość wcześnie wyprowadził się z domu, zerwał z rodziną, gdyż nie chciał zostać rabinem. Na życie swojej nowo założonej rodziny zarabiał pracując w fabryce włókienniczej. Jak wspomina Icchok Goldkorn, Szajewicz jako jedyny z młodych łódzkich pisarzy jidyszowych nosił żydowski kaszkiet i kapotę. Czynił tak, aby nie sprawiać przykrości ortodoksyjnym rodzicom. Jego sposób bycia miał w sobie coś z chasydzkiej, religijnej ekstazy. Bywał czasami gościem kawiarni „Pod szklanką” przy ulicy Południowej 8. Spotykali się tu młodzi, jeszcze nieznani lub mało znani twórcy. Uznani autorzy zbierali się we wspomnianej wcześniej „Astorii”. Bywalczy „Pod szklanką” uważali Szajewicza za obiecującego prozaika. Swoje opowiadania drukował w prasie żydowskiej. Ich akcja rozgrywa się w sztetlu, gdzie mieszkają bogobojni, głęboko wierzący Żydzi oczekujący przyjścia Mesjasza

³⁵ Por. K. Radziszewska, *Środowisko literackie...*, s. 43.

jak w opowiadaniu *Kecnik* [Heretyk]. Mieszkańcy małego, biednego miasteczka, które jest tłem opowiadania *A gast fun Amerike* [Gość z Ameryki] z zazdrością i podziwem patrzą na bogatego przybysza z Ameryki, niegdysiejszego ich sąsiada, krewnego czy znajomego. Jest on ucieleśnieniem ich marzeń o dobrym, dostatnim życiu. W opublikowanej w „Wochnszriftn” recenzji powieści *Bałuty* I. Rabona doszły do głosu lewicowe zapatrywania autora, jego bunt przeciwko łódzkiej nędzy. Zarzucał Rabonowi, że w swej powieści wśród bałuckiej biedy umieścił tylko jednego przedstawiciela proletariatu, że nie widzi nędzy i cierpienia, nie widzi Bałut „bezrobotnych i głodujących mas, wśród których rozgrywają się straszliwe tragedie i które buntują się przeciwko władcom miasta i są gotowe poświęcić się w imię walczącego proletariatu?”³⁶ I. Goldkorn twierdzi w swych wspomnieniach, że Szajewicz był już wtedy niewierzący³⁷. W 1939 r. miał zostać wydany nakładem żydowskiej sekcji PEN Clubu przygotowany do druku tom wierszy *Der weg kejn Błękitne* [Droga do Błękitnego]. Wybuch wojny przekreślił te plany. Szajewicz uwięziony w 1940 r. w łódzkim getcie stał się piewą tragedii swoich współbraci.

„Dzieckiem Bałut” był Jeszaje Szpigel, który w okresie międzywojennym pisał głównie wiersze. Jego utwory publikowały czasopisma literackie „S’Feld”, „Szweln”, „Di Fajl”, które ukazywały się w Łodzi i w Warszawie oraz łódzki dziennik „Najer Folksblat” i „Warszawer Szriftn”. Pierwszy tom wierszy Szpigla pt. *Mitn ponim cu der zun* [Twarzą ku słońcu] ukazał się w łódzkim wydawnictwie „Alfa” w 1930 r. W kręgach czytelniczych bardziej znana jest jego twórczość powstała w getcie oraz okresie powojennym.

W ostatnich latach do świadomości polskich czytelników przebiła się twórczość Izraela Rabona, głównie dzięki przetłumaczeniu na język polski dwóch jego powieści: *Ulica* i *Bałuty. Powieść o przedmieściu*. Akcja obu z nich toczy się w Łodzi w drugiej dekadzie XX wieku. W bardzo pochlebnej recenzji *Bałut* Chone Shmeruk podkreśla niezwykłość bałuckiego krajobrazu oraz całą galerię typów naszkicowanych przez Rabona. Wokół Josła, głównego bohatera

krąży barwna galeria niezapomnianych, osobliwych bałuckich typów, jak reb Note ze skrzynką kinematografu, reb Eli właściciel domu, adwokat, Jankl „Rzykant”, Herszl Buczik ze swymi „narzeczonymi” i „bratkami”, bałuckie Żydówki o dobrym sercu oraz wiele innych postaci³⁸.

Autor publikował początkowo wiersze na łamach „Łodzer Folksblat”, „Wegn”, „Ojfgang”, „S’Feld”. W 1928 r. w warszawskiej oficynie L. Goldfarba wyszedł drukiem tomik wierszy *Hintern plojt fun der welt* [Za płotem świata], w 1933 r. kolejny tomik *Groer friling* [Szara wiosna]. Wydanie to uzyskało wsparcie Związku

³⁶ S. Szajewicz, *Bałuty: Notatki czytelnika* [w:] J. Rabon, *Bałuty...*, s. 118.

³⁷ I. Goldkorn, *Łodzer portretn*, Tel Aviv 1963, s. 104.

³⁸ Ch. Shmeruk, *Bałuty Jisroela Rabona* [w:] J. Rabon, *Bałuty...*, s. 112.

Literatów i Dziennikarzy Żydowskich w Warszawie. Dzięki dotacji żydowskiego PEN Clubu ukazał się w 1937 r. ostatni tomik poezji Rabona *Lider* [Wiersze]. Badaczka twórczości Rabona, I. Olejnik podkreśla, że jego poezję charakteryzują groteskowość, liczne metafory, porównania, hiperbole oraz czarny humor. Cytując Chone Shmeruka uzupełnia, że częstymi jej tematami są samotność, smutek i śmierć³⁹. Rabon pisał też sensacyjne, banalne powieści określane mianem „szmiry” lub „szundu”. Powieści *Dos cwajte lebn fun Dovid Werdiger* [Drugie życie Dowida Werdigera], *Hinter a forhang* [Za kurtyną] oraz *Der fal Rizenberg* [Sprawa Rizenberga] drukował dziennik „Hajnt”⁴⁰. Rabon bronił tej literatury, uważając, że lepiej mieć czytelników sięgających po teksty niższego rzędu niż mieć do czynienia z ludźmi, którzy nie czytają w ogóle, lub czytają tylko propagandę⁴¹.

Współpracownikiem łódzkich gazet, m.in. „Łodzer Morgenblat”, „Łodzer Folksblat”, „Łodzer Tageblat”, był Lejb Berman, publikujący pod pseudonimem „Graf Kali” cotygodniowe felietony humorystyczne. Regularnie pisał też do dodatku rozrywkowego „Najer Folksblat”. W rubryce „Woch klangen” ukazywały się rymowanki dla dzieci jego autorstwa. W 1920 r. ukazał się tom jego wierszy pt. *Gelechter fun trenen. A zamlung fun humoristisz-satirisze lider* [Śmiech przez łzy. Zbiór wierszy humorystyczno-satyrycznych]. Jego teksty humorystyczne cieszyły się dużą popularnością i były recytowane często podczas świąt żydowskich.

W okresie międzywojennym pisarze żydowscy mieli znaczny wpływ na zbieranie i opracowywanie materiałów folklorystycznych. Kultura sztetla pozostawała bowiem ciągle skarbnicą i punktem wyjścia do nowych dokonań⁴². Działalność taką prowadził Józef Zelkowicz, autor sztuk teatralnych, opowiadań opartych na motywach chasydzkich, humoresek, felietonów i obrazków, które ukazywały się na łamach łódzkiej i warszawskiej prasy żydowskiej. W 1938 r. w wydany przez Koło Naukowe przy Towarzystwie Przyjaciół Żydowskiego Instytutu Naukowego w Wilnie pierwszym tomie studiów historyczno-etnograficznych zatytułowanym *Łodzer Wisnszafleche Szriftn* (którego był sekretarzem) ukazały się dwie jego prace: *Der tojt un zajne baglajt-motiwn in der jidiszer etnografie un folklor* [Śmierć i motywy jej towarzyszące w żydowskiej etnografii i folklorze] oraz *Bild funem jidysz-gezelszaflechn lebn in a pojlisz sztetl in der 2er helft fun 19tn jorhundert* [Obraz żydowskiego życia społecznego w polskim sztetlu w drugiej połowie XIX wieku]. Jako członek-korespondent wileńskiego Żydowskiego Instytutu Naukowego zgromadził 50 000 haseł, w tym materiały dotyczące specyfiki łódzkiego jidysz, które posłużyły mu też do opracowywania

³⁹ Na temat twórczości J. Rabona por. I. Olejnik, *Jisroel Rabon...*, s. 99–108; teje, *Izrael Rabon. Cudowne dziecko żydowskiej Łodzi*, „Folia Litteraria Polonica” 2013, nr 4 (22), s. 229–245.

⁴⁰ Wspomina o tym Icchok Janasowicz. Por. I. Janasowicz, *Jisroel Rabon: Szkic do portretu* [w:] J. Rabon, *Bałuty...*, s. 138.

⁴¹ I. Olejnik, *Jisroel Rabon: Życie i twórczość...*, s. 102.

⁴² R. Żebrowski, Z. Borzymińska, *Po-lin...*, s. 147.

kilku haseł redagowanej w getcie encyklopedii. Kolekcja ta, jak i monografie dwóch żydowskich gmin w Konstantynowie i Lutomiersku, zaginęły w czasie wojny.

Upadek cenzury i rozwój prasy spowodowały wysyp literatury religijnej. Tworzyli ją łódzcy chasydzi powiązani m.in. z cadykami z Góry Kalwarii oraz z Aleksandrowa. Miała ona uczyć i wychowywać.

Literatura moralizatorska wpisywała się bezpośrednio w nurt literatury musar, usiłując za pomocą prostych historii opartych na przykładach z życia codziennego wpłynąć na postawy moralne czytelnika i wskazać mu właściwą drogę postępowania. Przykładem jest prezentowane w ramach niniejszej antologii opowiadanie *Bardzo piękna i pełna cudów historia o tym jak święty rabin, rebe Henichu, niech pamięć sprawiedliwego będzie błogosławiona, z Aleksandrowa, wypędził z dziewczynki dwa dybuki*.

Literatura religijna skierowana była także do kobiet. Organizacja „Bejs Jakow”⁴³, która prowadziła szkoły dla dziewcząt, wydawała swoją gazetę, w której drukowała wiersze m.in. Miriam Ulinower.

Oprócz wymienionych powyżej autorów w Łodzi tworzyli też inni, których twórczość jest mniej znana lub dopiero czeka na odkrycie. Wymienić należy choćby Rachmila Bryksa, Altera Sznura, Chaima Krula, Chaima Lejba Fuksa, Gustawa Miedzińskiego, Abrahama Joachimowicza, Icchoka Janasowicza, Mojsze Josła Smolarza, Awroma Hersza Flaksera, Chaima Brzustowskiego, Icchoka Radoszyckiego i wielu innych. Teksty niektórych z nich znalazły się w prezentowanej antologii. Zawiera ona przykłady twórczości autorów reprezentujących różne gatunki literackie oraz odzwierciedla odmienne poglądy polityczne i społeczne. Społeczność żydowska w międzywojennej Polsce nie była bowiem grupą homogeniczną. W ponad trzymilionowej populacji ścięrały się różne wizje, poglądy i interesy. Obok Żydów ortodoksyjnych żyli postępowi i zasymilowani, obok bundystów syjoniści. Była to społeczność wielojęzyczna posługująca się trzema językami: jidysz, hebrajskim oraz językiem polskim jako narzędziem niezbędnym do komunikacji z Polakami.

⁴³ Szkoły te były społeczną innowacją. Wiedzę religijną przekazywano w nich korzystając z metod nowoczesnej pedagogiki. Na temat „Bejs Jakow” patrz: K. Kijek, *Dzieci modernizmu...*, s. 74 i n. oraz tekst J. Walickiego w tym tomie.

Międzywojenna Łódź żydowska

Łódź w okresie międzywojennym była drugim, co do wielkości, miastem Rzeczypospolitej. Spis z grudnia 1931 r. wykazał 604,6 tys. mieszkańców, podczas gdy Warszawa liczyła ich wówczas niespełna dwa razy tyle – 1179,5 tys.¹ Łódź różniła się jednak znacząco zarówno od stolicy, jak i pozostałych wielkich miast II RP. Niezwykle dynamiczny rozwój – od małej osady na początku XIX stulecia, przez drugie w Królestwie Polskim miasto w połowie tego wieku, do półmilionowej metropolii przed I wojną światową – odcisnął wyraźne piętno na fabrycznej Łodzi, tym silniejsze, że okres gwałtownej gospodarczej prosperity przeżyła ona w latach wszechwładnych rządów carskiej biurokracji. Ucisk ten zelżał wprawdzie nieco w czasach rosyjskiej „monarchii przedstawicielskiej”, od 1906 r., jednak nadal był niezwykle dokuczliwy.

Żydzi, którzy pojawili się w Łodzi pod koniec XVIII w.², zajęli swoją tradycyjną pozycję pośredników w wymianie. Mimo wielu ograniczeń, zniesionych w większości dopiero przez dekret emancypacyjny z 1862 r.³, rola gospodarcza Żydów w pierwszych latach Łodzi przemysłowej rosła, przede wszystkim na skutek imigracji. Od połowy lat 60. XIX w., po uwłaszczeniu chłopów i zakończeniu „głodu bawełnianego”, spowodowanego amerykańską wojną secesyjną, nastąpił ogromny wzrost przemysłu łódzkiego, jego modernizacja i koncentracja, a także niespotykane tempo wzrostu ludności miasta. Rozwijająca się w „amerykańskim tempie” Łódź z niezwykłą siłą przyciągała ludność żydowską z okolicznych, często stagnujących, miasteczek. Trafiło tu także wielu tzw. litwaków – Żydów z Cesarstwa, zmuszonych do opuszczenia miejsc zamieszkania przez falę pogromów i restrykcji antysemitycznych w latach 80. XIX w. Łącznie spowodowało to, że odsetek ludności żydowskiej wzrósł do ponad 30%⁴.

¹ „Mały Rocznik Statystyczny” 1939, s. 34, tabl. II/31.

² H. Banner, *Gmina żydowska w Łodzi. Krótki zarys dziejów ustrojowo-gospodarczych*, Łódź 1938, s. 7; F. Friedman, *Dzieje Żydów w Łodzi od początków osadnictwa do roku 1863*, Łódź 1935, s. 24–25; W. Puś, *Żydzi w Łodzi w latach zaborów 1793–1914*, Łódź 2000, s. 11.

³ Por. A. Eisenbach, *Emancypacja Żydów*, Warszawa 1980, s. 506–508.

⁴ Por. A. Sitarek, *Zarys stosunków polsko-żydowskich w Łodzi w okresie międzywojennym* [w:] *Rola wspólnot wyznaniowych w historii miasta Łodzi*, red. M. Kulesza, M. Łapa, J. Walicki, Łódź 2010, s. 186–203.

Licznie napływająca ludność żydowska zdominowała przede wszystkim handel, i to zarówno drobny, jak i hurtowy. Wielkoprzemysłowa Łódź stwarzała jednak znacznie więcej możliwości. Burżuazja niemiecka oddawała w ręce żydowskie cały aparat dystrybucyjny wielu swoich łódzkich i podłódzkich fabryk; wyrastały na tym wielkie fortuny, np. Hermana Konstadta, największego żydowskiego filantropa XIX-wiecznej Łodzi. Po zniesieniu ograniczeń prawnych Żydzi stali się drugimi, obok Niemców, organizatorami tutejszego przemysłu, przy czym ich domeną były głównie mniejsze zakłady przemysłowe, rozwijające się na przełomie XIX i XX w.⁵ Jednocześnie wyrosło też wiele fortun wielkiej żydowskiej burżuazji, należących do rodów Poznańskich-Hertzów (mogącego niemal porównywać swą fortunę z Scheiblerami), Silbersteinów, Jarocińskich, Barcińskich, Prussaków czy Ossewów. Żydzi dominowali poza tym wśród właścicieli budowanych wówczas masowo czynszowych kamienic.

Okresem niezwykle głębokich przemian była okupacja niemiecka, pod którą Łódź znalazła się w listopadzie 1914 r. Nagłe zahamowanie rozwoju miasta, unieruchomienie, a potem celowe niszczenie przemysłu szło w parze ze zwiększeniem możliwości działalności społecznej i politycznej. W sytuacji gospodarczego niedostatku w miarę swobodnie mogły działać żydowskie partie polityczne, dotychczas nielegalne, i rozwijać się żydowskie życie organizacyjne – dotyczyło to zresztą także innych łódzkich narodowości. Nowe, okupacyjne przepisy pozwoliły na rozwój samorządu miejskiego i wyznaniowego w dotychczas niespotykanym zakresie. Koncesje te jednak nie wyrównywały strat, jakie społeczność Łodzi poniosła wskutek gospodarczej polityki okupanta⁶. Miasto wyludniło się, wielu polskich robotników zostało zmobilizowanych do wojska rosyjskiego latem 1914 r., czy też później zwerbowanych lub wywiezionych przymusowo do pracy w Niemczech. Z powodu braku pracy wiele osób wróciło na wieś. Wśród Żydów opisane zjawiska były słabsze, np. o wiele mniejszy był tu odsetek zmobilizowanych, większość z nich pozostawała też w mieście, nie mogąc liczyć na pomoc rodzin zamieszkujących cierpiące niedostatek miasteczka. W rezultacie odsetek ludności żydowskiej w 1918 r. wzrósł do ponad 40%, przy jednoczesnym spadku liczebności do 137 tys.⁷

Z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości łódzcy Żydzi znaleźli się w nowej sytuacji. Miasto, które przed I wojną światową żyło z rynków rosyjskich, musiało przestawić się na zaopatrywanie polskich odbiorców. Dotychczasowe miasto powiatowe stało się siedzibą władz wojewódzkich, zarządzających obszarem równym prawie dwu guberniom z czasów przed wojną. Nadal jednak

⁵ S. Pytlas, *Łódzka burżuazja przemysłowa w latach 1864–1914*, Łódź 1994, s. 48–49.

⁶ M. Hertz, *Łódź w czasie wielkiej wojny*, Łódź 1930, s. 187–192.

⁷ A. Goerne, *Z zakresu statystyki ludności m. Łodzi*, „Informator m. Łodzi” 1919, s. 25.

nie było w pełni doceniane zgodnie ze swym drugim po Warszawie potencjałem demograficznym i gospodarczym⁸.

W niepodległym państwie polskim poszerzyły się znacznie swobody polityczne, jednak sytuacja ekonomiczna łódzkich Żydów nie była już tak dobra jak przed I wojną światową. Liczba ludności żydowskiej nie wzrastała tak szybko, jak w czasach *boomu* na początku wieku. Straty wojenne odrobione zostały dopiero w 1924 r., gdy liczba łódzkich Żydów osiągnęła 169 tys. W 1939 r., dzięki powolnemu, ale systematycznemu przyrostowi, zamieszkiwało ich tu 227 tys. Mniejszy niż w populacji Polaków przyrost naturalny powodował jednak, że – mimo stałej imigracji z miast województwa – odsetek Żydów wśród łódzian stale spadał⁹.

W międzywojniu upadło wiele starych fortun – najbardziej spektakularnym przykładem była rodzina Poznańskich, która powoli traciła kontrolę nad dawnym rodzinnym przedsiębiorstwem. Powstała tylko jedna nowa firma – koncern braci Eitingonów, działający w dużym stopniu w nowej branży – wytwarzaniu dzianin.

W stosunku do pozostałej ludności zamieszkującej Łódź, polskiej i niemieckiej, Żydów łódzkich cechowała odrębna struktura społeczna i zawodowa, najlepiej znana z początku lat 30. (co wiąże się z przeprowadzonym w grudniu 1931 r. spisem powszechnym). Było wśród nich dużo więcej osób pracujących na własny rachunek – i to raczej rzemieślników i drobnych handlarzy, a nie przedstawicieli burżuazji. Występowała też specyfika zatrudnienia w pewnych zawodach, np. w jubilerstwie Żydzi dominowali bezapelacyjnie, w innych – np. kowalstwie – było ich bardzo niewielu. Niebezpiecznym objawem był niewielki udział tej grupy w zawodach „nowoczesnych”, zastępujących zawody „zacfane”. Przykładowo, w Łodzi było 58% Żydów wśród dorożkarzy, a tylko 2% wśród taksówkarzy¹⁰. Z drugiej strony, porównując Żydów łódzkich z wyznającymi judaizm mieszkańcami drugiej wielkiej metropolii międzywojennej – Warszawy, widzimy różnice podobne do tych dotyczących ludności polskiej: większy – mimo wszystko – odsetek robotników, większy odsetek pracowników umysłowych i właścicieli zakładów przemysłowych, mniejszy – handlowych.

Michał Trębacz, autor szczegółowej analizy statystyki łódzkich Żydów, dokonanej na podstawie spisu powszechnego, pisze:

Należy również pamiętać o pomijaniu żydowskich pracowników w administracji samorządowej i państwowej, gdzie stanowili oni jedynie 3,7% i byli to niemal wyłącznie pracownicy umysłowi. Jeszcze drastyczniej przedstawiała

⁸ M. Hertz, *Znaczenie łódzkiego okręgu przemysłowego i jego upośledzenie*, Łódź 1933, *passim*.

⁹ J. Walicki, *Żydzi łódzcy przed wrześniem 1939 r.* [w:] *Łódź w 1939 roku. Studia i szkice*, red. T. Toborek, P. Waingertner, Łódź 2011, s. 65.

¹⁰ K. Badziak, *Włókienniczy koncern Eitingonów w II Rzeczypospolitej*, „Rocznik Łódzki” 1986, t. 35, s. 107–137.

się sytuacja w więziennictwie i policji – pracowało tam jedynie trzech Żydów, co stanowiło 0,2% wszystkich pracowników tego działu¹¹.

Rozmieszczenie ludności żydowskiej związane było z utworzeniem na początku lat 20. XIX w. na terenie Starego Miasta „rewiru żydowskiego”, czyli obszaru, na którym dozwolone było zamieszkiwanie niezasymilowanej ludności wyznania mojżeszowego. Obejmował on południową pierzeję rynku Starego Miasta oraz południowe strony ulic Podrzecznej i Wolborskiej¹². Ograniczenia dotyczące osiedlania się zniesiono w 1862 r., ale już na stałe zaowocowały one skupieniem ludności żydowskiej Łodzi w północnej części miasta, choć w drugiej połowie XIX w., w rezultacie dążenia bogatszej i często asymilującej się ludności żydowskiej do centrum miasta, doszło do pewnego przesunięcia się dzielnicy żydowskiej na południe. W latach 30. XX w. jądro obszaru zamieszkanego przez ludność wyznania mojżeszowego stanowił plac Wolności i okalające go kwartały, sięgające od ul. Lipowej na zachodzie, przez ul. Zieloną i Narutowicza na południu, do ul. Wierzbowej na wschodzie. Linia ul. Północnej – począwszy od ul. Zachodniej – oddzialała bogatszą, bardziej zasymilowaną, ale i bardziej syjonistyczną południową część dzielnicy żydowskiej od jej części północnej, biedniejszej i bardziej ortodoksyjnej, obejmującej Stare Miasto i część Bałut.

Ciekawym i mało znanym zjawiskiem było istnienie tzw. dzielnicy Górnego Rynku, małego terytorium na wschód od tego właśnie rynku (obecnie pl. Reymonta), będącego centrum handlu w południowej dzielnicy miasta, w rejonie początków ulic Zarzewskiej i Napiórkowskiego (obecnie Przybyszewskiego). Zamieszkiwali ją kupcy i handlarze, którzy dysponowali własnymi domami modlitwy i chederami, a teren ten przypominał bardziej małomiasteczkowy sztetl niż dzielnicę wielkiego miasta¹³.

Granice obszarów zamieszkanych przez poszczególne narodowości nie były ostre, wynikały przeciwieństwo z tendencji do zamieszkania „wśród swoich”, a nie przepisów administracyjnych. Toteż przekraczane były przez Żydów i nie-Żydów stosunkowo często, przy czym interesująca wydaje się konstatacja, iż tendencje do opuszczania obszarów „dzielnicy żydowskiej” przejawiali o wiele częściej ci, którzy znajdowali się już na drodze do asymilacji. Świadczy o tym odsetek osób wyznania mojżeszowego deklarujących polski język ojczysty – wielokrotnie wyższy w dzielnicach „nieżydowskich”¹⁴.

¹¹ M. Trębacz, *Żydzi łódzcy w świetle liczb – spis powszechny 1931 r.* [w:] *Rola wspólnot...*, s. 216–218.

¹² S. Liszewski, *Rola społeczności żydowskiej w organizacji przestrzeni miejskiej Łodzi* [w:] *Dzieje Żydów w Łodzi 1820–1944*, red. W. Puś, S. Liszewski, Łódź 1991, s. 33.

¹³ M. Trębacz, *Żydzi łódzcy w świetle liczb...*, s. 208.

¹⁴ Tamże, s. 219.

Życie polityczne

Żydowską scenę polityczną cechowała głębokość podziałów i brak zgody w zagadnieniach tak podstawowych jak język codziennego porozumiewania się czy geograficzne położenie kraju ojczystego. W rezultacie na typowy schemat lewica–prawica nakładał się drugi: syjonizm–antysyjonizm.

Łódzka organizacja konserwatywnej partii Aguda powstała już w okresie I wojny światowej. Brała ona udział w walce wewnątrz gminy, często występując również przeciwko religijnym syjonistom i chasydom aleksandrowskim¹⁵, a także angażując się w kampanie wyborcze między 1919 a 1938 r. Siedziba łódzkiej organizacji (Komitetu Lokalnego) Agudy mieściła się przy ul. Dzielnej (później Narutowicza) 11¹⁶. Jej długoletnim przewodniczącym był chasyd, zwolennik cadyka z Góry Kalwarii¹⁷, Jakub Lejb Minberg. Jako wieloletni poseł był szczególnie popularny dzięki swojej postawie w Sejmie, gdzie zwalczał antysemitkę pomysły rządzącego Obozu Zjednoczenia Narodowego¹⁸. Od 1928 r. partia ta sprawowała niepodzielną władzę w łódzkiej gminie, zaś Minberg był jej prezesem. Doświadczony przemysłowiec – właściciel średniej wielkości fabryki przy ul. Głównej – wprowadził w gminie nowoczesne metody zarządzania, zwalczając nieproduktywność i zbędne wydatki¹⁹.

Program partii miał charakter konserwatywno-religijny. Obejmował obronę praw religijnych Żydów, popieranie i rozwijanie szkolnictwa religijnego, w tym świętości soboty i uboju rytualnego, walkę o utrzymanie tradycyjnego religijnego stylu życia, ale także obronę interesów ekonomicznych ludności żydowskiej²⁰. Dużą wagę przykładano do szkolnictwa, propagując tzw. chedery reformowane (szkoły religijne z minimalnym wykładem przedmiotów świeckich, uczęszczanie do nich władze państwowe traktowały jako spełnianie obowiązku szkolnego).

Formę partii politycznej przyjęli też zwolennicy cadyka z Aleksandrowa Łódzkiego, występujący pod nazwą Bezpartyjnych Religijnych Żydów, kierowani przez Beniamina Russa i Icchoka Majera Wojdysławskiego.

Radykalnie nacjonalistycznym, ale antysyjonistycznym ugrupowaniem byli fołkiści (Żydowskie Stronnictwo Ludowe), aktywni w Łodzi szczególnie w latach 20., kierowani przez miejscowego przywódcę, dr. Józefa Wajcmana. Innym

¹⁵ Archiwum Państwowe w Łodzi (dalej: APŁ), Łódzka Gmina Wyznaniowa Żydowska (dalej: ŁGWŻ) 104, s. 65–68.

¹⁶ APŁ, Urząd Wojewódzki Łódzki (dalej: UWŁ) 2507a, s. 186.

¹⁷ Cadykiem tym (Gerer rebe) był od 1905 r. Abraham Mordechaj Alter (1866–1948). Była to jedna z najważniejszych dynastii chasydzkich w Polsce lat międzywojennych, istniejąca do dzisiaj w Izraelu.

¹⁸ Por. S. Rudnicki, *Żydzi w parlamencie II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2004, s. 384–388.

¹⁹ J. L. Minberg, *Lata pracy i rozwoju łódzkiej Gminy Żydowskiej*, „Kronika Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Łodzi” 1929, nr 2/3, s. 12–15.

²⁰ *Żydowskie ugrupowania i stronnictwa polityczne w Polsce (I półrocze 1925)*, wyd. A. Penkalla, „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego” 1993, nr 1/2, s. 122.

znanym działaczem tej organizacji był Zurech Sztrauch. Partia opowiadała się za wolnym i demokratycznym państwem, równością wszystkich wobec prawa, powszechną, bezpłatną i obowiązkową szkołą w języku ojczystym dziecka. Fółkiści, wychodząc z założenia, że Żydzi są w Polsce samodzielnym narodem, dążyli do zagwarantowania im zarówno równouprawnienia, jak i specjalnych praw należnych, ich zdaniem, mniejszościom narodowym na zasadach autonomii kulturalno-narodowościowej. Mieli oni, będąc równouprawnionymi obywatelami Polski, tworzyć prawnie wyodrębnioną wspólnotę narodową, na czele której stać winna Rada Ludowa, wyłaniana na zasadzie wyborów powszechnych, równych, tajnych, bezpośrednich i proporcjonalnych. Za język ojczysty Żydów polskich partia uważała jidysz i domagała się uznania go za język urzędowy samorządu i szkolnictwa. W latach 30. aktywność i popularność partii, poprzednio cieszącej się pewnym poparciem wśród rzemieślników, wyraźnie zmalała.

Konserwatywną partią syjonistyczną była Mizrachi. Jej program przewidywał budowę opartego na zasadach religijnych państwa żydowskiego w Palestynie, w kraju zaś: uznanie „praw narodowożydowskich”; przestrzeganie przez Żydów „zasad najszerzej lojalności i wierności wobec państwa i narodu polskiego, z czego wypływa obowiązek do ponoszenia ofiar podatku i krwi”; „zorganizowanie gminy żydowskiej na zasadach religijno-narodowych, stworzenie państwowego związku gmin żydowskich i zapewnienie tak gminie żydowskiej, jak i związkowi gmin autonomii w zakresie religijnym i kulturalno-narodowym”²¹. Łódzką organizacją kierowali Abraham Langleben i Mojżesz Helman. Mizrachi opowiadała się za uznaniem hebrajskiego za jedyny język Żydów. Jednym z podstawowych kierunków działalności partii było szkolnictwo, m.in. wspierała organizację szkolną „Jabne”, prowadzącą już przed 1926 r. własne gimnazjum²². Poglądy na cele szkolnictwa żydowskiego reprezentowała dość konserwatywne – przyznając, że bez gruntownego wychowania świeckiego odrodzenie narodowe żydowskie nie jest możliwe i jednocześnie widząc w religii „główne źródło wychowania moralnego”, opowiadała się za „szkołą żydowską na wskroś religijną, a zarazem dającą pełne wykształcenie świeckie” oraz za zakładaniem seminariów rabinistycznych, dających „gruntowne wykształcenie świeckie, co najmniej w zakresie szkoły średniej”²³.

Partię radykalno-prawicową tworzyli rewizjoniści, od 1935 r. pozostający zresztą poza oficjalnymi strukturami ruchu syjonistycznego. Podstawowymi elementami programu rewizjonistów było: oskarżanie Anglii, a szczególnie jej władz mandatowych w Palestynie, o niewywiązywanie się z Deklaracji Balfoura i mandatu udzielonego jej przez Ligę Narodów; uznanie, że władze Organizacji Syjonistycznej, z Chaimem Weizmannem na czele, prowadzą niewłaściwą,

²¹ *Program syjonistycznej partii ortodoksów „Mizrachi”* [w:] A. Bełcikowska, *Stronnictwa i związki polityczne w Polsce*, Warszawa 1925, s. 492–494.

²² „Nasz Przegląd”, 25 VIII 1926, nr 235, s. 3; 21 V 1926, nr 139, s. 7.

²³ *Program syjonistycznej...*, s. 494.

zbyt ostrożną i uległą politykę wobec Wielkiej Brytanii; żądanie zezwolenia na nieograniczoną imigrację Żydów do Palestyny i Transjordanii; żądanie zgody na utworzenie tamże żydowskich sił zbrojnych. Celem ostatecznym miało być utworzenie państwa narodu żydowskiego po obu stronach Jordanu, w którym Żydzi stanowiliby większość, panowałby solidaryzm klasowy, a spory wewnętrzne rozstrzygane byłyby na zasadzie arbitrażu. Wpływy rewizjonizmu – pod wpływem rosnącego antysemityzmu – rozszerzały się w Łodzi w latach 30., wolniej jednak niż partii robotniczych. Wtedy też rewizjoniści wprowadzili do Rady Miejskiej swego reprezentanta – Majera Zajde.

Dominującą grupą wśród łódzkich syjonistów byli centrowi „syjoniści ogólni”. Charakter ich ideologii określano w latach międzywojennych jako liberalno-demokratyczny, „z pewnym odchyleniem radykalnym w dziedzinie stosunków socjalno-religijnych przez postulat oddzielenia spraw wyznaniowych od całego kompleksu zagadnień społeczno-kulturalnych”²⁴. W zakresie bytu Żydów w diasporze podstawowym elementem programu, szczególnie w pierwszych latach niepodległości, było żądanie autonomii kulturalno-narodowej. Wynikało to m.in. z przekonania, że Palestyna nie wchłonie wszystkich Żydów i znaczna ich część będzie musiała pozostać w dotychczasowych krajach osiedlenia lub też z nich emigrować na inne obszary kolonizacyjne niż do Ziemi Izraela. Przez cały okres międzywojenny, choć z coraz mniejszą nadzieją na realizację swojego postulatu, syjoniści dążyli do oparcia postulowanej przez nich autonomii na żydowskich gminach wyznaniowych. Doskonale zdawali sobie sprawę z roli, jaką dla odrodzenia narodowego odgrywa własny język. Jednak ze względu na program powrotu narodu do Palestyny musieli odrzucać żydowski jako język diaspory, usilnie propagując język hebrajski. Choć pojawiały się wyjątki, jak Rikuda Potasz, której wiersze zamieszczone są w antologii. Poetka wyjechała do Izraela, ale do końca życia pisała w jidysz i propagowała ten język.

Przywódcą „syjonistów ogólnych” w Łodzi był Jerzy Rosenblat²⁵. Jako praktykujący laryngolog osiadł w Łodzi w 1899 r., angażując się w działalność syjonistyczną. Brał udział w organizacji żydowskiego skautingu i należał do współzałożycieli Żydowskiego Towarzystwa Muzycznego „Hazomir”, ówczesnego głównego ośrodka syjonizmu w Łodzi. Po wyborach do Rady Miejskiej w roku 1917 zorganizował w niej frakcję żydowską – został jej przewodniczącym, a także wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej. Wówczas też został wiceprezesem Organizacji Syjonistycznej w Polsce. W latach 1919–1935 był posłem. W Sejmie należał do Koła Żydowskiego²⁶. W 1926 r. wybrany został do prezydium Rady Naczelnej

²⁴ L. Halpern, *Polityka żydowska w Sejmie i Senacie Rzeczypospolitej Polskiej 1919–1933*, „Sprawy Narodowościowe” 1933, r. 7, nr 1, s. 350–351.

²⁵ J. Walicki, *Ruch syjonistyczny w Polsce w latach 1926–1930*, Łódź 2005, s. 76–78.

²⁶ S. Rudnicki, *Żydzi...*, s. 412.

Organizacji Syjonistycznej w Polsce²⁷. Pełnił ponadto ważne funkcje poza Polską – w drugiej połowie lat 20. był m.in. członkiem londyńskiego Komitetu Akcyjnego²⁸. Na początku lat 30. zaangażował się mocno w walkę z Icchokiem Grünbaumem²⁹. Od lat 20. pełnił funkcje dyrektora Łódzkiego Banku Dyskontowego, instytucji finansowej ściśle związanej z ruchem syjonistycznym³⁰. Aktywnie działał też w Związku Kupców i Przemysłowców Województwa Łódzkiego. Jako przywódca łódzkich syjonistów zajmował się również publicystyką polityczną i ekonomiczną w „Łodzer Tageblatt” oraz w innych dziennikach i czasopismach żydowskich. Na początku okupacji niemieckiej wyjechał do Palestyny, gdzie zmarł w 1945 r.³¹ Wśród innych działaczy wymienić należy tu rabina dr. Markusa Braude, Michała Jarbluma, Eliasza Joela, dr. Juliusza (Gyulę) Krausza, Gerszona Praszkiara i dr. Józefa Schweiga. W latach 30. organizacja, m.in. w wyniku trudności, jakie napotykała budowa Żydowskiej Siedziby Narodowej w Palestynie, powoli traciła wpływy na rzecz radykałów – prawicowych i lewicowych syjonistów oraz Bundu.

Zwolennicy Syjonistycznej Partii Pracy Hitachdut rekrutowali się spośród inteligencji, pracowników umysłowych i pracującej młodzieży. Tę ostatnią pociągał szczególnie nacisk, jaki partia kładła na przygotowanie zawodowe emigrantów do Palestyny i w ogóle na sprawy związane z budową Żydowskiej Siedziby Narodowej, która miała zostać zbudowana na zasadach socjalistycznych, jednak bez rewolucji, według reguł „czystego, narodowego, ludzkiego braterstwa, braterstwa między wszystkimi ludźmi”³². W Polsce partia rozpoczęła działalność w 1920 r., ale jej wpływy nie były zbyt szerokie – koncentrowały się głównie na Kresach Wschodnich, w Galicji Wschodniej i Łodzi. Jej program, ustalony na III konferencji światowej partii w Berlinie (10–17 sierpnia 1922 r.)³³, trudno uważać za w pełni socjalistyczny, gdyż przeważały tu elementy solidaryzmu narodowego³⁴. Wybitnym łódzkim działaczem tej partii był socjolog żydostwa i nauczyciel gimnazjalny dr Arie Tartakower.

Poalej-Syjon Lewica była partią bardziej robotniczą niż syjonistyczną. Jej program przewidywał przebudowę ustroju społecznego na zasadach socjalistycznych. W zakresie spraw żydowskich żądała autonomii kulturalno-narodowościowej, opartej na dotychczasowych gminach, które miały ulec przekształceniu na instytucje świeckie, oraz uznania języka żydowskiego za

²⁷ „Nasz Przegląd”, 9 VI 1926, nr 158, s. 2.

²⁸ APŁ, UWŁ 2507/b, s. 290.

²⁹ W. Jaworski, *Struktura i wpływy syjonistycznych organizacji politycznych w Polsce w latach 1918–1939*, Warszawa 1996, s. 53.

³⁰ J. Walicki, *Ruch...*, s. 464–465.

³¹ Por. *Kto był kim w Drugiej Rzeczypospolitej*, red. nauk. J. M. Majchrowski, Warszawa 1994, s. 130.

³² G. Shimoni, *The Zionist Ideology*, Hanover 1997, s. 212.

³³ R. Korsch, *Żydowskie ugrupowania wywrotowe w Polsce*, Warszawa 1925, s. 142–143.

³⁴ J. Holzer, *Mozaika polityczna Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1974, s. 270.

język narodowy Żydów w Polsce. Partia przywiązywała mało uwagi do spraw palestyńskich, choć popierała, szczególnie pod koniec lat 30., emigrację do tego kraju. W latach 20. pod względem ideologicznym była bliska komunistom, jednak jej propozycja wstąpienia do III Międzynarodówki została odrzucona. Później, po rozłamie – w Łodzi, będącej jednym z głównych centrów działalności partii, zresztą stosunkowo nieznacznym – dokonany przez jej radykalne skrzydło, które wstąpiło do KPP, poglądy członków partii uległy ewolucji w duchu reformistycznym. Potępiono wzorce komunistyczne oraz III Międzynarodówkę, określaną mianem „absolutystycznej” i „dyktatorskiej”. Łódzkim przywódcą był długoletni radny Lew Holenderski³⁵.

W pełni socjalistyczną partią żydowską był Bund. W deklaracji programowej powstałej w początkach II RP partia podkreślała, że

broni interesów codziennych robotników żydowskich i dąży do zupełnego zniesienia podziału społeczeństwa na klasy [...], uznaje, że zwycięstwo socjalizmu może być osiągnięte li tylko drogą walki zjednoczonego proletariatu całego świata³⁶,

czyli drogą rewolucji socjalistycznej, która miała przynieść także ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej. Z czasem, również po oddzieleniu się najbardziej lewicowych działaczy, którzy ostatecznie znaleźli się w KPP, ten radykalizm uległ pewnemu stępieniu, choć partia uważana była za stojącą bardziej „na lewo” od polskich socjalistów z PPS. Ważnym punktem programu było żądanie autonomii kulturalno-narodowej. Za język narodowy Żydów uznawano jidysz, występując przeciwko hebrajskiemu w jakiegokolwiek postaci, co było tym łatwiejsze, że partia była antyreligijna. Wspierano kulturę w języku żydowskim, kładziono silny nacisk na zagadnienia oświaty, żądając „bezpłatnej, świeckiej i obowiązkowej szkoły podstawowej z wykładowym językiem jidysz”. Postulaty te realizowała organizacja szkolna CISZO³⁷.

Choć w II RP partia nie zdołała wprowadzić do Sejmu swojego posła, to w Łodzi odgrywała znaczącą rolę, posiadając licznych przedstawicieli w samorządzie, a wśród nich takich działaczy, jak Izrael Lichtenstein³⁸, Szmul Milman, Szlama Nutkiewicz, Chaim Lejb Poznański, Beniamin Wirowski, Szmul Mordka Zygielbojm.

W okresie międzywojennym nie było już w Łodzi żadnej organizacji asymilatorskiej. Przedstawiciele zasymilowanej burżuazji i inteligencji należeli do polskich partii, czasami odgrywając w nich znaczną rolę (rodzina Poznańskich-Hertzów w Stronnictwie Prawicy Narodowej). Osoby pochodzenia żydowskiego, jednoznacznie podkreślające swój związek z polskością, należały też do Oddziału Łódzkiego Związku Żydów Uczestników Walk o Niepodległość

³⁵ APŁ UWŁ 2507/a, s. 187.

³⁶ A. Belcikowska, *Stronnictwa...*, s. 888.

³⁷ E. Nowogródzki, *Żydowska Partia Robotnicza Bund w Polsce*, Warszawa 2005, s. 342–344.

³⁸ Por. M. Trębacz, *Izrael Lichtenstein. Biografia żydowskiego socjalisty*, Łódź 2016, s. 96–193.

Polski. Związek jednoznacznie określił swoje miejsce na mapie politycznej miasta. Wszyscy „podkreślali, że zasadniczym celem Związku jest krzewienie idei państwowej i obywatelskiej w myśl zasad ideologii Marszałka Piłsudskiego”, wysłano „depesze hołdownicze” do Prezydenta Ignacego Mościckiego, Marszałka Józefa Piłsudskiego oraz przewodniczącego Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, gen. bryg. Romana Góreckiego³⁹. Związek wydał m.in. książkę *Udział Żydów w walkach o niepodległość Polski* pióra Jana Karola Urbacha.

Organizacje społeczne i stowarzyszenia

Przynależność Żydów do mniejszości narodowościowej i religijnej powodowała, że wiele ich potrzeb – od konieczności utrzymania zwartości społeczeństwa żydowskiego po szkolnictwo czy opiekę społeczną – musiały spełniać, lepiej czy gorzej, organizacje społeczne bądź prywatni przedsiębiorcy.

W dawnym kahalie zadania te wykonywane były przez różne organa gminne. Nacisk władz administracyjnych w XIX w. i ściśle podporządkowanie im religijnej organizacji Żydów po oficjalnej likwidacji kahałów spowodowały, że większość organizacji społecznych mogła działać tylko w ukryciu, w najlepszym wypadku na granicy legalności, gdyż powołanie stowarzyszenia stanowiło niezwykle skomplikowane zadanie. W Łodzi, podobnie jak w innych miastach zaboru rosyjskiego, pełna struktura organizacyjna żydowskiego życia społecznego zaczęła tak naprawdę powstawać dopiero po rewolucji 1905 r., w okresie tzw. monarchii przedstawicielskiej.

Cały system organizacji społecznej łódzkiej ludności żydowskiej najbardziej rozwinął się w okresie międzywojennym. Obejmował kilkaset organizacji i instytucji, działających w kilku wyraźnie wyodrębnionych dziedzinach: religijnej, opieki społecznej – filantropijnej, leczniczej, oświatowej, kulturalnej, sportowej oraz gospodarczej.

Organizacje o charakterze *stricte* religijnym powiązane były zazwyczaj z synagogami lub domami modlitwy, często też prowadziły cheder. Największą tego typu prywatną strukturą religijną był Komitet Synagogi przy al. Kościuszki⁴⁰. Dominowały jednak małe organizacje, wiele z nich związanych było ze zwolennikami różnych cadyków – z Góry Kalwarii, Aleksandrowa Łódzkiego itd. Organizacje te nierzadko prowadziły działalność nie biorąc pod uwagę wymogów świeckiego prawa stowarzyszeń, po wielu z nich pozostały więc jedynie pojedyncze ślady w źródłach. Od działalności religijnej trudno było często odróżnić działalność prowadzoną w zakresie opieki społecznej lub szkolnictwa w dawnym, „filantropijnym” stylu. Przykładem takiej organizacji było Stowarzyszenie Krzewienia Nauk Judaistycznych „Jeszubat Bajs Israel”, wpisane do rejestru

³⁹ APŁ, UWŁ. 2507/k, s. 119.

⁴⁰ Por. J. Walicki, *Synagogi i domy modlitwy w Łodzi (do 1939 r.)*, Łódź 2000, s. 36–60.

24 marca 1930 r.⁴¹ Siedziba stowarzyszenia znajdowała się przy ul. Jakuba 12, gdzie też mieścił się należący do niego dom modlitwy. Można przypuszczać, że w rzeczywistości organizacja ta istniała już o wiele wcześniej.

Według statutu stowarzyszenie miało na celu „krzewienie nauk judaistycznych wśród szerszych sfer ludności żydowskiej”. W tym celu miało otwierać domy modlitwy, „utrzymywać zbiornice ksiąg religijnych” oraz „urządzać według ustalonych planów systematyczne wykłady, ćwiczenia, odczyty i wycieczki naukowe, dotyczące wszystkich dziedzin nauk judaistycznych”. Przewidywano także zakładanie szkół, „w których obok przedmiotów judaistycznych winny być udzielane ogólne przedmioty wiedzy, odpowiadające odnośnemu typowi szkolnemu”. Członkami stowarzyszenia mogły być osoby obydwu płci⁴². We władzach organizacji byli przeważnie kupcy, mieszkający nieopodal siedziby swojego domu modlitwy, lecz na „lepszyc” ulicach niż położona w centrum dawnego „rewiru żydowskiego” ul. św. Jakuba. Czy identycznie wyglądało rozmieszczenie terytorialne członków stowarzyszenia, a więc osób korzystających z domu modlitwy, nie da się ustalić. Można jednak przypuszczać, że było wśród nich wielu mieszkańców najbliższych ulic: Jakuba, Wolborskiej czy Jerozolimskiej. Działalność organizacji polegała na prowadzeniu domu modlitwy oraz prywatnej szkoły powszechnej, czyli tzw. chederu reformowanego, mieszczącej się również przy ul. św. Jakuba 12.

Podobnych stowarzyszeń było wiele, niektóre z nich dysponowały środkami pozwalającymi na podjęcie inicjatywy budowy małych synagog, jak np. Stowarzyszenie „Bejs Izrael” (Dom Izraela) w Łodzi⁴³.

W zakresie tradycyjnej filantropii liczba różnego rodzaju, mniej lub bardziej wyspecjalizowanych, towarzystw była znaczna i stanowiły one ważny element struktury ortodoksyjnego środowiska żydowskiego. Przykładem może tu być Towarzystwo Przyodziewiania Ubogich Dzieci „Małkisiz Arumim”, istniejące co najmniej od okresu I wojny światowej. Jego siedziba na początku lat 20. mieściła się przy ul. Średniej 17 – na posesji Markusa Karpfa, gdzie znajdował się również prywatny dom modlitwy⁴⁴. Prezesem był wówczas Michał Flatto⁴⁵. „Małbisiz Arumim” nie figurowało nawet w rejestrze stowarzyszeń. Stowarzyszenie zajmowało się dostarczaniem odzieży i obuwia biednym dzieciom żydowskim. Odbywało się to nie przez przekazywanie w miarę potrzeb odpowiednich części garderoby, lecz w formie uroczystego obdarowania jednorazowo znacznej liczby dzieci. Owe „uroczyste przyodziewianie dzieci” odbywały się w siedzibach różnych organizacji żydowskich, np. w 1916 r. w lokalu „Hazomiru” (ówczesna Spacerowa

⁴¹ APŁ, UWŁ 1142, s. 62.

⁴² APŁ, UWŁ 1238, s. 2–3.

⁴³ APŁ, UWŁ 1446, nlb.

⁴⁴ J. Walicki, *Synagogi...*, s. IV.

⁴⁵ *Informator m. Łodzi z kalendarzem na rok 1920*, s. 428.

21)⁴⁶, a w 1929 r. w lokalu żydowskiego cechu piekarzy przy ul. Wschodniej 57 – ubrania otrzymało wówczas 200 dzieci⁴⁷. Taka forma pomocy charytatywnej w pewnym sensie miała poniżający dla otrzymujących ją charakter – podejrzewać nawet należy, że dzieci odczuwały to bardziej boleśniej niż dorośli. Była jednak zgodna z tradycyjnymi formami pomocy społecznej wśród Żydów.

Istniały też inne wyspecjalizowane stowarzyszenia rozdające żywność (Stowarzyszenie Przeciwko Nędzy Wyjątkowej „Bajs Lechem”, czyli Dom Chleba), udzielające pomocy finansowej młodym kobietom, aby mogły wyjść za mąż czy też bezprocentowe kasy pożyczkowe. Formy zbliżone do organizacji religijnych i filantropijnych przybierały też stowarzyszenia powiązane z syjonizmem, jak Łódzkie Żydowskie Towarzystwo Dobroczynności „Chesed-Szel-Emes” (Ostatnia Posługa)⁴⁸.

W zakresie lecznictwa najważniejszą instytucją żydowską w Łodzi był niewątpliwie Szpital Żydowski im. Małżonków Poznańskich, mieszczący się przy ul. Sterlinga 1/3. Działało również powstałe jeszcze w XIX w. stowarzyszenie „Bykur Cholim”, które w latach 30. XX w. zajmowało się opieką lekarską nad ubogimi obłożnie chorymi w domu, „w północnej dzielnicy miasta, częściowo odciażając działalność I Miejskiej Przychodni dla ubogich chorych”⁴⁹. Chorzy za wizytę lekarską i leki (łącznie) płacili po 4 zł, za analizy 1 zł. Jednak około 40–50% pacjentów, z racji ubóstwa, płaciło stawki obniżone, około 20% zaś uzyskiwało poradę i leki bezpłatnie. Osobom znajdującym się w najtrudniejszej sytuacji materialnej w ciągu maksymalnie czterech tygodni dostarczano bezpłatnie żywność⁵⁰. „Bykur Cholim” było jednocześnie organizacją religijną, a jego obszerny dom modlitwy przy Placu Wolności 10 przyciągał wiernych, stanowił bowiem miejsce systematycznych spotkań członków towarzystwa wywodzących się ze średniej i większej burżuazji żydowskiej. Ponadto za każdego zmarłego członka corocznie – w rocznicę jego śmierci – odprawiano tam nabożeństwa żałobne, przypominając przy tej okazji jego nazwisko i udział w działalności filantropijnej „Bykur Cholim” w umieszczanych w prasie ogłoszeniach, dzięki czemu mniej znany łódzki kupiec wymieniany był obok Markusa Kona, Teresy Silberstein, Augusta Barucha czy Hugo Wulfsohna⁵¹.

Z „Bykur Cholim” powiązane było sanatorium przeciwgruźlicze „Uzdrowisko”, które w latach 30. prowadziło działalność w ciągu półrocznego sezonu letniego.

⁴⁶ APŁ, Akta miasta Łodzi (dalej: AmŁ), 13595, s. 96.

⁴⁷ „Głos Poranny”, 21 IV 1929, nr 77, s. 9.

⁴⁸ Por. skład władz organizacji: *Informator m. Łodzi z kalendarzem na rok 1920*, s. 429.

⁴⁹ APŁ, AmŁ sygn. 18768, nlb.

⁵⁰ APŁ, AmŁ sygn. 18767, nlb.; APŁ, AmŁ sygn. 18768, nlb.

⁵¹ Por. „Głos Poranny”, 1 VII 1929, nr 146, s. 5; 1 VIII 1929, nr 177, s. 7; 1 XII 1929, nr 289, s. 8; 1 I 1933, nr 1, s. 8.

Jednorazowo przebywało w nim 85 chorych (dane z lat 1934/1935). Kwalifikacja pacjentów dokonywana była przez samo stowarzyszenie⁵².

Istniały też mniejsze organizacje wyspecjalizowane w niesieniu pomocy lekarskiej, np. Bałuckie Towarzystwo Pielęgowania Chorych „Miszmeres Hacholim”. Udzielało ono porad lekarskich za minimalną opłatą, dla najbiedniejszych – bezpłatnie, wydawało bezpłatne leki, wypożyczało utensylia lekarskie, dokonywało zabiegów zleconych przez lekarzy, dostarczało chorym mleko oraz zapewniało nocną opiekę pielęgniarską. Dysponowało też własnym ambulatorium⁵³.

W pełni nowoczesną organizacją było powiązane z syjonizmem ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Zdrowia Ludności Żydowskiej, zwane popularnie TOZ-em, posiadające w Łodzi własny oddział. Prowadziło ono – oprócz leczniczej – także szeroką akcję profilaktyczną, w tym poradnictwo przedmażeńskie. Taką działalność traktowano – zgodnie z ideologią syjonistyczną – jako jeden z elementów „przebudowy fizycznej Żydów” i polepszania stanu zdrowotnego narodu żydowskiego. TOZ stwierdzał wyraźnie w swej propagandzie, że jego celem jest „przekształcić osłabiony w ciągu pokoleń typ przeciętnego Żyda i stworzyć nowe, zdrowe pod względem fizycznym pokolenie”⁵⁴.

W Łodzi, podobnie jak w całej II Rzeczypospolitej, istniały liczne szeroko pojęte stowarzyszenia oświatowe. Chociaż zobowiązania międzynarodowe, podjęte przez Polskę w 1919 r., zapewniały mniejszościom narodowym szkoły z ojczystym językiem nauczania jako element państwowego systemu oświaty, nie dotyczyło to Żydów – państwo musiało jedynie zapewnić taką organizację nauki, aby nie naruszać świętości dnia sobotniego. W ten sposób powstały tzw. „szabasówki” – normalne szkoły powszechne, w których nie było nauki w sobotę (w zamian odbywała się ona w niedzielę) i nauczano religii mojżeszowej, zresztą w specyficznej formie, gdyż więcej czasu poświęcano historii i kulturze, przede wszystkim literaturze, niż systematycznemu wykładowi zasad religii. Narodowi pedagodzy żydowscy oceniali je bardzo nisko, twierdząc, że ich „żydowska wartość wychowawcza polega właściwie jedynie na świętowaniu w sobotę”, a zatrudnianych w nich jest coraz mniej nauczycieli Żydów⁵⁵. Wszelkie próby rozszerzenia zakresu nauczania zgodnie ze specyficznymi potrzebami mniejszości żydowskiej nie dawały pozytywnego rezultatu⁵⁶. Szkół takich było w Łodzi kilkadziesiąt i uczęszczała do nich większość, bo aż 70–80%, dzieci żydowskich⁵⁷.

⁵² Por. np. „Głos Poranny”, 21 VI 1932, nr 170, s. 6; 31 IV 1931, nr 96, s. 6.

⁵³ APŁ, AmŁ 18764, nlb.; APŁ, AmŁ 18765, nlb.

⁵⁴ „Nasz Przegląd”, 10 V 1927, nr 127, s. 8.

⁵⁵ A. Tartakower, *Problem szkolnictwa żydowskiego w Polsce* [w:] *Almanach szkolnictwa żydowskiego w Polsce*, t. 1, Warszawa 1938, s. 26.

⁵⁶ S. Mauersberg, *Szkolnictwo powszechne dla mniejszości narodowych w Polsce w latach 1918–1939*, Wrocław 1968, s. 163.

⁵⁷ *Mały Rocznik Statystyczny m. Łodzi 1936*, Łódź 1938, s. 74.

Wprowadzenie w Łodzi powszechnego obowiązku szkolnego, a następnie wydanie w lutym 1919 r. dekretu o powszechnym obowiązku szkolnym sprawiło, że działające dotychczas chedery musiały dokonać daleko idących przekształceń, aby uczęszczanie do nich mogło być uznane za spełnienie przepisów prawa. Z konieczności więc w wielu chederach dokonywano podziału na klasy, ustalano liczbę godzin lekcyjnych, wprowadzano nauczanie przedmiotów ogólnokształcących, starano się o lepsze urządzenie izb szkolnych i pomoce naukowe. W innych rezygnowano z tego typu zmian; w rezultacie żydowski chłopcy uczęszczali rano do publicznej szkoły powszechnej, a po południu – do chederu. Bardzo często bywało tak w mniejszych miasteczkach, jednak także w Łodzi musiało działać wiele niezarejestrowanych chederów, w których nauki religijne pobierała przynajmniej część uczniów „szabasówek” (ich liczba nie jest jednak możliwa do ustalenia).

Powstawanie chederów reformowanych popierała Aguda. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego wyraziło w 1922 r. zgodę na uznanie uczęszczania do nich za realizację obowiązku szkolnego. Szczegółowe sprecyzowanie wymagań wobec chederów reformowanych nastąpiło w 1935 r. Według pisma ókólnego Ministerstwa z kwietnia tego roku szkoły te miały zapewniać realizację pierwszego i drugiego szczebla programowego z najważniejszymi składnikami trzeciego zreformowanej szkoły powszechnej. Oznaczało to, że liczba godzin nauki przedmiotów świeckich w ciągu ośmiu lat nauczania nie mogła być mniejsza niż średnio 14 godzin tygodniowo w każdej klasie. Nauka przedmiotów świeckich musiała się odbywać w porze przedobiadowej i w żadnym wypadku nie mogła się rozpoczynać później niż po trzech godzinach nauki przedmiotów religijnych; ogólna liczba godzin nauki przedmiotów świeckich i religijnych miała być przystosowana do wieku i rozwoju ucznia i w żadnym wypadku nie mogła przekraczać 36 godzin. Taką szkołę określano jako „8-letnią, 6-klasową”⁵⁸. Autor jednej z najciekawszych książek poświęconych żydowskiej Łodzi, Paweł Spodenkiewicz, uzyskał relację Izraela Avirama, ucznia jednej z takich szkół, prowadzonej przez Ajzyka Pasternaka:

Pół godziny trwała modlitwa. O ósmej zaczynaliśmy się uczyć tego, co się nazywa „święte nauki”. To był Talmud, Miszna, do jedenastej. Potem była przerwa i zmieniało się klasy, w tej samej szkole. [...] Przychodzili inni nauczyciele, przeważnie – oprócz jednego, który nas uczył hebrajskiego – wszyscy bez nakrycia głowy. Wszyscy byli Żydami, ale ludźmi wykształconymi i oczywiście świeckimi. Ubrani byli krótko, to znaczy nie w długich szatach, z krawatem, ogoleni. Oni nas uczyli wszystkich przedmiotów ze szkoły powszechnej. Tak było do godziny trzeciej. O trzeciej szedłem do domu,

⁵⁸ S. Chmielewski, *Stan szkolnictwa wśród Żydów w Polsce*, „Sprawy Narodowościowe” 1937, r. 11, nr 1, s. 33–34.

jadłem obiad i o czwartej już z powrotem byłem w szkole. Znów nauczyliśmy się „świętych nauk”, do pół do ósmej. Dopiero później robiłem lekcje. W sobotę trzeba się było tej części Talmudu, której nauczyliśmy się przez tydzień, wykuć na pamięć. Ciężkie życie⁵⁹.

W chederach reformowanych posługiwano się jidysz w nauczaniu Talmudu. Używanie „języka świętego” w życiu codziennym było dla ortodoksów świętokradztwem. Szkoły powszechne innego rodzaju były o wiele rzadsze i często powiązane z prywatnymi gimnazjami, prowadzonymi przez stowarzyszenia lub osoby prywatne.

Specyficzną formą szkolnictwa religijnego były związane z Agudą szkoły „Bejs Jakow”. Ich twórczynią była mieszkanka Krakowa Sara Szenirer, która już przed I wojną światową dostrzegała zarówno małe zainteresowanie ortodoksyjnych rodziców religijnym wychowaniem ich córek, jak i asymilacyjny oraz antyreligijny wpływ ówczesnej szkoły powszechnej na dziewczęta z żydowskich religijnych domów⁶⁰. Aby temu zaradzić, utworzyła system religijnych szkół dla dziewcząt, który odniósł duży sukces także poza granicami kraju. W szkołach, które realizowały pełny program państwowy, przykładano wagę do przedmiotów religijnych, jak lektura Biblii, historia Żydów, modlitwy i komentarze do nich, ogólny zarys teologii; jednocześnie szeroko nauczano przedmiotów świeckich. Wielką rolę w popularyzacji światopoglądu organizacji odegrało wydawnictwo łódzkie „Bejs Jakow” (z siedzibą przy ul. Aleksandrowskiej 28), w którym publikowano zarówno czasopismo organizacji (również nazwane „Bejs Jakow”), jak i pozycje różnego typu: tłumaczenia na jidysz tekstów talmudycznych czy pisma zebrane Sary Szenirer⁶¹.

W Łodzi szkoły „Bejs Jakow” mieściły się przy ul. Piramowicza i Śródmiejskiej 32. Jak wspominała jedna z uczennic:

To była bardzo religijna, żydowska, prywatna, droga szkoła. [...] Chodziłam po południu do szkoły, dlatego że było trochę taniej. Przedmioty ogólne były po polsku. Oprócz tego były przedmioty jidysz i hebrajski, jako język święty⁶².

Najważniejsze i stojące na najwyższym poziomie były jednak utraktywistyczne gimnazja polsko-hebrajskie o programie syjonistycznym, kierowane przez Towarzystwo Żydowskich Szkół Średnich w Polsce, posiadające centralę w Łodzi. Ten typ szkolnictwa wywodził się od gimnazjum męskiego powstałego w Łodzi

⁵⁹ Relacja Izraela Avirama, cyt. za: P. Spodenkiewicz, *Zaginiona dzielnica – Łódź żydowska – ludzie i miejsca*, Łódź 1999, s. 36.

⁶⁰ S. Szenirer, *Człowiek i dzieło* [w:] *Almanach szkolnictwa żydowskiego w Polsce*, t. 1, Warszawa 1938, s. 333.

⁶¹ M. Marczyńska, R. Żmuda, *Bibliografia łódzkiej produkcji wydawniczej: 1918–1939*, Łódź 1985, s. 368 (poz. 4647), s. 382 (poz. 4681) i in.

⁶² Relacja E. F., cyt. za: P. Spodenkiewicz, *Zaginiona dzielnica...*, s. 36.

w 1912 r.⁶³ Od początku wielką rolę programową i organizatorską odgrywał w nim rabin Markus Braude. W 1921 r. nastąpił podział na dwie odrębne szkoły. W czasie I wojny światowej utworzono też gimnazjum żeńskie.

Poziom gimnazjów był wysoki, prowadzono w nich eksperymenty pedagogiczne, nawiązujące do nowych prądów w pedagogice zachodnioeuropejskiej⁶⁴. Arnold Mostowicz wspominał:

Stosowali nowatorskie metody pedagogiczne. Taubenschlag z całą pewnością. U nas bardzo wcześnie powstał samorząd, bardzo wcześnie mieliśmy własne gazetki, wydawnictwa... Szkoła wychowywała ludzi bardzo aktywnych społecznie. Ja nie znam nikogo z naszej klasy, kto byłby biernym obserwatorem życia. To było niewątpliwie wynikiem działania tej szkoły. Mogę to docenić z perspektywy lat, będąc w szkole tego nie doceniałem⁶⁵.

Doniosłą rolę w rozwoju omawianych gimnazjów odegrali nauczyciele pochodzący z Galicji. W ogóle wśród pracującej tu kadry znalazło się wiele wybitnych jednostek. Pod względem intelektualnym nie mogło się z nimi równać żadne z łódzkich gimnazjów. Warto wspomnieć tu o następujących osobach:

– Michał Brandstaetter – polonista, długoletni dyrektor gimnazjum żeńskiego, poprzednio założyciel gimnazjum żydowskiego we Lwowie;

– Zygmunt Ellenberg – również z Galicji, ukończył gimnazjum w Kołomyi i Uniwersytet Wiedeński (prawo), aktywny działacz lewicowych młodzieżowych organizacji syjonistycznych, od 1921 r. nauczyciel historii i geografii w gimnazjum żeńskim, od 1934 r. dyrektor II gimnazjum męskiego, aktywny polityk, działacz partii „Hitachdut”, delegat na Kongresy Syjonistyczne, radny miejski, napisał pracę o początkach szkolnictwa żydowskiego w Łodzi, opublikowaną, zgodnie z galicyjską tradycją, w sprawozdaniu gimnazjum żeńskiego, w którym nauczał⁶⁶;

– Wilhelm Fallek – polonista i teatrolog, urodzony w Łodzi, maturzysta krakowskiego gimnazjum św. Anny, absolwent prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 1918–1922 publicysta kulturalny krakowskiego „Nowego Dziennika”, stały recenzent teatralny. W 1923 r. powrócił do Łodzi i został nauczycielem języka polskiego w I gimnazjum męskim. Szeroko współpracował z prasą łódzką, m.in. z „Głosem Porannym”, „Republiką”, „Kurierem Łódzkim”, a także prasą polsko-żydowską („Nasz Przegląd”, „Miesięcznik Żydowski”) i prasą w jidysz. Jego teksty polonistyczne i teatrologiczne publikowane były m.in. w łódzkich

⁶³ APŁ, Rząd Gubernialny Piotrkowski, Wydział Prezydialny (dalej: RGP-Prez). 996, nlb.

⁶⁴ K. Baranowski, *Średnie szkoły ogólnokształcące mniejszości narodowych w Łodzi w okresie Drugiej Rzeczypospolitej* [w:] *Rola szkolnictwa łódzkiego w tworzeniu dziedzictwa kulturowego Łodzi w XX wieku. Tradycje i współczesność łódzkich szkół średnich*, red. T. Jaluźna, Łódź [2002], s. 66.

⁶⁵ Relacja A. Mostowicza, cyt. za: P. Spodenkiewicz, *Zaginiona dzielnica...*, s. 44.

⁶⁶ *Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny Żydów łódzkich oraz z Łodzią związanych*, red. A. Kempa, M. Szukalak, t. 1, Łódź 2001, s. 49.

„Pracach Polonistycznych”. Po 1939 r. został kierownikiem szkoły powszechnej w Brodach, pod okupacją sowiecką. Zginął w lecie 1941 r. Według Ryszarda Löwa był typowym przykładem „człowieka żydowsko-polskiego pogranicza”⁶⁷;

– Henryk Ormian – wykładowca przedmiotów judaistycznych, a jednocześnie docent psychologii w Wolnej Wszechnicy Polskiej⁶⁸. Przeżył wojnę i poświęcił się pracy naukowej jako psycholog;

– Jeremiasz Frenkel – wykładowca literatury hebrajskiej, absolwent lwowskiego gimnazjum, jeden z pierwszych działaczy syjonistycznych wśród młodzieży galicyjskiej. Do Łodzi przybył po zakończeniu I wojny światowej i był dyrektorem, a następnie nauczycielem w gimnazjum „Jabne”. Od 1921 r. związał się z I gimnazjum męskim, gdzie wykładał literaturę hebrajską. Publicysta prasowy, współredaktor „Miesięcznika Żydowskiego”, autor czterech rozdziałów monumentalnej pracy *Żydzi w Polsce Odrodzonej*⁶⁹;

– Rudolf Taubenschlag – nauczyciel historii, doskonały dydaktyk, twórca własnego systemu nauki szkolnej, będącego odmianą „szkoły pracy”, znany z tego, że „jak mało który z nauczycieli potrafił wzbudzić zainteresowanie dla swego przedmiotu – historii”⁷⁰;

– Zygmunt Bromberg-Bytkowski – pochodzący z Galicji polonista, dyrektor gimnazjum męskiego (1917–1923), przedstawiciel pierwszego pokolenia ruchu narodowego wywodzącego się z zasymilowanej inteligencji, uczestnik I Kongresu Syjonistycznego w Bazylei (1897 r.). Był nie tylko nauczycielem, ale także dramaturgiem, poetą i tłumaczem, teoretykiem i krytykiem sztuki. Współpracował z wieloma literackimi czasopismami polsko- i niemieckojęzycznymi, m.in. „Życiem”, „Chimerą” i „Der Jude”, w Łodzi był redaktorem syjonistycznego miesięcznika „Tel-Aviv”⁷¹. Jeden z pionierów osadnictwa żydowskiego w Palestynie. Już w 1898 r. założył jedną z pierwszych kolonii syjonistycznych, która jednak rozpadła się wskutek wewnętrznych waśni i niechętnego stanowiska Teodora Herzla, przeciwnego osadnictwu w Palestynie bez wcześniejszego uzyskania koncesji politycznych od rządzącej wówczas na tym obszarze Turcji⁷². Jak u wielu innych poetów polsko-żydowskich tego okresu (choćby Romana Brandstaettera), także jego poezja była „zaangażowana” w propagandę syjonizmu;

– Filip Friedman – historyk, absolwent Uniwersytetu Wiedeńskiego, autor prac z historii Żydów w XIX i XX w. Niewątpliwie najbardziej obecnie znany spośród

⁶⁷ Tamże, s. 52–53.

⁶⁸ Habilitował się z psychologii dziecka, por. M. Przeniosło, *Habilitacja z pedagogiki w II Rzeczypospolitej*, „Przegląd Pedagogiczny” 2016, nr 1, s. 6.

⁶⁹ *Żydzi dawnej Łodzi...*, t. 1, s. 55; S. Rogoziński, *Moje szczęśliwe życie*, Łódź 1994, s. 46.

⁷⁰ S. Rogoziński, *Moje...*, s. 36.

⁷¹ *Międzywojenna poezja polsko-żydowska. Antologia*, oprac. E. Prokop-Janiec, Kraków 1996, s. 106; *Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny Żydów łódzkich oraz z Łodzią związanych*, red. A. Kempa, M. Szukalak, t. 2, Łódź 2002, s. 34–35.

⁷² P. Spodenkiewicz, *Zaginiona dzielnica...*, s. 94.

grona pedagogicznego gimnazjów. Był jednym z pionierów badań nad dziejami Łodzi, a jego praca o dziejach Żydów w Łodzi do 1863 r. nie straciła do dzisiaj na wartości. Był dobrym dydaktykiem, starał się też w swych uczniach zaszczerpić pasję badawczą historyka, organizując na przykład lekcje w łódzkim archiwum miejskim. Pod koniec lat 30. wykładał historię społeczno-gospodarczą Żydów w Instytucie Nauk Judaistycznych w Warszawie. Był członkiem Towarzystwa Przyjaciół Żydowskiego Instytutu Naukowego YIVO i Stowarzyszenia Humanitarnego Montefiore-Bnei Brith. Wojnę przetrwał we Lwowie. Jeden z pierwszych badaczy Zagłady. W 1946 r. wyemigrował z Polski, w 1948 r. znalazł się w Stanach Zjednoczonych, gdzie został pracownikiem nowojorskiego YIVO. Zmarł w 1960 r.⁷³

Szkoły o profilu mniej lub bardziej wyraźnie hebraistycznym działały również niezależnie od organizacji społecznych, jako instytucje prywatne, wręcz przedsiębiorstwa rodzinne. Przykładem może tu być zespół szkół założony przez Icchoka Kacnelsona. Krótco przed I wojną światową otworzył on pierwsze w Łodzi hebrajskie przedszkole. Z „frelówki” naturalną koleją rzeczy rozwinęła się szkoła powszechna, która zdobyła uznanie wśród rodziców, także z okolic Łodzi. W latach 30. uczęszczało do niej około 400 uczniów, kierował nią przez wiele lat „długoletni pedagog i wybitny wychowawca młodzieży”⁷⁴ Dawid Dąbrowski. Ze szkoły powszechnej rozwinęło się na przełomie lat 20. i 30. gimnazjum, posiadające pełne prawo do samodzielnego organizowania matury, kierowane przez Rafała Dąbrowskiego.

Paweł Spodenkiewicz zwracał uwagę na specyfikę uczelni Kacnelsonów:

Choć twórcy wszystkich łódzkich szkół polsko-hebrajskich wyznawali ideologię syjonistyczną, gimnazjum przy ul. Zawadzkiej różniło się jednak znacznie od „szkół braudowskich”. Była to różnica zaplecza kulturowego, typu wykształcenia jej pedagogów, a także formy całej instytucji. Gimnazja TZŚS założyli przybysze z Galicji i było to typowe stowarzyszenie szkolne. Szkołę przy ul. Zawadzkiej prowadzili „Litwacy” i miała ona charakter przedsiębiorstwa rodzinnego⁷⁵.

Jak można się przekonać z obszernego opisu, opartego na relacjach ocalałych członków rodziny, który w swojej książce zamieścił Spodenkiewicz, cała rodzina Kacnelsonów była o wiele bardziej „wschodnia”, mniej dotknięta przez proces asymilacji niż galicyjscy twórcy i nauczyciele szkół z ul. Magistrackiej, co oczywiście musiało się odbijać na charakterze placówki.

Niezależnie od programu państwowego w języku polskim, pod kierunkiem Icchoka Kacnelsona realizowany był program nauk judaistycznych. Ta szkoła

⁷³ N. Grüss, *Rok pracy Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej*, Łódź 1946, s. 53; *Żydzi dawnej Łodzi...*, t. 2, s. 34–35.

⁷⁴ *Zakłady Szkolne Icchaka Kacnelsona w Łodzi* [w:] *Almanach...*, s. 133.

⁷⁵ P. Spodenkiewicz, *Zaginiona dzielnica...*, s. 45.

średnia cieszyła się znaczną renomą w Łodzi, a wielu jej absolwentów z powodzeniem kończyło studia na uniwersytetach polskich czy zachodnioeuropejskich, czy też na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Szkoły Kacenelsonów dysponowały wygodnym budynkiem przy ul. Zawadzkiej (obecnie ul. Próchnika) 43. Był to gmach „estetycznie i higienicznie świetnie się reprezentujący, liczący przeszło 40 sal”, wyposażony w „gabinety naukowe i gabinet dentystyczny i lekarski”⁷⁶. W gimnazjum istniał samorząd uczniowski, pomagający biedniejszym uczniom. Szkoły Kacenelsona posiadały własny ośrodek kolonijny we Włodzimierzowie koło Sulejowa, ze specjalnie wybudowanym dużym budynkiem mieszkalnym, ogrodem, placami do zabaw i uprawiania sportu.

Oprócz tych, przykładowo wymienionych, szkół działały też placówki prowadzone przez inne organizacje społeczne, jak chociażby „Tarbut” czy Gimnazjum Męskie Towarzystwa Szerzenia Oświaty i Wiedzy Technicznej wśród Żydów (przy ul. Pomorskiej 48), a także prywatne gimnazja, nastawione w znacznym stopniu na zysk i prezentujące różny poziom nauczania. Były to m.in.: szkoły Lejby Szakina (ul. Cegielniana 23), Józefa Aba (ul. Legionów 10), Marii Hochsteinowej (ul. Wólczańska 23), Estery Jaszunskiej-Zeligmanowej (ul. Południowa 18), „Wiedza” Luby Magalifowej (ul. Narutowicza 17)⁷⁷.

Pośród organizacji sportowych⁷⁸, oprócz „Makabi”, aktywnej w latach 30., warto wspomnieć o mniej znanym, a pod koniec II Rzeczypospolitej znajdującym się na drugim planie, Towarzystwie „Bar Kochba”, interesującym też ze względu na szeroki zakres działalności. Organizacja ta została założona w grudniu 1912 r. Z boisk lekkoatletycznego i piłkarskiego korzystała na Helenowie. W roku 1919 siedzibę organizacji przeniesiono na ul. Targową 5 (róg ul. Przejazd), a pod koniec lat 30. mieściła się przy ul. Piotrkowskiej 111. Działalność organizacji w pierwszych latach nie miała charakteru wyłącznie sportowego, ale także kulturalny, i odbywała się w sekcjach: muzycznej (orkiestra dęta), dramatycznej (nie istniała już w 1920 r.), gimnastycznej („męska, damska, chłopców i dziewcząt”, niewzmiankowana w 1920 r.), piłki nożnej i lekkoatletycznej⁷⁹.

Jednym ze źródeł finansowania organizacji były zabawy i popisy sportowe. Przykładowo, 16 listopada 1929 r. urządziła ona w lokalu „Hazomiru” (ul. Kościuszki 21) „koncert-raut”. Brał w nim udział „znany pianista” Jerzy Józef Masterman oraz orkiestra klubowa, która 28 października tego samego roku zajęła pierwsze miejsce na ogólnokrajowym konkursie żydowskich orkiestr sportowych⁸⁰. Latem odbywały się imprezy na świeżym powietrzu.

⁷⁶ *Zakłady...*, s. 133.

⁷⁷ Księga Adresowa m. Łodzi 1937–1939, Dz. I, s. 37; K. Baranowski, *Średnie...*, s. 68–75.

⁷⁸ Por. A. Bogusz, *Dawna Łódź sportowa 1824–1945*, Łódź 2007, s. 391–394.

⁷⁹ APŁ, AmŁ 23580, nlb.

⁸⁰ Był to tym większy sukces, że niespodziewany; por. „Głos Poranny”, 29 X 1929, nr 261, s. 8; 16 XI 1929, nr 283, s. 13.

W sierpniu 1929 r. Towarzystwo urządziło w parku Helenów wielką zabawę ogrodową, połączoną z „popisem gimnastyczno-sportowym”. Obok loterii fantowej, koła szczęścia i pokazu ogni sztucznych w programie znajdowały się ćwiczenia gimnastyczne, zapasy rzymsko-greckie, zawody bokserskie, dźwiganie ciężarów. Zimą organizowano natomiast, również obliczone na zysk, dancingi w ekskluzywnym lokalu „Oazy” (ul. Narutowicza 20)⁸¹.

W 1929 r. działały sekcje gimnastyczna, kolarska, bokserska i „atletyczna”. Ta ostatnia określana była jako „chluba klubu”, a jej zawodnikami byli m.in. „Wajngarten, Sztern, Minc, Winnykamień i cały szereg innych, których nazwiska zapisane są złotymi zgłoskami w dziejach łódzkiego sportu atletycznego”⁸².

Życie kulturalne w Łodzi było uboższe niż w Warszawie – dotyczyło to zarówno Polaków, jak i Żydów. Mniej było organizacji tego typu, choć istniał np. Związek Dziennikarzy i Literatów Żydowskich. Z punktu widzenia dziejów kultury żydowskiej ważna była Biblioteka im. Ajzenszłosa, powstała na początku lat 30. Jako stowarzyszenie została wpisana do rejestru 15 stycznia 1932 r.⁸³ Jej celem miało być, zgodnie ze statutem

podniesienie moralnego i umysłowego poziomu swych członków; wychowanie w członkach ducha towarzyskości i zainteresowania do życia zbiorowego; dostarczenie członkom w godzinach wolnych od pracy pożytecznej rozrywki.

W tym celu stowarzyszenie miało „zakładać biblioteki, czytelnie, urządzać odczyty, pogadanki, dyskusje, wycieczki; urządzać przedstawienia, koncerty, wieczory rodzinne; organizować kółka dramatyczne, muzykalne i sportowe”⁸⁴.

W oficjalnych wykazach władz organizacji spotykamy takie nazwiska, jak Perec Opoczyński (ul. Piotrkowska 69), Szmul Wasser (ul. Piłsudskiego 51), Jeszaje Szpigiel (ul. Zgierska 64), Miriam Ulinower (ul. Narutowicza 11) i inne, mniej znane nazwiska żydowskich twórców. Liczba członków w roku 1933 wynosiła 54, w roku 1936 wzrosła do 160; w stowarzyszeniu działały wówczas także komisje zagadnieniowe: biblioteczna, wycieczkowa i dochodów niestających. Średnia wieku członków władz była bardzo niska – około 30 lat; należy przypuszczać, że wiek członków rzeczywistych również był podobny. Siedziba organizacji początkowo mieściła się przy ul. Limanowskiego 15, w roku 1934 Biblioteka im. Ajzenszłosa przeniosła się na ul. Zachodnią 52⁸⁵.

Z innych stowarzyszeń o charakterze kulturalnym warto wymienić tracące już na znaczeniu, bo przegrywające z nowoczesnymi formami rozrywki, gramofonem,

⁸¹ Wejście kosztowało 1,50 zł; bilet zniżkowy dla uczącej się młodzieży 50 gr – „Głos Poranny”, 3 VIII 1929, nr 179, s. 1; 6 XII 1929, nr 303, s. 9.

⁸² „Głos Poranny”, 9 VIII 1929, nr 185, s. 8.

⁸³ APŁ, UWŁ 1142, s. 63.

⁸⁴ APŁ, UWŁ 1274, s. 29–30.

⁸⁵ Tamże, s. 7.

kinem czy radiem, towarzystwa śpiewacze „Hazomir” i „Szir”, Żydowskie Towarzystwo Krajoznawcze, które urządzało nie tylko wycieczki turystyczne, ale też popierało badania nad żydowską przeszłością Łodzi, oraz poalejsyjonistyczną Bibliotekę im. Borochowa, propagującą wśród robotników żydowskich sztukę teatralną.

Żydowskie stowarzyszenia gospodarcze były bardzo zróżnicowane. Począwszy od organizacji przemysłowców – właścicieli średniej wielkości fabryk, a skończywszy na drobnych kupcach kolonialnych czy domokrażnych – prawie każda grupa miała swoją reprezentację w postaci organizacji społecznej. Do tego dochodziły kwestie polityczne – istniały związki o identycznych zadaniach, ale powiązane z innymi ruchami politycznymi – przede wszystkim odbijał się tu konflikt między syjonistami a ortodoksami, istniały jednak także organizacje fółkistyczne, jak kierowana przez Piotra Chari Centrala Detalicznych i Drobnych Kupców w Polsce przy ul. Limanowskiego 28. Domeną wpływów syjonistycznych było m.in. Centralne Stowarzyszenie Kupców i Przemysłowców Województwa Łódzkiego, mieszczące się przy ul. Piotrkowskiej 10, założone w 1918 r. i liczące pod koniec lat 30. około 800 członków. Długoletnim jego prezesem był Ignacy Jaszuński, a wśród członków władz widniały nazwiska m.in. Józefa Hirszberga, Henryka Akawie, Maksa Gordona, Abrama Sztajnsznajdera czy Gerszona Praskiera⁸⁶.

Łódź jeszcze przed odzyskaniem niepodległości była miejscem konfliktów polsko-żydowskich. Pogromem na Starym Mieście zakończyło się żywiołowe wystąpienie robotnicze – „bunt łódzki” z 1892 r.⁸⁷

W Łodzi w nocy z 14 na 15 listopada 1918 r. dokonano nieuzasadnionej rewizji w synagodze, poszukując rzekomo ukrytej broni, zdarzały się też przypadki nadużycia władzy przez organa porządku publicznego⁸⁸, jednak w porównaniu z innymi miastami sytuacja była tu dobra.

Propaganda uprawiana przez nacjonalistyczną prasę, pojawienie się w mieście oddziałów hallerczyków, w połączeniu z pogarszającą się sytuacją gospodarczą ludności, doprowadziły jednak 17 września 1919 r. do wybuchu zająć o znacznie poważniejszym charakterze. W trakcie krwawego tłumienia sprowokowanej przez komunistów demonstracji bezrobotnych pojawiły się pogłoski, że do wojska i policji strzelano z okien budynku gminy wyznaniowej, w wyniku czego dokonano w nim rewizji, połączonej z demolowaniem urządzeń biurowych i aresztowaniem obecnych w gmachu urzędników. Żołnierze wyszli na ulice i wraz z przedstawicielami miejscowego lumpenproletariatu dokonali licznych rabunków

⁸⁶ Tamże.

⁸⁷ P. Samuś, *Wydarzenia majowe 1892 roku w Łodzi a stosunek robotników do terroru* [w:] „*Bunt łódzki*” 1892 roku. *Studia z dziejów wielkiego konfliktu społecznego*, red. P. Samuś, Łódź 1993, s. 102–104.

⁸⁸ „*Lodzer Tageblat*”, 2 I 1919, nr 2, s. 2; APŁ, ŁGWŻ, sygn. 240; sygn. 210, k. 195.

i napadów w dzielnicy żydowskiej. Najbardziej ucierpiała ulica Nowomiejska, „centrum handlu żydowskiego” w Łodzi⁸⁹. Uszczerbku na zdrowiu doznało kilkadziesiąt osób⁹⁰. Według informacji przedstawionych brytyjskiej misji Stuarta Samuela, przebywającej w mieście pod koniec września 1919 r., w zająciach 17 września zginął jeden Żyd⁹¹. Władze na wypadki zareagowały szybko, wysłano na miasto silne patrole wojskowe i policyjne. Aresztowano wielu rabusiów⁹².

W latach 20. polsko-żydowski konflikt narodowościowy uległ złagodzeniu i przejawiał się w dyskusjach prasowych, gdzie stale obecny był temat „żydokomuny”⁹³, czy też na forum Rady Miejskiej⁹⁴. Lata 30., okres Wielkiego Kryzysu, przyniosły zaostrzenie konfliktu. W propagandzie endecji Żydzi stają się przeciwnikiem najczęściej wspominanym i najważniejszym – wrogiem „powszechnym”⁹⁵, uosobieniem zła, jednoznacznym przeciwnikiem polskości, utożsamianym z katolicyzmem i ruchem narodowym. Ogromną liczbę przykładów takiej agitacji endeckiej zawierają kolportowane wówczas w Łodzi dzienniki ruchu narodowego: łódzka mutacja poznańskiego „Orędownika” i „Warszawski Dziennik Narodowy”. Praktyczną realizacją tego poglądu była zasada „swój do swego po swoje”, dążenie, aby handel z Polakami uprawiali Polacy, a nie Żydzi (którym łaskawie pozostawiano wymianę między sobą). Najłagodniejszą formą działania była propaganda prasowa, malowanie haseł⁹⁶ i rozdawanie ulotek na ulicach, czy też umieszczanie transparentów w rejonach żydowskiego handlu. Bardziej agresywną formą było czynne pikietowanie sklepów i straganów. Do organizacji takich działań narodowcy przykładali niezwykle wielką wagę. Celem akcji było zlikwidowanie drobnego handlu i rzemiosła żydowskiego⁹⁷.

⁸⁹ APŁ, ŁGWŻ, sygn. 210, k. 175–176; W. L. Karwacki, *Walka o władzę w Łodzi 1918–1919*, Łódź 1962, s. 152–156, 159–163; APŁ, ŁGWŻ, sygn. 234, k. 52.

⁹⁰ „Łodzer Tageblatt”, 18 IX 1919, nr 214, s. 1; „Najer Folksblat”, 19 IX 1919, nr 215, s. 2.

⁹¹ APŁ, ŁGWŻ, sygn. 210, k. 186; „Głos Polski”, 9 X 1919, nr 277, s. 3.

⁹² „Głos Polski”, 19 IX 1919, nr 257, s. 4.

⁹³ Przykładowo: „Że dziś upada polski handel i przemysł, winni temu Żydzi i komuniści. Że w Polsce szerzy się anarchia, nędza i bezrobocie, Żydów i komunistów winić musimy. Pierwsi przez spekulację na czarnej giełdzie obniżają wartość polskiego złotego, a przez oszczerstwa psują nam opinię u zagranicy. Drudzy zaś przez podburzanie nieszczęsnego robotnika szerzą anarchię, nieposzanowanie dla prawowitej władzy. Żydzi komuniści wyzyskują i oszukują naszego wieśniaka, szerzą demoralizację przez prasę. Podrywają autorytet naszej świętej wiary katolickiej, bez której nasz naród nie będzie miał tężyzny i mocy duchowej” – „Rozwój”, 2 V 1926, nr 120, s. 12.

⁹⁴ J. Walicki, *Juden und Deutsche in der Lodzer Selbstverwaltung 1917–1939* [w:] *Polen, Deutsche und Juden in Lodz 1820–1939. Eine schwierige Nachbarschaft*, Hrsg. von J. Hensel, Osnabrück 1999, s. 215–235.

⁹⁵ Por. np. E. Maj, *Komunikowanie polityczne Narodowej Demokracji 1918–1939*, Lublin 2010, s. 525–552.

⁹⁶ Przykładowo: „Żydzi do ghett’a”, „Żyd to twój wróg”, „Nie kupuj u Żyda” – *Sprawozdania miesięczne wojewody łódzkiego. Rok 1938*, cz. 1: *Legalny ruch polityczny i narodowościowy*, oprac. J. Walicki i in., Łódź 2012, s. 138.

⁹⁷ „Každy warsztat pracy wyrwany z rąk żydowskich, každy stragan czy sklep polski stanowi będzie szaniec, o który się rozbije nacierająca na Polskę fala komunistyczna. [...] Trzeba nie

Takie działania były negatywnie oceniane przez znaczną część społeczeństwa, zwolenników nie tylko socjalistów, ale i członków rządzącego Obozu Zjednoczenia Narodowego, którego program wymuszonej emigracji większości ludności żydowskiej z Polski trudno nazwać filosemickim. W wielu wypadkach przeciwko pikietarzom występowali polscy klienci, interweniowała też policja – choć trudno było oddzielić dopuszczalne i niedopuszczalne formy bojkotu⁹⁸. W styczniu 1936 r. zorganizowana grupa sympatyków endecji pod kierunkiem młodego działacza Stronnictwa Narodowego, Napoleona Siemaszki, zorganizowała kilka zamachów terrorystycznych na żydowskie przedsiębiorstwa handlowe, co wywołało ostrą reakcję władz państwowych⁹⁹.

Międzywojenna Łódź żydowska była zjawiskiem specyficznym, tak samo jak cała wielkoprzemysłowa metropolia, niemająca swojego odpowiednika nie tylko na obszarze II Rzeczypospolitej, ale i na ziemiach ościennych. Podobne były też różnice, jakie dzieliły Łódź polską (niemiecką) i żydowską od polskiej czy żydowskiej Warszawy, Krakowa, Lwowa czy Wilna. Przeważały jednak podobieństwa, szczególnie w odniesieniu do innych miast Polski centralnej. Podobne warunki – spowolnionego wzrostu gospodarczego, narastających konfliktów narodowościowych i niedemokratycznego przez większość dwudziestolecia sposobu sprawowania władzy – oddziaływały podobnie w Łodzi, jak i gdzie indziej. Specyfika żydowskiej Łodzi leżała raczej w jej chyba najbardziej przemysłowym, a najmniej handlowym charakterze, większym niż gdzie indziej zaangażowaniu w bezpośrednią produkcję, a nie wymianę. Z wielkości społeczności wynikała niezwykła rozbudowa jej struktury społecznej, wielość organizacji, może także siła wewnętrznych konfliktów. Łódź żydowska była zjawiskiem wyjątkowym, odkrywamy dopiero obecnie, i to o wiele wolniej, niż należałoby.

tylko utrzymać zdobyte dotąd pozycje w walce z Żydami, ale przez popieranie polskiego życia gospodarczego zdobyć nowe, rozszerzając nasz stan posiadania. W ten sposób położymy mocne fundamenty pod gmach państwa narodowego i zbliżymy dzień naszego zwycięstwa” – pisał późniejszy prezes Stronnictwa Narodowego Tadeusz Bielecki w programowym artykule *Z naszego stanowiska. Kładziemy mocne fundamenty*, „Orędownik” 11 IV 1938, nr 84, s. 3.

⁹⁸ Spokojne pikietowanie uważane było przez władze – zgodnie z orzecznictwem Sądu Najwyższego – za legalne. Jako niedopuszczalne traktowano natomiast aktywne uniemożliwianie zakupów w sklepach żydowskich. Por. np. „Orędownik” 9 IV 1938, nr 82, s. 6; 10 IV 1938, nr 83, s. 7; 13 IV 1938, nr 85, s. 7.

⁹⁹ „Głos Poranny” 2 IV 1936, nr 92, s. 1; K. Mucha, *Obóz narodowy w Łódzkiem w latach 1926–1939*, Łódź 2009, s. 295–299.

Od redakcji

Zastosowane w niniejszej antologii kryterium doboru twórców jest bardzo szerokie, gdyż na dobrą sprawę trudno mówić o „Żydach łódzkich”. Tutejsza społeczność żydowska powstała w wyniku migracji, a jej członkowie byli bardzo mobilni i niejednokrotnie zmieniali miejsce zamieszkania. Bardziej trafnym określeniem byłoby więc „Żydzi związani z Łodzią”, przebywający tu przez jakiś okres swego życia, publikujący w tutejszych wydawnictwach i uczestniczący w tutejszym życiu kulturalnym.

Dużym problemem dla wydawców stała się pisownia imion i nazwisk prezentowanych twórców oraz transliteracja. Alfabet y hebrajski i jidysz nie posiadają jednej transliteracji i w publikacjach ta sama osoba, czy słowo mogła być zapisana alfabetem łacińskim na kilka sposobów. Staraliśmy się dostosować pisownię do publikacji ukazujących się w języku polskim oraz maksymalnie ułatwić jej odbiór czytelnikowi, stosując polską transkrypcję fonetyczną zapisu języka jidysz¹. Jest to transkrypcja zwyczajowa i nie stanowi żadnego oficjalnego standardu. Odstępowaliśmy od tej reguły jedynie w przypadku, gdy autor zamieścił w stopce transliterację tytułu (stąd np. *Szyrym* a nie *Szirim*). Słowa hebrajskie transkrybowane są w wymowie aszkenazyjskiej, odbiegającej od współcześnie stosowanej wymowy sefardyjskiej (np. sobota to *szabas*, a nie *szabat*), lecz oddającej wymowę danego słowa w czasie powstania utworu. Również imiona twórców podawane są w wymowie aszkenazyjskiej, nawet jeżeli istnieje ich polski odpowiednik (stąd *lcchok*, a nie *lcchak* czy *Izaak*). W przypadku różnych transliteracji tytułów (np. prasy) stosowano zapis jednorodny („Jung Jidysz”, a nie „Jung Idysz”). Jeżeli nie zaznaczono inaczej, cytaty biblijne podawane są w przekładzie Biblii Tysiąclecia, podobnie jak sigła biblijne.

Tłumaczenia tekstów powstały w większości specjalnie na potrzeby niniejszej antologii i oparte są na pierwotnych publikacjach źródłowych, których dane bibliograficzne podane są pod utworem, podobnie jak język oryginału oraz nazwisko autorki lub autora przekładu. W przypadku przedruku jest to odnotowane, a podawane dane dotyczą pierwotnego wydania przekładu. Tłumaczenia tytułów w nawiasach kwadratowych pochodzą od redakcji.

Redakcja pragnie podziękować Polskiemu Towarzystwu Studiów Jidyszystycznych, z szeregów którego rekrutuje się znakomita większość autorek i autorów przekładów.

¹ E. Geller, *Jidysz – język Żydów polskich*, Warszawa 1994, s. 189.



Część 1

Sztetl

Mojsze Born

Prawdopodobnie pseudonim literacki, autor nieznany.

Mój dziadek¹

Mój dziadek zgaś jak kaganek,
Trzymając w dłoni Gemarę.
I jednak nie było mu dane
W Ziemi Świętej złożyć kości swe stare.

Nad swoim własnym wygnaniem
I nad Szechiny wciąż rozpaczał
Wśród wrogów miał swoje mieszkanie
Ich tłum dzień i noc go otaczał.

Lecz karku mu zgiąć nie zdołały
Żadnej władzy nakazy
Oczy mu zawsze błyszczały
Promieniem jasnym, bez skazy.

Mój dziadek zgaś jak kaganek,
Żyd o obliczu dostojnym.
Niech chociaż po nim pozostanie
Wiersz mój, niech sen ma spokojny.

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

¹ M. Born, *Cezyngene Sztern* [Rozśpiewane gwiazdy], Łódź 1933, s. 7.

Miriam Ulinower

Miriam Ulinower (1888 lub 1890–1944) ur. Hirszejn. Niepewna jest zarówno data, jak i miejsce urodzenia poetki. Podawane są takie miejscowości, jak Łask, Krzepice koło Częstochowy oraz Łódź. Pochodziła z ortodoksyjnej rodziny. W swym mieszkaniu przy ul. Narutowicza 11 w Łodzi poetka prowadziła salon literacki, w którym spotykali się młodzi łódzcy poeci, jak Jeszaje Szpigiel czy Rachmil Bryks. Ulinower należała do stowarzyszenia Biblioteka im. Ajzenszlosa, w którym była skarbnikiem. W 1940 r. wraz z mężem Wolfem oraz dwoma córkami przesiedlona została do łódzkiego getta. W jej mieszkaniu przy ul. Jakuba odbywały się nielegalne spotkania grupy literatów krytycznych wobec Chaima Rumkowskiego. Wraz z rodziną deportowana do Auschwitz 18 sierpnia 1944 r. Została tam prawdopodobnie od razu zamordowana.

Już jako młoda dziewczyna zaczęła pisać, prawdopodobnie pod wpływem Szolema Alejchema, który podarował jej książkę opatrzył dedykacją „Dla przyszłej pisarki”. W 1922 r. w warszawskim wydawnictwie „Bracia Lewin Epstein i S-ka” ukazał się tom wierszy poetki pt. *Der bobes ojcer* [Skarbczyk babuni] z przedmową znanego żydowskiego pisarza i krytyka Dowida Friszmana. Był to pierwszy tom poezji kobiecej w języku jidysz w Polsce. Mimo sukcesu poetka nie wydała kolejnego tomu. Ulinower publikowała pojedyncze wiersze w czasopiśmie. W „Ringel” ukazały się dwa wiersze z cyklu *Chumesz lider*. W *Antologii poezji żydowskiej* pod redakcją Samuela Hirszhorna opublikowany został w polskim tłumaczeniu wiersz *Dos ringl* [Pierścionek]. Przed wybuchem II wojny światowej autorka zamieszczała pojedyncze wiersze z cyklu *Chelempiade* w warszawskim dzienniku „Hajnt” oraz w łódzkim czasopiśmie literackim „Inzl”.

N. Krynicka, *Pierwsza poetka jidysz*, „Midrasz” 2000, nr 2, s. 44; też, *A grus fun der alter hejm/Un bonjour du pays natal*, red. N. Krynicka, Paris 2003; K. Radziszewska, *Flaschenpost aus der Hölle. Texte aus dem Lodzer Getto*, Frankfurt am Main u.a. 2011, s. 104–112.

***2

Gdy z miasteczka drogiego szłam na świat daleki
Odprowadził mnie dziadek, smutną, aż do rzeki.
Słońce wyszło wiosenne, nieboskłon zabłysnął,
Dziadek na pożegnanie powierzył mi pismo.

Zgubiłam je i to jest mej zgryzoty powód:
To nie żarty – na obczyźnie utracić rodowód.
Kto wie, gdzie teraz leży, czy przez kurz zżerane
Imiona moich przodków nie są wymazane.

² M. Ulinower, *Der bobes ojcer* [Skarbczyk babuni], Warszawa 1922, s. 3–4.

Wiosenne słońce w stronę zachodu się chyli,
Z żalu już nie wytrzymam dłużej ani chwili
I serce mam ściśnięte tęsknoty ogromem
Za moim rodowodem, za mym dawnym domem.

Przełożyła z jidysz Natalia Krynicka

Szczęście³

Liczę, liczę twoje listy,
Ze stosu całego.
Babcia targa mnie za rękaw:
„Zostaw, nie rób tego!

Wszak od rzeczy policzonych
Szczęście się oddala!”
Więc na powrót wszystkie listy
Szybko wymieszałam.

Ale śmieje się me serce
Pewne i radosne,
Bo jak mogą stąd mi ubyć
Te listy miłosne?

Lata lecą. Błada, bielsza
Od ściany bielonej,
Ważę stosik starych listów
W swojej szczupłej dłoni.

Stosik leży mi na ręce,
Dawno wymieszany.
Listów z niego nie ubyło
Lecz nie przybył żaden.

Nagle jeżą mi się włosy,
Myśl powstaje w głowie.
On mnie, babciu, nie zapomniał
Tego nikt nie powie!

³ Tamże, s. 50–52.

Nie zapomniał, że mi kiedyś
Przyrzekał zamęście.
Tylko, licząc jego listy,
Oddaliłam szczęście!

Przełożyła z jidysz Natalia Krynicka

Mój dziadek⁴

Gdy dziadek śpiewać Stwórcy hymn poczyną,
Powietrze go otacza miękko i z pokorą.
Przed dziadkiem młoda, gibka akacja się chyli
Jak rabinowa córka kloni się przed Torą.
Na wietrze jak chasydzi tańczą pyłki kurzu,
Lecz się zaraz z powrotem kładą na podwórzu,
Żeby dziadek, broń Boże, nie przerwał modlitwy,
Niech mu oko nie łzawi od pyłków gonitwy.

Czy jest na świecie drugi
Dziadunio jak u nas?
Czy można gdzieś znaleźć
Takiego dziadunia?
W szczęściu on żyje,
I żyje w udręce
Od dziecka paraliż
Krępuje mu ręce.
Ale je uświęcił
Wielki cadyk z Kocka
Swym błogosławieństwem,
Słowami proroctwa.
I ręką tą samą
Co dziś waży tony
Powita Mesjasza
Dziadek uleczony.

Przełożyła z jidysz Natalia Krynicka

⁴ *Jidisze dichterins* [Pisarki jidyszowe], pod. red. E. Korman, Chicago 1928, s. 146.

Na szabas⁵

Jak na Pejsach złote nici
Na tałasie taty,
Pasują ci, me miasteczko,
Twe sobotnie szaty.

A ja kiedyś w obcym mieście
W jednej sukni byłam.
I od gorszej, lewej strony
Sześć dni ją nosiłam.

Oj, jak ze mnie zła obczyzna
Bezlitośnie drwiła,
Bo na szabas prawą stronę
Sobie zostawiłam.

Przełożyła z jidysz Natalia Krynicka

Łasuch⁶

Krzyczy, złości się kucharka,
Skarży się na całe miasto,
Że jej właśnie jakiś łasuch
Prosto z pieca wyjadł ciasto.

Czule na mnie patrzy babcia,
Oko blaskiem jej jaśniej:
«Dziecko drogie, wiedz, że kiedyś
wieniec ślubny deszcz ci zleje».

Gdy z mym lubym pod baldachim
Wiedli mnie w welonie białym,
Każdy cicho się uśmiechał,
Ale chmury gorzko łkały.

Lecz do deszczu nie mam żalu
Bo w wesela dniu tym miłym
Mojej babci dawne słowa
Dzięki niemu się ziściły.

Przełożyła z jidysz Natalia Krynicka

⁵ M. Ulinower, *Na szabas*, „Der Os” [Znak] 1937, nr 2, [Warszawa], s. 18–19.

⁶ M. Ulinower, *Der bobes ojcer* [Skarbczyk babuni], Warszawa 1922, s. 45–46.

Łaciarka⁷

A wiecie, co było, gdy Lea łaciarka za chlebem
Wyjechała do kraju, co pod innym niebem?
Miasteczko jej wyglądało smutnymi oknami
I wszystkie dziury tęskniły za Lei łatami.
A wiecie, dlaczego wszędzie jej łaty okrągłe
Na obce dziury się kładły kształtne i porządne?
Bo w pamięci zachowała przez te wszystkie lata
Swojskie łaty, które nosi Krasula łaciata.

Przełożyła z jidysz Natalia Krynicka

Z Chełma do Lublina⁸

Gdzie kończy się droga, a gdzie się zaczyna?
Wędrowiec z Chełma idzie do Lublina.
A gdy ze zmęczenia wzrok już mu się mąci,
Zasypia spokojnie, wie, że nie zabłądzi.
Bo znak ma Chełmianin na dalekich drogach:
Chełm leży za głową, a Lublin jest w nogach.
Lecz tu przechodzi psotnik co sieje niezgodę
I obraca go we śnie jak drewnianą kłodę.
Na odwrót go kładzie, to farsa typowa,
Tam, gdzie były nogi, leży teraz głowa.

Rzeński poranek budzi wędrowca niebogę,
Czas już jest najwyższy, żeby ruszyć w drogę.
Lecz na miejscu konfuzja powstaje zupełna:
Lublinie, tyś taki podobny do Chełma!
Jesteś jak moje miasto, moja okolica,
Ten sam tutaj rynek, ta sama ulica,
Mój dom też ten sam, ta sama kałuża,
W tej samej studni wiadro się zanurza,
Jakby się tu na Chełmie rzeczy wzorowały,
Jednym jedynym miastem widać jest świat cały!

Przełożyła z jidysz Natalia Krynicka

⁷ „Der Os” [Znak] 1937, nr 2, [Warszawa], s. 19.

⁸ „Inzl: Literatur, Kunst, Kritik, Bibliografie” [Wyspa: literatura, sztuka, krytyka, bibliografia] 1938, nr 2 (12), [Łódź], s. 8.

Rikuda Potasz

Rikuda Potasz (1906–1965) urodziła się w Częstochowie w zamożnej rodzinie. Dorastała w Skale koło Opatowa, gdzie odebrała staranne religijne wychowanie. W 1924 r. przeniosiła się do Łodzi. Wyszła za mąż za łódzkiego poetę i dziennikarza Chaima Lejba Fuksa. Po rozwodzie, w 1934 r. wyjechała wraz z córeczką do Izraela, gdzie pracowała jako bibliotekarka w jerozolimskiej Akademii Sztuk Pięknych Becalet. Debiutowała w 1920 r. wierszem napisanym w j. polskim, wydrukowanym w czasopiśmie „Świat”. W późniejszym okresie zaczęła pisać wyłącznie w jidysz, publikując wiersze, opowiadania i nowele w łódzkich czasopismach literackich, m.in. „Szweln”, „Ilustrirte Woch” oraz w gazetach „Folksblat” i „Łodzer Tageblat”. Była również autorką misterium dramatycznego *Skatły* oraz komedii *Przez ścianę*. Dokonywała przekładów literatury polskiej na jidysz. W 1934 r. ukazał się w Łodzi jej pierwszy samodzielny tomik poetycki *Wynt ojf klawiszn* [Wiatr na klawiszach]. Po wyjeździe do Izraela kontynuowała twórczość w jidysz, działając na rzecz zachowania tego języka w szybko hebraizującym się społeczeństwie. Wydała dwa tomiki wierszy *Fun Kidron tol* [Z doliny Kidronu] oraz *Molad iber Timna* [Ojczyzna nad Timną]. Pośmiertnie ukazały się w Izraelu dwa tomiki jej wierszy *Lider* [Wiersze] oraz *In geslech fun Jeroszolaim* [W uliczkach Jerozolimy].

Y. Chaver, „How Shall I, So Poor, Go Forth?” *The European Poetry of Rikuda Potash*, „Prooftexts” 2007, t. 27, nr 1, s. 54–81; J. Glatstein, *In der Velt mit Yidish*, New York 1973; Z. Rajzen, *Leksikon fun der jidiszer prese, literatur un filologie*, Wilne 1929, t. 3, s. 858–859.

Polska jesień⁹

Dla Miriam Ulinower

Idę wiejską drogą,
poła pachną badyłami, kopcami, kartofłami.
Bosy chłop stuka drewnianymi trepami.
Gdzieś tam w wiosce na modlitwę dzwonią,
słońce wisi nad pańską willą zmęczone.
Koń ciągnie pług, pługiem ziemię orze,
A spocony chłop myśli wspólne ma z koniem.
Czerwone główki maków. Skrawki grządek.
Pasterze grają na fujarkach.
Kukułki jak dzieci wołają:
czas już spać.
Na środku drogi wisi Chrystus do krzyża przybity.
On też widział tę moją włóczęgę.

Przełożyła z jidysz Karolina Szymaniak

⁹ R. Potasz, *Wynt ojf klawiszn* [Wiatr na klawiszach], Łódź 1934, s. 20.

Chaim Krul

Chaim Krul (1892–1946) urodził się w Łodzi, w ubogiej rodzinie tkaczy o tradycjach chasydzkich. Matka zmarła gdy był jeszcze dzieckiem. Mieszkał na Bałutach, gdzie od wczesnych lat pracował z ojcem i siostrami przy warsztacie tkackim. Uczęszczał do chederu, literaturę żydowską i światową poznawał jako samouk. Do łódzkiego środowiska literackiego wprowadził go Chaim Lejb Fuks. Wraz z nim Krul współtworzył pismo „Gezangen”, w którym zadebiutował w 1919 r. Współpracował również z innymi jidyszowymi pismami łódzkimi, jak „Szweln”, „S’feld”, „Ojfgang”, oraz z awangardowym „Jung Jidisz”. Od 1922 r. Krul przebywał w Stanach Zjednoczonych. Ostatni okres życia spędził w szpitalu dla nieuleczalnie chorych. W 1920 r. ukazał się pierwszy tomik *Lojbn* [Hymny pochwalne], zawierający przede wszystkim wiersze miłosne w tonacji religijnej. Spotkał się on z dużym zainteresowaniem, szczególnie ze strony młodego pokolenia. Krytycy wychwalali prostotę jego w większości nierymowanych wierszy i ich intymny ton. Do jednego z jego najpopularniejszych utworów, *Bret* [Deska], skomponowano muzykę. W 1921 r. ukazał się tomik *Himlen in opgrunt* [Nieba w przepaści], ilustrowany linodrukami Estery Karp. W Stanach Zjednoczonych łódzka grupa literacka wydała w 1925 r. jego tomik *Inderlajterung* [W oczyszczeniu]. Ostatnia książka, jaka ukazała się za życia autora, *Arum zich* [Wokół siebie] (w 1930 r.), zawiera, oprócz wierszy, również krótką powieść o podłożu autobiograficznym oraz mini-esaje literackie. Twórczość Krula po wyjeździe z Polski naznaczona jest cierpieniem, na co miały wpływ nieszczęśliwa miłość i paralizująca choroba układu nerwowego. Jego przyjaciel z Łodzi, poeta Icchok Hersz Radoszycki, wydał w 1954 r. pośmiertną spuściznę pisarza *Ksowim fun Chaim Krul* [Pisma Chaima Krula], na którą składają się wiersze i teksty prozą, a także wspomnienia i eseje o autorze.

Ksowim fun Chaim Krul [Pisma Chaima Krula], red. I. H. Radoszycki, New York 1954.

Biały sen mojej matki¹⁰

Słabość do dzieci
miała moja matka.
Wszystkie je powiła
przed czasem.

a

Unoszę się pomiędzy białymi, dalekimi niebiosami,
wokół mnie

¹⁰ *Ksowim fun Chaim Krul* [Pisma Chaima Krula], red. I. H. Radoszycki, New York 1954, s. 20–22.

zgromadzenie
młodych kawalerów
starych mężczyzn
młodych panien
i starych kobiet.
Pomiędzy nimi
wuj
reb Chil Meir –
niech jego zasługi nas ochraniają
i babcia Bejla,
która nosiła
na co dzień taśes kotn,
Szybuję z młodą narzeczoną;
nasze policzki płoną,
nasze włosy – gładzi wiatr.
Przelatujemy przez bramę
i wokół nas rozbrzmiewa śpiew:
Ester-Frejdł córka Sary
niech syna urodzi
niech go donosi
niech się dobrze chowa.
I tak też we właściwym czasie
przyszedłem na świat.

b
Mamo,
dwanaście ciał
podarowałaś
ludzkiemu uniwersum.
Dumna z siebie!
Wspólniczka Boga!
Jak Bóg – tak i ty
upiększyłaś rodzaj ludzki,
ubogaciłaś go dzięki swej płodności
i przypieczętowałaś to wszystko własną krwią.

c
Daleko w rodzinnych stronach
widzę moją matkę czuwającą nieustannie
nad naszym domem: strzeże

tej naszej biedy,
pilnuje, żeby dobrze się układało między moimi dwoma siostrzyczkami
i starym ojcem,
żeby smakowało im
te parę kartofli
z odrobiną owsianki.

d
Mamo!
Wstaw się za swym dzieckiem:
niech nie zgubi się w szerokim świecie
niech nie zwiedzie go złoty cielec
niech nie wypadnie za burtę
niech ma zawsze kawałek chleba.

e
A że
dni moje nie są spokojne,
dobre są moje noce:
przychodzi do mnie moja matka, kobieta czysta i pobożna,
która swego ciała, jak Chana,
nie ukazuje ścianom domu,
i przynosi mi ukojenie.

f
Z godziny na godzinę
pogodnieję,
i z godziny na godzinę –
posępnieję.
Pogodę wnosi –
wspomnienie matki,
Posępność –
myśl o mym życiu.

g
Gdy zamykam oczy,
roztaczasz opiekę nade mną,
opowiadasz mi bajki,
moja dobra mamo.
Kto jeszcze, jak ty,

potrafi opowiadać bajki
w jidysz,
moja czysta mamó?
Gdybym miał przed kim
rozpłakałbym się
jak dziecko:
moja matka spoczywa daleko,
w polskiej ziemi,
a Bóg się ode mnie
odwrócił.

Przełożyła z jidysz Inka Stempin

Tata¹¹

a
Ojczy,
tęsknię za podarunkiem od Ciebie –
za parą filakterii i modlitewnikiem
które wręczyłeś mi na drogę;
za rzemieniem z tefilin na ramię
po dziadku, reb Mojszem Tomaszowerze
które przekazałeś mi w schedzie
a o których zapomniałem
zostawiając w polskim pociągu.
Oj, Tato!
Tęsknię za podarunkiem od Ciebie.

b
Tęskno mi do rzeki z rodzinnych stron –
gdy izba jest wysprzątana
i wysypana białym piaskiem
na cześć szabasu
a ojciec – oby żył – idzie się obmyć.
Jak to robi?
Ech, kładzie się na wodzie z pluskiem:
jego broda faluje na powierzchni rzeki
ręce tną taflę wody

¹¹ *Ksowim fun Chaim Krul* [Pisma Chaima Krula], red. I. H. Radoszycki, New York 1954, s. 23–24.

głowa unosi się dumnie
a oczy pełne są ognia
gdy tak kąpie się w rzece.
I zaczyna nurkować!
Zanurza się
niczym złoty łabędź,
majestatycznie, pod wodę.
Oj, tęskno mi do rzeki z rodzinnych stron.

c

Płakałem nocą
na kolanach ojca
a on tulił mą twarz
do swej brody
i pocieszał mnie szepcząc
wprost do mego serca.

d

Jak świetlista strzała
mój wzrok
poszybował do ojca.
Jak w pogoni za jeleniem
pomknął do niego.

e

Nocą spoczywałem
w ramionach ojca
a on ochraniał mnie
od wszystkiego co złe.

f

Nakarm ubogiego –
powiedział mi mój ojciec.
Los zagnał mnie w bogactw świat
lecz woli ojca nie spełniam
samemu głodnym będąc.

g

Grajcie mi marsz weselny!
Niech się zda,

że mnie szykują „do Tory, pod ślubny baldachim, ku dobrym uczynkom”
a ojciec błogosławi mnie
jego łzy spadają na moją głowę.
I uczony Żyd – nasz rabin
prowadzi tę ceremonię
a ja poślubiam moją narzeczoną.
Dalej – grajcie skrzypce!
Uderzcie talerze!

h
Wzrokiem sięgam aż do polskiej ziemi,
gdzie wszystko, co mi najdroższe:
stary ojciec – Żyd prawy –
prosty rzemieślnik,
który na starość wciąż тка
na swym krośnie.

Przełożyła z jidysz Inka Stempin

Icchok Hersz Radoszycki

Icchok Hersz Radoszycki (1883–1957) urodził się w Radoszycach w religijnej rodzinie. Do dwunastego roku życia uczył się w chederach i jesziwie. W 1904 r. wyjechał do Berlina, gdzie pracował fizycznie i studiował niemieckich klasyków. Po powrocie do Polski w 1906 r. zaczął pisać w jidysz. Debiutował w 1909 r. tomikiem poetyckim *In der sztil* [W ciszy]. Osiadł w Łodzi, gdzie pracował jako literat i dziennikarz, publikując szkice i wiersze w łódzkiej prasie codziennej, m.in. w „Dos Jidisze Woch”, „Łodzer Tageblat”, „Łodzer Folksblat” oraz w czasopismach literackich, m.in. w „Heftn”, „Jugend”, „Literatur” czy „S’feld”. Był jednym z założycieli i głównych działaczy żydowskiego Związku Literatów w Łodzi. W 1920 r. wyjechał do USA i osiadł w Nowym Jorku, gdzie kontynuował działalność literacką, współpracując z czasopismami „Jidiszes Folk”, „Grosjer Kundes”, czy „Amerikaner”. Zmarł w Nowym Jorku. W pierwszym okresie swojej twórczości pisał wiersze zaangażowane społecznie, opisujące biedę łódzkiej ulicy. Po emigracji do Ameryki w jego twórczości pojawiły się motywy sentymentalne, apologia prostego życia w małym żydowskim sztetl, co najwyraźniej uwidocznione jest w tomie *Radoszic* [Radoszyce], ilustrowanym przez Pinchasa Skórkę.

I. H. Radoszycki, *In der sztil* [W ciszy], Łódź 1909; tenże, *Di welt in flamen. Poeme* [Świat w ogniu. Poemat], Łódź 1920; Z. Rajzen, *Leksikon fun der jidiszer prese, literatur un filologie* [Leksykon żydowskiej prasy, literatury i filologii], Wilno 1929, t. 4, s. 60–61.

Wiosna¹²

Wiosno, siłę mi przywracasz
Wzmacniasz moje serce stare
Gdy w zielonym leżąc lesie
Upajam się twoim czarem

Lesie – umiesz ból łagodzić,
Wypełniasz duszę radością,
Choć od wielu lat już tęsknię
Za minioną mą młodością

I tak myślę – może mógłbyś
Wiosenny lesie zielony
Przywrócić mi moją młodość,
Szczęście dawno utracone...

Przetłoczyła z jidysz Julia Makosz

¹² I. H. Radoszycki, *In der sztil* [W ciszy], Łódź 1909, s. 6.

Obudźcie się duszyczki¹³

Obudźcie się, obudźcie duszyczki,
Ze swego twardego snu
Powstańcie, powstańcie, już dnieje!

Już jasność się przedziera
Przez ciemne nocne niebo
Już ptaki się zbudziły
Ze swego snu słodkiego

Obudźcie się, obudźcie duszyczki,
Ze swego twardego snu
Powstańcie, powstańcie, już dnieje!

Drzewa szeleszczą cicho
Wiatr lekko podmuchuje
Kołysząc gałęziami
Do życia przywołuje

Obudźcie się, obudźcie duszyczki,
Ze swego twardego snu
Powstańcie, powstańcie, już dnieje!

W wysokich, dumnych górach
Słodkie echo wybrzmiewa
To słowik, który budzi
Zwierzęta, ludzi, drzewa

Obudźcie się, obudźcie duszyczki,
Ze swego twardego snu
Powstańcie, powstańcie, już dnieje!
Spokojne, ciche dźwięki
Brzmia, przywołując was:
Powstańcie, chodźcie, chodźcie,
Obudzić się już czas.

Przełożyła z jidysz Julia Makosz

¹³ I. H. Radoszycki, *In der sztil* [W ciszy], Łódź 1909, s. 8–9.

Dowid Friszman (1861–1922) urodził się w Zgierzu, wychowywał i dorastał w Łodzi. Otrzymał zarówno wykształcenie humanistyczne, jak i religijne. W latach 1890–1894 studiował filologię, filozofię i historię sztuki na uniwersytecie we Wrocławiu. W latach 1911 i 1912 odwiedził Palestynę. W chwili wybuchu I wojny światowej przebywał w Berlinie, gdzie został aresztowany jako cudzoziemiec. Zwolniony z więzienia przyjechał do Warszawy, którą opuścił, gdy Niemcy zbliżali się do miasta. Udał się do Odessy, gdzie przebywał do wybuchu Rewolucji Październikowej. W czasie wojny polsko-sowieckiej udał się do Berlina, gdzie zmarł. Już jako młody człowiek redagował pisma satyryczne krytykujące ówczesnych literatów, którym jego zdaniem daleko było do poziomu artystycznego Europy Zachodniej. Był wydawcą kilku czasopism, takich jak „Ha Dor”, „Ha Zman”, „Ha Boker”. Tłumaczył dzieła literatury europejskiej, np. Andersena, Byrona, Nietzchego, Szekspira, Puszkina. Jako poeta pozostawał pod wpływem Heinricha Heinego. Pisał nowele, opowieści biblijne, opowiadania, parodie, eseje i felietony, które należą do najwybitniejszych w literaturze hebrajskiej. Jego satyryczne felietony dotyczyły aktualnych problemów społecznych. W znacznym stopniu przyczynił się do powstania nowoczesnej literatury hebrajskiej. Chciał uwrażliwić szerokie masy czytelników na piękno europejskiej estetyki. Tematem jego tekstów często była tragedia rodziców i dzieci, którzy nie byli w stanie pogodzić tradycji żydowskiej z europejskością.

M. Bosak, *O żydowskim królu Midasie*, „Opinia” 1947, nr 18, s. 7; R. Żebrowski, Z. Borzymińska, *Po-lin. Kultura Żydów polskich w XX wieku. (Zarys)*, Warszawa 1993, s. 132; *Polski słownik judaistyczny*, red. R. Żebrowski, Z. Borzymińska, Warszawa 2003, t. 1, s. 451; *Słownik pisarzy świata*, Kraków 2004, s. 296.

***14

Poświęca się popieraczom piśmiennictwa żydowskiego w różnych językach

Niechaj zabrzmi oda wierszem a nie prozą
Na cześć mełameda mego z jego kozą.
Był niegdyś mełamed, zwany rabbi Icze,
Raczej nad-mełamed, jakby orzekł Nitzsche;
Człęk mądry, uczony, godny stu piramid,
Odziany nie w łachman, lecz atłas, aksamit.
A miał kozę dzielną, kozę niepowszednią,
Kozę żwawą z włosiem gładkim, sierścią przednią;
Kozę ładną, miłą, kozę nad kozami,
Która swoją krasą stado kozłów mami;

¹⁴ *Antologia poezji żydowskiej*, red. S. Hirschhorn, Warszawa 1921, s. 38–39.

Co umiała skakać, płaść, hopsać gracko,
Beczeć be-me, me-be – słowem koza cacko.
A chuda i cienka była także przytem,
Więc się wyróżniała małym apetytem,
Doić zaś się dała, ile kto zapragnie,
Pokorna, spokojna jak niewinne jagnię;
Potulna, skromniutka, dobrze wychowana,
Lecz trza dalej śpiewać ku chwale jej pana.
Pan ją bardzo kochał jak nikogo w świecie,
Pieścił ją i głaskał, niby własne dziecko.
Kochał platonicznie, jako owoc rajski,
W szacie różnej: polskiej, żydowskiej, hebrajskiej...
A że serce miał on jak król nie konował,
Więc ją lubił, kochał, hołubił, miłował;
Od rana do nocy ciągle do niej gadał,
Nad każdziutką skazką jej płakał i biadał,
Lub się oblizywał i mlaskał językiem,
Jak gdyby pił szampan, istny Szato-Ikem...
O jednym przepomniał wśród miłosnej wrzawy:
Nie dał jej otrębów, ni siana, ni trawy,
Ani kropli wody, by zwilżyć krew, kości –
Za to wciąż jej prawił o wiecznej miłości;
Miłował ją we dnie, miłował ją w nocy,
Tylko o jej doli nie myślał sierocy.
A biedne bydlątko było coraz chudsze,
Zamiast mięsa – kości, ze szczerbami w futrze...

A czy wiecie, jak się z kózeczką skończyło?
Raz w piękny poranek, albo nockę miłą
Kochający rebe poszedł do obory,
By, jak zwykle, wyznać jej swoje amory,
Lecz strasznie się przeląkł i zdziwił niemało,
Widząc swojej kózki – wyciągnięte ciało.
Wiecie co się stało? Łamcie ręce obie!
Tak pieszczona kózka nagle... zdechła sobie.
Ordynarnie zdechła ta nikczemna koza,
Niech na cześć jej pana brzmią rymy i proza:
On jej dalej złożył swej miłości piętno,
Kazał jej pośmiertną mowę elokwentną
Wyrznać takim, którzy rzną podobne mówki
Nie dostając również ni grosza gotówki.

Za to on i inni tacy „miłośnicy”
Łzy ronili w domu, w knajpie, na ulicy
Dymem się pachnącym zaciągając z fajki...
Morał sami snujcie z tej niewinnej bajki.

Przetłóżył z jidysz Samuel Hirschhorn

Alter Ajzenszlos (Eisenschloss)

Alter Ajzenszlos (1870–1925) urodził się w Mińsku Mazowieckim w rodzinie chasydzkiej. Gdy miał trzy lata rodzina przeprowadziła się do Warszawy. Obok wykształcenia religijnego podjął się samodzielnej nauki jidysz i j. rosyjskiego. Mając 17 lat uciekł z domu i błąkał się po wielu miastach zaboru rosyjskiego, mając się różnych zawodów. Po powrocie do domu mając 21 lat założył rodzinę, pracował i w dalszym ciągu się kształcił. Swoją pierwszą sztukę pt. *Di geszterte chasene* [Kłopotliwy ślub] napisał w 1908 r. (w 1917 r. została wystawiona na deskach Stefanie Theatre w Wiedniu). Od 1914 r. pisał dla „Der Tog” w Krakowie, następnie dla „Wiener Morgenzeitung” oraz lwowskiej „Togblat”. Jego dramat z 1918 r. *Kise harabojnes* [Fotel rabinacki] przedstawiający walkę między nowym a starym pokoleniem żydowskim w Polsce był w 1921 r. wystawiany w warszawskim żydowskim teatrze „Central”.

W 1920 r. zamieszkał w Łodzi, gdzie został korespondentem „Łodzer Tageblat”. Na łamach gazety opublikował kilkaset opowiadań ludowych i chasydzkich, które przedrukowywano w zagranicznej prasie w jidysz. W 1922 r. opublikował w Łodzi zbiór opowiadań *Majn zejdn majselech* [Opowiadki mojej dziadunia]. Niektóre z nich zostały przetłumaczone w krakowskim „Nowym Dzienniku” oraz w „Wiener Morgenzeitung”. Przede wszystkim skupiał się na pisaniu utworów scenicznych, m.in. *In jene cajt* [W tamtych dniach], *In di szturem-teg* [W burzowe dni], *Der kunst-maler, di filantropn, der feldszer-jung* [Malarz, filantrop i młody fryzjer]. Ta ostatnia została wystawiona w Łodzi w 1925 r.

Ajzenszlos aktywnie działał w życiu literackim Łodzi. Zmarł i został pochowany w Łodzi na cmentarzu żydowskim przy ul. Brackiej.

Z. Reyzen, *Leksikon fun der jidiszer literatur, prese un filologie* [Leksykon żydowskiej literatury, prasy i filologii], Wilno 1929, t. 1, s. 73–74; Archiwum Państwowe w Łodzi, Spis Ludności Łodzi 1916–1921, sygn. 24441, k. 87; Kartoteka Cmentarza Żydowskiego w Łodzi (nlb).

Mesjasz syn Józefa¹⁵

Jak wiecie, według naszych Mędrców, niech ich pamięć będzie błogosławiona, w każdym pokoleniu jest obecny Mesjasz z rodu Józefa, który tylko czeka na znak z góry, by wyzwolić Żydów z niewoli wygnania. Opowiada się historię o tym, jak raz czterech szacownych uczniów Widzącego z Lublina naprzykrzało się swemu rebe, gdyż chcieli poznać obecnego Mesjasza z rodu Józefa.

– Nie przestaniemy cię nagabywać, rebe – oznajmili jak jeden mąż – dopóki nie ujawnisz nam, kto w naszych czasach jest Mesjaszem z rodu Józefa.

Nie mogąc dać sobie z nimi rady Widzący powiedział:

– Jedźcie do Tyszowców, tam go zobaczycie.

¹⁵ A. Ajzenszlos, *Mesziach ben Josef* [Mesjasz syn Józefa], Łódź 1929, s. 1–6.

- Kogo mamy tam szukać? – dopytywali się uczniowie.
- Szmula Alikuma, krawca – odpowiedział im Widzący.

Tyszowce to miasteczko niedaleko Lublina. Toteż uczniowie nie zwlekając udali się w drogę. Lecz gdy tylko wyjechali za miasto, zepsuło im się koło i musieli zawrócić. Naprawili więc koło i wyjechali znowu. Ale ledwie znaleźli się na drodze do Tyszowców, zepsuło im się drugie koło i musieli ponownie wrócić do miasta. Naprawiwszy drugie koło, udali się w drogę i znowu zdarzyło się to samo z trzecim, potem z czwartym, a potem z osią... Stało się wreszcie dla nich jasne, że nie dane im będzie tam dotrzeć jadąc. A ponieważ byli oni wielkimi cadykami, a cadycy bywają uparci, poszli pieszo. Przybywszy do Tyszowców weszli do besmedreszu i nie mogli uwierzyć w to co tam zobaczyli: sami prości Żydzi, zwykli ludzie. Zapytali o Szmula Alikuma krawca.

– On jest kiepskim krawcem. Przerabia starzyznę – padły słowa z sali – Jeśli tylko zechcecie, wskażemy wam mnóstwo lepszych krawców.

– Nie! – zakrzyknęli zgodnie uczniowie – My potrzebujemy Szmula Alikuma.

– Jeśli koniecznie jego, zaprowadzimy was – oznajmili zebrani i powiedli ich do domu, w którym mieszkał. Wszedłszy do izby nie zastali go, tylko jego żonę.

– Gdzie jest twój mąż? – zapytał jeden z nich.

– Mój mąż? – powtórzyła pytanie żona Szmula spoglądając podejrzliwie na czterech nieznajomych – Na co wam potrzebny mój mąż?

– Chcemy zlecić mu małą robótkę – powiedzieli.

– Mojego męża teraz nie ma w domu. Jest daleko. Wróci o zmierzchu. – odpowiedziała im kobieta. – Jeśli chcecie, możecie tu zaczekać.

Tak też zrobili. Czekając, cały czas próbowali rozmawiać z żoną Szmula Alikuma o jej mężu. Chcieli wyciągnąć coś od niej, ale ona nie podejmowała rozmowy. Wypowiadała tylko pojedyncze, urywane słowa; półsłówka, z których uczniowie nie mogli dowiedzieć się, czy ona zdaje sobie sprawę z tego, kim jest jej mąż. Uczniowie przeszukali także mieszkanie Szmula Alikuma – te dwie izby, w których mieszkał, mając nadzieję, że wyczują atmosferę Mesjasza. Ale nie poculi nic niezwykłego. Nic nie wskazywało na to, że mieszka tu Mesjasz z rodu Józefa. Ot izdebki takie jak u wszystkich biedaków. Para koślawych łóżek, krzywy stół i ławy i stara, pordzewiała maszyna do szycia składały się na całe umeblowanie. Czasami uczniom wydawało się, że słyszą coś jakby głosy dochodzące z piwnicy. Ale dokładnie w tym czasie, kiedy zdawało się im, że coś słyszą, kobieta zaczynała rąbać drewno tak, że nie byli pewni czy coś słyszeli, czy im się tylko zdawało. Tymczasem nadeszła pora na modlitwę minche, a ponieważ gospodarza nadal nie było, uczniowie udali się do besmedreszu. Po modlitwie maariw znowu wybrali się do domu krawca i tym razem go zastali.

– Szolem alejchem – przywitał ich Szmul – Żona mówiła mi, że macie dla mnie jakąś robótkę i, że cały dzień czekaliście tu na mnie.

– Zgadza się – zakrzyknęli uczniowie – Mamy trochę pracy dla ciebie, ale prosimy przejdźmy do drugiej izby.

– Rebe – powiedzieli usiadłszy – jesteśmy uczniami Widzącego! Długo pracowaliśmy nad naszym rebe, zanim wysłał nas w końcu tu do ciebie. A teraz chcielibyśmy usłyszeć, czy jesteś Mesjaszem naszego pokolenia, Mesjaszem z rodu Józefa?

– Wasz rebe nie wprowadził was w błąd – odrzekł Szmul Alikum krawiec z Tyszowców – Tak, jestem Mesjaszem z rodu Józefa, Mesjaszem naszych czasów! Ale powinniście powiedzieć waszemu rebe, że chociaż cały świat nazywa go Widzącym, nie widzi on prawdy. Nie dostrzegł, że z powodu ujawnienia tego sekretu nasz naród będzie musiał pozostać nadal w niewoli wygnania. Byłem już na dobrej drodze, by sprowadzić Mesjasza. Przeszkodził mi wasz rebe, Widzący. On nie tylko mi przerwał, lecz spowolnił nadejście Mesjasza. W ten sposób zakończyłem swoją misję. Nie wolno wam było mnie zobaczyć!

– Skoro rebe nas tu przysłał, musiał przecież to wiedzieć – próbowali uczniowie usprawiedliwić Widzącego.

– Nic takiego nie wiedział – rzekł im – i powinniście przekazać mu, że ja, Szmul Alikum, krawiec z Tyszowców, powiedziałem, że skoro ujawnił on sekret, którego nie powinien był wyjawić, od dziś przestanie widzieć, i że nikt też już nie będzie wiedział, kto zostanie po mnie Mesjaszem z rodu Józefa, Mesjaszem swoich czasów...

– Rebe! – zaczęli go błagać uczniowie – Poucz nas choć trochę Tory, zanim odejdziesz... Zdradź nam wielką tajemnicę dzieła stworzenia...

– Czy będziecie mogli to unieść? – zapytał się ich tyszowiecki krawiec.

– My jesteśmy wystarczająco mocni w Torze i w pobożności! – odpowiedzieli mu uczniowie – A jeśli będziemy słabi, jeśli nie podołamy, bądź proszę wyrozumiały dla nas.

Tyszowiecki krawiec przez chwilę się zastanowił, a potem powiedział:

– Chodźcie ze mną! Ale nie powinniście wypowiedzieć nawet pojedynczego słowa, dopóki nie wrócimy z powrotem do tej izby...

Po tych słowach podniósł deskę z podłogi i zanim się obejrzel, znaleźli się w ciemnej piwnicy. Lecz natychmiast, gdy krawiec włożył z powrotem deskę na miejsce, stało się bardzo jasno. Światło oślepiło ich tak, że czterech uczniów zamknęło oczy. Od razu dał się słyszeć głos tyszowieckiego krawca: – „Na początku Bóg stworzył!” I wtedy odsłonił się przed nimi cały sens Szechiny, Boskiej obecności. A gdy Szmul Alikum wypowiedział: „niebo i ziemię”, zobaczyli całe niebo z Tronem Boskiej Chwały i cały świat, ziemię i odmęty.

– Dość, rebe! – zakrzyknęli uczniowie i natychmiast popadli w wielką słabość.

Trochę później, gdy czterej uczniowie znaleźli się z powrotem w izbie na górze, Szmul Alikum powiedział im:

– Nie chciałem tego mówić. Od dwunastu już lat pracuję nad tym, aby dane mi było wypowiedzieć drugie zdanie, ażeby przerwać niewolę diaspory, żeby już przyszedł Mesjasz. Znalazłem sposób. Przybył lublinianin i przeszkodził mi doprowadzić wszystko do końca.

– Rebe! Mesjaszu z rodu Józefa! Czy wasza żona wie kim jesteście? – zapytali przerażeni uczniowie.

– Tak, moja żona wie, kim jestem – odpowiedział im Szmul Alikum – Ona musi to wiedzieć, gdyż jest Serach, córką Aszera...¹⁶

Tej samej nocy Szmul Alikum ze swoją żoną zmarli.

Uczniowie udali się natychmiast do rebeba z Tyszowiec. Powiedzieli mu, kim był zmarły krawiec reb Szmul Alikum i jego żona. Rebe, rozumie się, cały drżał słuchając o tym. Natychmiast zawiadomił całe miasteczko. Wszyscy, starzy i młodzi, przybyli na pogrzeb. Tyszowieccy Żydzi bardzo płakali, że stracili Maszasa. Wystawiono zmarłemu najpiękniejszy grób. Następnej nocy wyrosło tam wielkie, mocno rozgałęzione, grube drzewo, które zakryło cały grób...

W dzień przybyli tam Widzący, rabini oraz wielu dobrych ludzi.

Poniważ Widzący ujawnił tajemnicę, zmarł w tym samym roku. Domek, w którym mieszkał Szmul Alikum, należy dziś do chasydów rebe Ajzyka Tyszowieckiego, ale ani jego izby, ani piwnica nie są zamieszkane. Miejsce to do dziś jest uważane za święte. Można się zbliżyć do niego tylko raz w roku, w rocznicę śmierci reb Szmuła. Również w rocznicę jego śmierci pielgrzymuje się do macewy, którą wystawiono później obok drzewa i otoczono żelaznym ogrodzeniem. Na macewie tej każdy może przeczytać wyraźny napis:

Tu spoczywa Szmuel Alikum, Mesjasz z rodu Józefa, i jego żona Serach córka Aszera.

Thumaczyła z jidysz Joanna Matyjasek

Żydowskie miłosierdzie¹⁷

Dawno temu w Pradze panował książę Rudolf, który znany był z sympatii i dobroci dla Żydów. Miał on w zwyczaju odwiedzać starego rabina z Pragi, cieszącego się sławą wielkiego mędrca. Książę bardzo lubił rozmawiać z nim godzinami o różnych sprawach. Pewnego razu, gdy tylko usiadł w izbie rabina, rzekł nagle:

– Jest pan bożym człowiekiem, może zatem potrafi pan wytłumaczyć mi, dlaczego czuję więcej miłości do pańskiego narodu niż do mych własnych braci?

¹⁶ Serach, córka Aszera – wnuczka Jakuba, wymieniana w Torze (Rdz 46,17) jako jedna z grupy 70 osób z rodu Jakuba, które wyszły z Kaanan do Egiptu; w midraszach jest przedstawiana jako ta, która pierwsza poinformowała Jakuba o tym, że jego syn Józef żyje.

¹⁷ A. Ajzenszlos, *Mesziach ben Josef* [Mesjasz syn Józefa], Łódź 1929, s. 7–11.

– Przyjdź za trzy dni, to ci to wyjaśnię – odpowiedział stary rabin.

Gdy książę przyszedł po trzech dniach, rabin przyjął go tak samo przyjaźnie jak zawsze i powiedział:

– Twoje serce ciągnie bardziej do Żydów niżli do własnych braci, ponieważ przynależysz bardziej do nas niż do swych rodaków. Masz żydowską krew, ponieważ twoim ojcem był Żyd!

– Co? – zakrzyknął głośno wielce zdziwiony książę – Mój ojciec, stary książę, był Żydem?

– Stary książę był chrześcijaninem – odpowiedział rabin – ale on nie jest twoim ojcem. Twój ojciec był Żydem!

– Czy zapomniałeś z kim rozmawiasz? – gniewnie zakrzyknął książę – Jak możesz mieć czelność, tak do mnie mówić? Jeszcze słowo i zapomnę, że jesteś bożym człowiekiem.

– Nie złość się, Wasza wysokość! – rzekł rabin – Jeśli tylko rozkażesz, opowiem ci o twoim pochodzeniu, o tym jak właściwie przyszedłeś na ten świat...

– Opowiedz! – rozkazał książę.

– Ale ty nie złość się, tylko wysłuchaj cierpliwie – odrzekł stary rabin.

– Wysłucham – odpowiedział książę.

– Stary książę, którego ty uważasz za swego ojca – rozpoczął opowieść rabin – nie miał z księżną, twoją matką, dzieci. Wyobrażasz sobie, jak zburzyło to spokój rodzinny. Książę z księżną nie byli szczęśliwi. Często z tego powodu dochodziło między nimi do kłótni. Książę krzyczał, że to księżna jest winna temu, że on nie ma dzieci. A z kolei ona oskarżała jego... Pewnego razu, po wielkiej kłótni, bardzo rozzłoszczony książę podniósł rękę do góry i przysiągł: „Księżno! Ostatni rok czekam. Jeśli nie dasz mi w ciągu tego roku potomka, wygnam cię z zamku jak żebraczkę!”

Na zamku przebywał wtedy częsty gość, Żyd o imieniu Lejbuś. Będąc pewną, że książę dotrzyma swojej przysięgi, i wiedząc dobrze, że to z jego powodu nie może mieć dziecka, księżna, twoja matka, posłała po Lejbusia i ze łzami w oczach zwierzyła się mu ze wszystkiego. Powiedziała, że liczy na niego. Błagała go, aby zlitował się nad nią i został ojcem jej dziecka...

– Ależ księżno! – zakrzyknął Lejbuś – Dlaczego właśnie ja? Żyd... Masz przecież na zamku pełno dworzan, szlachciców!

– Wybrałam ciebie dlatego – odrzekła księżna – ponieważ jestem pewna, że tylko ty zatrzymasz ten sekret na wieki. Więcej niż raz nie zgrzeszę... Mam taką samą bojaźń Bożą jak ty... Rozumiesz?! Ja nie czynię tego z powodu pożądania... mogłabym wprawdzie powierzyć to jednemu z dworzan, ale zmuszaliby mnie oni potem już przez całe moje życie do grzeszenia z nimi!...

– Ależ księżno! Zastanów się jeszcze raz... – zaczął Lejbuś.

– Przemyslałam to dokładnie i więcej nie mam co się zastanawiać – nie pozwoliła mu dalej mówić księżna. Proszę cię jeszcze raz, abys okazał mi miłosierdzie, żebyś nie naraził mnie na wieczne potępienie, ani na tym, ani w przyszłym świecie!...

– W takim razie daj mi trzy dni na zastanowienie się – odrzekł Lejbuś.

– Dobrze, dam ci trzy dni – odpowiedziała mu księżna. Pomyśl jednak dobrze, bo jeśli nie będziesz mieć nade mną litości i powiedzisz mnie do piekła, to i ja nie będę mieć litości nad tobą i nad wszystkimi Żydami. Sprowadzę na was cierpienia i nieszczęścia, będę was tak męczyć, żebyście poczuli prawdziwe piekło, jako i ja będę czuła.

Lejbuś udał się do starego rabina z Pragi i to wszystko mu opowiedział. Rabin niezwłocznie zwołał bejs din złożony ze wszystkich sędziów rabinackich w Pradze. Dwa dni i dwie noce siedzieli oni i roztrząsali tę sprawę, po czym orzekli, że Lejbuś może raz dopuścić się cudzołóstwa z księżną. Sąd wydał taki werdykt nie z powodu strachu przed cierpieniami, jakich mogą doświadczyć Żydzi, gdyby Lejbuś nie uległ woli księżnej, ale dlatego, że żydowskie miłosierdzie jest wielkie i Żyd może popełnić grzech, by uratować przed wiecznym potępieniem innego człowieka, nawet jeśli nie jest on Żydem. Zgodnie z wyrokiem sądu księżna musiała zobowiązać się na piśmie, że poza tym jednym razem, nie będzie więcej tego żądać ani od Lejbusia, ani od innych Żydów. Lejbuś zaś musiał podpisać, że w ciągu trzech dni po spotkaniu z księżną opuści Pragę i nigdy więcej do Pragi nie wróci. Obydwa dokumenty zostały złożone u starego rabina z Pragi...

– A zatem moja matka podpisała taki dokument? – dopytywał się książę, nie wierząc w całą tę historię.

– Niezwłocznie! – odpowiedział rabin – Gdy tylko Lejbuś poszedł i przekazał jej orzeczenie sądu, twoja matka, księżna, podpisała ten papier... Również Lejbuś trzymał się werdyktu. Trzy dni po tej nocy, którą spędził z księżną, twoją matką, sprzedał wszystko i wyjechał, i do dziś nikt nie wie, gdzie on jest...

Na poparcie swoich słów rabin wyjął z szuflady dwie kartki i podając jedną z nich księciu zapytał:

– Czy to jest podpis księżnej, twojej matki?...

Książę rzucił szybkie spojrzenie na dokument i zbladł jak ściana. Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Przez chwilę zastanawiał się, potem wziął ową kartkę papieru i podarł ją na strzępy.

– On nie będzie też już potrzebny – powiedział rabin i podarł dokument podpisany przez Lejbusia.

Po chwili książę ujął z szacunkiem dłoń rabina, ucałował ją i rzekł:

– Dziękuję ci bardzo, stary pobożny człowieku, za to, że strzegłeś tak troskliwie dobrego imienia i czci mojej matki, księżnej.

Nie mówiąc nic więcej, poszedł. Tej samej nocy ksiązę Rudolf otrul się. I nikt w całej Pradze, z wyjątkiem starego rabina, nie znał prawdziwej przyczyny nagłej śmierci księcia.

Tłumaczyła z jidysz Joanna Matyjasek

Icchok Rzeźnik¹⁸

Całe miasteczko nazywało go Icchok Rzeźnik, ale rodzina zwracała się do niego Icchokl lub nasz Icchokl... Z dwóch powodów rodzina się nim chlubiła: po pierwsze nie był on biedakiem, a po drugie choć zarówno ze strony ojca, jak i ze strony matki z dziada pradziada pochodził z rodzin rzeźników, nie był ani tak grubiański, ani tak szorstki jak inni rzeźnicy w miasteczku. Był on też uczony. Każdego ranka, gdy nie wyjeżdżał na jarmark, zasiadał przynajmniej na godzinkę, by postudiować Misznę czy Gemarę. Handlował w wielkim stylu. Jego imię było znane nie tylko w miasteczku, ale też i w całej okolicy. Gdziekolwiek by się nie pojawił, miał swoich dostawców, którzy dostarczali mu woły, cielęta, krowy, owce. Woleli ubijać interesy z nim niż z innymi rzeźnikami, ponieważ nie wykorzystywał ich i dawał zarobić. W rezultacie, rozumie się, Icchok Rzeźnik miał zawsze więcej towaru niż potrzebował, toteż często inni rzeźnicy z miasteczka przychodzili do niego, by im trochę odsprzedać. W swoim fachu Icchokl był wybitny. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na wołu czy inne bydło, by ocenić natychmiast, ile funtów mięsa otrzyma z danej sztuki. Zawsze szacował prawidłowo. Nie zdarzyło się, żeby stracił na dostawie, jak to zdarzało się innym rzeźnikom. On zawsze zarabiał. Czasem mniej, a czasem więcej, ale zawsze zarobił. Z tego też powodu wielu kupców wołało kupić u Icchoka niż u innych handlarzy, czy nawet u samych dostawców, ponieważ kiedy kupowali u niego, byli pewni, że i oni coś niecoś zarobią. Wiedzieli, że ich nie oszuka i że bardziej się opłaca dać jemu skorzystać niż kupić u innych. Co do oczu Icchoka to mówiło o nich zarówno miasteczko, jak i cała okolica. Ich spojrzenie całkiem nie pasowało do rzeźnika. Pełne miękkości i litości, prędeż by pasowało do szlachetnej, czulej kobiety niż do mężczyzny i do tego jeszcze rzeźnika z dziada pradziada. I była to naprawdę wielka zagadka dla wszystkich, skąd właśnie u niego wzięły się takie łagodne, smutne i pełne miłosierdzia oczy, skoro nikt w całej rodzinie takich nie miał. Trudno było też stwierdzić, skąd brała się u niego taka śmiałość, gdyż choć z natury nie był wielkim siłaczem, nie bał się podejść nawet do oszalałego wołu. Nieraz zdarzyło się na jarmarku, że najwięksi i najsilniejsi rzeźnicy, nie mogąc poradzić sobie z rozsierzdzonym buhajem, przychodzili do Icchoka, a on tylko zerknął na niego tymi swoimi oczami i zwierzę się uspokajało. Kiedy pytano go

¹⁸ A. Ajzenszlos, *Mesziach ben Josef* [Mesjasz syn Józefa], Łódź 1929, s. 12–16.

o przyczynę – co takiego skrywa się w jego spojrzeniu, że tak działa na przerażone zwierzęta, odpowiadał z uśmiechem:

– Nie wiem, lecz wydaje mi się, że moje oczy mówią do nich, pocieszają je, proszą o to, by się nie upierały, bo koniec końców i tak nic im to nie da.

To samo działa się w rzeźni. Kiedy dokonywano uboju przerażonego wołu, którego nie mogli pokonać ani rzeźnicy, ani rzezacy, w żaden sposób nie mogąc go powalić, posyłano po Icchoka. Gdy tylko przyszedł, wszystko zaczynało iść dobrze. Icchokl sam jeden podchodził do wołu, po czym kierując na niego swoje spojrzenie i wpatrując mu się głęboko w oczy, przenikał go na wskroś, co wyglądało po prostu tak, jakby je błagał i mówił:

– Naprawdę mam dla ciebie litość! Ale musisz zrozumieć, że ludzie potrzebują mięsa na szabas... rabin musi zarobić... rzezak także... a ty powinienes być zadowolony z tego, że zabije się ciebie z błogosławieństwem... że ludzie będą mieć przyjemność dzięki tobie... a z pewnością ty też będziesz się radował, bo wypełnisz to, co ci przeznaczone!...

I wół natychmiast to rozumiał! Powoli zaczął zginać kolana, kładąc się dosłownie sam do rzeźnia... Lecz pewnego razu zdarzyła się taka historia. Stało się to z młodym byczkiem, który był tak mocno przerażony, że w żaden sposób nie dało się nad nim zapanować. Posłano po Icchoka. Niezwłocznie przybył on do rzeźni, stanął naprzeciwko byczka, i spojrzał mu w oczy... Patrzył dłuższą chwilę, byczek nie ruszał się z miejsca, zupełnie jakby nic nie robił sobie z jego spojrzenia. Ale Icchok też nie ustąpił i stał dalej, nie przestając wpatrywać się w oczy stworzenia. Po kolejnej chwili byczek nadal nie ruszył się z miejsca i to rozżłościło rzeźnika. Największe, najsilniejsze, najdziksze woły miękły pod jego spojrzeniem, a tu taki młodziak miałby być tak uparty? Miałby się nie ruszyć z miejsca? Icchokl wpadł we wściekłość i z nadludzką odwagą chwycił byczka za małe różki, aż udało się już trzymane tak mocno zwierzę całkiem łatwo położyć do rzeźnia...

Tej samej nocy Icchokl w żaden sposób nie mógł zasnąć. Ten byczek stawał mu ciągle przed oczami i zdawało mu się, że on płacze i krzyczy:

– Bandyto! Morderco! Dlaczego napadłeś na mnie z taką dziką wściekłością? Gdybyś jeszcze przez chwilę popatrzył się na mnie, sam bym ci się poddał...

I odtąd nie zaznał już Icchok spokoju ani w dzień, ani w noc. Gdziekolwiek by nie spojrzał, widział byczka... Słyszał jego głos... W miasteczku zaczęto nawet mówić, że to w ogóle nie był taki zwykły byczek... że musiała to być jakaś nieczysta sprawa, jakiś potępiony duch! ... Jakkolwiek by nie było, to nie miał już Icchokl wytchnienia z tego powodu. Najpierw odsunął się całkowicie od interesów, a jego stopa nie powstała więcej w rzeźni. Następnie jeździł do uzdrowicieli, nie omijając także doktorów. Nic to jednak nie pomogło, na każdym kroku widział byczka i wszędzie słyszał jego głos!... Cała historia trwała dwa lata, aż w końcu umarł.

Mówiło się, że gdyby nie to zdarzenie z byczkiem, Icchokl żyłby jeszcze długo, ponieważ jego rodzina słynęła z długowieczności. Ale on zmarł w młodym wieku, a całe miasteczko ubolewało nad tym przez długie lata.

Tłumaczyła z jidysz Aleksandra Imiłowska

Martwa żona¹⁹

W miasteczku Łapkerów mieszkał człowiek, nazywał się reb Icchok Ajzyk. Był pobożnym Żydem w średnim wieku. Miał dobry zakład krawiecki na Rynku, a także własny dwupiętrowy dom, jedyny w sztetlu. Był członkiem rady gminnej, uwielbianym przez całe miasteczko za swoją uczciwość i dobroczynność, którą oferował wszystkim mieszkańcom w potrzebie.

Miał żonę, ona również była dobrego usposobienia. Jej kuchnia była otwarta dla biednych dniem i nocą, często też rozdawała jałmużnę. Kiedy tylko widziała u kogoś grymas cierpienia na twarzy, lub ktoś poruszył jej serce, natychmiast otrzymywał pomoc. Nieważne jak duża miała być to pomoc, nikt nie odchodził z pustymi rękami.

– Ta para to prawdziwe Boże błogosławieństwo – chwaliło ich zawsze całe miasteczko – tacy kochający się ludzie, tak przyjaźnie nastawieni do biednych, tak przejęci sprawami mieszkańców, tak dużo rozdają jałmużny. Trudno spotkać jeszcze jedną taką parę w dzisiejszych czasach.

Reb Icchok Ajzyk nie miał dzieci. I choć nieustannie jeździł z żoną do „specjalistów”, nawet do lekarzy, nic nie pomagało. Ich zmartwienie było ogromne i współczuło im całe miasteczko. Jednak jakby mało było cierpień reb Icchoka z tego powodu, że nie ma dziecka, które po nim odziedziczy wielki majątek i dobry charakter, to jeszcze ona, jego żona, wzięła sobie to tak mocno do serca, że zapadła na ciężką chorobę, od której po kilku tygodniach zmarła.

Cały sztetl płakał z reb Icchokiem Ajzykiem. W dzień pogrzebu wszystkie sklepy w miasteczku były zamknięte. Starzy i młodzi, mali i duzi – wszyscy przyszli na cmentarz. Każdy chciał oddać cześć zmarłej. Wszyscy wiedzieli, że ona, biedactwo, zmarła ze zmartwienia i ze wszystkich stron dało się słyszeć szepty:

– Szkoda! Wielka szkoda! Gdyby żyła, może mogłaby jeszcze mieć dzieci... Przecież była taka sprawiedliwa i prawa! Taka uczynna i dobra dusza!...

Reb Icchok Ajzyk miał sąsiadkę. Gdy żyła jego żona, obie bardzo się przyjaźniły. Była to młoda wdowa, która często przychodziła do rodziny Ajzyka. Żona reb Icchoka też ją czasem odwiedzała. Obie kobiety pocieszały się nawzajem... Razem chodziły rozdawać jałmużnę biednym, stały razem w synagodze, jednym słowem, były prawie nierozłączne i były dla siebie jak siostry.

¹⁹ A. Ajzenszlos, *Dos tojte wajb* [Martwa żona], Łódź 1929, s. 17–22.

W czasie żałoby owa sąsiadka codziennie przychodziła gotować dla reb Icchoka obiady i kolacje, sprzątać w pokojach i pomagać w zakładzie.

– Naprawdę dobra sąsiadka – mówili pozostali sąsiedzi. – W domu zupełnie jak swoja. Interesuje się każdym drobiazgiem i pomaga mu we wszystkim.

– Może nawet zostaną parą? – dodawali inni. – Jest ładna i młoda i oczywiście będą mogli mieć dzieci. Może kiedyś się pobiorą? Nigdy nic nie wiadomo.

Minęły dwa miesiące i reb Icchok Ajzyk przekonał się, że sam nie da sobie rady.

– Ciężko jest być samemu – zaczął uskarżać się domownikom – Nie można w pojedynkę prowadzić domu i zajmować się handlem. Kiedy zajmuję się domem, nie zajmuję się pracą, interes nie idzie, a kiedy zajmuję się pracą, nie zajmuję się domem... Boję się, że wszystko upadnie.

Doszło do tego, że niektórzy zaczęli z nim rozmawiać o ślubie. Inni patrzyli krzywo. Dopiero dwa miesiące, a on już zapomniał?! A tymczasem reb Icchok Ajzyk nie zapomniał swojej żony. Kiedy tylko przekraczał próg domu, brakowało mu jej na każdym kroku. Najdotkliwiej odczuwał jej brak w szabas, kiedy zakład był zamknięty. Mimo, że sąsiadka gotowała mu dokładnie to samo, co jego żona, reb Icchok cały szabas chodził smutny i zupełnie nie czuł się jak w domu. Był nieswój, modlił się, żeby ten dzień się już skończył, a on mógł wrócić do pracy. Tam mógł choć trochę zapomnieć.

W pewien szabasowy wieczór do reb Icchoka przyszedł reb Jekele Szerches, znany jako najlepszy swat w całym miasteczku. Zaszedł porozmawiać o dziewczynie, z którą reb Icchok mógłby się ożenić. Reb Icchok Ajzyk był tak zaprzętnięty rozmową o swatach, że zasiedział się z reb Jekelem do późna. Wtem nagle dało się słyszeć kłasnienie w dłonie.

– Icchoku Ajzyku! Nie pozwolę na żadne swaty! Ja, twoja żona, Chana Gitl, chcę, żebyś ożenił się z sąsiadką. Żadnej innej nie pozwolę modlić się nad moim świecznikiem szabasowym, żadnej innej nie pozwolę leżeć w moim łóżku, żadnej innej nie pozwolę nosić mojej biżuterii! Słyszysz?!

Reb Icchok Ajzyk siedział zupełnie jak skamieniały. Ręce i nogi miał obumarłe ze strachu. Reb Jekl nie wrócił na noc do domu. Obaj przez całą noc nie zmrúżyli oka. Głosu jednak już więcej nie słyszeli.

Rano całe miasteczko wiedziało już, co wydarzyło się u reb Icchoka poprzedniej nocy. Rozmawiano o tym wszędzie. Wszyscy uznali, że to znak. I wszyscy przyznawali rację zmarłej. Powinien ożenić się z sąsiadką, która była tak blisko z nieboszczką i która cały ten czas obchodziła się z nim samym jak z własnym mężem.

Sam reb Icchok Ajzyk udał się do rabina i opowiedział mu całą historię.

– To może rzeczywiście tak zrobisz? – zapytał rabin, wysłuchawszy opowiadania

– To nie jest taki zły pomysł...

– Ale moje serce jest wobec niej obojętne, rebe! – odpowiedział reb Icchok Ajzyk – Zrobiłbym to bez wątpienia, gdyby choć trochę mnie pociągała...

– Zbierz minjan, idź na cmentarz i poproś żonę o wybaczenie, za to, że nie możesz zadośćuczynić jej prośbie.

Reb Icchok Ajzyk tak właśnie zrobił. Zebrał minjan, poszedł na cmentarz, błagał żonę o wybaczenie. Później wszyscy wypili na zdrowie i uspokojony wrócił do domu.

O dwunastej w nocy znów usłyszał kłaśnięcie w dłonie:

– Byłeś dzisiaj na moim grobie. Ale nie wybaczyłam ci i nie wybaczę, dopóki nie ożenisz się z sąsiadką! Powtarzam jeszcze raz, po raz ostatni, że żadnej innej nie pozwolę zająć mojego miejsca, tylko jej, sąsiadce...

Reb Icchok Ajzyk schował się w pościeli, zęby dzwoniły mu ze strachu. Był tak przerażony, że bał się nawet krzyczeć „ratunku”... I chociaż głosu już więcej nie słyszał, przez całą noc nie mógł zasnąć.

Niedaleko od reb Icchoka miał kuźnię niejaki Welwel, zwany łajdakiem. Ów Welwel wyśmiewał całą tę historię z duchem. Pewnego razu umówił się z reb Icchokiem, że przyjdzie do niego na noc z kolegami. Powiedział, że reb Icchok musi tylko postawić trochę wódki.

Późno w nocy, kiedy cała kompania była już podpita, Welwel zaczął żartować, że nie wierzy w duchy i wyśmiewać się z reb Icchoka, że ten tylko zawraca głowę głupotami. Nagle dało się słyszeć kłaśnięcie w dłonie. Welwel i całe towarzystwo przestraszyli się nie na żarty. Przez chwilę wszyscy siedzieli jak oniemiały, ale kiedy głos zaczął mówić:

– Przychodzę do ciebie ostatni raz...!

Welwel wykrzyknął, co sił:

– Nie wierzę, że martwi mogą mówić! Przyjaciele! Za mną...!

Chwycił kij i wybiegł na ulicę. Towarzystwo za nim. Sam reb Icchok też wyszedł na zewnątrz. Wszyscy oni stanęli jak wryci, kiedy zobaczyli ducha biegnącego uliczką w stronę cmentarza...

– Coś podobnego! – zwrócił się reb Welwel do reb Icchoka, kiedy wrócili już do domu – Nie ma pan innego wyboru, musi się pan ożenić z sąsiadką... Nigdy bym nie uwierzył, gdybym nie widział tego na własne oczy. Powinien pan to zrobić jak najszybciej, choćby jutro, żeby pańska żona odpoczywała w pokoju.

Kiedy następnego ranka reb Icchok posłał do sąsiadki, aby omówić wesele, nie było jej w domu. Reb Icchok posyłał do niej jeszcze kilka razy, ale nigdzie jej nie spotkano. Sąsiedzi przypomnieli sobie, że nikt nie widział jej od wczoraj. Szukano w całym miasteczku, ale sąsiadka zapadła się jak kamień w wodę.

Dwa dni później do besmedreszu przyszedł grabarz. Powiedział, że na cmentarzu, obok parkanu, leży kobieta ubrana w prostą sukienkę i okryta białym

prześcieradłem. Mówił, że nie wie, kto to jest... Kiedy ludzie z miasteczka przyszli na cmentarz, rozpoznano w kobiecie zaginioną sąsiadkę.

Tłumaczyła z jidysz Anna Szyba

Zemsta²⁰

W chęcińskim besmedreszu był szames, nazywał się Awrom Icchok starszy. Właściwie Awrom Icchok nie był taki stary, nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat, ale w tym samym besmedreszu był jeszcze jeden szames, który miał dopiero trzydzieści lat. Dlatego Awroma Icchoka nazywano starszym.

Funkcję szamesa w chęcińskim besmedreszu Awrom Icchok odziedziczył po swoim ojcu. Taki był zwyczaj w jego rodzinie, gdzie od dawna pełnił ją po ojcu najstarszy syn. Jeżeli syn, czyli nowy szames, miał małą rodzinę i małe wydatki, otrzymywał takie samo wynagrodzenie, jak zmarły szames. Jeżeli jednak miał dużą rodzinę i przez to większe wydatki, kahał zwiększał jego wynagrodzenie, by zapewnić rodzinie godne utrzymanie.

Kiedy Awrom Icchok przejął funkcję szamesa, miał trzydzieści pięć lat. Rodzinę miał na tyle dużą, że kahał dołożył mu ładnych parę groszy do wynagrodzenia jego ojca, który rodzinę miał niewielką. Gmina nie była zbyt zadowolona z takiego „dziedzicznego” szamesa, ale zawsze znalazł się gabaj, który nie pozwalał unieważnić zwyczaju akurat w czasie swojego urzędowania. I dzięki temu, chociaż zmieniali się gabajowie, Awrom Icchok trwał na swoim stanowisku.

Pewnego razu – kiedy Awrom Icchok był szamesem już dwanaście lat – jeden z urzędujących gabajów został odwołany. Nowy gabaj na pierwszym zebraniu gminy, które zwołał, próbował usunąć Awroma Icchoka. Jest już za stary, można wziąć na jego miejsce kogoś innego, młodszego. Młodszego i tańszego w utrzymaniu.

– Kiedyś musi przyjść kres „dziedzicznym” szamesom – denerwował się nowy gabaj – Nie wiadomo, dokładnie kiedy to nastąpi. Inaczej dojdzie do tego, że szamesem zostanie syn Awroma Icchoka, Mechel. A Mechel ma dużą rodzinę – ośmiu synów i pięć córek. Będziemy musieli mu potroić zapłatę. A jeżeli dzisiaj odwołamy Awroma Icchoka, sprawa załatwiona.

Ma się rozumieć, nowy gabaj osiągnął swój cel. Awrom Icchok przyjął zwolnienie bardzo źle. Po pierwsze, został z żoną i dziećmi bez środków na utrzymanie. Po drugie, była to dla niego hańba i wielki kłopot. Zaczął skarżyć się i narzekać: „Dlaczego? Za co? Za jakie grzechy mnie to spotkało...?” Nikt jednak nie chciał mu odpowiedzieć. Ze zmartwienia i troski ciężko się rozchorował. Przeleżawszy kilka tygodni w łóżku, zmarł.

²⁰ A. Ajzenszlos, *Dos tojtc wajb* [Martwa żona], Łódź 1929, s. 23–28.

W miasteczku wiadano, że Awrom Icchok umarł przez nowego gabaja. Przez to, że za bardzo wziął sobie do serca zwolnienie. Wiedziano też, że zmarły nie daruje tego gabajowi. I że, bez wątpienia, zemści się na nim.

Cztery tygodnie po śmierci Awrom Icchok nawiedził gabaja we śnie i wezwał go na dintojrę.

– Nie odpuszczę ci – powiedział do niego. – Pozbawiłeś mnie środków na utrzymanie bez powodu. Moja żona i dzieci przez ciebie głodują, ja przez ciebie odszedłem z tego świata. Nie daruję ci tego w żadnym wypadku...

Z samego rana, kiedy tylko gabaj obudził się, poszedł do chęcińskiego rabina, który uchodził za wielkiego cadyka i cudotwórcę. I zaczął płakać:

– Świątobliwy rabinie! Poradź mi. Jestem bogaty, może jest jakaś jałmużna...? Jestem młody, nie chcę umierać... Co przyjdzie zmarłemu z tego, że moja żona zostanie wdową, a dzieci sierotami...?

– Ciężka sprawa – odparł rabin, kiedy gabaj opowiedział mu całą historię – Jednak można spróbować coś zrobić i jakoś ugłaskać zmarłego.

– Mów, rebe! – prosił gabaj ze łzami – Zrób, co możesz. Będę posłuszny wszystkiemu, co powiesz. Ratuj, rebe! Ratuj moją żonę i dzieci...!

– Zbierzesz minjan – kontynuował rabin – i pójdziesz na cmentarz. Poprosisz szamesa o wybaczenie. I powiesz na głos: „Awromie Icchoku! Przysięgam ci w obecności minjanu, że będę utrzymywał twoją żonę i dzieci tak długo, jak długo będę żył”...

Gabaj tak właśnie zrobił. Zebrał minjan, poszedł na cmentarz, prosił zmarłego o wybaczenie. Głośno przysięgł, że dopóki będzie żył, będziełożył na utrzymanie wdowy i sierot.

Za kilka dni Awrom Icchok znów nawiedził go we śnie i powiedział:

– Ja już ci wybaczyłem, szczególnie teraz, kiedy przysięgłeś utrzymywać moją żonę i dzieci, ale mój ojciec i mój dziadek nie chcą ci przebaczyć. Musisz umrzeć, bo naruszyłeś stary zwyczaj. Funkcja szamesa powinna przechodzić z pokolenia na pokolenie...

Z samego rana gabaj ponownie udał się do chęcińskiego rabina i opowiedział mu cały sen. Rabin zamyślił się, a potem powiedział:

– Zatrudnij syna Awroma Icchoka jako szamesa. Idź na groby jego ojca i dziadka i powiedz im, że ich tradycja zostanie utrzymana tak długo, jak długo będziesz żył...

Gabaj tak właśnie zrobił.

Za kilka dni znów nawiedził go we śnie Awrom Icchok i powiedział:

– Ojciec i dziadek ci wybaczyli. Dobrze zrobiłeś, że przyjąłeś mojego syna na moje miejsce. Ale jeszcze jedną rzecz musisz naprawić. Miałem jeszcze osiem lat życia. Te osiem lat musisz mi zwrócić. Jeśli nie, nie dam ci spokoju. A jeżeli nie zrobisz tego po dobroci, będziesz musiał to zrobić pod przymusem.

Gabaj po raz kolejny udał się do rabina i opowiedział mu najnowszy sen. Rabin zamyślił się, następnie zwrócił się do gabaja:

– Słuszna pretensja. Możesz wybrać, co zrobić: albo oddasz mu osiem lat życia, to znaczy umrzesz osiem lat wcześniej, albo na osiem lat weźmiesz na swoje barki obowiązki szamesa...

– Rebe, ty wiesz lepiej, co powinienem zrobić. Zdaję się w zupełności na ciebie. Co nakazesz, uczynię.

– Więc tak – zwrócił się do niego rabin – Powinieneś zostać szamesem...

– Może, o rebe, wyjechać do innego miasta? Tu będzie to dla mnie wielka hańba, nie będę mógł wyswatać dzieci...

– To także część kary – kontynuował rabin – Upokorzyłeś człowieka bez powodu przed całym miastem. Teraz sam musisz tę hańbę nosić.

– Może lepiej oddać osiem lat życia? – zapytał gabaj.

– A skąd wiesz, że będziesz żył dłużej niż osiem lat? – odpowiedział rabin.

Widząc, że rabin ma rację, gabaj zgodził się zostać szamesem...

Elita kahału miała niemały problem z gabajem, który niespodziewanie został szamesem. Pozostali mieszkańcy nie przestawali plotkować:

– Szames to nie tylko zawód, lecz również micwa. Niepotrzebnie się czepiał. Co do niego miał? No co? Awrom Icchok miał rodzinę, świetnie wykonywał swoją pracę. Pewnie jeszcze Bogu powinien dziękować, że go nie uśmiercił, że pozwolił mu żyć!...

Gabaj jednak nie wytrzymał ośmiu lat. I do dziś nie wiadomo, czy nie mógł udźwignąć dłużej obowiązków szamesa, czy to Awrom Icchok coś mu zrobił... Umarł po dwóch latach. Żonę i dzieci zostawił bez dobytku. W czasie, kiedy był szamesem, stracił cały majątek. Ostatnich kilka miesięcy musiał utrzymywać się z wynagrodzenia od gminy. Wiele razy prosił chęcińskiego rabina, by ten pozwolił mu pojechać do innego miasta, bo tu nie przeżyje. Ale rabin odmawiał, ponieważ nie zgodziłby się i zmarły. „Tam gdzie zgrzeszyłeś, musisz grzech odpokutować” – odpowiadał za każdym razem rabin. Tak oto gabaj nie przeżył dłużej niż dwa lata. Zmarł samotnie i w biedzie.

Syn Awroma Icchoka, Mechele, pozostał szamesem. Gabajowie bali się z nim zadzierać. Po dziś dzień w chęcińskiej synagodze funkcja szamesa przechodzi z pokolenia na pokolenie w rodzinie Awroma Icchoka.

Tłumaczyła z jidysz Anna Szyba

Kłątwa Remu²¹

W czasach Remu był pewien zwyczaj. Wszystkie wesela w Krakowie wyprawiano w piątek. Śluby odbywały się w starej synagodze. Plac przed nią był na tyle duży, że mógł pomieścić kilka orszaków weselnych jednocześnie.

Para młoda szła pod ślubny baldachim przy dźwiękach muzyki. Oprócz rodziców obecni byli też inni goście. Zaraz po ceremonii nowożeńców odprowadzano z powrotem do domu. Rodzice i wszyscy zgromadzeni otaczali młodych kołem i tańcząc ruszali do domu panny młodej. Tam, w domu, zaczynała się właściwa zabawa, która trwała do czasu zapalenia świec szabasowych. Jeżeli rodzice byli zamożni, muzykanci z wodzirejem przychodzili także nazajutrz po hawdali i zabawa trwała do białego rana.

W swoim czasie Remu mieszkał przy ulicy Wysokiej. Tam też, na podwórzu miał swoją synagogę. W owej synagodze modliła się także żydowska elita miasta. Ulicę nazywano Wysoka, ponieważ mieszkała tam wierchuszka, cała śmietanka żydowskiej dzielnicy Krakowa. Nazwano ją tak również dlatego, że prowadziła w górę, do starej synagogi.

Ongiś pewien bogacz wyprawiał wesele swojej pierwszej córki. Mieszkał naprzeciw Remu, po drugiej stronie ulicy, we własnym dwupiętrowym domu, jednym z najpiękniejszych na całej Wysokiej. Ślub zaczął się z opóźnieniem. Czekano na wielu gości, którzy zjeżdżali się z okolic Krakowa. Z tej przyczyny ceremonia zaczęła się dopiero po południu.

Wszyscy goście byli już bardzo weseli, grało kilka kapel, było też dwóch wodzirejów. Prawie cała żydowska dzielnica zebrała się na Wysokiej, w domu panny młodej. W tym samym dniu nie było innych ślubów i muzykanci grali także dla roztąńczonych gości na placu przed synagogą.

Wieczorem nastał czas modlitwy i zapalenia szabasowych świec. W domu bogacza ciągle grała muzyka. Słyszac to, Remu posłał do niego sługę z żądaniem, aby natychmiast przestali, bo nastał szabas! Ale goście byli już pijani i po prostu wyśmiali służącego. Za kwadrans, kiedy Żydzi zewsząd schodzili się do bóżnic na modlitwę, w domu bogacza wciąż jeszcze grała muzyka, a weselnicy tańczyli w najlepsze. Remu znów posłał swego sługę, aby powiedział rodzicom, że jeśli nie chcą źle skończyć, powinni natychmiast przerwać muzykę i tańce. Ale rodzice i goście byli już zbyt pijani. Poczęstowali sługę solidnym kuksańcem i nakazali muzykantom grać jeszcze głośniej...

Wówczas Remu osobiście stanął przed domem i krzyknął:

– Ostrzegam was po raz trzeci! Natychmiast przestańcie grać i tańczyć...!

Nikt go jednak nie posłuchał i wtedy Remu krzyknął jeszcze głośniej:

²¹ A. Ajzenszlos, *Dos tojte wajb* [Martwa żona], Łódź 1929, s. 29–32.

– Ponieważ na oczach wszystkich profanujecie święty szabas, na oczach wszystkich zostaniecie ukarani! Przy wszystkich tu obecnych, jak Korach i jego ludzie²², będziecie starci z powierzchni ziemi i nie zostanie po was żaden ślad!

W tej samej chwili dom, a w nim rodzice, państwo młodzi, wszyscy goście i muzykanci, którzy ciągle jeszcze śpiewali, zapadli się pod ziemię. Na tym miejscu został tylko pusty plac, jak gdyby nigdy nie było tu żadnego domu.

Po szabasie cały plac został ogrodzony. Później opowiadano, że na placu co noc słyszeć muzykę i tańce, płacz i krzyk. Dlatego miejsce otoczono wysokim murem. W ścianie wmurowano tablicę z opisem całego zdarzenia.

Historia ta została także opisana w starym pinkasie krakowskiej synagogi. W każdą rocznicę tego wydarzenia czytana jest wiernym.

Plac z murowanym ogrodzeniem, nazywany „ślubnym cmentarzem”, stoi do dziś przy ulicy Wysokiej. Oprócz pustej przestrzeni, porośniętej trawą, nie ma na nim co oglądać.

Jak opowiadali jego bliscy, Remu całe życie żałował, że rzucił klątwę, która kosztowała życie ponad stu pięćdziesięciu osób. Miał tak silne poczucie winy, że skróciło mu to życie. Zmarł w wieku 33 lat.

Niedługo po opisywanym zdarzeniu Remu poprzysiągł, że nie będzie więcej żadnych ślubów w piątki. Ta jego przysięga jest przestrzegana w Krakowie do dzisiaj.

Tłumaczyła z jidysz Anna Szyba

²² Wj. 6, 21.

Symcha Bunim Szajewicz

Symcha Bunim Szajewicz (1908–1944?) urodził się w Łęczycy w rodzinie ortodoksyjnej. W poszukiwaniu pracy rodzina przeniosła się do Łodzi. Tutaj Symcha Bunim otrzymał gruntowne religijne wykształcenie. Nie został jednak rabinem, gdyż jego zainteresowania skupiały się na literaturze. Wcześniej opuścił dom rodzinny. Na życie zarabiał pracując w fabryce pończoch. Jednocześnie pisał opowiadania oraz wiersze. Utrzymywał kontakty z młodymi autorami, którzy byli bywalcami kawiarni „Pod szklanką”. W 1940 r. został zamknięty w getcie wraz z rodzicami, siostrami, żoną i córeczką. Żona poety oraz dwójka jego dzieci – drugie nie miało jeszcze imienia – zostały deportowane w trakcie „szpery” we wrześniu 1942 r. do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem. Szajewicz został wywieziony jednym z ostatnich transportów do Auschwitz, stamtąd do obozu w Kaufering, gdzie zmarł na tyfus krótko przed wyzwoleniem w 1945 r. Szajewicz publikował m.in. w organie Bundu – „Lodzer Weker” oraz w „Lodzer Tageblatt”. Pierwszy tom jego wierszy *Der weg kejn Błękitne* [Droga do Błękitnego] gotowy był do druku w 1939 r. Miał się ukazać nakładem żydowskiej sekcji PEN Clubu. Wojna uniemożliwiła jego publikację. W getcie pisał wiersze. Zachowały się tylko dwa z nich – poemat *Lech lecho* oraz *Friling taszaw* [Wiosna 1942] oraz listy adresowane do Szmula Rozesztajna.

S. B. Szajewicz, *Lech lecho*, „Jidysz Buch” [Łódź] 1946; K. Radziszewska, *Flaschenpost aus der Hölle. Texte aus dem Lodzer Getto*, Frankfurt am Main 2011, s. 112–117; B. Mark, *Di umgekumene szrajber fun lodzer geto un zejere werk* [w:] tenże, *Di umgekumene szrajber fun lodzer geto un zejere werk* / *Twórczość pisarzy poległych w gettach i obozach*, Warszawa 1954, s. 160–186 (tekst w przekładzie D. Dekiertha publikowany on-line: <http://www.hebrajski.pl>); Ch. Rosenfarb, *Simche Bunim Szajewicz*, „Di Goldene Kejt” 1991, nr 131, s. 9–24; J. Goldkorn, *Lodzer portretn: umgekumene jidische szrajber un tipn*, Tel Awiw 1963, s. 104–114; *Oblicza getta. Antologia tekstów z getta łódzkiego*, oprac. K. Radziszewska, E. Wiatr, Łódź 2017, s. 249–274.

Heretyk²³

Osiem dni przed początkiem święta Pejsach niebo nad miasteczkiem Błękitne nagle zasnęło się ciemnymi chmurami i w środku dnia zrobiło się mroczno. Wkrótce rozpadał się rzęsy deszcz, któremu wtórowały donośne pioruny i błyskawice, jak w Szwues. Stary Awrum Zelik dojrzał w tym oznaki rychłego nadejścia Mesjasza i ucieszył się.

– Bo przecież grzmi w kwietniu – usiłował każdego przekonać.

W nocy źle spał, miał dziwne sny i nie mogąc doczekać się dnia, zrywał się co kilka minut, rozdychotany i niepewny tego, gdzie się znajduje. Otdąd co ranka

²³ S. B. Szajewicz, *Apikojres* [Heretyk], „Najer Folksblat” 1938, nr 331, s. 7.

przygarbiony włókł się do mykwy, wielokrotnie zanurzał się w lodowato zimnej wodzie, co sprawiało, że krew krążyła szybciej, a w głowie przez chwilę kręciło mu się jak pijanemu. Potem śpieszył do domu modlitwy.

– Może się przydarzyć... jeśli dziś już przyjdzie, powinienem być gotowy po odmówieniu modlitw – mruczał do siebie samego.

Założywszy tałas i teflin wysiadywał w domu modlitwy aż do zmroku, tak bardzo chciał doczekać się nadejścia Mesjasza. Dopiero pod wieczór szedł do domu coś przekąsić. Sura-Rywke, jego córka, nie mogła mu darować, że pości całymi dniami. Uspokajał ją swoim cichym, drżącym głosem:

– Zostaw mnie, Sure-Rywke, już niedługo będziemy ucztować, jeść Szor Habora i Lewiosona. Wtedy się najem za wszystkie czasy.

Jego mała, skurczona twarz wyglądała i rozpromieniała się wtedy z radości jak pęczniejący grzyb.

Córka jednak nie pozwalała mu się cieszyć. Przytłoczona zgryzotami, więdnąca i schorowana, przedrzeźniała go:

– Lewioson-srewioson. Ot, czego mu się zachciewa. A żeby tak mnie wydać za mąż, to go obchodzi tyle co zeszłoroczny śnieg.

Na starym nie robiło to najmniejszego wrażenia; przeciwnie, wciąż przestrzegał innych, by przygotowywali się na nadejście Mesjasza, czynili pokutę, byli dobrzy i pobożni. Ale z całego Błękitnego był w stanie przekonać jedynie klezmera Jankiela Franka, który bardzo różnił się od pozostałych klezmerów prowadzących niefrasobliwe życie. Dla niego muzyka była świętym rzemiosłem. Całymi dniami nie jadł, nie pił, tylko wciąż grał i grał. Żona nie dawała mu spokoju:

– Nu i czego mi tu rzępolisz? Aż głowa pęka, już więcej nie wytrzymam...

Jankiele, człowiek starej daty i do tego pobożny, który wszystko brał na poważnie, odparł jej z właściwą sobie prostotą, głosem brzmiącym jak zepsuta trąbka:

– Lejo, ja jestem prostym Żydem, co nie ma tyle, by innym dawać jałmużnę. Ja ledwo wiem jak się odmawia codzienne modlitwy. Nie mam czym Bogu służyć, to chociaż skrzypcami mu posługuję. W księdze kiedyś czytałem, że on nie patrzy, co mu kto poświęca, byle tylko robił to z ochotą.

Jankielowi wszystko można było wmówić, a że był z natury skąpy, przy byle okazji powtarzał:

– I co komu przeszkadza, że w to wierzę? Drogo mnie to nie kosztuje.

Raz przyśniło mu się, że pod piecem leży zakopany wielki skarb. Nic nikomu nie zdradził, wyprawił żonę z domu i zaczął rozbierać piec, a potem wykopał głęboki dół, aż mało przy tym sam nie zginął.

I także teraz z prostotą twierdził:

– A czy mi szkodzi, że wierzę? Czy to mnie coś kosztuje? Jestem przecież prostym Żydem, nic nie wiem, nie to co pan Awrum Zelik, on to się zna na świętych księgach.

W żydowskich domach trwały przygotowania do święta Pejsach, piekarze jak co roku wypiekali rumiane mace i niemałe sumy musieli płacić rabinowi, by zajrzał do pieców i zatwierdził koszerność²⁴. Chasydscy młodzieńcy parami i ze śpiewem chodzili pod wieczór nad rzekę, by czerpać wodę na specjalne mace. Bunim Hersz „Asio” znów w tym roku wszedł do spółki z Lejzerem Jankewem, co po wsiach prowadził obwoźny handel, i razem sprowadzili do miasteczka drób oraz jajka. Kobiety raniły sobie palce, trąc buraki na świąteczny barszcz, a potem czerwono-brunatnymi rękami na oścież otwierały okna, sprzątały zakurzone izby, wietrzyły pościel, napychały sienniki świeżą słomą, szorowały, czyściły i koszerowały stare naczynia²⁵. Rzemieślnicy odejmowali sobie od ust, by na czas zaoszczędzić na parę kilo macy, butelkę wina, mendel jajek. Tylko w dwóch żydowskich domach w ogóle nie było znać, że Pejsach się zbliża: u starego Awruma Zelika i u klezmera. Swoim domownikom nakazali oni, by nic nie przygotowywać:

– To wszystko na darmo! Nie ma po co kupować ani macy, ani wina. Nie trzeba koszerować naczyń. Jak Bóg da, w tym roku na Pesjach będziemy już w Jerozolimie.

Sure-Rywke rzuciła gniewne spojrzenie na ojca:

– Tak, tak w Jerozolimie. Szkoda, że nie w Egipcie! Co za bzdury opowiadasz, stary głupcze!

A jednak posłuchała ojca. Przez ostatnie kilka tygodni, odkąd straciła posag, nic jej nie obchodziło, była zrozpaczona i obojętna na wszystko, dlatego prośba ojca była jej na rękę.

U klezmera także wybuchła kłótnia, gdy oznajmił swojej żonie:

– Szkoda pieniędzy, Lejo. Mesjasz nadchodzi!

Czarna Leja, o siedemnaście lat młodsza od niego, była dziewczyną, gdy została jego drugą żoną. Nad grubą górną wargą miała czarny wąsik, który często drżał, gdy mówiła.

– Do stu diabłów z twoją siwą, durną głową – wpadła w złość, a wąsik nad wargą drżał jak mały owad. – Pieniądze odkładasz, a mnie przez cały rok grasz tę samą głodową śpiewkę! I chociaż Bóg dopomógł, trafiła ci się akurat dobra robota, ślub córki pana Bera, to ja mam pościć przez całe święta? Mowy nie ma! – i pokazała mu figę.

Klezmer z jeszcze większym uporem pochylił głowę, na wpół przymknął oczy i poruszając w powietrzu palcami, jakby stroił skrzypce, odpowiedział:

²⁴ Przed wypiekami maci piec musi być sprawdzony przez rabina pod kątem koszerności, tzn. czy nie zawiera resztek chomecu.

²⁵ Naczynie, które mogło przestać być koszerne można wykoszerować poprzez dokładne wyszorowanie i zagotowanie w nim wody.

– I po co krzyczysz, po co? Skoro Mesjasz nadchodzi, to u takiego bogacza jak pan Ber klezmerem będzie sam król Dowid, a nie taki Jankiele Frank – naiwnie wskazał ręką na swoją zapadniętą klatkę piersiową.

Żona jeszcze bardziej się rozkrzyczała:

– Ty stary głupcze, jakby Mesjasz przyszedł, to na nic by ci nie były potrzebne te twoje pieniądze.

A jednak klezmer postawili na swoim: rozłuszczona obrzucała go przekleństwami, sięgnęła nawet po skrzypce, ale w końcu zrezygnowana machnęła na wszystko ręką: – Jak sam chcesz się morzyć głodem, to niech ci będzie.

Obaj starcy z dnia na dzień stawali się coraz bardziej niespokojni. Serca biły im gwałtowniej w oczekiwaniu. Awrumowi Zelikowi z oczu ciekły łzy, a wąskie usta drżały jak w gorączce. Całe Błękitne wyśmiewało się nich. Felczer zasmucał ich swoim prostackimi docinkami:

– Mesjasz was pozdrawia! Rozchorował się od świątecznych knedlików. Musiałem mu zrobić lewatywę i dlatego odłożył swoje przyjście na koniec świąt Sukes.

Twarz klezmera, która odkąd zaczął głuchnąć, przybrała zły grymas, zrobiła się teraz czerwona ze złości, a oczy gniewnie zabłyśły, ale mesjanista go uspokoił:

– A niech sobie szydzi. Zobaczysz Jankielu, sam zobaczysz!

Karczmarz Psachje nie odpuszczał:

– Jak tam, Jankielu, nastroiłeś już swoją rzępotkę na część Mesjasza?

Klezmer tylko spoglądał ze złością, nie wiedząc samemu, co bardziej go dotknęło – obraza pod adresem skrzypiec czy drwiny z jego wiary w nadejście Mesjasza. Wyciągnął przed siebie ramiona długie i chude jak smyczki i wykrzyknął:

– Złoczyńcy! My będziemy w Jerozolimie, a wy zdechniecie tutaj.

Od pory szukania chomecu obaj starcy czuwali już przez całą noc w besmedreszu, przygotowywali się na nadchodzący dzień, kilka razy odmówili psalmy i odprawili ostatnie wyznanie grzechów, jakby przygotowywali się na śmierć.

Na dworze deszcz nie ustawał, przez całą noc trwała burza, krople stukały w okno jak niewidzialne palce. O świcie, w przeddzień pierwszego dnia Pejsach, niebo nagle się przejaśniło i jakby uniosło. Od samego rana słońce, lśniące niczym talerz na ucztę w wigilię Pejsach, mieniło się kolorami tęczy, odbijało się w kałużach pozostałych po nocnym deszczu i delikatnie ogrzewało ziemię. Ludzie, którzy wstali wcześniej rano w świątecznym nastroju, powoli sunęli w tym błękie jak w niekończącej się rzece. Powietrze pachniało cynamonem i orzechami. Niosący świeżość wiatr czule gładził i dziewczęce głowy i wychudłe, pomarszczone twarze, a starym Żydom psotnie rozwiewał długie, siwe brody.

W besmedreszu obaj starcy w ciągu nocy kilka razy się zdrzemnęli; ich głowy chyliły się ciężko jak główki kapusty. Rano jako pierwszy obudził się klezmer i spojrzawszy przez okno w stronę nieba, wymamrotał:

– Panie Awrumie Zelik, znak Mesjasza przeminął... Niebo jest czyste...

Heretyk wciąż jeszcze drzemał, głośno chrapiąc. Dopiero, gdy klezmer dotknął jego łokcia, zerwał się z drżeniem i niespokojnie rozejrzał. Podnosząc zagubione spojrzenie krótkowzrocznych oczu, patrzył na zewnątrz jakby przez mgłę, aż wreszcie poweselał:

– E, Jankielu, to nic nie szkodzi.... To jeszcze lepszy znak, chwalić Boga. W księdze Jezuas Haszem jest napisane, że dzień przyjścia Mesjasza będzie złocisty...

Klezmer potrząsnął zgodnie białą, ufryzowaną bródką.

– Jak tak mówicie, to pewnie wiecie lepiej. Nic mnie nie kosztuje w to wierzyć...

Wkrótce obaj udali się do mykwy; długo się tam zanurzali, aż tracili oddech. Przebrali się w świeżą bieliznę, potem w domu modlitwy owinęli w tałesy, nałożyli tefilin, pobożnie odmówili modlitwy, a następnie psalmy i usiedli w oczekiwaniu. Żydzi, którzy nadchodzili się modlić, drwili z nich:

– Mesjasz jest już na topolowej drodze, u bogaczy – drobny szewc krzyknął staremu heretykowi prosto do ucha.

– Zatrzymał się na ciepłą fasolkę u pana Bera – rudy Bunim Hersz cieszył się z własnego żartu, cmokając suchymi ustami.

Największy kawał zrobił im jednak karczmarz Psachje. Wziął szofar, podkraślił się pod okno domu modlitwy, i zaczął dąć z całej siły. Ktoś ze stojących wewnątrz wykrzyknął:

– O, szofar Mesjasza!

Stare serce heretyka zadrżało, zaczęło gwałtownie bić. Podniósł się ze starym impetem, trącił klezmera w łokieć:

– Słyszysz, Jankielu, słyszysz?

Do przygłuchych uszu klezmera nie dotarło jednak nic poza cichym, chrapliwym gwizdem, jakby ktoś wydmuchiwał nos. Wtedy zgromadzeni zanieśli się gromkim śmiechem i dopiero to podpowiedziało Awrumowi Zelikowi, że go nabrano. Usiadł, blady i bezradny, wstydliwie spuścił głowę jak dziecko, czując się upokorzony. Dopiero, kiedy dom modlitwy zaczął pustoszeć i wierni pośpieszyli do domów, by uporać się czym prędzej z chomecem, stary doszedł do siebie. Zaczął też uspokajać klezmera, który nadal był zmieszany i nie rozumiał nic z tego, co właśnie zaszło. Dwaj starcy pozostali sami, owinięci załuszczoneymi, poszarzałymi tałesami, a ich niewielkie głowy przekrzywione w jedną stronę kołysały się jak kłosa na wietrze. Siedzieli ze ściśniętymi sercami, nastawionymi uszami, wyostrzonymi wszystkim zmysłami, gotowi jak psy uchwycić najmniejszy szelest. Stary zegar domu modlitwy ochryple wybił południe. Potem pierwszą...

drugą... trzecią... Słońce wzniosło się, zajrzało w okna i pozostawiło na pobielonym suficie czerwono-złote pasmo niczym wystawiony język. Po półgodzinie plama słońca przeniosła się na ich czoła, kłując osłepiająco w oczy, potem podreptała jak ciche kocie łapki na ich szyje, na zapadniętą pierś Awruma Zelika i białą wykrochmaloną koszulę klezmera, której kołnierz uciskał mu gardło, aż wreszcie opuściła się do ich stóp, jakby nagle o coś prosząc, łaszcząc się jak kot. Klezmer stracił cierpliwość i zaczął mieć pretensje:

– Panie Awurmie Zelik, już wkrótce będzie czwarta.

Heretyk wydał z siebie jęk, posłał rzadką bródkę i oblizał językiem zaschnięte wargi, przypominające kawałki skóry.

– Jeszcze jest czas, Jankielu, jeszcze jest czas! Słońce jeszcze stoi na niebie.

Dzień zaczął się chylić, mglić, cicho przełamywać się na dwie części, aż ta jaśniejsza część przepadła gdzieś daleko. W domu modlitwy niedaleko aron hakojdesz tajemnicze cienie wznosiły się coraz wyżej i wyżej, snuły się po ścianach, stołach, rękach i wreszcie też po ich twarzach, które obramowane tałesami wyglądały teraz jak twarze zmarłych. Światło dnia gaśło powoli jak dogorywający kawałek węgla. Klezmer, smutny i wycieńczony, wznosił wątłą rękę, a na chudej szyi uwypukliły mu się błękitne żyły przypominające struny.

– Panie Awrumie Zelik, co pan ze mną uczynił? W domu piekielnica będzie mi truła... Co za wstyd, oj co za wstyd...

Heretyk znowu odburknął:

– Jeszcze nie jest za późno. Dopiero zapada zmierzch.

I aby umocnić klezmera w wierze, zacytował mu fragment z Rambama²⁶: „Każdego dnia będę oczekiwał, że przyjdzie”, i dopowiedział w jidysz:

– Żyd musi mieć nadzieję, że On nadejdzie lada chwila...

Powolnym krokiem podszedł do aron hakojdesz, dotknął głową zdobionej zasłony i ostatkiem siły wydobył ze skrzywionych ust płaczliwy krzyk:

– Z głębokości...²⁷

Ostatnia plamka słońca jak łza upadła u jego stóp i zgasła. Zmierzch smutno ciemniał na szybach, jak siwy gołąb zagruchał w omdłym sercu z boleścią i łkaniem. Słyszcząc nagły szloch heretyka klezmer zrozumiał, że nie jest dobrze. Załamany powstał z zaciśniętymi zębami, przeszedł się kilka razy w tę i z powrotem, aż w końcu z bólem i goryczą zwrócił ku heretykowi zaciętą twarz:

– Co teraz będzie? O Boże, o Boże!

Heretyk nic na to nie odpowiedział. Przytłoczony i milczący usiadł, bliski omdlenia, spoglądając wilgotnym wzrokiem na ciemniejący świat. Jego milcząca postać dopiero wówczas wzburzyła krew w klezmerze – zrzucił z siebie tałes,

²⁶ Ben Majmon (1135–1204), filozof i lekarz, autor komentarza do Talmudu oraz traktatów filozoficznych.

²⁷ Ps. 130, 1.

z impetem podbiegł do heretyka i trzęsącymi się rękami omotał krańcami tałesu jego szyję, jakby chciał go udusić:

– Kłamca, bandyta, złodziej! – wyszczerzył zęby, które w ciemności dziwnie błysnęły.

Awrum Zelik zaczął się dusić jak kurczak w worku. Klezmer wreszcie odpuścił i cicho wymknął się z domu modlitwy. Wypląawszy się z tałesu, pozostawiony sam sobie Awrum Zelik nagle poczuł się całkiem pusty, oszukany i upokorzony. Wszystko w nim płakało. W jego wilgotnych, mętnych oczach odbijał się już wieczór, lada moment mogli nadejść na modlitwy dobrze ubrani i rozpromienieni wierni. Zrozpaczony, jakby obrabowano go z całego mienia, opuszczał głowę na piersi coraz niżej i niżej, jakby się zapadał. Wkrótce powoli opadł na kolana, rozciągnął się jak długi przed aron hakojdesz, jakby w pokłonie, i zaczął uderzać swoją małą, niemal dziecięcą głową o podłogę, mamrocząc:

– Z głębokości wołam do Ciebie Panie...

Drewniana podłoga odpowiedziała tęnym, skrzypliwym dudnieniem, a dogorywająca tęsknota i żal rozpląwały się w mroku wieczoru.

Tłumaczyła z jidysz Małgorzata Zaremba

Perec Opoczyński

Perec Opoczyński (1892–1943) urodził się w Lutomiersku, w rodzinie chasydzkiej. Jego ojciec był zwolennikiem cadyka z Góry Kalwarii. Najpierw kształcił się w jesziwie w Łasku, a następnie w Kosowie na Litwie uczył się języka rosyjskiego i polskiego. Około dwunastego roku życia pisał wiersze w języku hebrajskim. Porzucił edukację, terminował u cholewkarza i w sklepie z bawełną. Podjął studia rabiniczne w Niemczech, które przerwał z braku funduszy. Po powrocie rozpoczął pracę w Kaliszu w fabryce włókienniczej. Mieszkał tam w komunie żydowskiej młodzieży. W Kaliszu poznał poetę Oszera Szwarcmana, który zainspirował go do pisania w jidysz. W czasie I wojny światowej walczył w armii carskiej. Został ranny i na cztery lata trafił do obozu jenieckiego na Węgrzech. Po zakończeniu wojny pracował w Kłodawie jako nauczyciel języka hebrajskiego. Następnie wyjechał do Łodzi, gdzie został współpracownikiem „Łodzer Tageblat”. Pisał poezję, artykuły, opowiadania z życia chasydów. Razem z łódzkim wydawcą Szają Ugerem wydawał „Ilustrirte Łodzer Wochenblat”. Publikował w „Dos Naje Wort” i „Unzer Ekspres”. Niektóre z jego reportaży były podpisywane pseudonimami Mojsze Mechujew i Perec Chasyd. Po śmierci dwójki swych dzieci przeniósł się w 1935 r. do Warszawy. Po zajęciu miasta przez hitlerowców został uwięziony w getcie, gdzie pracował jako listonosz. Pisał reportaże z życia getta, był współpracownikiem Archiwum Ringelbluma. Pracował w szopie OBW. Zginął prawdopodobnie schwyty w obławie w styczniu 1943 r. Jego teksty zostały ukryte w obydwu częściach Archiwum wraz z innymi świadectwami pozostawionymi lub zebranymi przez członków „Oneg Szabat”. Odnaleziono je w 1946 i 1950 r. Rękopisy przechowywane są w Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, zostały wydane jako część pełnej edycji Archiwum Ringelbluma.

P. Opoczyński, Nawenad [Tułacz], Łódź 1933; tenże, *Gezamlte szriftn mit a biografie fun Rina Oper Opoczyński*, Niu-Jork 1951; *Reportažn fun warszewer geto*, wyd. B. Mark, Warszawa 1954; *Archiwum Ringelbluma. Konspiracyjne Archiwum Getta Warszawy*, t. 31: *Pisma Pereca Opoczyńskiego*, oprac. i tłum. z języka jid. M. Polit, Warszawa 2017; P. Opoczyński, *Reportaże z warszawskiego getta*, tłum. i oprac. M. Polit, Warszawa 2009.

Chaskiel Pączner przeprowadza się do Łodzi (cz. 1)²⁸

Po Sukes Chaskiel Pączner przybył z Pączna²⁹ do Łodzi i zajął wyładowaną meblami furą na wąskie podwórze Ajznera, właściciela domu przy frontowej ulicy. Kiedy zszedł z wozu, długo rozglądał się dookoła w zadziwieniu poszczypując przy tym włosy na brodzie. W końcu kazał woźnicy podjechać pod drzwi izby mieszczącej się obok ustępu. W drugiej części podwórza chasydzki bogacz Ajzner

²⁸ Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, sygn. ARG II 498.

²⁹ Jest to zapewne nazwa fikcyjna. Być może autor celowo zniekształcił nazwę Opoczna.

pobudował w czasie hossy lokale z przeznaczeniem na sklepy i czteropokojowe mieszkania. Żeby je postawić, zlecił wyciąć stare jabłonie rosnące pośrodku podwórza, tak że zabrakło wolnego miejsca na zrobienie wychodka niezbędnego dla setek lokatorów. Ulokowano go więc między dwoma sklepami na końcu podwórza. Teraz, w czasach kryzysu, za jeden z tych opustoszałych sklepów Chaskiel zapłacił białobrodemu właścicielowi odstępnę w wysokości dwustu dolarów, to znaczy tyle były warte chaskielowe złotówki przeliczone na solidną, zagraniczną walutę. W tym celu spieniężył żonine ozdobne nakrycie głowy i naszyjnik. W Pącznie miał Chaskiel swoje mieszkanie w rynku, odziedziczone po teściu, miejscowym chasydzkim bogaczem, i sklep z pasmanterią. Przyszedł jednak Grabski³⁰ i Chaskiel został z pustymi półkami. Przez tygodnie i miesiące kręcił się po rynku, zachodził do sztybla i gadał z kupcami o tym, że tam, w wielkim fabrycznym mieście, w Łodzi, żyje się lepiej. Handluje się przędzą, towarami, ścinkami, a jak Bóg pomoże, to i własnej fabryczki człowiek się dorobi i będzie miał Grabskiego za nic. Ale trzeba najpierw mieć na wydatki.

– Gdybym ja, Chaskielu, miał twoje „zasoby” – mówił mu wysoki Wolf – sprzedałbym tu wszystko i przeniósłbym się do Łodzi.

Tymczasem Chaskiel wytrzeszczał swoje naiwne oczy, szczypał jasną brodę, myślał. Już prawie rezygnował z tego pomysłu, ale odezwała się w nim kupiecka fantazja i poszedł omówić sprawę przenosin do Łodzi ze swą żoną „Szlachetną” – wątlą córką miejscowego bogacza.

Żona pomyślała sobie, że skoro taki kmiotek jak Jokil³¹, pączyński handlarz jajami i wiejski domokrażca, mógł się przenieść do Łodzi, to i ona może. Nie odrzekła więc ani tak, ani nie, powiedziała jedynie: „Przecież mężczyzna musi zadbać o zarobek, o żonę i dzieci. Skoro tu mu nie idzie, trzeba szukać pracy gdzie indziej”. I tyle. Chaskiel zrobił, co mu żona kazała.

Sprzedali kosztowności i się przenieśli. Jednak kiedy Chaskiel przespał pierwszą noc w nowym łódzkim mieszkaniu i rankiem poszedł z tałesem i tefilinem do sztybla, który stał na tym samym podwórku, zrobiło mu się jakoś nieswojo. Tu, w łódzkim bogatym gerskim sztyblu po raz pierwszy zobaczył chasydów „golibrodów”³², brzuchatych, ze złotymi zegarkami i jakoś zabrakło mu odwagi,

³⁰ Mowa o tzw. reformie walutowej premiera Władysława Grabskiego z 1924 r., która miała naprawić budżet państwa przez wymianę starej waluty, marki polskiej, na złotego. Jednakże w jej efekcie obciążono kapitał prywatny, doszło do wzrostu podatków, spadku koniunktury gospodarczej i zwiększenia się bezrobocia. Wszystko to sprawiło, że powróciła inflacja. Rząd Grabskiego ustąpił w 1925 r.

³¹ Jest to jedna ze zdrobniałych, dialekalnych form imienia Jakow – Jakub.

³² Ironiczne określenie wielkomiejskich Żydów dołączających na początku XX w. do zdobywających coraz większą popularność grup chasydzkich wyznawców. Różnili się oni od tradycyjnych, pochodzących przede wszystkim z małych miejscowości chasydów m.in. starannym utrzymaniem zarostu. Ich brody były krótsze, pejsy starannie trefione, a stroje uszyte z drogich materiałów.

by podejść i zacząć z nimi rozmowę o interesach. Krążył tu i tam, ale żaden z nich nawet nie spojrzął na małomiasteczkowego biedaka. Chaskiel się pomodlił i chyłkiem ruszył do domu.

[...] ³³

na podwórzu ze straganem, dwoma solidnymi kozłami i z zadaszeniem zrobionym ze starego dębowego łóżka. Chaskiel to nie pętał, wszystko robi porządnie, nie jak inni kupcy, poniósł więc na Zielony Rynek ³⁴ ciężkie drewno na chuderlawych plecach. Po godzinie objawiła się na podwórzu „Szlachetna” z koszem pełnym mydła i starannie osłonięta przed ludzkimi spojrzeniami, dumnym krokiem też udała się w tamtym kierunku.

Pod wieczór wrócili. Najpierw ona z koszem mydła pod pachą i z taką miną, jakby niosła z koszerowania świąteczne naczynia, a potem on, uginający się pod ciężarem dźwiganych kozłów. Ich brzemię prawie przygniotło go do ziemi, a ten pierwszy targowy dzień w Łodzi osłabił też ducha w uczonym chasydzie...

Poszli na targ jeszcze ze dwa, trzy razy i kiedy czwartego zażądano od Chaskiela patentu ³⁵, zdecydował, że nie, nie opłaca mu się płacić za patenty, że ma za mało pieniędzy, by handlować. Gdyby miał kilka tysięcy, to by sobie otworzył skład mydlarski, tak, właśnie sklep i to przy frontowej ulicy, i kto wie, może by założył spółkę z jakimś zdolnym mydlarzem i zbudowałaby fabrykę. Ale stać na tym targu, to nie, po prostu nie. I Chaskiel spakował swój stragan.

Znów przesiedzieli kilka dni w izbie, to znaczy przesiedziała „Szlachetna”, bo Chaskiel poszedł uczyć po domach. Wracął poszarzały ze zmęczenia. W domu zastawał wygaszony piec, bo żona nie chciała iść pożyczyć paru polan, żeby nie wydało się, że nie ma na opał...

Naraz ludzie zaczęli przychodzić do Chaskielowej izby po barszcz ³⁶, bo „Szlachetna” barszcz umiała robić i to jeszcze jaki!... Wracał Chaskiel do domu i widział, że jego żona, ta szlachetnej krwi istota, ale i gospodyni na schwał, po targach się tulać nie musi i w domu z godnością sobie barszczem handluje. Ucieszony uśmiechnął się w swoją długą brodę. Co za zuch-żona!

Ludzie przychodzili po barszcz przez tydzień, może dwa. Miejscowe damy go nie kupowały, bo przecież z Pączna nie są... Przychodziła tylko drobniaczka z podwórza, rzemieślnicy, kramarze. Brali na kredyt, ale brali. Byleby tylko jakiś zarobek był. Jednak razu pewnego spostrzegła „Szlachetna”, że coś z tym barszczem jest nie tak, że to nie jest pączyński barszcz, bo to już nie ta sama piwnica. Zdało

³³ Brak strony lub stron.

³⁴ Miejskie targowisko w Łodzi. Obecnie pl. Barlickiego.

³⁵ Kupcy i handlarze musieli wykupywać tzw. świadectwa kupieckie lub świadectwa handlowe, zwane patentami.

³⁶ Mowa o zakwasie na biały barszcz robionym na bazie maki. Przygotowywanie większej ilości zakwasu przez szczególnie biegle w tej sztuce gospodynie domowe i sprzedawanie go sąsiadom za niewielkie sumy było w Polsce popularne jeszcze w latach 80. XX w.

jej się, że barszcz pleśnieje, a spleśniałego sprzedawać nie będzie i tyle! Nazajutrz Chaskiel odtoczył beczkę zakwasu w kąt podwórza.

„Szlachetna” znów zaszyła się w domu i całymi dniami cerowała, naprawiała łaszki chłopców, którzy powydzierali je, łobuzując na podwórzu. Nie chciała też dać satysfakcji Jokiltowej, która rzuciłaby jej z naprzeciwka spojrzenie wyraźnie mówiące: „Ażeby was tak, delikatesy! Pracować jak ja i mój mąż. Nie wypada ci iść z koszem na targ?! A niech was szlag!” Kiedy pieniądze z Chaskielowego uczenia zaczęły się kurczyć, a goj, który wynajął ich sklep w Pącznie, jakoś nie kwapił się z przysyłaniem czynszu, „Szlachetna”, nakładając swój ślubny jedwabny płaszcz, wymknęła się cichcem w poszukiwaniu pracy przy szyciu i szydełkowaniu.

Było to tuż przed Chanuką. Spóźniona zima sygnęła mokrym śniegiem. Ściany w Chaskielowej izbie zwilgotniały i pokrył je grzyb. Trzeba było grzać, palić, choćby w żelaznym piecyku, ale nie było czym. „Szlachetna” znalazła więc w jakimś magazynie zlecenie na wełniane dziecięce czapeczki. Siedziała od rana do wieczora i zgrabiałymi palcami przekładała oczka, żeby zarobić na kawałek chleba. Chłopcy nie bawili się już na podwórku, bo było zimno, ale i w domu nie było lepiej. Leżeli więc w łóżkach i wołali:

– Chleba!

(cdn.)

Chaskiel Pączner przeprowadza się do Łodzi (cz. 2)

Było to jednego z tych chłodnych dni, kiedy „nawróceni” chasydzi z gerskiego sztybla spostrzegli, że ten skurczony, nisko pochylony Chaskiel jest biegłęszy w Piśmie od nich wszystkich razem wziętych. Jakiś bardziej liczący się zawołał, że można by Chaskiela uczynić szamesem. Ucieszył się ten niegdyśiejszy zięć bogacza, ale uśmiechał się nieco zawstydzony... Zdawało się nawet, że już, już powie, iż komuś takiemu jak on szamesować nie wypada, bo bodaj inni mieli taką parcelę w pączyńskim rynku jak on, ale nic nie rzekł. Ogarnęło go zadowolenie. Poza tym był tak zmęczony nauczaniem i ciągłym poszukiwaniem zarobku, że przyjął tę posadę.

Nazajutrz jęli Żydzi kręcić się pod jego drzwiami i wołać:

– Czy tu mieszka szames? Tak?

Chaskielowa rzuciła spłoszonym wzrokiem na przeciwległe drzwi Jokiltowej, czy przypadkiem ta nie widzi jej upadku i cicho rzekła:

– Tak.

Chaskiel szames pomału jął handlować na *szlosz seudes* i *melawe malko* piwem, które bardzo przypadło do gustu „nawróconym” chasydom. Dostarczał też ciastek i wódki, z dnia na dzień coraz bardziej uprawiając się w rozmaitych posługach.

Chaskiel jakby zapomniał o pączyńskim majątku, o dawnej świetności. Dobrze mu było szamesować, a i jego dzieciom spodobało się przywożenie piwa do sztybla i noszenie flaszek na głowach, nosach i na językach. Naraz zjawił się rudy Jehosze,

nocny stróż, który w tych ciężkich czasach nie miał pracy, bo nikt nie składał towarów i nie było czego pilnować. Jehosze zaczął natarczywie:

– Chaskiel, jak to jest, że ja rozpalam zimą w piecu, nastawiam herbatę, nim inni zjawiają się w sztyblu, a to ty jesteś szamesem? Dlaczego łapiesz się za coś, co się mnie należy?

Ten rudy wołyński Żyd z niebieskimi oczami przewierał wzrokiem Chaskiela uparcie domagając się sprawiedliwości. Nie mógł się pogodzić z tym, że jakiś obcy, zdaje się, że w dodatku większy od niego głupek, okazał się sprytniejszy. Postanowił za wszelką cenę odzyskać to, co jego. Chaskiel nie umiał się kłócić ani bronić. Wycofywał się, kiedy musiał dowieść swej racji. Na dodatek wiedział, że rudy Jehosze był tu przed nim...

– Oddajże mi posadę i to już! – zażądał Jehosze i Chaskiel mu ją oddał. Nim się obejrzał, było po wszystkim. Został mu tylko handel piwem, bo do tego rudy Jehosze się nie nadawał. Jego długie ręce potrafiły pracować, długie nogi mogły przemierzać trakty, ale handlować nie umiał. Mówić o handlu, to mówił Jehosze potocznie i fachowo, ale jak sprzedać cynamon, już nie wiedział. Taki się urodził. Chaskiel więc nadal handlował piwem i chodził nauczać. Dwa zajęcia to nie jedno, czyż nie? W piątek ciągnął Chaskiel beczkę piwa, a jego dzieci biegły za nim z mosiężną pompką i wyprawiły różne harce. Tymczasem Jokiltowa stojąc przed drzwiami swego domu z rękoma złożonymi na piersiach, tak mówiła do swego męża:

– Patrz Jokil, jaką to siłę ma ten łapciuch!

Zobaczyła ją z okna Chaskielowa. Zaraz się jednak cofnęła w głąb izby, zadzierając swój szlachetny nos. Bo też na kogo miałyby patrzeć, na tę córkę plebeja Lejbka, co wystaje na podwórku... Tylko, że ta Jokiltowa obdzielając co dzień jedzeniem z wielkiego gara swoją szóstkę, nie zapomina nakarmić i chaskielowych dzieci. Robi to, żeby jej, „Szlachetnej” pokazać, jaka ją litość bierze na ich widok...

W odwecie „Szlachetna” każdego ranka posyła z wiaderkiem nieczystości swego chasydzkiego małżonka jeszcze przepasanego³⁷, bo ledwo po skończonych modlitwach. „Popatrz sobie «plebejko», jak mnie mój mąż szanuje!” – myśli przy tym.

Zima ciągnęła się długo i trzymała mocno. Chaskielowa rzadko się pokazywała na podwórku. Jej dzieci, „bałuckich łobuzów”, też się nie widywało. Wszystkie leżały w łóżkach i „Szlachetna” nie musiała wysłuchiwać utyskiwań miejscowych dam na to, że szamesowe chłopaki obracają w perzynę całe podwórko. Kiedy zbolowały i poniżony wychudły Chaskiel wracał późnym mroźnym wieczorem, w domu witała go cisza.

Aż pewnego dnia przed Pejsach, gdy żółte słońce jasno plamiło kamieniczne mury, pojawił się na podwórku jakiś goj z kartką w ręku i jął rozpytywać o „Chaskiela Spącznego”. Okazało się, że był to handlarz drobiem, bywający

³⁷ Chasydzi przed modlitwą zakładają specjalny pas zwany w jidysz gartl.

w Łodzi co tydzień, przez którego lokator izdebki Chaskiela przesłał należne właścicielowi całoroczne komorne.

U Chaskielów dosłownie zawrzało. Zaczęli biegać i przynosić ze sklepu i jatki pełne kosze. „Szlachetna” wyszła zaraz na podwórko i z uśmiechem na sinych ustach zapytała tak, by słyszała ją Jokiltowa:

– Chaskiel, przyniosłeś mięso?

Jak się okazało, nie przyniósł i trzeba było posłać po nie jednego z chłopaków. Ten po drodze pochwalił się synem Jokiltowej:

– Mój tata dostał dzisiaj tyle pieniędzy, żeście takich nawet nie widzieli. Całą szufladę!

Na to odpowiedział mu chłopak Jokiltów:

– Twój tata jest szamesem, a mój kupcem.

Na to znów Chaskielowy syn:

– Ale mój tatuś ma dom.

A tamten znowu:

– A mój tatuś...

I tak w kółko a mój tatuś to, a twój tamto... Aż wreszcie ośmioletnie dzieciaki pobrały się za łby i tłukły się tak zapamiętale, jakby w ich sercach wezbrał ten sam gniew, który wypełniał ich rodziców.

Wreszcie na podwórze wypadła rozwścieczona Jokiltowa, trzepnęła szamesowego syna i rzuciła w stronę Chaskielowej izby parę ostrych słów, życząc „Szlachetnej”, żeby ją pokreśliło. Ta udawała, że nie słyszy, nie będzie się przecieź kłócić z plebejką... Jeszcze się jej odpłaci tak, że tamtą żółć zaleje...

Tuż przed Pejsach zatrzymał się przed drzwiami Chaskiela wóz z piaskiem oraz cegłami. Pojawił się i murarz. Wychyła też sama „Szlachetna”. Murarz замуrował Chaskielom drzwi od strony ustępu i zrobił z nich okno, z okna zaś zrobił drzwi. Wszystko niby po to, by przez drzwi nie cuchnęło z wychodka.

Chasyd Ajzner, właściciel kamienicy, który bardzo lubił brać pieniądze, dużo pieniędzy, ale nie lubił ich wydawać, nie dopomógł Chaskielowi w tym przedsięwzięciu nic a nic.

– Chcesz murować, muruj – mruczał. – Wystarczy, że ci pozwoliłem. Miałbym się jeszcze dokładać do tego interesu?

Tymczasem „Szlachetna” z niezachwianą pewnością wykladała sąsiadkom, jak to jeszcze przegrodzi izbę murowaną ścianą, a nie tak jak Jokiltowa, drewnianą... I że pięknie też wymaluje, nie tak lichy, jak Jokiltowa... Bo też, skąd by taka chłopka miała się znać na malowaniu?...

Jednakże po замуrowaniu drzwi i okna okazało się, że gotówka z komornego stopniała. Zostało z niej ledwie na buty dla dzieci i na macę z kartoflami...

Ostatniego dnia Pejsach w sztyblu postawiono wino kupione u Chaskiela. „Nawróceni” – rozmaici świeżo upieczeni chasydzi, którzy w czasie hossy zdołali

zgromadzić fortunki, z udawanym entuzjazmem i nienaturalnymi głosami z wysileniem śpiewali chasydzkie niguny i popijali wódkę. Chaskiel w atlasowym chałacie, za pan brat z dawnymi chasydzkimi hulakami, rwał się do tańca. Pił i pił, a czasem rzucił do zebranych jakieś soczyste chasydzkie powiedzonko. „Nawróceni” kręcili się wokół niego, czując, że ten skończony biedak jest im dziś jakoś bliższy. Nie żalowali więc i napełniając kolejne szklanki, zachęcali:

– Pij Chaskiel, pij! Co, nie chcesz?!

I Chaskiel pił. W skroniach mu huczało, w głowie szumiało, ale pił. Furda bieda! Pejsach jest!

Nagle zwałił się na podłogę i jął jęczeć, a z jego zamroczonych alkoholem oczu wycierała pijana rozpacz: „Och, Żydzi, pracy... pracy... Boże, nie milcz... pracy!”

Zaraz potem Chaskiel popadł w dziką ekstazę i wiódł swój pijacki monolog, powtarzając:

– Pracy! Pracy! Pracy!

Podnieśli go i zaprowadzili do domu. A tam naprzeciwko swych drzwi zobaczył Jokiltową. Podeszedł do niej na chwiejnych nogach. Twarz skrzywiła się mu jakby do płaczu i ni to ze szlochem, ni to ze śmiechem wystękał:

– Sąsiadko, sąsiadko, potrzeba pracy, daj, daj pracę!

Chaskielowa się nie pokazała. Po męża posłała dzieci. Miało to znaczyć: „Patrz, plebejko, jak świętuje mój chasydzki mąż. Nie to, co ten twój kmiot”. Gdy chłopcy przyprowadzili ojca, przez cały boży dzień słychać było, jak ten żałośliwie wyśpiewuje swą bezsilność:

– Daj, daj pracę!

Nazajutrz Chaskiel znów wyszedł na ulicę i jego smutne oczy szukały tych wysokich, niebotycznych kamienic, w których mógłby kogoś uczyć. Kroki stawiał niepewne, ostrożne i powolne, jakby nosząca go ziemia była mu nieprzyjazna...

Przełożyła z jidysz Monika Polit

Pokolenia (Autobiografia)³⁸

Pamiętam siebie jako dziecko dwuletnie, może trochę wcześniej. Pamiętam jedno małe zdarzenie, które mi się przytrafiło i które opisałem później w niewielkim wierszu:

„Woła do ciebie dziecko
W środku nocy zbudzone
Co matki swej nie znajduje”

A było to tak: mieszkaliśmy w mieszkaniu na facjacie na pierwszym piętrze, do której prowadziły strome schody, w podłużnym pokoju, podobnym bardziej do długiego ciemnego korytarza, z dwoma oknami na końcu pomieszczenia. Obok nich stały krosna, na których pracowała moja mama – młoda kobieta z dobrej rodziny, jak pramatka Sara, która przemykała się cichymi krokami, niczym rozmarzona córka cesarska przez ten korytarz, będący jednocześnie sypialnią, kuchnią i pomieszczeniem do pracy. A wszystko wydarzyło się tak: mój tata musiał pójść zdać towar, który wyprodukował, a mama musiała gdzieś na minutkę wyjść. Ja zaś budzę się ze snu i w pokoju nie widzę nikogo: jak się wtedy poczułem? Moje młode serduszek podskoczyło mi w piersi: nie ma mamy, ani taty. I prawie nagi, tylko w koszulce w której spałem, wychodzę na schody budynku z przeraźliwym płaczem: Mamo! Już wtedy, choć byłem taki mały, poczułem przenikliwy strach i zebrawszy wszystkie siły drzemiące w moim małym ciałku ześlizgnąłem się z wysokich schodów, podwieszonych na kształt długiej drabiny – bo choć byłem taki mały, czułem jakby ogień palił mnie od spodu. Schody frontowe były zdecydowanie za duże na moje dwuletnie nóżki, lecz nie wiedziałem tego. To chyba właśnie przez ten upadek mam teraz takie krzywe plecy.

O moich narodzinach opowiadała mama, że miała sen, o którym napisałem potem wiersz „Sen mojej matki”. Opowiadała: Po trzech kwartałach urodziłam cię żywego. Przed tobą oddałam Bogu pięć martwych ciałek, przyszły, ptaszyny, na ten świat zupełnie martwe, dokładnie w chwili, w której miałam termin rozwiązania. I oto pewnej środy miałam w nocy taki sen: Jestem wśród moich przodków na jakimś weselu. Na uroczystość ślubną przybył rebe z Błaszek, rebe z Turobina, na czele z cadykiem z Gostynina, rebe Chilem Majerem, pamięć sprawiedliwego niech będzie błogosławiona, oraz wieloma innymi dostojnymi starcami o siwych brodach i pejsach. A oto grupa babek i kilka młodziutkich panien. Jedna z panien chwytą mnie i porywa do tańca: przelatujemy tak przez bramy niebieskie, gdzie

³⁸ *Ksowim fun Chaim Krul* [Pisma Chaima Krula], red. I. H. Radoszycki, New York 1954, s. 82–100.

spotykamy niebiańskich ogrodników – zastępy aniołów śpiewających psalmy. I wszystko wokół nas kłębi się i śpiewa: „Ester Frajdla córka Sary urodzi syna po trzech kwartałach i będzie mu pisane – życie!”

Historia rodziny mojej matki rozciąga się het, het, daleko, do samego Świętego Żyda i jeszcze dalej. Poprzez dynastię z Błaszek i Turobina do ostatniego sprawiedliwego naszego pokolenia rebe Chila Majera z Gostynina. O Świętym Żydzie moja mama opowiadała: Kiedy był jeszcze chłopcem, Święty Żyd poszedł raz na targ w dzień targowy i nagle widzi, że w powietrzu unosi się jakiś człowiek ze światelkiem na głowie. Zaczął krzyczeć: „Patrzenie, Prorok Eliasze!” Cały rynek zadął głowy, ludzie patrzą w niebo – i nic tam nie widzą, tylko głos daje się słyszeć w powietrzu: „Żydzio, jak ty wiesz to nie powiesz”. I od tego dnia objawił się w nim Święty Żyd.

To po ojcu mojej matki nazywam się Chaim Aron. To był ciekawy Żyd, ten Chaim Aron. W wieku siedemdziesięciu lat ożenił się z moją babką Sarą, matką mojej matki. Wziął ją za żonę jak miała szesnaście lat, lecz bardzo go kochała i dała mu siedmioro dzieci. Trzy córki i czterech synów. On sam był kupcem. W swym miasteczku, Gowarczowie, był postacią bardzo szanowaną, handlował półkoszkami na jarmarkach. Ze swym najstarszym synem z pierwszego małżeństwa, Motlem, jeździł eszelonami – kolumną sprzęgniętych ze sobą fur i wozów – na jarmarki, gdzie je sprzedawał. Handlował tak całymi latami aż do późnej starości. Potem oślepl, biedaczysko – jego interesy przejął wtedy Motel i płacił mu cotygodniową pensję aż do śmierci. Jego młodsze dzieci rozpieczętowały się: do Tomaszowa, Łodzi, Bełchatowa – do nowych centrów tkackich.

Pierwszym, który otworzył okno na „Europę” był Hersz Josef, najstarszy syn mej babki Sary. Wyjechał do Łodzi i najął się jako czeladnik tkacki. Po nim z młodszymi synami Uszerem, Szmulem i Isroelem Mojszem, poszło już łatwiej. Hersz Josef, „Jedwabna Koszula”, wyjechał potem do Warszawy i pracował jako subiekt w sklepie. Uszer, Szmul i najstarsza córka wyjechali do Łodzi. Z moją matką, trzecim i najbardziej udanym dzieckiem, poszło zupełnie gładko: dostała mego ojca za męża. Po pewnym czasie moi rodzice przeprowadzili się z Tomaszowa do Łodzi, a babka Sara z najmłodszą córką, Elką, przeniosła się do mych rodziców.

A oto historia rodziny mojego ojca: Mój ojciec urodził się w prastarym mieście królewskim żydowskiej księżniczki Esterki – w Opocznie, gdzie była wykuta w skale tajemna „komnata”. Starczy opowiadali, że w jej wnętrzu było łóżko królowej Esterki, całe z kości słoniowej. Niejeden łobuz, który próbował dostać się do wnętrza lochu, opowiadał potem, że zaglądał przez dziurkę od klucza w żelaznych drzwiach i widział palące się wewnątrz światło. Do dzisiaj w centrum miasta stoi stara synagoga, niektórzy mówią, że ma sześćset lat i labirynt tajnych korytarzy jak w synagodze Maharala w Pradze, że ścianami tak grubymi, że cztery pary rąk nie są w stanie ich objąć. W jej aron hakojdesz są podobno księgi Tory

pisane przez samego Ezrę Sojfera. Jej freski namalowane są przez nieznaną żydowskich artystów. Nie wystawiali oni swych obrazów w Paryżu, tylko malowali je w synagogach, jak nie przymierzając Rafael, Tycjan, czy Leonardo da Vinci w kościołach. Nie ma się co śmiać z moich porównań Rafaela, Tycjana, Leonardo z jakimiś żydowskimi artystami, do tego anonimowymi. Nie ma się co śmiać: tak samo jak dzieła Rafaela, Tycjana, czy Leonardo da Vinci, malowidła tych nieznaną artystów dotyczą swym kunsztem nieskończoności. Wystarczy przyrzeć się wymalowanym na nich lwom, jeleniom, grobowi pramatki Racheli, Jordanowi – podobnie jak w owych wielkich arcydziełach, w żydowskich malowidłach odczuwalny jest powiew absoliutu. W takim to historycznym mieście urodził się mój ojciec. Mój dziadek, ojciec mego ojca, nazywał się Mojsze Tomaszower i był bardzo postawnym człowiekiem. Pierwszy chasyd na dworze rebe z Mszczonowa, gdzie wołano na niego reb Mojsze. Jego żona, moja babka Rywka, była pierwszą działaczką w Bractwie Pogrzebowym. Bez niej nikt nie ważył się nawet dotknąć zmarłego. Jej babka, jak powiadają, nosiła tańs kotn. Ojciec mego babki był felczere: wołali na niego reb Iser Rojfe. Puszczal chłopom krew, stawiał cięte bańki, a Żydom, bez uroku, dawał środki na przeczyszczenie, chininę, masował dzieciom brzuszki jak prawdziwy doktor – taka była rodzina mego ojca.

Oprócz mego taty dziadek i babcia mieli jeszcze dwóch synów. Jeden nazywał się Josel, był najstarszy, mój tata był średni, a najmłodszy nazywał się Aron. O Josele opowiadali taką cudowną historię:

Był na wojnie tureckiej i awansował w kompanii na felczera. Wtedy wszystko było możliwe, można było nawet zostać felczere. W ogóle w czasach Aleksandra II zaczął wiać dla nas świeży wiatr w Imperium Rosyjskim i mój wujek awansował nawet na podoficera! W swojej kompanii cieszył się wielkim mirem. W domu, w rodzinnym miasteczku, nawet przez myśl mu nie przeszło, że może zostać felczere. Był świeżo po ślubie, gdy wzięto go od małżonki i wcielono do wojska. Jego młoda żona poruszyła niebo i ziemię, ale taki wtedy był los: jeśli dało się czterysta guldenów okupu – puszczano jednego na trzech. Całe miasteczko się złożyło i zapłacono te czterysta guldenów. Jednak pomoc przyszła za późno. Ich los był już przypieczętowany. I tak oto wujek został wzięty do wojska. W armii bardzo go szanowali, bo świetnie znał rosyjski, u siebie w miasteczku był bowiem pisarzem w magistracie, szybko dorobił się więc trzech belek i został felczere. Gdy wybuchła wojna rosyjsko-turecka, zgłosił się na front na ochotnika, by pomagać nieszczęsnym żołnierzom. Potem, po wojnie, opowiadał cuda i cudenia: jak raz pomógł tureckiemu generałowi w obozie jenieckim, a tamten dał mu złoty zegarek w dowód wdzięczności za to, że go uratował. Jednak później, gdy przeprawiali się przez Dunaj wracając do domu, „prom” się przewrócił i trzystu żołnierzy poszło na dno. On sam był dobrym pływakiem, jednak gdy płynął, zgubił zegarek – jakimś cudem udało mu się jednak wydostać z przewróconego

promu i trzymał się go tak długo, aż przyплыł prom ratunkowy i wyratował go od pewnej śmierci.

Oprócz trzech synów moja babka miała też trzy córki. Mówię babka, bo mój dziadek umarł bardzo młodo, nagle, na zawał serca. Wstał w nocy, krzyknął do swojej żony „Rywka” i z całej siły uderzył o ścianę sąsiadów. Poderwali się wszyscy wystraszeni, ale on już nie żył. Babka została z trzema córkami: najstarsza Jochewed kulała, ciężko było dla niej znaleźć męża. Jednak, jako że u Żydów nie można zostać starą panną, wydali ją za „miejskiego głupka”. Miała z nim córeczkę – oczko w głowie – o imieniu Laja. Druga córka, Rejze, przez całe życie była aguną, stała się ofiarą swej własnej pobożności. W pewien szabas z samego rana jej mąż zapalił papierosa. Opowiedziała o tym swej matce – mej pobożnej babce – a ta wyzwała go od najgorszych. Porzucił żonę i do końca życia już go nie ujrziała. Zwali go Zanwel, zostawił jej tylko małą córeczkę. Najmłodsza córka to była moja mama, najszcześliwsza i najbardziej udana, z nią poszło gładko. Dostała mego ojca za męża.

Mój najstarszy brat dostał imię po dziadku, reb Mojszele. Był bardzo udanym dzieciakiem. Pewnego razu gdzieś wyszedł i nikt nie wiedział dokąd. A było to tak: moja mama wyjechała wtedy na jakiś czas do Opoczna, bo w Łodzi czasy były ciężkie i zostawiła mego ojca z maluchem. Z czasem sytuacja się poprawiła i mój tato pojechał po mamę, podróż zajęła mu w sumie cały dzień. Gdy wrócił z mamą, ich synka w mieszkaniu nie było i do dnia dzisiejszego nikt nie wie, gdzie się dziecko podziało. Od tego czasu mama podupadła na zdrowiu i nie mogła donosić żadnej ciąży aż do czasu, gdy miała ten cudowny sen, po którym urodziłem się ja.

Na ceremonii mego obrzezania, która odbyła się w atmosferze podniosłej i radosnej, obecny był sam bałucki rabin, reb Isroel oraz dwaj właściciele domu, w którym mieszkaliśmy, Szaje Flok i Jankiel Bocian – szanowani kamienicznicy z ulicy Zgierskiej. Bezdzietny Szaje Flok ze swą bezpłodną żoną Goldele. Goldele była jego drugą żoną. Także z pierwszą żoną nie miał dzieci. Był bardzo prostym Żydem. Z pomocą członków swego bractwa modlitewnego, któremu zafundował księgę Tory, mógł jakoś przeczytać fragment Pięcioksięgu z komentarzem Rasziego. Drugi kamienicznik, Jankiel Bocian, także przyszedł z żoną. Miała dwa zwisające wola i wołali na nią „stara bocianica”. Reb Jankiel był wysoki, z kozią bródką i miał żyłkę do interesów. U tego bałuckiego bogacza wszystko było na odwrót: podczas gdy u Szaji Floka nie było żadnych dzieci, u Jankiela Bociana był, bez uroku, pełen dom dzieci, wnuków, prawnuków. Sandakiem był Jakub Wojdysławski, nasz fabrykant. A na koniec rodzina z obu stron, od matki i ojca, ciotka Małka ze swym mężem Lejbem, którzy mieszkali po drugiej stronie korytarza w tym samym domu. Wuj Josef ze swoją żoną Fejge. Była osobą bardzo niską. Wuj Mojsze ze swą żoną Ester. Z tej był znów kawał kobiety: sama dźwigała

„bele” surówki, a potem przetworzony towar z powrotem do fabrykanta. Młody Szmul ze swą kulejącą żoną Adel. Był jej przyrodnim bratem, gdyż była siostrą reb Motla i to właśnie ten młody człowiek, światelko jaśniejące, wziął za żonę taką kalekę – bo nie było nikogo, kto by ją zechciał. Były też dzieci rodzeństwa rodziców i zwykli sąsiedzi z okolicznych domów, izba była, bez uroku, wypełniona ludźmi po brzegi, także izba wuja Lejba była pełna mężczyzn i kobiet, młodzieży i dzieciaków. Mohelem był bałucki rzezak, reb Rafael, i radowano się wielce, jak zwykle przy takich okazjach, do późnej nocy.

W sumie to miałem trzy niańki: moją mamę, moją babkę Sarę i moją ciotkę Elke, siostrę mojej mamy. Mama mnie karmiła, babcia kołysała, a ciotka bawiła się ze mną.

Babki strasznie się ze mną cackały, dopóki nie zrobiłem pierwszych kroków.

Moje wychowanie powierzono babce Sarze. Na jej rękach przeżuśtałem się przez pierwsze dwa lata. Kąpała moja małe ciało dzień w dzień i prała moje pieluchy. Przez te dwa lata głównie leżałem za zasłoną – aby żadne złe oko mnie nie urzekło. Efroim Znachor był z mego powodu częstym gościem u nas. No i wygląda na to, że jego zaklęcia mi pomogły.

Gdy zrobiłem pierwszy krok, w całej izbie zapanowała wielka radość, i to jaka: mama rozplakała się, tata zaczął tańczyć, a babki uśmiechały się ze szczęścia. Zawołano ciotkę Malkę i wuja Lejba, by podziwiali ten cud: Chaimek zrobił pierwszy krok.

Ze strony rodziny posypały się życzenia: Oby dane wam było pójść z Chaimem aż pod ślubny baldachim. Babka Sara wezwała wszystkie kobiety z naszej rodziny na wiele pokoleń wstecz: niech wstawią się i zerwą złe fatum, które zawisło nad domem Ester Frajdli. Babka Rywka przywołała prababkę Beilę, która nosiła taśes kotn, by za jej wstawiennictwem Chaimek dobrze się chował. Omajń!

Gdy moja ciotka Elka wróciła wieczorem z pracy, przekazano jej radosną wieść: Chaimek zaczął chodzić. Jednak przed sąsiadami starano się mnie chować. Bano się, by któryś nie zadał mi, Boże uchowaj, jakiegoś uroku.

A oto historia mojego ojca: gdy był mały, miał bardzo dobrą głowę. Potem, gdy uczył się w jesziwie z cadykiem z Mszczonowa, reb Menachemem, lepiej radził sobie z lekcjami niż reb Menachem. Miał trzynaście lat, gdy wywędrował do Bełchatowa, do „kolonii” tkaczy, jak się wtedy na to miejsce mówiło. Jednak Bełchatów to zupełnie osobna historia. Młodziutkie żydowskie dzieci mielone były tam żywcem w żarnach życia. Mimo to jak w amoku wciąż nowi zbiegali się z całej Polski do Bełchatowa – do nowego centrum tkackiego.

To była istna żydowska pańszczyzna, harowano tam małymi żydowskimi dziećmi jak niegdyś w Egipcie naszymi praojcami. Dosłownie pożerano je żywcem i niejeden młody chłopiec zmarł w kwiecie wieku pod prasą chciwych fabrykantów pragnących połknąć cały świat. Jednak ponieważ nie mieli do żarcia nic ponad te

biedne dzieciaki, pochłaniali właśnie je. Nie raz i nie dwa znajdowano w jakimś kącie kolejnego samobójcę, który się powiesił.

Wiele dzieci się też truło. Niejeden chłopak moczył w szklance wody pudełko zapalek, a potem wypijał odmiękły z nich fosfor. Ta zaraza dziesiątkowała młodzież w Bełchatowie. Winę za to, że doprowadzano te dzieciaki do samobójstwa, ponosili oczywiście ci, którzy gonili ich do pracy od czwartej nad ranem do dwunastej w nocy. Zaś to, co najważniejsze, chleb, trzymali przed nimi w zamknięciu.

Na każdy posiłek wydzielano kromkę chleba – to było stanowczo za mało, by przeżyć taką gonitwę. Mojemu tacie tylko cudem udało się przeżyć to piekło, gdy ratował się ucieczką do Tomaszowa. Przeszedłszy wszystkie siedem kręgów piekła, zatrudnił się jako czeladnik u tkacza chust. Czeladnik to już był wyższy stopień. Na jego stole leżał własny chleb i nie jadł już posiłków u majstra. Jednak dalej spał u niego, pod krosnem tkackim, moszcząc się na towarze, który wyprodukował. I tak było dopóki nie ożenił się z moją mamą i nie przeprowadził do małej izdebki naprzeciwko i na zawsze uwolnił się od posłania u majstra. Ponieważ mój tato miał opinię świetnego rzemieślnika, wzięli go na młodszego majstra do braci Landau w fabryce chust. Jednak rodzinę Landau dotknęła straszna tragedia, o której chcę teraz opowiedzieć.

Landauowie to był bardzo stary ród. Byli bardzo bogaci i w ich domu stacjonował major z miejskiego garnizonu. Miał on adiutanta – bardzo inteligentnego łobuza. Pewnego razu major pojechał na urlop. Adiutant został sam w dwóch izbach zajmowanych przez majora. I oto pewnej soboty wieczorem, gdy Landau siedział nad utargiem w swoim kantorze, poczuł, że ktoś mu stoi za plecami. Odwrócił się i ujrzał stojącego za nim adiutanta. Zaczął go sztorcować, mówiąc, że poskarży się majorowi, gdy tamten wróci. Odpowiedzią, którą stary Landau otrzymał od adiutanta na te słowa, był cios kamieniem w czaszkę. Nagle adiutant usłyszał, że ktoś wchodzi po schodach, więc szybko wrzucił zamordowanego pod stół, a potem powitał starą Landauową ciosem w głowę tym samym kamieniem. Lecz oto znów usłyszał kroki na schodach. Również starą wrzucił więc pod stół i czekał na następną osobę. Ukazała się postać kobieca – wnuczka starego Landaua, która bardzo mu się podobała, więc odłożył kamień i szybko zabrał się za nią. Najpierw ją zgwałcił, potem udusił, a na koniec zawinął w zasłonę. Jednak po schodach znów ktoś wchodził. Szybko podskoczył do drzwi, a naprzeciw wyszedł mu inny domownik starego Landaua – mąż zamordowanej dziewczyny. Jeszcze szybciej cofnął się do kantoru, zgasił lampę, potem rzucił ją wchodzącemu prosto w twarz. Rozgorzała walka, lecz szybko go pokonał i zabił jako czwartą ofiarę. Potem obmył się z krwi, wytarł najlepszym ręcznikiem i cichuteńko wrócił do swojej izby, jakby nic się nie stało.

Następnego dnia o szóstej rano, gdy robotnicy przyszedli do pracy, odkryli tę masakerę – cały dom „spal”, również adiutant. Oczywiście udawał, że absolutnie

nie wiedział, co się stało. Przecież jest niewinny. Pomagał nawet szukać mordercy, którego rzecz jasna nie znaleziono. Wtedy pochowano zamordowanych, dając każdemu w dłoń po nożu, by mogli zemścić się na swym mordercy.

Po pewnym czasie z urlopu wrócił major i przywiózł ze sobą żydowską kochankę. To właśnie ta kochanka, chcąc pewnego dnia posprzątać izbę adiutanta, znalazła na jego łóżku złoty zegarek starego Landaua. Od razu pobiegła z zegarkiem do majora. Ten natychmiast zajrzał do skrzyni z rzeczami adiutanta i ciemno mu się zrobiło przed oczami – pierścionki i kolczyki zamordowanych – wszystko tam znalazł. Zapytany, skąd ma te wszystkie rzeczy adiutant przyznał się od razu, że to on ich zamordował. Ponieważ się przyznał, dostał piętnaście lat katorgi. Gdy już było po wszystkim i po sprawie sądowej prowadzono go ulicą, ten morderca skrzył sobie papierosa, podszedł do oficera konwojującego i poprosił o ogień.

Po morderstwie fabrykę zamknięto. Tato wysłał mamę do domu, do Gowarczowa, a sam pojechał do Łodzi.

Z początku zatrudnił się u wuja Hersza Josefa, lecz gdy z czasem zaoszczędził kilka rubli na mieszkanie, napisał do mojej mamy, a ta szczęśliwie przyjechała do Łodzi i wprowadzili się do Szaji Floka i Jankiela Bociana, na Zgierską pod numer 66.

A oto historia mojej mamy: była najbardziej udaną córką mojego dziadka. Mądra Frajdel, tak na nią wołali. I kiedy w domu dziadka zaczęło dziać się źle, moja mama, wtedy już zaręczona, zaczęła pracować w szynku za kontuarem nalewając gościom wódkę i wszyscy bardzo ją cenili za jej mądre prowadzenie się w gospodzie.

Ze skromnym panińskim rumieńcem na policzkach polewała chłopom gorzałkę. Jednak wydarzyła się pewna historia: oto zajęchał w trójkę koni na szpic szlachcic z sąsiedniej wsi i zatrzymał się przed szynkiem. Na pytanie do kogo przyjechał, opowiedział po prostu: przyjechał „Do młodej pani Frajdli”, bo już nie może się doczekać, kiedy pojedzie z nim do jego majątku.

Niedobrze! Trzy dni musiano trzymać dziewczynę w zamknięciu przed szlachcicem. Ten zaś czekał na nią przez całe trzy dni, nieźle sobie popił i rozbił w szynku wszystkie szklanki i szyby. Dopiero potem pojechał do domu. Po tej przygodzie ze szlachcicem w wielkim pośpiechu wyprawiono wesele...

Do Łodzi zawitała – oby ku dobremu się obróciło – cholera i jak w niewoli egipskiej „nie było domu, w którym nie byłoby umarłego”³⁹, tak było źle. Doszło już do tego, że gdy tylko ktoś dostał rozwolnienia, w niedługim czasie wyciągał kopyta. Jedynym lekarstwem była wódka z pieprzem. Chociaż nie, było jeszcze jedno – gdy tylko ktoś dostał rozwolnienia i cały posiniał, smarowano mu stopy spirytusem. Jeżeli jego sine stopy poczerwieniały, znaczyło to, że ma mu się na życie, lecz jeżeli stopy nie czerwieniały, no to był bardzo zły znak. Mój tata biegał

³⁹ Cytat z Wj. 12, 30.

więc z butelką wódki z pieprzem po chorych, dawał im szklaneczkę okowity i smarował stopy spirytusem.

Lecz oto i moja mama dostała biegunki. Mój tata wzmógł wysiłki. Jednak dopiero gdy łódzki rabin, Eliahu Chaim Majzel, udał się na cmentarz i zobaczył zmarłych leżących w szeregu, zamknął bramę cmentarną, stanął przed nią z kluczem i krzyknął:

„Dość! Więcej nikogo tu nie wpuszczę!” – wtedy zaraza ustała.

Na Bałutach mieszkał doktor nazwiskiem Czarnożyła lub Rudy Doktor, bo tak na niego mówiono. To był bardzo młody lekarz, były uczeń jesziwy. Miał świetną głowę. W kilka lat skończył i gimnazjum, i uniwersytet. Zaczął praktykować na przedmieściu, na Bałutach – dwadzieścia kopiejek za wizytę. Ludzie błyskawicznie się do niego przyzwyczaili. Był przede wszystkim świetnym lekarzem dziecięcym. Więcej nie było trzeba, z miejsca stał się naszym lekarzem domowym.

W końcu co to jest dwadzieścia kopiejek? Gdy tylko Chaimek się skrzywił – wołano po doktora. Mrugnął okiem – natychmiast posyłano po Rudego Doktora. I tak oto przesiadywał u nas Rudy Doktor całymi dniami.

Cholera pozostawiła po sobie nieprzyjemne uczucie: sto pięćdziesiąt istnień wyrwanych ze społeczności żydowskiej to przecież nie jest drobiazg! Świat żydowski pograżył się w smutku. Jednak w każdym nieszczęściu można zauważyć promyk światła; u nas objawiło się ono w postaci świetlistego starca, rabina Eliahu Chaima Majzla: jak powiew chłodnej bryzy wędrował z izby do izby niosąc ze sobą pocieszenie. Tu zdradził jakiś tajemny sposób, tam przewiązał choremu głowę, błogosławiąc go. Tu życzył pełnego powrotu do zdrowia, przyczyniając się do zupełnego wyzdrowienia. Nie bał się odwiedzać najbardziej nawet niebezpiecznych miejsc, a wszędzie tam gdzie wszedł rabin Eliahu Chaim Majzel, śmierć nie miała już władzy. Jak wiatr rozwiewa pył, tak on rozganiał żydowskie troski. Leczył, troszcząc się o najmniejszą nawet drobinę żydowskiej wspólnoty, cierpiąc cierpieniem wszystkich, dzieląc ich zmartwienia.

Zaczynam chodzić samodzielnie. Pamiętam, jak nosem dosięgałem stołu. Pamiętam taki obrazek: mama zagniata ciasto na kluski, albo na coś innego. Nie pamiętam za dobrze na co. Gdy odeszła na chwilę ja podszedłem do stołu, wspiąłem się na paluszki i ściągnąłem na siebie całe ciasto. Umazałem się cały, od stóp do głów rozczynelem, no a mamę wiele wysiłku kosztowało doszorowanie mnie z resztek ciasta.

Naszym nowym fabrykantem był Awrom Hersz Gotweil, który nie był wcale złym człowiekiem. Były chasyd, do swoich tkaczy odnosił się z Bogiem w sercu. To prawda, tkacze musieli bardzo ciężko harować: przerobić sto dwadzieścia łokci satyny, by zarobić sześć rubli. Zajmowało to ponad tydzień, a jeżeli wziąć „na wykończenie” dwie sztuki po sto dwadzieścia łokci każda, co też zajmowało

z tydzień – po trzy ruble za sztukę. A towar miał być gładziutki jak lustro – bez zagniecenia, bez żadnej skazy.

Rosnę. Nabieram sił. Chodzę przy mamusiny fartuchu, przy kolanach taty. Mówię już nawet kilka słów, jak: tata, mama, chleb. Wszystkich w domu duma rozpiera: Chaimek mówi już całymi zdaniami: mamó idę, mamó jeść. Najbardziej z mych pierwszych słów cieszy się babka Sara. A mama zapuszcza mi pejsy, chodzę ubrany w jedwabną jarmułkę z guzikiem pośrodku, kamizelkę i koszulkę z cyces – prawdziwy mały chasydek. Wołają na mnie rabinę i chodzę z zawieszonym na szyi amuletem – z błogosławieństwem pewnego pobożnego Żyda, na rączce czerwona opaska, niezawodny sposób na złe oko.

Tato odmawia ze mną co szabas błogosławieństwo „Mi shebajrach” przy czytaniu Tory. Ponieważ jest lewitą, co szabas jest wzywany do czytania Tory w bractwie Szaji Floka, więc i ja jestem podziwiany ze wszystkich stron.

W naszej izbie znów radość – moja mama powiła córeczkę. Dano jej na imię Cirele, a przysła na świat w czepku – znak, że będzie miała szczęście w życiu. Od razu też szczęście zagościło w naszej izbie: tato przyniósł kupione dla położnicy smakołyki: dobre ciastka, herbatę z cukrem i cytryną. A ponieważ bardzo byłem rozpieszczony, więc i mnie pozwalano podkraść bez ograniczeń. Chodzę tak z pełnymi rękami, a ponieważ położnica jest zajęta nowo narodzonym dzieckiem, zostawiają mnie wtedy na łasce Opatrzności i nikt się za mną nie ogląda. Nawet babcia jest wpatrzona w nowe dziecko i nie ma nikogo, kto by się mną zajął.

Przeprowadzamy się. Wynajęliśmy nowe mieszkanie w domu przy Zgierskiej 64. Części krosna: wały, belki, przewały, przedpiersień czy bidła wyrzucono po prostu na nowe podwórze przez okno starego mieszkania. Resztę – szkielet krosna, komodę i inne, mniejsze rzeczy zniesiono na podwórze. Zaczęło się u nas zupełnie nowe życie. Jako że wraz ze wzbogaceniem się fabrykantów, także tkacze doszli nieco do siebie, wszyscy jakby odżyli. Gdy tkacze zarobili już pierwsze pieniądze, zaczęli szukać nowych mieszkań. Fabryczki rozwijały się. Wynajęliśmy mieszkanie na cztery krosna i właśnie się do niego przeprowadziliśmy. Dwa nowe krosna zamówiliśmy u Smarkatego Ezrielki – stolarza na ul. Pieprzowej, szpulerze u Drechslera na ul. Prywatnej⁴⁰. Dwa stare krosna już mieliśmy, więc z rozmachem ustawiliśmy wszystkie cztery nowe – i zaczęliśmy przy pomocy ciotek produkować na nich satynę. I tak mama stała się właścicielką czterech krosien.

Nowe podwórko domu, do którego się wprowadziliśmy było większe i obszerniejsze, w sam raz na wyprawy. Dom – dwupiętrowy budynek, w którym mieszkaliśmy, stał daleko w głębi podwórka, które było niezabudowane i można

⁴⁰ Prawdopodobnie ul. Moniuszki, początkowo prywatny pasaż. W narożnej kamienicy przy ul. Moniuszki i Piotrkowskiej 76 mieścił się skład mebli żelaznych „Weikert i Drechsler” – „Dziennik Łódzki”, 18 XI 1887, nr 258, s. 4. Dziękuję p. Józefowi Kłosińskiemu z Muzeum Włókiennictwa w Łodzi za konsultację tego fragmentu tekstu.

było chodzić po nim swobodnie. Będąc wtedy czteroletnim chłopcem, z miejsca wybiegłem na nie i zacząłem się bawić.

W głębi podwórka naprzeciwko naszego domu stał niski murowany budynek należący do chrześcijanina nazwiskiem Szymski. Z zawodu był ślusarzem i niespecjalnie kochał Żydów. Bawiliśmy się razem z jego synem, Tomkiem, który był w moim wieku. Bardzo lubiłem się z nim bawić. Jednak jego ojciec antysemita nie pozwalał mu na to, choć bardzo nas chłopaków do siebie ciągnęło. Z jednej strony pojawiały się więc przeszkody. Z czasem przeszkody pojawiły się też i z drugiej strony: jak temu antysemitcie Szymskiemu nie pasuje, że jego syn bawi się z synkiem mojej mamy, to mojej mamie też to zaczęło przeszkadzać, że jej syn bawi się z synem tamtego.

Jednak prawdziwe życie zaczynało się wtedy, gdy wykradaliśmy się i bawiliśmy ze sobą potajemnie. On przynosił przeróżne zabawki – obcęgi, młotki, różne kłódki: duże, małe, malutkie. Chowałem to wszystko u nas w mieszkaniu między krosnami, a Tomek nie raz i nie dwa oberwał skórzanym pasem na gołe ciało, gdy jego macocha przyłapała go u nas w mieszkaniu na zabawie ze mną.

Naprzeciwko naszych drzwi mieszkał rewizor, oficer, który chodził po kramach i robił przeszukania. Gdy tylko znalazł w takim kramie paczkę tabaki czy tytoniu, które nie miały patentu, sporządzał protokół o znalezieniu kontrabandy. I to wszystko! Za pierwszym razem karą była pewna suma pieniędzy i zależała ona od wielkości kramu czy składu. Za drugim razem suma była większa, a za trzecim w ogóle zabierał patent. Prezenty pchały się więc w jego ręce ze wszystkich stron: jakiś kram wysłał mu paczkę z dziesięcioma paczuszkami tytoniu, jakiś skład: kilka głów cukru, a jakiś szynk: beczułkę importowanego piwa. A ponieważ miał kochankę, której dziadek był Żydem, zaprzyjaźniła się ona z moją mamą i korzystaliśmy ze wszystkich tych dobrych rzeczy wysyłanych do rewizora.

Mieliśmy sąsiada zwanego Szaul Facet. Był on właścicielem siedmiu dużych krosien, na których były maszyny do wyrabiania szewiotu⁴¹ i chust. Mieszkał na drugim piętrze, piętro wyżej niż my. Był człowiekiem, który lubił zaglądać do kieliszka. Był też najważniejszym członkiem łódzkiej Chewra Kadisza. Gdy tylko ktoś umarł, szło się do Szaula Faceta, by ustalić sumę za pochówek. Wysokość opłaty zależała od tego, jak wielki majątek pozostawił po sobie dany człowiek (czyli zmarły). Członkowie Chewra Kadisza mogli kazać zapłacić nawet i pięćset karbowanów, bo im większa była opłata, tym większa potem pijatyka. A Szaul Facet za kołnierza nie wylewał. Prawie codziennie wracał dobrze po północy, zupełnie pijaniutki. Mimo to porządny był z niego sąsiad i dobry brat.

Moi rodzice urządzili w domu imprezę powitalną: zaprosili sąsiadów na wódkę i słodycze. W czasie uroczystości między sąsiadami nawiązała się rozmowa przy

⁴¹ Rodzaj tkaniny wełnianej.

wódce i ciągnęła aż do zakończenia szabasu. Moi rodzice wybrali właśnie szabas jako najlepszy dzień na taką uroczystość i sąsiadom bardzo to pasowało.

Szaul bardzo lubił tę odrobinę radości, szybko się rozgrzał i z wielkim zaangażowaniem zaczął życzyć nowym sąsiadom – mojemu tacie i mojej mamie – dużo szczęścia i powodzenia z okazji przeprowadzki do nowego mieszkania.

Kochanka rewizora, sam rewizor był zajęty jakimś przeszukaniem, rzuciła się mojej mamie na szyję – jako prawdziwa córka żydowskiego rodu – i zaczęła ją obcałowywać. Nawet antysemita Szymski, który pomimo swych działań wymierzonych w przyjaźń moją i swego syna zjawił się na zaproszenie mojego taty, zaczął się popisywać swą wiedzą o sprawach żydowskich: że Żydzi jedzą białą chałkę i odmawiają kidusz nad winem, jedzą tylko najlepsze kawałki mięsa, no a Żydówki to najpiękniejsze kobiety, czego pani Frajdla najlepszym przykładem – taki komplement poczynił mojej mamie.

Pod poduszką mojej mamy nigdy nie zabrakło butelki wina. Kupowało się je u Ezry Szykiera – Żyda o dostojnym wyglądzie, który odgrywał bardzo ważną rolę w łódzkiej gminie żydowskiej. Najlepsze wina kupowało się jednak u żony Ezry Szykiera, prawdziwie zacnej kobiety. Gdy tylko usłyszała, że potrzeba flaszki wina dla chorego, albo dla położnicy, wiadomo było, że człowieka nie oszuka i można było wtedy u niej dostać naprawdę dobre wino. Jak już mówiłem, u mojej mamy nigdy wina nie brakowało, chociaż flaszki przynosił tato. Wkładał je następnie z miłością pod poduszkę u wezglowia mamy.

Pierwszą literę pokazała mi babcia Sara, gdyż to ona była moją pierwszą melamedką. Muszę przyznać, że uczyła w sposób cudowny: do każdej litery wymyślała bajkę pasującą do mojej fantazji, na przykład:

Był raz król
Czy kalif,
Miał syna co zwał się
Alef
Co wraz z cesarzem, w koronach,
Chodził żebrać po domach
Krzyczano: ej, panie kalif!
Toć przecież cesarz i Alef!

To było o alefie. O literze bejs była inna bajka:

Był raz szyper,
Zły jak bies,
Co miał żonę
Babkę Bejs.

Poszli raz do lasu w głąb,
Gdzie panował straszny ziąb,
Napotkali zbójców tam,
Którzy pośród lisich jam
W dziki się puścili tan.
I z radości wył jak pies
Szyper, tańcząc z babką Bejs.

System mojej babki Sary był zaiste niezawodny, bo alfabetu wyuczyłem się raz – dwa.

Mój pierwszy melamed nazywał się reb Motel. Był to wysoki Żyd z gęstą żółtą brodą i różgą, która tylko śmigała przy każdej sposobności.

Reb Motel był prostym Żydem, melamedem z najniższej półki. Miał on żonę, Glikę. Niestety nie miała ona szczęścia do dzieci. Jednak w czasie, gdy uczyłem się u jej męża, urodziła dziecko, wcześniaka. Co się z tym dzieciakiem nie wyrabiało! Zawijano go w watę i trzymano w specjalnym popielniku z kaffi piecowych. W niewysokiej temperaturze, ma się rozumieć. W końcu jednak umarło także i ono, jak wszystkie wcześniaki przed nim.

Na mnie różgi nie próbował. Ze mną obchodził się delikatnie. Co to się wyprawiało przy moim pierwszym pójściu do chederu! Scyzoryk i ludzika z ciasta podarował mi reb Motel, gdy mama po raz pierwszy przyprowadziła mnie do jego chederu, gdzie przytuliłem się do mamy i chowając się pod jej fartuchem, przypatrywałem się reb Motłowi z podwiniętymi rękawami i różgą pod pachą oraz szerokim tałes kotn zarzuconym aż na kolana (to było lato, środek miesiąca tamuz). Tumult, który robiły dzieciaki, wystraszył mnie. Wrzaski starszych chłopaków wzbudzały przerażenie. Nic nie pomogło – ani scyzoryk, ani ludek z ciasta, rozryczałem się i zanurkowałem pod maminią spódnice.

Drugiego dnia przyszedł po mnie belfer Uszerl, bosy i obdarty, prawie dorosły chłopak. Przyszedł, żeby mnie zabrać do chederu. Różnych sztuczek używał, żeby mnie tam zwabić. Choćby tylko na pół godzinki. Przedtem bawił się ze mną w chowanego, ja chowałem się między krosnami, a on ani razu mnie nie znalazł. W chederze spędziłem jednak więcej niż pół godziny, i to na samej nauce. Bardzo byłem zadowolony, a jeszcze bardziej – rebe.

Niedługo potem poznałem nowego przyjaciela, starszego wiekiem ode mnie. Jednak bawił się ze mną w to, w co ja chciałem. A bawiliśmy się jak nie w chowanego, to w ślepą babkę. Ślepą babką, ma się rozumieć, był on. Obwiązywał sobie głowę ręcznikiem, zakrywając oczy, i obtańcowywał mnie jak księżniczka swego czarnookiego księcia.

Podwórko u reb Motla należało do Szmula Rzeźnika, bardzo bogatego Żyda. Był prawdziwym rzeźnikiem, ale i rodzinę powiększał raz za razem. Człowiekiem

był niskim, grubym, o potężnych dłoniach i pełnych, napakowanych ramionach, które mogły przenieść cielaka z wozu prościutko na hak. Podwórko, jak i cała posesja należały właśnie do niego, do Szmula Rzeźnika.

Co to było za podwórko – puszcza prawdziwa, długa i głęboka, a dokładnie na samym jej końcu stał dom, w którym reb Motel miał swój cheder, z kolei naprzeciwko okien chederu była stajnia dla krów i koni, które zaprzęgano do rolwag i wozów na mięso Szmula Rzeźnika. Toczyła się tam wieczna wojna między pieskiem mopsem z rozplaszczonym nosem a szczurami ze stajni. Co to było za widowisko dla dzieci!

Mops potrafił się czaić nawet dobre pół godziny. Wszystkie dzieciaki kibicowały jego pogoniom za coraz to nowymi ofiarami – myszami wielkimi jak koty i tłustymi jak króliki. Myszy wraz z końmi zżerały obrok, który Bunie, stajenny Szmula Rzeźnika, sypał do koryta. Cóż to było za życie! Zamiast siedzieć w chederze wszyscy chłopcy siedzieli przy stajni i razem z mopsem czatowali na myszy.

W domu nowe życie: ciotka Elke wypiękniała i przychodzą do niej chłopaki, dosłownie lecą do niej jak pszczoły do kwiatu róży. A dokąd tak ściągają? Oczywiście do naszego mieszkania. I to po kryjomu. Schodzą się więc chłopaki i kupują beczułkę piwa, a potem jeden przechwala się przed drugim i w końcu każdy stawia beczułkę. I tak zbierają się w naszym mieszkaniu całe armie pustych beczulek. Na szczęście przyszła zima i było czym w piecu palić. A palić, paliły się nieźle. Były smołowane i tak pięknie strzelały w palenisku, że aż przyjemnie było patrzeć.

Przychodzili, ma się rozumieć, sami porządni chłopcy, byli na przykład bracia Heker. To chłopaki z wyższych sfer, więc co znaczy dla nich taka beczułka piwa? Jak niuch tabaki!

Przychodził też Eliezer, krewny mojego ojca. Zjawiał się pięknie pachnący, z butonierką, w którą wetknięta była jeszcze nie do końca rozkwitnięta róża, jakby pierwsza w ogrodzie. Przychodził Lejb, który wysłał nawet do Elki oficjalne swaty. Także on przynosił jej wiele prezentów. Eliezer był młody i świetnie wyglądał. Zarabiał dwanaście rubli tygodniowo. Oczywiście przynosił prezenty swej ukochanej, wszystkiego po trochu – od szpilki do kolii. Oczywiście wysadzanej drogimi kamieniami. Oraz pierścionek, bransoletkę zaopatrzoną w wymyślne zapięcie oraz, rzecz jasna, drogie kolczyki wysadzane prawdziwymi turkusami.

Wszystko to przyniósł Eliezer, by mogła sobie coś wybrać. A wybierała długo. Ciotka dobrze знаła się na wszystkich kosztownościach. Jakże szczęśliwy był ten chłopak, gdy wybrała pierścionek! Potem piwo łało się z beczulek jeszcze szerszym strumieniem. I pojawiała się jeszcze więcej chłopaków, którzy teraz przepływają przed moimi oczami jak we śnie. Nie jestem w stanie ich opisać z pamięci. I tak każdego szabasu zbierali się chłopcy w naszym mieszkaniu. To były prawdziwe żydowskie szabasy!

Mazł tow! Moja mama urodziła trzecie dziecko. Dowidele, na szczęście! Zaiste prawdziwe szczęście zapanowało w domu i zagościło u nas na dobre. W izbie pracowały cztery krosna. A tato zaczął pracować jako probierz w interesie Goteila, na mieście.

Wielkie zmiany zaszły w tym czasie wśród bałuckich tkaczy. Kto tylko miał jakieś wolne krosno, zaczynał pracować dla Goteila. A Goteil płacił trzy ruble pięćdziesiąt kopiejek za sztukę towaru długiego na sześćdziesiąt pięć łokci. Przez cały tydzień przepychano nawet i ze trzy takie sztuki. Do domu zaczęły napływać imperiały, prawdziwe złote dziesięciorublówki!

Goteil rozwinął interes na szeroką skalę: pracowało dla niego kilkaset krosien. Nowy strumień dochodów rozlał się po mieście wśród tkaczy. I wtedy Szifer nagle wystawił na próbę maszynę do wykończania szewiotu. Wybrał on mojego tatę spośród wszystkich tkaczy. Wszystko to zbiegło się w jednym czasie, w domu – cztery krosna, na mieście u Goteila – wykończanie za dwanaście rubli tygodniowo. No i dziecko przyszło na świat szczęśliwie.

A tu pewnego razu taka historia: rewizor upił się jak Lot. No i nieźle porachował kości tej swojej kochance. Na jej krzyki zbiegli się wszyscy sąsiedzi do rewizora, by go powstrzymać, zanim ją zatłucze. No bo jak, w końcu mógł nawet zacząć strzelać. Każdy bał się jednak wejść do środka by go powstrzymać, bo mógł człowieka zaszlachtować jak świnie.

Ostatecznie jakoś się mu wyrwała i z sinymi oczami podbitymi przez jego okrutne ręce przybiegła do nas. Oj, jak wszyscy się za nią ujęliśmy! Tato wtrącił nawet zdanie po polsku: „Niech pan przyjdzie, to ja jego dam!” – i to zupełnie na poważnie. Złapał kątownik i zaczął wymachiwać nim w powietrzu.

Uczę się już pilnie. Łączę litery z kropkami. Co prawda dalej boję się rebego, ale tak się zakumplowałem z belfrem, że rzucam mu się na szyję, a on bawi się ze mną w wiatrak. Kręci się ze mną w kółko jak wiatrak, albo gra ze mną w etel-betel: wyczynia różne sztuczki ze sznurkiem, a potem uczy mnie, jak przejąć z jego rąk tę zawiłą konstrukcję. Uwielbiam patrzeć, jak płacze sznurek między swymi palcami. Tutaj robi węża, tam skorpiona, potem nagle plecioną chałkę, prawdziwą słodką chałkę, i to w ośmiu ruchach. Pod jego palcami wszystko odżywa. Wąż się wiję, skorpion pełza, a chałka pachnie szafranem i makiem. I tak bawimy się w kąciku naszego wielkiego mieszkania i nikt nam nie przeszkadza.

Ponieważ podwórko u nas było całkiem puste, Mechel Piekarz wynajął kawałek placu i wystawił na nim budkę, by sprzedawać swoje wypieki. Swoją piekarnię miał nieco dalej, w górze ulicy Zgierskiej, aż przy polu, gdzie odchodzi ulica Kalbacha⁴², na granicy między Radogoszczem i Bałutami.

Tłumaczył z jidysz Dariusz Dekiert

⁴² Obecnie ul. Snycerska.

Gość z Ameryki⁴³

Pogłoski, że dawny mieszkaniec przyjechał z wizytą z Ameryki, rozniosły się nie tylko po mieście, ale i po całej okolicy. Kobiety porzucały wiadra z pomyjami na środku drogi i biegly na pogaduszki z sąsiadkami:

– Słyszałyście, kto przyjechał? Podobno Srul, syn ślepego Pinkasa Fazera, tego co się wyprawiał na tamten świat.

Na progach swoich sklepików kilku starszych sprzedawców w płóciennych, pobielonych mąką fartuchach, o biało oprószonych brodach i zsuniętych z czoła kapeluszach z podwiniętymi rondami, stało z papierosami w ustach i pogadywało:

– Wielki lord teraz się z niego zrobił – rzucali między sobą z ognikami zazdrości w oczach. – Ale kto by tam nie pamiętał, co z niego jeszcze niedawno było. Nie uczciwą pracą rąk zarobił, tylko łapskami się nachapał.

Dzieci otoczyły żółto pomalowaną gospodę stojącą na rogu prostokątnego rynku i ciekawskimi, przymrużonymi oczkami zerkwały w górę, w okna zaciągnięte ciężkimi kotarami, które złoto pobłyskiwały w promieniach słońca. Wskazywały paluszkami i opowiadały sobie wzajemnie w tajemnicy:

– Wiesz chociaż, kto tam mieszka, za tymi złotymi oknami? Nowy Mojsze Montefiore... W Ameryce ma pałac ze szczerego złota. Z samego kieszonkowego wykupi pół naszego miasta...

Już przed południem ławy w ciemnym, wąskim korytarzu gospody zostały pozajmowane przez całe rodziny, i te z samego miasta, i z okolicznych osad, które przybyły specjalnie na tę okazję. Mężczyźni o zatroskanych, poźółkłych czołach, mieli na sobie czarne ubrania, zakładane tylko w szabasy i na wesela. Ich szeroko rozczesane brody poruszały się niecierpliwie. Amerykanin gdzieś poszedł, więc tymczasem podnosili się z ław, przemierzali korytarz w tę i z powrotem, częstowali się a to papierosem, a to szczyptą tabaki z rzeźbionej kościanej tabakierki, po czym donośnie kichali, wdychając przy tym z zadowoleniem. Sypali żartami, z rozpędu kpiąc także z Amerykanina i dwuznacznie do siebie mrugając:

– Jak to możliwe, że taki młodzik tak szybko się dorobił? Pewnie na koszt tamtego świata ma na tym świecie używanie... uchwaj Boże.

Kobiety o pobrużdżonych, pociemniałych twarzach, w za dużych perukach, które je tylko jeszcze bardziej postarzały, ciągnęły mężów za ubrania z powrotem na miejsca:

– Och, wytrzymać nie może, czort jeden. Siedzi to jak szpilkach.

Ludzie głośno rozmawiali między sobą i spoglądali z zawiścią na każdą nowo przybywającą rodzinę niczym na konkurencję. Ktoś o ostrym, złym spojrzeniu

⁴³ S. B. Szajewicz, *Gość z Ameryki*, „Naje Folkscajtung”, 17 II 1939, s. 7.

i zapadłej, chorobliwie rozpłomienionej twarzy nie wytrzymał i zadrwił z dopiero co przybyłej pary, w której i mąż, i żona byli dość pokażnej tuszy.

– I ci także łakomią się na jego pomoc, i im wiele do szczęścia potrzeba. Ale przecież żyjąc samym powietrzem tak się nie tyje!

Słyszając to przysadzisty mąż aż spurpurowiał i już chciał się ostro odciąć, lecz jego gruba żona, nosząca długie, błyszczące kolczyki, zatkała mu ręką usta i nie dała wypowiedzieć słowa, za to sama zaczęła wyklinać, zwracając się do nieznajomego wprost na „ty”:

– A niech cię szlag trafi, ty prosty rzęchu!

Ale zanim kłótnia rozpetęła się na dobre, zgromadzeni wokół zaczęli cicho mamrotać:

– Idzie, sza, idzie...

Wkrótce pojawił się wysoki, barczysty mężczyzna. Był korpulentny, o pełnych policzkach wygolonych gładko niczym u goja, które jak wyrosnięte ciasto przelewały się obramowując jego błyszczący podbródek. Wszyscy nagle z szacunkiem, jak uczniowie w szkole, powstali z ław, otoczyli go i wpatrywali się w niego niemym, błagalnym wzrokiem ubogich. On zaś stał tak przez chwilę, okrążony, bezradny, ze strachem w oczach, nie rozumiejąc czego od niego chcą. Zimna trwoga ogarnęła go na widok ich poddańczych spojrzeń. Niespodziewanie z tej milczącej, ciemnej gromady wysunęła się do przodu owa przysadzista kobieta i wydała z siebie okrzyk:

– A to święto, taka wizyta! – obiema rękami objęła go za szyję, głośno cmokała miękką twarz, jakby ugniatała ciasto.

– Co dobrego u ciebie, Symchele? Nie poznajesz mnie?! Kopę lat się nie widzieliśmy, ha? Jestem przecież kuzynką twojej zmarłej matki, obyś miał długie życie. Chodźmy stąd, ci wszyscy tutaj to obcy, wydrwigrosze, złodzieje. Chcą ci, Symchele, wydrzeć ciężko zapracowany grosz.

Woń potu spływającego z ramion kobiety i zapach z jej ust odebrały panu Samowi oddech. Nie wiedział, jak wyrwać się z jej rąk. Ale wnet nadarzyła się okazja. Obok ustawiła się jakaś inna kobieta, dużo starsza, o pomarszczonej twarzy i szyi, ale wciąż jeszcze zalotnym uśmiechu. Oparła ręce na biodrach:

– Ja, Symche, wcale ci nie zdradzę mojego imienia. Zobaczymy, czy w ogóle poznasz swoją własną ciocię – potrząsając głową roześmiała się donośnie, nadęła rozpłomienioną twarz, młasnęła językiem. – Własną ciocię!

Pan Sam odwrócił głowę i spojrzał na nią ze zdziwieniem. Z jego rachuby wynikało, że od dawna nie mógł mieć już tu żadnych bliskich krewnych. Jej jednak zdawało się, że powoduje nim radość i stała się jeszcze zuchwalsza:

– Chodź no tutaj, niechże ja ci się przyjrzę – otworzyła po matczynemu ramiona. – Ach, jak ty tam, na psa urok, wyszedłeś na ludzi. Pamiętam cię,

jak jeszcze jadłeś chleb ze smarkami, za przeproszeniem. No chodź, niech cię wytargam za mordeczkę, tak jak wtedy.

Bez wahania odepchnęła ze złością zdumioną kobiecinę z długimi kolczykami, chwyciła Sama za rękę i pociągnęła ku sobie jak dziecko. Wpierw wymierzyła mu gromkiego klapsa w policzek, a zaraz potem obsypała go całusami:

– Och, Symchele, złotko, Symchusiu – nagle się rozchlipała – tato z mamą się nie doczekali...

A wówczas owa pierwsza kobieta doszła do siebie i z oczami zwężonymi ze złości zwróciła się do Sama:

– A gdzież ta cioteczka się podziewała, gdy ty u nas miałeś wikt i opierunek?

– Wstrętna zarazo – tamta o mało nie wydrapała jej oczu. – Patrz no, Symche, jak ona ci próbuje mącić w głowie. A po łbie jej daj!

– Ty przechrzto jedna – pierwszej aż niebieska żyła nabrzmiała na szyi, a usta się wykrzywiły. – No, kto ma przechrztę w rodzinie?

– A na lichwę kto bierze, kto? – tryumfalnie odparowała jej przeciwniczka.

Zgromadzonym spodobało się, że wzięła odwet, ale sami się nie wtrącali. Za ich plecami rozległo się nagle głośnie charknięcie. To chasyd o rzadkiej rudej bródce i jeszcze rzadszych długich pejsach splunął z pogardą dla obu kobiet i zacinając się z gniewu, wykrzyczał:

– Tfu, tfu, tfu, bezczelne! Ściskają i całują mężczyznę na oczach wszystkich, a potem szarpią się jak, nie przymierzając, suki. Panie Symcha, jestem pana krewnym, wujem ciotecznym, a pan moim ciotecznym bratankiem... Chwilę, co ja opowiadam? Zaraz... – chasyd pacnął się w czoło i zaczął śpiewnie wymieniać stopnie pokrewieństwa. – Wasz dziadek z moim ojcem, niech spoczywa w pokoju, byli dla siebie... i dlatego jestem waszym wujem stryjecznym! Chodź no do mnie na szabas, co ci po tych babach...

Wówczas nadeszła kobieta z wielkim brzuchem i astmatyczną zadyszką. Ciężko oddychała, raz po raz pokasując. Jej twarz była sinawa jak u śledziennika, a oczy nabiegłe krwią. Rozglądała się, gdzie by tu usiąść, i pan Sam grzecznie podsunął jej wyściełane krzesło. Rozsiadłszy się na nim westchnęła kilkakrotnie, aż wreszcie po dłuższej chwili odezwała się:

– Symchuś... – I zaraz na nowo się rozkaszała, pochylając głowę ku nabrzmiętemu brzuchowi. – To u mnie się wychowałeś, byłeś mi jak własne dziecko... Mieszkaliśmy po sąsiedzku, i twoja matka, niech spoczywa w pokoju, przed śmiercią poprosiła, bym się tobą zajęła... Nie pamiętasz mnie, Maszy z Opatowa? Ja dla siebie nic nie chcę, ja już o sobie nie myślę. Widzisz sam, stara jestem i chora. Jak długo Ten w niebie pozwoli jeszcze żyć – jakoś pociągnę. Ale mam na względzie twoje własne dobro. Widzę, że jesteś jeszcze kawalerem, a jak długo tak można? Przecież niezgorszy z ciebie mężczyzna. Pamiętasz moją Bruchele? Razem się w piasku bawiliście. Dziewczyna jak dla ciebie stworzona.

Nazywa się Brucha i faktycznie tylko ją błogosławić⁴⁴. Wiele potrafi. Co tylko oczy zobaczą, to ręce zaraz mogą zrobić. Ach, z twoją matką lepiej żyłam niż z własną siostrą... I co tu przeciągać? Z pomocą Bożą za dwa tygodnie postawi się chupę. Matka w grobie, niechaj ma wieczny odpoczynek, będzie się radowała. Ty dla nas nie obcy. Tutejsze chłopaki latają za Bruchą jak kocury, ale moje dziecko to przecież nie byle kto, nie uchwyci się byle jakiego młokosa... Zaraz ją zawołam, ale pamiętaj, bądź wobec niej uczciwy, to taka dobra dusza...

Zanim pan Sam zdążył się słowem odezwać, stara gwałtownie podbiegła do drzwi, otworzyła je szeroko i zawołała w głąb korytarza:

– Brucha, Bru-cha!

W drzwiach pojawiła się wysoka dziewczyna w krótkiej, niemal dziecięcej spódnicy i czerwonej bluzce. Jej uniesione w uśmiechu wargi były brzydko pomalowane na czerwono, a twarz grubo obsypana pudrem, który miał zakryć i wygładzić oznaki przemijającej młodości. Brucha, skromnie opuściwszy oczy, zrobiła nieśmiałą minę jak młoda dziewica i stała tak, milcząc, w oddali. Matka wzięła ją za rękę, podprowadziła bliżej, i odkaszlnąwszy powiedziała:

– Nie wstydz się, córeczko, no nie wstydz się. To przecież swój. Symche, mój złoty, może chcesz, bym na trochę wyszła? To przecież ludzka rzecz...

Amerykanin, który cały czas siedział jak na rozżarzonych węglach i tylko ze względu na grzeczność jeszcze nie wstał, teraz już nie wytrzymał. Pośpiesznie podniósł się, narzucił na siebie płaszcz i jednym skokiem znalazł się po drugiej stronie drzwi.

Tłumaczyła z jidysz Małgorzata Zaremba

⁴⁴ Brucha (hebr.) – błogosławieństwo.

Lejb Berman (Graf Kali)

Lejb Berman (1887–1944?) urodził się w okolicy Pińska. Po odbyciu służby wojskowej przeniósł się do Łodzi, gdzie między innymi udzielał lekcji kaligrafii. Był współpracownikiem łódzkich gazet, m.in. „Łodzer Morgenblat” i „Łodzer Folksblat”. Wydawał w nich humorystyczne felietony, rysunki i rymowanki dla dzieci. Publikował pod pseudonimem „Graf Kali”. Od 1940 r. był uwięziony z rodziną w getcie. Współpracował z jedyną ukazującą się tam gazetą „Geto Cajtung”, która była tubą propagandową Przełożonego Starszeństwa Żydów. Pisał w niej panegiryki na cześć Rumkowskiego i innych funkcjonariuszy getta, m.in. szefa Sonderbeilung Dawida Gertlera. Deportowany w sierpniu 1944 r. do Auschwitz, gdzie został zamordowany. W 1920 r. ukazał się tom jego wierszy pt. *Gelechter fun trenen. A zamlung fun humoristisz-satirisze lider* [Śmiech przez łzy. Zbiór wierszy humorystyczno-satyrycznych].

Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny Żydów łódzkich oraz z Łodzią związanych, red. A. Kempa, M. Szukalak, t. 4, Łódź 2001, s. 22 i n.

Bratnia mogiła⁴⁵

Tam, gdzie się kończy drobna miścina,
Gdzie ruczaj szumi piosenkę swoją,
Stoi mogiła bratnia jedyna,
Piękne ją kwiatki bogato stroją:

Ważnie, niesnaski – te życia posły,
Czół tych, co śpią tam, nie kryją wstydem
Bo śpi tam Polak dumny, wyniosły
W czułym uścisku z wzgardzonym Żydem.

Życie plugawe ich rozdzieliło:
Ludzi na jednej zrodzonych ziemi,
W grobie im razem jest bardzo miło,
Braćmi się czują tam rodzonemi!

Thumaczył z jidysz Samuel Hirschhorn

⁴⁵ *Antologia poezji żydowskiej*, red. S. Hirschhorn, Warszawa 1921, s. 20.

Michał Rudomin

Dane nieustalone. Prawdopodobnie tożsamy z urodzonym w 1872 r. w Oszmianach Michałem Rudominem, mieszkającym w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 114, zmarłym w 1933 r.

APŁ, Spis Ludności Łodzi 1916–1921, sygn. 25032, k. 3.

Cierpienia wojny światowej⁴⁶

Pociski rażące

„Wy wszyscy, co rozniecacie ogień, a przepasujecie się iskrami”⁴⁷.

Trzydziestego listopada 1914 roku, pośród owych trzech tygodni, które upłynęły nam w ryku dział ostrzeliwujących Łódź, w mieście wybuchło kilka szrapneli. Kilka domów zburzonych zostało do fundamentów, a mieszkańcy ich zginęli, pogrzebani pod stosami gruzu i popiołów. Przechadzałem się tego dnia ulicą św. Andrzeja⁴⁸, a kiedy dotarłem do numeru 3, coś nagle wystrzeliło, buchnął ogień... To na dachu domu pod numerem 2, z grzmotem pioruna rozdzierającego nieboskłon, eksplodował ładunek wybuchowy. Przed oczyma stanął mi słup ognisty, na dwa czy trzy piętra wysoki. Miotając się gwałtownie, siał wkoło grozę, jakby wołał do całego świata: „Śmierć i zniszczenie! W chaos, nicość, proch i pył cię obróć!” W mgnieniu oka zamienił się cały w dym. Tu i ówdzie leżały kawałki rozerwanego metalu, w tynku na ścianach w głębi podwórza widniało mnóstwo dziur... Dzwoniło mi w uszach, serce dygotało jak trzcina na wietrze, sił nie miałem ustać na nogach. Resztkami sił uciekłem z tego miejsca i schroniłem się pod obcym dachem, dopóki nie doszedłem do siebie; kiedy jednak wracałem do domu, by ochłoniąć i odpocznienie dać rozdygotanej duszy, uginały się pode mną kolana i powłóczyłem nogami.

Doświadczyłem na sobie, czym jest śmiertelna trwoga. Wczuć się mogłem w los żołnierzy na polu bitwy, w obliczu decydującego starcia... Z duszą swoją własną toczyłem rozmowę: Czy to możliwe, by oni, wydani na pastwę tych okropności, nie wpadali w popłoch na widok pomiotu odrażającego Reszepa?⁴⁹ Na to ona: Czyżbyś nie wiedział, że człowiek z duchem napelnionym wściekłością serce swoje czyni twardym jak krzemień i ochoczo rozlewa krew niewinnych...?

⁴⁶ M. Rudomin, *Sewel hamilchama haolamit* [Cierpienia wojny światowej], Łódź 1931.

⁴⁷ Iz. 50, 11, *Nowa Biblia Gdańska*.

⁴⁸ Obecnie ul. Andrzeja Struga.

⁴⁹ W oryginale gra słów: *bne hareszef* może w podanym kontekście znaczyć „synowie Reszepa”, kananejskiego bóstwa zarazy i wojny, albo „sypiące się iskry”.

Kiedy umysł jego obmyśla zasadzki, a ręce czynią narzędzia zagłady, jego dusza, och, w jakąż otchłań spada!

Mozołem chleb zdobywa⁵⁰

„Przynaglają go jego własne usta”⁵¹.

Pragnąc zdobyć dla swojego domu, dnia tego wędrowałem po ulicach miasta w poszukiwaniu jego wielmożności piekarza, by z ust jego usłyszeć słowo prawdziwe: czy znajdzie kromkę chleba dla pokrzepienia serca mego? Kiedy podniosłem wzrok, ujrzałem człowieka takiego jak ja, niosącego z wielkim zadowoleniem w koszu kawałek chleba. „Niepojęte to” – powiedziałem mu. „Skąd nadszedł twój ratunek?” Odrzekł mi człowiek: „Nadstaw ucha i posłuchaj. O północy położyłem się z pustym brzuchem do łóżka. Po kilku chwilach snów niespokojnych zbudziłem się nagle. Oczy zwróciłem na zegar: ku mojemu zdumieniu wskazywał on kilka minut po piątej, kiedy to należało już wstać i wyruszyć na poszukiwanie chleba. Wyszedłem na dwór, a tu wkoło zamęt i trwoga. Otacza mnie kordon policjantów, jeden z nich jak lew ryczy:

– A ty dokąd? O godzinie tej, wpół do pierwszej w nocy, wędrować przecież po mieście nie wolno – po czym oskarżając mnie, zapisali, że na szpiega i mściciela. Ogarnęło mnie przerażenie, serce zaczęło mi kołatać w piersi. Powściągnąwszy mimo to strach, wróciłem do zmysłów.

– Pozwól mi słowo rzec, oficerze – zwróciłem się błagalnie do ich naczelnika.

– Oto się błąkam w poszukiwaniu chleba, bo przynaglają mnie do tego moje usta. A co do pory nocy, to pojmuję teraz, że na manowce mnie sprowadził szatan.

– Usta twoje pełne są łgarstwa! – zbeształ mnie ze wściekłością. – Wałęsając się, sam sobie jesteś winny. Jako szpieg osadzony zostaniesz surowo, a koniec twój będzie okrutny.

– Spytajcie, błagam, wszystkich mieszkańców miasta, a dowiecie się, że jestem człowiekiem uczciwym i niewinnym, o duszy czystej. Klnę się na życie swoje, że wolny jestem od winy!

Słowa moje wzbudziły gniew. Zaczęli mnie badać i drobiazgowo wypytwać, ale kiedy zakończyli przesłuchanie, puścili mnie wolno. Uciekłem z pomocą bożą, jak łania z rąk myśliwego się wyrwałem. Żwawymi krokami pospieszyłem do piekarni. Na oczy własne ujrzałem, jak z pieca wyłania się chleb gorący i nim znalazł się w rękach piekarza – jakiż mi w udziale przypadł los szczęśliwy! – bochenek ów już zniknął niezauważenie. Choć szczęściem napęlnia mnie teraz moja zdobycz, myśl o mej nędzy mrokiem okrywa mą radość.

⁵⁰ Cytat z modlitwy U-netane tokef.

⁵¹ Prz. 16, 26, *Nowa Biblia Gdańska*.

I jedni, i drudzy gadają na próżno

„Przywiedzie Pan na cię naród z daleka”⁵².

Na ulicach miasta i we wszystkich jego zaułkach stoją grupy ludzi, jeden pyta drugiego:

– Mężu wielkiej mądrości! Otuchy dodaj sercu mojemu i wyjaw mi, co się wydarzy w tych dniach niepokoju i zamętu.

– Prorokiem ni synem proroka nie jestem. Od czasu jednak, kiedy wypowiedziano nam wojnę, serce moje nie wróży niczego dobrego. Wyszedł już lew ze swojego gąszczu.

– Od północy nadchodzi zniszczenie, a oddziały wroga zbliżają się, otaczając miasto.

– Zamilcz, to urojenia twojej duszy!

– O głusi, słuchajcie! Jak pioruny na niebie, jak młoty na kowadle grzmia działa. Głos ich potężny z Widzewa dochodzi do moich uszu. Już wszczynają tam walkę, niwa zamienia się w pole bitwy.

– Co to jest: jak pactwo lata, a szum jego skrzydeł jest jak furkot szarańczy?

– To kolos na glinianych nogach, ale w zapalczywości swojej lada chwila sypnie na nas iskrami płomienistymi.

– O kraino skrzydeł łopoczących!

– Owe anioły niebios stały się naszą trwogą. Powodowany strachem, schodziłem kilka razy do piwnic domu, by się ukryć, i do Boga Zbawcy wołałem z głębokości.

– Otwórz oczy i patrz: oto jeźdźcy szturmujący i chyży posłańcy z zastępów wroga szybują na podobieństwo orłów, a w ślad za nimi podąża armia ogromna, jakiej nie widziało oko.

– Cicho sza! Obyś poczynać armii nie wspomniał w złą godzinę!

– Urągam trwodze i się nie lękam. Unieś wzrok i patrz: oto nadciągają regimenty ze swoimi kompaniami. Choć to zbieranina wielka w najrozmaitszych mundurach, każdy żołnierz, odziany w barwy swojej chorągwi i pułku, obóz rozbija z tą samą grupą, z którą się przemieszcza. Tu jednostka na motocyklach, tam piechota, za nimi kawaleria; oddziały z pikami i z obnażonymi szablami; eskadra sunąca na skrzydłach wiatru; wozy bojowe z działami i z karabinami maszynowymi; ciężarówki, pojazdy transportowe z pontonami i mostem; wozy kryte ze skrzyniami; a pośród nich kuchnia polowa, wozy sanitarne dla rannych i chorych, bezustanny tumult. Odgłos kroków, stukot kopyt i chrzęst kół są ogłuszające.

– Rozglądaj się i patrz: żołnierze odziani są w szkarłat, oblicza ich to płomień gorejący...

⁵² Pwt. 28, 49, *Nowa Biblia Gdańska*.

– Czyń to, młody człowieku, i ocal swoje życie: strzeż się otwierać usta.
– Czy nie stroją sobie ze mnie żartów? Czyżby na kraj padł błąd strach?
– Nie, nie wszczynać wojnę przyszli, lecz podziwiać widoki i zwiedzać nasze zabytki...

– Od początku w skrytości mówiłem, bo nie są to czcze wymysły... Gotowe już wszystko do wojny...

Którzy na kręte zbaczają drogi

„Potrząśnię tobą potężnie”⁵³.

W roku 1916 wybrałem się, zmuszony przez los, do innego miasta. Zezwolenie na podróż kolejną wydawano temu tylko, kto uzyskał dokument od magistratu i zaświadczenie od lekarza wojskowego, iż zażył kąpieli i został gruntownie przebadany, a jego koszulę i rzeczy osobiste poddano dezynfekcji, tak że „obóz jego znaleziono świętym”⁵⁴. Aby zaoszczędzić sobie fatygi, ludzie szli po rozum do głowy i wybierali podróż powozem albo zwykłą furmanką, co też ja uczyniłem. Dzień się już skłonił, zapadała noc. Wóz włókł się w ciemności między rzędami rosnących z obu stron drogi dębów. Nagle zjechał z ubitego traktu na wyboiste bezdroża.

– Dokąd to zmierzasz? – zdumiony spytałem woźnicę.

Ten odrzekł:

– Sięgnąłem ci ja po cudzą własność, a teraz próbuję różnych sztuczek i przemykam się krętymi drogami, żeby jak łania ująć przed czyhającymi na mnie drabami. Niech ich diabli wezmą! Czym to zawiniłem, jaki jest mój grzech? Pół worka soli i kilka kłosów jęczmienia to ostatecznie nic wielkiego.

Kiedy to mówił, pojawiła się koło nas pogrążona w smutku kobieta z bańką nafty w dłoni, która stąpając ostrożnie, również podążała boczną drogą. Pośród mroku niemal jej nie było widać, do uszu naszych dochodziły tylko ciche westchnienia i skargi na własny los. Po chwili zaczęliśmy nasłuchiwać. Rozległ się krzyk przeraźliwy i odgłos gwałtownych kroków. Otoczyło nas kilku żandarmów, którzy ryknęli jak lwy:

– Zatrzymać wóz!

W świetle latarek przeszukali skrupulatnie nasze rzeczy, po czym gwizdząc, niezadowoleni, poszli dalej swoją drogą. Kiedy ujechaliśmy kawałek, przyłączyli się do nas handlarze koni. Pragnęli wyprząć naszego konia, a do wozu naszego zaprząć ich własnego, lepszego jakoby, lecz pozbawionego dokumentów kupna. Zamysły ich spełzły jednak na niczym, bo złupił ich oddział innej armii, który wszystkie konie co do jednego konfiskował. Tak oto bezradni i opuszczeni znaleźliśmy się

⁵³ Iz. 22, 17, przekład z j. hebrajskiego Marek Mrozowski.

⁵⁴ Pwt. 23, 15.

pośród pustkowi. Nikt z nas, okrytych gęstą ciemnością, nie wiedział, jak się wydostać z tego miejsca. „Dokąd mam iść?”, wołał każdy w udręce.

Żołnierze jeszcze nie odeszli daleko. Padały na nas refleksy ich latarni, a szpikulce na ich hełmach, kołyszące się w polu naszego widzenia, wzbudzały lęk i pogłębiały naszą rozpacz. Lament nasz nie był jednak daremny. Słyszac go, żołnierze ulitowali się nad nami i pospieszyli nam pomóc.

– Naprzód! Lewa, prawa, lewa! Tędy! – zawołali, kierując nas na właściwą drogę.

Woźnica nadal siedział na koźle i z twarzą ukrytą w dłoniach szlochał z powodu kobyły, którą mu zabrano. My wyruszyliśmy w drogę, zmierzając w środku nocy w stronę miasta.

Nad ranem, na placu miejskim, spostrzeżyliśmy ową kobietę z bańką nafty w dłoni.

– O nieszczęсна, a zarazem obdarowana przez los, któż cię tu przywiódł?

– Ano Bóg mi, jak sami widzicie, przyszedł z pomocą.

Obrazy z życia niewolników

Opisano tu, by dać świadectwo, zdarzenia z życia robotników przymusowych, wziętych do niewoli na ulicach miast polskich w listopadzie 1916 roku. Niektórych z nich wysłano, by budowali niezbędne dla wojska drogi, ale większość zawleczono do prac przy okopach i schronach bojowych na polu bitwy. Jedni i drudzy wykonywali wycieńczającą pracę z dala od miasta czy osady, tak że nie było nikogo, kto by znalazł się w ich pobliżu i przyniósł tym wygłodniałym nieszczęśnikom coś do jedzenia. Swoim stałym pożywieniem uczynili zwiędłą zieleninę, pozostawioną na polach z powodu jej lichej jakości, podczas gdy głównym ich pokarmem, uśmierzającym zarówno głód, jak pragnienie, była kawa, dostarczana im obficie przez żołnierzy. Wieczorem, po pracy, jechali i szli dobre siedem-dziesięć kilometrów, dopóki nie dotarli do służącego im za miejsce odpoczynku baraku. Noclegownia ta, dwupiętrowa, wzniesiona prowizorycznie dla setek robotników, ściany miała z cienkich desek, które nie chroniły przed zimnem. Z równie marnych desek, nieprzylegających wcale jedna do drugiej, uczyniono stropy. Słuchaj uważnie, o czym powiedzieli mi pojmani: otóż z powodu nędznego picia ludzie oddawali mocz przez sen, tak że uryna tych, co spali na górze, kapłała na twarze tych, co leżeli na dole. – Jeńcom nie dawano odzienia na zmianę, tak że dotknięci plagą, której nie wywołałaby nawet magia egipskich kapłanów, zmagali się z rojącym robactwem. Jakby tego było mało, nocą jeden drugiemu podkrażał kawałek chleba i choćby zdobył chrześcijała mu w zębach jak żwir, pożerał ją łapczywie niczym głodne zwierzę...

Jeden z jeńców nie posłuchał strażnika, który nakazał mu wyczyścić latryny. Rozebrano go więc i postawiono twarzą do muru, nagiego jak go Pan Bóg

stworzył, a za jego plecami stanął żołnierz z odbezpieczonym i wycelowanym w niego karabinem... Kiedy tylko więzień obrócił lekko głowę, okładano go pałką i batogiem. Nękany tak przez kwadrans czy pół godziny, w końcu okazał posłuch.

Na skutek dojmującego mrozu, który panował zimą, wielu robotników zamarzło. Zesztywniałe i odmrożone palce dłoni i stóp, nosy czy uszy chirurg amputował seryjnie, nie zastanawiając się wcale, czy można je jeszcze ratować. – Wielu spośród owych pojmanych i uciśnionych powróciło do swoich miast, by nadal cieszyć się życiem, więcej jednak było takich, których pochowano na obcej ziemi albo którzy przepadli bez śladu.

Przygotowania do Pejsach w czasie wojny

W czasach wojennego zamętu znajomy mój podupał tak, że zaczęła mu doskwierać bieda. Skoro jednak wielkimi krokami zbliżało się święto Pejsach, musiał on poczynić przygotowania i zdobyć dla swojego domu potrzebne produkty. Kiedy przemierzając ulice pytał, ile kosztuje litr śledzi, słyszał odpowiedź, że pięć rubli. Mięso u rzeźnika kosztowało sześć, a kurczak – piętnaście rubli. Zdało mu się, że stroją sobie z niego żarty. Serce mu mówiło, aby poprzestając na małym, kupił gęsi smalec i przyrządził dla domowników kulki z macy. Ale i to, niestety, nie było dobrym pomysłem, nie można było bowiem kulek takich przyrządzić bez dodatku mąki macowej, a tej ledwie by mu wystarczyło do błogosławieństwa Hamoci. Wyruszył więc na poszukiwanie macy uczynionej pokątnie, bez certyfikatu, lecz powiedziano mu, że w przyszłym roku dopiero, jeśli Bóg zechce, wydarzy się cud niesłychany i pojawi coś takiego jak maca bez certyfikatu. W swojej udręczonej duszy rozważał, jak zasiądnie on z bliskimi do pejsachowej wieczerzy. Wciąż brak mu było najważniejszego, mianowicie czterech kielichów wina, bo handlarz – niech go wezmą diabli! – zażądał pięć rubli za wino z rodzynek.

Koniec końców wszystko odbyło się jak należy. Zamiast kulek z macy na stole znalazły się, niby owoce urodzive i ozdobne, pocziwe ziemniaki, a co do czterech kielichów wina, to w ich miejsce upodobał on sobie szklanki herbaty z cukrem, którą po przystępnej cenie, w ilości trzech czwartych litra, nabył od zarządu gminy żydowskiej.

Nowe światło

Tym, co świeci dziś światu i jego mieszkańcom, jest lampka karbidowa. Z braku nafty lampy takie użyczają blasku wielu domostwom. A jeśli spytają cię kiedyś twoi potomkowie, co to za źródło światła, odpowiesz: Ileż to się nafatyguje człowiek, żeby zapalić taką lampę! Trud jego mimo to nijak się nie opłaci, gdyż światło owo nie będzie ani słodkie, ani miłe dla oka, lecz tylko przyda bólu jego udręce. A oto jak działa karbidówka: dół jej pełen jest wody, a kiedy zanurza się w niej kawałki karbidu, swego rodzaju związku chemicznego, przez palnik

u góry wydziela się gaz świecący. Choć to dzieło rzemieślnika, „o pomysłach przedziwnych, wielce zaradnego”⁵⁵ który powiedział sobie: „Chodź tu wietrze, dmij, niech się stanie światłość!”, nie ma ono racji bytu, bo kto przewidzi kaprysy wiatru? Jeśli karbid tonie w wodnych odmętach, wówczas gaz wydobywa się obficie z jego skrytości, ale ponieważ wiatr nie ma wagi, woda zaś – miary, gaz ów wydziela się nagle w nadmiarze, furkocząc jak chmara szarańczy, aż wznosi się słup ognisty i blaskiem swoim oślepia oczy. Bywa też, że karbid powstrzymawszy się, nie wpada już w szal, tak że wewnątrz domu szarzeje i tłamsi je mrok. Wątlę płomień skrzy się i podryguje, lampa raz rozbłyska, raz przygasa, światło zмага się z ciemnością. Wydziela się przy tym swąd; dom cały napęlnia się dymem, a mieszkancie jego woła: „O, moja głowa! Moja głowa!”

Skóra za skórę (przypowieść starożytna)

„I ułożysz przypowieść dla tego domu przekory”⁵⁶.

Zwierzęta i rośliny wybrały się do swoich książąt pośród zastępów anielskich z petycją w sprawie ludzkości. Ptactwo, zwierzęta polne i ryby rzeczne poskarżyły się, że ludzie traktują je jak trzodę rzeźną i zadają im śmierć, choć nie poddane są one ich jarzmu...

– Zwierzęta pól i poławiane ryby, uspokójcie się, uciszcie! – po tablicach ich serc rosą niebieską spłynęło słowo ich obrońcy. – Mnie pozostawcie zemstę i odpłatę. To od Wszechmocnego nadejdzie dzień oręża i grabieży. Raził będzie miecz obosieczny, wzniesiony, by dokonać rzezi i tak duszą, jak ciałem nakarmi się włócznia. Ci, co pozostaną w miastach, szczerną tam za swoje występki. Z braku wszystkiego zapłaci człowiek stukrotną cenę za kilogram waszego mięsa, a tysiące razy więcej – za skórzane buty. Za skórę zdartą z was siebie samych będą odzierali ze skóry, „skóra za skórę”⁵⁷.

Ze skargą przyszły też ziemniaki i bochenek zeschniętego chleba, płony Wszechmogącego, poróżnione z człowiekiem o okrywającą je lupinę czy skórkę. „Pod jabłonią cię obudziliśmy”⁵⁸, czy gospodyni domowa co dzień obierać będzie nasze lupiny? – Doglądający ich książęta zawyrokowali z wysokości swoich tronów niebieskich, że ziemniak to przecież manna, chleb mocarzy⁵⁹, który żywiąc wszystkich więcej znaczy niż złoto Ofiru⁶⁰. Ludzie wciąż go chwala, dziękują mu i wzywają jego imienia, tak że wartość owego urodziwego płodu ziemi jest niezmierzona.

⁵⁵ Iz. 28, 29.

⁵⁶ Ez. 24, 3, *Nowa Biblia Gdańska*.

⁵⁷ Hi. 2, 4.

⁵⁸ Pnp 8, 5.

⁵⁹ Ps. 78, 25.

⁶⁰ Ps. 45, 10.

Ktokolwiek cierpi głód, niech przyjdzie i zje do woli – płacąc osiemdziesiąt szekli za pół tuzina ziemniaków i pięćdziesiąt szekli za bochenek czerstwego chleba. Kiedy głód da mu się we znaki, odda on, by przeżyć, wszystko co posiada. „Skóra za skórę!”

Wówczas przed Wiekuistym, łapiąc się za głowę, stanął człowiek. Zgrzytając zębami, zrozpaczony, wzniósł lament nad czasami niedoli, kiedy drożyzna staje się nieznosna, a duszę przepełnia gorycz.

I skrzydłem dotknął anioł chleba i mięsa, i rzekł: Człeczko kochany! Słuchaj uważnie, nauczę cię mądrości, byś do domu swojego przyniósł zdobycz. Mierz miarą, którą tobie odmierzono, żyjesz bowiem pośród lwów, mieszkasz w gnieździe zmij. Folgując złym skłonnościom, wymierzaj ciosy na prawo i na lewo, zadawaj szczerze ból. Dusza twoja niech nie zna litości. Gromadź pieniądze, aż będzie ich tyle, co drobin pyłu, i uciskaj innych bez skrpułów. Okrągłą sumą złamiesz każdego poczciwca, a tego, kto cierpi niedostatek, złupisz do cna. Niech cię nie trapią (o ile w ogóle masz duszę) wyrzuty sumienia, słabość to bowiem występna i haniebna, a ty obyczajów światowych masz strzec. W dniu bitwy uczciwość ludzkiego serca znika jak piana na wodzie. Miejsce jej zajęły wyzysk i grabież, one to wydadzą plon.

Zdobycz to naszych gnębicieli

„I staniesz się im łupem”⁶¹.

Dnia pewnego siedziałem w dolinie Łódki, ponury i zamyślony głęboko, a oczy moje, gdy wokół szalały wściekłość ciemieży i trwoga, oglądały popiół i zgłiszczą, całkowite zniszczenie. Biedacy błakali się, a robotnicy snuli bezczynnie, jako że fabryki były zamknięte, a prace w nich ustały. – Podobne wszystko to było do wizji Ezechiela⁶²: dolina pełna suchych kości, w których nie ma tchnienia życia. I rzekłem: O Panie Boże, czy kości te ożyją? I duch boży zstąpił na mnie ze słowami: Człowiecze! Weź pełne garści sadzy z pieca, ciśnij ją na cztery strony świata i powiedz: Biada wszelkiemu tyranowi, który uciska narody i zamyśla zniszczenie! Spustoszona będzie wprawdzie ziemia, splądrowana i podobna do rumowiska po najeździe barbarzyńców; ale niczym sadzę ową uniesie go podmuch, porwie go wiatr. Ledwie dokona grabieży, sam zniknie jak cień, przepadnie jak słomka wśród wichury. Suchym zaś kościom i miastu zburzonemu tak oto rzeknij: Zadano ci cios niemal śmiertelny; pewnego jednak dnia ożyją twoi zmarli, a ty odzyskasz zdrowie. Nim uśmierzą się twój ból i gniew, a fabryki podźwigną się z upadku, granice twoje będą sięgały już daleko. Ty zaś, człowieku, weź zwój, żelaznym piórem zapisz na nim grabież, ucisk i to, co sprawia ból dotkliwy.

⁶¹ Ha. 2, 7, *Nowa Biblia Gdańska*.

⁶² Ez. 37, 1–14.

Na rogu Cegielnianej⁶³ i Zachodniej jak w winnicy Ben Szemen⁶⁴, łupieżcy rozbili namiot, z którego skrytości, zaczajeni, wodzili żarłocznymi oczyma za własnością i majątkiem mieszkańców. Wyśtańcy ich co dzień zarzucali sieci, aż włoki ich, to jest ciężarówki, napełniały się dobrami skonfiskowanymi i zarekwirowanymi. Łupem ich padało zboże, płody ziemi, miedź, dzwony spiżowe, maszyny z pasami klinowymi, tkaniny, przędza, olej, nafta czy mydło. Rzucali się nawet na drzewa, tak że śladu nie zostało po całych lasach.

Taki to los twój, o Łodzi udęczona! Byłaś niegdyś jak niemowlę, by rosnąć i rozkwitać, aż stałaś się kupcem narodów, komiwojażerem ludów. Teraz oto padaś łupem najeźdźcy, a bogactwa twoje rozgrabiono. Pogiębiona, co czynisz? Z głową pochyloną jak trzcina, siedzisz w milczeniu. Nikt życia swojego nie rzuca na szalę, by pośród zgietku krzyknąć: Grabież i gwałt! Ruina i spustoszenie! Czy naszli cię złodzieje, nocni rozbójnicy? Ach, ty milczysz tylko!

Zachłanność

„Kto zatrzymuje zboże, tego lud przeklina”⁶⁵

Czy człowiek obeznany z obyczajami świata, widząc, jak marne jest to pokolenie, w którym każdy zabiega głównie o swój zysk, potępiłby je twierdząc, że to wojna położyła na nas rękę i udzieliła nam ze swojego srogiego ducha? Nie! Gdyby jeden spośród tysięcy, o duszy nieskalanej, słowem swoim oddał niesprawiedliwość czynioną na ziemi, nazwano by go niedorajdą albo wyśmiano jak szaleńca, który twierdzi, że przewyższa innych rozumem i subtelnością uczuć. Choćbyśmy jednak zamilkli, na ulicach rozbrzmiewał będzie krzyk nieszczęślików. Stłamszeni brutalną siłą, pomstują na wyzysk i grabież czynione pod słońcem, jakich nie było od czasu, kiedy powstała ziemia, świat i jego mieszkańcy.

Na ustach moich niech będą najpierw ci, co ustalają ceny, i Kananejczycy tej ziemi, spragnieni jak pijawki, nienasyceni jak piekło, kłapiący pyskiem: Hau, hau, zguba biednym i bogactwo łotrom! – Mieszkańcom miast wróżę przemoc i grabież, na wieśniaków jak wodę wylewam swój gniew. Ci właśnie, którym w udziale przypadła obfitość plonów, napełniający brzuch smakołykami żywej ziemi, chowają zbiory aż do czasu, kiedy będą mogli za nie dostać cenę tysiąckrotną. – A co mnie to obchodzi – powiada właściciel zboża – że zjadacze chleba cierpią głód? Czyżbym utrzymywać miał nędzarzy?

To przecież nie do wiary, żeby chłop poczciwy, zawsze prawy w swoim postępowaniu, zmieniał nagle postać jak воск i utwardzał serce, by w czasach

⁶³ Obecnie ul. Stefana Jaracza.

⁶⁴ Iz. 5, 1.

⁶⁵ Prz 11, 26, *Nowa Biblia Gdańska*.

głodu i niedostatku ukrywać zboże. Wstydzicie się, rolnicy! Uwłacza to waszej czci, a chciwość wasza zapisuje się w pamięci pokoleń.

Rozumie się samo przez się, że podobnie jak płody ziemi, drożęją też wszelkie towary i artykuły pierwszej potrzeby. Miasto pełne jest niegodziwości, jeden pożera mięso z ramienia drugiego. Tak oto ziemia napęlnia się przemocą, a mieszkańcy jej pogrążają po szyję w rwących wodach zniszczenia i zatracenia.

I mówię: O, Panie Boże, jak długo jeszcze...?

Który nie szczędzi pieniędzy

Badając stan mych papierkowych zasobów odkryłem, że nikły jest on bardzo i wymaga naprawy. Przydźwigałem tedy stosy „Rzeszy Niemieckiej”, marki, korony i ruble w banknotach połatanych, posklejanych i postrzępionych jak stare szmaty. Rozdarcia pozlepiano niekiedy paskami papieru, a niekiedy kawałkami materiału. Po chwili namysłu zacząłem od banknotów odrywać tkaninę.

– Ty niszczysz pieniądze? – spytał mnie przyjaciel.

– To nie wiesz – odrzekłem – że te paski materiału więcej są warte niż same banknoty...?

Bogactwo w dniach łotrostwa

Czasy wojny rodzą synów obcych: wielką mieszaninę banknotów krajowych i zagranicznych. Na stronie przedniej każdego banknotu nakłania do lotu swoje gniazdo pstrokaty orzeł, z ogromnymi skrzydłami, obdarzony niekiedy profilem koguta, dudka albo nietoperza. Walka nieustanna trwa między ptactwem rodzimym a egzotycznym, tak że obce się mnie wypiera, jedno szybuje coraz wyżej, a drugie ze szczytu wysokiego spada w głęboką przepaść. Nie posiadając się ze złości, otworzyłem skarbonkę i odwiedziłem drób w kurniku, a także jastrzębia i sępa, po czym pozbierałem je po kolei, by stwierdzić, że ptasia tyrania już ustała. Odkryłem, że w zapaści państwa, w jego ponurej ruinie, wszystkie stada się do siebie upodobniły. Ptaki te leżały pośród papierowego rumowiska jak padlina, a zgodnie z nominalną wartością banknotów ścierwa tego było mnóstwo. Pełna go była każda szafka, skrzynia czy skarbiec – a skarbiec ten jest wiatrem podszyty, bo dobytek człowieka fruwa na skrzydłach orłów, by w końcu stać się tą oto stertą, funta kłaków niewartą. Jaki z niej pożytek? Psu na budę się nie zda.

Proroctwo na forum

Któregoś roku wojny światowej o północy, siedziałem ponury w kącie domu i mówiłem sobie w duchu: Kiedyż wreszcie ciemieźcy schowają głównię miecza do pochwy? Jak długo strzały swoje będą poili krwią? Gdy tak troskało się moje serce, ogarnęło mnie znużenie, tak że zamknąłem oczy i zasnąłem. Pośród snów niespokojnych ukazało się moim oczom nocne widzenie. Ujrzałem Boga zemsty,

niby w płaszcz odzianego w zapalczywość, który z gniewem dawał ręką znaki swoim sługom. Niczym ptaki spłoszone poderwali się aniołowie *tarsziszim*⁶⁶ i pospieszili wypełnić Jego rozkaz. I otworzyli oczy, i ujrzeli Pana zastępów rozgniewanego na mieszkańców świata i na obywateli ziemi za to, że wypaczyli drogę życia. Mowa Jego była jak ogień, a słowa mknęły na podobieństwo błyskawic: „Żałuję, że w pradziejach ziemi, kiedy stwarałem świat i jego pełnię, uczyniłem też człowieka, gdyż trudziłem się niepotrzebnie i na próżno wytężyłem siły. Zasadziłem człowieka na swojej ziemi niby odnóżkę zawilca, bo jego upodobała sobie moja dusza. Zamiast pszenicy wyrósł jednak oset; chciałem winobrania, a miałem owoc kwaśny. Złem swoich poczyniń zerwali więzy braterstwa i przyjaźni, i rozdzielili się wedle swoich języków i narodów, i stali się ludźmi porywczymi, spragnionymi walki, tak że jeden lud zaczął z drugim wszczynać wojnę. Ziemia syci się krwią zabitych, a jęki ich dochodzą do mnie z jej głębi. Pędźcie, nieważcy aniołowie, przemierzajcie ziemię i przemawiajcie do serca człowieka, zrozumiałe dla jego ducha, tymi słowy: »Pomście złoczyńców! Otwórzcie oczy, by ujrzeć spustoszenie, jakie w świecie poczyniły wasze ręce«”. Poprzysiągłem sobie – głos Pana brzmiał jak szum skrzydeł w Jego hufcach – „że jeśli narody nie cofną ręki, a gwałtownicy i awanturnicy nie przestaną podżęgać do wojny, uczynię świat niczym pustynia, a na jego mieszkańców ześlę grabież i zagładę. Czy są bezrozumnymi dziećmi albo też serca ich i oczy oblepione są czymś na kształt tynku, że nie czują ani nie dostrzegają czekających ich spustoszenia i zatracenia? Dlatego dobrze im radzę, niech wojownicy rękę do siebie wyciągną na zgodę i nie czynią odtąd zła i zepsucia, a na ziemi niech się pomnaża pokój...”

I pomknęli aniołowie pokoju, i pofrunęli na obszary ziemi, i skrzydła ich rozpostarły się na wszystkie strony i kierunki, a głos wypowiedział słowa: „Diadem pokoju”. I w mieście beztroskim, szumiącym niby rój szarańczy, zapanowała wielka radość, a jego mieszkańcy w uniesieniu zawołali wkoło: „Pokój, pokój!” Trzymając się pod ręce, ruszyli wszyscy do tańca, a ich wesołość i błogość udzieliła się też mojemu sercu, tak że radowałem się i świętowałem, a usta moje mamrotały coś, otwierały bezustannie, aż wielkim głosem zawołałem: „Wiwat, na ziemi rozkwita pokój!”

Słyszac ten okrzyk, budzić mnie zaczęła gospoia ze słowami: „Co tak wrzeszczysz, inteligencie szalony? Pokój, pokój – a pokoju jak nie było, tak nie ma...” Kiedy otworzyłem oczy, zadałem sobie sprawę, ku swojemu zasmuceniu, że był to tylko sen. Padłem ofiarą iluzji, moje nocne widzenie sprowadziło mnie na bezdroża. I omdlało moje serce, i z głębin duszy udręczonej zawołałem: „Ach, przeminał pokój! Wymknął się i uleciał jak sen”.

Przetłóżył z hebrajskiego Marek Mrozowski

⁶⁶ Ez. 1, 16.

Symcha Bunim Gliksman

Symcha Bunim Gliksman (1903–1943) urodził się w Łodzi w religijnej, chasydzkiej rodzinie. Mieszkał przy ul. Gdańskiej 11. Otrzymał wykształcenie religijne oraz świeckie u prywatnych nauczycieli. W młodości sympatyzował z Poalej Syjon-Lewicą i pracował w wydawnictwie partyjnym. W 1932 r. wyjechał do Niemiec, skąd po dwóch latach został deportowany do Polski wraz z innymi polskimi Żydami. W 1935 r. wyjechał do Sosnowca, gdzie był właścicielem wydawnictwa publikującego w języku jidysz. Po wybuchu wojny przebywał w getcie w Sosnowcu, potem w różnych obozach koncentracyjnych. Zmarł w 1943 r. w jednym z nich. Debiutował w 1926 r. w „Łodzer Folksblat”, publikował również w łódzkich czasopismach „Najer Folksblat” i „Łodzer Arbeter” oraz w warszawskich „Arbeter Cajtung” i „Jugnt–Fon”, w których drukował artykuły, poematy, nowele, reportaże i felietony. Posługiwał się pseudonimem Aleksander Symchowicz. Po powrocie z Niemiec opublikował książkę ze zbioru reportaży *Untern hakenkrejz* [Pod znakiem swastyki], opisujących życie żydowskie w hitlerowskich Niemczech. Wraz z Ben Dow Ciechanowskim wydawał w Łodzi czasopismo „Di Epoche” (1931–1932). Po przeprowadzce do Sosnowca redagował tygodnik „Zaglembier Szlezisz Folksblat” (1935–1939).

„Łódzki Dziennik Wojewódzki” 1935, nr 25, s. 420; Ch. L. Fuks, *Fun noentn ower* [Z najbliższej przeszłości], New York 1957, s. 3.

Freuenreich. Wspomnienia niemieckiej okupacji w Łodzi⁶⁷

Przedmowa

Jestem pewien, że moje wspomnienia z wielkiej wojny światowej, a zwłaszcza z okupacji niemieckiej, nie są pierwszymi, setnymi, a może nawet nie tysięcznymi. Nie pierwszym pisarzem jestem, który opisuje te tragiczne karty wielkiej światowej rzezi, nie setnym i nie tysięcznym.

Nieliczone miliony gazetowych kolumn, ogromne, potężne czasopisma, strony gazet, setki książek największych światowych twórców, odkryły już przed nami wspomnienia z tej wojny, która wybuchła w roku 1914. A przelewane one były na papier nie tylko przez ludzi będących zawodowymi pisarzami. W każdym ludzkim, nawet dziecięcym umyśle, który przeżył ów czas ciemności, pamięć o nim pozostała na całe życie. Dlatego też ta światowa rzeź pozostawiła po sobie dziedzictwo na wiele pokoleń. Jest to tragiczna spuścizna, którą najbliższa przyszłość dźwigać musi na swoich plecach.

⁶⁷ S. Gliksman, *Freuenreich (Zichrojnjes fun der dojczet okupacie in Lodz)* [Freuenreich (Wspomnienia z niemieckiej okupacji w Łodzi)], Łódź 1930.

Jednakże wierzę, że również dla mnie znajdzie się jakieś miejsce na przekazanie wspomnień wojennych z mojego miasta rodzinnego – Łodzi.

Zapoznam tu czytelnika z życiem w Łodzi podczas okupacji niemieckiej, a zwłaszcza z życiem żydowskim.

W serii tej na scenę wprowadzę różne postaci, typy z grona władzy niemieckiej, sprawujące w tym smutnym okresie władzę nad ludnością miejską, która nie była już zdolna ani do udziału w wojnie, ani do pracy. Okupant robił, co chciał i co mu się żywnie podobało, stając się w ten sposób „szlachetnym katem” słabej, bezbronnej ludzkości.

Przekazę również czytelnikowi szereg opowieści, epizodów, ciekawostek i obrazków ze zwykłego życia żydowskiego w tamtym czasie, przesiąkniętych lekkim, ludowym humorem.

W roli pierwszego „bohatera” niemieckiej okupacji w Łodzi przedstawię smutno-osławionego Freuenreicha⁶⁸ (nazwisko dobrze znane wśród żydowskiej ludności Łodzi), który w swoim czasie ochrzczony został mianem: „niemiecki Kaznakow”⁶⁹ „krwawy kat” i tym podobnymi „szlachetnymi” przydomkami.

Łódź, grudzień 1929 r.

Niemcy w Łodzi

Było to w roku 1916. Po kilku „wymianach” Rosjan z Niemcami, wreszcie po wielkich i ciężkich walkach wokół miasta, które ciągnęły się przez wiele tygodni, ci ostatni, czyli Niemcy, ponownie osiedlili się w Łodzi. Ogromne i straszne walki toczyły się wówczas między obojgiem wrogich państw o podbicie naszego miasta, które nawet nie było otoczone twierdzą, ani wodą, chroniącymi je przed wrogiem, lecz stało otworem dla każdego, kto swobodnie i bez najmniejszych przeszkód mógł do niego wejść. I właśnie wokół owych „otwartych drzwi” walczoneo z najzagorzalszą zaciętością dobrych kilka tygodni, a obie strony wystawiły wielkie siły. Aż ostatecznie zwyciężyli Niemcy i wypierając wroga na odległość kilku kilometrów po raz trzeci wkroczyli do Łodzi.

W rzeczywistości walka ta pozostała niewyjaśnioną zagadką dla świata zewnętrznego. A kwestię tę oczywiście rozwiązać mogli tylko dobrzy, wyważeni stratedzy i dowódcy wojskowi.

⁶⁸ Postać fikcyjna. Niemieckim komendantem miasta był gen. Eduard Lieberth (1850–1934), por. A. Stawiszyńska, *Jerzy Żuławski i jego działalność w Łodzi w październiku 1914 r.*, „Acta Universitatis Lodzensis. Folia Historica” 2015, t. 65, s. 111–124.

⁶⁹ Mikołaj Kaznakow – generał major, w latach 1907–1909 generał gubernator guberni kaliskiej, do której w tym czasie przyłączono Łódź. Wsławił się szczególnie gorliwym wypełnianiem poleceń władz carskich, krwawo tłumiąc ruchy rewolucyjne. Por. H. Kobus, *Wojsko rosyjskie w Łodzi w latach 1864–1914*, „Piotrkowskie Zeszyty Historyczne” 2008, nr 9, s. 77–95.

Jak już wspomniałem, ostatnia bitwa przyniosła wiele zniszczeń, także w samej Łodzi, bo w trakcie walk, które przetoczyły się wokół niej, niejedna kula zabłądziła do miasta i wyrządziła ogromne szkody, zbierając nieraz również ofiary w ludziach.

Mieszkańcy domów położonych w okolicach znajdujących się w pobliżu pozycji wojskowych musieli opuścić swoje dobra, swój dach nad głową i zdawszy się na łaskę i niełaskę Boga, udać się do miasta, gdzie śmierć nie była aż tak bliska.

Przez cały dzień słychać było w mieście dziki, budzący strach warkot armat, karabinów maszynowych i innych narzędzi zagłady, które szalały na polu bitwy pozostawiając po sobie wiele ofiar w ludziach, niczym pokłosie po żniwach...

W samym mieście słychać było często ciężkie wybuchy, przypominające o zabłąkanym granacie, który wpadł do jakiegoś dużego, zamieszkanego przez ludzi budynku, zmieniając go w kupę gruzu, grzebiąc pod sobą wszystko, co się w nim tylko znajdowało.

Nie sposób oczywiście spamiętać wszystkich szczegółów z tragicznych dni tej ogromnej rzezi światowej, niektóre pojedyncze zdarzenia pozostały jednak w mojej pamięci i przekazę je czytelnikom.

Działo się to w mroźny piątek, dzień był zimny i mglisty, a walki wokół Łodzi trwały już dwa tygodnie. W naszym mieście przyzwyczajono się tymczasem do odgłosów armat i karabinów dochodzących z okolicy. Rusek kręcił się po mieście jak struty. Ciągłe klęski, które Rosjanie ponosili na wszystkich frontach, kompletnie przybiły żołnierzy rosyjskich, którzy szaleli w mieście: grabili sklepy żydowskie, palili, mordowali i ogólnie rzecz biorąc robili, co im się żywnie podobało.

Okolo godziny pierwszej w południe miastem wstrząsnął nagle straszliwy, grmiący huk, zaprawdę ziemia i wszystkie domy zadrżały i wkrótce nad miastem przetoczyła się ognista chmura. Kilka godzin później, gdy na ulicach Łodzi pojawili się mężczyźni, kobiety i dzieci, okutani w łachmany, płacząc i krzycząc, okazało się, że to dom przy ulicy Aleksandrowskiej 14 eksplodował na skutek ciężkiego ostrzału armatniego. Przy tym wyszła na jaw następująca rzecz, przez którą w jednej chwili zmienił się on w górę gruzów: w domu tym mieszkał handlarz naftą, który w swych piwnicach przetrzymywał wiele beczek nafty i benzyny. Gdy tylko granaty wpadły do domu, dotarły również do składów nafty i benzyny, gdzie doprowadziły do strasznego wybuchu, który wstrząsnął naszym miastem, grzebiąc żywcem wielu mieszkańców.

To wspomnienie jest może ułamkiem tego, co w tych trudnych dniach wydarzyło się w Łodzi.

Aż wreszcie w mieście znów ujrzelśmy Szwabów. Tego samego ranka, kiedy posłali pierwsze niemieckie forpocztę, chcąc przekonać się, czy Rusek rzeczywiście się już wycofał, oddali kilka strzałów armatnich w samym mieście, na ulicy Zgierskiej, które zebrały dziesiątki ofiar w ludziach. Krótko potem na budynku kościoła katolickiego przy tej samej ulicy, wywieszona została biała flaga,

oznaczająca, że również ludność miejska gotowa jest na przyjęcie zwycięzców i zdobywców miasta.

Dopiero wówczas na dobre wkroczyli do Łodzi, zajęli wszystkie urzędy, magistrat, budynki wojskowe i częściowo ulokowali się w domach prywatnych, by z czasem stać się prawdziwymi gospodarzami w mieście.

Wówczas dopiero Szwab pokazał swoją prawdziwą twarz względem ludności polskiej. Zaczął się szereg konfiskat – była to prawdziwa plaga, której nie znajdziesz w Torze. Każda rzecz – towary, produkty i wszystkiego rodzaju materiały: mosiądz, miedź, blacha, cynk, rekwirowane były dla rządu niemieckiego nawet od prywatnych mieszkańców.

Wszystek handel został wstrzymany, bo każdy rodzaj towaru stał się „trefny” i nie było czym handlować. Dlatego na wszystkie produkty pierwszej potrzeby wprowadzone zostały kartki, które ograniczyły produkty żywnościowe przypadające na człowieka do minimum. Wprowadzone zostały kartki na chleb, cukier, mąkę, sól i inne rzeczy, które zgodnie ze „sprawiedliwością” okupanta niemieckiego przydzielały na głowę taką ilość produktów żywnościowych, by z czasem wszyscy zupełnie przestali jeść.

W Polsce Kongresowej zaczął się wówczas rozprzestrzeniać nowy rodzaj „zajęcia” – szmugiel. Kto żyw, szmuglował. Ludzie nie mieli przecież innego wyjścia niż szmuglowanie prowiantu z okolicznych miejscowości i przywożenie go do większych miast, by ludność miejska miała co jeść. I nawet w samym mieście, z jednej ulicy na drugą, z jednego podwórka na drugie – musiano szmuglować kryjąc się przed władzą.

Wówczas ze strony niemieckiej władzy okupacyjnej pojawili się stróże o dobrych oczach i długich nosach psów-tropicieli, którzy pilnowali, by ludność jadła i żyła zgodnie z normami wyznaczanymi przez kartki państwowe... By ludzie, broń Boże, nie objadali się innymi potrawami niż produkty, które przeznaczył dla nich „dobroduszny” rząd.

Taki „bohater” pojawił się również u nas w mieście. Miał zaprowadzać porządek i strzec, by nie okradano władzy niemieckiej nawet z odrobiny produktów. Nazywał się Freuenreich. Był to wojskowy w randze podporucznika. Mężczyzna średniego wzrostu, o szerokich barkach, grubej szyi, i nalanej twarzy, na której sterczały dwa czubki zakręconych wilhelmińskich wąsów. Owa osoba wyznaczona została przez miasto Łódź na strażnika nad handlarzami prowiantem i innymi artykułami pierwszej potrzeby. Był prowiantowym dyktatorem naszego miasta.

Freuenreich przechadzał się po ulicach i przeprowadzał rewizje wszędzie tam, gdzie jego mięsisty nos psa tropiciela wywęszył produkty żywnościowe, które zostały obłożone przez władzę zakazem sprzedaży. Przeprowadzał rewizje w lokalach publicznych, domach prywatnych, na strychach, w piwnicach, spichlerzach, kiedy tylko przysła mu na to ochota. Nawet w środku nocy osoba ta w towarzystwie

„świty” (kilku tajnych policjantów, bez których nie pojawiał się w mieście) nieraz budziła mieszkańców domu, żądając otworzenia mieszkania w celu przeszukania. Oczywiście nikt się w takim przypadku nie sprzeciwiał, a Freuenreich we własnej osobie przeprowadzał wówczas rewizję zabierając wszystko, co tylko znalazł.

Freuenreich przy pracy

Jest to już, niestety, odwieczna reguła historii: ilekroć w mieście zdarzy się nietypowa rzecz, która w jakiś sposób uderza w jego mieszkańców, zwała się to zaraz na... Żydów. Żydzi są winni temu... Żydzi są winni tamtemu... Wszystko wina Żydów!... Również Freuenreich zdobył sobie imię kosztem Żydów. Swą hańbiącą pracę rozpoczął w kwartale żydowskim, wśród żydowskich sklepikarzy i kupców, handlarzy i rzemieślników. Zmiarkował, że Żydzi rzeczywiście muszą posiadać więcej produktów i innych artykułów niż pozostali mieszkańcy miasta.

Nazwisko Freuenreich stało się przez to postrachem, niemal zjawą, zwiastunem śmierci dla żydowskiej ludności naszego miasta. Dla niejednego kramarza czy piekarza był on katem, który ściał go żywcem, odbierając mu bezlitośnie ostatnie dobra. Wszyscy drżeli na głuchy dźwięk kroków owego dyktatora prowiantowego, bo nie szczędził on również swojej pięści; niejednemu żydowskiemu sklepikarzowi czy kupcowi wymierzył cios za nic... Swojego zachowania nie powstydziliby się przed smutno osławionymi katami carskimi, a i on w tej dziedzinie stał się sławny.

Nie wiadano, gdzie faktycznie mieścił się jego dom. Po mieście krążyły różne fantastyczne opowieści o jego tajemniczym mieszkaniu, znajdującym się gdzieś w jaskini, czy też w wysokiej wieży. W każdym razie dokładnie nie wiadano.

Na ulicy pojawiał się z nagłą. Wyrastał jakby spod ziemi, a to na ulicy, a to na podwórku, a to w sklepie. A zdarzało się to o każdej porze: w ciągu dnia, wieczorem, nocą. Wciąż wykonywał swoją krwawą robotę.

Na dodatek pojawił się w owym czasie nowy typ donosiciela, który w pewnej mierze ułatwił pracę Freuenreicha. Typ ten nazywany był „pijawką”. Jego „rzemiosło” polegało na tym, że kręcił się tu i ówdzie dowiadując się o trefnym towarze takim jak odrobina mąki, kilka chlebów i tym podobne „niekoszerne” artykuły, wchodził do właścicieli mieszkania i mówił:

– Wiem, że tu i tu leży u was taki i taki towar, więc jeśli nie dacie mi jakiegoś procentu, przekażę was władzy.

Oczywista, że taki człowiek, by ratować swoją garstkę prowiantu, nie mając innego wyboru musiał owej „pijawce” dać pieniądze za milczenie, bo w wielu przypadkach, gdy nie odprawiono takiej osoby z pieniędzmi, wkrótce dowiadywał się o tym pan Freuenreich i zaraz odbierał produkty dla rządu.

Przypominam sobie zdarzenie, które wydarzyło się u żydowskiego piekarza na ulicy Wolborskiej, u pewnego M. Ta piekarnia bywała zamknięta całymi

dniami, bo piekarz nie miał z czego piec chleba. Raz zaryzykował i otrzymawszy od kilkorga ludzi mąkę na kartki, wypiekl dla nich kilka czarnych chlebków.

Zaraz dowiedział się o tym „pijawka”, który natychmiast udał się do pana M., właściciela piekarni i zażądał łapówki pod groźbą donosu. Piekarz jednak odmówił wyjaśniając, że chleb nie jest jego, bo dostał tylko niewielkie wynagrodzenie za to, że go upiekl. „Pijawka” jednak nie zadowolili się taką prostą odpowiedzią i poszedł „donieść” Freuenreichowi.

Tymczasem piekarz nakazał swoim kupcom, by jak najszybciej odebrali swój chleb nim zostanie skonfiskowany. Zrobili tak i w przeciągu kilku minut po chlebie nie było ani ślad, a piekarz zamknął piekarnię na kłódkę.

Niedługo trwało nim Freuenreich ze swoim towarzyszem przyjechali dorożką do piekarza. Rozkazał, by otworzyć piekarnię, a następnie przeprowadzono w niej dokładną rewizję i nic nie znaleziono.

Przed odejściem Freuenreich namyślił się, wskoczył do kanału piekarskiego, otworzył drzwiczki pieca i dotknąwszy poczuł, że cegły są jeszcze ciepłe.

Wówczas przywołał piekarza, wymierzył mu kilka ciosów i nakazał, by ów przyznał się, że piekl tam chleb. Piekarz ze strachu przyznał się do przestępstwa. Freuenreich nakazał mu wówczas wskazać każdego klienta, z którego mąki wypiekał i każdy z osobna został ukarany wysoką karą pieniężną.

Dwadzieścia bułeczek pod ostrym nadzorem policyjnym, z surowym wyrokiem

W czasie, kiedy wszelaki towar objęty był przez niemiecką władzę okupacyjną zakazem, każdy policjant miał prawo przeszukać na ulicy każdego przechodnia, który niósł jakąkolwiek paczkę.

Zdarzyło się, że młody chłopak kupił w piekarni dwadzieścia bułek i dla pewności niósł je do domu w wiadrze.

Młodzieńca tego uprzedzono jednak również, że jeśli jakiś policjant zaczepi go na ulicy, ma natychmiast wyrzucić wiadro z dwudziestoma bułkami i uciec.

Było tak, przeszedłszy kilka ulic chłopiec z daleka dostrzegł zbliżającego się ku niemu policjanta, porzucił więc wiadro z bułkami i rzucił się do ucieczki przez ulice.

Zdaje się jednak, że policjanta bardziej interesowały bułki niż chłopiec.

Z wielką pompą odwiózł skonfiskowane bułki do „kozy” i przekazał je naczelnikowi policji.

Naczelnik nakazał wyłożyć na stół „niemych” więźniów. Po długiej, kilkugodzinnej dyskusji, w której udział wzięły najtęższe głowy kryminalistyki, wydano następujący wyrok:

Ponieważ nie udało się odnaleźć właściciela tego skonfiskowanego „towaru”, bułki przechodzą na własność władzy i zostaną odesłane wraz z innymi skonfiskowanymi towarami do magazynów miejskich.

Następnego dnia wyrok ów opublikowano w prasie.

Tajemnicza ściana i ukryty „skarb” odkryty w niej przez Freuenreicha

Pewne osoby poinformowały Freuenreicha, że na jednej z łódzkich ulic w dzielnicy żydowskiej znajduje się tajemnicza ściana, za którą ukryty jest wielki skarb. Oczywiście w takich sprawach Freuenreicha nie trzeba było długo prosić. W takiej sytuacji gotów był w każdej chwili przeprowadzić rewizję.

Około godziny pierwszej Freuenreich ze swoimi sługusami przekradli się na jedno z podwórek przy ulicy Nowomiejskiej i zjawili się we wskazanym miejscu. Ponieważ było całkowicie ciemno, posłużyli się latarkami, które rzucały słabe światło na „podejrzanę” miejsce. I rzeczywiście dojrżeli tam nietypową ścianę – cegły ułożone były dziwnie, po prostu napakowane tak, że zaraz można było podejrzewać jakąś tajemnicę.

Freuenreich nakazał, by jego pomocnicy za pomocą różnych narzędzi i łomów przystąpili do burzenia muru.

Praca trwała dość długo. Nagle uderzył ich straszny smród. Ten „przyjemny” zapach coraz bardziej wypełniał ograniczoną przestrzeń piwnicy, w której pracowali, aż dotarli do... kłozetu.

Oszukany i rozzarowany biedaczyna Freuenreich jeszcze tej samej nocy i w ten sam sposób wrócił do swojego domu nie budząc nikogo z lokatorów.

Tylko grupa żartownisiów wiedziała, cóż to za skarb odkrył wówczas Freuenreich, przepracowawszy całą noc.

Te rzeczy są święte

Idzie ostatnio Freuenreich ulicą Bóżniczą⁷⁰. Przebiega chłopiec z woreczkiem na taśes pod pachą i pędzi do domu. Dostrzega to jednak jeden z agentów Freuenreicha i zwraca uwagę swojego szefa.

– Panie podporuczniku, tam idzie człowiek z woreczkiem pod pachą. Musi mieć w nim szmuglowany towar.

Freuenreich nakazuje więc prędko go zatrzymać i odprowadzić do rewiru policyjnego.

Cały dzień przesiedział biedaczyna w kozie, nie wiedząc, za co właściwie go tu wsadzono. Jedna tylko rzecz nie dawała mu spokoju: dlaczego odebrali mu worek z taśesem? Dopiero pod wieczór wezwany został na przesłuchanie – co to za towar te skórzane rzeczy?

Człowiek ten, który nie był żadnym kształconym doktorem czy też uczonym mężem, z wielkiego strachu nie zrozumiał, co znaczą te dwa słowa: towary i rzeczy i drżącym głosem wyjąkał:

– Yyy... to taśes, a tamto ... tefilin.

⁷⁰ Prawdopodobnie ulica Jerozolimska, obecnie nie istnieje.

Na dźwięk tych obcych słów „tales” i „tefilin” niemieccy policjanci wymienili spojrzenia, a naczelnik wymruczał:

– Tak, szpieg... Tajny telefon... Telefon – Ponownie głośno zawołał do strażnika policyjnego:

– Zamknąć tego człowieka w izolatce!

Dopiero po kilku dniach śledztwa doszli do tego, że ów człowiek nie jest szpiegiem, a w swoim worku nie miał telefonu (pardon teflonu)... tylko, że były to po prostu „rzeczy święte”.

Freuenreich zanurza się w zimnej mykwie?

Freuenreich otrzymuje nagle poufną informację, że na ulicy Kalbacha⁷¹ numer... w oborze będą zabijać świnię.

Około północy obudził swoich sługusów, nakazał im ubrać się i pójść z nim.

Na zewnątrz trząskał ostry mróz, a wiatr śniegiem zaciął w twarz. Ulice świeciły pustkami, tylko kilka wojskowych patroli niemieckiego „landszturmu” chodziło po ulicach.

Freuenreich ze swoimi sługusami szybkim krokiem pospieszyli do miejsca, gdzie zaraz zabijana będzie świnka...

Do tego miejsca wchodziło się przez pusty plac, który nie był ogrodzony. Cicho i ostrożnie zaświecili swoje latarki i rzeczywiście z daleka ujrzeli komórkę.

Znów zgasili latarki i cicho przemknęli przez ciemny plac. Freuenreich szedł przodem, trzymając naładowany rewolwer, a za nim jego pomocnicy.

Wtem Freuenreich krzyknął i agenci zobaczyli, jak zapada się pod ziemię, jakby ta chciała go pochłoniąć. Szybko podbiegli do miejsca, z którego krzyczał ich szef, i zapalili latarki. Oczom ich ukazał się obraz mało przyjemny:

W dole, który znajdował się tuż przy wejściu do komórki, leżał Freuenreich. Brudna, na wpół zamarznęta, zmieszana ze słomą woda, sięgała mu do szyi. Z wszystkich sił próbował się bezskutecznie wydostać. Dopiero jego „szamesi” pomogli mu wyczołgać się z tej „mykwy”, w której spędził kilka minut. Freuenreich musiał przeleżeć parę dni w łóżku chory...

Freuenreich rozlicza się ze szpiclem

Jakiś czas po tym, gdy zdarzyła się ta historia, w Łodzi rozeszła się pogłoska, że Freuenreich wyjechał do Berlina, a na stanowisku zastępował go będzie miejscowy urzędnik policji. Dlatego też – nie widząc Freuenreicha przez dwa tygodnie – uznano że plotki te są słuszne i że miasto uwolnione zostało spod bata tej strasznej osoby.

Prawda jednak okazała się inna: po zimnej kąpieli, w której zanurzył się w ową mroźną noc Freuenreich, musiał dłuższy czas spędzić w łóżku. W tym

⁷¹ Obecnie ulica Snycerska.

czasie nakazał on swoim agentom, by przeprowadzili dokładne śledztwo, kim byli autorzy tego „żartu”.

Po długim śledztwie rzeczywiście doszli do tego, że był to akt zemsty ze strony kilku piekarskich czeladników, którzy przez Freuenreicha stracili swoją pracę. Aresztowano ich i w więzieniu przyznali się, że to oni wykopali dół tuż przy komórce, następnie napełnili go wodą i od góry nakryli słomą w ten sposób, że gdy Freuenreich podszedł później do krawędzi dołu i postawił pierwszy krok, zaraz do niego wpadł...

Nie spotkała ich za to żadna kara i dlatego Freuenreich zabrał się teraz z jeszcze większym zapałem i wściekłością do kontynuowania haniebnej pracy.

Jakiś czas po tej historii na ulicach Łodzi ponownie pojawił się Freuenreich ze swoimi pomocnikami.

„Błaszany golem” i dobroduszość Freuenreicha – pogrzeb bez trupa

Gdy Freuenreich zobaczył, że miasto Łódź jest już nieco oczyszczone z „krętactwa”, postanowił wyjechać na tournee po prowincji. W obie strony na odcinku Łódź–Koluszki było w pociągach wielu szmuglerów, dowożących z prowincji różne produkty żywnościowe: chleb, mąkę, cukier i inne. Szmuglerami były w większości kobiety, które miały więcej możliwości ukrycia towarów przed „oczami” sprawiedliwości. Mężczyźni natomiast musieli uciekać się do różnych kombinacji. Szmuglowano chleb w kankach na mleko, noszono wiadra z wodą, pod którą ukrywano różne produkty. Do mojego sąsiada przyjeżdżał codziennie człowiek, który z Aleksandrowa przywoził mu mięso w następujący sposób: Miał spory blaszany dzban, w którego dnie wywiercił dwie duże dziury. Dzban ten każdego dnia napełniał mięsem i przywoził do Łodzi. Mięso było jednak wówczas towarem trefnym i jeśli kogoś przyłapano na jego przewożeniu, natychmiast je konfiskowano. Cóż jednak zrobił ten człowiek? Dół przy dziurach obłożył jajami, również na górze położył kilka jajek i w trakcie rewizji okazywało się, że od góry aż po samo dno były tylko jaja. W ten sposób kilka razy udało mu się uniknąć strat... I gładko przeszmuglować trochę mięsa.

Opowiadał tu tylko o kilku sposobach na szmugiel. Były jednak setki, a może i tysiące sposobów, których nie znałem.

Freuenreich wyjechał więc ze swoimi towarzyszami na prowincję, by tam zaprowadzić porządek, przy okazji wiele nasłuchiwał się o tym, że w pociągach kwitnie szmugiel. Każdy, kto chciał wówczas wyjechać z Łodzi, musiał mieć zaświadczenie z komendantury policji. Tym samym każdy pasażer musiał posiadać „papier” umożliwiający mu jednorazowy przejazd koleją.

W tym okresie nałożony został zakaz sprzedaży nafty bez kartek. Ma się rozumieć również i tym produktem zajęli się szmuglerzy, którzy musieli tajnymi drogami dostarczać naftę dla ludności miejskiej. Nafta nie jest jednak artykułem,

który można nosić na sobie. Trzeba przewozić ją w specjalnych naczyniach, które powinny pomieścić sporą ilość produktu. Szmuglerzy wpadli na następujący pomysł: Przypomnieli sobie, jak niegdyś, w ciężkich dla Żydów czasach, Maharal z Pragi⁷² stworzył golema, by im pomógł. Również szmuglerzy stworzyli golema. Różnica między obydwooma golemami była niewielka: Golem Maharala był gliniany, a szmuglerów – blaszany...

Słowem, stworzono golema w kształcie człowieka, ze wszystkimi szczegółami... Lecz nie z gliny, a z blachy. Wnętrze „golema” wypełnione było po brzegi naftą i wraz z innymi pasażerami jeździł on każdego dnia z Koluszek do Łodzi i z powrotem... A gdy kontrola paszportowa wchodziła do pociągu, ów blaszany pasażer, z pomocą swoich towarzyszy wyciągał rękę i podawał kontrolerowi przepustkę tak jak wszyscy.

I kto to wie, jak długo jeszcze „blaszany golem” pomagałby szmuglerom przewozić do Łodzi naftę i inne towary, gdyby nie Freuenreich. Gdyby nie ten przeklęty pies tropiciel.

Było to około godziny ósmej wieczorem. W ostatnim jadącym do Łodzi pociągu pasażerskim, znajdował się blaszany pasażer wraz z innymi podróżnymi, którym trudno się było schylić, tak byli obładowani przeróżnymi towarami.

Nagle pociąg stanął w połowie drogi, dwie stacje przed Łodzią. Po wszystkich wagonach rozeszła się wkrótce wiadomość, że „sławny” Freuenreich rozkazał, by zatrzymać pociąg, gdyż przeprowadza w nim dokładną rewizję.

Zapanowała panika i przerażenie nie do opisania... Kobiety dostawały spazmów; mężczyźni wyrzucali swój towar na łaskę Boga, bo wiedzieli, że sprytnym oczom Freuenreicha nic nie umknie.

A on szedł od wagonu do wagonu, pakując i konfiskując.

Gdy wszedł do wagonu, w którym siedział „golem” z naftą, przede wszystkim nakazał, by wszyscy pasażerowie wstali i z rękami w górze opuścili przedziały. Tylko jeden pasażer siedział nadal bez ruchu, wyciągając prawą rękę z przepustką na podróż. Rozwścieczony Freuenreich podbiegł do niego i zaczął krzyczeć:

– Wstawać u diabła!... Wstawać! Słyszał czy nie?!

Pasażer jednak siedział sobie dalej z tym samym, co wcześniej stoickim spokojem, z wyciągniętą ręką, dokładnie tak, jak prawdziwy golem...

To już całkiem wyprowadziło Freuenreicha z równowagi. Wyciągnął szablę z pochwy i zadał cios nieruchomemu pasażerowi... Jakież było jednak jego zaskoczenie, gdy zamiast odpowiedzi dostał w twarz strumieniem nafty...

⁷² Jehuda Löw ben Becalel zwany Moreinu Haraw Löw (MaHaRaL) (ok. 1520–1609) mieszkający w Pradze uczony, talmudysta, mistyk i filozof, przedstawiany w żydowskich legendach jako twórca Golema.

Freuenreich nie zrobił jednak tym razem nic złego szmuglerom. Przeciwnie. Zaskoczony ich sprytem zwrócił im naftę. Skonfiskował tylko „blaszanego golema”...

Chłopcy od Mojszego K. dają okup za milczenie. Pijawka z obozu Freuenreicha

Mojsze K. jest znanym piekarzem w żydowskiej okolicy. Jego piekarnia znajduje się przy ulicy Solnej. Ów Mojsze ma kilku młodzieńców znanych z tego, że potrafią zdrowo przyłożyć. W całej okolicy cieszyli się sławą bohaterów, którzy potrafili się bić nawet z największymi mocarzami.

Zdarzyło się, że pewnego wieczoru Mojsze otrzymał w tajemnicy worek mąki żytniej i postanowił tej samej nocy wypiec z niej chleb.

Około północy, gdy praca wrzała, w piekarni Mojszego rozległo się nagle pukanie. Jako pierwszy usłyszał je jeden z czeladników i poinformował o tym gospodarza. Mojsze pomyślał, że skoro i tak go mają złapać, to co mu zaszkodzi, jeśli trochę poczeka z otwieraniem.

Jakież jednak było jego zdumienie, gdy zamiast Freuenreicha czy też innego agenta policyjnego, których się spodziewał, wsunął się przez drzwi blond młodzieniec w butach z wysokimi, błyszczącymi cholewkami i cyklistówce naciągniętej aż na uszy.

– Czego chcecie? – zwrócił się Mojsze swoim szlachetnym głosem do młodzieńca.

– E, nic... To chyba piekarnia, tak? Chciałem kupić chleb.

– Co, teraz o drugiej w nocy przychodzi pan kupić chleb? – zdenerwował się już trochę Mojsze.

– O drugiej w nocy wolno wam piec chleb? – młody człowiek stał się już nieco zuchwały.

– Ale powiedzcie już, czego chcecie? – bo jak nie, wywalę was na zbity pysk, jakem Mojsze.

Młodzieniec roześmiał się, naciągnął nieco czapkę na czoło i prostując sobie krawat spokojnie powiedział:

– Jak mi nie dacie 50 marek, zaraz będziecie mieć tu w piekarni mojego szefa, Freuenreicha.

– A więc to tak? Mojsze chwycił się za skołtunioną, przyprószoną mąką brodę.

– A więc, jest pan, jak to się mówi, „pijawką” i chce pan okupu, w przeciwnym razie doniesie pan na mnie?

– Niech i tak będzie, jak mówicie! Tylko dawajcie te kilka marek.

– Jeśli chodzi wam tylko o okup, to drobnostka... Zapraszam do drugiego pokoju....

Młodzieniec, zacierając ręce, uśmiechał się szeroko i wyliczał już w głowie, co też sobie za te pięćdziesiąt marek kupi... Mojsze tymczasem wszedł do swojego mieszkania i obudził jednego po drugim swoich „chłopców”:

– Prędko wstawajcie. Muszę dać 50 marek okupu. Szybko, szelmy, dość spania.... Ubierać się!...

Kilka chwil później „chłopcy” Mojszego stali za drzwiami gotowi do wypłacenia okupu. Najpierw do piekarni wszedł sam Mojsze i zaczął negocjować z młodzieńcem:

– Powiedźcie, panie pijawka, ile chcecie pieniędzy za milczenie?

– Toć już wam powiedziałem: to kosztuje 50 marek, a jak nie...

Mojsze nie dał mu jednak dokończyć.

– Może weźmiecie trochę mniej? – Jestem ubogim piekarzem, ledwo co dostałem worek mąki do wypieczenia.

– Nie, nie zwracajcie mi głowy – zdenerwował się już hardy młodzieniec – to kosztuje 50 marek, ani grosza mniej!...

– A 20 weźmiecie?

– Nie, nie słyszeliście? To kosztuje 50, a jak nie, zaraz pojawi się tu mój szef.

– A 49 marek i 50 centów? – zapytał Mojsze na wpół zły na wpół roześmiany.

– Już... mój... szef...

Ale z jego ust dało się słyszeć już tylko urywki słów, ponieważ chłopcy Mojszego naciągnęli mu na głowę duży wór od mąki i wykonali wyrok, odliczając spokojnie:

– Raz, dwa trzy, cztery!...

Odliczyli całą sumę, której zażądał młodzieniec od biednego piekarza. Całe pięćdziesiąt... batów okupu wypłacili człowiekowi Freuenreicha, który straszyl, że zaraz zawoła szefa...

I tak otrzymał prawdziwą nauczkę.

Freuenreich szuka mąki, a znajduje... wióry. Klęska Meira-pijawki, który trafia do kozy

Meir „pijawka” był znaną osobistością żydowskiej okolicy. Była to postać o rudych włosach, wzrostu średniego, o parze drobnych, chytrych, jasnowodnistych oczek i pełnej, piegowej twarzy. Przed wojną Meir „Bąk” zajmował się... tragarstwem... W prosty sposób: był paczkarzem i zarabiał na noszeniu paczek.

Gdy Niemiec wszedł do Łodzi, Meir stał się wielkim ważniakiem „Ja-tiebiadam”. Założył maciejówkę z błyszczącym daszkiem, parę wysokich kozaków z wygłancowanymi cholewkami, do ręki wziął szpicrutę. Ludzie zaczęli szeptać, że Meir robi u Niemca. Faktycznie, został „pijawką”, zarabiał na procentach od biednych żydowskich kramarzy i rzemieślników.

Brac piekarska od dawna już miała oko na Meira, szukali okazji, jak się z nim porachować, aż znaleźli.

Meir-pijawka przybiegł pewnego dnia do Freuenreicha zasapany, spocony i ledwie łapiąc oddech powiedział:

– Panie podporuczniku, mam... mam! U piekarza znalazłem cały magazyn mąki!

Freuenreich natychmiast udał się wraz ze swoimi agentami i Meirem dorożką do Zeliga Piekarza na Stare Miasto, by skonfiskować zapas mąki, który miał, zgodnie z donosem Meira, znajdować się w piekarni.

Na Starym Mieście wszystko ucichło. Garstka Żydów zebrała się na Starym Rynku w oczekiwaniu na rezultat. W tłumie stało również wielu czeladników piekarskich, którzy szeptali, rozmawiali i puszczali do siebie oko.

Tymczasem u Zeliga Piekarza zaczęła się prawdziwa rewizja, szukano, szperano w łózkach, zaglądano do pieca – ale nic nie znaleziono.

Meir powiedział jednak Freuenreichowi, że przy piekarni Zelig ma również piwnicę, więc i ją należy przeszukać.

Cała banda agentów z Freuenreichem na czele udała się do piwnicy, którą Zelig właśnie otworzył.

Tam Meir-pijawka z wielkiej radości – zapominając w międzyczasie, z kim rozmawia – poklepał Freuenreicha po plecach i wykrzyknął:

– No, panie podporuczniku, wiedziałem, co mówię, twierdząc, że znajduje się tu mąka!...

W piwnicy rzeczywiście jeden na drugim leżało kilka worków, które były na górze tak obsypane mąką, że można było mieć pewność, że właśnie ona się w nich znajduje.

Freuenreich nakazał więc, by wyciągnięto te worki „z mąką” na podwórkę i prędko zapakowano na platformy.

Zelig Piekarz stał przez cały czas w milczeniu, nie rzekł ani jednego słowa. Lecz gdy zobaczył, że zaczynają pakować worki na wóz, podbiegł do Freuenreicha i powiedział mu, że to nie mąka, tylko wióry, które od dawna zbiera na opał.

A gdy kilka minut później Freuenreich przekonał się, że nie była to mąka, a wióry, na oczach wszystkich wymierzył Meirowi dwa zamaszyste policzki, że niemal stanęli mu przed oczami teściowie z zaświatów...

Meir wsadzony został wkrótce do więzienia na ulicy Milsza⁷³, a świat żydowski uwolnił się od rudego wyzyskiwacza, który chodził po żydowskich kramarzach i kupcach, by zbierać „procenty”...

⁷³ Obecnie ulica Kopernika.

Herszel-Tłoczniak rozlicza się z „Wysokim Józiem”

Jeden ze stałych towarzyszy, tajny policjant, otrzymał przydomek „Wysoki Józio”. Nadali mu go piekarze, bo był tak wysoki i tak chudy, że z powodu jego „wielkości” z daleka już wiedziano, kto się zbliża. Ów tajny policjant znany był ze swojego nadzwyczajnego antysemityzmu, niesamowicie dręczył żydowskich piekarzy i handlarzy mąką, ponadto nienawidził Żydów i przy każdej okazji próbował się na nich zemścić.

Na Starym Mieście znajdowała się fabryka oleju, w której pracował wówczas znany żydowski bohater i siłacz, Harry Fuks (Herszel-Tłoczniak). Już wówczas jako młodzieniec Herszele znany był ze swojej nadzwyczajnej odwagi i siły. Tam, w fabryce oleju, wyrobił sobie twarde mięśnie, których później używał walcząc na różnych arenach z największymi atletami. Raz „Wysoki Józio” zabłądził do olejarni na Starym Mieście, w której pracował Herszel.

Była to wówczas jedyna olejarnia w Łodzi, gdzie pracowano dzień i noc. Stale wywożono stamtąd wielkie beczki z olejem tłoczonym z rzepaku.

Z beczelną zuchwałością „Wysoki Józio” otworzył drzwi fabryki i wszedł do środka.

Oczywiście praca w olejarni szła pełną parą.

Herszel podszedł do tajnego policjanta i zapytał:

– Czego pan chce?

– Nie wiecie więc, że olej też jest objęty konfiskatą – powiedział ze złością „Wysoki Józio”. – Rozkazuję natychmiast wstrzymać pracę!

– Co znaczy „konfiskata”? – zapytał tajnego agenta Herszel, robiąc z siebie głupka, który nie rozumie znaczenia słowa.

– Praca ma zostać natychmiast wstrzymana! – krzyczał dalej „Wysoki Józio”, nie zwracając uwagi na to, co mówi Herszel.

Nie zważając jednak na słowa tajnego policjanta, młyn nadal szedł pełną parą.

Wtem „Wysoki Józio” podbiegł ze złością do jednego z robotników, który stał przy prasie, złapał go za gardło i zaczął dusić.

Na to już Herszel nie mógł pozostać obojętny, krew uderzyła mu od razu do głowy i zaciskając swoje silne pięści z wściekłością rozjuszzonego zwierza podbiegł do policjanta, rzucił go na gołą podłogę i bił tak długo, aż „Wysoki Józio” zalał się krwią.

– A masz tu bicie! – krzyczał z wściekłością Herszel, zgrzytając swoimi ostrymi białymi zębami – więcej nie będzie ci się już chciało tu przychodzić i wszczynać bójkę w naszej olejarni. Słyszysz, „Wysoki Józiu”?

Dość sił, by wrócić do domu, „Wysoki Józio” już w sobie nie znalazł. Trzeba go było zapakować na dorożkę i odwieźć do celu...

Tak, pędził konno, jechał...

Stoi kilku młodzieńców na rogu Północnej i Wschodniej i krzyczą z zaśpiewem:

– Simbras i Luki na paczki, na sztuki!

Simbras i Luki były w owych latach popularnymi papierosami.

Nagle przejeżdża galopem niemiecki dragon, a widząc młodzieńców z papierosami, zatrzymuje jednego z nich i pyta:

– Mogę u ciebie dostać całą sztangę cigaret?

Chłopak, który nie zrozumiał co ma na myśli niemiecki jeździec, z radością krzyknął wymachując rękami:

– Tak, panie generale, iz geritn, pędził konno, jechał...

Kłęska Freuenreicha... Jego ostatni dzień w Łodzi. Jęki na ulicy Wolborskiej

Było to w listopadzie roku 1918. W szabas, około godziny dziewiętej wieczorem, za pośrednictwem specjalnych telegramów żydowskich dowiedziano się o abdykacji króla Wilhelma i jego ucieczce z miasta rezydencji niemieckiej, Berlina.

Na ulicach Łodzi zapanował ożywiony ruch, otwarcie mówiono już o tym, że lada godzina Niemcy muszą odejść z Polski.

Jednak w niedzielę rano Freuenreich ponownie pojawił się ze swoimi towarzyszami na ulicach Łodzi i zaczął przeprowadzać rewizję w hali mięsnej na Wschodniej.

Brać rzeźników stała i ze złością przyglądała się, jak Freuenreich ze swoimi ludźmi rządzi się przy mięsie w ich sklepach.

Nagle nadjechał konno niemiecki policjant i wręczył Freuenreichowi opieczętowany list. Podporucznik szybko zaczął go czytać i już przy pierwszych liniijkach zrobił się dziwnie błydy, po czym na jego twarz wystąpiły kolory.

Przez kilka minut Freuenreich stał nieruchomo wpatrzony w list, który właśnie przeczytał. Następnie zwrócił się do rzeźników tonem dość uprzejmym:

– Od teraz, moi panowie, będziecie mieć spokój z Niemcami. Dziś w nocy opuszczamy Polskę!

Gdy bracia rzeźnicza rozumiała, że nie musi się już nikogo bać i że władza niemiecka nie ma już nic do powiedzenia, zwołano „narodę”, na której podjęto decyzję, że należy odegrać się na Freuenreichu.

Tego samego dnia dowiedziano się, że mieszkanie Freuenreicha znajduje się przy ul. Pańskiej 115⁷⁴.

Najpierw bracia udała się do mieszkania, wyważyła drzwi, połamala wszystko, co tylko znajdowało się w domu i przewracała wszystkie meble.

⁷⁴ Obecnie ul. Stefana Żeromskiego oraz część al. Politechniki.

Następnie poszli do miasta w celu poszukiwania Freuenreicha. W drodze dowiedzieli się, że przebywa on teraz na ulicy Wolborskiej.

Cała banda udała się na Wolborską, gdzie Freuenreich właśnie szykował się, by wsiąść do dorożki i odjechać do domu w towarzystwie swych sługusów.

Z wściekłością podbiegli i wzięli go w obroty. Przede wszystkim zerwali mu wszystkie epolety, pasek i szablę, za pomocą której wykonali wyrok na Freuenreichu i jego towarzyszach. Dzieciarnia szybko się zebrała i asystowała zdegradowanemu podporucznikowi kocią muzyką. Jego towarzysze uciekli w porę. A Freuenreich maszerował przez ulice Łodzi sam przy wtórce wrzasków i gwizdów.

Gdy mijali ulicę Konstantynowską⁷⁵, podbiegł do Freuenreicha młody chłopak i wymierzając mu dwa solidne ciosy wykrzyknął:

– Zabiję cię, nim opuścisz nasze miasto. Zemszczę się za krew mojego ojca, przelaną przez ciebie, przekłety Szwabie!

I kto wie, czy opuściłby Łódź żyw, gdyby nie następujące zdarzenie:

Freuenreich, który jeszcze po drodze dowiedział się, że do swojego mieszkania na ulicy Pańskiej nie ma już po co wchodzić, pojechał dorożką prosto do Grand Hotelu, gdzie zakwaterował się cały sztab wojskowy w Łodzi, i tam przenocował. Następnego dnia o poranku, w towarzystwie dwóch uzbrojonych żołnierzy niemieckich pojechał samochodem do swojego mieszkania na ulicy Pańskiej z zamiarem uratowania znajdujących się tam kilku ważnych papierów.

Przed bramą zebrał się już spory tłum chrześcijan i Żydów gotów w wielkim podnieceniu zlinczować krwawego Freuenreicha. Wszyscy ruszyli w stronę pojazdu żądając, by wysiadł.

Nagle dwóch żołnierzy wystrzeliło w powietrze i tłum, sądząc, że strzela się do niego, rozbiegł się w różne kierunki. W ten sposób Freuenreich uniknął śmierci i jeszcze tego samego dnia odjechał wraz z całym sztabem generalnym do Niemiec.

Tłumaczyła z jidysz Anna Szyba

⁷⁵ Obecnie ulica Legionów.

Miriam Ulinower

Lekarstwo⁷⁶

Gdy na jednej z moich powiek
Jęczmień kiedyś się pojawił,
Z księgi świętej mojej babci
Lek cudowny mnie wybawił.

„Kiedy w mieście głód nastanie,
Nakarm kurkę swą jęczmieniem.
Nigdy już się nie pokryje
Oko twe jęczmienia cieniem”.

Może masz tam, babciu miła,
W swojej księdze lekarstw więcej?
I uchronisz moje oko
Od gorącej łzy dziewczęcej?

Przełożyła z jidysz Natalia Krynicka

⁷⁶ M. Ulinower, *Der bobes ojcer* [Skarb babuni], Warszawa 1922, s. 7.

Jehuda Judl Rozenberg

Jehuda Judl Rozenberg (1859–1936) urodził się w Skaryszewie niedaleko Radomia. Już w młodości był bardzo uzdolnionym uczniem jesziwy, zyskując sobie przydomek „Geniusza ze Skaryszewa”. Mając 17 lat został rabinem w Tarłowie. Po śmierci pierwszej żony, ok. 1890 r. przeniósł się do Lublina na zaproszenie rabina Szneura Zalmana Schneersona i pełnił tam funkcję dajana. W latach 1902–1909 mieszkał w Warszawie, a w latach 1909–1913 w Łodzi. W 1913 r. wyemigrował do Kanady, gdzie został rabinem kongregacji Beth Jacob w Toronto. W 1919 r. przeniósł się do Montrealu, gdzie organizował sąd rabinacki, któremu przewodniczył do końca życia. Zmarł w 1936 r. Autor wielu książek halachicznych (m.in. *Meor Wechaszmal* o używaniu elektryczności w szabas i święta), komentarzy talmudycznych (np. *Jadot Nederim* o traktacie *Nederim*) oraz literatury pseudoepigraficznej poświęconej żywotom znanych rabinów (m.in. Maharala z Pragi).

N. Bumeil, *Ha-Rav R. Yehudah (Yudel) Rosenberg Zal* [w:] *Talmud Torah Eitz Chaim Jubilee Book*, Toronto 1943, s. 117; B. Eisenstadt, *Dojres Haachrojnim*, t. 1, New York 1914, s. 319; A. Rosenberg, *L'kutei Beth Aaron*, New York 1954.

Księga Archaniola Rafaela⁷⁷

Wstęp

Napisane jest: „Szczęsny, kto ma wzgląd na biednego”⁷⁸. A nie ma biedniejszego nad człeka chorego, który leży na łożu boleści. Albowiem nawet jeśli jest wielkim bogaczem, jakąż przyjemność może czerpać ze swego majątku? A oto, co dosłownie oznacza „oświecony”: to człowiek, który przygląda się rzeczy z rozmysłem i mądrością, jak i czym choremu pomóc. W tym zaś tkwi istota micwy nawiedzania chorych, doglądania i badania choroby, ażeby można było zrozumieć, w jaki sposób udzielić pomocy. Zaprawdę jest to rzecz, nad którą już przemyślałem i którą wyraziłem wprost, iż biorę na siebie zadanie wydania takiej książki, niezbędnej dla odnalezienia skutecznych środków, leków domowych, jak też leków zakupionych, spośród tych, które wolno każdemu człowiekowi wyrabiać pod nieobecność lekarza. Ponieważ nie wszędzie i nie zawsze istnieje możliwość natychmiastowego znalezienia lekarza, zwłaszcza zaś w przypadku biedaków, których na niego nie stać. Wszystkie podobne książki, jakie ukazały się do tej pory, co do jednej nie spełniają oczekiwań. Ponieważ w pierwszej kolejności stoją: *Szwilej emuno*, *Majse Tuwja*, *Zewach Pejsach*, *Toldos Odom*, *Mifalos Elokim*, *Zechira*. Oto księga *Majse Tuwja* rzeczywiście jest bardzo

⁷⁷ J. J. Rozenberg, *Sefer Rafael Hamalach* [Księga Archaniola Rafaela], Łódź 1920.

⁷⁸ Ps. 41, 12.

skuteczna, ale leki, które się w niej znajdują, są nieliczne, a zasadnicza część opiera się na „higienie”, ochronie przed zapadnięciem na chorobę. Pozostałe wymienione książki przynoszą leki, które pochodzą z dawnych czasów, gdy wiedza medyczna stała na niskim poziomie, była uboga i skąpa. Gdy nie było jeszcze tak dużych aptek jak dzisiaj, a jedynie handlarze wędrujący po miasteczkach z paczkami medykamentów. Wówczas zwykli byli oni leczyć chorych różnymi rzeczami odrażającymi, mianowicie wszelakiego rodzaju łajnem, moczem, żółcią, białkiem i żółtkiem, niedźwiedzim sadłem, wilczą skórą, lwim ogonem, jelenim porożem, słoniowymi kopytami, węzowymi oczami, nietoperzowymi kamieniami i tym podobnymi. Zatem albo rzeczą odrażającą i podłą, albo trudną do dostania. I tak źle, i tak niedobrze. Również amulety zamieszczone w tych książkach w większości są, tak czy inaczej, zakazane przez Prawo. Albowiem któż w tych dniach pyszni się zaklinaniem potężnych i świętych aniołów? A poza tym pełne są pomyłek wywołanych błędami w druku. Po wspomnianych książkach przychodzą jeszcze autorzy, którzy powtarzają wciąż to samo, biorą jeden od drugiego, kopiując środki i leki wspomnianych przeze mnie rodzajów. Wiele wysiłku poświęciłem, by sięgnąć do ksiąg ostatniej kategorii, których nie ma tak wiele w naszych krajach. Oto one: *Mare hajelodim*, *Refuje wechajim*, *Jimlas nafszo*, *Haach nafszo*, *Jimca chajim*, *Dewek meach*, *Amtachas Binjamin*, *Keter Tojre*, *Jalkus Mojsze*, *Diwrej Icchok*, *Sgules Isroel*. Zauważyłem, że wszystkie przywołują rzeczy stare, obecnie nie działające i nieskuteczne. Zatem umysł mój nie ustawał i wciąż pobudzał mnie, mówiąc: „Bądź mężny i mocny, albowiem na tobie spoczywa dzieło napisania książki, która przyniesie korzyść i uleczenie mieszkańcom tych miejsc, w których nie ma lekarza. Zwłaszcza zaś ubogim i biedakom, których nie stać na to, by natychmiast lekarza wezwali”. Każdą przypadłość u jej początków łatwo przemóc lub przynajmniej złagodzić dzięki nawet małemu lekowi. Jednak gdy początkowo w ogóle się z nią nie walczy, wzmacnia się ona i krzepnie, jak powrozy uprzęży. A ja zwlekałem, ponieważ zajmowałem się innymi dziełami. Rzeczywiście, w Nowy Rok 5671 [1910/1911] zachorowałem na nogę i w mej chorobie przewracałem się na łóżku z ogromu cierpienia, niech nas Miłosierny strzeże. Więc przyszło mi na myśl, że być może to kara z nieba, którą odpokutuję pisząc rzeczoną książkę. Zdecydowałem w sercu, że gdy z pomocą Jego Błogosławionego Imienia zostanie uleczony i przywrócony do zdrowia, odłożę wszystkie sprawy i zrealizuję swoją myśl. I dzięki niech będą Bogu Najwyższemu, który zesłał mi w świętości Swą pomoc i uleczył mnie z choroby. Podeszedłem więc do tego dzieła z nadzieją w Tym, Który Pomaga Ubogim, że pomoże mi mieć wzgląd na biednego nie za sprawą głupot i marności, lecz lekami skutecznymi. Jednak nie omieszczałem objaśnić też kilku leków i środków spośród cytowanych we wspomnianych książkach, które zważyłem w naczyniu jedno po drugim i objaśniłem z nich tylko te, które każdy człowiek jest w stanie pojąć. Ponadto nie są one szczególnie obce aptekarstwu

praktykowanemu obecnie. Także w zakresie amuletów zebrałem i objaśniłem spośród nich tylko te, które są mi znane i zrozumiałe oparte na kombinacji, które nie są błędne, w których nie ma zaklinania aniołów, a jedynie święte imiona złożone z wersetów Pisma, same będące jak straszna i potężna modlitwa. Przy każdym leku, środku lub amulecie, który skopiowałem ze wspomnianych ksiązek, oznaczyłem źródło pochodzenia z pomocą inicjałów tytułu. Te, które opatrzyłem literami AMeN, czytelnik wie, że pochodzą od inicjałów Abraham, Mordechaj, Nachum. Oto świętość dynastii cadyków, filarów świata, świętego magida z Turzyska, jego ojca i dziada, pamięć świętych i sprawiedliwych niech trwa w przyszłym świecie, a ich zasługi nas strzegą.

Wystarczy więc, co napisałem o rzeczach tych, a czytelnik pojmie wartość tej książki. I nie muszę tłumaczyć się czytelnikom, z jakiego powodu i dlaczego zdecydowałem się ją napisać. Ponieważ jak na słabość wzroku niezbędne są okulary poprawiające i wzmacniające moc spojrzenia i jak każdy chromy potrzebuje laski, o którą się wesprze, tak i książka ta niezbędna jest każdemu człowiekowi. Pomimo to nie jest dla mnie tajemnicą, że nie brak jej przeciwników. Zwrócili oni przeciw niej swoje języki mową pradawnego węża, mową węża płochliwego, krętego, w którym płonie duch zawiści i żar niesprowokowanej nienawiści, i zawzięli się, aby nie dopuścić do jej sprzedaży. Ale napisane jest o nich: „Ciernie, sidła na drodze złoczyńcy, kto życia strzeże, ten od nich jest z dala”⁷⁹. I sięgnie po nią książkę, by kupić ją rychło, ponieważ to drogi i wspaniały skarb. Zwłaszcza że w swej istocie jest ona też wielkim środkiem przyspieszającym wybawienie ciężko rodzącej położnicy, jak i ochroną dla rodzicielki. Kładąc tę książkę okrytą u węzłowia cierpiącej duszy, sprowadza się moc imion potężnych aniołów, wspomnianych w drukowanych tu amuletach.

W zakresie zamawiań nie poczyniłem klasyfikacji ani uporządkowania. Nie omieszkalem dodać tego, co miałem w swoich zasobach – wiele zamawiań na różne rodzaje chorób. Zarówno takie zamawiania, które drukowano w księgach wspomnianych wyżej, jak i te, które znalazły się u mnie dzięki tradycji. Ponieważ ich istotą nie jest siła tych czy owych środków czy zamawiań, ale moc ust, iż „sprawiedliwy nakazuje, a Święty, niech będzie błogosławiony, wypełnia”⁸⁰. Ale prawdą jest, że i on potrzebuje działania materialnego. Oczywiście tkwi w tym tajemnica, dlatego też nie chciałem ich objaśniać. Jeżeli wyjdą z ust człowieka świątobliwego, wszystkie zadziałają, lecz jeśli te środki i zamawiania wyjdą z ust człowieka występnego, który nie posiada mocy ust, głęboko wątpię, aby zadziałały. Rozpisałem się na ten temat w środku rozdziału *Segula*, dlatego dobrze byłoby je wesprzeć lekami leczącymi w sposób naturalny. Tak jak chleb naturalnie

⁷⁹ Prz. 22, 5.

⁸⁰ Moed Katan 16b; Szabat 59b.

leczy chorobę głodu. A o tym napisano „doloży starań, żeby go wyleczyć”⁸¹. Nasi błogosławionej pamięci Mędracy wywiedli z tego naukę o nakazie leczenia⁸². Dlatego zadałem sobie duży trud, by zebrać leki domowe i zakupione z wielu książek mędrców lekarzy, jakie ukazały się do tej pory. I przedstawiłem leki te podług ich nazw w języku łacińskim, jak zwą się u aptekarzy na całym świecie. Bowiem wszyscy zjednoczyli się w tej kwestii, aby główne nazwy leków były w języku łacińskim. W ten sposób każdy człowiek, z każdego kraju, będzie mógł poznać lek u każdego aptekarza na świecie, że nie znajdują się w nim śmiertelne trucizny, ani nic, co by mogło wywołać jakąkolwiek szkodę i nieszczęście u chorego, lecz raczej przynieść uzdrowienie i uleczenie, przeganiając wszelką chorobę lub przynajmniej ją osłabiając.

I od tej pory pozostało mi jedynie modlić się do Boga, aby sprawił, że z Jego pomocą nie stanę się przyczyną żadnego nieszczęścia ani szkody. A raczej, że każdy chory odnajdzie w tej mojej książce lek i podniesie się. Zasługa ta pozostanie przy mnie, iż dane mi będzie wznieść się jak najwyżej i będę potrafił odpowiedzieć pytającym w sposób prawdziwy na wszelkie pytania. I „niech przeze mnie nie wstydzą się ci, co Tobie ufają, Panie, Boże Zastępów. Niech przeze mnie się nie rumienią ci, którzy Ciebie szukają, Boże Izraela!”⁸³ I niechaj dane mi będzie zobaczyć przyjsie na Syjon Zbawiciela, prędko, za dni naszych, amen.

Oto słowa autora, który oczekuje rychłego wybawienia wszystkich i każdego z osobna, świętobliwego Judla Rozenberga. Nie chcąc pozostawiać strony pustej, opiszę, co zauważyłem w niektórych książeczkach. [Opisują tam] środek na poczęcie, polegający na tym, że kobieta bezpłodna połyka napletek obrzezanego niemowlęcia. Widziałem też uczonych łamiących głowy i dochodzących tego, czy wolno korzystać z takiego środka, czy nie. Albowiem mięso ludzkie należy do pokarmów zabronionych. Są też tacy, którzy starają się zezwolić na jego stosowanie, ponieważ jest to połykanie inne niż zjadanie⁸⁴. Wszystkim tym warto byłoby się zająć i zbadać to, skoro słyszy się, że czasem kobieta bezpłodna poczyrna dzięki temu środkowi. Objaśnia się wówczas jego znaczenie w ten sposób, iż to przez wzgląd na micwę kobieta połyka napletek, aby zająć w ciążę. Lub że za sprawą mocy napletka zajdzie w ciążę, ponieważ da jej moc, aby mogła być w ciąży. Lub że napletek zmusza anioła zawiadującego ciążą, aby natchnął nią tę kobietę. Wydaje się jednak, że człowiek rozumny wie i pojmuje, że nie ma słuszności, czy to ze względu na siłę ducha, czy siłę natury, w mówieniu, że to za sprawą tego środka bezpłodna poczęła. Pozwolę sobie powiedzieć o tych, którzy rozważają tę regulację, że nie warto tracić czasu, papieru i atramentu na podobne głupoty i marności. Bo to tylko kpina i drwina, że takie rzeczy znajdują

⁸¹ Wj. 21, 18.

⁸² Bawa Kama 85a.

⁸³ Ps. 69, 7.

⁸⁴ Pesachim 28b.

się w literaturze Izraela. Jakże można twierdzić, że córki Izraela powinny łykać rzecz najohydniejszą i najobrzydliwszą, część pradawnego węża, źródła wszelkiej nieczystości! I jeszcze wymyślać tak ohydne kłamstwa i mówić, że w ten sposób Jego Błogosławione Imię pozwoli bezpłodnej zająć w ciążę. Czyż nie są znane słowa naszych błogosławionej pamięci mędrców: „Obrzydliwy jest napletek, ponieważ złoczyńcy są nim naznaczeni”⁸⁵ itd.? W świętym Zoharze kilka razy napisano, że to część pradawnego węża. Dlatego też wkładamy napletek do prochu, jak zostało napisane: „Wąż będzie miał proch ziemi jako pokarm”⁸⁶. I dlatego mówię otwarcie, że owi rabinkowie, którzy udzielają takich środków, są lekkomyślni i bezmyślni. Albowiem widzimy w książeczkach nierozsądne środki i sądzimy, że wszystko, co wydrukowane w takiej książce, to rzeczy, w których tkwi prawda. I nie znamy różnicy między prawicą a lewicą, nie potrafimy rozróżnić jadu od śmieci, światła od ciemności, słodczy od goryczy. A zamiast naprawiać, przynosi to szkodę i niszczy. Wiadomo bowiem, że przenigdy bezpłodna nie poczęła za sprawą takich głupot. A jedynie zarażamy mocą nieczystości córki Izraela. I kto wie, czy nie powstaną jeszcze głupcy, mówiący: „oto nowy środek, gdy kobieta wypije wodę po obmyciu rąk po posiłku, i dzięki temu pocznie”. Albowiem, jak wiadomo, przed obmyciem rąk po posiłku też wypowiada się słowa: „Oto los odstępcy od Boga”⁸⁷ itd. Mówiłbym o tym więcej, lecz uspokoiłem się i stwierdziłem, że rozumnym już dosyć.

Dzieci

Dziecko, które zachoruje na chorobę dur, zwaną też suchoty, będzie wciąż marniało i chudło. Sposobem jest wziąć gałęzie z drzewa zwanego *wierzbe-bojm* i ugotować je w milczącej wodzie. Następnie wziąć naczynie, w którym zakwasza się ciasto do pieczenia chleba, zwane dzieża, i wlać doń zakwasu zwanego *roszczina*, jak przy cieście na chleb. I położyć wanienkę na dzieży, w której jest ciasto, i wlać do wanienki gorącą wodę z wywarem z gałęzi wierzby. Kąpać dziecko w tej wodzie trzy razy, jak długo ciasto kwaśnieje w dzieży. Potem wylać wodę po kąpieli pod drzewo wierzby, skąd zerwało się gałęzie i wypowiedzieć następujące słowa: „Zabierz sobie ten dur i tę suchotę od dziecka X, syna/córki Y (*Toldot Adam*)”.

Zaraza

W innym miejscu zaś znalazłem informację, że zioło „ruta” stanowi cudowny środek zarówno jego wachanie, okadzenie nim, jak i wieszanie na szyi jako amulet. Lecz należy ciąć je złotym denarem czwartego dnia wzrastania księżycy,

⁸⁵ Miszna Nedarim 3.

⁸⁶ Iz. 65, 25.

⁸⁷ Hi. 20, 29.

przed wschodem słońca. Odmówiwszy *Wibi nojem jojszew besejter*⁸⁸, cały psalm siedem razy, przed cięciem liści. I należy mieć na ustach imię człowieka, dla którego się tnie, mianowicie: „Zbieram te liście ruty w imię Pana, Boga Izraela, na uzdrowienie z nieba i ochronę dla X, syna/córki Y, od wszelkich złych klęsk i złych chorób”. Zaś podczas zarazy, niech nas Miłosierny chroni, należy ciąć liście ruty jak wspomniano wyżej i włożyć do małego woreczka z cienkiej skóry razem z amuletem, napisanym na kosztownym pergaminie pismem kwadratowym przez *sojfera* po rytualnym oczyszczeniu. I zawiesiwszy ten amulet na szyi, chodzić tak przez cały czas trwania zarazy, a nie przydarzy mu się nic złego z pomocą Błogosławionego Imienia. Oto wariant amuletu.

Zamawianie na miłość męża do żony

Gdy mąż buntuje się przeciw żonie i w sercu jej nienawidzi. Niechaj weźmie pełną garść drobnej soli i nieco żywego wapna, pokruszonego na kawałeczki, sprawi dziesięć ziaren czarnego pieprzu i trochę żywego srebra, i włoży to wszystko do glinianego naczynia. Następnie wyleje na to trochę spirytusu z wina gorzałego, aż uniesie się dym. I wstawi to naczynie do pieca piątego dnia rano, gdy domownicy jeszcze śpią. A gdy naczynie zacznie się palić, należy powiedzieć: „Tak jak wszystko płonie, co znajduje się w tym naczyniu, niechaj płonie serce mojego męża X, syna Y, do jego żony X, córki Y, aby nie mógł zaznać wytchnienia, zanim się ze mną nie przeprosi i nie pokocha mnie silną miłością na wieki. Omajn sela. (*Mifalos Elokim*)

Moc męska

Lekiem jest wziąć zioło zwane w języku łacińskim „urtika”, a w mowie nieżydowskiej „pokrzywa” lub „kropywa”. Jest to zioło, które rośnie wszędzie i wywołuje oparzenia. Lepsze jest na początku lata, kiedy rośnie nad ziemią nie więcej jak ćwierć łokcia. Wyciągnąć rzeczne zioło z ziemi wraz z korzeniem, obmyć w wodzie z ziemi i pyłu, a następnie ugotować z wodą deszczową i przesączyć tę wodę, aby była klarowna. I pić kilka razy dziennie tę wodę zmieszaną po równo z winem. A jeśli nie masz deszczówki, możesz zagotować w winie i pić to wino i wzmocnić swą moc. (*Toldos Odom*).

Podagra

Na ból podagry. Lekiem jest wziąć ćwierć litra jałowca, dwa łuty suchego imbiru, dwa łuty suchego cytwaru. Wszystko to rozbić na mączkę i przesiać pył przez sito. Wziąć nowy rondel gliniany zwany glazurowanym i podgrzać w nim ćwierć litra świeżego masła z kwartą gorzałki. Następnie wysypać proch do rondla, dobrze przykryć i położyć kamień na pokrywkę oraz postawić rondel na lekkim

⁸⁸ Ps. 90, 17; Ps. 91.

ogniu, żeby tak się gotowało trzy godziny, aż się porządnie wysmaży i zrobi jak maść. I smarować tym bolące miejsce dwa razy dziennie i owinąć watą. Należy uważać, aby rondel był dość duży i się nie przepełnił, ponieważ trzecia część rondla będzie wystarczająca.

Ciężki poród

Środkiem jest odmawiać nad rodzącą rozdział *Lamenacejach mizmor leDowid jaanecho H*⁸⁹ w dniu nieszczęścia i dalej dziewięć razy w języku kobiet. A następnie powiedzieć: „Kobieto X, córko Y, nie wiemy, co więcej zrobić, ale jak odpowiedział twój matce w jej bólach, tak odpowie i wybawi cię w twoich bólach. *Omajn sela*”.

Epilepsja. Lek na chorobę epilepsji u niemowląt

Należy kupić w aptece olej bursztynowy i dawać niemowlęciu każdego ranka trzy krople tego oleju zmieszanego z mlekiem matki na srebrnej czystej łyżce lub złotej czystej łyżce. Także należy namaszczać głowę tego niemowlęcia na czaszce, w miękkim miejscu, pięcioma kroplami oleju, codziennie. A także smarować olejem puls przy obu dłoniach. Dobrze też w czasie epilepsji smarować w ten sposób (*Mifalos Elokim*).

Epilepsja. Lek i środek na chorobę epilepsji

Obrzydzać chorobę podczas karmienia chorego przykrymi słowami. I upiec wątrobę lub mięso osła i dać choremu do zjedzenia. Albo wziąć łożysko świni, która rodziła po raz pierwszy lub łożysko czarnej kotki zaraz po porodzie. Wysuszyć, aż stanie się twarde i rozbić na proch. Podawać choremu do picia zmieszane z napojem. Albo zmieszać proch z mąką i zagnieść ciasto, upiec i podawać choremu do jedzenia. Także dobrze dawać wołu pić z dużej misy, a co spłynie z pyska wołu, w tym krople wody w misie, podawać choremu do picia, a wyzdrowieje.

Zamawianie na wszelkie rodzaje chorób

(Położyć chorego na lewym boku i trzykrotnie szeptać do prawego ucha):

W Imię Boga Izraela, zeslij mi swojego anioła Rafaela, aby uleczył X, syna/córke Y, z jego choroby. Niech błogosławione Imię ochroni go od wszelkiej choroby i uratuje, uleczy z jego dolegliwości. Jeśli to dolegliwość spośród 72 chorób, jakie są na świecie, zaklinam w Imię *El Szadaj*⁹⁰, Boga Wszchemocnego, niech będzie błogosławiony, na wszystkie Jego przykazania, na słońce i księżyc i na Władcę Niebieskiego, Boga, niech będzie błogosławiony. I na aniołów, którzy zamieszkują

⁸⁹ Ps. 20.

⁹⁰ Jedno z boskich imion.

u naszego umiłowanego Pana. Na dziewięć pokoleń i na dziewięć zwojów Tory i na dziesięć *Ofanim*⁹¹. Niech ta choroba odejdzie od chorego X, syna/córki Y, skoro przybyła do jego domu, albo dopadła na dworze. Wiatr mu w oczy zawiął, deszcz go zmoczył, kogut mu zapiał i przeszły go dreszcze. Na trakcie lub ścieżce napotkała. A jak przysła do niego, uleczy go Wszechmocny Bóg, niech będzie błogosławiony, w tej godzinie. Oto prawda, prawda i prawda w Imię Boga, niech będzie błogosławiony. Omajń sela. I niech się stanie wola Twoja za naszych dni. A Błogosławiony po jego lewicy, *Elohim*⁹² przed nim, Potężny za nim, i Szechina Pana nad jego głową. Który czyni pokój na wysokości, sprowadzi pokój na nas i na cały Izrael. Amen.

Zamawianie na ratunek przed bronią

(Zwróci oczy ku niebu i wypowie trzy razy):

Ziemia jest wysoka, niebo jest moją skórą, ziemia moimi butami. Niechaj błogosławiony Bóg będzie mi ochroną, aby żaden nóż mnie nie przeciął, żaden człowiek nie zastrzelił, żadna woda nie zalała. Niech się to stanie prawdą w Imię Boga Abrahama, Boga Izaaka i Boga Jakuba. Omajń, *necach, sela waed*⁹³.

Zamawianie na uroczne oko

„Trzy niewiasty stoją na szczycie skały. Jedna mówi X, syn/córka Y, choruje, jedna mówi X, syn/córka Y, nie choruje, a jedna mówi: X, syn/córka Y, nie choruje i nie zachoruje nigdy. Jeśli to mężczyzna zadał mu (jej) tę złą rzecz celowo, niech wypadną mu włosy z głowy, broda i rzęsy. Jeśli to kobieta zadała mu (jej) celowo tę złą rzecz, niech wypadną jej włosy z głowy i rzęsy, i opadną piersi. I jak w morzu nie ma drogi, a ryba nie ma nerki, a mrówka nie ma kości, tak nie będzie mieć władzy uroczne oko nad X, synem/córką Y, i nie zada mu (jej) żadnej słabości. Mocą tego, co napisane: Latorośl płodna Józef, latorośl wyrastająca nad źródłem a latorośli jego rozchodzą się po murze (Rdz 49, 22). Murze po się rozchodzą jego latorośli, a źródłem nad wyrastającą latorośl, Józef płodna latorośl. Wystąp studnio, śpiewajcież o niej. Studnia, którą wykopali książęta, wykopali ją hetmani ludu z ustawcą zakonu, laskami swojemi. A z tej puszczy ruszyli się do Matana; A z Matana do Nahalijelu, a z Nahalijelu do Bamotu; a z Bamotu ku Hagaj (Lb 21, 17–20). I jak uleczony został Ezechiasz król Judy, tak uleczony (uleczona) wkrótce zostanie X, syn/córka Y. I powróci do siebie mocą Świętego Imienia, powstałego z inicjałów *Ato Gibor Leojlem Adojnoj*⁹⁴. Zanim wypowie dziewięć, uleczy go (ją) Święty, niech będzie błogosławiony, jak napisano: Liczbę dni twoich

⁹¹ Anioły z wizji Ezechiela (Ez. 1:15–21).

⁹² Jedno z boskich imion.

⁹³ Hebrajska formuła końcowa, dosłownie: „Na wieki, sela i na zawsze”.

⁹⁴ Fragment bogosławieństwa.

dopełnić⁹⁵, On błogosławić będzie chlebowi twemu i wodom twoim, i odejmę niemoc z pośrodku ciebie. Niech będzie wola Twoja, *Omajn, sela, necach wa-ed*.

(To zamawianie pochodzi od gaona, sprawiedliwego, świętego itd. rebego reb Szmelki z Nikolsburga, niech pamięć sprawiedliwego i świętego pozostanie błogosławiona).

Przetłóżył z jidysz Marek Tuszewicki

⁹⁵ Wj 23, 26.



Część 2

Szund

Abramele

Pseudonim literacki, autor nieznany.

Rewolucja w niebie (Fantastyczny obraz w pięciu aktach)¹

Łódź, 1910 r.

Osoby:

Niebo (siwiuteńki staruszek);

Ziemia (jego żona);

ich dzieci: Księżyc, Mars;

Słońce (siostra Nieba);

dwoje dzieci Słońca: Kometa Halleya, Kometa 1910a;

wierni doktorzy Ziemi: Edison, Zeppelin, Marconi;

osoby żyjące na koszt swej bogatej krewnej – Ziemi: czterech warszawskich redaktorów, Łódzcy tragarze, Teatr żydowski z artystami, Dozory, Rabini, Organizacje żydowskie, Syjoniści i terytorjaliści, Łódzki felczer (były budowlaniec).

Akt pierwszy

Scena przedstawia siedzącego staruszka (Niebo) o chmurnym obliczu i zatopionego w myślach. Obok niego, wyciągnięta na otomanie, spoczywa jego żona, Ziemia, nie przestając jęczeć i wzdychać.

Niebo:

Widzę po tobie, moja żono, że dzisiaj jesteś jakaś taka nieswoja. Co ci jest?

Ziemia (jęczy):

Jakoś nie czuję się najlepiej.

Niebo:

Może zawołać doktora?

Ziemia:

Nie! Co mi doktor pomoże?

Niebo:

No, to kto może ci pomóc i uratować jak nie doktor?

¹ Abramele, *A rewolucje in himel* [Rewolucja w niebie], Łódź 1910.

Ziemia:

Skoro moi krewni chcą mnie zamordować, to obcy mają mnie ratować?

Niebo (zdenerwowany):

Co powiedziałaś? Twój krewni chcą cię zamordować, kim oni są? I czego chcą?

Ziemia:

Tobie to dobrze, bo o niczym nie wiesz, mnie jednak wcale dobrze nie jest.

Niebo (przestraszony):

O czym nie wiem? Błagam cię najdroższa, opowiedz mi, w końcu jestem twoim mężem.

Ziemia (z płaczem):

Rzeczywiście, jesteś moim mężem, ale oni nie chcą, bym była twoją żoną, mówią, że mnie zmuszą, bym się z tobą rozwiodła...

Niebo (krzyczy zdziwiony):

O czym ty mówisz? Kto chce cię zmusić? Kto ma czelność? (błagalnie) Połóż się i odpocznij trochę, najdroższa, jesteś chora i masz gorączkę.

Ziemia:

Ja nie bredzę z gorączki. Zobacz, dzieci twojej siostry chcą mnie siłą zmusić, bym się z tobą rozwiodła, mówią, że z tego powodu przybyli aż z daleka i twierdzą, że jestem za stara i za słaba, by być twoją żoną.

Niebo (płacze gorzko):

No i tak to się kończy, jak się dopuszcza do siebie biednych krewnych. Zdaje się, że do tej pory byli z nich zwykli naciągacze, wylegiwali się za piecem w besmedreszu, lecz teraz, gdy wzięłaś ich do siebie i okazałaś nieco ludzkich uczuć, nagle zaczynają dawać ci rady i rządzić się tutaj. Poczekaj. Poczekaj, już ja ich nauczę, już ja im pokażę, co znaczy burzyć szczęśliwie życie rodzinne (odwraca się na stronę i płacze).

Ziemia:

I co mi z tego przyjdzie, oni już zabrali się do roboty całkiem na poważnie. Mówią, że jak się nie rozwiodę z tobą po dobroci, to tak mi wytrzęsą moje stare kości, że na wieki ich popamiętam... (z oczu tryskają jej strumienie łez i skapują z jej szpiczastego nosa).

Słońce (do obojga):

Nie płaczcie! Nie płaczcie! Wszystko będzie dobrze! (wyciera pomalutku łzy z nosa szwagierki...)

Akt drugi

(Scena umieszczona po zachodniej stronie nieba, rzecz się dzieje tuż po zachodzie słońca. Daleko, na południowo-zachodnim krańcu nieba, spod gęstej, czarnej chmury wyłania się kometa Halleya i z ciekawością spogląda na ziemię. Z drugiego, północno-zachodniego krańca wyłania się nowa kometa 1910a i rzuca ostre spojrzenia w stronę nieba. Z powodu czarnej chmury jedna drugiej nie widzi.)

Halley (mówi sama do siebie):

Nigdy w życiu bym nie uwierzyła, że ciotka Ziemia będzie aż taka głupia.

1910a (patrzac na niebo):

Bądź zdrow, wujku Niebo, jadę do cioci...

Halley (dalej mówi do siebie):

Co za głupia krowa! Ja przecież tylko żartowałam, a ona wzięła to na serio i się rozchorowała.

1910a (do siebie na głos):

Już powiedziałam, przepadło, więcej przy nim nie zostanę...

Halley:

A któż to się tak beczelnie wydziera?

1910a:

A kto ma czelność pytać?

Halley:

Jestem kometą Halleya, przed którą każdy trzęsie się i drży.

1910a: Ja zaś jestem kometą 1910, która cień grozy rzuciła na całą ludzkość...

Halley:

A kto ci nadał takie imię?

1910a:

Dzieci ciotki Ziemi.

Halley (zdenerwowany):

A ty skąd znasz moją ciotkę?

1910a (dostrzega Halleya za chmurą):

Halley! Halley! Mój drogi Halleyu, nie poznajesz mnie? To przecież ja, twój brat.

Halley:

No, nie poznałem cię zupełnie, kto ci nadał takie imię?

1910a:

Dzieci ciotki Ziemi.

Halley:

Czemu 1910, a nie 1810?

1910a:

Bo w roku 1910 szukano komet z długimi ogonami...

Halley:

I co, rozmówiłeś się już z dziećmi ciotki Ziemi?

1910a:

Nie, w ogóle, dopiero wczoraj wieczorem im pomachałem, a ci od razu polecili z jęzorem do ciotki, że niby się złoszczę i chcę ich zabić.

Halley:

Cóż to za banda głupków. W życiu się nie spodziewałem, że dzieci ciotki mogą być takimi debilami.

1910a:

Uwierz mi, aż mnie brzuch rozboleł ze śmiechu. No wyobraź sobie: Wychodzę sobie wczoraj wieczorem i spoglądam w stronę ciotki i nagle widzę, że w jej pokoju aż pociemniało od ciżby, zupełnie jakby mrówki się wyroiły. Przyglądam się lepiej i widzę, że ciotka leży wyciągnięta na łóżku, a dookoła niej jej dzieci, doktorzy, starzy przyjaciele i astronomowie, wszyscy tak stoją, odmierzają moją trajektorię i proszą, bym staruszki nie niepokoił...

Halley:

No i co odpowiedziałeś?

1910a:

Ja słowa nie powiedziałem, ale oni ciągle coś głądzili i głądzili. Jeden mówił, że nie jestem dobry, drugi, że jestem zły, a trzeci to wręcz mnie nazwał rewolucjonistą; twierdził on, że przede mną samym to by nawet tak się nie trząsł, ale skoro mam taki długi ogon i prowadzę ze sobą całą bandę, którą podbuntowałem... Jak ci się podobają takie słowa? Pęknać można ze śmiechu?

Halley:

A ty co, chcesz mi odebrać robotę?

1910a (ze śmiechem):

Jak widzę ty naprawdę sądzisz, że na niebie nie może być konkurencji? No to mylisz się okrutnie – konkurencja to i w niebie nawet występuje.

Halley:

No i co z tego wyniknie?

1910a:

Konkurencja napędza biznes – będziemy tak ze sobą konkurować, ja spuszczać trochę głowę, ty ogon... I tak się będzie wszystko toczyć zgodnie z porządkiem, aż dzieci ciotki się nawrócą... I pokój z nami zawrą...

Akt trzeci

(Scena przedstawia sypialnię Ziemi. Jest to duży pokój, w którym znajdują się różne przedmioty: stoły, ławki, półki itd. Na środku pomieszczenia stoi szerokie łóżko, na którym leży Ziemia, po jej prawej stronie stoi trzech domowych lekarzy: Marconi, Edison i Zeppelin. W lewej części izby trzech felczerów – byłych łódzkich budowlańców; od frontu stoi dwoje dzieci: córka Księżyc i jedyny syn Mars. Z boku stoją przyjaciele: redaktorzy czasopism, żydowskie organizacje i teatry. Jeden z felczerów mierzy chorej gorączkę, drugi szuka pulsu, trzeci trzyma ją za głowę).

Doktor Zeppelin (do Edisona):

No i co pan powie, panie kolego, odnośnie do chorej?

Doktor Edison:

A co mam powiedzieć, to przecież nic, zwykłe urojenie, ot co.

Zeppelin:

No, ale przecież oddycha z trudem?

Edison:

Winne są jej dzieci, które nie dają jej spokoju i ciągle się przepychają, dniem i nocą...

Zeppelin:

Jestem tego samego zdania, że winnymi jej choroby są dzieci, męczą ją strasznie, leżą na jej plecach, to jest główny powód jej choroby.

Edison (siada przy stole, podnosi w zamyśleniu dłoni do czoła i mówi):

Zapiszę jej lane bańki...

Zeppelin (zdziwiony):

Co to są lane bańki?

Edison:

To nowy rodzaj baniek, które nie są stawiane jak te obecnie, tylko lane... To na pewno ją uleczy i przyniesie ulgę jej osłabionym członkom i zgarbionym plecocom...

Zeppelin:

Nie uważam, że to dobry pomysł. (Odwraca się do felczera i pyta): Jak tam puls?

Pierwszy felczer:

Bardzo niedobrze: raz się zatrzymuje, potem skacze...

Drugi felczer:

Głowa musi ją bardzo boleć, strasznie się krzywi... Odwraca twarz...

Trzeci felczer:

A gorączka jest bardzo niebezpieczna – ma bardzo wysoką temperaturę i cały czas nią rzuca. Takie miała dreszcze, że mi aż kilka zębów wybiła... Niech jej Herr Doktor postawi kilka takich dobrych baniek, by tak nie gorączkowała i nie trzęsła się...

Księżyc (z płaczem):

Ratujcie naszą mamę.

Mars (wzdycha):

Nie wiem, jak to wytrzymamy... To będzie straszne nieszczęście, jeżeli, uchowaj Boże, mamie coś się stanie. Właśnie załatwiała dla mnie swatę, a bez mamy co będzie – nikt nie wie...

Redaktorzy (do Marsa na ucho):

To nie problem, nie martw się, załatwimy ci jakąś dobrą partię. Wiesz przecież, że my wszystko możemy... Jesteśmy przyjaciółmi domu twojej mamy...

Marconi (staje przy telegrafie):

Musimy tu ściągnąć profesora, by ją ratował.

Zeppelin:

Ze starą kiepsko, trzeba się będzie zatroszczyć o jej dzieciaki.

Edison:

Co to znaczy kiepsko? Każdego chorego można wyleczyć i chociaż jest już stara, od razu postawię jej bańki, to na pewno dobrze zrobi jej członkom.

Zeppelin:

Mnie tam się wydaje, że nic jej już nie pomoże, nic już z Ziemią się nie robi.

Edison:

Róbcie jak uważacie, ja ze wszystkich sił będę się starał ją ratować.

Zeppelin (do Marsa):

Drogie dziecko, widzę, że bardzo się martwisz – tracić taką matkę. Mówię ci jednak, że zawsze ci pomogę, jakem doktor Zeppelin...

Mars:

Nie wiem, jak ja to wytrzymam.

Zeppelin:

Już ci mówiłem, że pomogę ci pod każdym względem.

Redaktorzy:

My też nadal pozostaniemy twymi przyjaciółmi, na wieki. Pamiętaj tylko, by się dobrze prowadzić i utrzymywać nas, przyjaciół domu, tak jak twoja mama, jako twych stołowników i doradców...

Zeppelin (do Marsa na ucho):

Broń Boże nie wdawaj się z nimi w jakieś dyskusje, w ogóle nie znasz tej bandy, wystarczy, że się do nich uśmiechniesz, a ci od razu wrzeszczą, że jesteś cały ich.

Żydowskie organizacje (do Edisona):

My również w pełni się zgadzamy z Pańskim zdaniem.

Edison:

No przecież. Starą da się jeszcze uratować.

Organizacje:

Co to w ogóle za pytanie? Zaraz przyślemy medyków i stróżów i postaramy się uratować starą. Przecież jest chora, a my o chorych dbamy... Zdrowi niech sami o siebie zadbają...

Marconi (telegrafuje):

Zwołam wszystkich krewnych, niech się choć z nią pożegnają.

Żydowski teatr (do wszystkich):

O jej dzieci już ja się zatroszczę. Wyprowadzę ich na ludzi, bo najważniejsze to być człowiekiem...

Akt czwarty

(Scena przedstawia duży plac w Warszawie, od którego odchodzą liczne boczne uliczki, z których raz po raz wyłaniają się w pośpiechu tragarze, z zielonożółtymi walizkami w rękach, 4 redaktorów, 17 wydawców, 31 gońców. Z daleka na horyzoncie widać gwiazdy i planety).

Tragarz (do redaktora trzymającego w ręce wielki szofar, przez który przypatruje się niebu, jak kura gapiąca się na ludzi):

Po stokroć przepraszam, dajcie mi też spojrzeć, może jeszcze zdążę...

Redaktor (ze złością):

Co mi pan głowę zawraca, na co się jeszcze załapie?

Tragarz (błagalnie):

Niech się pan nie denerwuje i nie złości na mnie, nawet pan nie wie, ilu ludzi wygląda mnie jak światła słonecznego.

Redaktor (zdenerwowany):

Zostawcie mnie w spokoju, widzicie przecież, że ludzie na mnie czekają.

Tragarz:

Co? Na pana też czekają? To może i pan jest tragarzem?...

Redaktor (krzyczy):

Jakim znowu tragarzem? Jestem redaktorem w żydowskiej gazecie.

Tragarz:

I czemu się pan tak złości? Nawet wygląda pan trochę na tragarza... To niech pan będzie taki uprzejmy i pozwoli koledze rzucić okiem, to może jeszcze zdążę się załapać do Łodzi i capnąć stamtąd paczkę...

Redaktor (odpycha go ze złością):

Nie zawracaj mi głowy, żebraku.

Tragarz (zdenerwowany):

Kto niby jest żebrakiem? Ja? Jestem bogatszy od pana... W jednej chwili, jak tylko zechcę, mogę panu wystawić cały pud weksli.

Redaktor (spokojniej):

Jeżeli to tak pana interesuje, to niech pan zaczeka chwilkę, zaraz odlatuję na komecie, wtedy panu odpowiem.

Drugi Redaktor:

Kłamię, kto by go tam wpuścił, przecież on poza żargonem żadnego języka nie zna.

Trzeci Redaktor:

Poczekajcie, już idzie mój korespondent z Petersburga, był tam specjalnie, by w obserwatorium zobaczyć całą tę drakę... Wszystko dokładnie wam wyjaśni.

Czwarty Redaktor (do tragarza):

Czyżby pan chciał, mein Herr, otrzymać informacje o komecie? Mogę dać panu bilecik do mojego profesora... Znanego korespondenta najlepszej gazetki ubezpieczeniowej, który ma wszędzie swoich agentów, nawet w gwiazdach...

Tragarz (na ucho do drugiego tragarza, trzymającego w jednym ręku kilka złotych pasków, którymi ściągnięta jest czerwona zrolowana kołdra, w drugim duży koszyk z blaszanym czajnikiem w środku):

Chyba wpadliśmy w łapy jakiegoś towarzystwa złodziejasków czy kieszonkowców. Mówią tak jakoś za miękko i na pewno nie chcą naszego dobra. Lepiej znikajmy zawczasu, póki mamy jeszcze nasze bagaże w rękach... Inaczej możemy tu, nie daj Boże, stracić nasz cały majątek, jak łódzcy fabrykanci... (Odchodzą, oglądając się kilka razy, czy stojący na placu nie gonią ich przypadkiem).

Akt piąty

(Scena przedstawia całą kulę ziemską ze wszystkimi morzami i wyspami, w czterech krańcach nieba pojawiają się cztery wielkie, jasno świecące komety, machające swymi długimi ognistymi ogonami w stronę Ziemi. Na Ziemi panuje chaos. Ludzie biegają dookoła w wielkim zamieszaniu: ktoś z psalmami, ktoś z modlitwami przebłagalnymi, inny z modlitewnikiem cmentarnym, każdy chce czynić pokutę, aż się kurzy, wielu głośno wyznaje grzechy, bijąc się w piersi... Krzyczą na głos: oszukiwaliśmy, zradzaliśmy, kradliśmy... itd. Po stronie wschodniej stoją Japonia i Chiny z armatami i mieczami w rękach, przygotowując się do wojny Goga i Magoga... Po zachodniej stronie siedzi Ameryka, pochylając się nad oceanem i przygotowuje swe okręty wojenne, by wypłynąć nimi na powitanie Japonii i Chin... Po stronie południowej, tam gdzie Afryka, można dostrzec wypełzające pomalutku ze swych pustynnych nor i kryjówek lwy, tygrysy, węże i inne dzikie zwierzęta, szykujące swoje paszcze na wielką ucztę... Od strony północnej ukazują się dwie wielkie góry lodowe w towarzystwie 77 ekspedycji podbiegunowych z czerwono-niebiesko-zielono-żółto-białymi chorągiewkami w dłoniach pod wodzą lodowej księżniczki Piri oraz Cooka... Na samym środku kuli ziemskiej unosi się Zeppelin na swym bojowym statku powietrznym w towarzystwie całej floty powietrznej, wygrażając kułakiem Francji i Anglii... Pod nim stoją syjoniści, terytorialiści, tragarze, fabrykanci, redaktorzy, rabini, dozory, organizacje żydowskie, teatry, artyści i Anglicy, trzymający w ręku wycelowane w powietrze działa).

Anglicy (krzyczą do Zeppelina):

Chodź tu, psie jeden, nie pozwolimy ci panować nad nami...

Zeppelin:

Możecie żółć całą wypluć, a ja i tak będę robił, co będę chciał; siedzę sobie na rumaku, a wy taplacie się w błocie.

Anglicy:

Nie dożyjesz i nie dotrzesz na Marsa, podziurawimy cię jak sito (ustawiają nowo wynalezione armaty).

Syjniści (do Anglików):

Trzaśnijcie go kilkoma kulami armatnimi. Nie potrzebujemy nowych poszukiwaczy terytoriów.

Terytorialiści (błagalnie):

Mieście litość i też nas tam zabierzcie. Tu na ziemi nie za wiele już zdziałamy – mówią, że łódzcy fabrykanci nagle zwariowali i zapadli na chorobę, która w języku tragarzy nazywa się – kasa...

Fabrykanci:

Zabierzcie od nas tę zarazę, może uwolnimy się w końcu od tego kwasu protestów.

Rabini (na melodię weselną):

Wybaczcie nam i poczekajcie chwilkę, tylko skończymy 87 zjazd rabinów...

Łódzki przedsiębiorca budowlany:

I o nas nie zapomnijcie. Prawdziwą pokutę już czynimy.

Dozory (pomocnie):

Herr Zeppelin! Niech pan będzie tak dobry i przygotuje nam tam wielką gminę, taką z fotelem bujanym do modlitw...

Organizacje żydowskie:

A dla nas, jakby pan był taki miły i kazał przygotować szpitale i apteki, musimy przecież troszczyć się o chorych (nadbiega w pędzie czterech redaktorów. Każdy chce być pierwszy).

Pierwszy redaktor (wrzeszczy do Zeppelina):

Niech pan nie zapomni pisać dla mnie korespondencji, prześlę potem panu kilka wydrukowanych bezpłatnych egzemplarzy.

Drugi redaktor:

Niech pan łaskawie weźmie ze sobą mojego współpracownika, dam panu za to bezpłatny bilet do Ziemi Izraela...

Trzeci redaktor:

Ja dam panu bezpłatne wiano dla pana córki. Niech pan pisze tylko dla mnie.

Czwarty redaktor:

Dam panu bezpłatnie miejsce w parlamencie, tylko niech pan wyśle do mnie stamtąd list.

Zeppelin (pokazuje wszystkim figę i odlatuje).

Drugi redaktor (zacierając ręce z radości i krzyczy):

Widzicie? Mnie! To mnie miał na myśli, to mnie swoją ręką... pomachał i obiecał, że będzie pisać. (Odbiega w podskokach. Po chwili wraca z paczką depesz specjalnych, które rozdaje dookoła. Tłum rozchwytuje je jak świeże bułeczki i połyka słowa jak kluski):

Rewolucja w niebie. Ekstra depesza od naszego specjalnego korespondenta.

Mars (88 dzień szóstego Adar). Dziś, w samym środku jasnej nocy zbuntowało się 777 komet, żądając równouprawnienia dla swych ogonów... Rewolucja przybrała straszliwy charakter. Dokładne informacje podamy w naszych szczegółowych depeszach specjalnych...

Teatr żydowski (do artystów):

A co nas obchodzą ich historyjki, jeżeli o mnie chodzi, to cały świat się może przewrócić do góry nogami, abym tylko mógł wystawić po raz 999 *Człowiekiem trzeba być...*

Artyści:

Nas też ten świat niewiele obchodzi...

Teatr:

No to dzieci, wystawiamy.

Artyści (śpiewają na melodię *Koszerne i trefne*):

Droży Państwo cud na świecie,

Więc w gazetach piszcie w mig,

Świadkiem były małe dzieci,

Jak przeklinać zaczął byk...

Jak to, mówi rogaczna?

Ktoś nabija nas w butelkę

Wzięła pismo więc starszyzna

Do świętego rebe Szmelke.

Rebe się zamyślił lekko:

Trudna rzecz do uwierzenia,

Mniejsza już o to pisemko,

Z cudem mamy do czynienia.

Oj-Oj

Gazeta trefna jest

Gazeta trefna jest

Lecz czytelnik przecież koszerny

Gazeta trefna jest

Gazeta trefna jest
Lecz czytelnik koszerny – oj tak!

Drugi redaktor (przebiega z paczką pozostałych depesz w ręku obok Teatru, klepie się po brzuchu i nuci zadowolony melodię, którą śpiewa Joel Kwacz, wychodząc z wody w Ameryce – z operetki *Człowiekiem trzeba być*):

Nazywają mnie redaktor
Także swat, a również faktor,
Wiele takich imion mam
Mówią, że ja głupstwa piszę
O demonach, z grobu myszach,
Drży przede mną cham i pan.
Moją redaktorską gębę
Ja używam na potęgę
Publicystyka co się zowie
zwinne, chyże pióro
Każdego przerobi na buro
I zanurzy w łajno krowie
Cały świat należy do mnie,
Każdy powie dziś to skromnie,
Bo choć obcy jest mi umiar,
Czynię, jakbym coś zrozumiał,
Każdy news należy do mnie,
Choćby wydarzył się w Kolnie.
Jestem jedyny na ziemi,
A i w niebie takich nie ma,
Cały świat należy do mnie...

Koniec

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

Beniamin Kacnelson [I. Ben Jamini]

Beniamin Kacnelson (1852–1930) urodził się w Kopylu w guberni mińskiej, studiował w jesziwie w Wołożynie, gdzie otrzymał uprawnienia rabinackie. Od młodości związany z ruchami propagującymi odnowę języka hebrajskiego. Po przeprowadzce do Warszawy pracował jako redaktor w hebrajskojęzycznym czasopiśmie „Haeszkol” oraz „Hacefira”. Po odejściu z redakcji przeniósł się do Zgierza, a następnie do Łodzi, gdzie był dyrektorem reformowanych chederów. Był pierwszym nauczycielem swego syna Icchoka, któremu zaszczylił ideały odnowy języka hebrajskiego. Współpracował jako dziennikarz z „Łodzer Tageblat”. Zmarł w Łodzi, pochowany jest na cmentarzu żydowskim. Publikował w jidysz i po hebrajsku pod pseudonimem I. Ben Jamini. Większość jego twórczości hebrajskiej oparta jest na motywach biblijnych z silnymi wątkami syjonistycznymi, np. *Potomstwo Efraima* czy *Juda Machabeusz*. Również twórczość w j. jidysz była mocno nacechowana politycznie.

I. Kacnelson, *Skica otobiografii*, rękopis w Archiwum Kibucu Lochamei Hagetaot; M. Tzur, *Ruach acuw*, Kibuc Lochamei Hagetaot 2012; Kartoteka Cmentarza Żydowskiego w Łodzi (nlb).

Pieśni²

Smutne pieśni.
Brak mi już łez w oczach
Brak mi w sercu westchnień,
by płakać, mój ludu, nad twym upadkiem,
by wzdychać nad twym wielkim bólem...

Ukraino, ty raju piękny!
Byłaś kiedyś piekłem
Dla mych świętych braci
Przez mordercze plany
Chmielnickiego, przekłętego
Kata narodu naszego,
Co w roku 1648 uśmiercił Żydów
Więcej niż pół miliona.
A dziś piękną Ukrainę
Morderca Petlura zajął
I świętą krew żydowską
Poła nasączył.

² B. Kacnelson, *Lider* [Pieśni], Łódź 1930.

Szpikiem z kości żydowskich
karmione żyto Ukrainy.
Ludzie! Pożeracie mych braci
Stajecie mi cierniem w oku.

Ach! Ludzkości już nienawidzę!
Wszystkich, starych i młodych,
Wszyscy są dzikie bestie!
Kiedy chełpią się cnotą,
Tarzać się można ze śmiechu:
Ślepi o świetle prawią,
Głusi o dźwiękach mówią,
Martwi o strawie opowieści snują!
Ludzkie bestie, jesteście gorsi
Od lwa... w jego sercu Bóg
Budzi często litość... ale wy
Krzty litości dla nas nie macie!
A Petlura i jego banda
Od zwierząt podlejsi.
Gdybym nazwał ich świniami,
Ujma będzie to dla wieprza.
Te stwory, co się mienią
Jezusa Chrystusa imieniem,
A są przy nim
Jak gnój przy człowieku.
Zrobili go Bogiem... ale jego
Braci, których miłował, czcił –
Torturują... by ich pożreć...
A mordercy... ziemi nie otworzy
Pod nimi Bóg sprawiedliwy!
Ojcie, śpisz, ach przebudź się!
Przez twego dziecka lament, przez ryk zwierząt...
Nie milcz, mój ludu! O, krzycz i wołaj...
Smuć się, nad naszym bólem płaczę
Im bardziej koalicja się śmieje.
Nie zeżrą nas świnie, gdy tylko szczerze
O koalicji pomyśleć się zechce...
Ach, zwyczajnie najprostsze psują rzeczy... Sztuka
Tłamsi poezję w sercach.

Polityka obraca ludzi w kamień.
I już nie czują bólu bliźniego...
O koalicjo, wypierasz Niemca,
By uwolnić bestie z klatki.
Mordują nas, idziecie ręką w rękę z Bogiem.
Słyszycie to, widzicie i milczycie.
Grzebią nas żywcem, a wy
Nie karzecie za to! Czyż grzech was nie plami?
Czemuście z kamienia? Czemuście drewniani?
Nie macie żon? Nie macie dzieci?
Przed setkami lat podali królowie
Chmielnickiemu rękę, dziś jest Petlura.
Zamiast Chmielnickiego... koalicja
Pozdrowia mordercę, całuje Petlurę.

Tak ludzkość dziś czyni wraz z Bogiem w duecie,
Nie krzycicie już Żydzi! Na próżno płaczecie!

Petlury towarzysz Kazer Zirke
Jak zaraza najgorsza śmierdzi siarką.
A jego towarzystwo najlepsze,
Jak wstrętne, niemyte wieprze,
Do miasta wpadają
Jak wino krew żydowską spijają.
Łapią siedemdziesięcioletniego Żyda
I śpiewają mu tę starą śpiewkę...
Syczą doń jak węże:
„Stary! Rób, czego żądamy!”
Trzymają przed nim obraz Jezusa
I wyją wściekle:
„Całuj ten obraz Jezusa Chrystusa,
A będziesz miał życie wieczne!”
Małość ducha jest wielka.
Odpowiada im krótko i stanowczo:
„To żaden Bóg, to syn człowieka,
Mam tylko jednego Boga!” Zaczynają
Hajdamacy nad nim się znęcać!
Tylko w starego Boga, jedyne
Stary wierzy, odważny jest

I nie całuje Jezusa... Ogień płonie,
W oczach mężczyzn gniew...
Stoi Żyd, jasny jak dzień,
Patrzy. Żydzi wzniesicie lament
Diabelsko mordują, grzeszą.
A nam, chrześcijanom, dzieciom Jezusa,
Dobrze jest i szczęśliwie, niczego nie brak
Nam w tym i przyszłym świecie.
Martwi Żydzi, kiedy chcemy
Pomaga nam Jezus to spełnić.
Skąpiemy się w ich krwi,
Pójdzie nam gładko i dobrze...
A przeklęty żydłak,
Bezczelnie powiedział, że jego Bóg
Jest jedyny i innego nie ma.
O, brudas taki!
Tego już nie zniesiemy
Musimy go z nóg zwalić,
Zabić jak głupiego psa.
Za ten grzech śmiertelny, wielki
I za jego trefną duszę.
Niech spadnie na nas pocieszenie,
Jezus to nam wybaczy
I jeszcze nam życie polepszy!
I krwi żądni szaleńcy pijani
Rąbią Żyda na kawałki.

Takie owoce piękne, wspaniałe...
Płonie święta Ukraina –
A takie typy
Pewne siebie, radośnie panują.
Oni mają być niezależni
I sami siebie słuchać !?!?
O, śmiech mnie bierze,
Co jest gorsze, co jest złe,
Bardziej gorzkie niż gorzkie ły,
Można zwariować!

Środa, 23 miesiąca siwan 5680 (9 czerwca 1920 r.), Łódź

[***]

„Znacie ukraińską noc?”
„Nie, nie znacie ukraińskiej nocy!”
Tak pisze Gogol, Kozak,
Ukraiński literat.
Ale ja znam ukraińskie noce.
Widziałem też w dolinie
Szumiący Dniepr
Piękny, pływałem
W jego ciemnych falach.
Słuchałem też, oczarowany
Przez ukraińskie dziewczyny, latem
Tony miłosnych zaśpiewów.
Kiedy w czas zachodu
Gniewnie wisiało
Krwawe słońce i na nas patrzyło...
I tkwiło wysoko.
A na niebie błękitny skrawek,
Jasny i czysty wypełza
Aż staje się srebrnym jasnym sierpem
I płynie dumnie po niebie.
Księżyc łśni, parobcy
Naostrzonymi patykami
Z miski haluszek³ wybierają
I wkładają do ust zachłannie,
Pół gryząc, pół połykając.
Potem ciarki im chodzą po skórze –
Niech ten drugi nie chapnie więcej.
Parobcy to jądro
Kozaków, hajdamaków,
Co przypomina się łzami,
Krwia i klątwą każdemu Żydowi.
Klasa uczniów mistrza
Jezuity Chmielnickiego...
A teraz przez koszmar
Petlury, Denikina i wielu innych...
Pomyślisz, że są bestie dobre i spokojne
Gościnne, gdy opanowane.
Tylko drzemie w nich tygrys

³ Kluski przyrządzane z tartych ziemniaków, mąki i soli.

Rozbudzany w nich wódką i jeszcze
Morderca, kudłaty pop...
Pop zamienia ich serca w kamień,
Wódka mąci im w głowach.
I wielu pisarzy, gazety
Sączą trucizną farbę drukarską
I zmieniają publikę
W dzikie wilki, wściekłe psy.
Oto wielki kozacki pisarz Gogol
W swej książce „Taras Bulba”
Pluje na Żydów jadem niczym grad...
Jeśli jacyś arendarze
Od pana wzięli
Cerkwie warendę, już trzeba
Wszystkich Żydów za to pogrzebać?
Dziś ubóstwia Dostojewski
Małe dzieci, aż słuchać przykro,
Gdy mówi spokojnie: „Dziecięce łyzy
Godniejsze, świętsze
Niż cały świat”⁴... Mój Boże,
Oto ten sam Dostojewski
Z pewną guwernantką się zmówił
I ośmioletnią dziewczynkę,
Jej uczennicę, do wanny mu przyprowadziła.
Oto prawdziwej estetyki siła
Grając raz w karty,
Stracił wszystkie pieniądze.
Lecz pomysł mu wpadł cudowny do głowy,
Za stawkę swą żonę zaoferował...
Tak oto (jak raz czytałem
w rosyjskim żurnalu)
Żonie się odwdzieczył
Co w łóżu boleści leżała
„Ale – zaczął bredzić,
By swą drogą żonę pocieszyć –
Chrystus mi to przecież wybaczy,
Wybaczy Chrystus”.
O mój Boże! Ribojno szel ojłom!
Czy na tym świecie jest aż tyle obłudy...

⁴ F. Dostojewski, *Bracia Karamazow*, t. 1, Warszawa 1970, s. 294.

Czy świat jest tak głupi?
Rabują. Mordują! Milionom
Gwałtem odbierają życie,
A jeszcze z chucpą krzyczą:
„Chrystus nam to wybaczy”!
Ilu współników ma więc Jezus?
Żyd z rodu Jakuba
Z hienami, złodziejami, mordercami
Z najgorszymi, największymi grzesznikami,
Już od dwóch tysięcy lat,
To tak zwani chrześcijanie
Nas, braci Chrystusa, męczą strasznie,
By nas unicestwić, zetrzeć w proch.
Szukają wszelkich środków
I bezczelnie do Jezusa biegną:
„Nasz zbawicielu! Od piekła
Nas niechybnie wykupisz!”
Mordercy! Gdyby tylko chciał Chrystus
Was od czegoś uwolnić!
Dla was coś zrobić! Krzyczałby:
„Marsz do piekła płonąć wiecznie,
Bo nie jesteście moimi uczniami.
Jesteście uczniami, jesteście niewolnikami
Rzymian, morderców, robicie z nich swych panów”
Jak Juliusza Cezara, który kochał
Mężczyzn tylko – to wasz wzór
Drwicie z człeka spokojnego,
A czcicie wojownika dzikiego
Drzecie się między sobą jak koty.
Krew jak woda leje się i płynie...
Kraje, ludzi milionami
Unicestwiacie i pustoszycie.
Jak długo jeszcze? Katarzyna
Napada Polskę, kraj rozdziera,
Gdyż Fryderyk Wielki morderca
Tak tej dziwce polecił.
To mu się spodobało... Więc ich naśladuje
Józef, zdaje się, już nasycony.
Lecz Cesarzowi rabunek i krew
Smakują jak miód, wino.

Więc malutką Serbię napada
Austria, bo tak chce Rus,
Wielki mops. Bo tak mu każe
Stalowy tyran Prus
Potem Francja, Anglia, a za nimi też
Ameryka wkręciła się
W taniec bestii.
Rozszedł się wtedy wokoło,
Zapach świeżego ludzkiego mięsa,
Z wielu dziesiątek milionów istnień,
I wszystkie dzikie bestie
Tego świata zapragnęły
Nażreć się i zdechnąć...
Od mórz ciepłej krwi i pary
Zasnuło się niebo głęboką ciemnością.
Okrzyknięto to estetycznie: „Walka!”
A ja to nazywam po prostu morderstwem.
Powiedziałbym: to przez was, mordercy,
Ale się boję, bo macie miecze,
Moglibyście mnie zabić –
Mieczami, wy ludzie śmierci...
Jeden lud przeciw innym podburzacie,
Mową swą szczujecie... O, nie jesteście wcale
Chrześcijanami, służycie tylko bożkom.
Chęłpicie się: narody wyzwalcie
Nie, to nieludzkie, dzikie bestie
Z klątek uwalniacie, przy nich
Dzikie zwierzęta to baranki łagodne.
Ledwo się tacy Węgrzy,
Z austriackiego jarzma uwolnili,
Od razu mordują Żydów.
Aż do nieba krzyczy ich krew.
I mówi każdy dziki Hun:
„Żyd to grzeszny Béla Kun!”⁵
Skoro uśmiercacie tysiące
Pobożnych Żydów, a żal wam jest koguta zarznąć?
Jeżeli nie będzie świeży
To niespodziewanie
Znajdzie się
tysiące nowych?

⁵ Béla Kun (1886–1938) – węgierski komunista pochodzenia żydowskiego.

O wy dzicy,
Przekłęci mordercy, Hunowie.
Wy barbarzyńscy Madziarzy,
Bracia ustaszy i czetników, Demony z Tiszaeszlár!⁶
Drżą wszystkie me członki,
Gdy wspominam wasze dzieła...
Dbacie tylko o swoje podwórko,
Okrutna wasza większość,
Ach, możecie iść do diabła...
Czy możecie być niepodlegli,
Gdy własnej żądy mordu?
Poskromić nie umiecie i nie chcecie!
O wy dzikie, przeklęte hordy...
Gorsze są tylko od was
Ukraińskie lumpy, niewolnicy
Tatarów, Polski, Rosji.
Nie dość, że Bóg stworzył
Tygrysy, węże, wściekle diabły,
Choroby, cholerę, plagi egipskie,
To również te obrzydliwe kreatury,
Nieludzkich hajdamaków!
Setki tysięcy biednych,
Niewinnych, świętych Żydów
Mordują, choć niedawno
Żyli z nimi w pokoju.
Tysiące żydowskich córek,
Niewinnych jak anioły panien
Zgwałcili... Wiele niebożąt
Odchodzi od zmysłów,
Wiele się zabija, żydowscy wrogowie!
Słyszę jak pękacie ze śmiechu,
Radujecie się, błyszczycie wam oko,
Gdy dręczy się żydowskie córki.
Bójcie się demony... Kochacie przecież
Wasze córki, też wam drogie
Wasze życie... Nadejdzie czas,
Kiedy wiele demonów, potworów
Nasz silny, srogi Bóg
Naśle na was,

⁶ Miejscowość w południowo-wschodnich Węgrzech, gdzie doszło do oskarżeń o mord rytualnych.

Was też będą mordować brutalnie
I hańbić wasze kochane córki...
Pomyślcie o wielkim carze
Wielkim głupcu Mikołaju,
Judofobie... Pogromszczykach... I mordercach!
Wszystko zaplanował
I napuścił ich przeciw nam.
On też kochał, on też pragnął,
Pomyślcie, jak skończył wraz ze swą kochaną
Żoną i dziećmi – ich życie
Dostał to, na co zasłużył.
Jednak żał mi jego żony i dzieci,
Niezasłużona spadła na nich kara
Przez wielkiego głupca, wielkiego grzesznika...
Świetnie przecież wspierał Koalicję, ach zwycięzcy.

O mój wielki, straszliwy Boże!
Nie dopuść, by me usta
Na próżno przeciw Tobie mówiły.
Nie miej do mnie pretensji.
A nasze cierpienie jest ku dobru,
W co wierzę, przecież dociera do Ciebie.
Wzdycham i gorąco robi się w sercu
I czuję, jak lecą łzy...
Boję się, że Bóg zobaczy
I usłyszysz moje jęki.
Będzie śmiać się z mego płaczu,
Z naszego smutku, naszego cierpienia,
Wówczas będę mówił złe słowa
I będę rozmyślał
o tym...
O, lecz bronię się szaleńczo, bronię bez sensu.
O Boże, mój Boże, wybac mi.

Przetłóżył z jidysz Przemysław Piekarski

Na grobie króla Salomona⁷

Bitewnych pól świeżą posoką zroszony,
Do twojej dziś pukam mogiły...
Nie niosę dla ciebie ja wieńca kwietnego,
Lecz wziąłem ze sobą miecz miły.
O, święty mój dziadku, przed Tobą dziś klękam,
Na grobie twym w Jerozolimie,
Wyratuj swe wnuczę od wroga strasznego,
Co mu Mussolini na imię...

Na pamięć Twych setek świetlistych małżonek,
Na pamięć tysięcy Twych szwagrów,
Och, ocal mą biedną niewinną krainę
Od ostrych tygrysich kłów...
Och wspomnij mą babkę, tę z Saby królestwa,
jej słodkie włosy nóżeta,
Na pamięć jej – obroń mą piękną ojczyznę,
Co wojny spowiły ją pęta...

Czy w pięknej Italii już słońca zabrakło,
Oblekły się kwiaty w szarzyznę,
No, co on miał do mnie, ten rabuś przebrzydły,
Że zabrał mi moją ojczyznę?
O, święty mój dziadku, od trosk mnie uwolnij,
Powściągnij Mussoliniego potrzeby,
By z siebie już więcej nie robił idiota
I uciekł z Adis-Abeby...

Przetłóżył z jidysz Dariusz Dekiert

⁷ L. Berman (Graf Kali), *Akdumos, Jednodniówka*, Łódź, 26 V 1935, s. 1.

Józef Jaffe

Prawdopodobnie pseudonim literacki, autor niezany.

Łódzki rabin daje odczuć Poznańskiemu, jak biedota marznie⁸

Jak wiecie, rabin Łodzi reb Chaim Eliahu Majzel, wielki geniusz, był wielkim filantropem i sam zbierał pieniądze wśród łódzkich bogaczy dla biedoty. Pewnego razu, w środku zimy, gdy mrozy trzymały od kilku tygodni, a wiadomo, że biedacy bardziej wtedy cierpieli niż bogacze, łódzki rabin wziął na siebie misję zebrania funduszy na węgiel dla potrzebujących. Opowiada się, że wybrał się w tym celu do Izraela Kalmanowicza Poznańskiego. Poznański wyszedł mu naprzeciw, powitał go w korytarzu i zaprosił do swego gabinetu. Rabin grzecznie odpowiedział pozdrowieniem, jednak nie wchodził dalej, tylko rozpoczął rozmowę na temat różnych miejskich wydarzeń. Poznański, lekko ubrany, marznąc w korytarzu, poprosił rabina, aby ten wszedł do izby, bo w przeciwnym razie się przeziębi.

– Przypomniałem sobie właśnie, po co przyszedłem – powiedział rabin, nadal nie wchodząc do środka – Wiadomo, że mamy bardzo ciężką zimą, a biedacy cierpią z powodu zimna jeszcze bardziej, więc przyszedłem do Pana po datek na zakup węgla dla nich.

Poznański natychmiast wyłożył wielką sumę.

– Teraz mogę już wejść do środka – powiedział rabin i obydwaj weszli. Przemysławiec natychmiast podbiegł do pieca i zapytał rabina, dlaczego nie chciał wcześniej wejść do izby.

– Mogę to Panu powiedzieć – rozpoczął cadyk reb Chaim Eliahu, niech jego pamięć będzie błogosławiona – mówi się, że syty nie zrozumie głodnego. Chciałem, postawić przez chwilę Pana w sytuacji biedaków, aby poczuł Pan, jak cierpią z zimna nasi ubodzy bracia. Czy gdybyśmy siedzieli w ciepłej izbie, to zrozumiałby Pan ich cierpienie?

Przełożyła z jidysz Joanna Matyjasek

Josele znajdzie nawet w szafie...⁹

Josele posługacz był mężczyzną 75-letnim, sprytu miał więcej, niż niejeden młody. Gdy trzeba było udzielić komuś napomnienia, wzywano właśnie jego. Gdy należało zebrać pieniądze, by wspomóc kogoś potrzebującego, nikt nie

⁸ J. Jaffe, *Der lodzer raw git cufilen Poznanskin, wi azoj di orime lajt weren gefrojren* [Łódzki rabin daje odczuć Poznańskiemu, jak biedota marznie] [w:] *Di chochme*, t. 3, Łódź 1932, s. 83–84.

⁹ J. Jaffe, *Josele treft in szrank arajn ojch...* [Josele znajdzie nawet w szafie...] [w:] *Di chochme...*, s. 67–68.

był przydatniejszy niż nasz reb Josele. Zdarzyło się to pewnego razu, gdy wraz z rzezakiem prowadził zbiórkę funduszy dla szanowanego człowieka, którego dopadł zły los, i mieli już wcale niezłą sumkę.

Dostawszy się do domu wielkiego i słynącego ze skąpstwa bogacza, Josele zauważył przez okno, jak gospodarz wpełza do szafy, by się przed nimi ukryć. Nie dając nic poznać po sobie, otwiera drzwi.

– Dzień dobry!

– Dobrego roku – odpowiada żona bogacza, błędąc jak ściana, jakby zobaczyła Anioła Śmierci. Co Was sprowadza?

– Mamy pilną sprawę do gospodarza.

– A to szkoda – rzecze kobieta – mąż właśnie wyszedł.

– A kiedy wróci?

– Och! Nie tak prędko.

– No, to trudno – szojchet na to – Chodźmy, reb Josele.

– Ach proszę, usiądźmy na trochę. Osłabłem już z sił. Cały dzień na nogach.

– Dobrze, na chwilkę – zgadza się miejski rzezak.

A Josele, przyciągając krzesło i prosząc go, by usiadł, rzecze:

– Zdejmijmy palta, byśmy się, broń Boże, nie przegrzali.

I nie pytając się, bierze kapotę rzezaka i kieruje się do szafy, by ją tam powiesić. Otwiera drzwi i kogoż widzi? – Bogacza.

– Pokój z Wami, dzień dobry, co za spotkanie – pozdrawia go Josele, a on zmieszany rzecze:

– Dobrego roku! Dobrego dnia! Dziękuję Ci, reb Josele. Bardzo dziękuję. Zawieszałem właśnie palto, jak drzwi się zatrasnęły, i nijak nie mogłem wyjść.

– A to nowina – rzecze na to Josele. – Nie jesteś jedynym, któremu to się przydarzyło. Ze starym Rotszyldem była taka sama historia.

– Co was sprowadza? Siądźcie proszę – odezwał się bogacz trochę pewniej.

– Pewien szacowny człowiek za tydzień wyprawia wesele, a nie ma grosza przy duszy. Przyszliśmy więc do Ciebie, żebyś mógł mieć swój udział w spełnieniu tego pobożnego uczynku.

– Jak wielki mianowicie?

– Dwadzieścia pięć, czyż może być mniej na spełnienie tak wielkiej micwy?

– No tak, ale teraz czasy są trudne. Na, bierz 10 rubli, i niech im się wiedzie.

– Dobrego dnia – odpowiedział reb Josele – Jeśli jeszcze kiedyś zatrasniesz się w szafie, pamiętaj, że Josele tam cię znajdzie.

Przełożyła z jidysz Joanna Matyjasek

Między dwoma batlonami¹⁰

Bohaterowie, czy raczej batloni naszego opowiadania, nazywają się Fajtel i Trajtel. Zasiedli sobie dwaj przyjaciele Fajtel i Trajtel w besmedreszu i pilnie studiowali Torę. Działo się to w zimie. Było już co prawda po święcie Purim, ale sroga zima nadal trwała. Musiało to dziać się ze trzy lata temu. Wszyscy pamiętają tamtą surową zimę! Każdemu porządnie dała w kość. Wydaje mi się, że nikt jej jeszcze nie zdążył zapomnieć, i cóż z tego?

Myśli Fajtla nagle oderwały się od Gemary, którą studiował wraz z Trajtem, i powędrowały w innym kierunku – tym, który zajmował każdego, czyli w kierunku zimy. Te nowe rozmyślenia zajęły go do tego stopnia, że koniec końców musiał podzielić się nimi ze swym kompanem Trajtem:

– Trajtlu, słuchasz? Chcę ci coś powiedzieć.

– Co chcesz mi powiedzieć, drogi przyjacielu Fajtlu?

– Posłuchaj, Trajtlu! Spójrz no za okno, jak świeci słońce, czysta przyjemność patrzeć!

– Czemuż aż tak zajmuje cię to słońce?

– Czy nie rozumiesz? Słońce co dzień wznosi się wyżej i wyżej, dni są coraz dłuższe i rzecz jasna, możemy mieć nadzieję, że jeszcze trochę, a zima w końcu da za wygraną i wszyscy odżyją! Nowa skóra odrośnie po ciężkich mękach spowodowanych przez mrozy i straszny ziąb wdzierający się w człowiecze ciało, tak jak zablizniają się rany, gdyż słońce, które rozjaśnia i ogrzewa cały świat, przegoni zimę tam, skąd przyszła, aż do dalekich krain północy, czy też, jak je zwą niektórzy, na biegun północny, a my będziemy rozkoszować się latem.

Poza tym wiesz, że dziś jest przecież wtorek, a wtorek jest dniem szczęśliwym, ponieważ w trzeci dzień stworzenia dwa razy padają słowa *ki tojw*¹¹, po raz pierwszy, gdy Bóg rozkazał wodom zebrać się w jednym miejscu i lądowi oraz powierzchni ziemi się uformować. Było to doprawdy niezmiernie szczęśliwe wydarzenie, podobnie jak wiemy, że gdy Kolumb ujrzał ląd, po swych długich morskich podróżach, jego radość była wielka. Drugi raz *ki tojw* pada we wtorek, gdy stworzone zostały wszystkie trawy i drzewa, na których rosną przeróżne owoce, które spożywamy.

I skoro tylko słońce pokazało się w taki radosny, szczęśliwy dzień jak wtorek, to będzie się dzielnie trzymać, przeciwstawi się złej, wstrętnej zimie. Ta przestanie królować i otrzyma wyrok wygnania do dalekich zimnych krain na całe osiem miesięcy. Tym razem wyrok będzie okrutniejszy niż zwykle; co roku zima dostaje

¹⁰ Anonim, *Cwyszen cwej Batlonym* [Między dwoma batlonami], Łódź 1932.

¹¹ *Ki tojw* (hebr.) – że było dobre. Rdz. 1.

wyrok wygnania na jedynie sześć miesięcy, ale w tym roku będzie wygnana na dodatkowe dwa miesiące, gdyż pozwoliła sobie na zbyt wiele chucpy. Dokuczyła wszystkim, nie uszanowała ani starych, ani młodych, strzelała prosto w twarz. Wystarczająco już nagrzeszyła. A jak się już popełni takie wykroczenie, trzeba się po ludzku liczyć z tym, że nie wolno robić tego, co się komu żywnie podoba. Ludzie nie pozwolą się ogłupić. Rozumiesz już teraz?

– Owszem, przyjacielu Trajtlu, tak jest!

– Moim zdaniem – odezwał się znów Trajtel, który siedział cicho i słuchał fantazji przyjaciela Fajtla – jeszcze za wcześnie na świętowanie, powoli, niech ci nie będzie tak spieszo, trzeba czasu i cierpliwości. Wybiję ci z głowy twoje fantazje i obsesje.

– Jak to? – spytał Fajtel. – Jakim cudem zdołasz zbić moje przekonujące argumenty, moje dowody, które są tak wyraziste, że nawet ślepy mógłby je wyczuć pod palcami? Mówże, niech no posłucham.

– Trochę cierpliwości, Fajtlu, odpowiem ci na twoje argumenty po bożemu, w odpowiednim porządku, na pierwszy argument na początku, na ostatni na końcu: Najpierw powiedziałeś, że pokazało się słońce i że co dzień wznosi się ono wyżej. Samo to ma być dowodem, że od dziś słońce zdobędzie panowanie i że zima zmuszona będzie poddać się, zrezygnować z upartej walki i wreszcie skapitulować. Naprawdę tak uważasz? Nie, przyjacielu! Niekoniecznie, wręcz przeciwnie. Zdrowy rozsądek mówi, że będzie odwrotnie!

– Cóż to znaczy? – odezwał się Fajtel.

– Pytasz coś to znaczy? Powiem ci, tylko bądź cierpliwy. Prawda to, że promienie słońca, które na nas padają, nieco wzmocniły się i ociepliły, ale jeśli uważasz, że zima tego nie widzi albo że udaje, że tego nie widzi, bo jest bezsilna, to robisz wielki błąd! Zerknij no jeszcze przez okno, na zachód, to zobaczysz, że nadchodzą takie grube, obrzydliwe, czarne chmury, że zasłonią całe słońce. Do tego, jak zwykle, dochodzi wiatr z północy, który przywieje śnieg i ziab z miejsc, w których zima króluje cały rok. Z nich wytoczy do nas zima swoje zmobilizowane oddziały mrozu, śnieg i ziab, a słońce będzie musiało się schować, ażeby samo nie zamarzło i żeby zima nie przejęła całkowitej kontroli nie tylko nad nocą, ale i nad dniem.

Jest też taka możliwość, że zima będzie się jeszcze przeciągać, aż po Pejsach, a nawet Szwues, jak to opowiadają starsi ludzie, że niegdyś tak bywało. Może tak się przydarzyć i w tym roku, gdyż, jak wiesz, jeśli kapota jest uszyta z silnego materiału, to długo potrwa, zanim się rozleci. Tak też może być z zimą; silniejsza zima potrwa dłużej niż słabsza.

Idźmy dalej; powiadasz, że wtorek to dzień szczęśliwy i skoro tylko słońce wyjrzało w tak szczęśliwym dniu, to już tu zostanie i ukaże swą moc. Zbadajmy więc, czemu wtorek jest dniem szczęśliwym. W naszej świętej Torze dwa razy stoi

ki toju, tak się mówi, i owszem. Tak mówią ludzie i ludzie się myślą. Tak mówią, ale nie wiedzą, o czym mówią, podobnie jak gramofon nie wie, jakie wydaje z siebie dźwięki, po prostu powtarzając, co mu się podyktuje. Sam z siebie nie rozumie niczego, podobnie ludzie. Ktoś mówi, a on powtarza. Powinno to zostać między nami, bo ludzie mogliby się poobrazić. Czy powinni kiedyś zrozumieć, co powtarzają? Czy mają rację, czy też nie? Ludzie mówią i mówić będą. Spieszmy się do tego, są w to mówienie bardzo zaangażowani, cha, cha! Zawsze znajdują czas, żeby obgadać jeden drugiego, są o sobie nawzajem zazdrośni, nie zdając sobie przy tym sprawy, że nie widzą świata i sami nie rozumieją, o czym mówią...

– Dokądś ty zaszedł myślami? Przecież wcale nie prawisz na temat słońca, lata i zimy.

– Tak ci się tylko wydaje. Sza! Wyprowadzę cię na właściwą drogę, ukazując ci, że wtorek wcale nie jest szczęśliwym dniem... – Oj, przecież jest napisane dwukrotnie *ki toju*... – Owszem, to prawda, że dwukrotne *ki toju* ma znaczenie, lecz zbadajmy jeszcze, co zostało stworzone we wtorek z dwukrotnym *ki toju*. Stworzone przecież zostały drzewa, w tym drzewa owocowe i drzewo poznania dobra i zła, z którego pierwszy człowiek Adam zjadł owoc, co było wielką hańbą. Zjadł, gdyż jego żona Ewa dała mu go do zjedzenia. Ją z kolei podstępnie namówił do tego uczynku wąż – prowokator, a co z tego wynikło dalej, to już wiesz całkiem dobrze: cała ludzkość została z tego powodu potępiona. Jakże zatem możesz dziś twierdzić, że wtorek to szczęśliwy dzień, skoro w tym samym dniu stworzono to, z czego wzięła początek klątwa na całą ludzkość? Widzisz zatem, że twój pogląd jest błędny...

A nawet gdybyś się nie mylił, gdyby wtorek zaiste był szczęśliwym dniem, i tak to, że słońce pojawiło się we wtorek nie jest wystarczającym powodem do radości.

– Czemuż to nie?

– Ponieważ kto wie, czy dziś faktycznie jest wtorek...

– Co ty mówisz? Jeśli dziś nie jest wtorek, to może mamy już szabas? Musisz być wariatem.

– Bogu dzięki, nie jestem żadnym wariatem ani szaleńcem. Wiem, o czym mówię. Czy rozumiesz, że zgodnie z kontrowersyjną lekcją Raw Huna¹² i Hija Bar Aba¹³, Żydzi udali się w daleką podróż na pustynię i znacznie oddalili się od innych osad i innych ludzi. Zatracili przy tym poczucie czasu i w rezultacie przestali rachować tygodnie. Nie wiedzieli nawet, kiedy przypada szabas. Hija Bar Raw powiedział, że niedługo trzeba będzie uczcić szabas i wypocząć. Jak tylko Żydom przypomniało się o szabasie, Raw Huna zaprotestował. Stwierdził,

¹² Huna (ok. 216 n.e. w Drukeret k. Sury – 297 n.e.) – uczony, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli swego pokolenia.

¹³ Hija Bar Aba (ok. 180 – ok. 230 r. n.e.) – uczony, autorytet rabiniczny.

że trzeba zacząć liczyć od niedzieli, przez poniedziałek i tak dalej aż do szabasu, a dopiero potem uczcić szabas, odpocząć i nie podróżować dalej...

– I jaki z tego wniosek?

– A taki wniosek, że może się tak zdarzyć, że ludzie zapomną, gdzie są na tym świecie, a nawet jaki jest dzień tygodnia... To zdarzyło się już w czasach Raw Huna i Hija Bar Rawa, które były spokojniejsze w porównaniu z naszymi, tym bardziej że przeżyliśmy już takie ciężkie wydarzenia jak wojny, głód, pogromy, zabójstwa, pożary, ucieczki z jednego kraju do drugiego, bandytyzm czyniony wobec nas przez całe narody i przez jednostki oraz wszelkie rodzaje nieszczęść, których ogromu słowa nie są w stanie wyrazić. Przez to wszystko człowiek chodzi jak otumaniony i jak długo będzie przeklęty Haman i błogosławionym Mordechaj¹⁴, tak długo nie będzie wiedział, który jest dzień tygodnia, wtorek, czwartek, czy może nawet niedziela... No! Co ty na to? Milczysz, bo nie wiesz, jak zareagować na moje genialne przemyślenia i logiczne dowody. Poza tym, jeśli nie masz nic więcej do powiedzenia na ten temat... to wróćmy do studiowania Gemary. Teraz przecież widzisz, że twoje fantazje i filozofowanie nie mogą się równać z moimi błyskotliwymi przemyśleniami. Moim celem nie jest się chwalać, gdyż nie leży to w mojej naturze. To nie samochwalstwo, lecz moje imię jest przyczyną (*nomen omen*). Mam na imię Trajtel. Oznacza to iskrę, płomień, małą cząstkę anioła, którego zwą Tariel. Jest on wspomniany przy dęciu w szofar na Nowy Rok. Dzięki mojemu imieniu mam takie niebiańskie myśli. Gdy zaraz niedługo po moim urodzeniu, przy akcie obrzezania, nadano mi imię Trajtel, było już wiadomo, że moim przeznaczeniem jest mieć oświecone przemyślenia na wyjątkowo wysokim poziomie, lecz nigdy się tym nie chwaliłem, gdyż to nie w moim stylu. Imię Fajtel natomiast znaczy coś zupełnie przeciwnego niż duchowość: prozaiczne, brudne interesy, takie jak bicie się, piłka nożna, boks, mecze, przeróżne sporty i tak dalej... Dlatego też jest w tobie element cielesności i materializmu.

– Przyjacielu Trajtle, opowiedz mi jakąś wesołą historię, bo zrujnowałeś moją fantazję o miłym gościu – lecie. Zgodnie z twoim wywodem, zima ma się ciągnąć jeszcze długo, więc zrobiło mi się smutno na duszy. Chciałbym, żebyś mnie pocieszył czymś radosnym, abyśmy zapomnieli o mrozie.

– Tak, masz rację, drogi przyjacielu. Sza! Ucisz się! Właśnie mi się przypomniało, że byłem na weselu u bogaczy, gdzie zatrudniono słynnego badchana, lub, jak go niektórzy nazywają, marszałnika. Doskonale zabawiał gości weselnych, państwa młodych i ich rodziców swoimi humorystycznymi rymami, wierszykami i satyrkami, a poza tym pięknie śpiewał. Niestety, ze śpiewania muszę zrezygnować, gdyż, jak dobrze wiesz, mój głos nie nadaje się do tego, ale mogę podzielić się z tobą słowami, choć może nie wszystkimi. Kto potrafi pamiętać wszystkie słowa.

¹⁴ Postacie z księgi Estery. Jednym z zaleceń na święto Purim jest upicie się na tyle, by nie móc odróżnić słów „niech będzie przeklęty Haman” od „Niech będzie błogosławionym Mordechaj”.

Mówił szybko, a poza tym siedziałem daleko od niego i moje uszy nie wyłapały wszystkiego. Nie jestem też stenografem, abym mógł zdać idealne sprawozdanie... Tak czy siak, to, co słyszałem, teraz ci opowiem. Oto słowa, które śpiewał badchan:

Rzadko się spotyka:
Klezmera, co o instrument nie prosi,
Dandysa, co okularów nie nosi,
Piekarnię bez chleba
Handlarza, co uważa, że towarów fałszować nie trzeba.
Co jest prawdziwą rzadkością:
Inkasenci bez chleba,
Człowiek, któremu pieniędzy nie trzeba,
Rzeka, co źródła nie ma,
Pociąg, do którego wejść się nie da,
Słowik, co śpiewać nie zaczyna,
Niepodobająca się śliczna dziewczyna,
Czy też gala, co serca nie wyzwala.

Potem mówił i do tego śpiewał:
To wręcz niemożliwe,
Kahał, co wyborów nie lubi,
Kandydat, co się nie chlubi,
Bez muszli trąba,
Bez trąbienia wojna.

Dalej mówił, że zupełnie niemożliwymi są:
Lekarz bez pacjentów,
Apteka bez klientów,
Wyszynki bez patentów
I śpiewanie bez agentów.

Niemożliwe są również:
Kramarz bez długów,
Młynarz bez mącznych wyrobów,
Zima bez białych śniegów.

Niemożliwe są też:
Bez dachu chata,
bez strzechy suka,
Ogród bez ciecica,
Handlarz bez bankructwa.

I jeśli zechcecie, niemożliwe są także:
W teatrze komedia bez śmiechu,
I szachista bez szachu.
Niemożliwym jest też:
Lekarz bez diagnozy,
Palacz bez rozedmy,
Pole bez trawy,
I las bez zajęcy.

Do rzadkości należą też:
Bez rogów zwierz,
Bez ziaren perz,
Las bez cierni,
Pole bez kamieni
I ciało bez kości.

Bardzo rzadkie są również:
Kotlet bezmięsny,
Atleta anemiczny,
Granie bez przegrywania,
Choroba bez leżenia,
Rachunek, co rozkosz przywodzi,
Bejs din, co nie rozwodzi,
Rzadko spotykane są także:
Bez pielęgniarzki mężczyzna,
Dama wielka i wstrętna,
Bez numeru kolejka.

Na to odzywa się Fajtel: Owszem, to prawda, te wszystkie rzeczy są bardzo rzadkie lub zupełnie niemożliwe... Ale co jest możliwe?

– Masz rację. Przypomniało mi się, że wymienił też, co jest możliwe:

Całkiem możliwe są:
Bank bez grosza,
Chłop bez pola,
Naród bez zucha,
I kraj bez zimna.
Istnieją również:
Hotel bez kompletu,
Pan młody bez utrzymania,
Garnitur bez krawatu,

I Włochy bez mrozu.

– Widzisz, już tak długo rozprawiałem z tobą o różnych rzeczach i do tej pory wszystko szło dobrze, bez wspomniania zimna i mrozu. To czego jeszcze ode mnie chcesz? Teraz jest ci już wesoło, he?

– Ślicznie ci dziękuję, troszeczkę mnie rozweseliłeś swoimi rymami (a raczej rymami marszałika), wprowadziłeś mnie w przyjemne usposobienie. Wydaje mi się teraz, że jestem razem z tobą na weselu i słucham, jak badchan wyśpiewuje sobie swoje rymy i wierszyki, jak klezmer gra do taktu i wydaje mi się, że widzę jasno oświetloną salę, aż światła rażą w oczy. Widzę też wyelegantowanych pięknych panów i damy i udziela mi się ich radosny nastrój.

– Wiesz, Trajtlu, że to wszystko jest dobre i w porządku, ale zapomniałeś przecież, że siedzimy w besmedreszu. To nie jest żadna zwykła izba, a my się do tego stopnia rozgadaliśmy, że rozprawialiśmy o wszystkim, co tylko przyszło nam na myśl, nie licząc się z tym, że jesteśmy w świętym miejscu, w którym powinniśmy drzeć przed tą świętością i ją czcić.

– Czegóż zatem chcesz ode mnie, czym ja ci zawiniłem? Co masz na myśli tak mówiąc?

– Uważam, że powinniśmy jakoś naprawić błąd, ponieważ zgrzeszyliśmy przeciwko temu świętemu miejscu.

– Jak według ciebie powinniśmy naprawić ten błąd?

– Myślę, że powinieneś powiedzieć coś dobrego, by Bóg i ludzie się radowali. Jest z ciebie w końcu mądra głowa, skoro mówisz, że Trajtel ma w sobie coś wspólnego z aniołem Tariem, którego imię wspomina się przy dęciu w szofar na Nowy Rok. Powiedz coś niespodzianego, co zdobędzie posłuch, „Wielki szofar rozbrzmi”. Powinieneś zostać wysłuchany, zupełnie jak wielki szofar. Powiedz ustęp z dzisiejszej modlitwy, z parazy *Nicawim*¹⁵, którą będzie się czytało w następny Szabas, może nawet własny ustęp, a nie jakiś zużyty, który znajduje się byle gdzie. W końcu co to za sztuka powtarzać za kimś innym jak mięso i ryby. Och, popełniłem błąd, jak ciało i krew (jak każdy człowiek). Nie powinieneś też tego przeciągać: raz dwa, bo jest już późno, wkrótce zamkną bramę i będziemy musieć stać na mrozie, marznąć i czekać, aż wartownik znów nam otworzy.

– Patrzenie państwo, czegóż to on ode mnie nie oczekuje! Ma wypunktowane wymagania, niczym przy zakładaniu dużego interesu! I znów zapomniałeś, gdzie jest twoje miejsce na tym świecie. Masz jeszcze czelność prosić, abym ci czytał z parazy *Nicawim*, i to przed nadejściem właściwego tygodnia?

– Nie myśl, że nie wiem, o czym mówię. Dziś jest rzeczywiście za wcześnie, lecz skoro nazywałeś się Trajtel – Tariel, co to ma za znaczenie, czy zadmiesz w szofar na Nowy Rok, czy przed Nowym Rokiem. Parasza *Nicawim* jest przecież czytana

¹⁵ Pwt 29, 9 – 30, 20.

i przed Nowym Rokiem. Jak chcesz, to powiedz ustęp z *Nicawim*, ale coś rzecz trzeba!

– No dobrze, tylko mnie nie goń i nie popędzaj, bo nie jestem żadnym tandetnikiem, który robi coś, co się nie nada. Musisz mi pozwolić mówić powoli, wtedy dobrze to pójdzie i – rzecz jasna – będziesz się rozkoszować moją mową i na zawsze zapamiętasz to wydarzenie. Nawet jeśli tak się zdarzy, że trochę poczekasz przy bramie, jest to cena warta zapłaty...

„Stoicie dziś wszyscy przed obliczem ich Boga, gromadzą się, by go wysłuchać, wszyscy bez wyjątku, nawet największe osobistości, takie jak: przewodniczący wspólnoty, plemiona, starsi i oficerzy, nie tylko zwierzchnicy i urzędnicy, ale cały naród Izraela, Żydzi dnia codziennego, włączając kobiety, małe dzieci, a nawet obcych, którzy zamieszkują lokalną społeczność. Jeszcze lepiej: nie może zabraknąć nawet tych, którzy bardzo ciężko pracują i wykonują najbardziej uciążliwe prace, tak jak drwali czy tych, co czerpią wodę. Wszyscy muszą zawrzeć z Bogiem pakt, zgodnie z którym mają nakaz czynienia dobrych uczynków, aby żyło się im dobrze i aby, broń Panie Boże, nie spotkała ich kara, jaką zapowiedziano w poprzedniej parszy *Ki Tawo*. Zapytał się pewien znajomy, czemu w wersji o drwalu jest napisane: „Do tego, który wodę czerpie”¹⁶, co w naszym świętym języku znaczy, że jest ogromna różnica między drwalem a tym, co czerpie wodę. W zasadzie czemu drwal ma stać na wyższym poziomie niż ten, co czerpie wodę skoro obaj są biednymi robotnikami i mają ciężką oraz nędną pracę? Na przykład, w parasz *Bo* jest napisane „Od pierworodnego syna faraona, który siedzi na swym tronie, aż do pierworodnego tego, który był zamknięty w więzieniu”¹⁷, co oznacza, że na ziemi są różni ludzie; od największego do najmniejszego, ale tu wszyscy są równi. Inny przykład: „Od cedrów na Libanie aż do hizopu rosnącego na murze”¹⁸, wiadomo przecież, że jest kolosalna różnica między największym drzewem cedrowym w Libanie i zielskiem, która wyrasta gdzieś spod ściany, ale tu jedno nie jest ważniejsze od drugiego. Zważ, że król Salomon rządził od Tasfy (na wschodzie) do Gazy (na zachodzie) oraz od Dan do Berszeby. Lub u Achaszwerosza przyprowadza się króla panującego od Indii na krańcu Azji, po Kusz na krańcu Afryki. Można również podać wiele przykładów w Torze, lecz po co? Myślę, że powinny wystarczyć powyższe cztery przykłady.

– Nu, i cóż żeś mu odpowiedział na tak trudne pytanie?

– Nie tłumaczyłem zbyt długo. Nie minęło pięć minut i dałem mu do zrozumienia treść wersu. Przedstawiłem mu tak dokładny obraz, jak gdyby on sam tam był i widział go na własne oczy. Trzeba wiedzieć, że drwal pracuje w lesie,

¹⁶ Pwt. 29, 10.

¹⁷ Wj. 12, 29.

¹⁸ 1 Krl 5, 13.

jak stoi napisane: „Poszedł z drugim do lasu ścinać drzewo”¹⁹, to oznacza, że praca drwała ma miejsce w lesie, las zaś zawsze znajduje się na wzniesieniu, podobnie jak las libański, który leży na najwyższej górze w Izraelu. Ogólnie rzecz biorąc, lasy są na wzniesieniach, szczególnie w ziemi Izraela i w sąsiednich krajach, gdyż nie sposób uprawiać ziemi na wysokich szczytach. Ciężko się na nie wdrapać, a poza tym są to tereny niedostatecznie wilgotne, a więc nienadające się pod uprawę. Na dodatek są one przeważnie kamieniste, ponieważ deszcz wypłukuje piach i zostają tam jedynie kamienie i otoczaki. Jaki jest tego efekt? Otóż taki, że góra pozostaje zdziczała, ponieważ nie uprawia się tam ziemi. Dlatego też wyrasta tam las i dlatego też słowo „las” [wald] pochodzi od słowa „dziki” [wild]. Oznacza to, że lasy znajdują się na wzniesionych częściach terenu, więc drwał pracuje na wysokościach. A gdzie i jak wysoko pracuje ten, co czerpie wodę? Znajduje on zatrudnienie na najniższych z możliwych terenach w kraju, tak jak opisuje dany wers: „Zeszła do źródła i napełniwszy swój dzban”²⁰. Widać, że w razie potrzeby rozmowy z drwalem, trzeba się wdrapać na wysokości, żeby zaś porozmawiać z tym, co czerpie wodę, należy zejść w dół, a zatem jest oczywista ogromna różnica między nimi. Z tej przyczyny wers mówi: drwał, który zasiada u góry ma zejść na dół, zawrzeć pakt i wysłuchać wszystkiego, o czym była mowa, a ten, co czerpie wodę i pracuje w najgłębszych dolinach, przy studniach – nikogo nie powinno zabraknąć, każdy ma przyjść i wysłuchać Mojsze Rabejnu. Wszyscy powinni wiedzieć o łaskach Pana, cały naród ma trwać w jedności, nie zaniedbywać ani nie zapominać o interesach kraju i zgodnie przeciwstawić się wrogowi.

– No i jak tamten zareagował na Twoją odpowiedź?

– Nic nie odpowiedział, tylko wybałuszył oczy ze zdziwienia, nie mogąc uwierzyć, że otrzymał taką genialną odpowiedź i był wyraźnie zazdrosny, że tak szybko zorientowałem się w sytuacji. Jak widzisz, zdołałem sprostać twoim wypunktowanym żądaniom, a nie wybiła jeszcze jedenasta. Nie będziemy zmuszeni walić w bramę, skończyliśmy pogawędkę tak, jak należy, na temat słów Tory. Rozchodzimy się i kończymy rozmowę o Torze w zgodzie. Dobrej nocy i do zobaczenia, jutro przy nauce będzie jeszcze lepiej.

Przełożyła z jidysz Agnieszka Marchewa

¹⁹ Pwt. 19, 5.

²⁰ Rdz. 24, 16.

Bardzo piękna i pełna cudów historia o tym jak święty rabin, rebe Henich, niech pamięć sprawiedliwego będzie błogosławiona, z Aleksandrowa, wypędził z dziewczynki dwa dybuki²¹

1.

Było to pewnej niezbyt późnej nocy. W besmedreszu rebego trwała jeszcze nauka, gdyż tamtejsi chłopcy uczyli się z wielkim poświęceniem i zapałem, zaiste o nich myślał Król Salomon, pokój z nim, gdy mówił: „Mądrość woła na ulicach”²². Doprawdy, sama Szechina spoczywała wtedy na tym małym besmedreszu, można to było jasno dostrzec gołym okiem. Część starszych chasydów kręciła się po długiej izbie w besmedreszu odpoczywając nieco po nauce, którą do tej pory zajmowali swe umysły. Do tej chwili uczyli się z wytężoną uwagą, męcząc się nad trudnymi fragmentami Talmudu, lecz teraz zaczęli swe pobożne rozmowy, odpoczywając nieco od niezwykle trudnych tematów, którymi byli zajęci do tej pory. Rozmowa przeciągała się i tak, skacząc z tematu na temat, zaczęli omawiać trudności w zrozumieniu słów Tory, które rebe, oby żył przez długie dni, amen, przekazał swym chasydom przy stole szabasowym i jeden drugiemu objaśniali teraz, co też rebe, oby żył przez długie dni, amen, miał tamtego szabasu na myśli. Kręcili się tak zatopieni w myślach, gdy nagle przyszedł szames (a zwali go reb Icchok Efraim) i poprosił, by do pokoju, w którym odpoczywał rebe, przyszło dziesięciu chasydów.

W pokoju siedział siwiuteńki rebe i wyglądał zupełnie jak anioł Boży o surowym obliczu. Jego jasna twarz płonęła, a jej zatroskany wyraz wyraźnie mówił, że stało się coś niezwykłego, coś bardzo strasznego.

– Icchok Efraim – polecił rebe – idź i przyprowadź mi tę kobietę i dziewczynkę.

Szames reb Icchok Efraim poszedł do izby rebecyn, lecz po kilku minutach wrócił i powiedział:

– Dybuk się uparł i nie chce wejść do rebego, to go pali, to go boli, rzuca dziewczynką i nie chce iść do rebego; pytam więc: co mam począć?

– Idź tam – ponownie polecił mu rebe – i wrzśnij jej do ucha, że rebe Henich polecił, by tu przyszła.

Szames spełnił wolę rebego, znów poszedł do izby rebecyn i wrzasnął dziewczynce w ucho, że rebe Henich polecił, by natychmiast do niego przyszła.

²¹ Anonim, *A zehr szene wunderliche geschichte fun hajligen rabi Henich ze"l me-Aleksander arojsgetriben cwej dibukim fun a mejdel* [Bardzo piękna i pełna cudów historia o tym, jak święty rabin, rebe Henich, niech pamięć sprawiedliwego będzie błogosławiona, z Aleksandrowa, wypędził z dziewczynki dwa dybuki], Łódź 1926.

²² Prz. 1, 20.

Dziewczynka nagle jakby oszalała, wykrzywiła twarz, rzuciła się na ziemię i zaczęła machać rękami, kopać nogami oraz uderzyła w gorzki płacz i lament.

– Zróbcie ze mną co chcecie, tylko nie prowadźcie mnie do rebego, pali mnie, boli mnie, ja nie chcę iść do rebego.

Szames powrócił więc znów do rebego i opowiedział mu, co wyprawia się w izbie rebecyn.

– Idź i zawołaj trzech Żydów, byle silnych, rozumnych i o mocnych umysłach, niech przyniosą dziewczynkę do mego pokoju wbrew jej woli, nie mogą myśleć o niczym, tylko czynić swą powinność, a ich trud ma zostać wynagrodzony, przedtem jednak postaraj się go uspokoić i powiedz mu, że lepiej, by przyszedł z własnej woli, poleć mu to po raz trzeci – powiedział rebe.

– Bardzo dobrze – powiedział szames i poszedł do izby rebecyn, po której dybuk miotał straszliwie biedną dziewczynką.

Szames znów krzyknął dziewczynce do ucha, że rebe Henich polecił, by do niego przysła.

– Zróbcie ze mną co chcecie, tylko nie prowadźcie mnie do rebego, odezwał się ponownie głos z dziewczynki, która znów rzuciła się na ziemię i zaczęła machać rękami i wierzcąc nogami, turlać się i kopać, aż ludzi będących w izbie ogarnął strach, wielu aż łzy ciekły po policzkach z litości nad strasznym tym zdarzeniem.

Szames wyszedł i wrócił z trzema tragarzami, Żydami, na których można było polegać, że wypełnią powierzone im zadanie. Powiedział tragarzom, co mają robić, a oni zabrali się do roboty.

2.

Gdyby tylko można było okiem ludzkim wejrzeć w boskie plany i w sposób, w jaki prowadzi on ten świat, jak idealnie odmierza szanse, jak kręcą się trybiki napędzane boskim kołem zamachowym; jednakże krótkowzroczni wzrok mają słaby, co niewątpliwie jest skutkiem ich wielkich grzechów, które sprawiają, że nie rozumieją biegu świata ani jego założeń; gdy On, Pan Wszechświata, postanowi kogoś ukarać, karze takiego biedaka w miłosierdziu swym na różne sposoby, a gdy kogoś zapragnie szczęściem obdarzyć, także szczęście w miłosierdziu swym na różne sposoby mu objawia. Gdyby tak nie było zarówno szczęściarz, jak i biedak w takich znalazłiby się warunkach, gdzie koniec oczekiwałby ich niechybny. Świat został przecież stworzony również przez miłosierdzie, tylko dlatego może on istnieć. W ten sposób egzystuje więc ten świat i to jest wyjaśnienie cytatu „Aby świadczyć, że Pan jest sprawiedliwy, moja Skała, nie ma w Nim nieprawości”²³. Oznacza to bowiem, że Święty, niech będzie błogosławiony, jest sprawiedliwy, nawet gdy miarą surowego sądu tym światem rządzi, a jeśli nawet znajdzie się taki, którzy twierdzi, że nie (że nie jest on, Boże uchowaj, sprawiedliwy), dzieje się tak

²³ Ps. 92, 16.

tylko dlatego, że on (ten który tak twierdzi) jest pełen wad i zwyczajnie niczego nie rozumie.

Historia dziewczynki, w którą wstąpił dybuk (a w zasadzie dwa dybuki) także zasługiwała na miłosierdzie, bo wydarzyła się zwykłej ubogiej dziewczynce, którą zawieziono do reb Henicha, błogosławionej pamięci, z wielkim poświęceniem czyniącego rozmaite starania nawet dla najmniejszego Żyda, który wytężył wszystkie swe siły, by z Bożą pomocą ulżyć cierpieniom dziewczynki. Nie tylko wypędził z niej dybuki, nie tylko uwolnił ją od trosk, lecz także pomógł jej matce oraz narzeczonemu, któremu dobry charakter nie pozwolił zerwać zaręczyn, choć jego rodzice bardzo go do tego namawiali. Taką właśnie rozmowę odbyła jego matka z ojcem:

– Co powiesz, Szejwe – powiedział ojciec narzeczonego do swej żony pewnego pięknego dnia – w naszą narzeczoną, to znaczy w narzeczoną naszego syna wstąpił dybuk. Trzeba będzie jakoś zerwać te zaręczyny. Chyba tak będzie najlepiej?

– Jeszcze tego mi brakuje, by mieć synową opętaną przez dybuka – odpowiedziała żona.

– Trzeba więc spytać naszego syna – odpowiedział ojciec – to jego, biedaczynę, to nieszczęście dotknęło, zobaczymy co ma na ten temat do powiedzenia?

– Samo pytanie – odpowiedziała matka – niewiele tu da. Trzeba mu dać wyrażnie do zrozumienia, że taka narieczona to nic dobrego. A gdy z narzeczonej stanie się żoną, zwiąże się z nią już na wieki. Między nami mówiąc: co z nas za rodzice, że w ogóle na myśl nam przyszło, żeby go zapytać, czy chce? W takich przypadkach dzieci w ogóle nie pyta się o zdanie. Niech no tylko wróci do domu, zobaczysz, to dobre dziecko, na pewno nas posłucha, a wtedy pošlemy po swatową i całe zaręczyny odwołamy.

Ta rozmowa ciągnęłaby się pewnie jeszcze jakiś czas, lecz właśnie zupełnie przypadkowo przyszedł kto? Sama... swatowa. Otulona w chustę, wybuchnęła płaczem:

– Zawsze przyjaźniliście się z mym mężem, pokój z nim, tak serdecznie, że postanowiliście wyswatać dzieci, jednak spotkało nas, Boże uchovej, straszne nieszczęście, moglibyście chociaż przyjść do narzeczonej syna i westchnąć nad jej losem, obyśmy byli chronieni. Wicie przecież doskonale, że „Dobre nie trwa wiecznie, a złe nie jest na zawsze”. To się rozumie samo przez się. Jednak prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie... Oby taka bieda wszystkich złoczyńców spotkała. Ale czy nie należy mi się choć słówko pociechy? Przecież to nieszczęście dotknęło was również, nie tylko moje dziecko, powszechnie wiadomo, że dybuk wchodzi właśnie w porządne dziewczyny, pobożne dziewczyny, takie jak moje dziecko. Ale nie bójcie się, Pan Wszechświata nie opuści mojego dziecka. Wicie po co przyszedł? Prosić was, moi swatowie, byście byli tacy dobrzy i pojechali z nami do Aleksandrowa do rebego, oby żył długo, być może za jego

wstawiennictwem i przy pomocy Najwyższego moje dziecko zostanie uleczone, a troski nasze się skończą.

I narzekałyby tak pewnie jeszcze przez długi czas, gdyby nie przyszedł narzeczony mówiąc „Dobry wieczór”.

3.

Dzisiejszy świat nie ma w sobie za grosz prawości. Na każdym kroku deptane są prawda i prawa człowieka; jednakże w epoce, w której ta historia się zdarzyła, nie było pod tym względem jeszcze tak źle. Ludzkie uczucia i sumienie miały jeszcze dostęp do człowieka i jak one mu dyktowały, tak postępował. Kierowanie światem nie leżało w rękach jednostek, rękach, które działają bez oglądania się na ludzkie uczucia, nie tak jak dzisiaj, gdy nam współcześni działają na podobieństwo psiej hałastry, albowiem napisano „Psy są żarłoczne”²⁴. Zajmując się bzdurami i żądając za to wynagrodzenia jak za ciężką pracę trzeba doprawdy być nienasyconym...

W tamtych czasach, gdy mianowano gabaja, czy dozorcę bożniczego, wybierano człowieka zamożnego, kamienicznika, co Boga miał w sercu, a wtedy ich przywództwo miało sens, w tamtych czasach rabin też nie oglądał się na zarobek, a na prawość; choć i w tamtych czasach rabin pobierał pensję, to zadowalał się nią jaka by nie była. Tak też stało się z naszymi swatami, gdy przyszli do rabina, by zerwać zaręczyny z dziewczyną, w którą wstąpił dybuk. Rabin dokładnie rozpatrzył całą kwestię, drobiazgowo ją zbadał i stwierdził, że narzeczony jest człowiekiem prawym, o wiele bardziej, niż jego rodzice. Dlatego też polecił wezwać narzeczonego, choć był on jeszcze młodym chłopcem, wstydliwym i nieśmiałym. Jednak jego młode serce i rozum dyktowały mu, że nie można w ten sposób zawstydzić młodej żydowskiej dziewczyny, do tego sieroty. Oj! No rzeczywiście wszedł w nią dybuk, ale co ona biedna jest temu winna. Po prostu trzeba udać się do pobożnego Żyda, a za jego wstawiennictwem na pewno uzyskamy pomoc. I rzeczywiście tak właśnie polecił rabin, jeżeli swatowie chcą zerwać zaręczyny, niech udadzą się na cmentarz, na grób ojca narzeczonej, wezmą ze sobą minjan i proszą o przebaczenie za ten błąd i jak się wtedy w obecności tych dziesięciu Żydów postanowi, tak ma być. Rozumie się, że nie udało się zgromadzić dziesięciu Żydów do takiego przedsięwzięcia, udano się wtedy znów do rabina na dintojrę, na której rabin wraz jej krewnymi i znajomymi ustalili, że należy udać się do rabina z Aleksandrowa, który już nieraz wypędzał dybuki. Dopiero potem się zobaczy. Narzeczony był bardzo zadowolony z wyroku, a swatowie musieli się zadowolić tym, że zobaczy się, co będzie u rabina z Aleksandrowa.

Rozumie się, że rabin z tego miasteczka dał im list do rabina z Aleksandrowa, w którym drobiazgowo opisał, o co chodzi i to dlatego święty cadyk, rebe Henich z Aleksandrowa zadał sobie aż tyle trudu i użył aż tylu sił i aż trzy razy wzywał

²⁴ Iz. 56, 11.

przez swojego szamesa dybuka, by do niego przyszedł. Jednak ostatecznie, gdy nie chciał on przyjść do izby rebego, polecił szamesowi, by wezwał go po raz trzeci, by przyszedł, a gdy ten nie będzie chciał, ma przyprowadzić trzech tragarzy i siłą przynieść dziewczynkę i dybuka do izby rebego. Rozumie się, że tragarze wykonali swe zadanie w całości.

4.

Dziewczyna zaczęła się rzucać i skakać z nienaturalną siłą pod sam sufit. Tego co się tam działo, pióro nie opisze, usta nie wypowiedzą, a rozum nie obejmie. Strach, panika, które ogarnęły obecnych nie miały granic, krótko mówiąc tragarze musieli się nieźle namęczyć i napracować, by dziewczynę wnieść do izby.

Zebranych w niej ludzi strach ogarnął niezmierny, widać było, że każdy dostał gęsiej skórki i zaczął drżeć, jak podczas zimnej kąpieli w zimowy dzień, trzęśli się i szczękali zębami jak w największe mrozy i zawieruchy w miesiącu tewet. Jednak każdy szeroko otwierał oczy z ciekawości: co też dalej będzie się dziać?

W tym momencie rebe dał znak dziesięciu chasydom, a oni w jednym momencie chwycili się za dłonie, otoczyli dybuka i zaczęli za rebe powtarzać słowa pieśni *Derech nechach*. Dopiero gdy błogosławionej pamięci rebe skinął dłonią, chasydzi przestali, on zaś zwrócił się do dybuka tymi słowami:

– Ja, Henich, polecam tobie z całą surowością, byś mi powiedział, kim jesteś. I co miałeś do tej dziewczyny, że w nią wszedłeś?!

Dziewczyna nagle się uspokoiła, wstała i spokojnym, podniesionym głosem zaczęła mówić tak:

Nazywam się Izrael Rzezak, z tego i tego małego miasteczka... Byłem grzesznikiem, splamiłem mą świętą duszę, choć nie zgrzeszyłem, Boże uchowaj, w mym zawodzie, czyli w rzeźnictwie, o nie, zaprawdę zapewniam was, że starałem się wykonywać mą pracę jak umiałem najlepiej, wszystkie zarżnięte i zbadane przeze mnie zwierzęta były całkowicie koszerne, jednak wielce grzeszyłem nierządem, którym bardzo splamiłem moją duszę, więc po mojej śmierci przyszło wielu braciszków i siostrzyczek, to były te demony i szkodniki, wzięły one w obroty mą biedną duszę i zaczęły nią rzucać na wszystkie strony, tak że rozum ludzki nie jest sobie w stanie wyobrazić tych wszystkich strasznych męczarni, których od nich doświadczyłem. Błakałem się tak przez długi czas, aż pewnej nocy spotkałem tę dziewczynkę, która wyszła bez fartucha, a przez to mogłem nad nią zapanować, wszedłem w nią więc i miałem spokój od braciszków i siostrzyczek. Myślałem, że na tym moja kara się zakończy, jednak... (Przy tych słowach dybuk zapłakał straszliwie i zaczął błagać z przeraźliwym skowytom). Jeżeli, o święty rebe, wypędzicie mnie z tej ciała, błagam was: Ulitujcie się nade mną i wyznaczcie mi pokutę, bo gdzie ja się podzieję? Inaczej będę zgubiony na wieki. Poza tym, nawet

jak wyjdę z dziewczyny, to co jej to pomoże, przecież siedzi w niej jeszcze jeden dybuk, i to żeński, a moja kara polega właśnie na tym, by z nią przebywać...

Na to odezwał się do niego rebe w gorzkich słowach: Nakazuję ci, byś mi powiedział, czy pozostawiłeś kogoś, kto odmówi po tobie kadisz?

– Nie – odpowiedział dybuk – nie miałem żadnego męskiego potomka.

– No to co chcesz, bym z tobą zrobił? – zapytał go rebe przesuwając w tę i z powrotem swój spodik.

– Macie naznaczyć mi pokutę, by moja dusza w końcu zaznała spokoju, zmówcie też za mnie kadisz!

– Mam dla ciebie propozycję – zawołał do niego rebe – jeżeli wyjdiesz z dziewczyny po dobroci i nie zrobisz jej żadnej krzywdy, naznaczę ci pokutę.

– Och, jeżeli święty rebe ma dla mnie taką propozycję to oczywiście wyjdę z niej bez szkody, uczynię to z największą przyjemnością. Dokąd mam się jednak udać, żeby zaznać choć trochę spokoju?

– Trzy wiorsty za miastem jest most, pod mostem leży kamień, masz wejść od razu w ten kamień i pozostać w nim, aż nadejdzie twoja kara i pójdziesz prosto do piekła, jednak pod warunkiem, że dokładnie w tym momencie wyjdiesz z niej przez mały palec w jej lewej ręce.

– Jestem uratowany – dał się słyszeć w tym momencie jakiś głos, dziewczyna westchnęła głośno, a w oknie pękła szyba, gdy wychodził przez nie dybuk.

Rebe zamyślił się na krótką chwilę, a potem zwrócił się do drugiego dybuka:

5.

– Tobie zaś nakazuję, byś wyszedł z dziewczynki! Ja, Henich, nakazuję ci ponownie byś w tej chwili z niej wyszedł! Rzezak otrzymał pokutę, bo zdążył się nawrócić, zanim umarł, a nie ma ważniejszej rzeczy niż nawrócenie, ponieważ sprawia to, że można naznaczyć pokutę, jemu więc pokutę naznaczyłem. W tym kamieniu zazna nieco spokoju, aż jego czas nastanie i wtedy odpowie za swe przewinienia, tobie jednak nie mogę naznaczyć pokuty, dlatego też nakazuję ci, byś mi zdradził, co takiego się z tobą stało, wtedy być może uda mi się i tobie naznaczyć pokutę.

– Mnie – odpowiedział mu dybuk – wpadł w oko ten rzezak reb Izraele, bo był bardzo przystojnym mężczyzną, nie miałam jednak okazji, by go usidlić, przez długi czas szukałam sposobu, jak go dorwać, aż pewnego razu taka sposobność mi się nadarzyła, to znaczy: byłam żoną arendarza z takiej to a takiej wioski, która należała w kwestii rytualnego uboju do okręgu tegoż rzezaka. Pewnego razu mój mąż zachorował, a ja udałam się z wiejskimi produktami sama do miasta, zajechałam do niego i zamówiłam jego usługi, mówiąc, że jeżeli tylko chce, może pojechać ze mną do wioski i tam zarząć kilka cieląt. Rozumie się, że Izrael Rzezak przyszedł na umówione miejsce na czas i razem pojechaliliśmy do wioski.

Zapytał się nawet o mojego męża, ale kiedy mu powiedziałam, że mój mąż jest chory i sama muszę powozić, a ponieważ byliśmy już w lesie, ładnych kilka wiorst za miastem, to zrozumiałe jest, że Szatan dołożył wszelkich starań, by tamten z mego wozu nie uciekł. Nagle zaczęło strasznie padać, co w połączeniu z bardzo silnym wiatrem doprowadziło do tego, że przytuliliśmy się jedno do drugiego, najpierw pod parasolem, a potem już pod jedną derką, no i stało się to co się stało. Tak to właśnie zgrzeszyłam w mej duszy i zasłużyłam na to, że stałam się dybukiem. Mogłabym teraz długo opowiadać, co działo się ze mną po śmierci, lecz to niemożliwe... I w ogóle nie ma takiej potrzeby, żebyście o tym wiedzieli, bo i tak mnie to nie pomoże. Po tym, jak związałam się już z duszą rzezaka, a on wszedł w tę dziewczynkę, musiałam zrobić to samo i w ten sposób znalazłam trochę spokoju w ciele tej niewinnej dziewczynki. Rozumie się, że nie będę nikogo słuchać i nie opuszczę ciała tej pobożnej dziewczynki, w którym znalazłam trochę spokoju, chyba że rebe da mi jakąś pokutę i znajdę spokój gdzie indziej.

Rebe zamyślił się nieco i pstryknął kciukiem o palec wskazujący.

– Oj wej – powiedział – sprawa jest trudna, czy zostawiłaś jakieś dzieci, które mogą zmówić po tobie kadisz?

– Święty rebe, zostawiłam, ale czy zmówią po mnie kadisz – tego nie wiem, tego samego roku bowiem moje grzechy doprowadziły do tego, że mój mąż nie powstał już z łóżka żywy i interesy się bardzo popsuły. Moich dwóch synów dziedzic wziął na parobków, co jako matkę bardzo mnie zasmuciło, dziedzic bowiem bardzo ich męczył, umarłam więc tego samego roku. Gdyby chociaż moi synowie wiedzieli, że są Żydami i mogli zmówić kadisz za swego ojca i matkę, być może byłabym trochę spokojniejsza.

– O! – Rebe znów pstryknął palcami. – I dla ciebie znajdzie się pokuta, zasłużyłaś sobie na nią już samą myślą o nawróceniu, gdyż uświadomiłaś sobie, że to przez twoje grzechy zmarł twój mąż oraz że to twoje grzechy doprowadziły do tego, że twoje interesy szły tak źle, a twoi dwaj synowie zostali wzięci na parobków. Przez twoje grzechy nawrócenie musi być pełne, aby w ogóle można było pomóc niewinnej duszyczce, to znaczy duszy twego męża, którą twoi dwaj synowie mogą uratować i wynieść na niebiosa, z tych powodów polecam ci, byś natychmiast wyszła z tej dziewczynki, a potem powiedziała twoim dwóm synom, że razem z mężem już umarliście i żeby odmówili po was kadisz, wtedy zostaną ci odpuszczone przewiny względem twego męża. Potem masz wejść w drzewo, które stoi za besmedreszem w tym miasteczku i tam znajdziesz spokój przez 11 miesięcy, aż zakończy się odmawianie kadiszu.

– Ha! Ha! Ha! – roześmiał się cynicznie dybuk – rebe podstępem chce mnie wygonić z dziewczyny. Nie! Niech rebe poleci, żeby dziewczyna razem z matką pojechały do tej wsi, gdzie mieszkają moje dzieci i powiedziały im, by odmówili

kadisz, tylko w ten sposób ją opuszczę; niech matka dziewczyny przysięgnie mi na jakiś święty przedmiot, że właśnie tak uczyni, wtedy dopiero z niej wyjdę.

– A w jaki sposób matka dziewczynki może być pewna, że po tym wszystkim rzeczywiście wyjdiesz? – spytał rebe. – Nic z tego, ty jej uwierzysz dopiero jak dotknie świętego przedmiotu i na niego przysięgnie, lecz tobie nie można wierzyć w ogóle. Dlatego też polecam ci z całą surowością, że masz w tej chwili, raz na zawsze wyjść z jej córki i uwierzyć jej na zwykłe słowo, żadna przysięga nie jest tu potrzebna!

W tym samym momencie, gdy matka dała słowo znów dało się słyszeć uderzenie, tym razem w drugie okno i coś zrobiło dziurę w szybie. Wszyscy zgromadzeni z przyjemnością przyglądali się, jak dziewczyna wstaje, zdrowa jak pozostali zgromadzeni, ku radości matki dziewczynki i chasydów rebege, niech jego zasługi wiecznie nas wspierają przez wszystkie dni, amen.

6.

– No i po co były te wszystkie kłótnie! – powiedział narzeczony dziewczyny do swej matki, gdy jego narzeczona wróciła do domu zdrowa jak normalny człowiek. Od razu ci mówiłem, że na każdą przypadłość Pan Wszechświata stworzył jakieś lekarstwo, które dokładnie mu odpowiada. Jak by to wyglądało, gdyby wasza synowa – załóżmy, że coś takiego stałoby się po naszym ślubie – nagle, oby was to nie spotkało, zachorowała, a wy byście twierdzili, że nie ma lekarstwa na jej chorobę. A tu nagle Pan Wszechświata nam pomaga, ona całkowicie wyzdrowiała i możesz tylko Panu podziękować za jego łaski. Nie ma co zajmować się jakimiś oszczerstwami, nawet jeżeli człowiek popełnia jakiś błąd, trzeba mu współczuć, czyli wspierać go poradą i czynem, a gdy wszystko wróci do normy, okazałoby się, że to nie wy chcieliście zerwać te zaręczyny. Jednak w jaki sposób człowiek popełnia błędy? Ja już tego samego błędu nie popełnię i lepiej mi pomóżcie przeprowadzić całą rzecz w spokoju, ja zaś z mojej strony dołożę wszelkich starań, by wszystko skończyło się jak najlepiej oraz, by zapomnieć o błędzie, który popełniliście, a gdy już się o tym zapomni, powiadam wam, że trzeba przyłożyć się do tej sprawy z wielką powagą i poświęceniem.

– Masz rację, moje dziecko – przyznała matka – jutro z rana znów zejdą się swaty i jeden drugiemu przebaczy, na pewno też ustalimy datę wesela.

I tak też się stało, wesele odbyło się w swoim czasie, wesele było bardzo paradne. Niech Święty, oby był błogosławiony, sprawi, by wszystkie troski żydowskie zmieniły się w radość, a zasługi błogosławionej pamięci rebege z Aleksandrowa niech nas wiecznie wspierają, aż skończy się nasze wygnanie, amen.

Kilka słów wyjaśnienia dla tych, którzy nie wiedzą:

A) Gdy dybuk przemawia przez człowieka, nie może wymówić żadnego świętego imienia, nawet jeżeli wymawia imię człowieka kończące się na „-el” (hebr. Bóg), nie może go wypowiedzieć prawidłowo. Dlatego gdy musi wymówić imię jak „Israel”, czy „Jiszmael”, nie może go wypowiedzieć inaczej, jak „Israele”, czy „Jiszmaele”. Rzecz to wielokrotnie udowodniona i sprawdzona.

Oraz

B) Powinniście też wiedzieć, że przez dybuki można – i to zdarza się nawet w dzisiejszych czasach, Boże uchowaj, gdyż obecni ludzie w takiej sytuacji udają się do doktorów – stracić dzieci. Sam widziałem, że doktorzy mówią wtedy, że to jakieś uszkodzenie mózgu, owszem, mózg trzeba uspokoić i doprowadzić do porządku normalnymi zabiegami, a nie tak jak oni to robią: zaraz chcą kroić, przykładac żelazo i takie tam radykalne metody, przez które biedny pacjent musi przed czasem opuścić ten świat, sam widziałem takie przypadki.

Niewątpliwie słuszne jest więc pokazywanie, jak wielcy byli Żydzi w dawnych czasach, gdyż posługiwali się takimi metodami, by leczyć tak chore osoby.

Albowiem taka jest reguła, że plama, która powstała na ubraniu przez jakąś tłustą rzecz może być sprana tylko tłustą cieczą, sama woda, czy szorowanie płamy nie zmyją. Tak samo chory na duszy może zostać uleczony tylko duchowymi metodami.

Niech to będzie zwięzłą odpowiedzią dla wszystkich dzisiejszych mędrców, którzy za nic mają dawne pokolenia, ich zwyczaje i wielkie postacie, jak Izaak czy Jakub, zobaczmy, kto lepiej tym światem zarządza!

W dawnych czasach dobrzy ludzie przez jeden dzień więcej czynili dobra dla ludzkości, niż dzisiaj przez cały rok. To właśnie dlatego normalne jest w języku hebrajskim, że rok nazywa się czasami „dniami”.

Morał z tej opowieści jest wszystkim bardzo dobrze znany.

Koniec

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

Szaja Uger

Szaja Uger (1873–1939) urodził się w Żytomierzu, gdzie się wychowywał i uczęszczał do szkoły podstawowej. Kolejne miejsca jego edukacji to gimnazjum w Moskwie, studia filozoficzne w Królewcu oraz technologiczne w Charlottenburgu. Współpracował z wieloma pismami, m.in. z „Die Welt”, wydawanym przez Teodora Herzla. Był również korespondentem „Frankfurter Zeitung”. W Petersburgu współpracował z „Frajnd” oraz „Der Tog”, w Warszawie z „Telegrafem” oraz „Teater-Welt”. W Łodzi pracę dziennikarską zaczynał w niemieckiej „Neue Lodzer Zeitung”. W styczniu 1907 r. zaczął wydawać żydowską gazetę „Lodzer Nachrichten”, która przestała się ukazywać po siedmiu miesiącach. Kolejną gazetą był „Lodzer Tageblat”, którego wydawcami byli bracia Hamburscy. Uger był redaktorem naczelnym tej gazety, zawieszona w 1915 r. przez niemiecką Presse Verwaltung. W wyniku interpelacji socjalistycznych posłów Reichstagu po niespełna roku wznowiono wydawanie gazety. Ukazywała się ona do 21 lutego 1936 r. Uger był jednym z organizatorów żydowskiego sportu gimnastycznego, działaczem Łódzkiego Towarzystwa Gimnastyczno-Sportowego. W 1916 r. został wybrany wiceprezesem Centralnego Związku Towarzystw Gimnastyczno-Sportowych, od 1919 r. był redaktorem tygodnika „Der Jidyszer Turner”, a w latach 1916–1919 członkiem Rady Miejskiej z listy żydowskiej. W latach 1920–1922 przebywał w Ameryce, w 1920 r. krótki czas spędził w Chicago, gdzie wydawał ilustrowany „Morgen Żurnal”. Po powrocie do Europy był korespondentem tej gazety. Wydał dwa numery „Folks-Bibliotek”. Pracował również jako wykładowca literatury i języka jidysz. W 1918 r. pełnił funkcję prezesa Łódzkiego Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich oraz Łódzkiego Żydowskiego Towarzystwa Muzycznego i Literackiego „Hazomir”. W listopadzie 1939 r. został aresztowany i zamordowany przez nazistów. Pisał opowiadania wydawane nakładem E. Hamburskiego. Jest autorem m.in. jednoaktówek *Asymilator* i *Rezerwista*. Pisał też opowiadania historyczne, humoreski.

Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny Żydów łódzkich oraz z Łodzią związanych, red. A. Kempa, M. Szukalak, Łódź 2001, t. 1, s. 153 i n.

Księga daczy, czyli worek nieszczęść naszych letników²⁵

1. Robi się ciepło

Wspaniale, że pada – Nie przestaję modlić się o deszcz – Mamy przecież Ojca w niebie – Skąd u mnie dacza? – Strapienie mojej połowicy – Pocieszam ją, jak potrafię.

Na początku lata szczęście zaczęło mi sprzyjać, co nie zwykło przydarzać się porządnym ludziom.

²⁵ Sz. Uger, *Megilas dacje* [Księga daczy], Łódź 1913.

Zaraz po Pejsach zaczął padać deszcz i padał tak uporczywie i nieustannie, iż zdawało się, że nigdy nie przestanie. Aż do Szwues chodziłem wciąż w kaloszach i musiałem zakładać ciepłe ubrania.

Rozumiecie chyba, jakie było to dla mnie szczęście. Sam nie wiedziałem, jak dziękować Odwiecznemu i wychwalać go za łaskę, jaką mi wyświadczył. Nadal jednak nie ustawałem w modlitwach i prośbach o deszcz. Modliłem się o niego na okrągło – w dzień i w nocy.

„Boże mój” – zwykłem mówić każdego dnia podczas modlitwy porannej, popołudniowej i wieczornej – „Boże mój drogi, zlituj się nad sługą swoim Tuwim, synem reb Zanwila, i otwórz swe źródła i zsyłaj nieustająco swe deszcze, tak by nigdy nie przestawało padać”.

I Najwyższy wysłuchiwał mych prośb – padało więc i lało aż do Szawuot.

Zapytacie zapewne: po cóż takiemu człowiekowi jak ja tyle deszczu? Co? Czyżbym był jakimś właścicielem ziemskim, który boi się tak o swoje pola, o swoje zboża, by się nie poniszczyły?

Poczekajcie – zaraz też i dam wam jasną odpowiedź. Po pierwsze musicie wiedzieć, że jestem pewnego rodzaju pośrednikiem, agentem, żeby nie zapeszyć. Mam paru klientów w Rosji, w Kiszyniowie, w Machnówce, w Tulczynie, w Derażnem – całkiem, bez uroku, sporo ludzi.

Ale czy macie pojęcie, co to za ludzie? Panie Wszechświata! Żaden uczciwy człowiek nie powinien się z takimi zadawać. Toż to prawdziwi rabusie, rozbójnicy – mówię wam. Gdy, dajmy na to, deszcz nie pada tydzień jeden lub dwa, co się przecież zdarza latem – i już jest tak, że jeśli mam wroga, Ojczy drogi, i kto mi źle życzy, niech skończy tak, jak my, agenci, w taki czas.

Kiedy nie ma deszczu cały gniew spada na nasze głowy i jesteśmy jak te kozły ofiarne. Mają też zaraz ci przemytnicy, złodziejaszki, gotową wymówkę, że niby dobrych plonów nie było, więc się nie dało i takie tam wykrety. No a resztę rozumiecie już chyba sami. Gwiżdżą na was, mataczą jak tylko mogą, zrozumcie mnie. Pokazują wam język – długi, jak stąd do Egiptu i idź i poskarż się na nich, choćby u samego Najwyższego Króla. No bo kogo zmienimy, na co zmienimy? Groszy nikt nie płaci, nie rozpoznają was wcale. Wiedzą już zatem, co to za jedni? To są przecież prawdziwi grabieżcy – oto kim są. Takich lepiej w ogóle nie znać, Ojczy w niebiosach!

Rozumiecie już, dlaczego trzeba się modlić o deszcz?

Tymczasem myśli sobie człowiek tak: jeśli będą plony, to i czasy będą trochę lepsze, wtedy zaś ludziska sięgną głębiej do kieszeni – i rubla będzie łatwiej zarobić. Oby nie zgrzeszyć słowem – ostatni straszny kryzys całkiem nas przecież zrujnował. A muszę wam powiedzieć, że jestem człowiekiem, który to ma, bez uroku, rodzinę z szóstką dzieci, oby były zdrowe i silne, a jedno mniejsze od drugiego. To trzeba posłać do szkoły, tamto do chederu, raz trzeba mieć na kilka

par bucików, to znowu na ubranka. A żony mojej, oby żyła długo, nie można zbyć machnięciem ręki. To jest kobieta o wielkich wymaganiach, oby jej żadne złe spojrzenie nie zaszkodziło, byle czym jej nie zadowolicie.

To po pierwsze. Po drugie zaś miałem też i inną rachubę. Myślałem sobie tak: oby Najwyższy dał i niech by tak padało przez całe lato aż do Jamim Noraim, a będzie to prawdziwym wybawieniem dla ludzi. Uwolni ich to od daczy, od wyjazdów za granicę i od wszystkich tych zmartwień i nieszczęść, które kosztują krwawicę i wysysają wszystkie siły z człowieka. Panie Wszechświata! Skąd u człowieka takiego jak ja i do tego w takich czasach bierze się dacza? Ach, szkoda gadać. Na codzienne wydatki nie starcza i – też przecież jesteście ludźmi, więc dlaczego miałbym się przed wami wstydzić – obyśmy tyle dobrych lat przeżyli, ile to razy brakowało pieniędzy na komorne za kwartał. No i zadłużaj się tu nagle po uszy i bierz na siebie ciężar ponad siły.

Byłem więc bardzo zadowolony z tego, jak Najwyższy rządzi światem. Moja połowica jednak dąsała się strasznie i naprzykrzała Stwórcy za pośrednictwem anioła od pięknej pogody. Cóż bowiem znaczy lato bez daczy, bez wyjazdu za granicę? Ach biada! Toż to po prostu wstyd przed ludźmi. Któż zostaje na lato w mieście? Najprostszy rzemieślnik zdobywa się na wysilek i wysyła swych domowników na świeże powietrze. Tylko czy pomoże coś to narzekanie? Idź, krzycz – wszystko na próżno. Czego Najwyższy nie chce, tego nie ma – pada więc przez całe lato.

Nie mogłem jednak patrzeć na strapienie mojej kobiety. Serce ścisnęło mi się, gdy widziałem, jak nieboga kręci się w kółko bez zajęcia. Podczas gdy w ubiegłe lata o tej porze – o tak, w ubiegłe lata – stoły, ławy, lustra, zegary i lampy były już dawno poprzykrywane starymi narzutami i kawałkami płótna, a z każdego kąta dobiegał zapach naftaliny i tytoniu, aż trudno było wytrzymać. Szkło i naczynia były popakowane i pozamykane, a w mieszkaniu nie było już żywej duszy, tylko ja jeden zwykłem się jeszcze błąkać. A dziś już prawie, dzięki Bogu, kończy się Tamuz? I nikt nawet nie myśli o pakowaniu.

Było mi więc jej żal i nie mogłem po prostu patrzeć na jej smutek i zamartwianie się, jak się nieboga kręci w kółko i nie wie, za co się zabrać.

Ruszyłem więc głową – czegoż nie robi się dla żony? Pomyślałem, że sprawię jej raz małą niespodziankę i przyniosłem jej „plereż”. Wicie, co to takiego „plereza”? Pewnie nie. Jest to takie pióro, które powiewa przy damskim kapeluszu. Ale takie prawdziwe pióro z prawdziwego ogona najprawdziwszego ptaka – zapomniałem tylko, jak się ten ptak nazywa. Ech – myślę sobie – niech ma. Taka prosta i piękna kompensata. Ileż może mnie to kosztować – 25 czy 50 groszy, to przecież jeszcze nie taki wielki wydatek, zwłaszcza, że zawracała mi głowę tą plerezą od ładnych paru miesięcy. Cóż mam wam tu opowiadać. Radość była wprost nie do opisania. Moja żona nie wiedziała, gdzie mnie usadzić, na rękach mnie nosiła.

– Tuweniu, może coś zjesz, może wypijesz szklaneczkę mleka? Popatrz no, jak ty biedaku źle wyglądasz.

Jeszcze nigdy nie miałem tak przyjemnego dnia. I o daczy, jak na razie, nawet nie piśnie. Ona milczy, a ja udaję, że nie wiem o co chodzi. Za parę dni przynoszę jej znowu kawał francuskiego muslinu na bluzkę, na matinkę, na sukienkę, który kupilem okazynie, no i znowu uciecha i radość ogromna.

Pewnego poranka jednak patrzę, a z mojej kobiety zrobił się prawdziwy obserwator gwiazd – nie przestaje przyglądać się niebu. Rankiem wystawia rękę przez okno, by sprawdzić, czy nie pada, w nocy spogląda w gwiazdy.

– Tuweniu, cóż powiesz? Wydaje się, że jutro będzie piękny dzień, prawda?

Ech, myślę sobie, ciężka sprawa – moja ptaszyna robi się niespokojna w swojej klatce.

Zaczynam już rozumieć, że plerezą i muslinem nie załatwię sprawy. Będzie mnie to do śmierci dręczyć – dlaczego byłem takim głupcem i narobiłem sobie dodatkowych kosztów...

Od daczy bowiem tak czy siak się nie wykręcę – teraz zobaczyłem to wyraźnie – po cóż więc tak niepotrzebnie i na próżno roztrwoniłem pieniądze?

2. Tylko dacza!

Jak na złość robi się ciepło – Wyrażna wskazówka – Rozmowa z moją połowicą: Dacze, kąpieliska i zacne kobiety – Koniec – niech będzie dacza! – szabasowi goście. Słowem, moja Dworele, oby żyła długo, zaczęła dawać mi do zrozumienia, że musimy wynająć daczę.

To znaczy, nie mówi o tym, broń Boże, wprost. Słowo „dacza” na razie w domu nie pada – na tyle ma jeszcze dla mnie litości. Robi to tylko za pomocą znaków, mową ciała. W tym jest prawdziwą mistrzynią, mówię wam. Ja jestem jednak ekspertem jeśli chodzi o dar mowy, zwłaszcza tej bez słów, mojej drogiej małżonki, z którą żyję już lat osiemnaście pod jednym dachem. Znam ja już dobrze wszystkie jej pozy, minki i wszystkie jej sztuczki, które mnie kosztowały, dzięki Bogu, majątek. Rozumiem więc już dobrze, co ma na myśli, nawet gdy nie mówi ani słowa. Ale nic to, udaję, że nie wiem o co chodzi, jakby mnie to zupełnie nie dotyczyło.

A do tego jak na złość jest piękna, słoneczna pogoda, choć weź moich wrogów i niech pęką ze zgryzoty. Słońce przypieka i pali jak w piecu, wprost nie do wytrzymania. Moja połowica nosi już białą, lekką, przepuszczającą świeże powietrze ażurową bluzkę i przez cały dzień posapuje, wachlując się chusteczką, płachtą gazety i czym się da. Po jedzeniu zapada w drzemkę, ułożona wygodnie w jakimś chłodnym kącie – wszystko to ma być dla mnie wyraźną wskazówką. Rozumieć rozumiem więc już, że prawdopodobnie ten język znaków za niedługo

się skończy, i że wkrótce zacznie już, jeśli Bóg pozwoli, mówić wprost, bez ogródek. Z bijącym sercem szykuję się każdego dnia na jej pierwsze słowa...

Tymczasem krążę sam po mieście i ciężko mi na duszy. Jeśli gdzieś mam wroga, niech znajdzie się on na moim miejscu.

Gwałtu, rety – zgrzytam nieraz zębami i mam żal do Pana Wszechświata: Dlaczego nie ześlesz jakiegoś porządnego deszczu, takiej ulewy z gradem, chłodem i z tymi wszystkimi dobrymi rzeczami, które masz tam w górze. Wtedy dopiero zobaczyłbym twoją wielkość i moc!...

Widocznie jednak zgrzeszyłem przed Odwiecznym, bo z każdym dniem robiło się coraz goręcej, a moja małżonka stawiała się znowu niespokojna. Nie mogła już chodzić, twierdząc, że cierpi strasznie z powodu upału. Wracam z nią, na ten przykład, do domu – przy schodach zatrzymuje się i opiera o poręcz.

– Uff – sapie teatralnie. – Jak ciężko mi wchodzić po schodach... Tak bardzo jest już gorąco...

Przygryzam usta i milczę.

Na pierwszym piętrze zatrzymuje się znowu, niby to wycieńczona, na drugim piętrze – to samo.

Słowem, co mam wam długo opowiadać, czuję już, że moje nieszczęście jest tuż tuż. Nie dziś, to jutro – ale już po mnie. Widzę, jak moja połowica wystaje godzinami przy oknie i przygląda się nieboga z taką tęsknotą i zazdrością, jak sąsiedzi wyjeżdżają na dacie – jak pakują wozy, jak wkoło tańczą dzieci. Mówię wam, aż żal serce ścisnąć – nad żadnym żywym stworzeniem przecież znęcać się nie wolno, a tu trzeba było patrzeć, jak człowiek cierpi. Jestem jednak twardy jak kamień i nie pisnę ani słowa. I gdy tak milczę – ona zaczyna mówić.

– Powiedźże mi tylko, mój drogi – odzywa się pewnego pięknego poranka tonem, w którym nie pobrzmiewa bynajmniej nuta prośby. – Jakże to myślisz sobie, że mamy się tak całe lato piec i smażyć w mieście?... W tym upale, w tej Gehennie, w tym kurzu?

– Ciężkie czasy – odburkuję jej na to.

– Co takiego?! – podnosi już głos. – Co to znaczy – ciężkie czasy? To jakaś wymówka? Idź zobacz, jak ludzie żyją! Całkiem nieźle. Warszawski nie powie swojej żonie, że ciężko. Spod ziemi wyciągnie i wyśle ją na świeże powietrze. A Maniczka Kotek? Już od dwóch tygodni jest za granicą. Co na to powiesz, ty gburowaty kłocu? Ona już nawet u swojego ojca nie bywa, tylko w kąpieliskach...

Siedzę, słucham i milczę.

– Dlaczego milczysz?! – krzyczy i wyczuwam już w jej głosie, że wkrótce otworzy się źródło łez. – Zauważyłeś chociaż, jak nasza Belcia gaśnie jak świeca?! To dziecko jest już przecież blade jak płótno, sama skóra i kości...

Tu chciała już poruszyć we mnie ojcowskie uczucia. Ale głowa jest jeszcze u mnie, dzięki Bogu, nie taka słaba, zrozumiałem więc, że „przeklinając teściową

przeklina się synową”. Pomyślałem sobie jednak, że moje racje pomogą mi przecież, tak czy siak, jak umarłemu bańki, a do tego żal mi się zrobiło mojej żony i dzieci, więc zawołałem:

– No dobrze, cóż to za problem. Wynajmijmy dachę gdzieś w pobliżu... za miastem...

– Niech i tak będzie, zawsze coś. – odpowiada mi już łagodnym głosem. – Byle tylko nie smażyć się w tej Gehennie...

I znowu dobrze się między nami układa – jak w tydzień po ślubie. Moja żona sama nie wie, jak mi dogodzić.

– Głuptasku – łąsi się do mnie. – Zdrowie jest najdroższe ze wszystkiego. Obyśmy tylko zdrowi byli, a już Najwyższy i zarobek ześle.

Słaby ze mnie mężczyzna i od jej gadania robię się miękki jak masło. Uzgadniamy więc, że gdy tylko skończy się szabas, pojedziemy szukać dachy.

W domu zaczęło się całkiem nowe życie. Wracam w dzień do mieszkania – a tu pierze się już pranie, mój kożuch wisi w oknie, wietrzą się zimowe ubrania. Z poduszek ściągnięto już poszewki i trzeba spać na niebieskich, nieobleczonych. Na balkonach trzepie się i odkurza – rozgardiasz taki, jak przed Pesach.

W szabas mieliśmy gości. Przyszedł Bornsztajn z żoną.

– Przyszliśmy się pożegnać – mówi Bornsztajn.

– Doprawdy? Wyjeżdżacie?

– Tak.

– Dokąd?

– Do Kołobrzegu.

Moja połowica siedzi nieruchomo, jakby w nią piorun strzelił. To blednie, to czerwienieje, to znów zielenieje – wszystkie kolory mienia się jej na twarzy. Spojrzała przy tym na mnie tak – oj, co to było za spojrzenie, Ojczy drogi – że gdyby ziemia się pode mną otworzyła, pogrzebałbym się żywcem.

– No a wy? – pyta madame Bornsztajn.

– My – moja żona uśmiecha się jadownicie – pojedziemy może za jakiś miesiąc do Kissingen. Na razie jeszcze nie możemy wyjechać z miasta... Mój mąż ma tu interes... Zakładamy fabrykę, wiecie?

– Fabrykę?! – woła madame Bornsztajn blednąc i wpija wzrok w swojego męża.

A moja żona stoi i aż się trzęsie. Ja zaś siedzę ze spuszczonymi oczami nad szklanką herbaty, twarz mi płonie i nie wiem, gdzie się podziać ze wstydu – takie kłamstwa opowiadać!...

– A tak. Tobiaszu – zwraca się do mnie ze słodką miną żona, a ja czuję, że gdyby mogła, rozerwałaby mnie teraz na strzępy. – Fabrykę, tak?...

– Tak – odpowiadam słabym głosem i popijam łyk herbaty, myśląc przy tym, że chyba się nią zaraz udławię.

Bornsztajnowie pożegnali się i poszli. W tym momencie życzyłbym wam, żebyście byli na moim miejscu i zakosztowali porcji, która mi się dostała. Panie Wszechświata! Histeria, płacz, rzucanie naczyniami... Przyniesiono „krople Hoffmanna” i mało brakowało, a trzeba by było posłać po doktora.

A następnego dnia nie mogłem spokojnie przejść ulicą – kto tylko mnie spotkał:

– Mazal tow! Zakłada Pan fabrykę?... Gdzie? Kiedy?...

Nie wiedziałem, gdzie się schować ze wstydu.

Ale to już, dzięki Bogu, minęło. Znowu pogodziliśmy się z moją Dworel i za jakiś dzień lub dwa jedziemy szukać daczki.

3. Szukamy daczki

Jedziemy szukać daczki – Zachwyty mojej połowicy – Nie tak łatwo to przychodzi – Niespodziewane spotkanie – Na szczęście wynajmujemy – Rozmowa w tramwaju

Wstaliśmy wcześniej rano, zanim jeszcze słońce nie zaczęło prażyć. W pośpiechu skończyłem recytować modlitwę, skróconą wersję rozumie się, naprędce – jedzie się przecież oglądać daczki, nie ma więc czasu na bałamucenie. Przegryzłem coś na jednej nodze i nie zdążyłem się nawet obejrzeć, a moja połowica stoi już gotowa – wystrojona, w modnym kapeluszu z plerezą, którą jej kupiłem, w białej koronkowej bluzce. Obwiesiła się do tego całą swoją biżuterią – na szyi złoty łańcuszek z zegarkiem, w uszach kolczyki. Nie można przecież pojechać – ot tak, po prostu obejrzeć daczki. Niech inni chociaż poczują respekt, niech wiedzą komu wynajmują.

Moja żona jest przejęta, zarumieniona, twarz jej płonie, oczy błyszczą – śliczna niczym jaśniejące słońce. Przyjemnie na nią patrzeć. Wygląda jak prawdziwa hrabina – takie z niej bije bogactwo.

A ja, nieborak, w moim zeszłorocznym, wygniecionym, słomianym kapeluszu i w żółtej, znoszonej, przybrudzonej marynarce, wyglądam przy niej jak jej służący.

W domu panuje zamieszanie i zgiełk. Dzieci, oby żyły, też się przebudziły i tańczą wkoło boso, w samych koszulkach. Dla nich to prawie jak święto – my wyjeżdżamy na cały dzień szukać daczki, a one tymczasem będą mogły tu wywrócić wszystko do góry nogami.

– Krendlo – przed wyjściem moja pani domu zwraca się do kucharki – teraz daj dzieciom kakao, a później po dwa jajka ze szklanką mleka... Dopilnuj, żeby gojka zaniósła pranie do magła i rozładowała kosze... I trzeba wywietrzyć pościel, słyszysz?

Rozumiem już z tego, że nie będzie się dziś nic gotowało. Nie ma czasu na krzątanie się po kuchni, zwłaszcza że gospodyni wyjeżdża i nie będzie komu przypilnować obiadu. Oznacza to, że o mięsny danie nie ma nawet co mówić i dzisiaj trzeba będzie się zadowolić jakimś mlecznym posiłkiem. Nie przepadam

wprawdzie za mlecznymi potrawami i nic nie sprawia mi takiej przyjemności, jak kawałek mięsa, lecz z drugiej strony trzeba też przecież czasem wspomóc gospodynię i wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności za dom...

Słowem, jesteśmy już gotowi do drogi. Moja połowica wydała już wszystkie polecenia, zamknęła kredens, wydzieliła kucharce i gojce po kilka kawałków cukru, zostawiła im chleb z masłem – i wyruszyliśmy.

Jednym tramwajem dojechaliśmy do drugiego, który dojeżdża za miasto i rozsiadłszy się wygodnie w wagonie, ruszyliśmy w szczęśliwą godzinę.

Widzę, że moja żona bez przerwy wygląda przez okno i nie wie na czym wzrok zatrzymać... Gdy przejeżdżamy obok pola – wpada w zachwyt. Nozdrza się jej rozszerzają, zaczyna pociągać nosem i węszyć, jak gdyby wdychała najdroższe wonności i przyprawę.

– Tobiaszu, czy ty czujesz choć, jakie tu wspaniałe powietrze? – pyta.

Jest mi tak gorąco i duszno, że ledwo co oddycham, lecz mimo to potrząsam głową, przytakując.

– Tak, bardzo dobre powietrze – mówię.

Przejeżdżamy obok lasu z paroma drzewkami, a ona oczu nie może od niego oderwać.

– Widzisz ty chociaż, jak tu pięknie? – mówi do mnie znowu.

W głowie aż mi się kręci, bo tak mam ją pełną i zaprzątniętą moimi interesami – ale cóż poradzić? Przytakuję znowu potrząsając głową.

Przed jakąś daczą dostrzega parę sklepików i to wzbudza już w niej prawdziwy entuzjazm.

– Popatrz tylko, popatrz – woła rozradowana. Będziemy tu mieli przecież wszelkie wygody... Można będzie sobie całkiem oszczędzić jeżdżenia do miasta na zakupy.

Przychodzą mi do głowy poważne wątpliwości, czy rzeczywiście będziemy tu mieli wygody, czy też nie, ale nic to, przytakuję.

– Oczywiście, oczywiście – mówię. – Będziemy tu mieli wielkie wygody.

Wytrząsłszy się dobrą godzinę w tramwaju i nałykawszy kurzu, przybyliśmy tak oto za miasto.

Jakieś dwie godziny tułaliśmy się tam w pyle i skwarze, szukając wszędzie i pytając, tam gdzie stróż i gdzie goj, czy nie ma gdzieś do wynajęcia daczki z dwoma pokojami, kuchnią i werandą.

Daczki może było i dość, ale moja Dworele, oby była zdrowa i silna, jest jednak bardzo kapryśną osobą i nie można jej tak szybko dogodzić. A to nie podobało się jej, że weranda jest otwarta, bez okien, to znowu, że za mało lasu, albo że daczka stoi przy samej drodze, i boi się, że będzie za dużo kurzu. Słowem, kolejne dwie godziny szukania i włóczenia się po okolicy, a my wciąż nie mogliśmy znaleźć odpowiedniej daczki.

Czuję, że padam już z nóg i nie mam więcej siły na to bieganie w kółko. Wykończony, chciałbym przysiąść gdzieś choć na chwilkę, ale moja żona jak na przekór idzie dalej i nie myśli nawet o tym, by usiąść i odpocząć trochę.

– Chodź – mówi – pójdźmy jeszcze do daczki Karpowskiego. Podobno jest wspaniała!

Idziemy więc, a ja ledwo co powłóczę nogami. Wchodzimy na podwórkę i widzę, jak na werandzie podnosi się dama w szlafroku, z potarganymi włosami, po czym wychodzi nam naprzeciw.

– Oj, Maniczka! – woła radośnie moja żona i już za chwilkę obie kobiety wpadają sobie w ramiona i zaczynają obcałowywać się bez końca. Tak to już jest z Maniczką. Tymczasem ja siadam na ławce, czy raczej zwalam się na nią niczym kłoc – taki jestem zmęczony.

– Chodźcie moi kochani... Może coś zjecie, napijecie się?

Z trudem podnoszę się z ławki, dowlekam się jakoś do werandy i tam znowu opadam na krzesło. Moja żona bierze tymczasem w rękę leżące na stole lustro, poprawia sobie włosy i kapelusz, po czym wyciera twarz chusteczką. I dochodzimy jakoś do siebie.

Za chwilę stoją już na stole – Wiekuistemu niech będą dzięki – rzodkiewki, ogórki, kwaśne mleko, chleb, masło i ser. Zabieram się do uczty z wielkim apetytem, a kobiety tymczasem rozmawiają sobie serdecznie.

– Kochani moi – mówi Maniczka – gdybym wiedziała, że potrzebujecie daczki, byłabym już dziesięć razy u was w mieście... Wiecie bowiem, cóż to jest za daczka? Złoto, mówię wam. A dla dzieci to istny raj. I są tu wszystkie wygody. Przynoszą wam do domu wszelkie dobra – kaczkę, gęś, kurczętą, ser i masło, ogórki i zieleninę – ile sami chcecie... I zaraz pod nosem macie las, a dwa kroki dalej staw... Zagranica z wszystkimi kąpieliskami nic nie jest warta w porównaniu z tym, wierzcie mi...

Moja żona jest całkiem w siódmym niebie – cóż za traf się jej przydarzył, do tego jeszcze w sąsiedztwie Maniczki. Gdy się już najedliśmy, poszliśmy obejrzeć mieszkanie, sąsiadujące drzwi w drzwi z wynajętym przez Maniczkę. Na szczęście mojej Dworele spodobała się daczka, chociaż miała otwartą werandę, i zapłaciliśmy kaucję.

Jeszcze przez jakieś półtorej godziny kobiety opowiadały sobie różne historie, po czym zaczęliśmy się zbierać do powrotu do miasta. Odprowadzono nas na przystanek tramwajowy i pojechaliśmy do domu.

W tramwaju spotykam znajomego i opowiadam mu, że wynająłem w okolicy daczę.

– Od kogo, od Karpowskiego? – mówi krzywiąc się. – Tam wilgotno...

Siedzę nieruchomo, osłupiały, jakby we mnie piorun strzelił. Mojej żonie znowu wszystkie kolory wystąpiły na twarz. Myślałem już, że zawróci mi dyszel

i pojedziemy z powrotem, ale moja Dworele powiedziała tylko, dodając sobie otuchy:

– E, o wszystkich daczach mówi się, że wilgotne...

Widzę jednak, że trapi ją to i przez całą drogę nie odzywa się już ani słowem.

Śmiertelnie zmęczeni i obolali przychodzimy późno w nocy do domu.

4. Wierzycciele

Przed wyjazdem – Wierzycciele oblegają – Moja połowica płaci – Prztyczek od najwyższego – Garderoba na daczę – Ostatnia noc w mieście

Dzień przed wyjazdem na daczę był dla mnie prawdziwym sądnym dniem. Co mam wam tu opowiadać? Jak jakieś wszystkie diabły zaczęli nadciągać wierzycciele, jeden za drugim, przez cały dzień drzwi się nie zamykały. Daję wam słowo – nie wiem skąd ich lichy przyniosło. Zdaje mi się, że moja połowica ciągle powtarza, że nie bierzemy od nikogo nic na kredyt – a tu oto macie rzeźnika z rachunkiem długim niczym święty zwój, sklepikarkę z grubym zeszytem pod pachą, krawca, cerowaczkę, piekarsową i szewca z naprzeciwwka, który przyszedł domagać się zapłaty za cztery pary dziecięcych bucików.

Panie Wszechświata! Kiedyż to zasłużyłem sobie na takie cierpienia? Pytam tak sam siebie. Prawda, że czasy są coraz gorsze, gorzkie, niech Bóg jedyny się zlituje. A zanim człowiek choćby grosz zobaczy, już wrogom dziesięć razy oczy z głowy wyjdą. Mimo to jednak wszystko jakoś się kręci i zawsze jest jakiś rubel w domu. Orze się ziemię nosem, ale pieniądź na życie musi być. Pojawia się jednak pytanie – skąd też bierze się ta moja niedola. Śmiechu warte – zdaje się, że za trzy miesiące za mięso nie płacone, słyszał kto? Wiem, piekarsowa ma rację i winni jesteście jej piętnaście rubli.

Przychodzę w dzień do domu utrudzony, sterany, pot ścieka ze mnie strumieniami. Nabiegałem się aż na koniec miasta i u kogo chcecie zaciągnąłem pożyczkę bez procentu – mam przecież jeszcze i daczę na głowie. Wracam więc do domu – a tu pełno ludzi i wszyscy poroziadani na krzesłach niczym pacjenci u wziętego lekarza.

– Co to znaczy? – złość mnie już bierze. – Uciekam może do Ameryki, czy co?

Uspokoilem się trochę – I czegoż mnie tak obsiedliście?...

Na to moja żona przygryza usta i obrzuca mnie takim spojrzeniem, że dusza we mnie zamiera. Biorę nogi za pas i wybiegam do drugiego pokoju. Widzę jednak, że napytałem sobie biedy – już się zreflektowała i w te pędy za mną.

– Ty łajdaku – napada na mnie cicho, żeby nikt nie słyszał i zaczyna zgrzytać zębami, dodając do tego parę kuksańców, jak gdyby chciała mnie tu porąbać na kawałki.

– Morderco jeden! Opileś się cudzej krwi... Nażarłeś się i napoiłeś cudzych dóbr i masz jeszcze pretensje...

Zaraz też wyciąga w moją stronę pazury i widzę wyraźnie, że gotowa rzucić się w szale na moją brodę.

– Gwałtu, retę, będę krzyczał! – wpadam już we wściekłość i tracę panowanie nad sobą. – Będę przecież zaraz biegał po ulicach i wzywał pomocy... A skąd biorą się u ciebie pieniądze? Ty szarlatanko, rozrzutnico jedna! Przecież ty mnie do ruiny doprowadzisz! Przez ciebie przyjdzie mi za niedługo po domach chodzić i żebrać...

Rozpala się na to jak ogień i przyskakuje do mnie z wściekłością.

– Oj, żebym się tak twojej głowy pozbyła, Ojczy słodki, ale tak zaraz i na dobre, mogłabym się w końcu cieszyć życiem – szepcze mi znowu cicho do ucha, żeby ktoś, broń Boże, nie usłyszał, kładąc przy tym na mnie swoją delikatną rączkę. – Żebyś był mi już cicho! Panie Wszechświata! Jak to wstydu żadnego nie ma... W izbie przecież pełno ludzi...

– A tu masz za szarlatankę – dodaje nagle i szczypie mnie tak mocno, że aż w oczach mi ciemnieje i dostrzegam dziadunia na tamtym świecie.

I nim się obejrzę, trzyma już rękę w wewnętrznej kieszeni mojej marynarki, wyciąga portfel i liczy pieniądze.

I jak gdyby nigdy nic – zupełnie jakby się tu, w drugim pokoju nic takiego nie wydarzyło, wychodzi do wierzycieli z taką słodką minką, jakbyśmy się chcieli tutaj tylko pocałować jak dwa gołąbki.

– Nie gniewajcie się, proszę, na mojego męża – mówi do „gości” z uśmiechem. – Mężczyzna nie wie oczywiście czego w domu, bez uroku, potrzeba...

– Oto tymczasem dziesiątak reb Josl – zwraca się do rzeźnika. – Po sobocie, jeśli Bóg pozwoli, będę w mieście i dorzucę wam jeszcze parę rubli...

Jednej kobiecie wciska trojaka, innej dziesięć kopiejek, tamtej znowu rubla i tak przepuszcza te moje parę groszy, za które przyszło mi zapłacić krwawym potem, wierzcie mi, zanim je uciulałem... dosłownie wyzebrałem.

Ja tymczasem, gdy tylko zelżał trochę ból po powitaniu, które mi zgotowała, a dzięki któremu to ujrzałem mego dziadunia – oby przebywał w świetlanym raju, przyczesuję sobie brodę palcami i wchodzę swobodnie, jak na gospodarza przystało, do jadalni, gdzie czekają wierzyciele. Kładę się na kanapie, niczym u mego ojca w winnicy, z gazetą w ręce, jak gdybym nie miał żadnych problemów.

– A niech to lichy porwie – myślę sobie. – Co ma być, to będzie. Zobaczmy tymczasem, co słychać w polityce.

Siedzę jednak, rozumiecie, cały obolały i łeb mi po prostu pęka – wiem bowiem przecież, nieszczęsny, jakie kłopoty mnie czekają. Siedzę i łamię sobie głowę – skąd wezmę na furę, żeby przewieźć rzeczy. Do tego jakieś drobiazgi też trzeba przecież kupić, bo jak tu przyjechać na daczę z pustymi rękami. Skąd wziąć na to wszystko, Panie Wszechświata? Już przecież obleciałem, z Bożą pomocą, wszystkich znajomych – u tego pożyczyłem dwadzieścia pięć groszy, u tamtego dziesiątaka, a i trojaka nie zabrakło. Całkiem niezła sumka, jak na takie mroczne, gorzkie czasy.

Słowem, gdy tak rozmyślam nad tym, od kogo można by jeszcze coś bez procentu pożyczyć, dostrzegam nagle, że w mieszkaniu zrobiło się spokojniej. Moja żona odprawiła wierzycieli i całkiem ucichła. Wydaje się, że już dobrze, co? Że już dość, koniec zarazy... Jeśli ktoś mi źle życzy, niech mu będzie tak dobrze, Ojciec serdeczny, jak mi było. Mówię wam, jeśli komuś szczęście nie pisane, to lepiej, żeby się w ogóle na tym świecie nie urodził. Nie minęła minuta, patrzę, a tu znowu otwierają się drzwi i wchodzi elegancko ubrana panna z dużym pudełkiem w ręce – to modystka. Za nią wchodzi druga – krawcowa i trzecia, i czwarta, po czym zaczynają szwargotać robiąc przy tym taki tumult i zgiewk, że myślę, iż zaraz zwariuję. Na stole widzę już zaś cały kram z materiałami.

– Cóż powiesz, Tobiaszu – wdzieczy się do mnie moja połowica, zerkając w lustro. – Jak ci się podoba ten kapelusz?

No, słyszeliście już kiedyś o takiej chucpie? Ta morderczyni, rozbójnica, odzywa się jeszcze do mnie wdziecząc się i chce, żebym jej powiedział, jak wygląda w nowym kapeluszu. A sama stojąc i przekręcając głowę do tyłu i na boki, delektuje się swoim odbiciem w lustrze. Siedzę tu i krew się we mnie gotuje. Gwałtu! – chce mi się krzyczeć na głos. – Gwałtu! Rety! Czego chce ode mnie ta zbrodniarka...

– Tobiaszu – odzywa się znowu, uśmiechając się do mnie słodko. – Widzisz, dałam sobie zrobić podomkę z taniego kretonu... Dobra do noszenia na daczy... Grzechem byłoby nosić tam lepszą sukienkę, w tym kurzu i piachu... A byle jak ubranym też przecież nie można chodzić... A to, widzisz Tobiaszu, to wzięłam dla dzieci, oby były zdrowe, na koszulki... i parę spodenek...

Gwałtu, ludzie ratujcie! – chce mi się krzyczeć i czuję, że pękne zaraz z wściekłości. Przypomina mi się jednak ból, który odczułem, gdy mnie uszczypnęła, powstrzymuję się więc i dalej siedzę cicho jak niewiniątko.

Ona tymczasem odprawiła krawcową, modystkę i cerowaczkę, zapłaciwszy każdej po trosze i roztrwoniwszy w ten sposób te parę kopiejek, które jeszcze miała w ręce, aż zostaliśmy gołi, jak nas mama urodziła, bez grosza w domu. Myślicie, że to już koniec? Poczekajcie no chwilę. Jeszcze się drzwi nie zamknęły, a są już tu nowi interesanci – mężczyzna i dwie kobiety z koszykami w dłoniach. Już wszyscy są w kuchni, już zaczyna się ważenie i odmierzanie. Tym razem sprawa dotyczy owoców.

– Tuwenu – moja żona podchodzi do mnie z tak żałosnym wyrazem twarzy, że aż serce boli, gdy się na nią patrzy. – Tuwenu, mój mężu, gniewasz się na mnie, tak? Powiedz! Myślisz, że nie wiem, jak ciężko ci przychodzi rubla zarobić? Ale cóż zrobić? Jest przecież dom, oby jakieś złe spojrzenie nie zaszkodziło... Jak tu nie usmażyć trochę konfitury z malin? Z dziesięciu funtów wiśni? Jak nie zrobić choć trochę przetworów z moreli? Latem to wszystko przecież bardzo tanie... Szwercowa z naprzeciawka, żebym tak była zdrowa, jak prawdę mówię, ot taki wielki garnek konfitur usmażyła...

Kiedy widzę zatroskaną twarzączkę mojej połowicy, pęka mi serce, a gdy do tego usłyszałem teraz jej słowa, to aż łzy stanęły mi w oczach.

– Panie Wszechświata – myślę sobie – z niej jest przecież gospodyni co się zowie, oby żyła do stu dwudziestu lat. Dla kogóż robi to wszystko? Dla kogo to kupuje? Nawet jeśli obzartucha z niej i utracjuszka... Te przyjemności, to drogie życie, które przy mnie wiedzie... Inne kobiety, które nie są warte jej podeszwy, pławiłyby się przecież same w wygodach... A ona nieboga...

I ze łzami w oczach wbiegam do kuchni.

– Dworele – mówię – kupuj sobie na zdrowie, co tylko chcesz... Ty jesteś przecież gospodynią, obyś nam żyła długo, wiesz więc lepiej, co musisz zrobić.

I wybiegam znowu na miasto, a życie staje się słodsze. Biegam, szukam i zebrzę u kogo mogę. W końcu, oby nie zgrzeszyć, udało mi się zebrać parę rubli. Poszedłem więc i zamówiłem furę na rano, po czym wróciłem zadowolony do domu, do mojej żony i dzieci.

W noc przed wyjazdem na daczę pakowaliśmy się i rachowaliśmy, ile łóżek powinniśmy zabrać.

– Kucharka i gojka będą spały na jednym pościu, dla dzieci, oby zdrowe były, potrzeba dwóch, dla nas dwóch – to pięć...

– Nieżle – mówi moja Dworele. – Jednak służące nie są przecież chore, by nie mogły spać na podłodze... Jest lato – żadne to więc nieszczęście.

– Też racja – odpowiadam.

I zostaje, że trzeba zabrać cztery łóżka. Jakies parę godzin jeszcze podrzemaliśmy, a raniem przyjechał furman, by zawieźć nas na daczę.

5. Wyjeżdżamy

Zaczyna się „wygnanie” – Nasza gojka pierwszą „emigrantką” – Wyjazd domowników – Nieszczęśnik – Jestem „żywym bagażem” – Spóźnienie na tramwaj

Od samego rana w domu rwetes i rozgardiasz. Drzwi stoją otwarte na oścież, a furman z gojką wynoszą łóżka z pokoju, a z kuchni naczynia, sprzęty, niebieskie blaszane wiadra, poduszki i krzesła. Stół taszczy się we troje, kucharka dopomaga, dzieci przepychają się obok – wrze jak na jarmarku.

Kręcę się w kółko, nieborak, jak po świecie chaosu i nie wiem za co się chwycić. Biegam tak z jednej izby do drugiej niczym podtruta mysz. Tu czegoś dotknę, tam przełożę poduszkę z jednego miejsca na drugie, byle się wydawało, że coś robię. Chciałbym może i naprawdę coś zrobić – samemu zapakować naczynia, wynieść lampę, samowar czy coś innego. Boję się jednak mojej połowicy, która stoi i patrzy na mnie dziesięcioma parami oczu, i trzęsę się dosłownie na myśl, że miałbym cegokolwiek dotknąć.

Widzę właśnie, jak gojka z furmanem mozołą się nie mogąc wynieść stołu przez drzwi. Rozumie się, iż podbiegam do nich od razu i zaczynam dawać im rady.

– Weźcie go z boku – mówię – o tak... Przednie nogi najpierw... O tak... Teraz obróćcie się...

– Co tu wygadujesz, mój ty doradco? – słyszę nagle za sobą dźwięczny głos mojej połowicy i czuję, jak każde jej słowo pali mnie niczym rozpalone żelazo. Mój ty wielki znawco! Rady to ty potrafisz dawać... Może jednak wyglądałoby lepiej, gdybyś trochę pomógł... Ubrania pakować... Obrazy pozakrywać, zegar...

I sama biega z jednego kąta w drugi zaafierowana i przejęta. Nawet się nie umyła, nie uczesała, a w rozczochranych włosach ma pełno pierza. Na niezłą piękność mi wyglądała.

Ale nic to. Kto ma teraz czas przyglądać się takim głupstwom – toż to przecież jakieś pańskie maniery. Idę więc poszukać sobie jakiegoś zajęcia. Nie zauważam jednak przy tym, że zaczęłam kurtą o stojący na ławie dzbanek z mlekiem. Ani się obejrzałam, a już i dzbanek i mleko były na podłodze. Za dzbankiem od razu spadł kubek, za kubkiem talerz – i zaraz podniósł się wielki raban. Awantura na całego.

– Gwałtu! Rety! – słyszę dobiegający z kuchni głos. Jednym susem, niczym tygrys, moja żona znalazła się obok mnie przy rozbitych naczyniach. – Biada mi i memu życiu! Co ja mam z tym człowiekiem?... On mnie przecież wykończy...

Z jej oczu sypią się iskry, załamuje ręce, zgrzyta zębami i obrzuca mnie wszystkimi najgorszymi przekleństwami. Ja zaś stoję z opuszczoną głową, jak skazaniec, przyglądając się spustoszeniu, jakiego dokonałam i czekam, aż swoim zwyczajem da mi nauczkę, która mi się słusznie należy...

– Gwałtu! Rety! – zaczyna, obdarzając mnie przy tym paroma kuksańcami. – Wielkie nieba!... Czego chce ten człowiek od moich lat!?... Gdzie się nie obróci, zaraz szkód narobi...

Czuję jednak, że jej głos nagle jakby łagodnieje i złość jej przechodzi. Zapewne popatrzyła na moją żalostną minę i zrobiło się jej mnie żal. Dochodzę więc trochę do siebie i znów zaczynam oddychać – dotąd bowiem wstrzymywałam oddech ze strachu – a ona tymczasem odwraca się i idzie z powrotem do kuchni.

No i cóż mam powiedzieć? Jako że wyszedłem cało z tej afery, mogę też i wyrecytować stosowne błogosławieństwo na okoliczność uniknięcia wielkiego niebezpieczeństwa. Taki cud przytrafia mi się bowiem tylko od wielkiego święta. Pomyślałem jednak, że nie warto teraz plątać się jej pod nogami. Idę więc do drugiego pokoju, by tam znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Żona wchodzi za mną i myślę, że chce mi znowu prawić kazanie.

– Tobiaszu – mówi do mnie całkiem spokojnie i rzeczowo – może przysłoniłbyś zegar...

Kiedy usłyszałem te łaskawe słowa, ciepło rozlało się po wszystkich moich członkach, jakby po burzy zaświeciło słońce.

– Och – wołam, podskakując jak w gorączce i zabieram się natychmiast do pracy.

– Zostaw już, zostaw – mówi z uśmiechem. – Oj, niezdaro, nie potrafiłbyś nawet kotu ogona zabandażować.

I odbiera mi moją robotę, a ja zostaję znowu bez żadnego zajęcia.

Słowem, co tu dużo opowiadać, wprowadzie wszystko zostało, dzięki Bogu, zrobione, ale beze mnie. Ja tylko plątałem się pod nogami. Jedyne co robiłem, to stałem przy oknie i krzyczałem co chwilę do furmana:

– Ostrożnie! Ostrożnie!

To było całe moje zajęcie. I tak minął czas. Około dziewiątej patrzę – wszystko jest już pozamykane i pozasłaniane. Moja połowica i reszta domowników stoją ubrani, z koszami w dłoniach, z pakunkami i walizkami, gotowi do drogi.

Z zewnątrz dobiega stukot kół fury. Wyglądam przez okno – furman siedzi w górze na stole, a obok, obrócona do niego plecami, siedzi gojka z lampą w ręce i wyjeżdżają już, w szczęśliwą godzinę, na daczę.

Moja Dworele z dziećmi, oby żyły w zdrowiu, i z kucharką zasiadają w dorożce odjeżdżają szczęśliwie.

Tylko ja pozostaję sam w mieście. Moja połowica jednak o mnie nie zapomniała. Bynajmniej. Zostawiła mi ważącą ładnych parę pudów walizkę z naczyniami, którą to powinienem zabrać ze sobą na daczę, kiedy będę wyjeżdżał wieczorem. Na dodatek przykazała mi, bym przywiózł jeszcze ze sobą dziesięć funtów cukru, bańkę nafty, parę śledzi do zamarynowania, odebrał jej sukienkę od krawcowej i kupił jeszcze parę drobiazgów.

Dzieci! Jak źle by mi nie było – a teraz też nie jest mi lekko, nie myślcie – kiedy jednak wyszedłem na miasto i poczułem, że jestem wolnym człowiekiem, odmłodziłem o dwadzieścia lat, jak gdyby moje ciało przyoblekło się w nową skórę. Łatwo się mówi – a to taki ciężar z głowy! Dacza! Dziś oznajmiam radośnie – nastała wolność! Nikt tobą nie rządzi, żadnych wymysłów żony. Kiedy się chce, idzie się zjeść obiad, lub nic nie zamawiając siedzi w kawiarni, rozmawia o polityce, czyta gazetę.

Poczułem się więc przez chwilę wolny jak ptak w lesie i chciało mi się śpiewać i skakać z radości. Zaraz jednak przypomniałem sobie, że każdego dnia wieczorem będę musiał jeździć na daczę i znów życie nie było już takie przyjemne.

Ale stało się – nastał czas wygnania.

Tymczasem ani się spostrzegłem, a już zapadł wieczór i ja sam, we własnej osobie, muszę jechać na daczę.

Biorę zatem walizkę, którą moja żona, oby była zdrowa, mi zostawiła i ruszam na tramwaj, którym trzeba dojechać do drugiego tramwaju, który dojeżdża

do daczy. Myślicie, że robi się to tak szybko, jak się mówi? Nie takie to proste. Muszę jeszcze przecież wcześniej coś kupić. Zacząłem „składać wizyty”, biegając z jednego sklepu do drugiego. Wpadam do jednego sklepiku i kupuję dziesięć funtów cukru – znaczy się niosę już walizkę i cukier. Potem zaglądam do drugiego sklepu i kupuję bańkę. Poczekajcie – to jeszcze nie wszystko. W bańce musi być przecież nafta – dźwigam już więc wszystko jak należy: walizkę, cukier, bańkę nafty, do tego jeszcze sukienkę, którą odebrałem od krawcowej oraz sześć śledzi do zamarynowania. Poza tym chciałem po prostu zrobić małą niespodziankę mojej polowicy i kupiłem dwie kwarty czerwonych wiśni.

Idę więc już taki obładowany jak wielbłądy Eliezera i sam siebie nie widzę. Dosłownie nie mogę dojrzeć mojego ciała – ani rąk, ani nóg, zupełnie nic – tylko same pakunki naokoło. W ustach trzymam przygotowanego na tramwaj dziesiątaka, bo rękoma nie mogę poruszyć, a o tym, by sięgnąć do kieszeni, nie ma nawet co mówić. Słowem, tak obładowany dowlokłem się do tramwaju. Konduktor jednak okazał się łajdakiem – nie chce mnie w żadnym razie wpuścić z bagażem, oby go choroba wzięła. Błagam go o litość: Okrutniku jeden, postawię się gdzieś w kąciuku, obok maszynisty, gdziekolwiek! Nie i nie, choćbyś go pokroił – wszystko na próżno. Czekam więc tak – jeden, drugi, trzeci tramwaj i żaden nie chce mnie zabrać. Dzięki Bogu w końcu jeden konduktor zlitował się nade mną i pozwolił mi wraz z moimi paroma ciężarami stanąć gdzieś z boku na platformie. Stoję więc już w wagonie, ale jak na rozżarzonych węglach – a co jeśli spóźnię się też i na następny tramwaj.

Pytam więc konduktora:

– Panie kochany, czy jeszcze zdążę?...

– Tak – mówi – na pewno. Będzie pan musiał jeszcze parę minut poczekać.

I rzeczywiście przybyliśmy na czas.

Kroczę z jednego tramwaju do drugiego, obładowany, ale w wielkim stylu. Lecz jeśli pisane komuś nieszczęście – czy pomogą coś narzekania? Wypadają mi z ręki wiśnie. Gdy chcę je złapać, wysypuje mi się cukier. Wtedy zaś przejeżdża fura i rozgniata mi moje piękne, czerwone wiśnie na miazgę. No, w takiej chwili może się trochę serce ścisnąć, myślicie. Ale nic to, stało się! Zbieram już od nowa bryłki cukru i wpycham je w papierową torbę, do kieszeni, w poły marynarki i biegnę do tramwaju. Stoję już jedną nogą na stopniu, dosłownie już jedną nogą... Mamy jednakże wielkiego Boga na świecie i on wie co robi – odjechał mi więc tramwaj sprzed nosa i zostałem, stojąc jak niepyszny, z całym bagażem.

No, zapewne wiecie, co to ból serca!? Powiedzcie! Zapytajcie mnie, a powiem wam co to takiego ból serca, co to zmartwienia, niedola i męka.

Potem powiedziano mi, że na następny tramwaj trzeba czekać pół godziny.

Przepadło! Postawiłem rzeczy na ziemi, obtarłem pot, obrzuciłem parę razy wzrokiem miejsce, gdzie pogrzebałem moje piękne czerwone wiśnie – i czekałem.

6. Na daczcy

Szolem alejchem mojej połowicy – Pierwsza przyjemność – Sąsiedzi przychodzą w gości – Szuka się „ręki” – Kobieta „wojna” – Spazmy na daczcy.

Załamany, utrudzony, nie czując rąk ani nóg, z obolałymi bokami, w pogniecionym kapeluszu, wycieńczony i wygłodniały – przybyłem na daczę.

Gdy tylko znalazłem się na progu, wyszła mi naprzeciw moja połowica ze słowami powitania.

– Nie można się było na ciebie doczekać – padło, gdy otworzyła swój słodki pyszczek, po czym zaczęła wyrywać mi pakunki z rąk. – Wielkie nieba! Gdzie słyszano, żeby ktoś tak nie poczuwał się do żadnej odpowiedzialności za dom... To ja niewiasta, słaba i chora nieboga muszę sama taszczyć łóżka, wbijać gwoździe w ściany i wnosić ciężki stół ze służbą. Było mi przecież tak wstyd przed sąsiadami...

Ostatnie parę słów wypowiedziała już ze łzami w głosie.

– A cóż ja jestem winien, Dworele – przymilałam się do niej, zapominając już o mojej własnej niedoli. – Nieszczęście... Chwilkę, jedną sekundę spóźniłem się i tramwaj uciekł mi sprzed nosa...

– Oj, niedzaro ty moja! – zaczyna załamywać ręce i mierzy mnie od stóp do głów takim spojrzeniem, że sam czuję się już całkiem jak słaba niewiasta. – Takiemu zawsze coś się przytrafi...

Jak znalazłem się wewnątrz domu – to znaczy daczcy – nie pamiętam, gdyż tak byłem zmieszany powitaniem, które mi zgotowała. Czy pomogła mi i popychała, czy też sam się dowlokłem – tego nie potrafię wam powiedzieć. Pamiętam tylko, że coś jakby mnie przeniosło przez kuchnię do pokoju, a stamtąd wyrzuciło na werandę, gdzie opadłem omdlały na krzesło i tam już pozostałem, siedząc w oszołomieniu.

Wydaje mi się, że myślałem wtedy o sułtanie. Serce bolało mnie na myśl, iż Najwyższy tak nieboraka pokarał, że musi mieć on sto żon...

– Jedna też przecież wystarczy, by uczynić czyjeś życie nieszczęśliwym – rozmyślałem sobie. – Dlaczegoż więc musi ten nieborak tak cierpieć?

I gdy siedzę tak pogrążony w rozważaniach, błędząc myślami po Turcji, otwierają się nagle drzwi na werandę i wpada Maniczka Grinblat ze swoim mężem Maksem i trójką dzieci: Salcią, Belcią i Władkiem. Robi się gwarno i zanim jeszcze zdążyłem się obejrzeć, wyciągają się w moją stronę dwie ręce naraz.

– Niech się szczęści – mówią mąż i żona równocześnie. – Piękna dacza... Rzeczywiście wspańska... To nam ją zawdzięczacie...

– Ach tak? – otrząsam się, jak wyrwany z głębokiego snu i jednocześnie chciałbym ich rozerwać na sztuki, za tę przysługę, którą mi wyświadczyli. Uśmiecham się jednak tylko i mówię: – Oczywiście, niezła dacza... Całkiem niezła... Wszystko niezłe...

I aż łzy stają mi w oczach. Ujrzawszy jednak stojącą nagle w progu moją połowicę, przybieram wesołą minę i nie przestaję się uśmiechać.

– Mój mąż, oby żył długo, nie ceni sobie zbyt dacz – odzywa się z taką słodką kokieteryą i zalotnością w głosie, jakby nie było dla niej nic droższego na świecie, niż jej „ukochany mąż”. – On uznaje tylko zagranicę...

I obrzuca mnie przy tym takim spojrzeniem, że dreszcz przenika całe moje ciało.

– A cóż ty myślisz, Dworele – odpowiadam z uśmiechem, przypochlebiając się żonie, jakbym dopiero co wziął z nią ślub. – Oczywiście, że za granicą jest lepiej... To dopiero przyjemność... Można kąpać się w morzu i używać życia...

Połąpałem się jednak zaraz: biada mi, cóż ja robię... Opowiadam sobie tak całkiem lekko i beztrasko o zagranicy, wychwalając morskie kąpieliska, jak gdyby nikogo to nie obchodziło. Całkiem zapomniałem, że może to pobudzić apetyt mojej połowicy i czekał mnie będzie potem burzliwy pobyt na dacz i ponury koniec. Postanawiam uważać i nie mówić więcej o kąpieliskach. Chcę już skierować rozmowę na inny temat, czuję jednak, że odebrało mi mowę. Widzę bowiem kątem oka, że mojej żonie kolory wystąpiły na twarz.

– A co mi po tych wszystkich historiach – mówi nagle Maks Grinblat, ratując mnie tym po prostu. – Niech pan mi lepiej powie, panie Tobiaszu, jak to teraz u was: jesteście przed jedzeniem, czy po jedzeniu?

Słyszając słowo „jedzenie” zaczynam aż cały drżeć. Żarty żartami, a ja jestem śmiertelnie głodny, konam z głodu, mdleję, prawie całą dobę nic w ustach nie miałem.

– A dlaczego pan o to pyta? – mówię, śmiejąc się sztucznie, a w sercu myślę sobie: Co za lichy cię tu teraz przyniosło...

– A to dobre, doprawdy – odpowiada Maks. – Jak to, dlaczego o to pytam? Taki człowiek, jak pan powinien już sam zrozumieć – brakuje nam „ręki”...

– Sza – wpada mu w słowo Maniczka. – Dlaczego nie zapytasz wpierw, czy może być „ręka”...

– Już mu kiedyś proponowałem – odpowiada Maks. – Całkiem nieźle gra, nieważne jaki to „instrument” – czy to preferans, telefon, czy oczko... Panie Tobiaszu, pamięta pan...

W tym momencie rozkaszałem się i nie pozwoliłem mu dalej mówić. Robiłem się na przemian czerwony, zielony i blady, usłyszawszy, że chce zacząć opowiadać, jak to grał już ze mną w karty. Miałbym nie lada kłopoty, gdyby moja połowica się o tym dowiedziała. Ale Maks zrozumiał w lot, o co chodzi i zamilkł.

Siedzę więc i marzę o jedzeniu. W żołądku burczy mi tak, jakby przechodził tam pułk żołnierzy. Panie Wszechświata – modłę się w duchu – spraw, aby poszli już sobie do wszystkich diabłów. Kto ich tutaj prosił? A tu całkiem jakby na złość Maks rozsiada się wygodnie przy stole, a obok niego Maniczka i ich troje dzieci

– Salcia, Belcia i Władek i ani myślą zostawić mnie w spokoju. Tak mnie irytują i zawracają głowę, iż myślałem, że mnie zółć zaleje.

Gwałtu! – chce mi się krzyczeć. Dlaczego uwzięliście się na mnie? I czuję, że zaraz tu, na ich rękach zemdleję. Niewiele brakowało, a podniósłbym się z miejsca i wrzasnął:

– Wynoście się stąd do wszystkich diabłów! Obzarliście się i opili – pozwólcie też i innym żyć.

Jednak właśnie w tym momencie usłyszałem rejwach na podwórku i od razu rozpoznałem głos mojej Dworele.

– Co za bezczelność! – słyszę, jak krzyczy. – Nastawić samowar dokładnie pod naszym nosem, żeby dym szedł prosto do mieszkania... I tacy to przyjeżdżają na dacz!...

– Patrzcie tylko, jaka wielmożna pani – słyszę już drugi głos. – Do niczego innego nie przywykła, tylko na daczach bywać... Wielka dama się z niej zrobiła...

– Słuchajcie tylko, słuchajcie! Któż to się ze mnie śmieje? Córka pułkowego krawca.

I zaczynają wykrzykiwać na zmianę:

– Szewcowa!

– Służąca!

– Wojskowa krawcowa!

– Podła sztuka!

– Zapłać lepiej rzeźnikowi...

– Oddaj chustę, co to ją ukradłaś...

Wrzaski wznoszą się aż do nieba. Moja połowica w międzyczasie kopnęła ze złości samowar, przewracając go do góry nogami.

Wchodzę na podwórko – a tam moja Dworele i sąsiadka stoją naprzeciw siebie, gotowe wydrapać sobie oczy. Tymczasem nadchodzi też mąż sąsiadki, jej córki i synowie. Do tego inni sąsiedzi zbiegli się, jak na widowisko – i robi się z tego wielka afera. Na całe szczęście Maniczka i Maks wmieszali się w sprawę, rozdzielili obie kobiety i zaprowadzili je do domów.

W mieszkaniu mieliśmy jeszcze małe pokłosie awantury: moja Dworele z poirytowania dostała spazmów, śmiała się i płakała. Przyniesiono krople, przykładano wilgotną chusteczkę do głowy, a ja w tym samym czasie dostawałem zasłużone połajanie.

– Obyś miał takie szczęście, jakim mężczyzną jesteś – mówi nieboga z jękiem. – Widzi, że się mnie znieważa i siedzi sobie spokojnie, jakby go to nic nie obchodziło...

– Kto? Ja? A skąd niby miałem wiedzieć, co tu się dzieje – próbuję się bronić.

– Oj, Boże jedyny, zabierz mnie już z tego świata – lamentuje znowu. – Taka gruba świnia z podwójnym podbródkiem nazwała mnie służącą...

Słowem, kosztowało mnie to jeszcze niemało zdrowia, zanim ją uspokoiłem i dopiero około dwunastej w nocy zrobiło się u mnie na daczynie zupełnie cicho. Gdy moja Dworele leżała już w łóżku, zakradłem się do kuchni i uprosiłem kucharkę, by dała mi coś do przegryzienia.

– Popatrz no – słyszę nagle dobiegający z sypialni, jęczący głos mojej żony. – O siebie to potrafiś zadbać. A dlaczego nie zapytałeś, czy ja już coś w ustach miałam?... Cały dzień na nogach, zaharowując się jak osioł, a do tego jeszcze taka gruba świnia tyle krwi mi napsuła...

Siedzę, smaruję sobie chleb masłem, przygryzając do tego z apetytem smaczne, zielone ogórki – i milczę.

Jakąś godzinę później śpię już jak zabity.

7. Doczesne przyjemności...

Doczesne przyjemności – Mój odpoczynek na daczynie – Największa przyjemność – hamak – „Poezja” mojej połowicy – Nasz „folwark” – Uczę się, jak zostać kolonistą.

Czyż jest na świecie coś lepszego, niż daczyna? Złego słowa nie można powiedzieć!

Jak to mawia moja połowica? Mogę się obejść bez tamtego, przyszłego świata razem z rajem, z Szor Haborem i z wszystkimi wykwintnymi potrawami, w zamian za tę jedną jedyną doczesną przyjemność – daczynę.

I ma rację, bo cóż mi po iluzjach? Jakich jeszcze innych, doczesnych przyjemności może spodziewać się taki człowiek jak ja – obarczony pół tuzinem dzieci, oby były zdrowe i silne, ciągle zajęty, wiecznie zapracowany i zabiegany, by zarobić na utrzymanie, nie mający nigdy spokojnej minuty, żadnej pogodnej godziny, oby nie zgrzeszyć słowem. Jakież to niby przyjemności mamy więc jeszcze oprócz tej daczyny? Kiedyż to mógłby taki śmiertelnik, jak ja, rozprostować od czasu do czasu obolałe, zeszytniałe kości? Albo leżeć sobie na trawie jak hrabia i oddychać głęboko świeżym, wspaniałym powietrzem, wdychając słodkie wonie i zapachy oddalonego o pół wiorsty sosnowego lasu i ... stodoły, która stoi blisko, zaraz pod nosem?

Kiedy, pytam więc was, mógłbym zażywać takich przyjemności?

Przychodzę sobie, na ten przykład, wieczorem na daczynę. W pierwszej kolejności zdejmuję ciężkie buty i wsuwam stopy w pantofle. Od razu oczy mi się rozjaśniają, bowiem, oby wam się to nigdy nie przytrafiło, odciski dokuczają mi i męczą tak, że nieraz żyć mi się odechciewa.

Jak to się mówi – nigdy nie wiadomo, jak kogo odciski uciskają. Dla mnie zaś to prawdziwa udręka.

Ale na daczynie nie pozwalam im komenderować. Nic z tego! Zakładam tylko stare, podziurawione pantofle i zaraz zapominam, że kiedykolwiek miałem odciski.

Potem, kiedy stopy już trochę odpoczęły, zrzucam z siebie chomąto – to znaczy kołnierzyk i gors, po czym zakładam na siebie starą alpakową marynarkę z taką „wentylacją” z przodu i z tyłu, że powietrze dochodzi ze wszystkich stron. A kiedy wkładam do tego jeszcze cyklistówkę – przysięgam wam, że nie rozpoznalibyście mnie wcale. Pomyślelibyście, że to jakiś właściciel ziemski. Tak wtedy wyglądam.

Następnie, rozumiecie, gdy wszystkie członki mego ciała są już wolne, wychodzę sobie swobodnie, z rękami w kieszeniach na podwórko i oglądam sobie tę moją posiadłość – trochę trawy, piachu i dwa drzewka, które stoją, niebogi, jak dwie samotne sierotki oddalone o wiorstę jedno od drugiego. Zapalam sobie dobrego papierosa, wypuszczam dym i wdycham wspaniałe sosnowe powietrze. W ten oto sposób dochodzę do hamaka.

– Hamak – mawia moja połowica – musiała wymyślić jakaś tęga głowa... Nie ma lepszej rzeczy – twierdzi – nic piękniejszego na świecie niż leżeć w hamaku i marzyć...

Moja Dworele, musicie wiedzieć, nie jest zwykłą, prostą kobietą. Zna hebrajskie pismo i lubi czasami tak pomarzyć, jak wszystkie dzisiejsze damy. Gdy opowiada mi coś czasem, leżąc tak i kołyszac się w hamaku, zapatrzona w niebieskie niebo, księżyc i gwiazdy, cała rozanielona – wtedy, jak wam to powiedzieć... mam wrażenie, jakby czytała wprost z książki tego polskiego pisarza – jak on się nazywa... – Mickiewicza, tak. Ale dokładnie, mówię wam, ze wszystkimi szczegółami, tak jak on to opisywał – z ptaszkami, kwiatami, stawami. Czysta poezja.

Nieraz trochę jej zazdroszczę i też chciałbym tak pomarzyć, odgadując przy tym tajemnice gwiazd. Kładę się wtedy w hamaku, zaczynam się kołysać i przyglądać niebu. Patrzę więc, tyle że niestety, gdy tylko zaczynam błędzić wzrokiem pomiędzy Odwiecznym i jego aniołami tam w górze, od razu zasypiam. I to jak zasypiam – słycać aż na drugim podwórku, u sąsiadów. Poezja to w każdym razie nie jest – co to, to nie.

Ale hamak to wspaniała sprawa, absolutnie pierwszorzędna rzecz...

No i dacza to też niezła rzecz, daję słowo, całkiem niezła. Gdyby tylko nie kosztowała takiego morza pieniędzy i gdyby nie miało się przy tym tylu zmartwień i kłopotów, bieżaniny, gonitwy i jeżdżenia tam i z powrotem z miasta na daczę i z dacy z powrotem do miasta – byłoby już całkiem dobrze.

Innym jeszcze mankamentem jest to, że trzeba ciągle taszczyć ze sobą pakunki. Nie miałem zaprawdę ani jednego dnia, żebym nie musiał przyjechać obładowany bagażem. A to trzeba przynieść dziesięć funtów cukru, to znowu parę funtów faryny, gdyż moja Dworele, oby była zdrowa i silna, jest przecież gospodynią co się zowie, oby żyła do stu dwudziestu lat, więc lubi usmażyć trochę konfitur na zimę. Innym razem znowu okazuje się, że trzeba odebrać dziecięce ubrania z „pralni chemicznej” lub przynieść paszę dla kaczek i gęsi.

Czy wiecie choć cóż za złota gospodyni z tej mojej Dworele – błogosławieństwo niech spłynie na jej głowę. Czy dla niej dacza jest, jak dla wszystkich innych ludzi, po prostu dacza, w której można przeżyć parę tygodni?

U niej to prawdziwy folwark: wokół kręcą się kaczki i kurczaki, na podwórku pasą się gęsi, w kuchni i w pokojach pełno piór, a całe ptactwo załatwia się przed drzwiami i przed werandą – jak u prawdziwego dziedzica...

Zdarzyło się raz, wracam wieczorem z miasta na daczę, wciągam na siebie moje daczowe ubranie – a tu słyszę już:

– Tuweniu, idź, nakarm drób... Wystaw miskę wody... Bądź choć raz gospodarzem!...

Oczywiście nie mam zbytnio ochoty i rzucam okiem na hamak – moje jedyne źródło przyjemności, więc zaraz popędza mnie, dodając uszczypliwie:

– Oj, oj, oj! Nie bez powodu mówi się o Żydach, że nie nadają się do pracy na roli... Chciałeś przecież kiedyś jechać do Ziemi Izraela i zostać tam kolonistą! Ha?!

To, widzicie, już mnie zirytowało. Sprawa dotyczyła przecież mojego honoru. Łapię więc w ręce wiadra z owsem i jęczmieniem, po czym ruszam karmić drób. Jak kolonista – to kolonista.

– A sio! A sio! A sio! – zaczynam przywoływać kaczki i gęsi.

Nagle na całym podwórku rozlega się śmiech. Śmieją się sąsiedzi, służba aż zrywa boki a moja połowica stoi w kącie i dusi się ze śmiechu. Gdzie się obróć, wszędzie hi-hi-hi, cha-cha-cha...

– Oj, ty moja niezdaro – woła moja żona ze śmiechem. – Ładny z ciebie kolonista... Czy tak się przyzywa kaczki lub gęsi? W ten sposób przecież odgania się świnię...

I znów wszyscy się śmieją. Córeczka sąsiadów podchodzi do mnie i zaczyna mnie pouczać, jak należy postępować z drobiem.

– Kiedy woła się kaczki – mówi – trzeba robić: taś, taś, taś, a kurczaki woła się: cip, cip, cip...

Ja, nieborak, stoję jak golem, jak uczniak i nie wiem, gdzie się podziać ze wstydu. Z trudem dowlokłem się do hamaka. Tyle, że cała przyjemność wyszła mi już bokiem.

Ale nic to. Przynajmniej nauczyłem się, jak karmić kury i kaczki. Potrafię już też całkiem niezłe pomagać w kuchni i przy smażeniu konfitur, kiedy trzeba. Moja połowica, oby była zdrowa i silna, robi ze mnie gospodarza.

I jeśli pisane mi pojechać kiedyś do Ziemi Izraela, będę już kolonistą całą gębą.

8. Goście

Wspomożycielka i działaczka – Dzień kwiatów w mieście – Zabawa Towarzystwa Wspierania Biednych – Skutki dobroczynności – Nieproszeni goście – Odchorowujemy wizytę.

Pewnego pięknego poranka patrzę, a moja połowica czyni wielkie przygotowania, szykując odświętne ubrania dla siebie i dzieci, oby były zdrowe.

– Wiesz – mówi do mnie – pojutrze mamy przecież dzień kwiatów w mieście, a za tydzień od niedzieli, jeśli Bóg pozwoli, odbędzie się zabawa Towarzystwa Wspierania Biednych.

– Cóż za szczęście moją babcię spotkało – odpowiadam jej. – Wygląda na to, że nie mam żadnych innych problemów...

– Cóż to znaczy? – mówi – Człowiek nie żyje tylko dla siebie samego. Trzeba też czasami wspomóc chorych i biednych.

– O tak! – wołam pozornie poważnym tonem. – Ty wspomagasz przecież cały świat...

– Oj, oj, oj! – zaczyna lamentować. – Cóż ja mam za życie! Że też musiałam akurat tobie wpaść w ręce... Możesz się teraz ze mnie śmiać... Niechbym tylko była żoną innego – o, wtedy wyglądałabym już całkiem inaczej... Wtedy dopiero byłabym współmęczennicą...

Pomyślałem sobie, że lepiej będzie milczeć. Zrozumiałem, że posunąłem się trochę za daleko i jeśli wdam się z nią teraz w długie dyskusje i uskarżanie się, to przyjdzie mi za to gorzko zapłacić. To wiem już z doświadczenia. Zamilkłem więc zupełnie i nic nie odpowiadałem. Ona zaś siedziała i tylko krew się w niej gotowała. Wystarczyłoby, żebym powiedział jedno słowo, a rozpaliby się jak ogień.

Mogę się wam zresztą przyznać – po cóż miałbym się wypierać – że lubię tak czasami zależeć jej za skórę, podręczyć ją bez żadnego powodu. Sam nie wiem, dlaczego. Jest to u mnie jakiś rodzaj obsesji, szaleństwa, że kiedy mówi do mnie, muszę jej odpowiedzieć na przekór, zawsze odwrotnie – ona mówi „jest noc”, ja mówię „dzień”, ona mówi „dzień”, ja na to „noc”.

Lecz prawdę mówiąc, czy wiecie choć, co z niej za złoty człowiek, jaką ma szlachetną duszę, jakie złote serce?! Pomiędzy tysiącem kobiet, Boże uchwaj, czy znaleźlibyście jedną, która mogłaby się z nią równać. Myślicie, że żartowałem tylko nazywając ją „wspomożennicą”? Ona jest nią naprawdę. Przede wszystkim jest gabajką we wszystkich kobiecych organizacjach pomagających ubogim położnicom, a w towarzystwie Hachnasas Kalo to ona sieroty pod ślubny baldachim prowadzi. Kogo spotykają kłopoty, nieszczęście – przychodzi do niej, gdy trzeba iść i złożyć datek dla zubożałych rodzin – zawsze ją tam znajdziecie. Na obchodach dnia kwiatów, na zabawie jest jedną z pierwszych. Tu sprzedaje bilety, tam serwuje jedzenie, tu znowu stoi przy drzwiach, a tam słuuguje. Czasami znów musi nagle rzucić wszystko i biec na posiedzenie, gdzie znika do połowy nocy. Słowem, jeśli ją spotkacie – bez przerwy zajmuje się dobroczynnością i żyje tylko dla innych.

Tak więc, gdy nadszedł dzień kwiatów, moja żona wystroiła się od stóp do głów, wyszykowała dzieci i wyruszyła do miasta. O mnie nie ma nawet co wspominać – miałem, nieszczęsny, ciężki dzień i zjadłem tyle co nic. Błakałem się samotnie, jak po świecie chaosu i ani w mieście, ani na daczce głowy na chwilę nie złożyłem. Ale tak to już jest, gdy ma się żonę, która udziela się społecznie. Trzeba się przyzwyczaić do przeżywania ciężkich chwil. Dla mnie to już, dzięki Bogu, nic nowego.

Za parę dni znów to samo – moja Dworele jedzie do miasta na zabawę Towarzystwa Wspierania Biednych. Znowu więc ciężar spada na moją głowę – cały dzień głoduję i nie wiem, gdzie się podział.

Późnym wieczorem przyszedłem na daczę. Siedzę sobie tak na werandzie, sam jeden, omdlewając z głodu – cały dzień przecież pościłem – a tu dostrzegam nagle, że moja droga żonka wlecze się razem z dziećmi. Dzięki Bogu, wróciła z miasta, z dnia kwiatów, naharowawszy się tam jak osioł dla ubogich, dla biednych ludzi, oby Bóg nie pokarał za słowa. Patrzę jednak na nią i – biada mi – toż to jakby całkiem nie moja Dworele. Kapelusz pognieciony i zsunięty na jedną stronę, twarz wykrzywiona, w rozczochranych włosach pełno piasku i konfetti, a jej piękna biała suknia zakurzona i wybrudzona tak, jakby się, za przeproszeniem, wytarzała w błocie. Dosłownie jej nie rozpoznawałem. Dopiero gdy była już w mieszkaniu i zaczęła krzyczeć na służących – przy okazji i mnie się oberwało – zaraz znowu poznałem, że to moja Dworele, ta sama.

Śmiertelnie zmęczoną, ledwo przytomną, obolałą położyliśmy ją do łóżka i ledwo co ocuciliśmy szklanką herbaty. Jeść biedaczka nie mogła – dosyć się już nałykała kurzu.

– Tuwenu – mówi do mnie – czy ty chociaż coś przegryzłeś?

– Patrz no, też mi zmartwienie – mówię. – Jeszcze zjem. Trapi mnie tylko, że sobie tak zdrowie rujnujesz...

Skończyło się na tym, że moja Dworele, nieboga, cztery dni nie mogła zwlec się z łóżka. Oto co ma się z tej całej dobroczynności. Kiedy piątego dnia podniosła się i zaczęła już trochę wychodzić, patrzymy, a tu Wajnsztok z żoną, z siostrą żony, ze studentem, z dwójką dzieci, z dzieci przyjaciółką – przyszli w gości.

– Ach! Ach! Jakich mamy drogich gości – zawołała moja żona i wybiegła im naprzeciw. – Och! Och! Cóż za goście...

A zawoławszy mnie do kuchni, mówi do mnie z gorzkim uśmiechem:

– No i masz ci kłopot... Nic nie powiesz na to? Spotkałam ich na zabawie, w ogrodzie i opowiedziałam im, że wynajęliśmy daczę. Kiedy już tak rozmawialiśmy, zaprosiłam ich w gości... Nie miałam wcale tego na myśli, bynajmniej. Tak się przecież tylko mówi... Cóż powiesz? Wajnsztok to mój krewny... No i masz tobie – Witam dobrodziejkę – a z nim cała rodzinka...

Zaraz jednak wybiegła z kuchni i zawołała z wesołą miną:

– Oj, oj, oj, co za wspaniali goście...

Oj, szelma z tej mojej Dworele, oby żyła zdrowo, oj szelma!... Jak gdyby nigdy nic – w sercu ból, a na twarzy uśmiech. Nie minęła minuta a stół był już zastawiony wszelkimi przysmakami – konfiturami, cukierkami, czekoladą, jabłkami, gruszkami i czym sami tylko chcecie. Myślicie, że dużo z tego zostało? Boże uchowaj – sprzątnęli wszystko, co było na talerzach, oby złe spojrzenie im nie zaszkodziło, jakby konali z głodu. Ale też nic dziwnego – bez uroku siedem, osiem osób, a jeszcze trzeba siebie do tego dodać...

Następnie wybrano się pospacerować trochę w lesie, a później znowu coś przekąszono. Oj, to ci dopiero była przekąska – oddano im resztkę śmietany, kropelki mleka nie zostawili. Świeże jaja, które moja połowica kupuje od goja ze wsi dla dzieci, oby były zdrowe i silne, sobie samej żałując, by skosztować czasem jedno – zjedzono co do ostatniego. Licho ich wie, skąd wziął się u nich taki apetyt, całkiem jakby przybyli z jakiejś krainy głodu.

Tymczasem zrobiło się późno i trzeba było już wracać z powrotem do miasta.

– Gdzież to będziecie jeździć tak późno? Zostańcie i przenocujcie tutaj – powiedziała półgębkiem moja Dworele.

– Też racja – powiedział Wajnsztok patrząc na swoją żonę i na szwagierkę. – Gdzie będziemy się teraz włóczyć? Zostańmy już lepiej tutaj.

Że moja Dworele nie dostała apopleksji, oby przytrafiło się to moim wrogom, to był, mówię wam, istny cud. Ja stałem, jak rażony gromem, nie czując rąk ani nóg. Ale przepadło, przepadło – cóż robić? Zapewne tak było przeznaczone.

Kiedy pierwszy szok minął, moja Dworele rzuciła się do kuchni, dając mi znak. Wchodzę, a ona patrząc na mnie wielkimi oczami zaczyna podszczypywać mnie z emocji i zwraca się do mnie słodkim głosem, śmiejąc się:

– No, jak ci się podoba ta historia? Tu-we-niu, Tu-we-niu! Nie ma już przyzwyczajonych ludzi na tym świecie!... Komu przyszłoby to do głowy? Jeszcze nie zdążyłam do końca powiedzieć, a oni już zostają... Toż to grubiaństwo... Przychodzą do innych i wchodzą na głowę... Ale przepadło już, sza, przepadło...

I podszczypuje mnie znowu w afekcie, jak gdyby tu ze mną jakiś grzech popełniała.

Trudno, stało się, cóż zrobić? Musiałem odstąpić moje łóżko madame Wajnsztok. Jej siostra spała z moją Dworele, panu Wajnsztok i studentowi zrobiono posłanie na kanapie, dzieci położono do snu z moimi dziećmi, a ja, kozioł ofiarny, poniewierałem się po podłodze, leżąc na starych paltach, owinięty szalem, postępując całą noc. Kto mi źle życzy, niechby taką noc przeżył...

Rankiem jeszcze nakarmiliśmy i napoiiliśmy ich – i ledwo co zdołaliśmy się od nich uwolnić.

Dzieci potem przez cały dzień wciąż ziewały i ziewały. Tego bolał bok, a tamtego znów rączka. Moja Dworele przez trzy dni nie mogła dojść do siebie,

a ja wciąż tylko jadłem i spałem. Do tego jestem słabowity i przeziębilem się, leżąc na podłodze – więc jadłem, spałem i kaszlałem...

No, w każdym razie wiecie już, co to takiego dacza i jakie wiąza się z nią męczarnie.

9. Tęsknota za miastem

Żli sąsiedzi – Żłodziejka kurczaków – „Oko za oko” – Kobięca wojna – „Zimna kąpiel” – Tęsknota za miastem – Skąd wziąć na komorne?

– Jeśli Bóg mi pomoże – mówi do mnie moja połowica pewnego pięknego poranka, rozparta niczym hrabianka na leżaku rozłożonym obok werandy – żebym dożyła tego, że... żebym znów była w mieście... Sąsiadów mamy tu na daczach takich, że strzeż Panie Wszechświata przed takimi kreaturami... Chciałabym już od nich uciec...

– A widzisz, Dworele – wołam. – Sprawdziły się moje słowa...

– Głuptasku – mówi znowu do mnie z pobłażaniem. – Nikt nie jest przecież aniołem... Ale posłuchaj tylko o chucpie tej grubej świni, naszej sąsiadki, fabrykantki jak mówią... Posłuchaj tylko o jej chucpie! Kupuję trzy kurczaki, piękne kurczaki, powinieneś zobaczyć, jak złoto... Umyślnie nadłożyłam kawałek drogi do wsi, do goja i tam wytargowałam je po trzydzieści kopiejek za sztukę. Przynoszę je do domu i robię jeszcze na nich znak: zawiązałam im czerwone wstążeczki na nóżkach i tak je potem wykarmiłam i wychuchałam. Przychodzi sąsiadka i twierdzi, że jeden kurczaczek jest jej... Zginął jej, mówi, kurczak, i akurat spodobało się jej, że to jeden z moich trzech kurczaczków... Od razu rozpoznała, że to jej, bo też miała znak – miał taki czubek na główce... No i zrób jej coś... Myślisz, że go nie zabrała? Żeby ją zaraza... Nie chcę jej jednak przeklinać, bo jest matką, ma dzieci – niech ją więc ominie, czego ja jej życzę... Kurczaka zarżnięto i pożarto...

– No a ty milczałaś? – wołam już ze złością. – Cóż to znaczy? Zrobiła przecież z ciebie złodziejkę...

Moja Dworele składa leżak i rusza w stronę mieszkania.

– A co miałam jej zrobić? – odpowiada mi, wchodząc do kuchni. – Miałam się z nią bić? Pomyślałam sobie – niech stracę... Tylko że nie dawało mi to spokoju... Po namyśle więc złapałam jej kaczkę i zamknęłam ją u mnie w komórce... Niech mnie choroba weźmie, jeśli ją jej oddam...

– No a cóż ona zrobiła?

– Ona! O nią pytasz?... Wybiegła na podwórko i otworzyła tę swoją gębę, oby się jej zatkała, i zmieszała mnie z błotem... Obrzuciła mnie stekiem najgorszych przekleństw...

– No i co zrobiłaś?

– A czy pasuje to do mnie, by wdawać się w kłótnię z taką przekupką... Ale nic to, ode mnie też jej się nieźle dostało... Już się jej nie spodobała „świńska mordą”...

– No a ona?

– No a on, no a ona, no a ty – moja Dworele wpada nagle w złość i zaczyna mnie przedrzeźniać. – Patrzcie go, jak siedzi sobie taki zupełnie obojętny... Ty zimny draniu, ty... Nic zupełnie go nie obchodzi, że kąpią się w mojej krwi... Powinnam się uwolnić wreszcie od ciebie i całego tego domu... Panie Wszechświata! Czy inny mężczyzna też byłby milczał... Gdyby przytrafiło się to innemu, już by ją dziesięć razy spoliczkował...

– Ty głuptasku – wołam, podrywając się z brawurą. – Cóż to znaczy? Już idę i tak ją w pysk strzelę, że jej zęby wypadną...

I robię minę, jakbym chciał wyjść z mieszkania, by natychmiast porachować się z sąsiadką.

– Tak nie można, tak nie można – mówi do mnie Dworele przybierając żalostną minę. – Zostań lepiej w domu... Już wystarczy... Wczoraj cały dzień płakała i dostawała spazmów... Ale to twarda sztuka... Myślisz, że jeszcze płacze? Nie, jeszcze lepiej – poskarżyła się mężowi, że wylała na nią miskę brudnej wody...

– Gdyby to była prawda... Chyba urwałbym jej głowę... – wołam.

– A cóż myślisz, że sama to sobie wymyśliła? Tak ją oblałam... Niczego sobie... Zrobiłam jej porządną kąpiel... Cóż ona sobie myśli, że będę milczeć? Tak myśli? Posłuchaj no, co za bezczelność! Mało jej było, że zabrała mojego kurczaka, to jeszcze zrobiła się z niej gospodyni całą gębą i zaczęła zbierać szyszki... No i dobrze. Zbiera szyszki u siebie przed domem – jak dla mnie może się nimi udławić... Kogo to obchodzi? Też mi wielka sprawa – szyszki. Podobno nieźle można nimi do ognia przyłożyć, dobrze się pali... Jej jednak wszystkiego na świecie za mało – włązi więc jeszcze do nas przed drzwi wybierać nasze szyszki, z naszych sosen... Widziałeś kiedyś taką bezczelność?! I myślisz, że sama? Ona, jej dzieci, służąca – wszyscy zbierają. I cóż zrobiłam? Zobaczyłam, że dziewczka służebna uzbierała u nas przed drzwiami cały kosz szyszek, więc zabrałam go, wypróżniłam i kazałam naszej Małgosi wnieść to do kuchni... No, wtedy się dopiero porobiło! Podniosła wrzask aż do nieba! Prawie rzuciła się, by mnie bić. Chwyciłam więc miskę wody i oblałam ją... Miała więc raz nieźłą kąpiel i od razu zamilkła...

– I bardzo dobrze – dolewam jeszcze oliwy do ognia mojej połowicy. – Na twoim miejscu wydrapałbym jej jeszcze oczy...

– A niech ją licho porwie – woła Dworele z jękiem. – Niech pokarają ją inne ręce... Dlatego też chciałam ci powiedzieć mój mężu, że powinniśmy już wrócić do miasta. Dość już, wystarczy. Daczę to miałam taką, żeby nie zgrzeszyć słowem, że jeśli gdzieś mam wroga, Ojciec drogi, oby miał taką radość z życia, jaką ja miałam z tej daczy... Dziesięć funtów wagi straciłam, zauważyłeś chociaż?! Do tego dzieci tak wyglądają, że... – oby można było to samo powiedzieć o naszej

sąsiadce z tą grubą, obżartą mordą... Wyjędźmy Tuwenu... Wystarczy już... Tak tu smutno, zimno i wilgotno... Z naprzeciwka wszyscy już wyjechali. Zapomniałeś pewnie, że po szabacie, jeśli Bóg pozwoli, dzieci powinny pójść do szkoły... Wiesz, Tuwenu, musisz już tak zaraz jutro załatwić, żeby przysłano furę, a ja jeszcze dzisiaj zabiorę się za pakowanie...

– Nie pali się przecież – mówię. – Możemy zostać tu jeszcze tydzień albo dwa.

– Tydzień albo dwa! – krzyczy moja połowica, zrywając się z miejsca. – Co ty mówisz, oszalałeś chyba – oby spotkało to moich wrogów ... Nie zostanę tu ani dnia dłużej...

– Zrozum mnie – zaczynam się jąkać – mieszkanie... nasz wynajem... Nie mamy jeszcze na komorne... To znaczy mamy wprowadzić... ale...

– Co za wynajem? Jaki wynajem? – podskakuje jak oparzona. – Powiedz no, mów wyraźnie...

– Zrozum, Dworele... Komorne za kwartał... nie zapłacone... Oprotestowałem weksel...

– Gwałtu, ludzie, ja się zabiję!... – zaczęła rwać włosy z głowy. – Gwałtu – będę krzyczeć na wszystkich ulicach!... Żywcem się pogrzebię ze wstydu... Co za hańba... Żeby nie można było zapłacić komornego za kwartał... Biada mi, biada! Z kim to przyszło mi spędzić życie...

– Dworele, serduszek, złoto ty moje – zaczynam ją błagać – uspokój się... Skąd miałem wziąć... Wiesz przecież, jak ciężko idą interesy... A my przecież, bez uroku, dużo wydajemy... Dacza też kosztowała... I to jeszcze jak... A tu teraz pojawia się nagle komorne... Zacząłem protestować weksel... O co tyle krzyku? U fabrykanta mam ładnych parę rubli, zapewne je na dniach dostanę... Wtedy zapłacę... Potrwa to może jakiś tydzień... Zdarzają się przecież takie rzeczy...

– Precz mi z oczu – zawołała nagle nie swoim głosem. – Precz ty draniu, ty morderco... On chce, żebym jeszcze zimę przetrzymała na dacz... Ludzie, ja się zabiję... – i rzuca się na mnie z paroma kuksańcami. Myślałem, że mnie tu porąbie na kawałki. Na moje szczęście jednak otworzyły się drzwi i weszła Maniczka Grinbojm z mężem.

– Dobry wieczór – mówi Maniczka. – No jak tam, pakujecie się? My już skończyliśmy.

Moja żona spojrzała na mnie tak, że aż zakłuło mnie w boku.

– My – odpowiada moja Dworele, oby była zdrowa, z takim łagodnym wyrazem twarzy, jaki zwykła mieć w obecności innych ludzi – my zostaniemy tu pewnie jeszcze tydzień lub dwa... W mieście szerzą się, oby wam się to nigdy nie przytrafiło, takie straszne choroby – odra, ospa, dyzenteria, cholera... Boję się o dzieci, oby żyły zdrowo...

– Cholera?! – zawołała zdumiona Maniczka.

– Tobiaszu – mówi moja żona zgrzytając zębami – tak mówiłeś... że cholera szaleje w mieście...

– Cholera nie, ale dyzenteria – odpowiadam.

– I dżuma – wypala znowu moja Dworele.

– Dżuma?! – woła mąż Maniczki ze śmiechem. – Co też pani mówi?

– A tak, dżuma. Tobiaszu? – pyta mnie znowu moja żona i rzuca mi takie spojrzenie, że aż zacząłem się trząść i nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Całkiem dżuma? Niech Bóg broni – mówię, by coś odpowiedzieć.

Gdyby moja Dworele mogła mnie w tej chwili udusić, na pewno by to zrobiła. Szczęście, że byli obcy ludzie. Ale Maniczka i jej mąż zrozumieli, że ja i moja połowica nie jesteśmy zbyt pokojowo do siebie nastawieni i poszli.

Gdy tylko wyszli, moja żona przyskoczyła do mnie niczym rozjuszony tygrys.

– Słuchaj, Tuwie – zaczęła krzyczeć dzikim głosem. – Słuchaj, jeśli mnie jutro nie zobaczysz, pamiętaj, że wynajem ma być załatwiony, a jeśli nie zamówisz fury, to lepiej nie wracaj do domu...

Usłyszawszy ostry ton jej głosu, bałem się odezwać na to choćby słowem. Urządziłaby mi bowiem taką scenę przed powrotem do miasta, że koniec byłby dla mnie żałosny i ponury.

Zreflektowałem się więc w porę i milczałem.

Przez całą noc nie mogłem jednak oka zmrużyć i rzucałem się z jednego boku na drugi, łamiąc sobie głowę: co będzie z wynajmem i skąd wziąć na furę?...

10. Z powrotem w mieście

Szukam pożyczek bez procentu – Załatwiam sprawę wynajmu – Ostatnia noc na dachy – Już wyjeżdżamy – Moja połowica użala się nade mną – „Nie ma jak w domu!”

Następnego dnia zerwałem się o świcie, by pojechać do miasta. Zanim wyszedłem, moja połowica krzyknęła do mnie z łóżka:

– Masz mi zamówić furę na jutro, słyszysz? I idź i załatw z gospodarzem sprawę wynajmu. Słyszysz, co do ciebie mówię? Bo jak nie, to nie pokazuj mi się nawet na oczy...

Udzieliła mi jeszcze paru „błogosławieństw” na drogę, jak to ma w zwyczaju, i pojechałem.

Do miasta przybyłem bardzo wcześnie. Po chwili namysłu wchodzę do kawiarni, by poczytać gazetę.

– E tam – myślę sobie – raz tylko się żyje na tym świecie... Zobaczymy tymczasem, co tam słychać w polityce.

Czytam tak i czytam, ale nic mi nie wchodzi do głowy. Przed oczami stoi mi moja Dworele, jak żywa, i wyciąga ręce, gotowa paznokciami wczepić się w moją brodę.

Chcę ją odpędzić od siebie i przecieram oczy chusteczką, ale nic to nie pomaga – jej cień stoi nadal tuż przede mną.

– Gwałtu! Rety! – chcę krzyknąć i rzucam się, jakby wyrwany ze snu. Rozglądam się wokół, na którym to świecie jestem i rzucam gazetę.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, po co właściwie przyjechałem do miasta. Cień mojej Dworele przypomniiał mi o tym.

Wyszedłem z kawiarni i zacząłem spacerować po ulicach.

Za jakieś dwie godziny wyruszyłem do moich „klientów”, to znaczy do moich dobrych przyjaciół, u których zawsze mogę liczyć na pożyczkę bez procentu.

To tu, to tam, u tego trojaka, u tamtego piątaka załatwiłem – słowem, uzbierałem parę rubli. Przede wszystkim poszedłem więc i wynająłem furę, a potem udałem się do gospodarza naszego mieszkania. Co ma być, to będzie – myślę sobie. – Przecież mnie nie zje. Mówiłem, wyklócałem się i widocznie na moje szczęście spotkałem go w dobrą godzinę, bo zgodził się na wszystko tak, jak chciałem.

– Obym tak dożył, by wychować moje dzieci – powiedziałem mu – jak za miesiąc zapłacę panu za kwartał. Nawet gdybym musiał zastawić biżuterię mojej żony...

A w duchu myślę sobie: obyś tak żył, jeśli ja mam jeszcze w domu jakąś biżuterię. Dawno już, chwała Bogu, wszystko przepuszczone.

Panu niech będą dzięki, że dał mi jeszcze tylko „przepychaczkę” i obiecał do tego naprawić zlew.

Kiedy wyszedłem na ulicę, chciało mi się tańczyć z radości. Takiego szczęśliwego dnia już dawno nie miałem. Jeśli ktoś nawinąłby mi się pod rękę, wycalowałbym go – tak dobrze mi było. Z radości jeszcze skoczyłem i kupiłem dwa funty czereśni, chleb i funt cukru, po czym pojechałem na daczę.

Był późny wieczór. Moja żona wyglądała mnie już, jak mesjasza.

– No, jak tam? – pyta nadąsanym tonem.

Milczę. Po pakunkach, które przyniosłem, poznała już jednak, że nie przyszedłem z pustymi rękami.

– Furę zamówiłeś? – pyta znowu.

– Zamówiłem... Zamówiłem...

– No a z gospodarzem się widziałeś?

– Nie twoje zmartwienie. Możesz już wyjeżdżać...

Od razu złagodniała. Podała mi jedzenie i wszystko zaczęło się między nami tak dobrze układać, jak w tydzień po ślubie. Do późna w nocy pakowaliśmy się, a potem zdrzemnęliśmy się jeszcze parę godzin. O świcie przyjechała fura i wysłaliśmy rzeczy z szikszą, a ja z moją połówicą i dziećmi, oby żyły, wzięliśmy drobny bagaż w ręce i poszliśmy na tramwaj.

Gdy tak stoimy i czekamy na przystanku, odzywa się moja Dworele:

– Tuwenu, serce mi się ściska, gdy na ciebie patrzę. Jesteś przecież żółty jak воск... Piękny wypoczynek na tej dacy miałeś, jeśli mam wroga... Panie Wszechświata...

Czuję zaraz, że robi mi się lekko i ciepło na sercu.

– Tuwenu – mówi znowu – możesz ty niezdrów? Powiedz tylko...

– Cóż znowu? – wołam. – Jestem, dzięki Bogu, zdrowy... Nie wiesz... Ma się trochę trosk, bolączek, problemów...

– Ja nie wiem?! – jęczy. – Wiem ja już dobrze, jak ciężko i gorzko harujesz, biedaku... Tyle krwi i zdrowia mnie to kosztuje...

Odwraca twarz i wyciera sobie oczy chusteczką, a ja tymczasem stoję z miną nieboraka. Przez całą drogę powrotną nie przestaje użalać się nade mną. W końcu przyszliśmy do domu.

– Drogi, kochany domek! – zawołała wchodząc do mieszkania.

I widzę, jak moja kobieta staje się całkiem innym człowiekiem – jakby całkiem odżyła. Jak szalona biega w kółko z kuchni do pokoju, z pokoju do sypialni i znowu z powrotem do kuchni.

– Wiesz, Tuwenu – mówi, kładąc mi rękę na ramieniu – jeśli Bóg da... Tylko na żadną daczę już nie pojedę... Jeśli Najwyższy pomoże, pojedźmy już lepiej do kąpieliska.

– Oj, ty szelmo ty – mówię do niej. – Komu opowiadasz bajki! Tylko nadejdzie Purim, a znów zaczniesz mówić o dacy.

– Nie! – woła. – Na żadną daczę już nie pojedę... Do kąpieliska, tak... Ale dacza to same utrapienia...

– E – odpowiadam – tak tylko teraz mówisz. Ale kiedy zobaczysz, że Maniczka Kotik i Fejgele Bornsztajn wyjeżdżają, tobie też zaraz zachce się dacy...

– Patrzcie go tylko! – wykrzykuje moja Dworele. – Już się ze mną spiera. Przeżyjmy rok w zdrowiu i oby na życie nie brakowało, a wtedy znów pojedziemy na daczę.

– Omaj – odpowiadam. – Tak oto mów.

A dzieci aż tarzają się ze śmiechu, szczęśliwe, że między nami tak dobrze się układa.

Przełożyła z jidysz Inka Stempin

Izrael Rabon

Izrael Rabon (1900–1941) urodził się w Gowarczowie koło Końskich. Pochodził z biednej rodziny, która w 1902 r. zamieszkała w podłódzkich Bałutach. Ukończył jedynie cheder, sam zdobywając wiedzę o literaturze i ucząc się języków. Na utrzymanie zarabiał malując i kaligrafując plakaty. Podczas wojny polsko-bolszewickiej walczył w szeregach Dywizji Litewsko-Białoruskiej. W 1939 r., kilka tygodni po rozpoczęciu działań wojennych w Łodzi, zdecydował się na ucieczkę z okupowanego miasta do Wilna. Zginął w Ponarach w 1941 r. Był jednym z najbardziej oryginalnych pisarzy w literaturze jidysz. Zadebiutował na łamach łódzkiej prasy żydowskiej w wieku 15 lat. Spuścizna literacka Izraela Rabona obejmuje trzy tomy poezji: *Hinter plojt fun der welt* [Za płotem świata], *Groer friling* [Szara wiosna] oraz *Lider* [Wiersze], dwie powieści – *Di gas* [Ulica] (1928) i *Balut: a roman fun a forsztot* [Bałuty. Powieść o przedmieściu] (1934), wspomnienia pisane podczas okupacji hitlerowskiej oraz liczne opowiadania publikowane na łamach łódzkiej i warszawskiej prasy wydawanej w języku jidysz. Z bogatej twórczości Izraela Rabona jedynie dwie powieści zostały przetłumaczone na język polski. Rabon w latach 1936–1939 redagował czasopismo literackie „Os”, na łamach którego debiutowali początkujący pisarze i poeci z Łodzi i okolic, a także publikowali znani i cenieni pisarze literatury żydowskiej. Aktywnie uczestniczył w żydowskim środowisku literackim Łodzi. Był cenionym i powszechnie poważanym krytykiem. W Wilnie związał się z grupą pisarzy, z którymi zdążył jeszcze wydać almanach literacki „Unterwegs”. W tym zbiorze zawarł *Szkice* z 1939 r. będące relacją z pierwszych dni po wybuchu II wojny światowej w Łodzi.

Z. Reyzen, *Leksikon fun der jidiszer literatur, prese un filologje*, Bd. 4, Vilne 1929, s. 272; *Leksikon fun der najer jidiszer literatur*, Bd. 8, eds. S. Niger, J. Szacki, B. Kagan, Nju Jork 1981, s. 282–283; *Polski słownik judaistyczny: dzieje, kultura, religia, ludzie*, oprac. Z. Borzymińska, R. Żebrowski, t. 2, Warszawa 2003, s. 392–393; *Żydzi dawnej Łodzi: słownik biograficzny*, red. A. Kempa, M. Szukalak, t. 2, Łódź 2002, s. 95; Ch. L. Fuks, *Lodz szel majle*, Tel Aviv 1972, s. 102; I. Janasowicz, *Lodzer jorn*, Tel Aviv 1987, s. 33–57; Ch. Shmeruk, *Yisroel Rabon and his novel Di gas (The Street)*, Polin 1991, Vol. 6, s. 231–252; I. Goldkorn, *Isroel Rabon*, „Di Goldene Kejt” 1962, nr 41; I. Olejnik, *Izrael Rabon. Cudowne dziecko żydowskiej Łodzi*, „Folia Litteraria Polonica” 2013, nr 4 (22), s. 229–245.

Kino „Wenus”²⁶

Odziani w szmaty, w papierowe kołnierze, w krawaty,
Czerwone i niebieskie jak dziecięce balony,
Ściśnięci jak psy przy jacie,
Siedzą i gapią się na galerii balkony.

²⁶ I. Rabon, *Groer friling* [Szara wiosna], Warszawa 1933, s. 8.

W domu, w izbie, ciemno jest i mroźno,
A tu wszystko można zobaczyć za parę groszy:
Tom Miks, co skacze jak małpa po drabinie,
I nagie nimfy w świecidełkach i poślacanej broszy,

Siedzą kobiety z podbitymi oczami,
A dzieci gryzą im wielkie jak torby cyce;
Dyszą, hałasują, śmieją się i ryczą
Kucharki z rękami grubymi jak boksyerskie rękawice.

Prostytutki z papierowymi różami w przerzedzonych włosach,
Oskubane przez alfonsów; tragarze z czarnymi od węgla uszami
I typy, które jeszcze wczoraj były ślepe
I zebrały o jałmużnę pod miejskimi murami.

Inwalida bez ręki z twarzą jak Chrystus frasośliwą
Płaci papierosami za podrapanie po plecach.
W czarnej pelerynie woźnica karawanu chrapie przez nos syfilityka,
Bulwiasty jak okapana świeca.

Siedzą bezrobotni, co od roku nie mają mieszkania,
Patrzą bez radości, bez pragnień tępym wzrokiem, na płótno,
Drzemią z rozczochnymi głowami i proszą
By film nie skończył się dziś ani jutro.

Jest ciemno... ściśnięci jak psy przy jatce
Siedzą ludziska w kinową płachtę wgapione.
Zabrzęczała muzyka... zaświszczały suchotnicze płuca
I nikt nie słyszy jak dziecko płacze w kącie porzucone.

Przełożyła z jidysz Izabela Olejnik

Pogrzeb²⁷

Trzynastu mężczyzn w cylindrach twardych jak blacha,
W lakierkach czarnych jak atrament,
Z przedziałkiem w pomadzie
Podąża w kondukcje,
Cichy pogrzeb.

²⁷ I. Rabon, *Groer friling...*, s. 4–5.

Deszcz pada na trzynaście cylindrów twardych jak blacha,
Zmywa puder i pomadę.
Trzynastu mężczyzn zielenieje i blednie
Jak kreda.

Krok za krokiem idzie pogrzeb
Bez łez, bez szmeru, bez słowa
Ulica tu, ulica tam:
Cmentarz.

Zmarły – gruby pan,
Brzuch, podbródek, tłuszcz.
Podchodzi pięciu Żydów z Chewry Kadiszy
Macają jego pupę, szyję, pępek.
Pięciu Żydów z Chewry Kadiszy zwinnych jak myszy
Tańczy dookoła w chałatach.
Szczypią, szyją, szarpią, obracają
Zmarłego.

Trzynastu mężczyzn w cylindrach twardych jak blacha,
Głęboko pochyleni,
Ścierają z oczu łzę
I wrzucają ją do grobu.

Zmarły – olbrzym,
Wąsy – szpiczaste,
Włosy – umyte,
Twarz – odpicowana
Ogolony,
Leży i uśmiecha się słodko:
Danke schön!

Przetoczyła z jidysz Izabela Olejnik

Józef Żelkowicz

Józef Żelkowicz (1897–1944) urodził się w Konstantynowie Łódzkim w zamożnej rodzinie chasydzkiej. Kształcił się w jesziwach w Koźminku i Błaszach uzyskując tytuł rabina. Po I wojnie światowej ukończył seminarium nauczycielskie i do 1919 r. pracował w państwowej szkole w Lutomiersku. Wstąpił do polskiej armii i wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Od 1922 r. pracował w Łodzi jako księgowy jednocześnie działając w żydowskim środowisku kulturalnym. Był m.in. reżyserem w kole teatralnym przy łódzkiej siedzibie partii folklistowskiej. Pisał teksty dla dwóch teatrów: łódzkiego Araratu i warszawskiego Azazela. W czasie wojny przebywał w łódzkim getcie, w 1944 r. deportowany do Auschwitz, gdzie zginął. Debiutował po polsku w 1920 r. w „Żołnierzu Polskim”, a od 1925 r. zaczął publikować w jidysz. Jego opowiadania oparte na motywach chasydzkich, humoreski i felietony ukazywały się na łamach łódzkich gazet żydowskich oraz w USA i Kanadzie w „Forwerts”, „Morgen Żurnal”, „Amerikaner” oraz „Keneder Odler”. Działal w powstałym w Łodzi w 1936 r. Kole Naukowym przy Towarzystwie Przyjaciół Żydowskiego Instytutu Naukowego w Wilnie. W 1938 r. w wydany przez Koło pierwszym tomie studiów historyczno-etnograficznych zatytułowanym *Lodzer Wisnszafleche Szriftn* (którego był sekretarzem) ukazały się dwie jego prace: *Der tojt un zajne baglajt-momentn in der jidiszer etnografie un folklor* [Śmierć i elementy jej towarzyszące w żydowskiej etnografii i folklorze] oraz *Bild funem jidysz-gezelszaflechn lebn in a pojłisz sztetl in der 2er helft fun 19tn jorhundert* [Obraz żydowskiego życia społecznego w polskim sztetlu w drugiej połowie XIX w.]. Przed wojną zgromadził kilkaset haseł, w tym materiały dotyczące specyfiki łódzkiego jidysz. Kolekcja ta, jak i monografie dwóch żydowskich gmin w Konstantynowie i Lutomiersku, zaginęły w czasie wojny. W getcie kontynuował działalność pisarską. Jest autorem wielu reportaży z getta, tekstów do gettowych rewii, haseł do *Encyklopedii*, a także artykułów do „Biuletynu Kroniki Codziennej”. Prowadził ponadto prywatne zapisy wydane jako *Notatki z getta*.

Por. *Leksikon fun der najer jidiszer literatur*, t. 3, eds. S. Niger, J. Shatzky, New York 1956, s. 670–671; *Encyklopedia getta. Niedokończony projekt archiwistów z getta łódzkiego*, red. K. Radziszewska i in., Łódź 2014, s. 14–16, 281–282; J. Żelkowicz. *Notatki z getta 1941–1944*, red. M. Trębacz, Łódź 2016.

W domu obłąkanych przy Wesołej²⁸

Tekst napisany pod wpływem wrażeń z wycieczki Żydowskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

Trzej przy studni

Studnia na podwórzu – jedna z tych, które widuje się na setkach łódzkich podwórek. Wielkie koło umocowane z boku metalowego walca. Jeśli się chce,

²⁸ „Najer Folksblat”, 20 XII 1934 r., s. 4. Schronisko dla umysłowo chorych Żydów przy ul. Wesołej 17 nie było typowym szpitalem dla obłąkanych, lecz jednostką opiekuńczą dla osób z chorobami psychicznymi zarówno dla kobiet, mężczyzn, jak i dzieci.

by w zbiorniku znajdującym się nieopodal pod zadaszeniem, było wystarczająco dużo wody dla wszystkich chorych, kołem i walcem musi kręcić kilku ludzi tak długo, aż spłyną potem, aż będzie się z nich łać strużkami i parować... a zbiornik i tak się nie wypełni i już po południu ochryple krany zawodzą – „puste jesteśmy, nie ma ni kropli wody we wnętrzu naszej cysterny...”

W innych, normalnych miejscach pracę tę wykonuje mechaniczny golem – motor, który się nie poci i nie paruje i w zimny listopadowy dzień nie naraża się na zapalenie płuc. W domu dla obłąkanych przy Wesołej pompowaniem wody parają się trzech golemowie – trzech obłąkani... Dwaj stoją przy walcu. Zaciskają powieki, twarze mają apatyczne, zobojętniałe. Nie istnieje dla nich nic poza rytmicznym dźwiękiem obracającego się metalowego walca. Stoją tam niczym spętani. Zarówno ich korpusy, jak i ręce poddają się obrotom koła. Ich chore głowy i umysły poruszają się w jego rytm, unoszą się w górę i w dół, w górę i w dół. I chyba dobrze im jest, kiedy kołysze ich ów kolos – koło, co śpiewa ochryple monotony nigun. Ich mózgi, ich zmysły są niczym to stępiejące i zardzewiałe żelastwo. Stoją tam i cali są kręceniem wielkiego koła. Czoła lśnią im potem, plecy się gną, a ciała parują.

Trzeci, który stoi i trzyma uchwyt koła, nie dał się ukołysać, buntuje się jeszcze przeciwko golemicznemu, jałowemu ruchowi w górę i w dół. Kiedy strzela na boki małym, błyszczącym okiem, korba wypada mu z rąk i palce bezładnie chwytają powietrze.

– Gawril, mam na imię Gawril! Niech państwo to zapiszą!...

Tak, oczy Gawрила są małe, ale żywe, chłonne, chcą wszystko widzieć i wszystko poznać. Nie wystarczała Gawrilowi wiedza o tym, kto jest rzezakiem... albo, kiedy czyta się Megilę i co orzeka rabin w sprawie jaja złożonego w świątecznym dniu... Gawril pragnął poznać sprawy niebieskie, zrozumieć, jak toczą się pozaziemskie losy zmarłych, a szczególnie, jak wiedzie się jego narzeczonej, która umarła trzy dni przed ich weselem...

– Może państwo ją znali? – Była piękna!

Nie, nie znaliśmy.

A, to i Gawрила państwo nie znali...

Gawril chodził do sztybla przy Drukarskiej, znał na pamięć kilka talmudycznych traktatów. Kiedy wieszowano mu z okazji nadchodzących zaślubin, dziękował uśmiechem. Uśmiechnął się też, kiedy powiedzieli mu, że jego narieczona umarła kilka dni przed ceremonią. Uśmiechnął się i... oszalał...

Ale:

– To przejdzie – pociesza nas Gawril – jeszcze chwila, będzie na to czas.

– A kiedy, Gawrilu, przyjdzie na to czas?

– Już niedługo, ale teraz Gawril musi kręcić korbą... teraz zawraca głowę takim młodym jak my, którzy przyszedli na stary cmentarz²⁹ zamiast pójść na nowy...

Gawril jest bardzo zadowolony, dobrze mu tutaj. Ma tylko jedno zastrzeżenie. Rozumie oczywiście, że opodal domu dla obłąkanych powinien być cmentarz, bo „od szaleństwa do śmierci jest tylko jeden krok”, ale dlaczego stary, a nie ten nowy?

– A cóż to za różnica, Gawrilu?

Gawril najpierw się uśmiecha, a potem trzęsie się mu radośnie nie tylko broda, ale i całe ciało:

– A kogóż miałbym tu na tym starym cmentarzu szukać? Przecież na nowym mam narzeczoną. Nie pamiętacie państwo, narzeczoną...

Gawril śmieje się i drży. Tak musiał się śmiać, kiedy się dowiedział, że mu umarła...

Przełożyła z jidysz Monika Polit

Pęknięcie³⁰

1.

Szejnka była wtedy jeszcze bardzo mała, dopiero co sięgała głową do stołu. Rankami szła do rebebo, by się uczyć. Popołudniami siedziała w domu, łąziła gdzie popadnie zaliczając kuksańce w bok to od matki, to od ojca. Wtedy tato nie leżał jeszcze sparaliżowany jak kłoc, a mama nie miała jeszcze „pokątnego szynku”.

Gdy tatę poraził zslag, mama siedziała całymi dniami na jego łóżku i ocierała sobie oczy:

– Takie nieszczęście, takie nieszczęście! Człowiek silny jak olbrzym kładzie się do łóżka i więcej nie rusza się z miejsca, sparaliżowany jak kłoc!... – Powoli, powoli mama jednak jakoś przywykła do sparaliżowanego ojca i ubrana w jedwabną szabasową sukienkę zaczęła wymykać się z domu, by wracać późną nocą, siadać potem na łóżku i wyjmować z pończochy jakieś papierki... Ojciec zacisnął jedyną zdrową pięść i wsadził ją do kieszeni:

– Taka nieczystość! Co za krowa!...

Potem jednak jakoś się w domu uspokoiło; każdego wieczoru zaczęli przychodzić goje: pan Wichurski pisarz, Chwedko strażnik i Wysoki Szosz. (Wysoki Szosz to nawet pomógł sparaliżowanego tatę do kuchni wynieść). Goje przesiadywali z mamą w dużym pokoju, a Szejnka siedziała w kuchni na łóżku taty i umierała ze strachu: „Tacy wielcy goje z takimi szpiczastymi wąsami, co

²⁹ Przy ul. Wesołej mieścił się też cmentarz żydowski, zwany starym. Utworzono go w 1811 r., a ostatnie pochówki miały miejsce w 1892 r.

³⁰ M. Wittenberg, *Der Trit* [Krok], nr 1, Łódź 1928, s. 33–48.

oni by mogli człowiekowi zrobić!...” W środku zapadała czasami zupełna cisza i Szejnka już chciała podstawić taboret pod szybę w drzwiach, by zaglądnąć, co dzieje się w środku, ale tata się wściekł:

– Nie, nie Szejnka! Niech oślepną tam w środku!

– Tato, a dlaczego tam jest tak cicho?

Ojciec objął ją lewą, zdrową ręką, przez chwilę się jej przyglądał, a potem bezsilnie opuścił głowę:

– Tak, tak, Szejndeł, o tym nie da się powiedzieć żadnego żydowskiego słowa...

Późną nocą, gdy Szejnka leżała przy sparaliżowanym ojcu, myślała sobie: „Jemu to chyba nie może być dobrze: sparaliżowany jak kłoc i nawet żydowskiego słowa nie może powiedzieć...” Gdy dobrze po północy mama z lampą w ręku odprowadzała gojów, Wysoki Szosz złapał nagle Szejnkę długimi łapami i przejechał jej po szyi kłującym wąsem:

– No no no, Welwelowa, he-he-he, jeszcze dwa, trzy lata, jak mała podrośnię, to będziecie mieć z niej niezły towar!

Na to pisarz, pan Wichurski, oblizując się obleśnie:

– Ma się w kogo wrodzić przyjacielu, he-he...

U mamy zaś w pokoju zaczęło się robić coraz ciasniej: skrzynia i komoda wiecznie były zastawione flaszками z wódką.

Rankiem zachodzili miejscowi pobożni Żydzi z tałesem i tefilin pod pachą, by strzelić sobie kielicha, a od wczesnego popołudnia schodzili się już goście – goje. Kulawy Jaś grał na harmonii, Magda i Wichta tańczyły, a goście pili – a ludzi było tyle, że mama mało się nie rozerwała, tamtemu podawała to, innemu tamto. A Szejnka myślała sobie: „Gdy podrośnię, to mamusi pomoże”... Tak że bardzo jej się chciało szybko podrosnąć – przecież nie ma dnia, by Wysoki Szosz nie mierzył jej wzrokiem i nie łaskotał po szyi kłującym wąsem:

– No ale, Welwelowa, jeszcze rok, może dwa, jak podrośnię, to będziecie mieć z niej niezły towar!

Na to pisarz, pan Wichurski, oblizując się obleśnie:

– Ma się w kogo wrodzić przyjacielu, he-he...

2.

– Kasryl Bas i Welwele od niepamiętnych czasów byli dla siebie jak bracia: razem chodzili do chederu, w tym samym tygodniu mieli wesela – Kasryl grał, a Welwele śpiewał – słowem, wiecznie byli razem.

Kasryl był człowiekiem, który wszystko brał na zdrowy rozum – łąził tak całymi dniami jak we śnie, zatopiony w myślach i nieobecny. Gdyby tak tylko mógł jednym pstryknięciem palca wyczarować sobie pięciu takich Kasryłów, czegoż by mu do szczęścia jeszcze brakowało? Gdyby nie to, że w sztetlu, bez uroku, oby nie

zgrzeszyć, jest tylko jedno wesele w tygodniu – jak nasz niebiański papa pozwoli – całymi dniami przesiadywałby przed oknem, albo przed drzwiami i rozmyślał, ot tak po prostu, byle tylko na darmo nie siedzieć. O tym, że przecież te gonty u Rudego Lejzora co mieszka naprzeciwko, całkiem już przegniły i zupełnie się zapadły, aż u Mojsze Śmierdziela deszcz pada do izby... Tak właśnie by sobie myślał. Jednak Kolczasta Lea ma oczy dookoła głowy i zobaczyła, że sąsiadka, Czarna Fajga ma kwokę z kurczętami, wzięła więc i ona kwokę i posadziła na jajkach, jednak z tej kwoki taka sama cholera jak z właścicielki i za nic nie chce na jajkach siedzieć... No i wszystkie jej troski na nim się skupiają:

– Patrz Kasryl, oby to imię było wymazane, obyś szczył! – W kwokę czort chyba jakiś wstąpił z tymi jajkami!...

Nu, ale przecież jej prosty rozum nie pojmie, że taki Żyd jak Kasryl, kapelmistrz i gabaj w Bractwie Odmawiania Psalmów, nie będzie siedział i na kwokę uważał, więc jak tylko Kolczasta Lea gdzieś się odwróciła – wymknął się z izby.

Na ulicy przypomniał sobie nagle: „Welwele, biedaczek”.

A przecież go ostrzegałem: „Welwele, nie kładź się ze zdrową głową do chorego łóżka – takie sztuczki to nie dla ciebie! Ale on był mądrzejszy – nu, i tyle mu z tej mądrości przyszło: on leży sparaliżowany jak kloc, a ona... Prawdziwy „bajzel”, tak mówią, tam otworzyła.

Przed swoim wstydzi się Welwel i tak mówi:

– Tak tak, Kasryl, że też dożyliśmy! Tak to jest jak kobieta zupełnie odpływa na obłoku!... A Kasryl siedzi i milczy – o czym ma gadać. No o czym? Przecież go ostrzegał...

I tak siedzi Kasryl Bas przy Welwele, dopóki ktoś nie przyjdzie. Gdy zaczynają się schodzić pierwsi goście, Kasryl wymyka się cichcem, a Welwele zagrzebuje głowę pod poduszkę, lecz lżej mu jest na sercu i cieszy się, że Szejnka jeszcze taka mała – „Jak ma wyrosnąć na taką jak matka, to lepiej żeby w ogóle nie dorastała!”

Pierwsze skrzypce Chaim Mocnywojtek, jedyny syn Kasryla Basa, dostał od ojca ledwo zdążył podrosnąć, szybko też zaczął grać w jego kapeli. No i wtedy zaczęło się prawdziwe życie: obżerał się bułkami z rybą na weselach, odkładał brzęczące sześciorublówki do lnianego woreczka zawieszzonego na szyi, spał do południa, grał w promieniach słońca za jatką i siłował z kolegami (stąd też i przydomek „Mocnywojtek”).

Lniana torebka na szyi robiła się coraz cięższa i Chaim poczuł, że w zasadzie to już jest dorosły: ma przecież sporo pieniędzy. Poszedł więc na uliczkę przy synagodze do Szlojme Łaciara i kupił sobie: nowy kaszkiet z błyszczącym daszkiem, nowe ubranie i parę lakierków – „angielski lakier” – dokładnie tak powiedział mu Szlojme Łaciara. Przebrał się u Krzywego Wacka w stajni. Przeglądając się później w lustrze, powiedział do siebie zadowolony:

– He, mocne, krew w żyłach rozpala! Zrobił się z ciebie facet jak się patrzy!

Gdy wrócił do domu w nowym ubraniu, matka, Kolczasta Lea, podawała właśnie obiad. Chaim usiadł więc za stołem, kapryśnie skubnął kawałek chleba i to wystarczyło, by zdenerwować Kolczastą Leę.

– Co, chcesz, żeby ci łapy pousychały, do stołu siadasz a rąk nie obmyłeś?

W Chaimie się zagotowało:

„Cóż to za zaraza! Stara klempa będzie mi tu rozkazywać?!” – i jak prawdziwy „dorosły” rzucił talerz ze stołu.

– A na co mnie te wszystkie wasze ablucje i regulacje! – potem wybiegł, ścigany przekleństwami Kolczastej Lei:

– Zobacz go, panisko!... I jak się wyfiokował!... He, Kasryl, doczekałeś się na stare lata, widzisz jakiego chama wychowałeś?!

Chaim kręci się po ulicy, zatrzymuje przy każdej witrynie, przegląda się i bardzo się sobie podoba w tych błyszczących lakierkach i nowym kaszkiecie... I im bardziej się sobie podobał, tym mocniej coś się w nim w środku gotowało:

– „Taka stara klempa – łaskę mi robi, że mi daje tę odrobinę żarcia!...”

Właśnie minęło go kilku koleżków, którzy natychmiast zaczęli go wyśmiewać:

– Ej no, zobacz jak się Mocny odpicował! – Jak Chawa Lea na rozwód!...

Chaim nawet się nie zatrzymał: „Niech się w piekle smażą, jak Kain!” I tak idąc dalej, myślał sobie, że w domu Kolczasta Lea na pewno schowała dla niego w pościeli garnek krupniku – taka już ona jest, stara suka... Po moim trupie pójde jeść do domu, obym nie doczekał! Za jednego guldena w każdej knajpie można nażreć się tak, że brzuch człowiekowi pęknie!... Czemu nie? Przecież może sobie na to pozwolić. Niech im wątroby zgniją od trosk!...

I tak trafił Chaim do Dużej Rajcy do szynku. Od tej pory już codziennie po południu, zaraz po przebudzeniu, wbijał się w nowe ubranie i przedziutko biegł do pokątnego szynku Dużej Rajcy.

Około południa izba była jeszcze pusta. W powietrzu unosił się zapach kiszonych ogórków i ugotowanych na twardo jajek. Chaim z lubością wdychał te zapachy, rozsiadał się na stojącej pod oknem skrzyni i przyglądał tłukącym się o szybę muchom...

Czasami przychodziła jakaś siksa, siadała mu na kolanach, zanurzała grube mięsiste dłonie w jego bujną, czarną czuprynę i pytała przymilnie:

– Zafundujesz, Chaim? – on zaś tylko przytulał się do jej wydekoltowanych piersi, na co obrażona siksa zrywała się z jego kolan mamrocząc pod nosem: „Głupi jak bur”.

Wieczorami, gdy zaczynali się schodzić goście, wstawał leniwie, przyglądał rozwichrzoną czuprynę i szedł do domu.

Tam już czekała na niego matka, Kolczasta Lea, ze swoim:

– Witam jaśniepana! Jużeś się wyleżał w tej swojej melinie?

Chaim warczał coś tylko pod nosem, brał skrzypce i wycierał je drżącymi rękami. Jednak Kolczasta Lea nie odpuszczała:

– Co z ciebie za człowiek wyrośnie, zupełnie jak ojczulek! Tylko warczeć umie jak pies, słowa normalnego nie powie!...

Chaim zaś sądził, że nie ma co za dużo gadać, wystarczy, że mówią do niego skrzypce, a on im odpowiada.

Całymi dniami mógł tak gadać ze swoimi skrzypcami. A gdy tak sobie z nimi „gadał”, zamykał oczy i kompletnie nic go nie obchodziło. Niech się dookoła dzieje co chce, aż kompani z kapeli, niech im ogień w żyłach płynie, go wyśmiewali:

– No normalnie chasydem się stał nasz Mocnywojtek, ślepiea zamknięte i w ogóle nie patrzy jak panny tańczą jak ogień w kominie.

A Berl Chlust klepie go swą niedźwiedzią łapą po plecach:

– No dawaj, Mocny, ciuchy masz nowe, odpicowałeś się normalnie jak młódka na wesele.

Wtórjuje mu Azrylke Bękart:

– Nie wstydz się tak, Mocny, powiedz, którą sztukę byś sobie wyrwał, he? Może tę grubą, co tam tańczy?

Chłopaki śmieją się w głos, a Chaim uparcie zagryza wargi: „Niech się w piekle smaży, jak Kain!” Tylko tata, Kasryl Bas, jest zadowolony:

– To jest dopiero facet, ten Chaim, więcej wart, niż tamci razem wzięci – wody spod jego nóg nie są warci! Gdyby tylko całymi dniami nie przesiadywał na tej melinie!...

3.

Chaim zaś, gdy tak grał sobie na skrzypkach będąc zupełnie gdzie indziej, myślał sobie często: Co za cholera ciągnie mnie do tej meliny?... Z kompanami się poróżnił, a wszystko z powodu tej knajpy, wszyscy przyjaciele go opuścili... No bo dlaczego taki chłop jak on ma nie mieć przyjaciół?... Jak te chłopaki, co każdego szabasu spotykają się u Urele Rocza, by „wykonać” beczułkę piwa, śpiewają, tańczą z pannami... Na niego to nawet kulawa nie chce spojrzeć, a wszystko przez tę melinę!...

Tak sobie myślał Chaim grając pewnego razu na skrzypkach i tak też sobie obiecał: „Niech im kulasy połamie! Moja noga już więcej tam nie postanie!” Jednak następnego ranka znów to samo: ledwo zjadł, wbiął się w nowe ubranie i szedł na melinę – a Kolczasta Lea po raz kolejny wrzeszczała:

– He, Kasryleńku, i czego doczekałeś się na stare lata? No, ale przecież jabłuszko niedaleko od jabłonki pada: tatuś na melinie przesiaduje, to i synek – też...

Kasryla całe to jej gadanie tyle obchodzi, co zeszłoroczny śnieg – niech wrzeszczy aż pęknie! Niech moi wrogowie tyle siły od Boga mają, co on ma chęci, by chodzić na melinę... A tamten leży, oby na nas nie spadło, jak kłoc, i Bogu

dziękuje, że jakiś człowiek do niego przyjdzie, bo mózg mu usycha. I ucina sobie pogawędkę z Welwele:

– Słyszysz, Welwele, mówię ci, musiałbyś mojego chłopaka zobaczyć – jak dąb: nowe ubranie sobie kupił, lakierki – angielski lakier! Świetnie zarabia, pięknie wyrósł...

Welwel leży, słucha i jakaś myśl kielkuje mu w głowie, mruga lewym, zdrowym okiem:

– A nie zachodzi tu przypadkiem ten twój chłopak?

– Nie, tu nie zachodzi, coś tam robi, mezuzy pisze?!

A Welwele odpowiada:

– Tak, tak Kasryl, że też dożyliśmy! Wszyscy tu przychodzą, niezłe towarzystwo, kto tylko ma ręce i nogi... A moja córka, myślisz, lepsza? Toczka w toczkę matka! Ale czy ja mam jakiś wybór, czy ja tu gospodarzę?...

Kasryl nie mówi już nic, wyciąga z kieszeni czerwoną książeczkę z psalmami i zaczyna mamrotać.

– Lemenacejach al hagnosis... Kiedy chłopak ma muchy w nosie... Mizmor le-Dowid – ożenić go trzeba i po sprawie... Welwel zaś poprawia głowę na brudnej poduszce i wyciąga lewą, zdrową rękę ku słońcu, które rozgościło się w izbie, a potem odpowiada:

– Ja nie mam zdania, czy ja tu gospodarzę?...

W piękne letnie popołudnie do Dużej Rajcy na melinę przychodzi pisarz, pan Wichurski, i w złości szarpie czarne, szczeciniaste wąsy:

– Mówię ci, Welwelowa, do ciebie nie zajdzie już żaden porządny człowiek! Codziennie ta sama śpiewka, wiecznie to samo... To już się przejadło nawet, bo ja wiem komu...

A Duża Rajca mu odpowiada:

– Co ona ma biedna począć? – Kiepskie interesy, sama rozumie i doskonale wie, że pan Wichurski to nie jest byle kto, tylko co ona może zrobić? Niechże jej pan Wichurski pozwoli... A przy tym nie rozumie wcale, dlaczego ten pan tak się na nią rozżłościł?

Pan Wichurski nieco mięknie:

– Wiedzieć powinna z całą pewnością, że wystarczy mu skinąć palcem, a zamkną całą tą budę, ale przecież on, pan Wichurski nie jest z tych, no i chociażby przez to należy mu się coś specjalnego! Racja, czy nie?!...

– Rozumie się, z pewnością, przecież od dawna już powtarza, najpierw Pan Bóg, a pan Wichurski zaraz po nim... – Jak ojciec prawdziwy! Tylko co ona ma biedna począć? A tamtego szlag trafił i ani w te, ani wewte! Zaległ i leży tak, tylko łóżko zajmuje... A żre jak zdrowy chłop...

Pan Wichurski rozumie, związać się z człowiekiem, a potem na bruk go wyrzucić – to nie jest takie proste. Ale tak do końca to racji ta Welwelowa nie ma:

ot kręci się ta Szejndla po izbie – dla kogo ona ją tak chowa, dla żydłaka jakiegoś czosnkowego?!...

A gdy już poszedł, Duża Rajca tak sobie myślała:

Czy on nie ma pełnej racji? No bo co z taką dziewczuchą będzie?

Właśnie wchodzi Szejnka.

– He, no i jaki będzie twój czarny koniec?

– A jaki ma być?

– Może w ramki cię oprawię, albo na okładkę świętej księgi wpiszę?

Chaim zaś przychodzi dzień w dzień, siada na skrzyni koło okna i bębni palcami w szybę, aż Duża Rajca się dziwuje:

– Co on tak bębni w te wszystkie czarne lata – chłopak zdrowy jak byk, a takie nic?!... Jednak szybko myśli Dużej Rajcy wracają na stare tory:

– No i co, czy istnieje jakaś sprawiedliwość? No weź i zrozum, leży taki jak kłoc, ale kopyt nie chce wyciągnąć!

4.

Pewnego popołudnia wąsy Wysokiego Szosza sterczały w pijanym widzie tak, że wydawało się: ot zaraz wykołą mu poczerwieniałe białka z pijackich ślepiów, których zielonkawę tęczówki latały obłąkańczo jak podtrute myszy, aż spoczęły na Chaimie siedzącym na skrzyni pod oknem:

– Chodź tu, Mocny, masz kielicha.

Chaim dalej siedział na miejscu, ale Wysoki Szosz już podchodzi z butelką i kieliszkiem:

– Co ty myślisz, Mocny, że Szosz to psi pomiot jakiś, jak te inne kundle – niech ci powiedzą, Welwelowa niech ci powie – u mnie pieniądze są jak błoto!...

I kładzie jowialnie rękę na jego ramieniu, szorując go szpiczastymi wąsami po uchu:

– Słuchaj Mocny, jak Szosz powie słowo to jest jak amen w pacierzu, Welwelowa niech ci powie – Szosz jej powiedział: Welwelowa, masz dziewczuchę, to mi ją sprzedaj, płacę ile chcesz! No i jak myślisz Mocny, ile ode mnie wyciągnęła za tę dziewczuchę? He? Dwie szeleszczące dwudziestki piątki!... Choć weź i głowę w piach schowaj!... Ale ja cię wezmę Mocny na wspólnika – całkiem darmowego wspólnika – później, jak wszyscy pójda, pisarz, strażnicy – wtedy, Mocny...

Chaimowi poczerwieniał najpierw jeden policzek, potem drugi i poczuł, że zaraz oba mu eksplodują z gorąca i tryśnie z nich kwarta krwi. Oczy mu się zwężyły, a w środku, w sercu zaczął tańczyć jakiś szalony ogień – chciał rzygnąć zielonkawą żółcią prosto w trefną mordę Wysokiego Szosza. Jego palce zaś zaczęły dziwnie swędzieć, jakby chciały chwycić Wysokiego Szosza za te szpiczaste wąsy i wyrwać je włosku po włosku, z każdym wyrrywając kawałek mięsa, by jego trefna krew bryznęła na nowe ubranie, na lakierki – jak piękna, czysta ofiara przebłagalna!...

A Wysoki Szosz dalej świdrował go zielonkawymi oczkami:

– Rozumiesz, Mocny, wszyscy pójdą, w izbie będzie pusto i ciemno. Ona wtedy przyjdzie posprzątać – to się z niej zedrze szmaty... Będzie chciała uciekać – złapiesz ją... Jak zacznie wrzeszczeć to się jej zatka pysk... A potem ją łup na ziemię, aż ściany zadrżą... A potem – no wiesz... No i co, zgadzasz się?

Gdy Szosz odszedł, Chaim nadal siedział na skrzyni, a policzki mu płonęły. Wypił jeden kieliszek, potem drugi, wystukał na szybie najnowsze rytmy taneczne i się uspokoił:

– O co to całe zamieszanie? Niech będzie Szosz, w końcu zapłacił!...

Gdy już całkiem się uspokoił, poszedł do domu, wyciągnął skrzypce i zaczął grać. Jednak w tym momencie z dworu weszła Kolczasta Lea:

– Obyś tak spuchł na trzy tygodnie jak mi tutaj grasz! – U mnie, w żydowskim domu! Na melinie sobie możesz grać, choćby i całe życie!

Krew znów się w nim zagotowała: „melina” – tam gospodarzy stara podła Rajca. Wichcie, jak mówią, nos już zaczyna gnić... Magdzie z pyska śmierdzi... A Szejnkę dzisiaj Wysoki Szosz...

I wtedy przychodzi mu do głowy myśl:

– Nie. Właśnie, że nie. Jeżeli Wysoki Szosz chce – to on, Chaim Mocnywojtek właśnie nie chce!... I wyszedł szybko trzasnąwszy drzwiami.

Na melinie było cicho. Podkręcona na najniższy płomień lampa naftowa na stole rzuciła niewielki krąg światła na poplamiony obrus. Okiennice były zamknięte, więc usiadł jak zawsze na skrzyni, co stała pod oknem. Z kuchni wyszła Duża Rajca z rękami uwalanymi krwią – właśnie sprawiała gęś. Zobaczywszy Chaima zawołała:

– Zobacz Szejnka, Chaim przyszedł!

Szejnka wchodzi i zawstydzona kręci się po izbie, patrzy na Chaima, a w ciemności wydaje się mu, że Szejnka jest utuczoną gęsią i zaraz wejdzie Duża Rajca, chwyci ją za głowę i poderżnie gardło... Potem przyjdzie Wysoki Szosz i wyskubie jej pióra... Ich ręce będą całe upaprane krwią, Szejnki krwią... Szejnka będzie wrzeszczeć, wyrywać się, wierzgać, aż Szosz postawi swój ubłocony buciur na jej poderżniętej szyi...

Duża Rajca nie może jednak ścierpieć, że chłopak siedzi i tylko się gapi jak jakiś mruk, woła więc siksy:

– Hej, chodźcie tutaj, Magda, Wichta! Starczy tej hulanki, polejcie wódki!...

Na to zrywa się Chaim na równe nogi:

– Słuchaj Rajca, krew... Krew się poleje!... Nie w moim imieniu!...

– Czyja krew?! – Schlałeś się i głupoty wygadujesz!

– Rajce, bebechy wypruję! Rozszarpię mu ten trefny kołdun! – Nie w moim imieniu!...

– Moje złe sny na twoją głowę, na twoje ręce i nogi, na twoje ciało, na twoje życie! I wybiegła trzaskając drzwiami, a Chaim chwycił Szejnkę za rękę:

– Powiedz, Szejnka, będziesz krzyczeć?

– Dlaczego mam krzyczeć, Chaim?

– Powiedz, Szejnka, będziesz krzyczeć, gdy Wysoki Szosz?...

Szejnka wyrывa mu się: „Ale się schlał chłopak, czarny rok na niego!” i wybiega za matką, a Magda podaje mu kieliszek wódki:

– Pij, Mocny!

Chaim wypija kieliszek jednym haustem i nagle chwyta Magdę:

– Powiedz Magda, co on robi, ten Wysoki Szosz? He?

Lecz siksa wywija się ze śmiechem:

– Taki duży, taki mocny, a głupi jak but... Chaim zaś siada z powrotem na skrzyni i powtarza uparcie:

– Nie. Właśnie, że nie. Jeżeli Wysoki Szosz chce – to on, Chaim Mocnywojtek właśnie nie chce!...

Zaczęli się schodzić goście. Przyszedł i Wysoki Szosz i mrugnął do niego swym zielonym, wodnistym okiem. Chaim wszedł do kuchni:

– Chodź Szejnka, wyjdziemy trochę na dwór.

To jednak nie spodobało się Dużej Rajcy.

– No co, aleś moment wybrał by się włóczyć właśnie teraz, gdy goście się schodzą i robota pali się w rękach?

Na zewnątrz pachniało parnym powietrzem mijającego letniego dnia i młodzieńczym ciałem Szejnki, siedł tak obok niej i pełną piersią wdychał jej zapach i było mu dobrze, tak iść z nią przez ten cichy wieczór. Chciał jej coś powiedzieć, coś, od czego i jej zrobiłoby się tak przyjemnie... Długo myślał i nic wymyślić nie umiał, aż krew się w nim znowu zagotowała: „Co za matka, co za matka, żeby sprzedać własną córkę!” I wtedy przyszło mu do głowy, że trzeba dziewczynę na zawsze zabrać z tej meliny... Właśnie tak jej powie. I zaczął:

– Wiesz, Szejnka, to wcale nie jest matka...

– O kim mówisz, Chaim?

– O niej! To nie jest żadna matka!

I znow krew się w nim zagotowała. Jeszcze minuta i zacznie mu tryskać z ust, z nosa, z uszu, jak wrząca woda z garnka... Zacisnął pięści i wycharczał przez zaciśnięte zęby:

– Nie, to nie jest żadna matka!...

Szejnka wystraszyła się wariata i zaczęła prosić:

– Chcę do domu, do domu...

– Do kogo chcesz iść?

– Tato leży w ciemności... Weź rękę... To boli...

Puścił ją, a w gardle ścisnęło go coraz mocniej. Przed oczyma tańczyły mu wielkie czerwone koła. Pośrodku każdego koła siedział Wysoki Szosz z napuchniętą mordą, z cienkimi sztywnymi wąsami... Zapragnął się położyć, na samym środku ulicy, przytulić twarz do zimnego bruku i wyć jak dziesięć tysięcy psów. Własnymi zębami wgryźć się w żyły, by krew trysnęła na ulicę...

Na melinie nie było już nikogo. Tylko w kącie, koło pieca, siedział Wysoki Szosz...

Chaim siadł ciężko na skrzyni, a Szejnka położyła mu dłoń na plecach:

– Nie idziesz jeszcze do domu, Chaim?

Chaim chciał mówić, coś opowiedzieć. Jednak poza strasznym kwiknięciem nic nie mógł z gardła wydusić – Wysoki Szosz doskoczył do Szejnki...

Co działo się dalej, nie pamięta – z tej minuty w głowie pozostał mu zupełny mizmasz: głowa Wysokiego Szosza poleciała na ścianę, ławki pękły, a stary Welwel wrzasnął w kuchni... Pamięta tylko dobrze jak Szejnka wyprowadza go na dwór i błaga:

– Uciekaj, uciekaj Chaim!... Głowa rozwalona... Chwedko cię szuka.

5.

Od tamtej nocy Welwel czuł wyraźnie: „Uchodzą ze mnie ostatnie tchnienia, długo już tak nie pociągnę”. Leżał tak całymi dniami jak głaz, lewe zdrowe oko zamknięte i otwierał je tylko wówczas, gdy przychodził Kasryl Bas.

Kasryl całą historię tłumaczył sobie na zdrowy rozum tak: „Duża Rajca, oby szczęła, sprzedała swoją dziewczuchę Wysokiemu Szoszowi za dwie dwudziestki piątki, więc jego chłopak roztrzaskał mu mózg i teraz gnije w kozie już trzeci miesiąc” – tak sobie to tłumaczył i odwiedzał Welwela w butnym nastroju:

– Mój chłopak gnije w kozie, lecz gdy to przetrzyma, będzie twardszy niż żelazo, a ona, oby szlag poraził jej kulasy, dalej robi to na co ma ochotę.

Welwel dalej leży z zaciśniętymi wargami i przysłuchuje się, jak Kasryl mamrocze psalmy, a słowa obsiadają go jak natrętne muchy, których nie da się odgonić. Każde słowo świdruje mu mózg: „Zaległeś jak kłoc, a twoją jedyną córką kupczą teraz i już niedługo zaczniesz gnąć jak te siksy”... Pyta więc:

– Kasryl, długo jeszcze twój chłopak będzie siedzieć?...

Kasryl podnosi głowę znad czerwonej książeczki z psalmami i liczy na palcach:

– Było nie było jeszcze trzy miesiące – dostał przecież pół roku!...

Z matką Szejnka umówiła się tak: pomaga jej przez cały dzień przy zarobku, lecz wieczory należą do niej. I każdego wieczora idzie, owinięta chustą, ulicami, a bogate dziewczyny wyglądają z kramów i ją obmawiają:

– Mało jej jeszcze tych wszystkich chłopaków, to łązi nawet do tego, co w kozie siedzi...

Szejnkę to obchodzi tyle, co zeszlóroczny śnieg; od tamtej nocy pokochała tego chłopca tak, że w ogień by za nim skoczyła. Gdyby tylko mogła, całymi dniami stałaby pod oknem i patrzyła mu w oczy – bo on jest inny! Nawet z wyglądu nie przypomina innych chłopaków. Tamtymi po prostu się brzydzi, a on... Wyciąga rękę przez kraty i głaszcze ją tak delikatnie, jak kawałeczek pluszu i przemawia do niej drżącym, delikatnym głosem:

– Nic mi nie jest, Szejnke, nic mi nie jest; tylko bądź przy mnie...

Na rynku stoją wozacy przy wozach na resorach i za każdym razem, gdy Szejnka przechodzi przez rynek, czuje, jak ich spojrzenia palą niczym ogień jej plecy; dokładnie wtedy gadają tak głośno, żeby usłyszała:

– Ty, patrz kto idzie!

A Szejnka przebiega szybko przez rynek, jakby gnana batem, a gdy przychodzi do Chaima, oczy ma pełne łez, a chłopak stoi z zaciśniętymi dłońmi i powtarza:

– Nie, Szejnka, ona to nie jest matka!

Szejnka już rozumie, co Chaim ma na myśli, jasne, że to nie jest matka! Pamięta dobrze, z początku matka tylko wrzeszczała. Rwała sobie kudły z głowy, ale potem, po historii z Wysokim Szoszem przyszedł pristaw i chciał zamknąć melinę, wtedy przyprowadziła go do niej: „Proszę, panie, to moje jedyne dziecko”... Płakała wtedy, krzyczała, chciała do ojca. Matka zagroziła jej drogę i zawyla jak pies: „Ostatni kawałek chleba mi od ust odejmujesz... Powieszę się...” No i pristaw obiecał, że więcej Chaima w kozie bić nie będzie... Każe mu nawet dać worek ze słomą... I od tego dnia matka codziennie jej kogoś podsyła – nu, czy jakaś matka mogłaby takie rzeczy robić?...

Wszystko to przypomina sobie Szejnka widząc Chaima i nagle przychodzi jej do głowy, że od takiej matki trzeba uciekać – niech bije łbem o ścianę! Bo skoro już doszło do tego, że zarabia w taki sposób, przynajmniej pieniędzy nie będzie jej musiała oddawać...

A Chaim stoi smutny i załamany pod oknem, a gdy ona przychodzi, opowiada jej o zimnych nocach jesiennych... Pristaw już go nie bije... Pewnie mu się znudziło... To jednak nie przeszkadzało mu wcale, ważne, że ona, Szejnka jest przy nim...

A Szejnka stoi po drugiej stronie i go pociesza:

– Sześć tygodni, Chaim, jeszcze tylko sześć tygodni... Jemu zaś robi się tak błogo, tak lekko, gdy słyszy jej słowa i złości się na chłopaków tam na rynku, co Szejnkę zaczepiają... Jeszcze moment i wyrwie z okna żelazne kraty, wyłamie drzwi, wyjdzie do tych łobuzów na rynku i flaki im wypruje!... Kraty jednak są mocno zamurowane i nie chcą ustąpić, siada więc ze spuszczoną głową, a łzy napływają mu do oczu:

– A ja ich proszę, żeby chociaż skrzypki mi przynieśli – zwariować można od tego beczynnego siedzenia przez całe dni.

Szejnkę bardzo to boli i chciałaby go mocno przytulić do serca:

– Masz rację, Chaim, to nie jest żadna matka... Gdy tylko zechcesz, całkiem stamtąd ucieknę...

– A z czego będziesz żyła?

– No jak to z czego? Czy ona musi kłaść się pod każdego pijanego knura i jeszcze matce pieniądze oddawać?!... Może się przecież nająć, bo ja wiem, choćby u Urele Rocza, przyjdzie jeden, dwóch na tydzień, aby na kawałeczek chleba zarobić...

I czeka tak, co on na to powie.

– Nu, i co powiesz? He, Chaim? He, jak myślisz? Uciec z domu?... Chaim, o co chodzi? Chaim!... Chaim!... No i widzisz, jak tu stoję, gadam do niego, a ten nawet nie raczy odpowiedzieć – Oj długo poczekasz, zanim do ciebie przyjdę!

Następnego dnia rano ludzie opowiedzieli jej, że Chaim zmarł w kozie – serce mu pękło...

– Jak szkło od lampy, objaśniał jej Chwedko strażnik: „Jak za bardzo się nagrzeje – pęka”...

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

Wieczór w mieście³¹

Północ.
Białe płachty śniegu,
kroki skrzypią, ludzie idą.
W kinach grają Chaplina i Marlenę Dietrich.
Przy drzwiach czarne postaci trzymające wytrych...
Nocne pogotowie, karetka z czerwonym krzyżem
Furman drzemie na dorożce pomachując biczem
Reklamy ścigają się, kolorowe jak rakiety
Witryna z kwiatami dla zmarłych na bukiety.
Głos chłopaka środek nocy rozdziera:
Sensacja! Sensacja! Śmieją się z białych stron litery.
Parówki w blaszanych puszkach
Jakiś człowiek: ręce w kieszeniach, fajka w ustach.
W kabarecie słyszać jazzu dźwięki,
Gdzieś w szpitalu grali komuś solo śmierci.
Piwniczna izba, stukot maszyny, dzieci krzyk.
– Dokąd to ja biedna mam też iść?

Przetoczyła z jidysz Karolina Szymaniak

³¹ R. Potasz, *Wynt off klawiszyn* [Wiatr na klawiszach], Łódź 1934, s. 11.



Część 3

Bunt

Mojsze Broderson

Mojsze Broderson (1890–1956) urodził się w Moskwie, gdzie mieszkał do I wojny światowej, następnie przeprowadził się do Łodzi. Po agresji Niemiec na Polskę w 1939 r. udał się najpierw do Białegostoku, następnie do Związku Radzieckiego. W Moskwie był współpracownikiem żydowskiej sekcji Związku Patriotów Polskich. W 1948 r. został aresztowany i zesłany do gułagu na Syberii. Po śmierci Stalina wrócił do Polski. Zmarł w Warszawie. Córka sprowadziła jego prochy do Izraela. Debiutował w 1913 r. zbiorem wierszy *Der toj* [Rosa]. Był twórcą wszechstronnym; pisał poezję, sztuki teatralne, opowiadania dla dzieci, piosenki, skecze dla kabaretu, był reżyserem, twórcą i dyrektorem teatru. Najbardziej jest jednak znany jako twórca awangardowej grupy „Jung Jidysz”, łączącej elementy futuryzmu z tradycyjną ludową sztuką żydowską. Pobyt w Moskwie był dla Brodersona szkołą nauki poetyckiego rzemiosła. Dzięki kontaktom z rosyjskimi futurystami i żydowskimi intelektualistami wyrobił sobie oryginalny styl poetycki. Lata 1918–1919 były dla autora czasem najbardziej intensywniej twórczości poetyckiej. W 1922 r. wraz z pisarzem Jecheskielem Najmanem, kompozytorem Henochem Konem i malarzem Icchokiem Braunerem utworzył pierwszy teatr marionetek jidysz w Polsce „Chad-gadje” [Kozłatko]. Marzenia swego życia zrealizował Broderson w założonym przez siebie teatrze małych form „Ararat”. Autor pisał teksty, współpracował z muzykami, malarzami. W teatrze wiersze przeplatały się z tańcem, baletem, skeczami, pantomimą czy piosenkami.

G. Rozier, *Mojszesz Broderson. Od Jung Idysz do Araratu*, Łódź 1999; Ch. Shmeruk, *Mojszesz Broderson a teatr żydowski w języku jidysz w Łodzi (przyczynek do monografii)* [w:] *Łódzkie sceny żydowskie*, red. M. Leyko, Łódź 2000, s. 61–74; *Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny Żydów łódzkich oraz z Łodzią związanych*, red. A. Kempa, M. Szukalak, Łódź 2001, t. 2, s. 24 i n.; K. Radziszewska, *Srodowisko literackie łódzkich Żydów 1918–1950* [w:] *Kultura jako czynnik rozwoju miasta na przykładzie Łodzi*, red. V. Krawczyk-Wasilewska, M. Kucner, E. Zimnica-Kuzioła, Łódź 2012, s. 36–39.

Manifest¹

*Góry skakały jak barany,
Pagórki niby jagnięta².*

Daleko za górami ciemności ustąpić musi ta zastygła martwota, kiedy wspaniałe, pełne tajemnic życie zacznie kipieć, a przed naszymi oczami i naszym duchem przemaszkuje w chaotycznym rytmie realna, cielesna codzienność.

¹ *Manifest*, „Jung Jidysz” 1919, nr 2–3, s. 2. Tłumaczenie opublikowane w: *Polak, Żyd, artysta. Tożsamość a awangarda*, red. J. Suchan, Łódź 2010, s. 338 i n.

² Ps. 114, 4.

Żadna rzecz, żaden żywy lub martwy byt ani zającie nie stoi w miejscu, lecz wiedzie swoją rodzącą się, rozkwitającą i więdnącą egzystencję. Esencją jest realność, to co pozytywne i negatywne we wszystkich zjawiskach, a naszym zadaniem oraz świętym obowiązkiem jest konkretyzowanie i uzasadnianie każdego pulsowania tego istnienia, tak jak je czujemy i widzimy zarówno cielesnie, jak i duchowo. Jako artyści i poszukiwacze prawdy, jesteśmy na wskroś realistami w naszej mistycznej wierze i w naszym symbolizmie, naszych zwrotach ku impresjonizmowi, kubizmowi albo futuryzmowi, jak nazywają go ignoranci, ośmieszając samych siebie (do których, na marginesie, nie odwołujemy się) używając terminu obejmującego wszystkie te odniesienia od zarania dziejów.

Niektórzy, nawet jeśli są nastawieni rewolucyjnie, ale chcą być szczerzy, twierdzą, że przyszedłszy za wcześnie, szczególnie w świetle naszego niewielkiego bagażu żydowskości, który w ogóle nie zawiera kultury.

Nie bierzemy za złe rzecznikom tych poglądów, że w powodu ich naiwności, frazesy te brzmią dla nas tak, jak gdyby ktoś mówił, że autentyczność i prawda nie są w stanie zaważać światem, bo jest jeszcze za wcześnie... Oznacza to, że oczywiście artystyczne kłamstwo, ten pospolity kronikarsko-fotograficzny naturalizm, powinien wołać do Synaju piękna o uczucia dzisiejszego człowieka.

Raszi, nasz egzegeta (innymi słowy, komentator i krytyk), może być najgenialniejszym tłumaczem naszej twórczości, ale nasza *Pieśń na Pieśniach* powinna pozostać niezmiennie tym, czym jest.

Każde wyjaśnienie musi jednak być wyłącznie wynikiem intelektualnego namysłu i inspiracji, pod żadnym pozorem nie może być przez nikogo narzucane, nawet przy dokładnym i słusznym wyszczególnianiu!

Stawia się nam nieadekwatne, wynikające z ignorancji, słownikowe pytania, na przykład, by im wyjaśnić, co to jest sztuka, jak się do niej mają nasze dziwactwa, skoro sztuką jest malarstwo renesansowe, które rozumieją i lubią (kłamstwo! Ani go nie rozumiecie, ani się wam nie podoba!). Musimy, zgodnie z żydowskim zwyczajem, odpowiadać pytaniem na pytanie.

– Przepraszam, proszę nam wyjaśnić w pana naturalistycznym języku, co to jest Bóg, co to człowiek, a co to natura?

– Cóż to ma być, odnośnie do tego są przecież prawa, przykazania, zasady, dogmaty!

– I my je mamy!

I jeśli jesteśmy tradycjonalistami, jeśli posiadamy szczerzy szacunek wobec tych, którzy nam przewodzą, są to – tradycja biblijna, grecka mitologia, *Pieśń nad Pieśniach*, Lord Byron, Shelley, francuscy parnasiści, „Młoda Belgia”, E. T. A. Hoffman, Edgar Poe, Cyprian Kamil Norwid, autentycznie klasyczne rzeźbiarstwo i malarstwo, antyczna Grecja i Egipt, Fidiasz, Giotto, Tycjan, Rembrandt, Lucas

Cranach, El Greco, Van Gogh, Cezanne, Palestrina, Beethoven, Wagner, Grieg, Chopin, Skriabin, Debussy i wielu, wielu innych!

Niech wszyscy oni osiągną raj na ziemi. I niech tylko ich święte dusze osądzają naszą szczerłość i poszukiwanie prawdy – wtedy będziemy kontynuować nasze życie i twórczość! Obyśmy byli ustrzeżeni i uchowani od fałszywych pochwał i sentymentów, a z drugiej strony, od słownych biczów, złości, wściekłości i opinii ludzi o martwych umysłach i zatrutych duszach!

Zęby twe jak białe mleczne jagnięta,
Szyja twoja jak wieża...
Góry skakały jak barany,
Pagórki jak jagnięta
I do wszystkich diabłów z futuryzmem!

Przełożyła z jidysz Małgorzata Zaremba

Jankiel Adler

Jankiel Adler (1895–1949) urodził się w Tuszynie, szkołę ukończył w Łodzi. Mając 17 lat wyjechał do Belgradu, gdzie pracował w warsztacie grawerskim. W 1913 r. przebywał w Barmen w Niemczech, gdzie uczył się rysunku i malarstwa. W latach 1918–1920 mieszkał w Warszawie i związany był z grupą „Jung Jidysz”, współpracował także z poznańską grupą „Bunt”. Od 1917 r. tworzył ekspresjonistyczne obrazy i kompozycje o ekstatycznym wyrazie. W swej twórczości często odwoływał się do wątków biblijnych i talmudycznych oraz żydowskiego folkloru. W latach 1920–1938 mieszkał w Niemczech, gdzie był członkiem awangardowych grup artystycznych, np. „Die Aktion”, „Das Junge Rheinland” czy efemerycznego ugrupowania „Srebrny Wóz”. Prezentował swe prace na wielu wystawach, w tym Wielkiej Berlińskiej Wystawie Sztuki prezentującej awangardowe nurty i tendencje oraz Pierwszej Międzynarodowej Wystawie Nowej Sztuki. W tym okresie porzucił ekspresjonizm, by tworzyć pod wpływem kubizmu. W 1933 r. wystawiał prace w Nowym Jorku, a w 1935 w Warszawie i w Łodzi. Po objęciu władzy przez nazistów wyjechał do Paryża. W 1935 r. powrócił do Polski, gdzie był kierownikiem artystycznym i scenografem pierwszego polskiego filmu w języku jidysz *Al Chejt* [Za grzechy]. W 1937 r. jego cztery obrazy znalazły się wśród eksponatów monachijskiej wystawy „Entartete Kunst”. W czasie II wojny światowej znalazł się we Francji, gdzie wstąpił do formującej się Armii Polskiej. Wraz z nią został w czerwcu 1940 r. ewakuowany do Szkocji, następnie zamieszkał w Wielkiej Brytanii. Po wojnie wystawiał w najsłynniejszych galeriach Londynu, Paryża, Nowego Jorku. Zmarł w 1949 r.

M. Stolarska-Fronia, *Adler Jankiel* [w:] *Żydzi polscy. Historie niezwykle*, Warszawa 2010, s. 5–7; A. Kobos, *Malarstwo polskich Żydów*, „Zwoje” 2001, nr 1 (26).

Śpiewam mą modlitwę³

Wielki, wielki Boże! Ma tęsknota za Tobą rozkwitła – za Tobą, moje wielkie wysłowione Ja, o Boże!

Twój dech czuję w mózgu, w mych żyłach płynie Twe tchnienie. Koniuszki Twych palców, lilii delikatnych, gładzą rany mej rozkwitłej tęsknoty. Twój drżący śpiew przenika mnie aż do szpiku kości.

Otul mnie swą łaską i daj mi śpiewać Tobie niebieskie modlitwy, od delikatnego kobaltu do najgłębszej ultramaryny!

Niech ma tęsknota, o największy Stworzycielu, Ojczę mój, zmiesza się z Twymi promieniami, niech wyśpiewam Ci pieśni purpurowe, od najmocniejszego cynobru po najgłębszy karmin.

³ „Jung Idysz” [Łódź] 1919, nr 2–3, s. 11.

Cierpienie przepęlnia me serce i wyrywa się ono, wyrywa do Ciebie,
o wszystkotworząca wszechmocy, o Stworzycielu!

Cierpienie przepęlnia me serce i chce ono krzyczeć! Krzyczeć bez słów, bez
siebie samego!

Chcę z cierpienia mej duszy upleść Ci cytrynowożółte wieńce aż do najgłębszej,
najciemniejszej szmaragdowej zieleni.

Do Twego miłosierdzia chcę się przytulić, w Tobie zatracić, z Tobą zjednoczyć,
w Tobie tworzyć, o Boże!

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

Zmartwychwstanie⁴

Ucieleśnienie duchów błakających się po zakamarkach mej wyobraźni:

Bóg – Zdaje się – wszystko; Jest w nas, na ile my jesteśmy w nim, jego Mojsze
Nasz Nauczyciel, Mahomet, Jezus z Nazaretu ze swymi gruntownymi ideami
odnośnie do naszego bytu;

Indyjski trójjedyny Trimorti – zaczarowany wieczny trójkąt przeszłości,
teraźniejszości i przyszłości (Brahma – stwórcy, Wisnu – podtrzymujący
wszystko, Sziwa – niszczytel).

Książę Budda – Gautama, dziewięte wcielenie Wisnu – problem nieistnienia;

Franciszek z Asyżu – Giovanni Bernardone – dobroduszny ascetyzm;

36 Sprawiedliwych⁵ (wszyscy martwi) – prostota, skromność;

Święty Baal Szem⁶ – ekstatyczna wiara;

B.P. Cadyk z Kocka⁷ – święta rezygnacja;

Michał Anioł – najwyższy stopień boskości w naszej twórczości;

Czas – to nasz czas, zmierzch oddzielający tworzenie od niszczenia. Przez nas
przemawia Głos Kaina, naszym towarzyszem jest zaś Asmodeusz – piekło dnia
codziennego.

Śpiew: Anioły, Cherubiny i Serafyny – pieśń milczenia.

Anioły, Cherubiny i Serafyny:

Cóż milczy – tak długo już – Wieczność, Szechina biała?

Cóż milczy – tak długo już – Boga najwyższy głos?

W otchłanie z gwiazd spadamy, bagna zżerają nam ciała –

Jak niegdyś aniołom strąconym, za co, o Boże, ten los?

Cóż milczy – tak długo już – głos wszechświatów Pana?

Cóż milczy – tak długo już – najwyższy Boga głos?

Od zimna gwiazdy zdychają, od mrozu mrą gdzieś w otchłaniach,

I boską postać wyrzucił już człek na ofiarny stos.

No czemuż milczy Bóg – za siedem skrył się bram?

No czemuż milczy Bóg – czyżby nie mieszkał tu?

⁴ M. Broderson, *Tchijes hamejsim* [Zmartwychwstanie], Łódź 1920.

⁵ Tzw. Łamed Wownikes. Ludowe wierzenie żydowskie, zgodnie z którym świat opiera się na 36 sprawiedliwych żyjących w danym pokoleniu, od których zależą losy świata. Wywodzi się ono z Prz 10,25 „sprawiedliwy jest podstawą świata”.

⁶ Izrael ben Eliezer zwany BESZT [Baal Szem Tow] (1700–1760), słynny mistyk i cudotwórca, założyciel chasydyzmu.

⁷ Menachem Mendel Morgenstern (1787–1859), jedna z najwybitniejszych postaci chasydyzmu polskiego, zwany „milczącym cadykiem”. Uczeń Jaakowa Icchoka Horowica (Widzącego z Lublina) i Simchy Bunima z Przysuchy, nauczyciel wielu pokoleń cadyków.

Przezyste święte skrzydła już odpadają nam,
To koniec naszego bytu! To koniec naszego bytu!

Książę Budda:

To tylko taki znak – bliski czystości czas.
To tylko zwykły znak – już męki nastał kres.
Gotujcie się Anioły, czas zadać w szczęścia bas;
Prawdziwy dajcie znak – to czas niebytu jest.

Anioły, Cherubiny i Serafyny:

Niech stanie się! Niech stanie! Pękają nieboskłony,
Przez boską obojętność! Przez wielki ludzki gniew!
Przestałeś stwarzać, Boże, porasta pleśń pylony.
I słońca blakną już, nie widać ziaren wśród plew.
Spadają już masowo przepięknych gwiazd plejady,
A każda jedna z nich – ludzkiego życia kres.
Za grzechy – jakie grzechy? Za zdrady – czyje zdrady?
I ślepną słońca już i gwiazdy ślepną też.

Sziwa:

To koniec przyszedł już i nastał czas zniszczenia,
Ten czas – to mój czas jest – czas sądu oraz kar,
Niech szczelną i zaginą dziś władcy w mych płomieniach,
To koniec już wszystkiego, wszechświatów i ich miar!

Brahma:

To wcale nie jest kres, wszak od niedawna trwa ruch!
Bóg – człowiek czy – stworzenie nie ma do końca granic!

Wisnu:

Tak długo jak ja chronię w czasie ciało i duch,
Nie zginie nic na wieki, nie szczególnie gdzieś w otchłani.
Choć ośleplął cały świat, w okrutnej tkwi pozodze.
W ciemności zamilkł już nadziei cichy jęk,
Choć męstwo i nadzieja wciąż gasną w ciemnej trwodze.
A wszystko wciąż ogarnia okrutny straszny lęk.
Pustka ze wszystkich stron, modlitwa jest jak gnój,
Co ślepy człowiek wciąż rozrzuca tu i tam,
W skorupce ciszy tkwi zbawienia gołąb twój.
Opieki dobroć znów gdzieś z góry spłynie nam.

Bo jeszcze nie odkryto ścieżki w wieczności kres
I jeszcze nieraz tu zagaśnie słońca blask.
Syn mej starości czuwa, jak siedem słońc on jest –
Gautamo, pieśń zaśpiewaj – uraduj synku nas!

Książę Budda:

Już dawno temu, gdy po świecie wędrowałem,
I szczęścia wciąż dla braci ludzkich mych szukałem,
W wędrowce szły za mną jak smugi cienia –
Światy radości i światy cierpienia.
I z dniem mieszała się noc wśród plag,
I od światła drżały szale wag.
I dzień się zmieniał w ciemną noc,
I zło, i dobro swą mieszały moc.
I wszystko to, jak się zdaje, przede mną się rozciągało –
I wszystko to, tak sędzę, jasno me oko widziało
I wszystko, co widziałem, realne się stawało.
Jeszcze mi się zdawało, się zdawało,
Że boski duch przenika całe moje ciało
I z każdym słowem modlitwy i pieśni
Mniej obchodziły mnie troski doczesne.
Me radości były czyste i pobożne,
Spokój zyskałem w lotosu kładąc się łoże.
Radowały mnie nirwany nieziemskie tchnienia,
Szczęście nieistnienia, szczęście nieistnienia!

Asmodeusz:

To bardzo źle, mój drogi! To nie ma sensu wcale!
To całe nieistnienie – jakaż to straszna gra!
Już lepiej łzą czy śmiechem grzeszyć nam tutaj stale –
A chaos obserwować z bezpiecznej łoży dna.
Okrutna pustka, druhu, jest jak pustynia mroczna,
Pustkowia ciche – nic – bez miar, bez końca trwa!
Ha - ha, i czymże byłaby twa pieśń, choćby najśłodsza,
Przeszłości mara senna, piosenka pobożna twa?
To ja, kląc, błogosławię człeka – wieczny ruch,
To grzech ma moc, co wciąż napędza życia krąg!
Pytania, co odpowiedź pytaniem zabrzmi w słuch,
Odkryta tajemnica ukryta w brzuchach ksiąg!
Zwiedzione wszystko jest przez myśli i uczucia,

W pokrętnych zawijasach utknęło już na fest.
Gdyż duchowością chciano cierpienia nasze skrócić;
A człowiek, zawstydzony, wciąż niewolnikiem jest.
I sługą stał się swej pełnej mądrości wiary,
W zamieci stoi tam, malutki, sam, bez sił,
Ku górze wznosi skroń, ku niebu, co bez miary –
A duchem wciąż w niewoli tkwi, jak onegdaj tkwił.
Ogarnął go zniecka samotny dreszcz straszliwy,
A wy – wy wszyscy tam uciekliście na gwałt.
Szukając Boga grzeszył – pod moje przeszedł wpływy;
I stworzył mnie przed Bogiem, i ludzki nadał kształt.
Na zawsze teraz już ja goszczę w jego bramach,
Ochraniam go – mój druhu! Na krok już nie chcę zejść.
Jestem z nim od dzieciństwa, jak tata oraz mama,
Śpiewam mu kołysankę oraz żalobną pieśń.

Anioły, Cherubiny i Serafyny:
O Boże, wszak tron Twój się chwieje, zaraz runie!
O Boże, wszak królestwa Twego wnet nastanie zgon!
Ku słońcu zawracają promienie w krwawej łunie –
Grzechem tym przerażone, co ziemi nadaje ton.
O Boże, święty dom Twój kto inny teraz zajął.
A Tyś się jeszcze bardziej milczenia okrył mgłą!
Dotarli na Twe wyżyny posłańcy ptasią zgrają;
Twe światła gasną już, dopełnią dolę złą.
O Boże, o świętym słowie Twym od dawna słuch zaginął,
Melodia głosu Twego przepadła w zapomnienia toni.
Do majestatu każdy drogi metr pokryty jest plwociną,
I duszą się wyżyny od trefnej smrodu woni.
Ze strachu światła Twe migocą już i gasną,
I kosmos kurczy się jak źle wyprany łach!
Więc niech Twój boski głos odpowie nam dziś jasno –
Przed kim stoimy tu? Wszak to nie tylko w snach?
Wspomnij znów, Boże, człowieka! W szaleństwie wszystko tonie,
Zatraca się duch i ciało! Wspomnij go, wszak to twój syn!
Wyprostuj ścieżki mu! Błękit niech trwa w nieboskłonie.
Bo traci Cię człek, o Boże, twój obraz ginie w nim!
O Boże! O Panie! O Wszystko! Jak wielkość Twą odnaleźć,
Gdy radość w smutku ginie, gdy płacz nie ma sensu już?
Ukaż się mu o Boże! Inaczej nie będzie nas wcale:

Bo razem z nim zginiemy wśród wichrów zagłady i burz!

Zdaje się:

Słyszę szloch dokoła! Zewsząd dobiega płacz mnie!
I z każdej świata strony gorzki tu słyhać lament!
Przestrzenie w szaleństwie mkną, dal z dalą przybliża się,
Od zimna słońce drży, ciemnieje jak atrament!
Nie wytrzymuje blask mroku wielkiego naporu,
A jego piękne oczy blakną i gasną już,
Spadają światła z mego łona zmarzniete, bez koloru,
I gwiazdy ku otchłani mkną wśród naporu burz.
Na ziemi gniew ogromny pchnął z brzegów oceanu,
A kontynenty drżą, jakby iść chciały precz.
W płomieni morzu któż zostanie na świat wydany,
Gdy wszystkie siedem niebios przeszył błyskawic miecz.

Anioły, Cherubiny i Serafyny:

Przez drogi i bezdroża już Anioł Śmierci kroczy.
Śmierć wiele oczu ma, choć każde ślepe jest,
Wierzchowiec jego biały, zgoniony pianę toczy.
Na skrzydłach grzechu śmierć w oddali leci.
Jak owce, stado krów biegają dzieci Adama,
Co wiarę swą straciły, pasterz porzucił je!
Cudów nam, Boże, trzeba! Twa wielkość nieumniejszana
Niech czarny kir rozpacz z ziemi na strzępy rwie!

Zdaje się:

Któż to narodzi się w krwistym morzu płomieni?

Asmodeusz:

Jakież to dziecię ma na świat przyjść poprzez grzech?
O, biada dziecku, co grzech pusty swą matką mieni,
O, biada dziecku, co w wiatr swój zamieni śmiech!
O, dobry Boże mój! Na próżno to czekanie,
Zamknięte nocy łono, na zawsze śpi już ono,
Już nie ma siły mój miły, w kamiennym tkwi już stanie!
Nie będzie płodne – o Boże – kurewskie zimne łono!

Zdaje się:

Któż to narodzi się w krwistym morzu płomieni?

Anioły, Cherubiny i Serafyny:
Ziemia czerwienią spływa – jej skóra jest czerwona.
I zewsząd śmierć wypływa źródłami zatrutemi,
Bo śmierć jest jedna, ona jak zawsze niewyciężona.
Dziecię, co się narodzi, sierotą wnet zostanie!
Co karmić będzie się na ziemi piersi suchej.
W szambie biedactwo mieć będzie swe posłanie,
I w puste skorupy wnet zamieni swą otuchę...
Więc przybądź tam, o Boże, ptaszynę utul marną.
Od ciosów dziecię chroń, od wielkiej strasznej grozy!
Bo nie ma już proroka, co rozpacz rozświetli czarną,
Co by opłakał dni przez troski skute mrozy!
Zbawienie wije się porodu zmożone bólem.
A Mesjasz kajdany czasu u rąk ma i u nóg!
Ostatnia już nadzieja owiana krwawym tiulem...

Zdaje się:
Słuchajcie więc i wiedźcie: Bóg cierpi! Cierpi Bóg!
Me imię – wymazane, oplata sieć zapomnienia.
Głęboki cień spowija Imienia mego moce!
W najwyższej dali samotnie drzę z upokorzenia.
Me oko nad wszystkim czuwa, powieki nie zmruję w noc.
Na siebie biorę troski! Już nie opuszczają mnie!
Aż blask mój się wypali, aż ból uśmierzy się!
To moje myśli są! Anioły ciche – w mym śnie,
Po prostu tak ma być tu na wieczności dnie.
Po prostu przeznaczeniem mym utonąć w ziemskiej rozpacz.
Jak mnie, tak i wszystkiemu to właśnie jest pisane.
Być może ziemi zagładę każdy z nas wkrótce obaczy!
Bo cierpi i wątpi Bóg! Wiedzieć, to będzie wam dane!

36 Sprawiedliwych – martwi:
Wszyscy jesteśmy martwi – przybyliśmy do Ciebie z błaganiem
O zmiłowanie twe wielkie nad ziemią, o Panie nasz, Boże.
Okaz swe miłosierdzie! Na krok nie ruszymy się stąd, Panie!
Z ziemi uciekliśmy przed troską, co strach w nas jeszcze wzmoże.
I martwi uszliśmy wnet przed piekłem tam, na ziemi,
Ostatnie tchnienie wydając, wyznając w bólu grzechy.
Okaz swą wielką litość i zmiłuj się nad grzesznymi.
Bo nie ma już świętych wśród nich i nie ma już pociechy.

Nędznicy z nich, o Boże, nikt na ich nie stanie czele,
Gdyż miara też sierocych dawno przebrała kres.

Asmodeusz:

Ach, łzy, kochani moi, też nigdy nie za wiele!
Przyznajcie, moi drodzy, w was wina także jest!

Franciszek z Asyżu:

Przebrana miara już, człowieka przerósł smutek,
O wszystkim teraz śni, przez wszystko burzy się.
Naprawy szuka łaża u Boga, gdzie jej przyczyna i skutek,
Zduszona już w człowieku, na gardła zmrożona dnie.
W skromności swojej ja, com cały świat przemierzył,
W młodości opłatała mnie grzechu gęsta sieć,
Cierpienie boskie jam na siebie wziął, jam z jego samotnością się mierzył
A teraz biorę też na siebie ludzkiego grzechu śmieć.
Ja ziemskie piekło już wypijam, choć nie muszę.
Ku ziemi skłaniam się, co grzechu wydała węża –
Cierpienia popiół sypię w mą śnieżnobiałą duszę:
I biorę ja na siebie ten przeraźliwy ciężar.

Asmodeusz:

Tak wam do twarzy z cierpieniem! I popiół będzie pasować.
Męczeństwa pył tak dobrze do bladej pasuje twarzy...
W czas głodu, jak rozumiem, post jest najłatwiej zachować!
Och, wtedy głębsza jest wiara, pochłonie gniew i zarazy...
To nie żart, mój przyjacielu, nie żart, Giovanni Bernardone,
Każdy na karę zasłużył, kto z ludzi cierpienia drwi,
Nie darmo przecież druhu, na księżycu, zamglone,
Wśród kar oraz umartwień swe młode spędziłeś dni...

Święty Baal Szem:

Ja zaś, o Boże, mój Boże za wszystkich przybywam tu prosić
W płomiennym mym zachwycie, jak w gorejącym krzewie.
Za tych, co myśli niewierne w swych sercach wciąż chcą nosić!
Ujrzyj hańbę człowieka, o Boże! Tej bezsilności zarzewie.
Dostrzeż, jak wielki on jest – ten wąż, co usnął nażarty,
Jak wielkie jest zagrożenie w przeklętym strachu tym...
Ogromne twe piękno, Boże! Twe piękno, Boże, nieodparte!
Objaw się mu, o Boże, swój obraz obudź w nim!

Z pieśnią, co ognia pełna, wszystkie światła zapalę,
I z białych twarzy wnet każdy wywabię grzech...

Asmodeusz:

Czyż nie wiesz druhu mój, że ludzie myślą stale?
A z braku grzechu nikt jeszcze nie zrobił posiłków trzech...
Ciężary ołowiane się kładą na duszy szale,
A z każdym wolnym krokiem upływa czasu dech!
Do serca mu przemówić – próżno! Jakbyś do ściany gadał!
Na wszystko przyjdzie czas! Godzina, zegar bieg im nadał!
Co wiernie jak nikt inny samemu służy sobie!...
Zachwyt to dla nich jakby debilny truposz biadał,
Co zawsze był wariatem i tylko pstro ma w głowie...

B.P. Cadyk z Kocka:

Znikajcie już skorpiony i wy, węże podstępne!
Znikajcie, blask świec szabasowych już pobłogosławiony!
Znikajcie w ciszy, gdyż słońce skryło oblicze swe posępne!
A księżniczka szabas skryła twarz swą za welony.
Za ciężkie zasłony! Nie będzie jej wdzięk już uwolniony!
I żadna pieśń już nie poruszy jej zatwardziałym sercem!
Bo jedno jest pewne: Nie ma już sądu, nikt nie zostanie osądzony!
W czern się spowiła! Za mrocznym się skryła kobiercem...

Zdaje się:

Od trosk Szechina milczy! Szechinę moc drżenia ogarnia straszego!

Głos Kaina:

Gorycz ogarnia mnie grzesznego! Gorycz ostatniego pokolenia!
Zaprawdę straszna to kara! Czyż jestem stróżem brata mego?
Jasne oczy Abła prześladować mnie będą do ostatniego tchnienia...
Już martwy jestem od męki, od krzyku pełnego cierpienia!
Jestem zmęczony od śmierci, od wiecznego zawodzenia...

Asmodeusz:

Oko za oko mój bracie! Nie zmienisz przeznaczenia!
Bo tak postanowiono: a nawet zęb za zęb...

Anioły, Cherubiny i Serafyny:

Już Anioł Śmierci pędzi choć droga oblodzona.
Ogarnia cały świat od kresu aż po kres.

Okrutna Kaina kara niech będzie złagodzona.
Choć zbrodnia była straszna, kara zbyt wielka jest!
Okrutne jego wejrzenie! Sam sobie rzuca spojrzenia nienawistne.
To przeznaczenie Kaina! Spojrzenia swego nie może znieść.
Patrzeć na mord to piekło dla niego jest zaiste!
I piekłem – serce jego. I piekłem – życia treść.
I piekielny jego ród: przodkowie, żona i dzieci,
Wnuki, przyjaciele – prawdy jego i zmyślenia,
Jego pokuta, majątek, stada, nawet ryby w jego sieci,
Abla zjawa biała – do ostatniego pokolenia.
Małości i hańby nosi koronę. Rabunkiem są jego starania.
Nad jego głową zaś wciąż ostry wisi miecz.

Asmodeusz:

No, nie wiem, doprawdy, o co tyle tu zamieszania?
O ziemię tę malutką, naprawdę w tym jest rzecz –
O ziarno piasku niewielkie, co w bezkresnej dali zginie?
O kropelkę przestrzeni, co schnie i niknie bladawo?
No, ja doprawdy nie wiem: niech zginie we własnym zimnie,
Niech szczerze ona i już... Takie natury prawo!
No, nie wiem, Boże, mój Panie, jak cierpień ogień ominąć,
Gdy już rozbłyśnie on i wszystko na popiół spali?
No, nie wiem, Boże, mój Panie, czemuż się martwi Szechina,
Dlaczego załamuje ręce swe gdzieś w oddali?
Gdy ku mnie zwróci się, o Boże, rozłożę skrzydeł mych dłonie
I ziemię ja okryję – zasłonię wstydu ognia toń!
Na hańbę – konanie z ziemskiej będę patrzył łoży,
„Bo daje i odbiera wciąż tylko twoja dłoń”⁸.
Gdy ku mnie zwróci się, o Boże, przybędę wśród zamieci
Na koniec tu i teraz, na straszny czekać kres!

Zdaje się:

Oj wej! Wszak mój jest grzech i grzeszne są moje dzieci!
Lecz kara nie jest moja, bo to ich kara jest!
Bo to człowieczy jest pot, co krwią się stał, pot krwawy.
Zalewa nim swój chleb, swój tryumf i cierpienie.
Zewsząd krzyczy w głos krew, oblewa wszystko gniew rdzawy,
I plaga jest ta krew, nieszczęść i przekleństw spełnienie...

⁸ Nawiązanie do błogosławieństwa odmawianego na wieść o śmierci: „Bóg dał, Bóg wziął, błogosławiony Sędzia Sprawiedliwy”.

Człowiek zaś pobladł już, skurczył się, bliski omdlenia,
I blednie w nim i ginie dusza, drżąc wśród konania
I każde dziecię zrodzone wnet w starca się przemienia –

Asmodeusz:

A wszystko skutkiem jest jednego drzewa poznania...

Mojsze Nasz Nauczyciel:

Oto ziemię spowiła plaga egipskich ciemności.
Okryła wszystko już noc straszna i dzika.
Na ziemi nikt nie zazna już spokoju, ani oddechu wolności.
I naród niewoli naród. I człowiek się zmienił – w niewolnika.
Buduje się ziemię kaleką. Buduje się wgłąb i wwyż.
A człowiek jak wół roboczy! A ludzie jak pracy demony!
Formuje się kamienie, by stawiać gmachy wież,
Buduje miast molochy, giganty na wzór Sodomy!
I burzy się miasta całe i całe kraje niszczy.
Zagłada, co bez miary, zagłada aż po krąg!
Starli się w strasznym boju niszczyciel i budowniczy –
Przez czyny wielkie swych przeklętych, brudnych rąk...

Michał Anioł:

Prastare niszczy świątynie! Wyrывa świętości korzenie!
Zatrutych strzał już chmara przebiła kopułę świętą
Z kamieni oraz farb! Na gruzach bluźniercy świętują w uniesieniu,
A w oczach mają mgłę, a głowę od bzdur wzdętą –
Latryną stał się świat – choć schody marmurowe –
Jak obłąkany taniec tych miernot zniewolenie,
A wszystkie ich spojrzenia jak doły są grobowe,
Tak w ślepym zpatrzeniu jest pustką ich tworzenie...

Asmodeusz:

A przecież to nie koniec! To przecież nic strasznego!
To jest, jak to się mówi... Ha ha... To sztuka – ha... „Evviva l'Arte!”
Dziś – taki przekaz właśnie na ustach jest każdego...

Mojsze Nasz Nauczyciel:

Niebiosa patrzą zdziwione, a bramy ich zawarte,
Jak niewolą się oszukani – za kawałek grosza nędznego.
I wszystkie przykazania z pamięci uleciały.

Nikt już ich nie pamięta – jakby nie znali ich wcale.
Me Tablice Przymierza dawno już gdzieś poznikały!
A Boskie Imię tylko przekleństwa służy chwale!
Już od nierządu chore, pokryte śmierci pleśnią –
Polem i lasem zdążają ku sobie armie wielkie;
Amalek żyje i walczy... W wieczność się zmieni bolesną
A Boski kształt – przypadnie z odwiecznym głodu jękiem.
Odgłosy bitew giną w błazeńskich trąb zamęcie.
I nawet ich zwycięzcy na wpół są martwi już,
Rachują i tańczą w krąg sprzedawcy i klienci
Wokół złotego cielca, co powstał pośród zórz!
I nie ma już balsamu, narkotyk pragnienia nie koi;
Z kamieni bije chłód, od ludzi – opętanie,
Szaleństwo straszne, dzikość, ulegli już złej woli,
Na próżno na pustyni lud czeka na manny zesłanie.
Nie zstąpi deszczu czar na wyschłe pola wiary.
Wygasła góra już i Synaj zakryty jest,
Bo z góry spowił ją dymu chmur welon szary.

Asmodeusz:

Dziesięć egipskich plag – cóż – był to próżny gest,
Bo tylko w faraona te plagi uderzały...

Mojsze Nasz Nauczyciel:

Sam biega człowiek już i swoje mięso zre!
Rydwany wroga bezbronnych dościgały,
Słup ognia pośród nocy jarzy i pali się...
Nadciąga przygnębienia mór! O wspomni Boga człek niestały!
Jeszcze spróbuje wspomnieć słońce na nocy dnie,
A potem świat ogarnie – noc – jak ciemny dymu słup się stanie cały!
Głos na pustyni – to tylko hieny chichoczą dwie...
W mroku się rozpuści w strasznych ciemnościach egipskich,
Z boskiego pod chaosu przechodząc władanie!
O Boże, twe dzieci z pustynnych bezdroży uwolnij, wszystkich!
Ku człowieczeństwu poprowadź, ku sprawiedliwości pokieruj ich, Panie!

Asmodeusz:

Czy ludzkość może ku człowieczeństwu wśród kłamstwa się podnieść?
Czy zniewolonym umysłem sprawiedliwość ogarnie?
To może się udać na górze, gdzie anioły fruwać swobodnie!
Lecz nigdy tu na ziemi, doprawdy widzę to marnie!

Jezus z Nazaretu:

Mnie zaś, do Ciebie, o Boże, w wielkiej ciągnęły męce
Bezmierna miłość! Cierpienie po kres!
W miłości, o Boże, jakbym przez obce prowadzon był ręce.
W cierpieniu, o Boże, jestem w Tobie – tak cierpi syn, co w Tobie jest!
Przed Tobą wylewam serce me nagie, co w rozdarciu się miota,
A gniew człowieczy wielki zadał mu ból!
Ojcze, świat dookoła jak ciemna Golgota!
Koronę cierniową nosi niewolnik i król...
A pocieszenia łaski nie doznał jeszcze żaden, żaden.
I na nikogo jeszcze dobra nie spłynęła poświata.
Samotny w swym cierpieniu jest teraz każdy jeden –
Świadomy grzesznik, niechciane dziecko świata.
Samotny wędrowiec, co serce gorące utracił,
Dusza grzeszna, samotna pieśń wśród burzy!
Każdy jest sobą pijany, sam się w otchłani zatracił!
A ciała ich nie wiedzą, czym każdy na ból zasłużył!
Bo nie wiedzą, Boże, w radości i cierpieniu, co czynią!
Przebacz, o Ojcze nasz, swym dzieciom zagubionym.
Co szczęścia nie zaznały, bez wytchnienia idąc pustynią,
Przebacz im grzechy i ulżyj cierpieniem umęczonym!
Ześlij im łaski swoje! Od ran ropijących ulecz!
Ich dusze głodne nakarm – w nieszczęściu nowy daj im dech!

Asmodeusz:

Już nieraz słyszałem powiastki o cudach powtarzane czule:
O prostych chlebie pszenicznym – o chleba bochenkach trzech...

Jezus z Nazaretu:

I w miłosierdziu siedem się niebios otworzy na oścież!
Niech szczęście nastanie bez granic, niech przepadnie troska!
Otwórz, o Boże Ojcze, wszystkie źródła twej miłości
Niech zgody łaska na wrogów spłynie boska!
Niech pokój i szczęście nastaną! Niech ze wszystkich stron spłyną,
A słońce wesołe niech swój rozlewa blask!
Na zawsze niech szczeźnie już noc z jej czerni równiną,
Niech słońce – sędzią się stanie na świętym Sądzie łask!
Niech los w swej kuźni na lemiesz przekuje
Miecze rozgrzane jak płomień, skropione krwią.
Błagam Cię, Boże Ojcze, byś okazał jak nas miłujesz
I w miłosierdziu, o Boże, zlituj się nad ziemią Twą!

Asmodeusz:

Och łaska! Och łaska! Ona jak tani jest kramik,
Do którego żebracy się złączą, biedota że hej,

Mahomet:

Me ciało spowijam we wstydu i pokory aksamit.
Na drobne strzępy rwę jedwab duszy mej.
Nie chcę patrzeć, o Boże, co na ziemi po mnie pozostało,
Lecz widzę, że dookoła bożków plenią się legiony!
Widzę bałwany, które się niegdyś pokonało –
A każdy z bożków był na zawsze już okaleczony!
Opity dziko krwią, od łoju tłusty cały
Samotnie pędziłem w szale przez ziemię płonąca!
W piekielne otchłanie martwe lata zstępowały,
Na ostrzu noża tańczy ziemia, pijana, odurzona,
Do trefnego kresu chwiejnym podążając krokiem!
Nikt jej zbudzić nie próbuje, przez nikogo nie ostrzeżona,
Nadzieja to tylko chrapanie w śnie głębokim!
Ma trzoda na ziemi w strachu, ścigana nienawiścią.
W niemocy się tuła, szukając śmierci cienia...
Najlepsi z nich już do przyszłego świata wybrali wyjście!
A koniec pewny zbliża się, pędząc bez wytchnienia!
Paszcza końca pochłonie skutek i przyczynę bezkresną,
Otchłani zgłodniała paszcza zapomnienia.
Pijaną pochłonie ziemię z jej grzeszną pieśnią,
Z jej żalonym krzykiem przerażenia...
Pijany trup obrzyga wszystko wielką strugą,
Wszystko z gardeł pijanych ulewać się będzie!

Asmodeusz:

Takie wizje to chyba epilepsji są zasługą,
Och, zjedzcie wieprza już, niech smalec ścieka wszędzie!

Mahomet:

O, wszystko nieczyste i trefne! Już każda modlitwa niegodna!
I kłamstwem, błagą wszystkie jej słowa i dźwięki!
Nie słyszą modlący swych głosów – skostniała pieśń nabożna,
Błuznierstwem się stała – z miejsca umiera wśród męki!
O, wszystko nieczyste i trefne! Już miłosierdzie się stało przekleństwem!
Miłosierdzie zmieszało się z błotem oraz krwią,

W łańcuchy nierządu zakute, fałszywych słońc blasku szaleństwem,
W przemocy się zatraciły, wśród spiżu z niemocy drwią!
O, wszystko nieczyste i trefne! Śluzem i żółcią spryskane!
Uczynki pobożne już dawno – ubite pośród drwin!
I każdy czyn dobry jest łgarstwem i błagą – wszystko jest oszukane!
I żaden czyn nie jest dobry, bożej iskry brak w nim!
Wołanie do Ciebie, o Boże, nie z wiary prawdziwej wynika!
Lecz echem jest jedynie – zagubionym, bo sensu w nim brakuje.
Muezin miast pieśni pocieszenia, bluźnierstwa wyśpiewuje...
Z gołębia już ofiary nie otrzymasz od niewolnika!
Allahu, o Boże, Allahu! Pomóż swym dzieciom w niedoli bezmiernej
Tylko Ty możesz pomóc, o Boże! Twe dzieci są bezbronne...

Asmodeusz:

Szurum burum, przyjacielu! Modlitwa, uczynki miłosierne –
To wszystko już dawno są śmieci, na szmaty przerobione...

Głos Kaina:

Zamilcz Asmodeuszu! Wystarczy! Niech zniknie z twym cieniem trwoga!
Wystarczy już tych drwin! Twych bluźnierstw – mamy dość!
Zmyliłeś ludzkie ścieżki, zboczyłeś z drogi Boga,
Do śmierci nas prowadzi twych nauk mądra złość...
Bo łgarstwem jej każda litera, co ostra jest jak nóż!
Twój mądrości, Asmodeuszu, nie wieńczy piękna radość!
Ję koszulina licha na bruku się wala już!
Jak wielkie jest zmartwienie! Jak ciężkie grzechu pęta!
Piętno tułactwa mego – strasznego grzechu znamię!...
O matko tego świata! O dzieciach swych pamiętaj
I przybądź matko nasza, nas w nieszczęść utul tłumie –
Ostatni raz przed śmiercią, ostatni gest czyn tam,
Tak czuły i matczyny, jak matki ręka błoga!
Och, zstąp w nasze barłogi, objaw się, matko, nam –
Niech poprzez twoje oczy sami ujrzymy Boga!

Anioły, Cherubiny i Serafyny:

Twe słodkie imię, matko, dzieci wołają zbłąkane.
Twe słodkie imię krzyczą w wielkiej konania pożodze.

Wszyscy:

Twe słodkie imię, matko, dzieci wołają zbłąkane.
Twe słodkie imię krzyczą w wielkiej konania pożodze.

Anioły, Cherubiny i Serafyny:

Ukój skromnością swą czystą ich smutku wielką ranę,
Pogładź matczyną dłonią umierających w trwodze.

Wszyscy:

Ukój skromnością swą czystą ich smutku wielką ranę,
Pogładź matczyną dłonią umierających w trwodze.

Anioły, Cherubiny i Serafyny:

Ostatnie westchnienia żałoby w powietrzu znikają
I słońce nam już zasłania hańby wielka ściana.

Wszyscy:

Ostatnie westchnienie żałoby w powietrzu zniknęło,
I słońce nam już zasłania hańby wielka ściana.

Anioły, Cherubiny i Serafyny:

Proś, mamó, by w konaniu niebo pojaśniało,
A dzieciom odmieniły się ścieżki poznania...

Wszyscy:

Proś, mamó, by w konaniu niebo pojaśniało,
A dzieciom odmieniły się ścieżki poznania!

Anioły, Cherubiny i Serafyny:

Ostatnia bezpieczna gwiazda została zgaszona!
Zapał na powrót te gwiazdy – duszy znicze!

Wszyscy:

Ostatnia bezpieczna gwiazda została zgaszona!
Zapał na powrót te gwiazdy – duszy znicze!

Anioły, Cherubiny i Serafyny:

Człowiek już leży bez zmysłów, jego mowa stracona –
I błędnie śmiertelnie boskie święte oblicze!

Wszyscy:

Człowiek już leży bez zmysłów, jego mowa stracona –
I błędnie śmiertelnie boskie święte oblicze!

Anioły, Cherubiny i Serafiny:

Światy padają dokoła! Wszechświat się zmienia w ruinę!

W pożodze rozpada się wszystko – najwyższe padają eony!

Wszyscy:

Światy padają dokoła! Wszechświat się zmienia w ruinę!

W pożodze rozpada się wszystko – najwyższe padają eony!

Anioły, Cherubiny i Serafiny:

Na nasze ostatnie tchnienie przybądź, o matko – w śmierci godzinę!

Bo wszyscy bez ciebie pomrzemy! Każdego z nas los przesądzony!

Wszyscy:

Na nasze ostatnie tchnienie przybądź o matko – w śmierci godzinę!

Bo wszyscy bez ciebie pomrzemy! Każdego z nas los przesądzony!

Rachela:

Po wielu, wielu drogach wędruję dotąd sama:

Już jestem tutaj, dzieci, już idzie wasza mama.

I jestem blisko Boga, i z wami jestem, obok.

Bo wszystkie swoje dzieci ja kocham jednakowo.

Grzeszników, chorych, biednych, bogatych – daję słowo,

Jeziora łez wylałam, o moja biedna głowo,

A wszystkie one zlały w ocean się bez końca,

Z którego smoła wypływa i siarka płonąca.

Boski to gniew me serce do cna wypalił,

A z żalu ręce me zupełnie pousychały.

Dusza me ciało opuścić chce już wśród drżenia.

Oj wej, me dzieci – me nadzieje i marzenia!

Oj, kogóż tulić będę teraz do łona matczynego?

Oj, kogóż wychowam na człowieka dorosłego?

Oj, któż będzie dom Boży i moją rozświetlał chatę?

Oj, kogóż spod skrzydeł wypuszczę, by się oswoił ze światem?

I kto rozświetli wielkiego boskiego ojcostwa cud?

I kto mi wynagrodzi święty matczyny trud?

W kim spocznie moja wieczność – mój blask?

I kadysz na mym grobie które odmówi z was?

Po drogach i bezdrożach błąkam się teraz sama,

Już jestem tutaj, dzieci, już idę, wasza mama.

Już idę, jestem blisko, już słyszę wasze łzy,

Choć moje wyschły dawno już, choć połknął je czas zły...
I kto pocieszy w smutku mnie – Najwyższy tylko wie;
To w was jest pocieszenie, wy pocieszcie mnie.
Bo skarbem wyście mym – wszystkim jesteście co mam,
W was spokój drzemie mój, pewność spiżowych bram.
Do kogo pójdę teraz z żałobą mą bez słów
Jak nie do waszych trosk? Was obejmuję znów.
Wyznajcie za mną grzechy. Śpiewajcie pobożną pieśń –
Me piersi mleka są pełne. Każdy z nich będzie jeść!

Wszyscy:

O Boże, zła siew pobłogosław, by dobra wydał plon;
I ożyw zmarłych nam – na wieczność uczyn to!

Zdaje się – głos z zaświatów:

Niech świętej prawdy cud się stanie, dla ludzi niech istnieje on!

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

Benjamin Gor

Prawdopodobnie pseudonim literacki, autor nieznany.

***9

O obojętny Boże burzy
Z wiatrem niesiony w tumanie kurzu
W sennym westchnieniu liści szelestu
Pochłaniam Ciebie Boże
Ja czuję – Ty jesteś
Szeroko rozpostarty przytłaczasz sobą
Oddychasz ciężko
Twój oddech wrze
Wrywa ze mnie tchnienie

Stwarzasz nieskończoność
Wchodzisz nieproszony
Bez Twojej woli dzieło stworzenia
Bez Twojej wiedzy życie całe
Przytłacza mnie jak ciężar nie do zniesienia

Bezsensownym ruchem
Strąciłeś z nieba
Bezwstydneho ducha

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

Teraz...¹⁰

Strach bije z miasta murów szaro-ziemistych
Szyb błysk jak sztylet, gniew nienawistny
Pot perlisty

Czarną pianą domów oddychają usta
Każdy słup i drzewo już spowija tłusta
Otchłań pusta

⁹ B. Gor, *Blinderhajt* [Po omacku], Łódź–Warszawa 1920, s. 6.

¹⁰ B. Gor, *Blinderhajt...*, s. 13.

Ludziki biegają jak oszołomione
Strach ich oślepia, wszystkie drogi zgubione
Świata koniec

Ciemność narasta, już każdego tu zjada
Skołtunionego psa oraz złego gada
Ludzkość pada

Spod ziemi gdzieś echo dobywa się piosnki
Żelaznej dumy dźwięk zatracą się niski
Zimnej troski.

Czerwone źródło błyska i w mroku taje
Spod ziemi człowiek jak kolos powstaje
Mesjasz to jest!

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

Lejbel Kuperszmid

Lejbel Kuperszmid (1910–1987) urodził się w Białej Rawskiej w rodzinie chasydzkiej. Uczył się w chederze, potem w jesziwie cadyka z Góry Kalwarii. Od 1923 r. mieszkał w Łodzi, gdzie pracował jako piekarz. W latach 30. powrócił do rodzinnego miasteczka. W czasie wojny przebywał w Związku Radzieckim. W 1947 r. powrócił jako repatriant do Łodzi, a w 1951 r. wyjechał do Izraela, gdzie pracował jako stolarz. Zmarł w Holonie w 1987 r. Przez całe życie, również podczas pobytu w Izraelu, tworzył w jidysz. Debiutował w 1937 r. w Łodzi tomikiem *Citer-fajerlech* [Drżące ogniki], a w 1939 r. na krótko przed wybuchem wojny wyszła jego sztuka teatralna dla dzieci *Der sznej-mencz* [Bałwanek]. Po wojnie związany był z łódzkimi czasopismami „Jidisze szriftn” oraz „Dos naje lebn”, opublikował również tomiki poezji *Flemlech in der nacht* [Płomyki wśród nocy] oraz *Tojbn iber denkmeler* [Gołębie nad pomnikami]. W Izraelu publikował w czasopismach „Di goldene kejt”, „Lecte Najes” i „Baj zich”. Należał do grupy literackiej „Funken” w Holonie, współredagował czasopismo literackie pod tym samym tytułem. W Izraelu wydał kilka tomów wierszy, dramatów oraz poematów dramatycznych.

Leksikon fun der najer jidischer literatur, ed. S. Niger, J. Shatzky, t. 8, New York 1981, s. 172; Ch. L. Fuks, *Łodz szel majle*, Tel Awiw 1972, s. 267, 302.

W ogrodzie¹¹

Ja przenajświętsze Boskie Imię
Dziś uklepałem pod językiem
Kamienne dzieciątko – aniołek.
Na malutkim postumencie
Stoi tam,
Z błyszczącymi oczkami,
Zdziwione i zaskoczone,
Na główce loki trefione,
Umyte w poświacie księżycza
I w perlistym sznurze płynnym
Z fontanny.
Czeka tam by siebie powitać
Z błogosławieństwem na ustach,
W gęstej mgłę kadzidła,
Jak młodego kohena,
Jak kapłana,
Wybrukuje ścieżkę Twą

¹¹ L. Kuperszmid, *Citer-fajerlech* [Drżące ogniki], Łódź 1937, s. 5–6.

I do stóp Ci rzuci
Drobne gałązki białego bzu
Świeże pąki tulipanów,
A głowy nasze
Obsypie noc późna,
Nas spowijając
Srebrnymi taśmami
Spadających meteorów
Z rozspanych gwiazd migotu
Jak konfetti.

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

Pokolenie rozproszenia¹²

Chodźcie, zbudujemy sobie miasto i wieżę, której wierzchołek będzie sięgał nieba (Księga Rodzaju)

Dlaczego nagle są nasze dłonie,
Jak orle skrzydła ku niebu wzniesione?
Jak przednie łapy jakiegoś zwierzęcia?
Co przestrzeń ciąć mogą jak brzytwy?
Czemuż to wy czcicie,
Co macie bogów wiele,
Nie możecie sprawić, by
Przednie łapy tak się podkurczyły,
Przednie łapy tak się rozpostarły,
Tak jak to z rękami potrafimy zrobić my.

Nie tylko nasze ciało
Jak megila ciasno się zrolowało.
Nawet nasz zwierzęcy zew,
Nasz krzyk,
Nasze charczenia, westchnienia i wrzaski
Przybite na krzyżach zdychają.
Niech nasze stopy już się odrywają
Od ziemi,
Na której się pleni
Śmierć i zaraza,
Na mury się wyżej,

¹² L. Kuperszmid, *Citer fajerlech...*, s. 6.

Wciąż wyżej czas wspinać.
Niech stopnie najniższe
Się zmieniają w ruinę.
Okadzą starzy pomarszczeni koheni
Sen nasz i zew,
Nasze ciche pragnienie
Ołtarzy z brązu w chorągwiach skąpanych.
I schodach jeszcze nie zbudowanych.
Wyrywa się z nas śpiew
Łabędzich piskląt świeżo wykluwanych,
By więcej już mowy naszej
Nie tracić na modlitwy.
Modlitwy do bożków fałszywych.
Czas już rozpostrzeć jak sieć na ryby
Nasze dłonie, wyciągnąć do góry,
Po słońce i ściągnąć je
Za frędzle,
Za złote sznury.

Przetłóżył z jidysz Dariusz Dekiert

Mojsze Berszling (M. Goldsztajn)

Mojsze Berszling (1900–1941?) urodził się w Piaskach k. Lublina. Otrzymał wykształcenie religijne i świeckie. Ukończył seminarium dla nauczycieli przy centrali CISZO w Warszawie. W latach 20. przeniósł się do Łodzi, gdzie m.in. pracował jako nauczyciel historii i literatury w szkole im. Borochowa. Był aktywnym działaczem Poalej Syjon-Lewicy, potem przyłączył się do ruchu komunistycznego. W latach 1939–1941 przebywał w Białymstoku, gdzie pracował jako nauczyciel w szkole żydowskiej. Aresztowany przez nazistów 10 lipca 1941 r. został wywieziony w nieznanym kierunku i prawdopodobnie zamordowany. Zadebiutował w 1923 r. na łamach „Der Jidiszer Arbeter” we Lwowie, później publikował w gazetach i czasopismach, takich jak „Arbeter Cajtung”, „Literarisze Bleter” i „Frajhajt” w Warszawie oraz w łódzkich „Najer Folksblat” i „Literarisze Tribune”. Pisał również w czasopismach o zabarwieniu lewicowym, częściowo nielegalnych. Współredagował „Łodzer Notices” (skonfiskowane w 1935) oraz „Ojf Naje Wegn”. Publikował również pod pseudonimem M. Goldsztajn.

Lerer jizker buch [Księga pamięci nauczycieli], red. Ch. Sz. Kazdan, Nowy Jork 1954, s. 59.

Łódź¹³

Mój druh – rozmarzony poeta –
Co rubinowym winem opijał,
Na tęsknych wygrywa fletach,
Odwieczną pieśń przemijania.

Mnie zamroczyła ulica,
Jej czysty, żarliwy śpiew,
Mnie ciągnie odwieczny spór,
W mej pieśni wciąż brzmi jego zew.

Mój druh – rozmarzony poeta –
W spojrzeniu jesienną ma mgłę,
I kocha w godziny wieczoru,
Marzyć o szczęściu po kres.

Mnie zaś dosięgło wołanie,
Milionów serc radości,
Bo w rozśpiewanym mieście,
Znaleźć odpowiedź najprościej.

Przetłóżył z jidysz Dariusz Dekiert

¹³ *Dos lid iz geblihn. Lider fun jidiszer dichter in Pojln, umgekumene bees der hitleriszer okupacje* [Pieśń pozostała. Wiersze poetów żydowskich, którzy zginęli w Polsce podczas okupacji hitlerowskiej], red. B. Heller, Warszawa 1951, s. 43.

W letni dzień¹⁴

W dzień gorący, w letni dzień
Uśmiecha się z góry słońce,
Widząc gwarne tłumy ludzi,
Ulice życiem tętniące,

A ptaszęta swoje pienia
Wznoszą ponad ulicami,
Ciagnąc chmurą w pola żyzne
Z żyta pełnymi kłosami.

Czasem tylko zadumane
Na nędzarzy spojrzą z nieba,
Co harują dniem i nocą
Na nędzny kawałek chleba.

Troski wiecznej nędzy zagłuszają ptaki,
Ich śpiewu nie słyszą zapłakane dziatki;
Ich krzyk jest głośniejszy: oj, głód nam dokucza,
Daj chleba – wołają do ojca, do matki.

Przetoczyła z jidysz Julia Makosz

Kamienie¹⁵

Niebo dzisiaj pokryte szarymi chmurami,
A ja sam miasta mego krążę ulicami.
Pytam zabłoconych, przydrożnych kamieni,
Których kochać mam, a którzy wrogami są mymi.

Jakże pomóc ci mamy – mówi do mnie kamień,
Tak jak tyś jest samotny, tak też i my same.
Wrogowie, przyjaciele – to dla nas nieznane,
Myśmy co dzień przez wszystkich butami deptane.

Przetoczyła z jidysz Julia Makosz

¹⁴ I. H. Radoszycki, *In der sztil* [W ciszy], Łódź 1909, s. 10.

¹⁵ I. H. Radoszycki, *In der sztil...*, s. 17.

Za późno¹⁶

W ciemnej bramie co dzień stoi
Dziewczyna potwornie blada,
Oczy piękne, ale wzrok jej
Smutne dzieje opowiada.

Umiesz mówić dziecko drogie?
Powiedz mi, jak to się stało,
Czy jest ktoś, kogo obchodzi,
Że sprzedajesz swoje ciało?

Jestem sama na tym świecie,
Nie obchodzi już nikogo,
Że wrażliwe moje serce,
Wyprzedaję tak niedrogo...

Kupić może dziś je każdy,
Kto zapłaci przyzwyczaję.
Póki w oczach płoną iskry,
Póki w piersi tli się życie.

Moja matka stara, chora,
A tu chleba wciąż za mało.
Na szczęście Bóg litościwy,
Razem z biedą dał mi ciało.

Diabeł z chęcią nim zawładnął,
Dzisiaj jemu służyć muszę.
Więc za późno, przyjacielu,
By ratować moją duszę.

Zgarnął mnie i mą niedolę,
I urodę mego ciała,
I tę iskrę we mnie, która
Piękna życia pożądała.

Jam jest dziś jak kwiat więdnący,
Co umiera opuszczony.
Już za późno, by mi pomóc,
Wszystko już zaprzepaszczone.

Przetłoczyła z jidysz Julia Makosz

¹⁶ I. H. Radoszycki, *In der sztil...*, s. 20.

Śmierć robotnika¹⁷

Cicho, pusto na ulicy,
Noc jest ciemna, miasto śpi.
Czasem tylko pies zaszczeka,
Czasem gdzieś zaskrzypią drzwi.

W izbie półmrok, okiennice
Szczelnie są pozamykane.
Śmierć zmieniła nocną ciszę
W gorzki żałobników lament.

Błade twarze żałobników,
W mroku lśnią zeszkłone oczy,
Czasem łza popłynie gorzka,
Znienacka policzek zmoczy.

Jeden patrzy na drugiego,
Nic nie mówią, cisza głucha.
Gorzki płacz milknie, ustaje,
Lecz po chwili znów wybucha.

Dwie świece płonące blado,
Oświetlają martwe ciało.
Jeszcze wczoraj był wśród żywych,
Dziś ma twarz jak kreda białą.

Całe życie ciężko tyrał,
Wylewając siódme poty.
Chciał wykarmić swoje dzieci,
A uczynił z nich sieroty.

Przełożyła z jidysz Julia Makosz

¹⁷ I. H. Radoszycki, *In der sztil...*, s. 23.

***18

Nie drażni mnie szelest jedwabnej sukienki,
Nie przeszkadza mi połysk brylantowych kolii,
Jedyne, co me serce rozrywa na strzępy,
To płacz głodnych dzieci, tylko to mnie boli...

Przełożyła z jidysz Julia Makosz

Do kogo?¹⁹

Moja młodość jest dzisiaj odległym wspomnieniem,
Dawno przeminęły me lata dziecięce,
Już się zestarzała biedna moja dusza,
Zostało mi tylko coraz słabsze serce.

W mojej duszy tli się wciąż święte pragnienie,
Tęskni stare serce – lecz nie wiem do kogo,
Jeszcze chciałoby pieśni komuś wyśpiewywać,
Muszę zmartwić je – nie mam już w życiu nikogo.

Przełożyła z jidysz Julia Makosz

Szczęście²⁰

Ubogo swe życie pędzę
Już od wielu lat,
Szczęście moje gdzieś uciekło,
Poszło sobie w świat.

Chcę je znaleźć, oczywiście,
Tylko nie wiem, jak.
Patrzę w lewo, patrzę prawo,
Jego ciągle brak.

Czasem mi się ukazuje,
Widzę je we śnie,
Ledwie zasnę, już je czuję,
Słyszę jego śmiech.

¹⁸ I. H. Radoszycki, *In der sztil...*, s. 24.

¹⁹ I. H. Radoszycki, *In der sztil...*, s. 29.

²⁰ I. H. Radoszycki, *In der sztil...*, s. 30.

Śmieje mi się w twarz zuchwale
Głośnym: ha ha ha,
Boże, to jest moje szczęście,
Czemu wątle tak?

Błagam moje wątle szczęście:
Zostań ze mną już.
Po co włączysz się po świecie,
Bądź przy mnie tuż, tuż

Ono język mi wystawia,
Śmiechem parska w nos,
I odpływa moje szczęście.
Taki już mój los...

Przetoczyła z jidysz Julia Makosz

Życie²¹

Życie, tyś jak słodki sen,
Lot motyla, okamgnienie,
Odchodzisz od nas w pośpiechu,
Wnet stajemy się wspomnieniem.

Jesteś różą, która kwitnie,
Oszalałam swą pięknością,
Żeby zimą więdnąć, blednąć,
Z wolna stawać się nicością.

Gdy ulotni się twój zapach,
Płatki rozsypią na wietrze,
Przyjdzie czarna postać z kosą,
Na zawsze nas z ziemi zetrze.

Przetoczyła z jidysz Julia Makosz

²¹ I. H. Radoszycki, *In der sztil...*, s. 32.

Lejb

Pseudonim literacki, autor nieznany.

Memuary albo okruciny z życia Lejba²²

Opublikowane przez autora w Łodzi w 1933 roku

Mojej Zeldusi gdzieś w odległym stepie.

Motto:

Wypłakałam wszystkie łzy,
Wyśmiałam cały śmiech.
Nie ma już dla mnie żadnego wyjścia,
Nie ma już dla mnie żadnej radości.
(Emilia Tuwim)

Pod radością i śmiechem zawsze można ukryć wulgarny, twardy i oschły charakter. Natomiast pod smutkiem zawsze skrywa się wyłącznie smutek.
Cierpienia nie mogą być tak ukryte jak radość.
(*De Profundis* – Oscar Wilde)

Kim jestem? Sam tego nie wiem. Słyszałem opowieści o moim przeszłym domu, lecz znam jedynie grozę, duszącą i dławiącą mą rodzinę. Ja, małość i wielkie zero, pustka jedynie, tak potężna, że wysysająca szpik z kości, ja – kwintesencja człowieka udręczonego, akt oskarżenia przeciwko kłamliwej, przechadzającej się po świecie niczym najpiękniejszy obraz cnoty.

Od kiedy pamiętam, widzę siebie jako dwunożną istotę, zawsze w opozycji do wszystkiego, co mnie otacza, do tego, co rzekomo tak mnie zajmuje; ci, którzy szukają w moim żalosnym szkielecie strawy dla swej zachłanności – wszyscy, wszyscy, którzy tak mocno kochają i nienawidzą tak zawzięcie, są moim całkowitym przeciwieństwem. Dlaczego? Moja droga życiowa jest kręta (a mogłaby być tak prosta jak u innych), a moje dni i lata są pełne szlachetnych wzlotów i kompletnych ciemności połączonych z ogromnym zepsuciem i łączą w ten sposób element ludzki z kwintesencją duchowości.

Jestem dzieckiem ubogich ludzi i, jak się zdaje, symbolem cierpienia i pokory. Jestem człowiekiem ulepionym z bólu i namiętności; łączę w sobie zapomnienie i życiowe upojenie cielesnością. Ja, personifikacja Kalek M. Spector²³,

²² Lejb (?), *Memuarn fun Lejbl* [Memuary Lejba], Łódź 1933.

²³ Mordechai Spector (1858–1925) autor ok. 50 powieści w jidysz opisujących życie nizin społecznych, robotników i drobnych handlarzy.

sparaliżowanych życiem, a jednak pełnych życia i młodości; ja, personifikacja Skrzywdzonych i poniżonych Dostojewskiego, żywe ucieleśnienie Andrejewa. „Ten, który wojował uderzeniem”, dramatyczna postać z Pajaców, albowiem zaiste pajacowałem całe moje życie; ja, niepraktyczny wagabunda, wiecznie błędzący i szukający życiowych mądrości, chorowity i sentymentalny, ciężko myślący marzyciel i fantasta, martwy już za życia – oto ja, to co we mnie siedzi, produkt odrażającej litości, socjalista o burzliwej woli i zakrwawionych pięściach, kocham naturę, muzykę i każde żywe stworzenie. Kocham życie, człowieka z całym jego drżącym cierpieniem i radością. Uwielbiam prawdziwą, czystą miłość Chrystusa i nienawidzę człowieczej nieludzkości, prostactwa i wyzysku. Nienawidzę ludzi sprzedających z ich obłudą i hipokryzją.

Zatem – mam głęboki szacunek do pełnego majestatu słowa „prawda”, kryształowo czystej szczerości człowieka wobec człowieka. Dla ciebie otwieram moje serce: niechaj piją z mego bukłaka, pełnego spazmatycznych cierpień i ulotnej radości.

Więc dalej pyacie, kim jestem? Pewne jest, iż nie jestem żadną ważną personą, lecz szarym człowiekiem, nie przynależącym do żadnej grupy społecznej – albowiem społeczeństwo dzieli się na kupców, rzemieślników, fabrykantów, maklerów, urzędników, złodziei, inteligentów, „tych powyżej dziesięciu tysięcy” i milionową rzeszę proletariuszy. No tak, jest jeszcze jedna grupa – obdartusów, albo... Nie mam możliwości wkupić się do żadnej z tych grup. Jestem – co wy mówicie: jestem?

Przed wszystkim powinienem opowiedzieć historię mojego życia, kilka wyrwanych stąd i stamtąd kartek, zapisanych w okolicznościach ciągłego rozbicia, tak fizycznego, jak i duchowego.

Urodziłem się w zamożnej rodzinie w Kaliszu, gdzie mieszkaliśmy do 1907 roku. Wówczas przenieśliśmy się do Łodzi, gdzie mieliśmy mieszkanie na Piotrkowskiej 31. Mieszkaliśmy tam siedem lat. Na kilka dni przed straszną mobilizacją, która przyniosła ze sobą kilka krwawych lat, przenieśliśmy się do mniejszego mieszkania przy Kamiennej 4²⁴, a później Kamiennej 14.

Już gdy mieszkaliśmy na Piotrkowskiej 31, moi rodzice bardzo zubożeli. Wszystkie pieniądze ojciec stracił przez biznes, więc jak każdy pobożny i bezrobotny Żyd zajął się nauczaniem.

Nasze mieszkanie na trzecim piętrze pełne było uczniów, dorastających chłopców, których mój ojciec uczył nielegalnie, ponieważ na otrzymanie „licencji” lokal był za mały. Jako że nie było pieniędzy na wynajęcie większego lokalu, „Haman”, rewirowy z rosyjskich czasów, przeganiał nas i nękał. Kiedy „Haman” pojawiał się na podwórzu, uczniowie uciekali. Niejednokrotnie, gdy młodzi nie zdołali się rozpierchnąć, ukrywali się u sąsiadów. Raz pamiętam,

²⁴ Obecnie ul. Włókiennicza.

rewirowy zakradł się do naszego nielegalnego chederu i zaaresztował mojego biednego tatę za łamanie prawa. Krzyczał, świnia, walił pięścią w stół. Moja mama płakała i prosiła go o litość; przecież i on jest ojcem i nie powinien odbierać nam tego niewielkiego kawałka chleba; nie powinien nas karać. Mama opowiedziała wówczas „Hamanowi”, jak spośród dziewięciorga dzieci pozostała jej tylko trójka. Wskazując na mnie, wyjaśniła mu, że jestem chorowity, sparaliżowany od zapalenia mózgu. Widząc płaczącą mamę, także i my – cała trójka – zaczęliśmy płakać. Prawdopodobnie nasze łzy poruszyły tego bandytę. Złagodził i pozwolił tacie prowadzić ten niekoszerny interes. I to nie wszystko. Poradził nam, by moja siostra Fajga poszła do pracy do sklepu Towiego Reisa. Mimo że powołaliśmy się na niego, na samego „rewirowego”, pobożny i bogaty Reis nie przyjął mojej siostry do swojego sklepu.

Innym razem jednak zagotowała się w nim zła krew i znów stał się „Hamanem”. Zastawszy w środku uczących się, zabrał Gemarę i przekazał ją stróżowi. Później ojciec odzyskał księgi, a protokół został zniszczony. Jak i za jaką cenę, tego nie wiem.

Gdy mój tata prowadził cheder, miałem się z kim bawić. Na dużym podwórzu przy Piotrkowskiej 31 goniliśmy się z dziećmi, wspinaliśmy się też na wysokie stosy paczek. Było to jednak niemile widziane, więc założyłem chór, jaki widziałem w synagodze. Dyrygentem był syn sąsiadów Meir Rosenman. Moi przyjaciele Joelke, Szmulek, Motuś Tuchszerer i Szmelke Rosenman robili za śpiewków, jak w prawdziwym chórze w synagodze²⁵, czy w Wilker Szul²⁶. Z łatwością prezentowali swoje umiejętności. Ja też miałem dobry głos. Szybko stworzyliśmy 50–60 osobową grupę młodych śpiewaków. Głównymi przywódcami byli Meir Rosenman i Joelke Tuchszerer. Czerpaliśmy wówczas ogromną radość z naszej sztuki śpiewaczej. Gdy moi rodzice przyuważali, iż biegam bez celu, wysyłali mnie do okolicznych miasteczek, bym uczył się w jesziwach. Uczyłem się naprawdę pilnie; mijały dni i płynęły łzy...

Gdy wracałem do domu z tej obczyzny na święto czy szabas, z przyjemnością śpiewałem zmires. A jako że pięknie i donośnie śpiewałem, wynajmowano mnie. Stałem się ulubieńcem sąsiadów. Patrzono na mnie ze wszystkich okien. Dzisiaj rozumiem jednak, iż wówczas jedynie wylem mym pięknym, lirycznym głosem.

Na podwórzu, tam gdzie mieszkaliśmy, była całkiem spora grupa dziewcząt, dzieci w moim wieku. Dozorca domu, pobożny Żyd miał kilkoro wnucząt. Najstarsza wnuczka – Hendel Richter – była najpiękniejsza ze wszystkich. Andzia Rosenman, Hajele Frides, Tusk, Sznaper, Frenkel, wszystkie były urodziwe. Leczącą, która najbardziej mi się podobała, była Hendel Richter. Jej szyk i figlarny, beztroski śmiech urzekły mnie w tamtych dziecięcych latach. Zawładnęła

²⁵ Prawdopodobnie chodzi o Wielką Synagogę przy ul. Spacerowej 2.

²⁶ Synagoga przy ul. Zachodniej 56.

całym mną. Często razem się bawiliśmy. W Pejsach i Sukes graliśmy orzechami w dołki. Chłopcy mieli swoje dołki, a dziewczynki swoje. Zdarzało się jednak, że chłopcy chcieli bawić się na miejscach dziewczynek i wybuchała wojna. Ja zawsze brałem w obronę dziewczynki, w szczególności moją piękność, Hendel Richter. Odpierałem wszystkie ataki, za co ona mi pięknie dziękowała.

Jednakże najszczęśliwszy byłem dzięki moim słodkim zmires. Pewnego razu, śpiewając zmires w szałasie na święto Sukes, zostałem pochwalony przez siedzących wokół ludzi, a moje imię było z lubością powtarzane przez wiele ust. Do Hendel, wnuczki „rządcy”, dotarła moja chwała i zaczęła się do mnie zalecać. Zrozumiałe jest, iż wstydziłem się tej bliskości wobec dziewczyny, która właśnie stawiała się kobietą. Byłem przecież pobożnym chłopcem, z pejsami i gartlem. Hendel rozpałała we mnie płomień dziecięcej, czystej miłości; jednak w owym czasie nie umiałem nazwać tego niezwykłego drżenia głęboko w sercu, radosnego krążenia krwi.

W końcu ta niedojrzała pierwsza miłość się wypaliła.

W domu uczyłem się pod kierunkiem ojca i byłem pochłonięty nauką chasydyzmu i pobożności. Często recytowano psalmy, modlono się dniami i nocami. Przypominam sobie, że nie wychyliłem nosa poza „cztery łokcie halachy”²⁷. Poza Torą i nabożeństwem nic mnie nie interesowało; nawet to, że na wszystkich ulicach świętowano trzechsetną rocznicę panowania Romanów i wszystko wokoło błyszczało paradnie. Iluminacje świetlne i dekoracje połyskiwały ze wszystkich murów i wież – młodzi i starzy biegali zobaczyć te cuda. Mnie wówczas w ogóle nie ciągnęło na ulicę, nawet niezliczone orkiestry wojskowe, które opanowały miasto i upajały ludzi. Ojciec różnymi sztuczkami starał się wyciągnąć mnie z domu.

Później poszedłem na naukę do Talmud Tory rabina Majzla²⁸, następnie do prywatnego chederu.

W domu piszcziała bieda. Mama narzekała, ojciec stękał. Chociaż przyszedłem na świat w dobrych czasach, to pamiętam siebie jako pisklę w szponach biedy. Nie doświadczyłem żadnego dobra. Mówiło się, iż urodziłem się jako udane dziecko, ale później zachorowałem na angielską chorobę i zacząłem dochodzić do siebie dopiero w wieku siedmiu lat. Wówczas jednak złapałem „przeciąg” i sparaliżowało mnie. Oczywiście strasznie to na mnie wpłynęło. Tak fizycznie, jak i psychiczne. I chociaż mnie ratowano, wożono do znanych lekarzy do Wrocławia, to pozostałem niezdolny do pracy fizycznej. Zresztą nie tylko ja. Cała moja rodzina składa się, że tak powiem, z kalek. Za to do nauki miałem zarówno zdolności, jak i chęć. Z łatwością zaraziłem się duchem chasydyzmu i czytałem dużo chasydzkiej

²⁷ Berachot 8a.

²⁸ Religijna szkoła zawodowa pod nazwą Żydowska Szkoła Rzemieślnicza „Talmud Torá” założona w 1901 r. przy ul. Pomorskiej 46/48.

literatury. Miałem również skłonności do muzyki. Mój głos był głównie ćwiczony do śpiewania, to była pasja mego dzieciństwa.

Gdy uczyłem się w małomiasteczkowych jesziwach jadałem i spałem w besmedreszach, szopach, na ulicy.

Rodzice pokonali w końcu finansowe trudności wyprowadzając mnie na ludzi; przecież nie mogłem żyć jedynie pobożnością i przyszłą dobrocią. Oddali mnie na naukę do garbarza, następnie do krawca, a potem piekarza. Ale to się nie udało!

Mój ojciec chodził jako mefamed do domu bogatego, pobożnego pana F-na, z którym modlił się w jednym sztiblu. Ucząc dzieci tego bogacza, wspominał o mnie w domu F-na. Najprawdopodobniej wówczas doszło do rozmowy o mnie między bogaczem a moim ojcem, w konsekwencji której ojciec zaprowadził mnie do domu F-na. Ten miał syna Jakusia, który chorował na suchoty w nogach. Długie lata leżał przykuty do łóżka i potrzebował pomocy. Jako pobożne i szlachetne dziecko pozostawiono mnie z chorym chłopcem, któremu miałem usługiwać. Dzięki temu mogłem stołować się i spać w domu bogacza.

Kiedy chory Jakuś lepiej się czuł, przychodził do niego mefamed, by go uczyć. Ja uczyłem się przy okazji, co spodobało się Jakusiowi, i ja, biedak stałem się przyjacielem bogacza. A kiedy już wkradłem się w łaski chorego Jakusia, namówiłem go, by zakupił chasydzkie książki, które widziałem w witrynie przechodząc ulicą Nowomiejską. Obaj czytaliśmy te książki o nowych i starych doktrynach chasydzkich, które szczególnie mnie urzekły.

A kiedy wszystkie próby z poszukiwaniem różnych życiowych celów nie wypaliły, nie pozostało mi nic innego jak tylko włóczęgostwo. Wyruszyłem w świat.

Wybuchła wielka wojna światowa. Mieszkaliśmy już wtedy na Kamiennej 4. Ojciec siedział bez grosza zarobku; panował wielki niedostatek. A kiedy wkroczyli Niemcy tułałem się od miasta do miasta szukając zatrudnienia, spałem w przytułkach, na dworcach i na wilgotnych polach pod gołym niebem.

W końcu w moim życiu nastąpiła zmiana. Ojciec i żydowscy handlarze z Lututowa i Wieruszowa przemycali do Łodzi pudła papierosów „Simbras”, „Lukas” i „Szabak”. Atmosfera w domu ożywiła się, gdyż skład papierosów znajdował się w naszej izbie.

W Łodzi brakowało już żywności, której nie można było zdobyć nawet za pieniądze. Moi rodzice przedarli się do Lututowa, gdzie w końcu dotarła również i moja słabowita powłoka. Ale i w tym małym miasteczku radość nie zagościła w naszej izbie. Wygnano mnie z domu, a właściwie uczyniła to bieda i potrzeba znalezienia pracy. Zgłosiłem się do prac ziemnych u okupantów. Z tego powodu musiałem się zatroszczyć o szpadel i zostałem skierowany do lasu, by kopać rowy i taszczyć kamienie.

Nastaly upały. Ja i jeszcze jeden żydowski młodzieniec zostaliśmy zatrudnieni do najcięższej pracy. Poza nami byli tylko nieżydowscy pracownicy, chrześcijanie. Komary, których pełny był las, strasznie mnie pogryzły, upał zmęczył. Ta praca była ponad moje siły. Zupełnie osłabłem, a goje wyśmiewali się ze mnie i dręczyli mnie.

Za drugim razem również zostałem zmuszony do pójścia do pracy do „Niemca”. Karczowałem las i kopałem rowy. Pośród ówczesnych pracowników – muskularnych chrześcijańskich młodzieńców – byłem jak mucha i nadzorca strasznie mnie prześladował.

W Lututowie przebywałem do 1917 roku. Wygnała mnie stamtąd bieda. Zaczęłem nową wędrówkę przez miasta i miasteczka – wieczny tułacz. Kolejne lata upływały mi, co trzeba powiedzieć, na pracy w znoju i trudzie.

Gdy wróciłem do Łodzi, otrzymałem od życia nową lekcję. Zostałem wciągnięty w życie społeczne, obracałem się w kręgach robotniczych, często bywałem w związkach, zaglądałem do literatury z zakresu ekonomii i historii oraz zapałem czytałem o ruchach wolnościowych czy rewolucjach.

Kiedy w 1918 roku okupant uciekł i doszło do wyzwolenia Polski, wybuchła wojna polsko-bolszewicka (ukraińska). W 1918 roku zaciągnąłem się do szeregów, które w większości tworzyli siedemnasto- i osiemnastoletni chłopcy. Ale to jest historia, na którą nie ma tu miejsca.

Gdy w 1920 roku powróciłem do domu, już bez munduru, moje życie zaczęło się toczyć tak jak nie powinno. Pracowałem niczym pies pilnujący ludzkiego majątku i nosiłem ciężkie przedmioty niczym osioł. Nocowałem w sklepach, a za dnia miałem „kursy” w ekspedycjach i tak w kółko zanim ustabilizuje się „życie”.

Ale zarobki z ochrony tych skarbów oraz uginania się pod ciężarami nie dawały środków na utrzymanie nawet mego ciała. Dlatego też z radością odszedłem do nowych zajęć.

Zacząłem pracę u malarza i tapeciarza. Moja praca polegała na przenoszeniu ciężkich drabin oraz dźwiganiu ciężarów. Ten pracodawca zawracał mi głowę obietankami, mamił, iż na pewno niebawem mi to wszystko wynagrodzi, a ja w oczekiwaniu na to, co powinno nadejść, cierpiałem głód. Nie miałem więc żadnego wyboru i dalej zmuszony byłem nocować w różnych sklepach, gdyż nie miałem dachu nad głową. Ale i to kiedyś musiało się skończyć. „Czarny wół” deptał mnie tak długo, aż znalazłem nowe zajęcie. Zacząłem handlować chałwą, którą na kredyt otrzymywałem z fabryki. Rynek zbytu dla chałwy miałem w sklepie F-na, dla którego przez długie lata byłem jak członek rodziny, jako że szczerze przywiązałem się do ich syna, szlachetnego suchotnika Jakusia, nieszczęśnika, który wkrótce wyzionął ducha. Pracownicy F-na kupowali chałwę. W tym sklepie do dzisiaj noszę paczki i nocuję, jak kiedyś, na torbach wypchanych towarem.

Mówię: Handlowałem chałwą. Nie jest to takie łatwe jak się wydaje. Doświadczałem także i innych przeobrażeń, włócząc się kilka dni między niebem a ziemią, aż zlitował się nade mną tapicer Wolf L. i obiecał, że da mi zarobić na chleb. Posadził mnie w zimie na trzaskającym mrozie na strychu, gdzie siedziałem trzy dni z zawrotami głowy spowodowanymi głodem i skubałem watę drzewną, za co do dzisiaj nie zapłacił mi ani grosza. W kolejnej pracy miałem lepiej, byłem ludzko traktowany – no i zakochałem się. A może to sobie wmówiłem!

W 1920 roku, gdy powróciłem do domu z wojaczki, stałem się częstym gościem stowarzyszeń, w których pełen młodzieńczego zapału i naiwności brałem udział w dyskusjach na tematy polityczne. W trakcie debat często spotykałem się z młodą, czarującą dziewczyną, w której się zakochałem. I nie tylko zakochałem, ona mnie oczarowała. Wdarła się do mojego serca z płomieniem i siłą. Rozpałała we mnie jasny ogień. Była jak Sulamit. Piękna i szlachetna, zaradna, inteligentna i wrażliwa. Na dodatek była dziewczyną o silnej woli i charakterze; romantyczna i pełna tajemnic, zamknięta w sobie. Jednym słowem: miała nade mną rozpalającą, magiczną moc. Nie bez powodu najlepsi młodzieńcy z Łodzi mieli do niej słabość, wielu się w niej podkochało, lecz ona była ekstrawagancka w swych wyborach. Spośród eleganckich, pięknie się wystawiających i bogatych młodzieńców jej serce wybrało mnie – prostego, brzydkiego biedaka. Jeden z jej adoratorów tak zatracił się w uczuciu, że postradał rozum i trafił do szpitala dla umysłowo chorych w Kochanówce.

Ta dziewczyna – Zelda, Zelda! Gdzie teraz jesteś? Moje serce przygniata tęsknota i cierpienie, gdy sobie ciebie przypominę – coś mi uczyniłaś... Wysłałaś ze mnie wszystkie siły, pozbawiłaś równowagi, zniszczyłaś moje „ja” – poszedłem pracować do fabryki cukru jej ojca. Sprzedałem tam zarówno ciało, jak i życie. Nic nie było dla mnie trudne; byleby tylko przezwyciężyć to, co oddalało mnie od Zeldy. Gdy kazała mi pracować – ciężko harowałem – jeśli nadstawiła policzek bym ją całował, głaskałem ją tylko. Nie chciałem sprofanować tej świętości moimi niegodnymi wargami. Gdy Zelda obdarzała mnie uśmiechem, ugiwały się pode mną kolana, nie uznawałem żadnych rachunków, nie potrzebowałem zapłaty, a jedzenie było dla mnie jedynie dodatkiem.

Ona, Zelda rozpałała moje wszystkie zmysły i zapadła w me serce, unieszczęśliwiając mnie na zawsze.

Pracowałem w fabryce cukru – taszczyłem ciężkie paki, dzień i noc nosiłem wiadra z wodą, byłem posłańcem – tak długo, jak moja Zelda była w domu. Wyjechała jednakże za granicę i nie mogłem dłużej pracować przy słodyszach, ponieważ nie było to dla mnie już tak słodkie; miejsce to było dla teraz jedynie przepełnione trucizną. Rwałem się tam, gdzie ona żyła, gdzie jej było pełno.

Może to było zaślepienie, ale wcale mi nie jest do śmiechu na wspomnienie tamtego momentu, gdy Zelda wyfrunęła mi z rąk. Pisarz Mojsze Nadir²⁹ uważa: „Piękny jest człowiek, który ma mowę za uczucie, jeszcze piękniejsza jest muzyka, ale najpiękniejsze jest milczenie”. Lecz jak mogłem milczeć? Pisarz Przybyszewski zanotował: „Nieszczęśliwi są ludzie, którzy kochają i jeszcze bardziej nieszczęśliwi, gdy nie kochają, a smutek jest dla tych, którzy pozwalają sobie z tego żartować”!

Już w młodości zestarzałem się od trosk i byłem tak zniewolony miłością, że ona mnie w końcu zniszczyła. Gdy Zelda, moja ukochana, odeszła, zacząłem pić z rozpacz, by zapomnieć. Ale to nie pomogło. Miłość była silniejsza do trucizny, a nawet od śmierci. Ona wszystko zwycięża! Dzisiaj jestem duchowym bankrutem. Wszystko w sobie dusiłem, jak otępiały, ach biada mi!

Byłbym postradał zmysły, gdybym nie zaangażował się w związek, który wygnał ze mnie źródła tęsknoty i smutku. Ukojeniem bólu po Zeldzie była Riwkele. Poznałem ją, litwaczkę, w stowarzyszeniu, temperamentną, ognistą. To była typowa „Rosjanka”, z otwartą duszą rosyjskiego ludu. Poza tym była pełna gracji i rzadkiego piękna, którego mało mają ciężko pracujące kobiety. Pocieszała mnie i ożywiała, lała balsam na mój płaczliwy nastrój; spotykaliśmy się każdego wieczoru i spacerowaliśmy w miłosne, jasne noce. Nastąpiła moja druga przemiana. Ponownie się narodziłem. Odkryłem przed nią wszystkie moje tajemnice i cierpienia; wszystko to, co skrywałem w sercu. Ona stale uciszała krwawiące bóle mojej przeszłości. Wprowadziła mnie do domu swej matki i siostry, a one Ignęły do mnie. Tak naprawdę to Riwkele wielokrotnie mnie znieważała, bo była nerwowa. Ja jednak uważałem, że nie jest winna. Trudność jest pokutą. Lepiej być przez nią znieważanym, niż od innej brać dobro.

W ogóle to u dziewcząt miałem powodzenie: kiedy przychodziłem do nich po raz pierwszy, były w stosunku do mnie zimne, obojętne; za drugim razem posyłały mi już uśmiechy; za trzecim razem robiły mi tę przyjemność i szły ze mną na spacer na jakąś odległą, cichą ulicę. Za czwartym razem, który był jednocześnie ostatnim, kazały mi przerzucać gnój. A jeśli zdarzył się piąty raz, dochodziło do tego, iż stawiałem się prywatnym sekretarzem i niewolnikiem. Z jedną dziewczyną, która nazywała się Fela, spotkałem się w jej mieszkaniu. Jak długo była ze mną pod jednym dachem, była miła i czuła, ale jak tylko wyszedłem z nią na ulicę, zmieniała się. Pewnie dlatego z upływem czasu pokazała swoje prawdziwe oblicze. Ostatnio w mieszkaniu była w stosunku do mnie despotyczna, lecz gdy zaprosiła

²⁹ Mojsze Nadir (właśc. Izaak Reis) (1885–1943) – poeta, dramaturg, eseista, tłumacz poetów francuskich i angielskich.

swoich przyjaciół Arnolda i Liowę, była jak do rany przyłóż. Od niedawna spotykam się z Maszą; dziewczyną o śmiałym temperamencie, z charakterem, bez sentymentów. Do tego praktyczną i inteligentną. Jej stosunek do mnie jest następujący: po pierwsze, śmieje się ze mnie, po drugie, patrzy na mnie z litością i hipnotyzuje mnie wzrokiem. Mało ją widuję. Pokazuje mi się tak rzadko, jak Bóg Mojżeszowi. Mógłbym się z nią częściej spotykać, ale pod warunkiem, że zmianie ulegną moje opinie, a moje marzenia o niej prysną niczym bańki mydlane.

Pracuję w sklepie w „Jutalen” przy Piotrkowskiej 60. Dźwigam tam ciężkie paki towaru od 9 rano do 19 wieczorem. Walczę o wypłatę za dostarczony towar. Często nie ma czego dostarczać. Ale muszę tam siedzieć cały dzień niczym aresztant, nie ruszać się, nie wychodzić „na pocztę”; żyję z pożyczonych pieniędzy. Codziennie pożyczam z kasy sklepowej (a ta jest wielka) złotówkę na życie. Ale nie przychodzi mi to łatwo, tym bardziej że w firmie panuje straszny reżim w stosunku do „zwykłych pracowników”. Kasjerka jest złą kobietą i działa na cztery różne fronty. Do szefa nagaduje na mnie. Ostatnio zarabiam 5–6 złotych tygodniowo, a często i mniej. Staram się nie przejadać całej tej sumy, lecz czasem mam 7 złotych wydatków w tygodniu, wówczas się zapożyczam.

Cud następuje, gdy przynoszę szefowi obiad. Wówczas też załapuję się na posiłek. W piątek pochłaniam dwa obiady, bo w piątek noszę jeszcze obiad dla burżuja.

Kiedys zwykłem jadać posiłek w „kąciku pracowniczym”, ale już nie ma posiłków za 30 groszy. Praca w firmie „Jutalen” nie daje już możliwości zjedzenia za „trzydziestkę”. Groszowy obiad w stołówce pracowniczej. Ostatnio trzy tygodnie nocowałem w „Kwiatach” na Piotrkowskiej 49. Za pilnowanie tego sklepu nocą dostawałem 10 złotych tygodniowo. Za zarobione 30 złotych kupiłem na pchlim targu futro za dwadzieścia guldenów: to prawdziwe futro z tchórza, no i wonieje jak futro z tchórza. Przydaje się nocami, to załatujące futro jest dla mnie ogromną radością. Wyciągam się na łóżku, które jest twarde niczym decha i nie ma nic do przykrycia. Futro chroni mnie przed zimnem i deszczem, gdy jest upał nie dopuszcza gorących promieni; jednym słowem jest jak łono matki.

W sklepie, w którym dzisiaj nocuję, jest zimno niczym w psiarni. Nie palą w piecu. Stawiają dla mnie, niczym przed aresztantem, wodę, miskę i ręcznik i zamykają pośród czterech ścian. Muszę się myć i załatwiać na podłodze. Przychodzić muszę na 7 wieczorem i pozostaję zamknięty do 9 rano.

W szabas i niedzielę muszę warować w zamkniętym sklepie od 5 po południu do 9 rano. Tak oto jestem zniewolony zarówno w dzień, jak i w noc.

Kiedy przychodziłem nocować do sklepu, przeważnie w kantorze jeszcze ktoś siedział. Gdy był kasjer, starałem się zachowywać tak, jakby nikogo nie było. Było

tam ciemne pomieszczenie, musiałem do niego wejść, by nikt mnie nie widział w mej norze. W tej izdebce siedzę, dopóki kasjer nie pójdzie i sklep nie zostanie zamknięty od zewnątrz. Dwa razy w tygodniu, we wtorek i w piątek, mogę przyjść godzinę później, to znaczy na 8 wieczór. W te właśnie wieczory córka szefa wraz z koleżankami mają lekcje angielskiego prowadzone przez dochodzącą nauczycielkę. Córka szefa była urzekającą piękną blondynką. Kiedy przychodziłem do sklepu nocować i spotykałem ją w trakcie lekcji, przychodziłem z paczuszką spisanych pieśni, w których się ogromnie rozmiłowałem i śpiewałem je z całego serca, siedząc zmęczony w izdebce. Gdy lekcja się kończyła, podchodziłem do pięknej córki szefa. A ona zatrzymywała się dłuższą chwilę przy drzwiach, i zdaje się, nieśmiało zatrząskiwała je, meldując, że wychodzi. Uroczym się przez chwilę uśmiechając mówiła „dobrej nocy”. Myślałem sobie: Trzeba żyć, nie można tracić życia!

Ona, arystokratyczna panienka z salonowymi manierami, tak w stosunku do mnie nieśmiała, nie zapomniała jednak przy wyjściu powtórzyć ojcowskiego polecenia: nie powinienem palić za dużo światła i zużywać za dużo węgla do rozpalenia pieca.

Jak długo pokolenie starego F-a, bogaczy o arystokratycznym pochodzeniu, kierowało sklepami, byłem uczniwie wynagradzany za moją pracę u EJ. Sytuacja ta uległa zmianie, gdy zaczęli rządzić młodzi, wtedy zacząłem cierpieć; tragedia za tragedią.

Pan B. F-n wspierał mnie jeszcze po trosze finansowo, ofiarował trochę jedzenia i odzieży. Lecz nie uznawałem tego za prezenty, a rekompensatę za pomoc w prowadzeniu jego interesów. Zawsze kiedy tylko mnie potrzebował, byłem do jego dyspozycji.

Z upływem czasu stałem się niepotrzebny. To były jednak pozory, ponieważ tak naprawdę potrzebowali mnie do pilnowania nocy sklepu; takie właśnie prowadzę życie, muszę być niczym pies pilnujący czyjejś własności. Kiedy nie mam gdzie spać, idę nocować do nich, dlatego też nie otrzymuję ani grosza zapłaty. Z trudem dotarło do nich, że należało mnie ubezpieczyć w kasie chorych. Dlatego muszę przychodzić na 7 wieczór do sklepu i nie mogę wyjść stamtąd przed 10 rano, gdy przychodzą wypoczęci właściciele. W piątek, szabas i niedzielę mogę przyjść na 9 wieczorem i następnego dnia wyjść o 12 w południe, do tego czasu pozostając pod kluczem. Następnie udaję się do firmy Jutalen, gdzie nieprzerwanie pracuję do 7 wieczorem i z tego wszystkiego jestem głodny, wyziębiony, obdarty i zaniedbany, zarośnięty, nieogolony i niedomyty. Zawsze o wpół do 8 wieczorem idę nocować do F-ów. Później moi dobrodzieje nie chcą mnie wypuścić. Znają niby moją rodzinę i mnie od 25 lat, miałem do nich pełny dostęp, ale... Zamknijcie mnie

w sklepie jest dla nich wygodne... Gdy raz poszedłem do kasy chorych do dra Gliksmana, to by się do niego dostać, musiałem mimo zimy wstać o 5 rano i czekać na kwit do 11 przed południem na wielkim mrozie i nie mogłem pójść przenocować do sklepu Futermana, bo mnie za późno stamtąd wypuścili, więc poszedłem do piekarni, by tam jakoś spędzić noc. Gdy zamarudziłem w kasie chorych albo przyszedłem później niż na 7 wieczorem do sklepu, również szedłem do piekarni. Miałem „szczęście”, że pracownicy piekarni przysypiali w nocy kilka godzin, dzięki czemu musiałem do 3 w nocy pospacerować po ulicy Kamiennej w straszne mrozy. Gdy czeladnicy piekarscy zaczynali wypiekać poranne bułki, mogłem wejść do piekarni. W długie zimowe noce musiałem się błąkać po ulicach, a moimi sąsiadami były prostytutki ze swoimi „narzeczonymi” i pijacy. Zawsze kiedy ściga ich policja, uciekam z nimi, ponieważ przy moim szczęściu policja będzie mnie podejrzywać o kradzieże i trafić na posterunek.

Tak, dzieci tego bogacza F. uwielbiają być dobroczyńcami. Starsi biorą mnie często do swojej izby, podejmują posiłkami; częstują śniadaniem, obiadem i herbatą. W każdy piątek noszę panu Ch. M. F. obiad do sklepu. Z tego powodu pani F. F. też podaje mi obiad. Ostatnimi czasy spędzam szabasy u starego F., ale odkąd przeszedłem pracować do innego sklepu, do innego F-na, które daje mi dużo pracy, pozostaję bez tych najmniejszych środków do życia. Nie tylko jemu usługuję. Tyranizują mnie swoimi dyspozycjami i morzą głodem jeszcze dwie młode damy z tego przedsiębiorstwa. Sedno w tym, że te dwie damy nie były tak mocno skorumpowane i podłe. Ulegały jedynie wpływom ze strony najważniejszego szefa, okrutnika, który nie był godzien nazwania go człowiekiem.

Natomiast jego młoda kuzynka, Madame Ch. M. F. okazała się człowiekiem. Wykazywała zrozumienie dla mojego wędrownego życia, mojego zeświecczenia, chociaż sama była bardzo pobożna. Modliła się tak cicho, szeptała ciche modlitwy, że można ją było porównać do historycznej Chany, która nie miała potomstwa i przyszła do arcykapłana Eli Kohena w Świątyni, prosić Boga, by dał jej syna i wraz z nią zanosił modlitwy. I wybłagała u Boga syna, proroka Szmuela. Tyle szacunku wzbudzała we mnie ta szlachetna kobieta!

W 1928 roku, gdy zostawałem w Łodzi sam, gdyż moi rodzice przenieśli się do Lututowa, zacząłem szukać własnej drogi do niezależności. Szukając zarobku, poprosiłem o pracę w firmie Jutalen. Właściciel I. B. przydzielił mnie do noszenia pak ze szpagatem i sznurami. Dobrze wówczas zarabiałem, a właściciel traktował mnie po ojcowsku. Jeśli mniej zarabiałem, lub nie zarabiałem w ogóle (pracowałem na „kawałku”), to pan I. B. pożyczał mi pieniądze z kasy. Wspierał

mnie po przyjacielsku. W lecie, gdy jego rodzina była na wsi, spałem i jadłem z nim w jednej izbie, gdyż szef traktował mnie jak własnego syna. Również personel sklepu był mi przychylny, chociaż miałem w firmie najniższe stanowisko – jako tragarz byłem człowiekiem od „czarnej roboty”.

Ale to, co dobre, skończyło się. Firma Jutalen, która znajdowała się w Łodzi przy Piotrkowskiej 60, przeszła w nowe ręce. Zmieniła się, a „rządy w Egipcie objął nowy król, który nie znał Józefa”³⁰. Z nowym właścicielem przyszły nowe restrykcje, nowe problemy. Nowo przybyły szef był warszawiakiem, lecz pochodził, jak mówiono, z Poznania, gdzie nie miał dobrej opinii. Pozostałem w jego rękach, rękach nowego właściciela firmy Jutalen, który nazywał się Moniek Futerman. Powinienem być posłuchać ostrzeżenia ludzi, którzy mówili, że Moniek F-n jest stworzeniem, które nie widzi niczego poza sobą samym. Dla niego miły osobnik, dżentelmen jest niczym! Takiego szefa jak Moniek F-n należy postawić przy słupie hańby koło sklepu! Ten okrutnik, człowiek pełen nienawiści, ten sadysta poniżał mnie w sposób wyrafinowany i ordynarny poprzez zniewagi i przydeptywanie mi gardła. Do tego fałszował moje rozliczenia. Nie dość, że moja płaca za ciężką harówkę u niego była marna, to do tego tak ją rozliczał, iż zamiast zarobionych 30 złotych, wyliczał mi ledwo 10 złotych na tydzień! Obrócił w pył mój zarobek. To wszystko działo się w dobrych czasach, gdy sklep świetnie prosperował, a ja nie miałem czasu nawet odetchnąć od pracy. Później nie wypłacał mi nawet tych 10 złotych tygodniowo, chociaż wedle umowy z nim zarabiałem powyżej 30 złotych. W końcu ustalił mi takse za każdy kurs. Kurs z większą paczką po centrum wycenił na 25 groszy (podczas gdy najęcie dorożki kosztowało 1,5 złote), dalszy kurs – 50 groszy, a dostarczenie towaru za miasto – 1 złoty. Jednakże i te taryfy wydawały mu się zbyt wysokie, więc ustalił nowy cennik, a mianowicie – powinienem brać 1 grosz za dostarczenie 1 kg szpagatu. Głodując u niego, byłem przygnębiony i drżałem na myśl o tym, że mogę stracić ostatni kęs chleba, bo jeśli sprzeciwie się życzeniu tygrysa, zostanie przez niego pożarty. Maszerowałem więc z wielkimi pakami sznurka w upale, w strasznym mrozie, po błocie, w przemoczonych butach i z pustym żołądkiem. Chodziłem do najdalszych krańców miasta; wszędzie pieszo: na Widzew, do Geyera, na dworzec Kaliski, na Żubardź, na szosę pabianicką *etc.* On mnie nie żałował; wysyłał mnie na piechotę za Zgierz do fabryki z wielką paką, którą z trudem koń by uciągnął. Koniec końców zaś w ogóle nie zapłacił za tę katorżniczą harówkę. Ostatniej zimy, którą u niego przepracowałem, bezczelnie całkowicie pozbawił mnie jedzenia. Musiałem pracować nie tylko w dni powszednie, ale i w szabas. Wtedy gdy nawet pies jest syty u swego gospodarza, ja pościłem, płuca obumierały, serce doskwierało, kiszki się kurczyły, żołądek nie miał co trawić, gdy próbowałem go czymś uspokoić...

³⁰ Wj. 1, 8.

Sami widzicie, moi czytelnicy, iż właściwa była moja ocena tego szlachetnego osobnika Mońka F-na, jako że on jest duszą pozbawioną sumienia, krwiopijcą, który nie ma serca dla pracującego dlań człowieka, pozwalając mu chodzić głodnym, wpędzając go w gruźlicę, nie płacąc mu za pracę, upokarzając na każdym kroku. U niego byłem nie tylko bez chleba, lecz także nigdy się nie goliłem, nie strzygłem, nie miałem pieniędzy na kąpiel, miałem dziurawe buty i podarte spodnie. Do tego, cham, wstydził się mego wyglądu. Robił mi wyrzuty, dlaczego chodzę jak żebrak. Nakazywał mi porządniej się ubierać, bo mnie wyrzuci jak parchatego psa na bruk. Bił mnie, wyzywał, a ja starałem się jakoś to przetrwać, bo byłem otepiały z głodu. Napisałem do moich biednych rodziców, by przysłali mi inne ubranie; oni uznali, że jest to jedyna przeszkoda ku mojemu szczęściu, uczynili więc wszystko, co w ich mocy, i wysłali rzeczy, które były mi potrzebne, jednak znów podarłem ubrania, podziurawiłem buty i chodziłem nieogolony, nieostrzyżony, czego bardzo się przed nim wstydziłem. Za pracę u Mońka F-na nie wywalczyłem zapłaty. Wyglądałem tak marnie, że gdy wchodziłem do sklepów, by coś kupić, dawano mi jałmużnę. Czerwieniałem ze wstydu; pracowałem bez przerwy i mimo to głodowałem. A to cywilizowane zwierzę, Moniek F-n, dalej wrzeszczał, że chodzę obdarty. Po raz kolejny zaalarmowałem dom rodzinny i ponownie zaopatrzone mnie w odzież, którą znów zdarłem i dalej tkwiłem w tej strasznej „sytuacji”, a kiszki mi grały marsza z głodu.

Uważam, że gdyby tego godnego politowania szefa porównać do Nerona, rzymskiego despoty, albo okrutnego rosyjskiego Iwana Groźnego czy hiszpańskiego inkwizytora Torquemady lub Niemca Adolfa Hitlera, to oczy Mońka F-na śmiałyby się, gdyż byłby to dla niego komplement. Dlaczego? Bo w jego krwi było coś bandyckiego, bo był wrogiem innych stworzeń. Kochał tylko siebie!

Dlatego też żywię najgłębszą pogardę do tego łobuza, niechaj szczeną jego kości!

Wstaję każdego ranka, biegam w poszukiwaniu nędznego zarobku i nie mogę go znaleźć. Ciągłe jestem bez pracy, czuję się wewnętrznie tak chory, że coś chciałbym z siebie wyrwać. Chcąc nie chcąc kieruję swe kroki w stronę „kącika pracowników”, gdzie zazwyczaj spożywa się obiad. Siedzą tam robotnicy, którzy właśnie jedzą posiłek.. Ci, którzy pracują, jedzą; ci bez pracy, siedzą i patrzą szklanymi oczami, łakomie się przyglądając i przełykając ślinę. Żywią się tym, co widzą u innych i trochę się przekomarzają. Przy niektórych stołach siedzi kilku niebieskich ptaków, ludzi z mojego kręgu, którzy kleją się do mnie niczym muchy do miodu. Szkoda tylko, że część spośród nich jest głodna, a wielu na wpół sytych. Los odcisnął piętno na ich zapadniętych policzkach i bladych, wychudzonych twarzach. Wszyscy mają ochotę na jedzenie. Do grupy dołączył znany kolega o imieniu Hilel, który także miał ochotę na jedzenie, ale nie lubił

„wszystkiego”, co mu dawano. Zarzucał nam, że jemy to, co podano na stół. Zwracał się wielokrotnie do „wyższej instancji” w kuchni, że takie obiady są nic nie warte. Zrozumiałe jest, że mówiono mu, by wymyślił jakieś lepsze żarty, gdyż Lazarowi, Szmulowi Malarzowi i Josefowi Gotfil, partyjniakom, też się żółć ulewała i ludzie z mojego towarzystwa też zapragnęli frykasów. Więc w końcu, gdy Hilel zasmakował w obiadach, nie chciano mu ich wydawać. Ale i na to znalazł sposób: schlebiał intendencie i prosił, by zarekomendowała go w swojej partii. A ona wzięła to na poważnie, więc znowu zaczął dostawać obiady, i to najlepsze.

Flegmatyczny i chytry Hilel dzielił się ze mną swą wiedzą na temat ludzi i stopnia ich człowieczeństwa, to znaczy: kto go pozdrowiał i kto mu dał „piątaka”, a kto mu niczego nie dał, kto go dobrze traktował, kto obrażał podczas obiadu w lokalu dla pracowników; czynił tak do czasu, aż pokazały się dziewczęta za którymi Hilel wodził oczami.

Do stołówek dla pracowników przychodziły wystrojone i wymalowane dziewczęta, samotne robotnice. Wiele przysiadło się do naszych stoliczków i gawędziło z nami. Upudrowane, nastroszone biedą dziewczęta często były też śmiertelnie głodne. Część z nich z biedy zupełnie wyschła. Tylko nieliczne pracowały. Podczas rozmowy zalecały się do młodych chłopców, widziało się, że każda nosi w sobie sekret: każda szuka narzeczonego, lecz nie ujawnia tego nikomu, po prostu każda szuka po kryjomu, ponieważ samemu jest zbyt smutno. Niektóre odłożyły nawet co nieco; zgromadziły po cichu małe kapitały; czynią aluzje do posagu, i kuszą nim młodzieńców...

Obiad w kąciku pracowniczym, zjedzony lub nie, kończy się o 4 po południu. Wychodzimy na ulicę trójkami, czwórkami, szukać parę groszy na chleb i miejsca na nocleg.

Dzisiaj byłem w klubie malarzy „Start”³¹, by pozować artyście. Jako że nie wywalczyłem ani grosza na zakup kromki chleba z herbatą, więcej już nie będę pozował. Robiłem to za jedzenie, byle tylko dźwigać pakę z napisem „życie”, którą powieszono mi na szyi.

Jeśli jest się przeznaczonym do udręki, bólu i cierpienia nigdy nie zabraknie. Kto tylko Boga miał w sercu, pomagał mi jak mógł. Moje cierpienie zaczęło się od bolesnych narodzin i trwa po dziś dzień. Ale w porządku, opłaca się żyć, by

³¹ Łódzka grupa artystyczna działająca w latach 20. XX w. Recenzja wystawy zob. „Głos Polski” 1926, nr 341, s. 6; „Głos Polski” 1929, nr 32, s. 8. Por. również I. Gadowska, *Don Kichot sztuki. Zarys twórczości Icchoka (Wincentego) Braunera*, „Acta Artis. Studia ofiarowane Profesor Wandzie Nowakowskiej”, red. A. Pawłowska, E. Jedlińska, K. Stefański, Łódź 2016, s. 303–320.

czegoś nauczyć się od życia. To, czego się można nauczyć w codziennej biedzie, jest czymś więcej niż Tora, uniwersytet i jesziwa razem wzięte. Nauczyłem się, że:

Lepiej jest poniewierać się w rynsztoku, niż w swym nieszczęsnym żywocie prosić u ludzi o szklankę herbaty; łatwiej przyłożyć usta do pompy na rynku, niż poprosić o szklankę zimnej wody; lepiej jest położyć się na ulicznym bruku lub w gnojówce czy w kostnicy, niż prosić kogoś o nocleg. Nauczyłem się również, że życie jest jak korytarz, piękna nieutwardzona droga do świata, ale świat – świat jest podzielony na trzy pokoje: pierwszy pokój to burdel, w którym jeden jest panem drugiego, drugi pokój to dom wariatów, w którym pokraki i gwałciciele obdzierają się ze skóry i prezentują komiczne i tragiczne sztuki; trzeci pokój to ogród zoologiczny pełen zwierząt – jeden pożera drugiego... Kiedy sięgnę tam wzrokiem, rwę się niczym związany. „Będę płakał nieustannie i zamienią się w potoki łez moje oczy”³² i płacze we mnie niczym lira i gitara. Świat jest niczym człowiek – nagi i strasznie brzydki. Ludzie zaś dzielą się na trzy rodzaje: do jednej kategorii należą ludzie, którzy nie zauważają swej nagości, do drugiej kategorii przynależą ludzie akceptujący swą nagość, trzecią kategorią ludzi są ci, którzy chwalać się swoją odrażającą nagością niczym kosztownym futrem. Niewielka jest liczba ludzi, którym wszyscy powinni okazać litość.

Ach, jakże piękne jest życie!

Ludzie wariują od szczęścia w życiu: śpiewają życiu radosną pieśń chwały. Ludzie wariują – tak – ale nie zawsze od szczęśliwego życia: okrutne czyny, obłąd głodowy, wstrząsające rozczarowanie i żądza krwi stanowią drugą stronę tej monety. Jestem urzeczony tą straszną formą, która nazywa się życiem.

No bo właściwie po co ja żyję, po co takiemu niepotrzebnemu człowiekowi jak ja w ogóle potrzebne życie, gdy nie może on z tego życia wycisnąć wszystkiego, do czego zdolni są zwykli ludzie? Czyż nie zarabiam na codzienny chleb, który spożywam niczym truciznę; czy mój żołądek jest w stanie strawić to jedzenie, które codziennie jadam, nawet jeżeli jest go tak niewiele i jest takie złe? Czy przynosi mi korzyści moje szaleńcze bieganie po ulicach, czy ja sam przynoszę korzyści komuś ze swoimi do gruntu radykalnymi i filozoficznymi przemyśleniami i ideami? Czyż nie wymaga ode mnie czas, potykający się o umysły innych, czegoś rewolucyjnego, to znaczy: stworzenia dzisiejszego męczennika rewolucji... Lecz ja jestem zapewne tylko bojaźliwym tchórzem z chorą duszą, chorą fantazją i chorym duchem, a efektem tego jest mój słaby, liryczny charakter? Czy nie jestem zbyt żałosny w swej istocie i czy naprawdę nie wyglądam jak wariat? Zdaje się, że strach i przerażenie nie odstępują mnie nawet na krok! Jednak być może pod kupą gnoju mej kruchości i rozpadu tli się jeszcze iskra tego, co tworzy pisarza, rewolucjonistę lub mordercę!

³² Jr. 13, 17.

Biada! Postrzegam siebie samego jako wariata, pijanego nędzą i nic nie posiadającego wagabundę. Równie dobrze mógłbym być samobójcą. Jednak skąd wziąć siłę woli, by wyciągnąć rękę po ostrze? Mój duch jest słaby, jestem odpadkiem, kaleką, nieudacznikiem, który marnuje tylko bez sensu chleb na tej ziemi.

„Nie mogę zasnąć, chociaż jestem zmęczony i śpiący. Budzi się we mnie początek mojej starej i nowej tragedii: Zeldy... Dlatego piszę Ci teraz o tym, proszę Cię, Ty, która osiadłaś w odległym kraju – może już z mężem, a może tęskniąca za przeszłością – między Zeldo, serce moje, w pamięci naszą niezapomnianą miłość i moje przywiązanie do Ciebie; zapisaliśmy w końcu kilka linijek Twojego życia. Piszę do Ciebie te słowa późną nocą, siedząc zamknięty w sklepie tłustego obywatela. Wiję się w bólu, strzegąc niczym pies jego własności za 10 złotych tygodniowo i myślę i śnię często o Tobie – jeśli Ty mi odpowiesz, Zeldo, i pozwolisz mi do siebie pisać, opowiem Ci całe moje poprzednie życie, przelewając je na karty papieru. Moje drogi są pełne cierni jak niekończąca się droga krzyżowa.

Joslu, teraz kieruję moje słowa do Ciebie.

Wiesz, jak bardzo byłem załamany w mej młodości niewinności. Wiesz, że moje przeżycia równe są cierpieniom Wertera i borykam się z nimi po dziś dzień. Moje wnętrze, które porównać można do wnętrza Doriany Graya, dostrzegło w Tobie jedyne mentora. Ty, który tak dobrze mnie rozumiałeś i świetnie wyczuwałeś każdy mój lęk. Przy każdym emocjonalnym oj-wej – któż sam, jak nie Ty, miałby mnie teraz zrozumieć? A potem zupełnie mnie porzucił! Wspólna nić, którą byliśmy związani w nieodległej przeszłości, wciąż we mnie trwa, tli się w moim sercu niczym niegasnący ogienek. Nawet, gdy Cię wyzwałem od najgorszych, nie było to z nienawiści do Ciebie!... Dlatego też proszę Cię, Ty, który tak dobrze mnie rozumiesz, może mógłbyś mnie również dzisiaj zrozumieć. Chciałbym się z Tobą spotkać, nie gniewać się na Ciebie, ponieważ doprawdy nie mam nikogo poza Tobą. O sobie mogę Ci zameldować, co następuje: jestem samotny, opuszczony, chory. Strasznie zapadłem się w siebie. Zostałem strasznie wykorzystany, okrutnie potraktowany, niczym parszywy pies, przez despotycznego pracodawcę dla groszowych zarobków, mimo których cierpiełem głód. W pracy byłem traktowany niczym azjatycki wielbłąd. Tak, byłem głupcem i więdłem niczym wysłużona prostytutka, której pozostały jedynie słodkie wspomnienia młodości i piękna. Ja nie mam nawet takich miłych wspomnień. Nie patrz na mnie zmartwiony, spotkaj się z Lejbem, on może Ci dużo powiedzieć. Być może

będę tylko milczeć. Jeśli masz pustkę w sercu i już nic do mnie nie czujesz, nie wspominasz mnie – postrzegasz tylko wokół siebie i wokół mnie nudę, zapewne nie będziesz mógł i nie zechcesz się ze mną spotkać. Przyjmij tymczasem od mnie przyjacielskie, serdeczne pozdrowienia. Adieu! Twój Lejb.

Jaka jest różnica między mną a dziwką?

Dziwka sprzedaje swe ciało i miłość za guldena, a ja sprzedaję moja duszę (i to jest, zdaje się, coś więcej niż tylko ciało), za ile tylko mogę, a moją indywidualność i samodzielność tak w dzień, jak i w nocy za 10 złotych. Nie, to nie jest tragiczne, to graniczy z najwyższym stopniem komizmu.

Może powinienem dziękować Bogu, a może powinienem Go obrzucić obelgami za to, że uczynił mnie gospodarzem mieszkania, które nie jest porównywalne do ludzkich mieszkań? Całe moje wędrowne życie poświęciłem zdobyciu dachu nad głową. Ciemna komórka na zapuszczonej uliczce „Kloacznej”³³, miejsce najczarniejszej biedy i upadku: banda żebraków wychodzi stamtąd każdego ranka (kobiety w podartych chustach i pończochach) z odkrytymi kawałkami ciał, młodociane matki z niemowlętami na rękach i mężczyźni młodzi i starzy z ramionami wspartymi o kule, ślepcy prowadzeni przez strzępy dzieci, mężczyźni bez nóg, pełzający na deseczkach pod siedzeniem i na rękach oraz mężczyźni z powykrzywianymi rękami i nogami o ustach zastygłych w grymasach i poszarpanych uszach (do obejrzenia „za biletami”) oraz stada ulicznych różnych narodowości oblegające nocą uliczne latarnie. W moim salonie jest okno, klepisko, niski, czarny i podziurawiony sufit, ściany pełne śladów pluskiew i mokre „ślimaki” zacieków. Para posklejanych desek na dwóch skrzynkach po pomarańczach to moje łóżko, które składa się z podziurawionych worków ze słomą. Za poduszkę służy mi wiązka siana. Nad głową obrazki Marksa, Kropotkina, Dostojewskiego, Woltera i dwie fotografie byłych dziewczyn ozdabiają ścianę mojego pałacu. Towarzystwa mi nie brakuje. Każdy dzień przynosi nowe znajomości, przyjaciół z miejskich parków, towarzyszy z partii, znajomych spod celi, do których przypadkiem trafiałem i z których wkrótce mnie wypuszczano, tak że nigdy nie mam tak naprawdę możliwości pozostać sam na sam z moimi myślami. Nudę wymiatają tam opowieści, pieśni i domowe kłótnie pomiędzy tymi, którzy w pierwszych tygodniach zajęli moje mieszkanie i którzy koniec końców wyrzucili mnie na ulicę.

Dzieliłem się z nimi chlebem, ustępowałem posłania, moje serce ćwiartowałem i rozdawałem między ludzi, którzy byli mi bliscy z uwagi na ich prawdziwe lub

³³ Nazwa fikcyjna.

udawane podobieństwo do mnie i do mojego położenia. Na koniec nawet me ciało podzieliłem i rozdałem między wszy, które zżerały i ssały mych towarzyszy, szczerlnie wypełniających me jasne, drogie apartamenty. Prawdopodobnie i tego było jednak mało.

Mojsze Josl S., towarzysz mego posłania i powiernik mych radości z czasów świetności ulicy „Kloacznej”, zdezerterował z „Niebiańskiej perły”, którą odziedziczył i przyprowadził do mnie do komórki M. T., dziedzic „Niebiańskiej perły” od świętego Franciszka z Asyżu. Gdy T. przybył do mego pałacu i złożył swój worek kości, zdezerterował również głupawy Hilel z Rawy. Również gaon i cadyk pokolenia i chasyd rebe J. G. spędził u mnie noc i odszedł. A po mieście rozniosła się wiadomość, jakoby szczęście pochodziło od rebeego Josefa.

Żartujący improwizator i uczony talmudysta Moniek I. K., mądry A. W. i Motl Koniokrad, pensjonariusze mojego „hotelu”, nie mogli znieść mezuzy u mnie w izbie, dwukrotnie ją zdejmowali, hańbili i ciskali o ziemię, a ja ją ponownie przybijalem, a oni bezczelnie nie mogli mi tego wybaczyć.

Josel W. i Hercke byli na mnie źli, że nie pozwoliłem przekształcić mojej skromnej izby w karczmę z pijaństwem i awanturami. Ostatnio Josel W. upił się i razem z Berlińskim rozsiadł się w „Atlantyku”, gdzie pozostali do późnej nocy, a potem W. w środku nocy na ulicy Piotrkowskiej zapragnął kwiczeć, więc Berliński pozostawił go na ulicy i poszedł do domu. Policjant zaprowadził Josla do cyrkułu, podbił mu oko i rankiem wypuścił na wolność z protokołem. W dniu zapłaty grzywny bał się iść do domu, ponieważ szukała go tam policja. Przyszedł więc spać do mnie i dlatego był dla mnie taki dobry, całując z pijacką wylewnością.

Lolek z Gerszonem byli na mnie źli, ponieważ nie pozwoliłem dłużej robić z mojej izby burdelu. Nic więcej do roboty nie mieli, było co jeść, więc co im szkodziło czuć się niczym bohema.

Garcewicz, młodzieniec w szerokiej czarnej pelerynie, w której wyglądał niczym ptak z rozpostartymi skrzydłami, chodził po ulicach i starał się wyglądać jak bohaterowie literatury, którą się zaczytywał. Chciał naśladować szczerze uczucia i uczciwość Raskolnikowa i prawić morały o miłości Chrystusa, sam zaś czynił odwrotnie i głośno się śmiał, kwicząc swoim cynicznym śmiechem.

Nie pozostał on zupełnie bez wpływu. Moric H., choć sam będąc zięciem na utrzymaniu bogatych teściów, wyśmiewał się z Garcewicza, małpował go i aranżował seanse jego duchowości dla pracowników, którzy w swej naiwności nie rozumieli, jak chytrze ta dusza zbłądziła.

Wtedy zaczął się już jego koniec: gdy poznali jego prawdziwe oblicze pojęli, że jest pasożytem, że jest pusty niczym wiadro, więc napluli mu twarz.

Josel W. pił wszystko, kokietując przy tym i głosząc alkoholizm. Usprawiedliwiał się powołując na Baudelaire'a, który w końcu też pił. Sam co prawda Baudelaire'a nie czytał, wiedział jedynie, że Baudelaire pił, lecz nie przeszkadzało mu to mówić „przyjacielsko”, intymnie: „Charles, mój Charles”. Spośród wszystkich, którzy otaczali W., tylko jeden T. dał się nabrać na tę jego teorię. Wymiotował potem tym, co jadł przez ostatnie dwa tygodnie, więc trochę to trwało.

Josel W. ukradł z domu, od matki kramarki, całą gęś i kurę, już ugotowane i upieczone, i przyniósł je na obiad do „kącika pracowniczego”, obaj zjedli i ja trochę uszczknąłem, to jedzenie bardzo mi smakowało.

Moj sze Josl S. zapracował swymi uczynkami na trzy „marionetki”. Maharal miał jednego glinianego golema, a S. miał aż trzy. Jednym z nich był Josel W. ze swoją butelczyną, drugim Hercke ze swoimi niewypowiedzianymi uczuciami, a trzecim Hilel Rawer, który był również sługusem Meirla H. Gdy ci trzech golemowie zamierali, ożywiano ich tchnieniem życia. W przypadku W. wlewało się butelkę „monopolówki”, a ten natychmiast ożywał. Hercka z niemoły przedstawiało się na bezustanne gadanie, co natychmiast ożywiało drugiego golema, do trzeciego golema – Hilela wystarczyło wlać nieco więcej rozumu, by ten również ożył.

Tak oto wyglądali ci maniacy – dziwki, obłudni hipokryci. Szajele K. prowadzi się ze swatkami na jemu znane zabawy i wesela, na które go proszą jako wesołka i wodzireja. On tam śpiewa, deklamuje, monologuje i wygłupia się. Wylewa wiele flaszek neutralnych bzdur, a gdy nikt nie zauważa, podkrađa się cicho do narzeczonej, ukradkiem ją całuje, pieści albo maca; wyjawia jej swoją miłość – i okrada narzeczonego.

Hilel Rawer biega po ulicy, by sobie zapewnić powodzenie i kolekcjonuje coraz to nowe dziewczęta. Jednocześnie łapie na ulicach dziewczęta i kobiety za biusty albo za tyłki; wpada albo wpycha się w nie, maca je w ten sposób. Hilel razem ze mną był na Węglowej 10, u Berka. Bardzo spodobała mu się mała D. C. i w przypływie gwałtownego uczucia nieoczekiwanie złapał ją za pupę. Gdy zaprotestowała, odpowiedział: Chciałem sprawdzić, czy przypadkiem nie jest z blachy...

Szałom z wielką, poetycką burzą włosów, kręcił się w „kąciku pracowników” i prowadził analizy psychiatryczne nas wszystkich twierdząc, że jest psychologiem i znawcą ludzi.

Cygan kręci się z pretensjami do całego świata, z brzuchem pełnym najgłębszego bólu istnienia, lecz chyba nie wie, czego chce, i obdarza wszystkich cynicznym, śmiesznym i monotonnym ziewnięciem. Czarnej dziewczynie zaś, co się do niego kleiła, głosi nihilizm.

Diamant ceni jednostkę, pluje na świat i pisze gigantyczną powieść – romans i poemat zarazem, która wstrząśnie światem; słowem – nieujawniony geniusz!

Jaka jest różnica między mającym a niemającym morale złodziejem? Złodziej mający morale kradnie tam, gdzie może albo to, co jest do zabrania. Złodziej niemający morale kradnie nawet tam, gdzie nie wolno, tam, gdzie króluje bieda. Taka jest właśnie różnica między M. I. S. a K. N. Ten pierwszy korzystał tam, gdzie to było możliwe, inni wyzyskiwali tak zmarłych, jak i żywych. Wykorzystywali nawet tych, których nie wolno.

Ostatnio powstała grupa, która przyjęła austriacką nazwę „Kunegundes”. Latem można tę grupę spotkać we wszystkich miejskich zieleńcach, w szczególności w parku miejskim. Bohaterami tej gromady byli I. K. I., L. K. i R. F. Jakoś tak wyszło, że ta złota młodzież wypowiedziała mi cichą wojnę. O ile inni moi koledzy koncentrowali się głównie na organizowaniu „bibek”, grupa „Kunegundes” chętnie się swą prywatną biblioteczką, a ich ideą było – rozbrojenie biednego Lejba, pozbawienie go nadmiernego bagażu wiedzy. Przede wszystkim nie chcieli mnie dopuścić do żadnej książki (żaden z nich nie pożyczał „z zasady”), zagłodzić kulturowo, nałożyć blokadę na ducha mojej małości.

Ci sami panowie mieli w stosunku do mnie ogromny zarzut. Dlaczego odważyłem się w ogóle żyć, jeśli byłem już martwy? Sz. L. przedstawił mi ten zarzut. Nie wiedziałem dlaczego. I. N. napisał o mnie książkę, której treści nie mógł opublikować ponieważ... jeszcze żyję. Dlaczego uważacie za wielkiego poetę kogoś takiego jak I. N., który bardziej powinien być chwalony za książkę o nic nieznaczącym „trampie”, jakim jestem.

Zarzucają mi wycofanie, sentymentalizm – choć sprawy te nie przyklejają się do kogoś, kto prowadzi życie tułacza, które wykuwa twardy charakter. Może... jestem zmęczony wymądrzaniem się. Wiem tylko, że ciągle coś mi się w mózgu kołata, żalność ścisła serce. Gdzieś na ulicy Kilińskiego, na pierwszym piętrze,

w skromnym pokoju, siedzi młody mężczyzna i improwizuje różne historyjki, niguny i dowcipy; przygrywa na mandolinie i podśpiewuje. Naprzeciwko siedzi dziewczyna o dobrych, mądrych oczach, którymi wpatruje się w śpiewającego i opowiadającego chłopaka.

Gdzieś daleko, na Bałutach, na ciemnej uliczce „Kloacznej” siedzi jakiś mężczyzna, nie całkiem stary – odrzucony, wypędzony przez intrygi, które stworzyła parka z romantycznej idylli na ulicy Kilińskiego, siedzi przybity i znieważony w swej izdebce i moczy poduszkę łzami. W nocnej ciszy, kryjącej w swym łonie tak wiele tajemnic miłości i zbrodni, biedy i męczeństwa, rozmyśla odrzucony o szczęściu, które przeznaczone jest tylko wybranym ludziom. Rozmyśla również nad nieszczęściem, które z jego punktu widzenia jest niezmierzone. Robi rachunek sumienia i tak mówi do siebie samego:

Panie Wszechświata, czemuś stworzył mnie tak marnym? Dlaczego haruję niczym wół dniem i nocą i nie mam na podstawowe materialne potrzeby, na prostą szatę do okrycia ciała i parę butów, czemuż ciągle chodzę obdarty niczym żebrak?

Są osoby, które może nie noszą się jak hrabiowie, lecz ubóstwo widać po nich zupełnie inaczej. Dlaczego moja zewnętrzna powłoka jest tak brzydka, dlaczego ocenia się ludzi na podstawie zewnętrznego barometru, wskazującego jasno: garnitur, buty! Dlaczego muszę w oczach ogółu wyglądać jak dusseldorfski seryjny morderca Kürten³⁴ czy Kuba Rozpruwacz! A może taki właśnie jestem, tylko brakuje mi tego bestialskiego nerwu? Ha, i co na to powiesz? A dlaczego Oskar Wilde, wielki esteta, który tak bardzo kochał piękno, sam w ogóle nie był ładny?! Ewers³⁵, 13 mistyk-spirytualista, który stworzył tak wstrząsającą trylogię, miał tak straszliwy wygląd zewnętrzny, że niemiecka policja, szukając dusseldorfskiego mordercy, podejrzewała go o straszliwe zbrodnie i znęcała się nad nim; również Nietzsche, niezapomniany tytan, miał paskudny wygląd. Także u mnie, nie wdając się w szczegóły, doszło do strasznego nieporozumienia z powodu mojego wyglądu. Otóż niedawno, pewnego letniego szabasu, spacerowałem samotnie po wsi Żabieniec. Oczywiście odziany byłem we wszystkie moje wspaniałości: buty powiązane białymi i szarymi sznurkami, połatane spodnie; byłem zarośnięty – spacerując pogrążony byłem w marzeniach o chlebie i miłości. Lecz ludzie, którzy określają ludzką uczciwość i duszę na podstawie odzienia, przyczepili się do mnie i zamieszały mnie w skandal. Jako że się kręciłem, ustalili, że ich okradam i omal nie zostałem zlinczowany przez szlachetnych mieszkańców, którzy też spędzali szabasowe popołudnie w lesie. Wielu się nie podobało, iż nie zginąłem z ich rąk. – Ach, Boże, ileż na świecie jest cierpienia i radości, bogactwa i biedy, dlaczego

³⁴ Peter Kürten (1883–1931) – seryjny morderca zwany Wampirem z Düsseldorfu.

³⁵ Hans Heinz Ewers (1871–1943) – niemiecki poeta i pisarz. Znany głównie jako autor utworów z gatunku grozy i horroru.

ludzie kąpią się na plażach w różnych miejscach tak w kraju, jak i za granicą, a z drugiej strony chorzy giną w ubóstwie, od suchot i zgnilizny, bez chleba, bez pomocy medycznej!

W czwartek, 4 czerwca, Hela Gerter spacerowała w towarzystwie młodego mężczyzny po parku; w tym samym czasie ja udałem się do innego parku, błędząc w marzeniach, podśpiewując sobie piosenkę: „Ach, świat otaczają ciemności”, a pani ze swym towarzyszem poszła do domu z nadzieją na kolejne spotkanie następnego dnia. Pani towarzysz wracał do siebie do domu z miłymi fantazjami, a ja odrącony wracałem do domu umęczony, pozbawiony łask jak zbity pies. Położywszy się na moim posłaniu, zmoczyłem poduszkę łzami i mówiłem do siebie: O, Boże, czemuś obdarzył mnie sercem i duszą? Dlaczego stworzyłeś mnie jako duszę sentymentalną, liryczno-romantyczną, słabą? Dlaczego moje serce nie jest pancerne? Czy na pewno sentymenty, uczucia, serce, dusza, miłość, cierpienie a nawet ludzka „płaczliwość” są słabością? Czyż to właśnie cierpienie powoduje, że drży wszystkie siedem niebios wraz z aniołami? Czyż Chrystus nie jest idealnym wzorcem cierpienia i miłości? A chasydyzm rebego Nachmana z Braclawia – czyż nie jest pełny miłości do Boga? Czy Zaratustra nie jest pełny miłości? Czy nieliczni egoiści mają patent na miłość? Czy miłość nie jest muzyką? Czy tony tego, co wyśpiewuje się z miłości, nie są fałszywe?

W księdze Koheleta zapisano: „Kto pomnaża poznanie, ten pomnaża cierpienie”³⁶; kto więcej wie, ten więcej cierpi. Ja jestem odmiennego zdania: poprzez pomnożenie cierpienia dociera się do sedna człowieka.

Dotarłem do domu wieczorem i wstałem skoro świt. Był piątek rano. Nałożyłem tefilin i z wielką żarliwością odmawiałem modlitwy z odpowiednimi intencjami. Gdy dotarłem do fragmentu: „Wszystkie moje kości powiedzą”³⁷, wszystkie 248 kości³⁸ zatrzęsły się we mnie i wyśpiewałem wszystkie modlitwy pełen tęsknoty i miłości, a potem czekałem na Panią przed drzwiami Pani domu. Już długo Pani nie widziałem. Przepraszam Panią za list, jaki napisałem, w którym prosiłem o spotkanie. Pamiętam, obiecała Pani, ale... nie samemu, lecz razem z Szaje K-n: podczas spotkania wyznaczyła Pani strażnika, i on miał być tym, z którym miała Pani spotykać się każdego dnia.

Rankiem w szabas znów na Panią czekałem. Była Pani zła, zdenerwowana, gdy się spotkaliśmy. Pytała Pani: po co i kiedy znów się spotkamy? Proszę sobie przypomnieć, spoliczkowała mnie Pani, chociaż wcześniej zemdlała, walcząc o moją aprobatę; o to, bym stał się stałym amantem, takim kimś! Gdy spotkaliśmy się po raz trzeci, zachowywała się Pani jakby otrzepywała się z kurzu – ze spuszczonej oczyma – on rzekomo mnie nie zauważył, minął mnie i przeszedł

³⁶ Koh. 1. 18.

³⁷ Ps. 35, 10.

³⁸ Tradycyjna liczba kości ludzkich podawana w Misznie, Ahelot 1, 8.

na drugą stronę ulicy. Chciałem Panią dogonić, powiedzieć, że złapałem niewiastę na sercowym oszustwie, bo taka Pani właśnie była, ale odebrało mi mowę, język przykleił się do podniebienia, tętno zaczęło mi tak gwałtownie bić, tak jakby chciało się już na zawsze zatrzymać. Ciepło w ludzkim ciele prowadziło walkę między życiem a śmiercią, zwierzę przyozdabiało się pawim pięknem, podążając w stronę udręczonej duszy, która w Pani prowadzi ludzkie życie...

Ach, jakież przechodzą mnie dreszcze!

„Szaje, mówisz o siedemdziesięcioletniej kurtyzanie z którą dobrze się bawiłem i o całowaniu mnie w mą świątobliwą «buzię», o tym piszesz w swoim liście. Odpowiedzieć ci mogę, że kurtyzany są różne i to nie tylko kurtyzany *à la France*, są również gabinetowe kurtyzany i takie, które poniewierają się po bruku. Tobie nie jest znane uczucie bycia skazanym na takiego jednego, by rozgrzać zeszytniałe ciało i trochę pożyć, ponieważ ty, Szaje, masz dom, w którym nocujesz! Lecz ten, który nie ma domu, nie ma gdzie się położyć i krąży w długie, zimne zimowe noce – tak noc w noc, lata całe – w przemoczonych butach i z pustym żołądkiem, zmęczony, połamany – zmarznięty i schorowany słaby człowiek siłą rzeczy spotyka się na ulicy z kobietami lekkich obyczajów, z których ty sobie kpisz! Kręcą się ulicznice, prawdziwe uliczne kurtyzany i one też nie posiadają własnych domów! Każdą noc spędzają na krawężnikach i na pustych brukach. Są zmęczone, wyczerpane, zmarznięte godnym politowania życiem. One również, tak niepowtarzalne w swych grzechach i cierpieniach, często topią swe kłopoty w butelce wódki. A z butelki wydobywa się stłumiony głos, który rozrywa zmrózoną ciszę ciemnej nocy. To śpiewa ona, dziecię ulicy, dziecię bruku, honorowa, przez wszystkich znienawidzona ulicznica pozbawiona domu i przyjaciół. A pieśni, które płyną z głębi jej serca, są różnorakie; to połączenie tonów o zaskakującej zuchwałości, tonów i gam ociekającego krwią cierpienia. Wszystkie te gamy bolesnych radości i bólu zlewają się w jeden, jak sądzę, ból całego świata. Prawdopodobnie melodie te przywołują w pamięci tęsknotę za domem, przypominają dzieciństwo, młodość, niewinność – kiedy ulicznica nie wyobrażała sobie nawet, że będzie tym, kim teraz jest – dzieckiem bruku, śmieciem, prostytutką. Tak jak nocny wędrowiec, który pochodzi zapewne z przyzwoitego domu, który jest przeczulony, gdy budzi się w nim ochota by pić, ochota by się zatracić, może takie uczucie prowadzi go do grzechu.

Tak, Szaje, ty masz dom, jesteś obywatelem z własnym łóżkiem, jesteś syty chlebem, i z tego powodu obce jest ci to, co jest tak bliskie wędrowcowi. Lejb”.

Boże, dlaczego ja się tak wywnętrzam Szaji. Zwracam się do niego jak do przyjaciela, brata, a on jest z natury fałszywy niczym lis. Podejrzana wydaje mi się ta jego nowa „postawa”. Tak, dopiero teraz widzę, że on nie jest szczery; jedynie na tyle, by z nim być. Przychodzi do ciebie jedynie wtedy, gdy cię potrzebuje dla swych egoistycznych celów, by cię wykorzystać. Uważam, że partia działająca w ukryciu ma w nim niebezpiecznego prowodyrę, takiego, który jest zdolny decydować, posyłać ludzi na szubienicę. Łatwo jest mu bawić się przyzwoitością. Dusza jest niczym kameleon, w oka mgnienia zmienia kolory, nastroje. Jestem pewien: on potrafi cię sprzedać, dokładnie tak jak Judasz Iskariota sprzedał Chrystusa, lecz on, Szaje K., ta przebiegła pluskwa, mógłby to uczynić za mniejsze pieniądze. Za złotówkę mógłby z lekkim sercem przeprowadzić taką transakcję, jeśli tylko byłaby taka potrzeba. Być może zrobiłby to z miłości do taniej sziksy, którą zdobywa się za butelkę kiepskiego alkoholu.

Sara Frejd była mi przeznaczona! Wybrałem datę tego szczęśliwego dnia: 30 maja 1932 r. Byłem u znanej rodziny R., przez których uważany byłem za członka rodziny i tam niespodziewanie spotkałem przyjaciółkę Andzię R., która wysłuchiwała mnie i stała się częścią mego życia od kiedy uwolniłem się z koszmaru po Zeldusi, która uciekła za granicę. Pamiętam, że po Zeldzie, to właśnie Andzia ocierała mi łzy, wyciągała mnie ze smutku i okazywała mi czułość niczym matka. Moja przyjaciółka Andzia dobrze wyglądała, stała się warszawianką i od czasu gdy poślubiła kolegę, Pereca G., była jedynie gościem u swych rodziców. Zdążyła już powić małe dziecko, całkiem udane. Wbiegłem z nim do parku, a za mną gonila rozdygotana młoda matka, drząc bym nie upuścił brzdąca z mych barków, gdyż wsadziłem go sobie na barana. W parku spotkałem towarzysza Motele N., bundystę, mojego starego znajomego, który wyściskał mnie z radością, jakby swą zmartwychwstałą babkę zobaczył. Usłyszawszy ode mnie, że jestem bezrobotny, zaprosił mnie delikatnie na następny dzień na 6 rano, kiedy to będzie mógł dać mi jakieś zatrudnienie. 31 maja o świcie stawilem się u niego w domu. Harmider. Leżą paczki, walizki, leżaki, pościel. Przygotowuje się do wyjazdu na daczę. Ale zarówno on, jak i jego żona Genia K., studentka wileńskiej uczelni, nie przegapili mnie w swej uprzejmości i po tysiąckroć prosili mnie, bym miał baczenie na rzeczy, które były znoszone z pierwszego piętra na dwór, gdzie czekała już chłopska fura. Oszczędzali mnie i nie pozwolili mi nic nosić, chociaż rwałem się do tego, by coś zrobić. Motele N., inteligentny proletariusz, w spodniach w kant, sam nosił najcięższe rzeczy, a mnie prosił bym jedynie miał na nie baczenie, by nie doszło do kradzieży. Następnie ta para zaprosiła mnie do izby, bym razem z nimi zjadł śniadanie. Pocieszali i doradzali, by brać życie lekko, a nie od jego tragicznej strony.

Mnie zaś od tej ich mowy zrobiło się naprawdę lekko, wyjaśniało mi w oczach. Na odchodnym dali mi jeszcze pewną sumę pieniędzy za mój wysiłek stania na ulicy w deszczu i pilnowania rzeczy, które miały być wysłane na wieś.

Dodatkiem do tego radosnego dnia była Andzia R. ze swoim dzieckiem.

Lulek z Gerszonem dostarczyli mi zgryzot i zrobili mi proces bez sądu. Młodzi, którzy podawali się za członków mojej grupy i dobrych kamratów, rozsiedli się w mojej izdebce, w skromnym domku na ulicy „Kloacznej” i robili, co chcieli. Było mi wstyd za siebie samego. Nie był to dom dla mnie, a jedynie ciemna izba, śmietnik. A wszystko dzięki lubiącym przyjemności młodzieńcom. O świcie wychodziłem do pracy, by – to musi zostać powiedziane – zarabiać na skromny posiłek, a młodzieńcy okupowali mieszkanie, sprowadzali sobie podobne niewiasty, urządzali popijawy i orgie. Im, nieproszonym mieszkańcom mojej izby, z której byłem stopniowo wypychany, podobnie jak przez Boga, kobiety te służyły do seksu. Kobieta nigdy nie opuszczała ich myśli, rzadko była nieobecna w ich rozmowach. Nie było zatem czymś dziwnym, że ludzie zarzucali mi, że robię z mojego domu burdel.

Wczoraj zakwaterował się tutaj (żaden z towarzystwa nawet nie poprosił; przychodzili bezczelnie, bez pytania) Hilel Rawer. Gdy byłem w domu, musiałem znosić ich grubiańskie zachowanie. Jak tylko wieczorem wyszedłem, by przenocować w sklepie, on wraz z Lolkiem i Gerszonem przyprowadzili do izby dziewczynę o wątpliwej reputacji i spędzili całą noc w jej ramionach... Gdy wróciłem do domu, zobaczyłem leżącą w moim łóżku (w moim własnym łóżku!) nieznaną młodą dziewczynę z obwiązaną głową, zdobyczą Hilela R.: bezrobotna, wieczorem upadła na ulicy z głodu. Samotna z prowincji. Oni (Hilel R. i jeszcze dwóch z tej kompanii) zlitowali się nad nią i przygarnęli ją na noc... No, tak, na noc...

Należy położyć temu kres.

Ponownie moja stara śpiewka: jestem bezrobotny. Nocuję w piekarni, na przypiecku. Towarzystwo, które mnie otaczało taką przyjaźnią, nie odstępowało ani na minutę, ani na chwilę nie opuszczając mojej izby – ci oto towarzysze zrujnowali mój ubogi dom, zniszczyli dach, który miałem nad głową. Z tego powodu od pięciu dni żyję na ulicy. Strzyżenia, golenia i mycia nie widziałem od dłuższego czasu. Jedzenie było rzadkością dla mojego podniebienia. Spać spałem w piekarni, przy ogromnym gorącu. Od tyrana, właściciela „Jutalen” uciekłem, ponieważ nie mogłem już wytrzymać strasznego reżimu.

19 czerwca 1932. M. I. S. spacerował dzisiaj po ulicy w eleganckim ubraniu z czerwoną różą w ręku. Biegł na plac Wolności, czy dlatego że był bardzo zajęty, czy też dlatego że musiał być punktualnie na rendez-vous, tego nie wiem. W każdym razie nie miał czasu, by się przy mnie zatrzymać. I może mnie już przerósł, może już nie pasowało...

Nie miałem już co włożyć do ust. W ostatnich dniach musiałem również porzucić jedyną nadzieję na pożyczenie u znajomych na kawałek chleba. Kupno zupy w „kąciku pracowniczym” jest dzisiaj utopią. A kiedy doskwiera mi głód, jestem zdesperowany. Jednak odebrać sobie życie to nie moja droga. Przenoszę się do mojego kuzyna, melameda, który ma cheder, by tam otrzymać skórkę od chleba z czosnkiem, kawałek chleba z masłem i bułkę leżącą na ławce i jakoś zatrzymać w sobie duszę. Dzielę się tym kawałkiem jedzenia z moimi głodnymi towarzyszami i tak przyjemnie spędzamy czas przy takiej uczcie.

Spotkało mnie wielkie nieszczęście. Ciężarem na moim zranionym sercu jest śmierć serdecznej przyjaciółki Libele, z domu Chardak, dziecięcia wchodzącego w dziewiętnasty rok życia. 28 czerwca 1932 roku ścięto tę drżącą, pełną życia istotę. „Oj, to nic!” – tak wyglądała powaga i sens jej cierpienia, które ona, delikatne dziecko, przełamała poprzez przekazywanie na zewnątrz. Ciągłe wstydliwie zaniepokojona i milcząca, z sumiennością w oczach i oddaniem widocznym w działaniu. Przez pięć tygodni ta delikatna, uroczą Libele Chardak, siostra całej organizacji pracowników, ukochana przez wszystkich, którzy tylko ją znali, znosiła spazmatyczne bóle; przez kolejne tygodnie ciągnęła się gehenna fizycznej męki odczuwanej przez duszyczkę, która dostrzegała cierpienie każdej żywej istoty. Choć była dzieckiem o proletariackich korzeniach, była hojna dla każdego dotkniętego ubóstwem niczym córka z pałacu marnotrawnego, gdzie dobra materialne są niczym.

Kres życia Libele Chardak jest kresem i mojego życia, które jest mi z tego powodu jeszcze droższym, ponieważ za cenę psiego życia, które prowadzę, mam aspiracje zostawić złote nasienie wdzięczności za prawdę i braterską wierność, które uosabia to skromne dziecię z autentycznej biedy, jasna Libele Chardak.

Libele Chardak była światłem w moich ciemnościach.

Przełożyła z jidysz Anna Jakimiszyn-Gadocha

Łódzkie ulice...³⁹

Jeśli mowa o łódzkich osobliwościach, to kilka słów należy poświęcić tutejszym ulicom – i to nie dlatego, że różnią się one od ulic w innych miastach, ale z uwagi na to, że owe ulice to właśnie Łódź. Bez nich miasta by nie było. Jeśli zatem chcecie poznać Łódź, jej mieszkańców, obyczaje i nawyki, to, za przeproszeniem, wyjdźcie na ulicę.

Długo nie będziecie musieli szukać; wnet wycujecie puls miasta, jego charakter, jego styl i duszę – jeśli można się tak wyrazić o miejscu, które o duszę dba najmniej...

Nie ma innego polskiego miasta, w którym zarówno prywatne, jak i społeczne życie koncentrowałoby się na ulicy. Tu się handluje i zwykli Żydkowie z paczkami bawełny pod pachą zawierają transakcje wprost na chodnikach. Tu też kręcą się „żywe” kantory. Po ulicy, to znaczy po trotuarze, przede wszystkim po Piotrkowskiej, spaceruje cała Łódź, załatwiając swoje sprawy.

To na ulicy Jankiel Mic mówi do Szlojme Szycy:

– Słuchaj, Jankiel, jak pragnę zdrowia, jak byś chciał, to urządzę ci taką zabawę na Helenowie, że hej! Z jazzem, z artystami z żydowskiego „triatru”, a nawet z Kusewickim. Tamci – tu ma na myśli konkurencję – popękają z zazdrości. Możesz na mnie polegać. Wiesz, co potrafię. Zęby zjadłem na robieniu takich imprez.

A Szlojme Szyc odpowiada mu:

– Co ty, „triler” – (co w języku łódzkich Żydów znaczy „hochsztapler”) – głowę mi zawracasz. Gdybym chciał, to bym sobie sam urządził zabawę i miał 2000 złotych zysku, ale nie chcę...

I kiedy ci dwaj się kłócą, przychodzi trzeci – „triler” z krwi i kości, co się zna na robieniu prawdziwych geszeftów, i pyta:

– Jankiele, nie masz przypadkiem sto kilo przędzy? Szlojme, masz ścinki?

Zaraz też rozrywkowi Żydkowie porzucają swe poprzednie plany i z werwą przystępują do robienia bardziej dochodowych interesów.

Nie wolno nam zapominać o wyjątkowości łódzkich ulic. Są one wąskie i ciasne, a formy architektoniczne stojących przy nich domów – ubogie. To jednak pozostawmy urbanistom. Nas interesuje to, jak na ulicach miasta, niczym w zwierciadle, odbija się życie tekstylnego imperium. I obraz ten jest wyjątkowy.

Nie tylko robotnicze dzielnice, gdzie stoją czerwone nieotylnowane fabryki, zakurzone bawełnianym pyłem i z tak samo surowej cegły wzniesione famuły, w których mieszkają łódzcy płatni niewolnicy, uczyniły z ulicy miejsce spotkań,

³⁹ Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego, sygn. ARG II 498.

rozrywki, zebrania i odpoczynku. Również w samorodnym centrum miasta, na Piotrkowskiej, tam gdzie stoi Grand Hotel, są eleganckie kina i sklepy, banki, doskonałe kawiarnie oraz domy uciech. Ulica staje się zarazem klubem i ogrodem, miejscem spotkań i rozrywki. Nikomu nie przeszkadza hałas czyniony przez tramwaje, nagłe trąbienie samochodów, dudnienie rolników wyładowanych towarem wiezionym do albo z apretury. Nikt na to nie zważa. Łódzianin, który przez całe dni rozmyśla o towarze i o interesach, o „zdobywaniu rynku”, o zasiłku dla bezrobotnych, człowiek z nerwami zszarpanymi walką o przeżycie i nieustającą wojną świata kapitału ze światem pracy, ze spokojem i obojętnością odnosi się do ulicznego hałasu. Z wyraźną przyjemnością spaceruje sobie po łódzkich ulicach. To na nich toczy się jego życie.

Bo gdzieżby indziej, pytam was, miałoby się ono toczyć? Przecież w mieście prawie nie ma zieleni, drzew ani parków. Carska władza starała się pomniejszyć znaczenie Łodzi, tak by nie mogła konkurować z moskiewskimi manufakturami. Rozmyślnie zapuszczała miasto brudem i dławiała pradawnym smrodem. Dopiero socjalistyczny magistrat postanowił to naprawić i zadbał o „płuca Łodzi”. W ciągu sześciu lat swych rządów socjalistyczny zarząd posadził dziesiątki tysięcy drzew, wytoczył skwery i założył ogrody. Kłopot tylko w tym, że Łódź budowano na łapu capu i o ile chrześcijańskie biedne przedmieścia dało się nieco zazielenić, o tyle w żydowskim nędzarskim kwartale – na Bałutach – nie było miejsca nawet na najmniejszy ogród. I tak oto Łódź pozostała Łodzią, a żydowska nędza – nędzą.

Kiedy zajdziecie na rynek staromiejski, gdzie rośnie kilka drzew zasadzonych jeszcze przez niemieckiego okupanta i stoją ze dwie, trzy nieoheblowane ławki, zobaczycie nieopisaną rozmaitość typów. Kręcą się tam piekarze, kucharki, kamasznicy, malarze, przekupnie i żebracy, dziwki, sprzedawcy bajgli, rzeźmieszk, żydowscy proletariacy marzyciele, domorośli filozofowie i szalbierze. W głowie może się zakręcić. Oto Łódź w miniaturze. Oto klasyczny obraz łódzkiego żydowskiego proletariatu. Jego przeciwieństwo znajdziecie zaś na Piotrkowskiej, gdzie złota młodzież, spekulanci, kupcy, bankruci, wymieniacze walut i wszelkiej maści naciągacze zbierają się w „Grand Cafe”, w „Ziemiańskiej” i „Esplanadzie”, ale przede wszystkim wystają na trotuarze.

Łódzki trotuar i łódzka ulica – to właśnie jest Łódź.

Łódzkie ulice żyją własnym życiem, a wieczorami, w świetle neonowych reflektorów, przypominają egzotyczny Wschód.

Nic więc dziwnego, że zagraniczni przybysze pytają często: „Jak daleko stąd do Kairu?...”

Przełożyła z jidysz Monika Polit

Łódzkie izby⁴⁰

Sześćset tysięcy dusz i pięć tysięcy domów. Po podzieleniu tej liczby rychło otrzymacie wynik – na jeden budynek wypada ponad stu lokatorów. Zważcie przy tym, że łódzkie domy nie są duże, że często to ledwo chatki i drewniane budy. I oto macie problem jak na dłoni – brak mieszkań.

„Brak” to martwe słowo, ponieważ przywykliśmy do rozmaitych deficytów. W prasowym żargonie politycznym „brak” jest wytartą metaforą. Tak wiele mówi się przecież o niedoborach rozmaitych towarów (brak-śmak, tra-ta-ta, niedobory-trudne wybory) chleba, pieniędzy, autobusów, samolotów, policji..., że już nas to nie porusza. Dlatego, aby pojąć, jak straszliwie potrzeba mieszkań w Łodzi, nie można posługiwać się językowymi szablonami. Trzeba to po prostu zobaczyć, a wtedy ciemno się robi przed oczami.

Udajmy się na Stare Miasto i Bałuty, tam gdzie mieszkają żydowscy rzemieślnicy, kramarze, kataryniarze, żebracy, złodzieje i poeci. Nieistotne, czy będzie to ulica Berka Joselewicza numer..., ulica Lewa Kelma numer... czy Pieprzowa numer... Zresztą wszystko jedno gdzie. Popatrzcie tylko, izba czterometrowa, albo krócej: 4 m na 4 m podzielona na kwadraty. Tam, gdzie widać czerwoną podartą watowaną kołdrę, tam mieszka rodzina. Kwadraty oddzielone są zasłonami, za którymi żyją ojciec, matka, troje, czworo, pięcioro albo sześcioro małych dzieci. W takim „apartamencie” może mieszkać jakieś dziesięcioro-dwanaścioro rodziców wraz z dwudziestką piątką, a może i trzydziestką szóstką dzieci. Razem – od trzydziściorga pięciorga do czterdziściorga ośmiorga ludzi w jednym lokalu 4 m na 4 m!

Zapachniało statystyką, nieprawdaż? Lepiej więc popatrzcie.

Izdebka na strychu przy ulicy Mordechaja Gabaja. Na podłodze siedzą ze dwa tuziny dzieci w podartych koszulkach. Buzie mają żółtawo-woskowe, noski podrapane. Bawią się. Josele jest tatą tkaczem, Jankiele wujkiem krawcem. Tata tkacz zarzucił sobie na plecy czerwoną poduszkę, z której sypią się pióra, a wujek krawiec złapał jakieś stare łachy. W pergaminowych buziach łyskają czarne ślepka, a krucze kędziory poprzetykane pierzem wyglądają jak malunek na taniej tapecie. Naraz wujek krawiec paca tatę tkacza w głowę i się śmieje, a tata tkacz nie pozostaje mu dłużny. Do bójki zaraz dołączają Moszkowie, Szlojmkowie i Berelkowie. Jeden piszczy, drugi ryczy. Oj, *gewalt!* Lecą rozchełstane matki z chochlami w dłoniach. Skaranie z tymi dziećmi! Matka taty tkacza odzywa się do matki wuja krawca w te słowa: „Swojego «bękarta» to ona upilnować nie może? Nie może mu powiedzieć, żeby się nie bił, ładaco?!” Na to matka wuja krawca, biorąc się pod boki, tak jej odpowiada: „Patrzcie ją tylko, paniusię, jej synalek to aniołek, a mój to łobuz? Ażebym tak dożyła jej końca, tfu świństwo! Co za mieszkanie, na psa urok. Że też muszę z takimi pod jednym dachem!...”

⁴⁰ Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego, sygn. ARG II 498.

Takie gniewne dialogi toczyłby się pewnie dalej, i kto wie, może kobiety zaczęłyby się nawet szarpać za włosy, gdyby na podwórzu nie pojawił się kuglarz. Zaraz też tata tkacz i wujek krawiec oraz wszystkie Moszki, Berelki i Szlomki, a także skłócone matki wciąż dzierzzące chochle zbiegają na dół, żeby popatrzeć, jak Jontek ogień połyka za rzucane mu miedziaki.

Josele po takiej zabawie już wie, że Jankiele to „bękart”..., a Jankiele pojmuję, że Josele i jego matka to łachudry... Teraz to jeszcze niewiele znaczy, ale z czasem zaczniesz, na pewno zaczniesz...

Obrazek numer dwa:

Suterena przy podłej „żydowskiej” ulicy w dolinie Łódki. Rzeka już tam nie płynie, ale dolina jest doliną i w czasie ulewnych deszczy często dochodzi do podtopień. Wzywa się wtedy strażaków, żeby ratowali biedny dobytek miejscowych, ich (Moszków) i zamokłe maszyny do szycia, warsztaty szewskie i tapicerskie. Po każdej takiej wodzie na ścianach piwnicy zostaje ślad w postaci wilgoci.

Po izbie kręci się stara babka i kaszle. Gospodarz – Żydek jak żdźbło trawy ma oczy ropiejące i poczerwieniałe od rozedrganych słonecznych plam wdzierających się w ciemności sutereny. Jedna połowa izby przeznaczona jest na zakład krawiecki, a druga na szewski. Jeden kąt zajmuje handlarz, a drugi przekupień z targu. Co kąt, to inny lokator. Jeden handluje kośćmi i odór zgnilizny niesie się na całą izbę, drugi jest kiskownikiem w rzeźni i też pachnie osobliwie. Wszystkie te wonie mieszają się i stapiają z tym szczególnym zapachem powszechnej nędzy.

Wilgotna suterena przy żydowskiej ulicy tania nie jest, ale właściciel domu bez trudu znajduje na nią chętnych. Piwnice, strychy, komórki przerobione na mieszkania, a nawet zagrodki – wszystko zasiedlone. I choć słyszy się czasem, jak jedna zabiedzona kobieta mówi do drugiej: „Niech no słucha, złociutka, ja to już bym wolała piąte piętro (w Łodzi na szczęście wyżej się nie buduje; szóste i siódme piętro to rzadkość) niż piwnicę”, to sutereny pustkami nie świecą. Żydkowie, którzy obsadzili stołki w radzie miasta, przy okazji kolejnych wyborów przyrzekają, że będą „walczyć” o nowe mieszkania, ale skaranie z nimi. Żaden zarząd miejski w Polsce, prócz poprzedniego socjalistycznego zarządu Łodzi, nie próbował rozwiązać tego problemu społecznymi środkami. Łódzki socjalistyczny magistrat, korzystając z przykładu wiedeńskich robotników, zaplanował na przedmieściach robotnicze osiedle dla tysięcy rodzin. Ale co [...] ⁴¹

[...] ponieważ manufaktury i kantory są ciągle lepszym interesem niż budowanie mieszkań!

Bywało, że różni działacze społeczni rzucali hasło budowania mieszkań spółdzielczych. Podjęto się tego kilka obywatelskich i proletariackich stowarzyszeń, ale rezultat ich wysiłków był opłakany. Mieszkania okazały się drogie, a ich

⁴¹ Brak strony.

utrzymanie jeszcze kosztowniejsze. W krótkim czasie spółdzielnie mieszkaniowe zbankrutowały i poszły pod młotek.

Brak mieszkań w Łodzi powoduje straszliwy brud na ulicach. Niezależnie od tego, co próbują wmówić tłumom antysemiccy trucidiele, utrzymujący, że niechłujstwo to narodowa cecha Żydów, brud ten jest wynikiem panujących tam warunków bytowych. Macoszy stosunek władz udających, że nie widzą okropnego położenia żydowskich mas, stał się gruntem, na którym mnożą się bakcyle i gromadzą się nieczystości.

Wśród wielu problemów żydowskiego życia w Łodzi – bezrobocia i nędzy – katastrofalny brak mieszkań stanowi wielką udrękę. Łódzkie bałuckie „getto” jest wołającym o pomstę do nieba żywym *memento* żydowskiej krzywdy, bezmyślności rządzących i zaburzonego porządku społecznego naszych czasów.

Przełożyła z jidysz Monika Polit

Czerwona Łódź⁴²

Czerwona Łódź – tej nazwy nie zrodziła ozdobna stylistyka. Żyje bowiem jeszcze pokolenie naznaczone czerwienią i krwią 1905 roku. Ów czas stał się na naszych oczach romantyczną legendą, zdarzeniem otoczonym nimbem bohaterstwa, z którego wzięła się najszczerza wiara w to, że kiedyś nadejdzie dzień odpłaty.

W setkach żydowskich fabryk, przy krosnach, maszynach krojących i stołach krawieckich śpiewano wówczas piosenkę o sytym bogaczu, który pali cygara i łąpie piwo na koszt spływających potem robotników. Pocieszano się, że bunt wobec tej tłustej bestii wkrótce położy jej kres i na świecie zapanuje sprawiedliwość.

Ta nadzieja natchnęła żydowskich i polskich robotników, którzy w 1905 roku wznosili w Łodzi barykady. Ich niezachwiana wiara dała im siłę do tego, aby w „krwawą środę” znieść widok pomordowanych i rozsiekanych setek młodych towarzyszy. Pozostali na straży, a ich niezłomność nadała miastu ową czerwoną barwę.

„Czerwona Łódź” to nieprzypadkowe miano, tak jak nieprzypadkowe były wydarzenia, które ta czerwień symbolizuje.

Zbiorowa świadomość przechowała fakty i zdarzenia, które zmieniła w symboliczną barwę, ton i dźwięk.

Wśród łódzkich robotników żywe są legendy o tych, którzy z rękami wzniesionymi ku słońcu szli na szubienicę. Opowiada się też o szpiegach węszących po łódzkim bruku i niosących straszliwe zniszczenie. Pamięta się wciąż Nojehów Fremelów i im podobnych. Nie zapomina się carskiego okrutnego

⁴² Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego, sygn. ARG II 498.

generała Kaznakowa, który z taką zaciekłością zamienił robotniczą dzielnicę w padół łez. Nie było to znowu tak dawno, kiedy na Bałutach żony tkaczy późno w noc śpiewały nad kołyską swych dzieci: „Suną, bieżą czarne chmury, świszczce, wyje wiatr”. Nucąc tak, łączyły się myślą ze swymi mężami, którzy gdzieś tam, w syberyjskiej tajdze...

Żyje jeszcze wielu, którzy chodzili na „giełdy” na Piotrkowską, Zawadzką, Wschodnią i Średnią, by żywo dyskutować o zadaniach żydowskiego proletariatu i o świecie, który nastanie po społecznym przewrocie. Część z nich po jednej stronie ulicy, dajmy na to na „giełdzie” trykociarzy, śpiewała: „Głupi syjoniści”, podczas gdy po drugiej stronie trotuaru, na „giełdzie” tkaczy, skandowano: „Głupi bundyści”. Mimo to jednych i drugich połączyła barykada, na której zapomnieli, że są „głupi” i wspólnie zasypywali carskich żołnierzy gradem kul.

Nie ma w Polsce innego miasta, które byłoby tak waleczne, jak owo polskie centrum przemysłu tekstylnego. Nie tylko bój o socjalizm i o polityczne samostanowienie Polski, które były niegdyś tożsame, zapisały się na kartach jego historii. W Łodzi głębokie korzenie ma również walka o wyzwolenie narodu żydowskiego. To tu zrodziło się żydowskie odrodzenie. Pierwsi członkowie Poalej Syjon, którzy trzydzieści lat temu wyjechali, by własnymi rękami uprawiać ziemię, pochodzili z Łodzi. A na pierwszym kongresie syjonistycznym wśród delegatów i osób blisko związanych z robotniczym skrzydłem syjonizmu było wielu łódzian.

Łódź dochowuje wierności swej barwie.

Łódzki robotnik nienawidzi kompromisów i niezdecydowania. I nawet jeśli nie pochodzi to z jego głębokich przekonań, to wynika z tradycji miasta, którego proletariatus hartował się w buncie wobec zastanemu porządkowi, konwenansom, zastęglým formom i zwyczajom.

W żadnym innym polskim mieście sprzeciw wobec paktom z rewizjonistami⁴³ nie wywołał równie zacieklých sporów. Łódzcy Poalej Syjoniści w zgodzie z „lokalnym czerwonym patriotyzmem” wznosili tylko jedno hasło: „Nie w naszej Łodzi! To stąd musi wyjść rozkaz do bezwzględnej walki z rewizjonizmem! Zniszczyć go, by już się nigdy nie odrodził! Zabić go!”

To jest Łódź, czerwona Łódź.

Kto pamięta dziesięcioletnich łódzkich chłopaków wypuszczających w powietrze papierowego węża tuż przed cyrkulem, by wywabić stamtąd żandarma, z którym chciał się policzyć jakiś „bojowiec”, ten na pewno zrozumie, że na łódzkim gruncie wyrasta jedyna w swym rodzaju flora, a to, co się tam dzieje, jest wynikiem – by się tak wyrazić – szczególnych „warunków atmosferycznych”.

⁴³ Rewizjonizm postulował odejście od rewolucji i skupienie sił na działaniach reformatorskich. W ten sposób rewidował fundamentalne założenia marksizmu budząc protesty w kręgach radykalnych.

W krzywym zwierciadle łódzkiego życia, w którym odbija się tyle scen rozpadu mieszczańskiego życia, tyle komicznych obrazków z dziejów „wyższych sfer”, proletariackość jest czymś zdumiewająco szlachetnym. Owi wytworni pośrednicy, kupcy i przedsiębiorcy mogą mieć „sztrajkerów” w wiecznej pogardzie, lecz ten, kto ma oczy, ten spostrzeże, kim są naprawdę.

[...] ⁴⁴

W imię jutra i dlatego te różnice są tak wyraźne, a więzi porwane. Ludzie ci nie wyglądają jutra. Żyją teraz, z godziny na godzinę, a „teraz” musi być takie, jakim jest – pełne kontrastów, krzyczących różnic i niesprawiedliwości. Z jednej strony pałace tekstylnych magnatów, z drugiej – wynędzniali niewolnicy zarabiający w ich fabrykach-koszarach po 15–20 złotych na tydzień. Żydowskie fabrykanci, posiadacze olbrzymich manufaktur, którzy nienawidzą żydowskiego robotnika i masy żydowskich bezrobotnych mających tylko jedno wyjście – pójść po prośbie do owych fabrykantów, swych szlachetnych „braci Żydów”. Do tego obrazu dodać trzeba antysemityzm wynędzniałych chrześcijańskich robotników karmiony przez ich żydowskich pracodawców, antysemityzm sztucznie wyhodowany na glebie ubóstwa.

Te podziały i różnice sprawiają, że czerwień znów się rozleje.

Czerwona Łódź pozostaje sobą.

Przetłoczyła z jidysz Monika Polit

⁴⁴ Kolejna strona lub strony zaginęły.

Mark (Motl, Mordechai-Noach) Frankental

Mark Frankental (1893–1942) urodził się w Łodzi w zamożnej rodzinie, jego ojciec był właścicielem kamienicy przy ul. Południowej 32. Debiutował w 1912 r. etiudą dramatyczną *Der szloflozer* [Bezsenny], opublikowaną przez warszawsko-łódzkie wydawnictwo „Teater-Welt”, z którym współpracował przez wiele lat publikując dramaty, komedie i poematy dramatyczne oraz redagując wydawane przez nie czasopismo literacko-teatralne „Mysł”. W Łodzi współpracował z „Łodzer Folksblat”, był również redaktorem i wydawcą jednodniówki literackiej „Zielone liście” (1939). Od 1940 r. przebywał ze swymi córkami w getcie, gdzie pracował jako robotnik. We wrześniu 1942 r. został zamordowany w Chełmnie nad Nerem. Niewątpliwie najcenniejszym jego dziełem był redagowany przezeń *Łodzer Gezelszaflechkajt Almanach*, poświęcony łódzkiej żydowskiej organizacji społeczno-kulturalnym, zawierający liczne biogramy czołowych działaczy łódzkich okresu przedwojennego. Tłumaczył na jidysz utwory sceniczne Elizy Orzeszkowej oraz Zygmunta Przybylskiego, m.in. *Pieśń przerwana* i *Zjazd koleżeński*.

APŁ PSŻ 1024, k. 205; APŁ Spis Ludności Łodzi 1916–1921, sygn. 24580, k. 218; *Łodzer Gezelszaflechkajt Almanach*, t. 1, red. M. Frankental, Łódź 1938; B. Mark, *Di umgekumene szrajber fun łodzer geto un zejere werk* [w:] *Di umgekumene szrajber fun di getos un lager un zejere werk*, Warszawa 1954; tenże, *Twórczość pisarzy poległych w gettach i obozach*, Warszawa 1954, s. 160–186, tłum. D. Dekiert, tekst publikowany *on line*: <http://www.hebrajski.pl>; *Słownik biograficzny teatru polskiego 1765–1965*, Warszawa 1973.

Bezsenny⁴⁵

Etiuda dramatyczna w jednym akcie

Osoby:

Zygmunt Sztern, błądy, chudy, 22-letni mężczyzna

Nocny stróż

Głos

Senni i na wpół przestraszeni ludzie

Scena:

Pokój Zygmunta Szterna. Dosyć czysty i uporządkowany. Na prawo – okno wychodzące na ulicę, obok żelazne łóżko, niedaleko od niego drzwi wejściowe. Na lewo – szafa, nieopodal drzwi do drugiego pokoju. Na wprost – biurko, na nim różne przybory, z tyłu etażerka z książkami. Na ścianie wiszą: pejzaże, grawerunki, portety znanych pisarzy i uczonych, między innymi Hamsuna i Strindberga.

⁴⁵ M. Frankental, *Der szloflozer* [Bezsenny], Łódź 1928.

Noc. Na biurku pali się lampa. Siedzi przy nim Zygmunt – z twarzą zwróconą w stronę widza, pochłonięty lekturą książki. Krótka pauza.

Zygmunt:

(wstaje z miejsca, mamrocze) Wystarczy! (zamyka książkę, przemierza pokój, przystaje przy oknie, mówi bezcelowo) Musi być już późno. Jestem bardzo zmęczony, oczy mi się zamykają... (nagle) Głupstwa! Noc jest jeszcze wystarczająco młoda, jeszcze wypocznę! – (po chwili) Wkrótce będę leżał w śnieżnobiałym pośłaniu, zatopiony w głębokim śnie... Z ulicy będzie dobiegał hałas, harmider – mnie to nie będzie przeszkadzać... Będę śnił najbardziej kolorowe sny i najpiękniejsze fantazje tkane w moim umyśle... (gasi lampę, kładzie się)

Pauza. Zegar tyka: tik-tak, tik-tak.

Zygmunt:

(podnosi głowę, zdumiony) Któż to mnie budzi? Czy ktoś przechodzi przez mieszkanie? (Krzyczy z łóżka) Hej, kto tam wszedł i przechadza się tam i z powrotem. (nie dostaje odpowiedzi, kładzie się z powrotem)

Tykanie zegara powtarza się.

Zygmunt:

(podnosi się na łóżku, do siebie) Słyszę jednak ciche pukanie: jakby coś leciutko poruszało się tam i z powrotem. Co to może być? (z przerażeniem) Może to złodziej wszedł po cichu i chce mnie okraść? (przebiegle) Zaraz wszystkiego się dowiem. Skąd pochodzi ten hałas! (podnosi się cicho z pośłania, obraca się w drugą stronę, przysłuchuje się z największym skupieniem każdemu najmniejszemu szmerowi, który rozlega się wokół niego)

Cisza. Zegar tyka dalej jak wcześniej: tik-tak, tik-tak.

Zygmunt:

(usłyszawszy, rzuca się w jego kierunku jak rozjuszony zwierzę, cały aż drży ze złości) Oto wszystko, co mi się dziś w nocy przydarzyło. (przechwala się) Zaraz zamilknie! Przystanie brzęczeć w mojej głowie swoim „tik-tak, tik-tak”! (pracuje chwilę przy zegarze, nie może go zatrzymać, złości się jeszcze bardziej) A wynalazca nie potrafił zadbać o to, żeby zegar nie przeszkadzał nikomu swoim dźwiękiem. Myślę tylko o sobie. (odstawia zegar, woła rozkazująco) Właśnie tak! Cisza niech tu będzie, jak makiem zasiał! Oby nie było słyszeć przelatującej muchy! (kładzie się z powrotem)

Pauza. (pukanie do drzwi)

Zygmunt:

(podrywa się, nieugięty) Co to znowu za zamieszanie! Kto to puka do drzwi? Czyj to duch przybłąkał się teraz tak późno w nocy?... (nagle) Moje zmartwienie, że puka... Może pukać aż do rana. Nie obchodzi mnie to: smacznie sobie zasną, zachrapię – i kwita. (kładzie się, odchrząkuje)

Pauza. (pukanie do drzwi po raz drugi)

Cisza. (pukanie po raz trzeci, ale już dużo mocniej niż wcześniej)

Zygmunt:

(podnosi się z ociąganiem z łóżka, idzie powolnym krokiem do drzwi, przystaje na chwilę, idzie zaraz dalej) Już jestem ciekaw zobaczyć tę osobę, która ma taki tupet, żeby pukać późno w nocy. (głośniej) Jeśli jednak nie napotkam tam jakiegoś kamrata, wyrzucę go jak zdechłego psa na ulicę... Do stu diabłów! (dodając) Jeszcze raz, obyś nikomu nie przerywał snu w nocy! (podchodzi bliżej drzwi, pyta) Kto tam?

Głos:

(odpowiada) Otwórz.

Zygmunt:

(jak wcześniej) Kto tam?

Głos:

Swój.

Zygmunt:

(mocno) Kto tam jest? Przecież nie otworzę moich drzwi przed każdym nocnym włóczęgą lub zmęczonym przechodniem... (dodając) Muszę znać imię tego, kto stoi pod drzwiami.

Głos:

(jednocześnie) Nie muszę podawać ci mojego imienia, znasz je przecież.

Zygmunt:

(ledwo mamrocze) Znam cię, mówisz... (odważny) Kim jesteś? Skąd mnie znasz? Mów! (czeka na odpowiedź)

Głos:

Tak, znasz mnie (po chwili) Przypomnij sobie, pamiętasz letnie wieczory w naszym miasteczku, kiedy oboje spacerowaliśmy, głęboko w lesie... Kiedy tylko księżyc na niebie słyszał słowa miłości, które szeptałeś mi cicho do ucha... Kiedy przytulałeś mnie łagodnie do swej gorącej, wzburzonej piersi... Pamiętasz je jeszcze, tamte dawne wieczory!

Zygmunt:

(zmieszany odskakuje od drzwi, przebiega przez pokój w największym zakłopotaniu) Mój Boże jedyny, co tu się ze mną dzieje: głos mi jakoś znajomy, język tak bliski. Przypomina mi o najlepszych, minionych dniach mojego życia. (nagle) Może to moja ukochana Sorele przyjechała do mnie... (reflektuje się) Przecież to nie może być! Odważyłaby się i zapowiedziałaby się wcześniej! – (nie może znaleźć sobie miejsca, chwilowa pauza, można dosłyszeć Głos mówiący dalej)

Głos:

(łagodnie) Nie bój się, mój przyjacielu, wpuść mnie do siebie. Z mym przybyciem, przynoszę ci szczęście, zadowolenie i wieczną wolność. Ulżę twym zmartwieniom, zmniejszę twój ból, umniejszę twe cierpienie, przystroję twą głowę wieńcem laurowym, twojego ducha mądrością i wiedzą, a na ciebie samego – ześlę sen wieczny. Nie bój się mnie, mój przyjacielu, nie bój się! (milknie)

Zygmunt:

(w uniesieniu) To ona, moja droga. To ona... (narzuca na siebie lekki chałat, zapala lampę, biegnie szybko do drzwi wejściowych, otwiera je szeroko, wykrzykując) Dobry wieczór, moja droga! Dobry wieczór! (nie zauważa nikogo wchodzącego, wykrzykuje na ulicę) Co, wstydzisz się wejść do mnie, głupie dziecko? Wchodźże do środka! Przyjdź! (drzwi pozostają otwarte, długi czas nikt przez nie nie wchodzi)

Długa pauza.

Zygmunt:

(Smutno) Tylko mi się wydawało, że ktoś puka do drzwi... To moja rozgorączkowana wyobraźnia sprawia, że słyszę głos ukochanej przemawiający do mnie... (nagle) To się już jednak więcej nie wydarzy. (z ogniem) Teraz może już przyjść sam cesarz i zapukać, żebym go do mnie wpuścił – nie zrobię tego! Może nawet grzmieć i błyskać, wszystko wokół mnie może huczeć i krążyć, niech nawet cały świat drży i wzdycha od lamentów – nie obchodzi mnie to! (zdenerwowany)

Nic nie chcę wiedzieć! W ogóle mnie to nie interesuje! (cicho) Chcę teraz odpoczywać... nieprzerwanie... (Chce się rzucić na posłanie. Słysząc muzykę i wielu przechodzących żołnierzy, nieprzerwane marszowe kroki)

Zygmunt:

(stoi chwilę jak skamieniały, uważnym spojrzeniem wpatruje się dookoła siebie, oddycha ciężko, żałośnie) Liczą, że mnie przestraszą swoim przyjściem... Ha, ha, ha! (spokojnie) Muzyka gra, wszystko dookoła ciebie drży i porusza się cicho... Dookoła ciebie wszystko się kołysze i zatapia cię w głębokie myśli... (mówiąc znika w łóżku)

Pauza. Muzyka gra co jakiś czas głośniejsze, marszowy krok narasta z minuty na minutę.

Zygmunt:

(jak do siebie) Słyszcie! Gracie, co jakiś czas głośniejsze, maszerujecie ulicą coraz mocniej – żeby mnie bardziej zdenerwować... To wam się nie uda! (z ogniem) Ja wam pokażę, choć tony muzyki brzmią tak głośno w powietrzu. Chociaż marsz przechodniów powoduje tak wielki hałas na ulicy... Tego nie usłyszycie u mnie w mieszkaniu! Dla moich uszu ten cały hałas musi zaraz ucichnąć!

(zatyka okno różnymi szmatami i poduszkami)

Pauza. (muzyka gra dalej, tony wdzierają się z tą samą siłą jak wcześniej)

Zygmunt:

(wyskakuje z łóżka wzburzony, zrzuca wszystko z okna, otwiera je na oścież ze przerażającą szybkością, wykrzykuje) Zamilczcie!! Przestańcie grać!! Przestańcie maszerować po ulicy!! Niech będzie cisza!!

(Muzyka nie ustaje.)

Zygmunt:

(zmienia nagle ton, zaczyna płaczącym głosem) Dlaczego nie pozwolicie wypocząć mojej słabej głowie, odpocząć moim chudym, chorym kościom. Dlaczego mnie męczycie. (z bólem) Wy, ciemni bohaterowie nocy, cienie-kszałyty, przestańcie hałasować na ulicy... Wy, wynajęci służący, przestańcie tworzyć wasze złudzenia: ofiary całopalne, płacz sierot i wdów, krzyk aż do nieba... Zamilczcie! Razem z ciemnością nocy! (gorzko) Dostaniecie jednak nagrodę za wasz wysiłek... Ha...? (z całej siły) Obdaruję was wszystkich, tylko dajcie mi – spokój... tylko chwilę odpoczynku... (jak w obłędzie) Pozwólcie mi odpocząć! Poz-wól-cie!

(Muzyka nie ustaje.)

Zygmunt:

(dziko) Nie chcecie? Nie?! (krzyczy) Nie trzeba... słyszycie? – nie trzeba...
(głośniej) Śmieję się z waszego głupiego zachowania!! Śmieję się z was!! (rzuca
pościel na ziemię, biegnie gwałtownie przez mieszkanie tam i z powrotem)

Długa pauza.

Zygmunt:

(pewnie) Wystarczy! Już więcej nie kładę się z powrotem do łóżka! Zamiast
kłaść się i męczyć już dużo łatwiej przeczekać noc – czuwając! (zamyślony) Ale cóż
ja będę robił do rana, jak spędzę tych rozbitych kilka godzin. (ożywiony) Spędzę
czas na śpiewie i graniu... Radośnie spotkam przyjsie dnia i porannego słońca...

(ustawia się w heroicznej pozie, zaczyna śpiewać arię *E Lucevan le stelle* z opery
Tosca. Pianino akompaniuje mu przez cały czas zza kulis aż on milknie):

Świeciły gwiazdy.

Wszystko dookoła spało.

We śnie wędrowałem.

Nagle ona przede mną

Nadeszła z naprzeciwka:

I delikatnie do piersi,

Do serca mi się rzuca

O, chwilo niezwykła!

O, szczęście ty, niebiańskie,

O, urok wrażliwości,

O, płomień gorących pocałunków!

Wszystko pograżyło się w ciemności:

Koniec ogrodu Eden –

Muszę ze szczęściem się rozstać!

Tylko moim sercem

Jestem wiecznie spragniony

Dążenia do życia!

Zygmunt:

(z opuszczoną głową) Ej, to zbyt smutna piosenka! Opowiada o cichych
ludzkich cierpieniach! (zadowolony) Drugą piosenkę zaśpiewam – wesołą. (zaczyna
śpiewać, niechący śpiewa dalej smutną melodię, przy końcu wykrzykuje) Lepiej
już coś zagram (dodaje) Skrzypce grają, kiedy chcę ich słuchać i kiedy moja dusza
tego pragnie... Graj! (bierze skrzypce, zaczyna grać, przerywa nagle w środku,
wypuszcza smyczek z ręki, staje zamyślony, do siebie) Tak wygląda moje serce!
(gra dalej)

Pauza.

Zygmunt:

(odkładając skrzypce) Głupstwa. (dodaje) Nie mam teraz tak dobrego humoru, żebym miał ochotę śpiewać i grać, wyrażać radość śpiewem i dźwiękiem...

Pauza.

Zygmunt:

(nagle) Wpadłem na dobry pomysł! (po chwili) Będę spacerował po lśniąco czystych ulicach naszego miasta... Błądzić przez nie wolny jak ptak, nabierać pełne płuca świeżego powietrza... (ożywiony) Ubiorę się i wyjdę na ulicę! (ubiera się elegancko, czesze włosy, przegląda się w lusterku kieszonkowym, chce już wyjść, odwraca się z powrotem) Dobrze, coś sobie przypominałem. O mało co nie wyszedłem tak na ulicę. (głośniej) Wąsy! Przecież jeszcze się nie przystroiłem. (zakłada bindę na wąsy, przechodzi przez pokój)

Długa pauza.

Zygmunt:

(nieświadomie zatrzymuje się obok okna, przerażony widokiem) Co na ulicy tak cicho... tak pusto... Latarnie się palą... (ostro) Czy to taki ciemny dzień, że latarnie są zapalone, czy to jeszcze noc. (przypomina sobie) Oczywiście, tak jest! Nie mogłem zasnąć, więc wstałem z łóżka.

Cisza.

Zygmunt:

(zauważyła na sobie ubranie, drży) Co ja sobie założyłem? Co znaczy, że nie mogę spać? Dlaczego wszyscy dookoła mogą spać, a ja nie...? Dlaczego?! (zrzuca wszystko z siebie, kładzie się na łóżku, odwraca głowę do ściany, krzyczy nieprzerwanie) Muszę! Ja muszę!!!

Pauza. (słysząc ciężkie kroki i stukanie laski, zaraz też pojawia się w drzwiach głowa, w końcu wchodzi stróż nocny)

Zygmunt:

(nie zauważywszy przybysza, wzdycha) No-no, ładną mam dziś noc: ledwo było już cicho parę minut i zaczynałem mieć nadzieję, że oto zaraz zasnę... a tu masz tobie, nowe utrapienie! (dostrzega nagle stróża, zaskoczony) Co Pan tu robi?

Stróż:

(całkowicie spokojny) Chodzę sobie tak podczas służby, w górę i na dół ulicy i pilnuję porządku... Nagle widzę, drzwi otwarte...

Zygmunt:

(przerywa mu, zdenerwowany) I co z tego, że drzwi są otwarte? Nie pański interes! Co to jest? Jakaś wasza sprawa? (krzyczy) Wynocha stąd! Zostaw mnie w spokoju! Idź!

Stróż:

(bezczelnie) A jeśli nie...

Zygmunt:

(zły) Złapię za kark i wyrzucę was stąd, aż roztrzaskacie się na kawałki.

Stróż:

(chłodno) Skoro tak, byłbym ciekaw to zobaczyć...

Zygmunt:

(jak rażony gromem) Przyszedłeś tu ze mnie drwić?! Prowokować – mnie?! Jeszcze bardziej mnie zdenerwować i wytrącić z równowagi?! (macha ręką w powietrzu) Jeszcze popamiętasz! Zemszczę się! Ani jednej kosteczki nie pozostawię całej! (rzuca się na niego, bije, tamten oddaje mu mocnym uderzeniem, co całkiem go rozdrażnia, łapie go w końcu z największą złością i dusi).

Stróż:

Staje się coraz słabszy, upada i umiera.

Zygmunt:

(widzi go, jak leży martwy, wybucha dzikim śmiechem, krzyczy) Tym razem pozwoliś mi już odpocząć!! Nie będziesz już przeszkadzał, ani mi, ani mej duszy!! (potrząsa gorączkowo martwym ciałem)

Na dwa ostatnie okrzyki zlatują się ze wszystkich drzwi senni i na wpeł przestraszeni ludzie.

Kurtyna opada.

Przełożyła z jidysz Karolina Koprowska

Kupiec kotów⁴⁶

Jadę do Lutomierska... już tramwaj na mnie dzwoni...
(tylko po kiego diabła w ogóle tam jadę!..)
Brzydkie to miasteczko i wiecznie błotniste –
a ja nie mam nic do roboty i oszalałem w mej pogoni...

Kiedy pójdę na rynecek, trafię na jarmark wśród słoty.
Zapewne jakiś Żyd w plecy mnie klepnie
I zapyta: „Co kupujecie – pszenice, worek jęczmienia?”
„Ani pszenicy, ani jęczmienia. Przyjechałem kupić koty”.

Pociemnieje na rynku: przyjechał człowiek z Łodzi,
Co skupuje koty z całego miasteczka
I nie minie nawet krótka chwilka
A zniosą mi na rynek wszystkie koty, co do koteczka.

Ze sklepów, podwórek, piwnic, łaźni
Prowadzą koty na sznurkach: brązowe, rudego kocurka;
Z besmedreszów, z kramów, z każdego podwórka
Przywiodą czarne, białe, zielone koty.

Bogate, spasionie, pręgowane, ciężkie koty,
Ze wstążkami na szyi i łebkami z przedziałkiem
Koty wąsate jak chrześcijanie, z kokardami na ogonach
Koty tańczące na jednej łapie i latające jak wiatr.

Kiedy na rynku zapadnie wieczór
Stanę otoczony tysiącami kotów
Miasteczku Lutomiersk gały wyjdą z orbit
I spyta się: „Co zamierza koci kupiec?”

Kiedy świat spowije północ,
Lament kociej bandy podniesie się wielki,
Oto, bracia, smutek, co mieszka we mnie,
Wrywa się ze mnie z samotnej udręki.

⁴⁶ I. Rabon, *Groer friling* [Szara wiosna], Warszawa 1933, s. 42–43.

Jadę dziś do Lutomierska... Zaś jutro w południe
Być może będę szwendać się gdzieś po dalekiej wsi.
Przy świetle księżyca głośno będę opowiadać chłopom historie
I ogrzeję zmęczone ciało przy torfowym ognisku.

Przetoczyła z jidysz Izabela Olejnik

Mojsze Born

Zapomnieć chcę⁴⁷

O Charonie! Przez Styks mnie przewieź,
Tam, gdzie nie ma słońca już,
Nakarm mnie potrawą z ambrozji i nektaru
I niech zapomnę o wszystkim.

Ciężkie było me życie tu, na ziemi
Wśród fałszu, oszczerstwa i nienawiści.
Zapomnieć chcę teraz: kim byłem
Pamiętać nie chcę, kim jestem.

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

⁴⁷ M. Born, *Cezyngene Sztern* [Rozśpiewane gwiazdy], Łódź 1933, s. 16.

Icchok Kacnelson

Icchok Kacnelson (1886–1944) urodził się w Kareliczach koło Nowogródka, skąd z rodziną przeniósł się do Warszawy, następnie do Łodzi, gdzie poświęcił się pracy pedagogicznej. Większość życia poświęcił nauczaniu języka hebrajskiego w szkołach hebrajskich w Łodzi. Był m.in. założycielem i dyrektorem przedszkola i Gimnazjum Hebrajskiego przy ul. Zawadzkiej 43, którym kierował wraz ze swymi braćmi Mojsze i Berlem. W przedszkolu pracowała także jego siostra Szejndla Fajnsztajn. Od stycznia 1940 r. przebywał w getcie warszawskim, gdzie współpracował z Archiwum Ringelbluma. Uczestniczył w tajnym nauczaniu, kierował kołem dramatycznym organizacji młodzieżowej Dror; pisał do konspiracyjnych czasopism i wydawnictw. Po wywiezieniu żony i dwóch synów w sierpniu 1942 r. do obozu zagłady w Treblince, poeta wraz z trzecim synem ukrywał się po „stronie aryjskiej”. W wyniku tzw. akcji Hotelu Polskiego został wraz z synem wywieziony do Francji. Tam, w obozie internowania w Vittel napisał *Pieśń o zamordowanym żydowskim narodzie*. Deportowany przez Niemców do Auschwitz, zginął na początku maja 1944 r.

Debiutował jako pisarz w 1904 r. Rozgłos przyniósł mu hebrajski poemat prozą *Begwulos Lita* [W granicach Litwy]. Publikował głównie w j. hebrajskim, pisząc wiersze, utwory sceniczne i prozatorskie oraz piosenki dla dzieci. Wiele jego wierszy, opatrzonych muzyką, weszło do kanonu żydowskich pieśni ludowych i dziecięcych. Tłumaczył na j. hebrajski m.in. utwory Heinego. Fascynował się również teatrem i starał się założyć pierwszą stałą scenę hebrajską w Polsce. Twórczość teatralną Kacnelsona cechuje niespotykane wśród innych autorów podejście do tekstu biblijnego jako do klasycznego tekstu teatralnego zawierającego doskonały materiał sceniczny. Świadomie odrzucał wątki dramatyczne i komiczne mające związek z kulturą grecką koncentrując się na interpretacji tekstów Starego Testamentu, np. w dramatach *Hanowi* [Prorok] czy *Mechiras Josef* [Sprzedaż Józefa]. Publikował również w jidysz, m.in. w czasopiśmie „Jung Jidysz”.

Polski słownik judaistyczny, [http://www.jhi.pl/psj/Kacnelson_\(Katznelson\)_Icchak](http://www.jhi.pl/psj/Kacnelson_(Katznelson)_Icchak) (dostęp z 15 XI 2017); C. Kacnelson-Nachumov, *Icchok Kacnelson*, Buenos Aires 1948; I. Kacnelson, *Skica o tobiografii*, rękopis w Archiwum Kibucu Lochamei Hagetaot; M. Tzur, *Ruach acuw*, Kibuc Lochamei Hagetaot 2012.

Pogrzeb⁴⁸

A był to dzień dżdżysty, dzień dżdżysty, dzień dżdżysty
Karawan, a przed nim dwa konie smoliste

Najsamprzód mąż kroczył w powadze, a za nim
Dzieciaki cichutko za trumną rządками.

⁴⁸ I. Kacnelson, *Szyrym* [Pieśni], Łódź 1937, s. 192–193.

Za nimi się ciągnął tłum krewnych płaczących,
A ja gdzieś na końcu, wśród obcych idący.

I idąc z daleka dumałem samotnie:
Uchylcie mi wieko – tam ciało me spocznie,

Bom bardzo ją kochał. Nikt tego nie wiedział –
Więc idę daleko... Jak obcy, z gawiedzią!

I szedłem w oddali przystając wraz z nimi –
Słuchałem jak płaczą, jak głos ich się mieni

Cichutkie wzdychania, szeptu donośne
Sławiące jej pamięć... Ja szedłem bezgłośnie.

A widząc mogiłę tak sobie dumałem:
To dla mnie jest miejsce, tu spocznę na stałe

Bom bardzo ją kochał.

Przełożył z hebrajskiego Dariusz Dekiert

Lejbel Kuperszmidt

Modlitwa⁴⁹

Och, wpleć w swój sen,
W tve rozedrgane spokojne śnienie,
Mój paniczny krzyk,

Jak ja w me serce wplatam i zachowuję
Twych kroków przebrzmiały dźwięk,
Linie symetrycznie rozdzielającą Tve usta na dwoje.

Och, w sen swój wpleć
W tve rozedrgane spokojne śnienie,
Mój paniczny krzyk,

Jak ja w me serce wplatam i ochraniam
Te noce pełne cichego szlochania.

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

⁴⁹ L. Kuperszmidt, *Citer fajerlech...*, s. 30.

Icchok Hersz Radoszycki

Życie⁵⁰

Życie, tyś jak słodki sen,
Lot motyla, okamgnienie.
Odchodzisz od nas w pośpiechu,
Wnet stajemy się wspomnieniem.

Jesteś różą, która kwitnie,
Oszałamia swą pięknością,
Żeby zimą więdnąć, blednąć
Z wolna stawać się nicością.

Gdy ulotni się twój zapach,
Płatki rozsypią na wietrze,
Przyjdzie czarna postać z kosą,
Na zawsze nas z ziemi zetrze.

Przełożyła z jidysz Julia Makosz

⁵⁰ I. H. Radoszycki, *In der sztil...*, s. 32.

Rikuda Potasz

Jestem królową⁵¹

Mamo,
nie noszę już korony z modrych chabrów
z pól Ojcowa. Twoje dobre twoje ręce
niebieściły mi włosy.
Noszę teraz koronę ciężkich nocy,
ozdobionych moją krwią niczym bransoletami.
Jestem królową i jestem schwytaną.
Noszę koronę.
Ale ja, królowa, widzę
wszystkie ludzkie nieszczęścia snujące się
po ulicy
jak wstęgi, jak pasy.
Mamo!
I twoja córka nosi koronę cierpienia,
I nie mogę jej zdjąć.

Przetłoczyła z jidysz Karolina Szymaniak

Moja szafa z sukienkami⁵²

W szafie zamknę zapach twych palców,
które głaskały mą ciemną suknię,
a resztę ubrań przewieszę
niech przesiąkną wonią niewypowiedzianych słów.

Przypadnę do szafy
i gorący do bólu oddech schłodzę,
choć później pożałuję,
bo w głębi serca nie chcę go ukoić.
W kącie szafy
leżą suknie spowite w tajemnicze milczenie,
pachną jak uschłe gałęzie.
Na dworze nastał pierwszy dzień jesieni.

Przetłoczyła z jidysz Joanna Lisek

⁵¹ R. Potasz, *Wynt off klawiszn* [Wiatr na klawiszach], Łódź 1934, s. 35.

⁵² R. Potasz, *Wynt off klawiszn...*, s. 22.

Momento Mori⁵³

Śmierć puściła do mnie oko
 Poprzez płatki astra,
 I zobaczyłam bladą, jasną dłoń,
 Wzywającą mnie – chodź.
 Szaleńczo roześmiały się me oczy
 I zamknęły, jak do snu,
 O, ten cudowny zew.
 Aster drzemał w kielichu
 A śmierć czuwała
 Ręka mi opadła
 Gdy chciałam wyrzucić kwiat.
 A potem mój własny głos zapłakał
 Niczym jęk ogolonej owieczki w stadzie.

Przetłoczyła z jidysz Joanna Lisek

Pusta kawiarnia⁵⁴

Kiedy kieliszki z tacy spuszczają swe czasze
 Lampy czuwają smętnym blaskiem,
 Śnięty kawiarnista siedzi
 Zakładając nogę na nogę,
 Zacharczy ciężkim kaszlem
 I mówi:
 – Tfu! Jak pusto!
 Domino z patefonem podrygują samotnie,
 Stoliki ziewają z nudy,
 Podłoga wtóruje swym śpiewem
 – Jak pusto
 Siwy dym spowija wszystko wewnątrz,
 Ściany wilgotne lśnią jak sól,
 W sali tanecznej niezmaconym krokiem
 Sama pustka tańczy
 – Jak pusto.

Przetłoczyła z jidysz Joanna Lisek

⁵³ R. Potasz, *Wynt off klawiszn...*, s. 24.

⁵⁴ R. Potasz, *Wynt off klawiszn...*, s. 13.



Część 4

Palestyna

Miriam Ulinower

Żona Lota¹

Ogień boski widzieć chciała
I w słup soli skamieniała.
Tam gdzie Soar, gdzie Sodoma,
Stoi do dziś, przemieniona.

A kucharka, zzółkła, siwa,
By na targ iść – zbyt leniwa,
Gdy składników ma do woli
Do potrawy, oprócz soli,

Bierze z ciała żony Lota,
Ile przyjdzie jej ochota.
To do dzisiaj jest w zwyczaju
Tam, w sodomskim niegdyś kraju.

Przełożyła z jidysz Natalia Krynicka

¹ „Illustrierte Woch” [Tygodnik Ilustrowany], 3 IV 1924, nr 13 (15), s. 11.

Ichok Kacnelson

***2

Odgłosy, dźwięk wieczorny
Spłynęły na nas w dół
Podnosi się pył polny
Wśród palm, pustyni gór.
Już owiec stado wraca
Powoli schodząc z łąk
Pasterza głos zatraca
Gdy dmie w fujarkę swą.

Przetłóżył z hebrajskiego Dariusz Dekiert

² I. Kacnelson, *Hadikduk aruch beszita kala* [Gramatyka ułożona w sposób prosty], t. 1, Warszawa 5681 [1920/1921], s. 13.

Joel Naftali Kamieniec

Joel Naftali Kamieniec (1891–1944) urodził się w 1891 r. w Ostrowii Mazowieckiej w rodzinie chasydzkiej. Po przeprowadzce do Łodzi, ok. 1923 r. zaczął pracę jako dyrektor ds. religijnych w szkole „Bejs Jakow”. W 1931 r. założył w Łodzi religijną szkołę dla dziewcząt z dobrych domów „Chawaceles”, którą kierował do 1936 r. Od 1940 r. przebywał wraz z synem w getcie łódzkim. W sierpniu 1944 r. deportowany do Auschwitz, gdzie zginął. Publikował artykuły w czasopiśmie „Bejs Jakow”, był również autorem podręczników do nauki judaizmu w szkołach i publikacji o wybitnych rabinach, jak Raszi czy RAMBAM, Jehuda Halewi czy Abraham Ibn Ezra.

Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny Żydów łódzkich oraz z Łodzią związanych, red. A. Kempa, M. Szukalak, Łódź 2003, t. 3, s. 56.

Noemi i Rut³

Sędziowie

Siedem lat trwały wojny, które Jozue ben Nun, uczeń naszego nauczyciela Mojżesza, toczył z ludami Kanaanu. Gdziekolwiek się pojawiał, tam niszczył drewniane i kamienne bożki kananejczyków.

A kiedy już zakończyły się lata krwawej wojny, kraj został całkowicie oczyszczony z wizerunków fałszywych bożków i obiektów bałwochwalczego kultu. Świątynie kananejskich bożków zostały zburzone, drzewa lipowe zwalone, kamienne posągi kananejskich bałwanów zniszczone. Wtedy schował Jozue miecz do pochwy i przystąpił do rozdzielania ziemi pomiędzy naród Izraela. Podział ziemi trwał siedem lat. Pola i lasy zostały odmierzone za pomocą sznurka i podzielone na równe części – nie było mniejszych i większych, nie było grubszych i cieńszych, tylko równiutkie. Każdy Żyd otrzymał taką samą część ziemi, którą Bóg (niech będzie błogosławiony) obiecał Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi. Nie było bogatych, ani biednych, nikt nie miał większego kawałka ziemi niż sąsiad. Wszyscy Żydzi są przecież dziećmi Boga i tak jak rodzice, którzy równo kochają wszystkie swoje dzieci, tak i Najwyższy uczynił wszystkich Żydów dziedzicami kraju.

Piękny był to kraj, żyzny czarnoziem, w ogrodach rosły figi i daktyle, a na zielonych polach pasły się owce. Kraina płynęła mlekiem i miodem, każdy mógł tu spokojnie żyć i uprawiać ziemię, którą otrzymał w darze od Boga.

³ J. N. Kamieniec, *Noemi un Rut* [Noemi i Rut], Łódź 1930.

Mijały dni, mijały lata. Jozue zestarzał się i umarł. Stopniowo wymarło całe pokolenie, które na własne oczy widziało cuda – jak Bóg Izraela prowadził wojnę dla swojego ludu, a silne narody poddawały się słabemu.

Po nich przyszło nowe pokolenie – młodzi, silni ludzie, którzy odziedziczyli po przodkach bogaty i żyzny kraj. Nadal uprawiali ziemię, potrafili wydobyć z niej całe bogactwo. Jednak zapomnieli o Bogu Izraela i powoli zaczynali żyć na podobieństwo ludów zamieszkujących sąsiednie kraje.

Bóg rozgniewał się na to pokolenie; nie po to prowadził ich wojny, nie po to poddał silne i potężne ludy w ręce słabego, nie po to zgładził stare, osiadłe narody, żeby w ich miejscu żyli teraz ludzie, którzy przejmują ich zwyczaje i nie pamiętają imienia Boga. Pomyślał Bóg: pokażę temu zbuntowanemu narodowi, że nie pomagałem im, by teraz żyli na podobieństwo innych narodów i nie wybrałem ich, żeby próbowali wymieszać się i zrównać z narodami, które uczyniłem im podległymi, tylko po to, żeby wyróżniali się spośród innych narodów, przestrzegali zasad Tory i przykazań, które dałem ich przodkom na górze Synaj.

Wtedy Bóg nadszedł na nich górskie plemiona i narody, których ziemie graniczyły z ich krajem. Ujarmiły one naród Izraela, poraniły go i ciężko doświadczyły mękami i cierpieniem. A kiedy przyszło im znosić dolę udręczonych i uciskanych, przypomnieli sobie o Bogu swych ojców i błagali go, by im pomógł. Wtedy Wszechmogący postawił przed nimi człowieka, który prowadził dla nich wojny i przegnał wroga z ich ziemi, a gdy w kraju znów zapanował spokój, mąż ów uczył ich podążać ścieżkami Boga i przestrzegać przykazań Tory. Takiego bożego pomocnika w narodzie Izraela nazywano sędzią, który w czasie wojny był przywódcą, a w czasach pokoju nauczycielem.

Elimelech

W miasteczku Betlejem, w kraju Judy, żył pewien bogaty Żyd, szanowana postać, imieniem Elimelech. Mieszkał on z żoną Noemi oraz dwoma synami – Machlonem i Chilionem.

Była to najbogatsza i najznamienitsza rodzina w okolicy. Ich pola i winnice ciągnęły się daleko i szeroko, aż do doliny Saronu, gdzie szumiały z cicha wody Jordanu, a na polach pały się owce, kozy, krowy, woły, wielbłądy i osły. Gdy przychodziło święto plonów, piękne święto Sukes, kiedy to z pól zostaje zebrane zboże, spichlerze Elimelecha zapęłniały się jęczmieniem, pszenicą i wszelkimi dobrami, które Bóg pozwolił mu wydobyć z żyznej i płodnej ziemi.

Bogaty, bardzo bogaty był Elimelech, ale też i bardzo skąpy. Pewnego roku w kraju nastał głód. Wczesnowiosenne deszcze nie nadeszły, ziemia pozostała sucha i jałowa, upał wypalił trawę na polu, a pragnienie zabiło owce na łąkach. Ludzie umierali z głodu na ulicach, a wielu właścicieli ziemskich musiało prosić o jałmużnę. Jedyne Elimelech nie ucierpiał wcale. Jego spichlerze były pełne

zapasów zeszłorocznego zboża, a stodoły wypełnione mąką, olejem i miodem z poprzednich lat. Obawiał się więc skąpy Elimelech, że będą się u niego gromadzić wszyscy Żydzi i każdy będzie chciał dostać jedzenie, a on będzie musiał obdzielić głodujących swoimi zapasami zboża. Zapakował wtedy cały swój dobytek na grzbiety wielbłądów i osłów i razem z żoną Noemi oraz dwoma synami Machlonem i Chilionem opuścił świętą ziemię Judy w czasie klęski głodowej. Wywiózł też cały swój dobytek i dobra, którym obdarzył go Bóg, do obcego kraju Moabu.

Gdy dotarli do wysokich moabickich gór, Elimelech wysłał w darze królowi Moabu wiele sztuk bydła i owiec oraz pełne worki zboża.

Mieszkańcy Moabu widzieli, że Elimelech jest bogatym człowiekiem, przyjęli go więc do swojego kraju, by w nim zamieszkał.

Kiedy Elimelech dotarł do stolicy Moabu, zobaczył jak złe jest życie mieszkańców miasta, jak podłe i niegodne jest ich zachowanie. Postanowił wówczas zamieszkać w małym miasteczku, tam gdzie ludzie nie byli jeszcze aż tak zepsuci, chciał bowiem nadal żyć w zgodzie z zasadami Tory.

Jednak jego synowie – Machlon i Chilion stopniowo zaczęli zaprzyjaźniać się z moabickimi dziećmi i zaznajamiać z moabicką kulturą, aż pomału całkowicie zasymilowali się z tubylcami.

Ich szkolni koledzy nienawidzili ich serdecznie, po prostu nie mogli ich znieść. Wszystko przez to, że pochodzili oni z Żydów i nie zaprzestali praktykowania judaizmu. Jednak swojej wrogości nie okazywali otwarcie, ponieważ Machlon i Chilion byli bogatsi i lepiej wykształceni od moabickich uczniów. I tak Machlon i Chilion powoli zapominali o swoim pochodzeniu i byli zadowoleni, że przyjaźnią się z nimi dzieci moabickich magnatów i wspólnie oddają się rozmaitym rozrywkom.

Grzech i kara

Z czasem Machlon i Chilion całkowicie oddalili się od zwyczajów swojego ludu. Po ich ubiorze, zachowaniu i języku nie można było poznać, że pochodzą z narodu Izraela. Z ich dawnej wielkości, niegdysiejszej żydowskości nie pozostało ani śladu. Tylko gdy przebywali w domu swoich rodziców, zachowywali jeszcze jakiekolwiek pozory żydowskości. Ale w szkole czy na ulicy czuliby się zawstyżeni, gdyby ktoś powiedział, że są Żydami. Robili więc wszystko, żeby tylko wyglądać jak prawdziwe moabickie dzieci. Kiedy nadchodził czas młodzieżowego święta „sportu”, razem ze swoimi nieżydowskimi kolegami zbierali się na wielkim pustym placu i przy dźwiękach muzyki brali udział w walkach, które miały pokazać, kto jest najsilniejszy. Walka taka trwała kilka godzin, każdy chciał wykazać się dzielnością i męstwem. Zawodnicy uczestniczyli w przeróżnych wyścigach i zapasach, a kiedy ta zabawa już im się znudziła, ustawiali się w dwóch równych rzędach z mieczami w rękach i na sygnał złotego rogu młodzież zaczynała pojedynki na nagie miecze.

Jeden drugiego atakował dźgając, raniąc i łamiąc. Wielu padało na ziemię zalewając się krwią, a tych, którzy wyszli cało z tej krwawej gry dekorowano wieńcami i liśćmi palmowymi i przy dźwiękach muzyki wprowadzono do miasta. Zostawali okrzyknięci największymi bohaterami spośród młodzieży.

Machlon i Chilion często brali udział w takich zabawach. Zapomnieli, że dla synów żydowskiego narodu rozrywki, które prowadzą do rozlewu krwi, są wielkim grzechem.

Pomimo tego, że moabicki młodzieńcy mieli większe doświadczenie w tych rozgrywkach, Machlon i Chilion stale się wyróżniali. Nigdy żaden z nich nie został ranny i z każdej rozgrywki wychodzili zwycięsko. W końcu zostali koronowani na największych bohaterów Moabu.

Jednak nie zawsze zła droga usłana jest różami. Sędzia całej ziemi postanowił odplacić złem za zło i dobrem za dobroć.

Było to wtedy, gdy Elimelech dokonywał poświęcenia swojego nowo wybudowanego pałacu. Urządził wielki bal, na który zaproszeni byli najważniejsi ludzie z kraju Moab. Na uroczystość tę przybył także król moabicki Eglon wraz ze swoimi dwiema córkami – Orpą i Rut, oraz z całą swoją świtą.

Pałac, który zbudowany był z marmuru i kości słoniowej, a pokryty szczerem złotem, wywarł na gościach ogromne wrażenie. Wszyscy mówili, że pałac Elimelecha jest jeszcze piękniejszy i bogatszy od pałacu królewskiego.

Stół zastawiony był najlepszymi potrawami i trunkami, cały pałac zalany był morzem światła. Goście miło spędzali czas i dobrze się bawili przy dźwiękach radosnej muzyki.

Przy tej okazji król Eglon ofiarował Elimelechowi order zasłużonego obywatela kraju, a jego dwóch synów, Machlona i Chilion, mianował rycerzami Moabu.

Elimelech i jego dwóch synów świetnie się z gośćmi bawili i zapomnieli o swoich głodujących braciach w kraju Judy. Tu, w Moabie pławiono się w winie i luksusie, a tymczasem tam, w Betlejem, przymierano głodem.

Lecz kiedy skończyła się uczta, przybył na koniu posłaniec, który opowiedział, że pastuchowie Elimelecha zostali napadnięci przez bandytów, zamordowani i obrabowani z całego stada. Gdy Elimelech z dwójgiem synów pospieszyli na miejsce zdarzenia, pojawił się drugi posłaniec i przyniósł równie straszne wieści o tym, że ogień z nieba spalił pałac razem ze wszystkimi bogactwami i dobrami.

Mocno się to odbiło się na zdrowiu Elimelecha, który wkrótce potem zmarł.

Po śmierci Elimelecha Machlon i Chilion jeszcze bardziej niż przedtem zbliżyli się do kultury Moabu i jako moabicki rycerze tym bardziej brali udział w zawodach sportowych.

Ich męstwo było wszędzie wokół znane i wychwalane, a król Eglon dał im za żony swoje dwie córki – Orpę i Rut. Machlon ożenił się z Rut, a Chilion z Orpą.

Pewnego razu, a było to w czasie, gdy w kraju Judy naród żydowski świętował Szwuës – dzień, w którym Bóg objawił się ludowi żydowskiemu na górze Synaj i podarował mu świętą Torę – w tym samym czasie Moab przygotowywał się do obchodów największego święta ludowego, czyli święta „sportu”. Zjechała się wówczas cała młodzież ze wszystkich miast i miasteczek, wszyscy bohaterowie chcieli wykazać się swym męstwem. Machlon i Chilion, którzy zostali ukoronowani jako rycerze Moabu, powinni zająć pierwsze miejsce. Przyszło im walczyć ze znacznie większymi osiłkami. Po jednej stronie ustawili się przewodnicy wszystkich klubów sportowych, a po drugiej Machlon i Chilion.

Z jednej z kilku wielkich wież miasta zabrzmiał dźwięk rozpoczynający krwawą walkę. Pojedynek był zaciekły, obie strony walczyły z zawziętością. Nagle jeden z pomniejszych moabickich bohaterów, który był wrogiem Chiliona, postawił mu kamień na drodze, przez co Chilion się przewrócił. Wtedy rzucili się na niego otaczający go wojownicy i zadźgali go na śmierć. Kiedy Machlon zobaczył swojego zabitego brata zaczął się trząść i w tej samej minucie został zaatakowany przez walczącego obok wojownika. Padł martwy, zalany krwią.

W ten sposób Noemi została samotną, biedną wdową. Cały majątek przepadł, jej ukochany mąż Elimelech nie żył. Jedyłą pociechą mogłaby znaleźć w swych dwojgu żyjących dzieciach, a tu nagle dociera do niej tragiczna wiadomość, że również obaj jej synowie, Machlon i Chilion, zostali zabici na polu walki.

Postanowienie Noemi

Opuszczona, samotna i smutna została Noemi w swoim pustym, pogrążonym w żałobie domu. Jej ukochany mąż Elimelech zmarł. Dwójka jej synów zginęła na polu bitwy przeznaczonym dla moabickiej młodzieży. Ogień z nieba strawił jej majątek. Swoją biżuterię i stroje musiała sprzedać za kawałek chleba. Dobrzy przyjaciele z Moabu, którzy tak często gościli u niej na wystawnych balach, które jej mąż co parę dni wyprawiał, teraz jej unikali. Zachowywali się, jakby nigdy jej nie znali. Całe dnie przesiadywała samotnie, opuszczona i osamotniona, płacząc gorzkimi łzami wspominała swojej minione szczęście.

Przed oczami stawały jej obrazy z odległej przeszłości: mieszka z Betlejem, jej mąż Elimelech jest najbogatszym i najdostojniejszym człowiekiem w mieście. Jej dwójka udanych synków biega radośnie po polach, a ich głosy wypełniają przestrzeń swym beztroskim, dziecięcym śmiechem. Wszyscy jej zazdroszczą i kiedy pojawia się na ulicy okazują jej najwyższy szacunek.

Pomarzyła przez chwilę i na jej starej, pomarszczonej, zmęczonej twarzy pojawił się uśmiech, marzyła przecież o swoich dawno minionych pięknych dniach. I nagle przeszedł ją dreszcz. Ukazał się jej przed oczami inny obraz.

Głodni ludzie odziani w łachmany chodzą wokół niej na ulicy jak cienie. Matki nie mają czym nakarmić swoich małych dzieci. Głód panuje w całym kraju, ludzie

umierają z niedożywienia i z powodu różnych chorób. Tłumy wygłodzonych ludzi, których znała jako całkiem majątnych gospodarzy przychodzą do jej domu i proszą o kawałek chleba. Zdesperowane matki podchodzą pod jej okna i trzymając na rękach niemowlęta błagają o kęs pożywienia dla dziecka, które już od kilku dni nie miało nic w ustach. Ale jej mąż Elimelech miał serce z kamienia. Zamknął dobrze dom i nakazał służbie, by nie dawali nikomu ani kawałeczka chleba. W pobliżu ich domu umierali ludzie, dzieci wysysały resztki krwi z chudej piersi matki, ale serce Elimelecha było twarde jak głaz; był głuchy na łzy nieszczęśliwych, a płacz małych dzieci go nie wzruszał. Głód z dnia na dzień był coraz silniejszy. I wtedy przypomniała sobie, jak mąż podjął decyzję wyjazdu do Moabu. Ona płakała i prosiła by zostali w kraju, pomiędzy Żydami, ale on nie chciał, bo obawiał się, że tu on także stanie się nędzarzem, jak reszta Żydów. Potem przypominała sobie jak było dalej – Elimelech zaczął ją przekonywać, że w obcym kraju czeka ich szczęście. I dała się namówić.

Opuścili nieszczęsny kraj. W drodze towarzyszyły im przekleństwa głodnych i udręczonych Żydów. Ale jej mąż Elimelech śmiał się z tego. Dotarli do Moabu i zapomnieli o swoim Bogu i o głodujących braciach w Judzie. Tutaj strumieniami lało się wino, a tam ludzie umierali z głodu.

Stara Noemi załapała się gorzkimi łzami. Swoją zmęczoną głowę podparła starymi rękami, a przed jej oczy przyplynał trzeci obraz. Jej dwaj synowie Machlon i Chilion wychowują się w Moabie razem z dziećmi panów, a słowa Żyd się wstydzą. Uczą się w moabickiej szkole. Uczestniczą we wszystkich nieżydowskich rozrywkach i w bałwochwalczych świętach ku czci bożka Kemosza oraz w święcie „sportu”. Jej mąż Elimelech jest zadowolony. Szczęście osiągnęło swe szczyty, gdy został powinowatym króla Moabu, który dał ich dwóm synom, Machlonowi i Chilionowi, swoje dwie córki, Orpę i Rut, za żony.

O, gdzież one są teraz, moje drogie synowe, wzdycha gorzko Noemi. Również one mnie opuściły, jestem teraz sama jak palec, zostałam u krewnych mojego męża i dzieci. Czy mam tu jeszcze coś do roboty, kto mnie tu potrzebuje i kogo ja tu potrzebuję. Moab był i jest dla mnie obcym krajem, z obcymi bogami i obcymi ludźmi. Wrócę do domu, do kraju, który opuściłam w czasach niedoli. Powłokę się na moich starych nogach do Szilo i pomodłę się przed aron hakojesz do Boga, o którym tak długo nie pamiętałam, poproszę, by wybaczył mi mój wielki grzech. Potem pójdę do Betlejem, ucałuję jego ziemię i będę płakać tak długo, aż Bóg się nade mną ulituje i da mi odpoczynek w grobie.

Szybko podniosła się z miejsca i zaczęła chodzić po swoim pokoju. Nagle zatrzymała się przy oknie i powiedziała do siebie: tak, tak się stanie. Udam się do Judy, umrę w kraju moich przodków, ucałuję ziemię Szilo, w miejscu, gdzie stoi przybytek Boga.

Noemi zawołała swoją starą służącą Szulamit, jedyną, która nie chciała opuścić jej w nieszczęściu. Kazała jej pójść do Orpy i Rut i poprosić je, żeby do niej przyszły, bo ma im do przekazania bardzo ważną wiadomość.

Szulamit zarzuciła chustę na plecy i poszła.

Nie trwało długo, kiedy na progu ukazały się dwie bogato ubrane kobiety, obie w czarnych żałobnych sukniach. Były to Orpa i Rut, ciągle jeszcze w żałobie po swoich mężach, którzy młodo odeszli z tego świata.

Noemi i Orpa

Gdy Orpa i Rut pojawiły się u Noemi, były przerażone. Myślały, że z ich ukochaną teściową stało się coś niedobrego. Ale teraz, gdy zobaczyły Noemi zdrową, uspokoily się.

– Niech Bóg was błogosławi, moje córki – pozdrowiła Noemi swoje synowe – usiądźcie koło mnie. Wiem, że jesteście obie dobrymi i kochającymi dziećmi. Wiele dobrego uczyniłyście mnie i waszym mężom, a moim dwóm zmarłym synom. Niech Bóg wam odpłaci za dobroć jaką czyniłyście mnie i za miłość, jaką darzyłyście waszych nieżyjących mężów i ich starą matkę, która już nie ma na tym świecie nikogo.

– Teraz się z wami, moje kochaniutki, pożegnam. Postanowiłam wrócić do kraju moich ojców, do Judei. – Obie młode wdowy siedziały jak wryte. Przez kilka minut nie potrafiły powiedzieć ani słowa. Z ulicy słychać było radosny gwar.

W końcu Orpa przerwała ciszę i lamentując przyłgnęła do Noemi.

– Nie, droga teściowo – powiedziała z płaczem – nie możesz nas zostawić. Straciłyśmy naszych mężów, jesteśmy obie samotnymi wdowami w żałobie, jedyną pamiątką po naszych mężach jest ich ukochana matka. I jak ty możesz nas zostawić?! Nie, nie, droga teściowo, zawsze będziemy razem, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Druga synowa, Rut, przez cały ten czas siedziała w milczeniu, a po policzkach spływały jej perliste łzy.

– Jeśli ty, najdroższa matko – odezwała się, kiedy Orpa skończyła mówić – postanowiłaś iść do Judy, ja też pójdę.

Noemi siedziała i smutno potrząsała głową, myślała o synowych tak, jakby chciała przypomnieć sobie swoich nieżyjących synów i ze smutnym westchnieniem powiedziała:

– Drogie dzieci, przysięgam Bogu Izraela, że wrócę do swojego ludu i do swojego kraju. Wiem, że w moim wieku jest to dość trudne. Przyjdzie mi wędrować pod palącym słońcem po górach i dolinach, po przepastnych pustyniach, polach i lasach. Taka droga niebezpieczna jest nawet dla młodego człowieka, a co dopiero dla takiej starej, niedołężnej kobiety jak ja. Ale przyrzekłam to Bogu i dlatego inaczej postąpić nie mogę. Chcę w ten sposób odpokutować mój wielki grzech,

a może będzie to też odkupienie dla mojego męża i dzieci na tamtym świecie, które biorę na siebie. Jestem grzeszną kobietą, zgrzeszyłam czcząc złotego cielca... Zapomniałam o swoim Bogu i stłumiłam w sobie wszelkie ludzkie uczucia... Opuściłam mój biedny lud w czasie głodu. Pławiłam się w luksusie i bogactwie, a tam w Judzie ludzie umierali z głodu, i Bóg mi za to bardzo gorzko odpłacił. Mój mąż i moje dzieci za swoje grzechy przedwcześnie odeszli z tego świata. Teraz jestem stara i słaba, moje lata są już policzone, jeszcze rok, a przyjdzie czas, gdy będę musiała zwrócić duszę Stwórcy. Dlatego zdecydowałam przynajmniej na stare lata wrócić do mojego kraju i umrzeć na świętej ziemi, gdzie Bóg objawił się Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi.

Ale wy, drogie córki, nic nikomu złego nie zrobiłyście. Wy nie opuściliście waszego narodu w niedoli, żadnego głodującego nie wyrzuciliście z waszego domu, niczym więc nie zgrzeszyłyście. A w dodatku jesteście jeszcze takie młode, czas żałoby minie i poślubicie innych mężczyzn, którzy będą was darzyć szacunkiem, a dalsze życie się dopiero zacznie. Czekają was szczęśliwa przyszłość, po cóż miałybyście cierpieć przeze mnie? Zostańcie lepiej tu, w waszej ojczyźnie, tu gdzie się urodziłyście. Żyjcie mi szczęśliwie, dzieci moje, i wspomnijcie czasem nieszczęsną Noemi.

– Droga i kochana teściowo – zapłakała znów Orpa – mówisz o naszym przyszłym szczęściu. Tak, to wszystko jest prawdą, jesteśmy jeszcze młode i możemy jeszcze mieć nadzieję na pocieszenie, państwo Moab jest bogate i piękne i może nam tu być pisane wiele szczęścia. Ale bez ciebie, droga mamo, nie jest nam to wszystko potrzebne. Nie możemy się z tobą tym podzielić. Za bardzo cię kochamy i zbyt mocno jest wyryte w naszej pamięci wspomnienie naszych mężów, abyśmy mogły cię opuścić. A jeżeli naprawdę musisz stąd odejść, my pójdziemy z tobą.

– Kochane i drogie dzieci – odpowiedziała Noemi – po co miałybyście rezygnować ze swojego królewskiego życia, po co macie same zaprzepaścić swe dni. Jesteście córkami Moabu, wasz kraj jest bogaty i piękny, posiada góry i doliny, morza i rzeki. W waszych miastach wznoszą się twierdze i wspaniałe pałace, a w tym pałacach mieszkają szczęśliwe moabickie dzieci. Każdy z nich jest zbudowany solidnie i mocno. Moabici nie obawiają się żadnych wrogów, nikt ich nie napadnie i nikt ich nie ujarzmi, nikomu to nawet nie przyjdzie do głowy. Spokojnie i szczęśliwie płynie tutaj życie. Radość i śpiew rozlega się w murach waszych miast, a wy jesteście córkami tego narodu. Czekają was w tym kraju świetlana przyszłość. Wszystko stoi przed wami otworem, możecie poślubić mężczyzn spośród waszego ludu i wieść szczęśliwe życie. Po cóż, moje dzieci, miałybyście opuścić ten szczęśliwy i piękny kraj, żeby iść z samotną, starą, ubogą kobietą z narodu, który ma wokół siebie tylu wrogów i jest stale najeżdżany i nękan. Jesteście młode, piękne i kwitnące. To dla was świeci teraz słońce pełnym blaskiem i wspaniałością. Pozwólcie mi, drogie dzieci, samotnie dźwigać

mój gorzki los, pozwólcie mi wziąć do ręki mój kij podróżny i wędrować z kraju do kraju, aż dojdę do świętej ziemi moich przodków. A wy, dzieci, żyjcie sobie szczęśliwie i radośnie w swojej ojczyźnie.

Słowa Noemi wywołały burzę sprzecznych uczuć w sercu Orpy. Zaczęła się pograżać w morzu wątpliwości. Przed jej oczami przedstawiał się obraz tego nowego, obcego kraju, gdzie nikogo nie zna i nikt nie zna jej, gdzie nie ma domu ani środków do życia. A tu, w jej ojczyźnie Moabie, roztacza się przed nią piękna przyszłość, każdy ją zna, wszyscy oddają jej cześć, na turniejach w kraju zasiada w łoży honorowej. Jest ceniona i wielu młodzieńców z jej ludu byłoby uszczęśliwionych mogąc ją poślubić. A jednak nie potrafiła rozstać się ze starą teściową.

Noemi zarzuciła na plecy wędrowny kij z tobołkiem i wyruszyła z Moabu. Orpa i Rut poszły z nią. Gdy doszły do rogatek miasta Noemi znów je przekonywała, że powinny wrócić do domu.

– Spójrzcie, jakim pięknym krajem jest Moab – wskazała na miasto w oddali. Zawróćcie do domu. Posłuchajcie jak radośnie tętni tam życie, idźcie, dzieciątka, do domu i zostawcie starą nieszczęśliwą teściową.

Orpa spojrzała z dala na piękne, radosne i gwarne miasto i serce zaczęło jej bić mocniej.

– Masz rację, teściowo – powiedziała z płaczem – jestem jeszcze młoda i chcę jeszcze zakosztować życia. Po cóż mi iść do kraju, gdzie jestem skazana na cierpienie głodu i nędzy.

– Dobrze, dobrze córeczko – rzekła do niej Noemi. Nareszcie zaczynasz rozumieć, że moja droga nie jest twoją drogą. Idź do domu, Orpo, i żyj szczęśliwie. Obie kobiety padły sobie w ramiona i przez dłuższy czas płakały. I wróciła Orpa do Moabu.

Noemi została ze swoją drugą synową Rut.

Noemi i Rut

– A ty, Rut, dlaczego nie idziesz do domu? – spytała Noemi po pożegnaniu z Orpą – dlaczego nie robisz tego samego, co twoja siostra Orpa?

– Droga i kochana teściowo – odezwała się Rut – już długo, długo noszę się z sekretem, którego do dziś nie chciałam nikomu wyjawić. Od wielu lat rozmyślam nad życiem w Moabie. Jest rzeczywiście piękne i radosne. Ale zionie od niego jakąś pustką; nasza młodość niczego nie wnosi do życia, tu trwoni się dni i lata na lubieżności i głupich zabawach. Takie życie mnie mierzi i odpycha, życie u nas jest blichtrzem kłamstwa i nieprawości. Ten, kto potrafi przelać więcej krwi jest bohaterem, ten kto umie uciskać słabszych i uboższych zostaje okrzyknięty rycerzem i wszyscy wokół oddają mu cześć. Tak, mam już dość przyglądania się niesprawiedliwości, jaka panuje w Moabie. Moja dusza pragnie czegoś wyższego,

szlachetniejszego. Dlatego postanowiłam odejść i odrzucić sztuczny blask mojego narodu. Gardzę pustą siłą naszej młodzieży, która potrzebuje krwi słabszych. Zniesmaczają mnie te wspaniałe pałace, które zostały zbudowane z krwi i potu uciskanych. Odstaję od radości życia naszej młodzieży, która bierze się wyłącznie z pijaństwa i złych namiętności. Oni się cieszą, ale to nie jest serdeczna radość młodości, to nie jest wzniosłe zadowolenie, które pochodzi z wewnętrznej, czystej radości. Nie, teściowo, już dawno postanowiłam porzucić takie życie, moje serce tęskni długo już za wspaniałym duchowym życiem zbudowanym na fundamentach sprawiedliwości i uczciwości i wierzę, że odnajdę je w judaizmie. Ostatecznie zdecydowałam więc, że odejdę od mojego narodu i mojego dotychczasowego życia i całą duszą zostanę żydowską córką, jak ty, droga matko.

– Moje dziecko – odezwała się Noemi poruszona do łez i całując głowę Rut powiedziała: – Miło mi słyszeć od ciebie takie słowa. Widzę, że bardzo dobrze rozumiesz życie ze wszystkimi jego tajemnicami i okrucieństwami. Czuję, że już w pewnej mierze zgłębiłaś sekrety naszego żydowskiego życia. Bardzo się cieszę, że mój nieszczęśliwy, cierpiący i nękaný naród został przez ciebie właściwie oceniony i zrozumiany. Boskie światło naszej świętej Tory, którą Bóg za naszym pośrednictwem dał światu, zaczęło rozsyłać swoje święte promienie ludzkości. Przyjdzie czas, gdy wszystkie narody będą nas rozumieć. Lepsze i szlachetniejsze dzieci ludów świata już widzą to światło i grzeją się w jego promieniach. Między tymi wybranymi spośród narodów jesteś również ty, moja córko Rut. Mam jednak wątpliwości, czy wystarczająco przemyślałaś swoje postanowienie, czy rozważyłaś dobrze krok, na który się zdecydowałaś. Czy zdajesz sobie sprawę, drogie dziecko, z wielkiej odpowiedzialności i obowiązków, które nakłada na ciebie twoja decyzja? Czy dość przemyślałaś los żydowskiego narodu, czy wiesz, że przez to, że deklarujesz się jako dziecko żydowskiego narodu, będziesz też dzielić z nim jego nieszczęsny gorzki los i wspólnie z nami wszystkimi prześladowana będziesz przez wielu wrogów, którzy otaczają nas z każdej strony?

Czy wiesz, że nakazy i zakazy naszej Tory tworzą wielką przepaść między nami a otaczającymi nas ludami? Otchłań, która przepełniona jest naszą krwią, krwią poranionych i zamordowanych na chwałę Boga.

Dlatego, droga Rut, zastanów się dobrze, rozważ dokładnie swoją decyzję. Twoja szwagierka Orpa też na początku chciała ze mną iść, jednak po namyśle postanowiła wrócić do swojego narodu i kraju, ty też lepiej zawróć do swojego wielkiego ludu. Po co miałabyś, Rut, przyjmować na siebie gorzki los żydowskiego dziecka, w czasie gdy możesz żyć radośnie i szczęśliwie między swoimi braćmi i siostrami w Moabie.

– Droga matko! – powiedziała Rut ze łzami w oczach. Mówisz mi o szczęśliwym i radosnym życiu, gdy w rzeczywistości takie życie zmusza mnie do trwania przy swym postanowieniu. Chciałam być szczęśliwa i radosna w Moabie,

ale tam zadowolenia ani szczęścia nie odnalazłam. Szukałam go w miejscach, gdzie zabawia się nasza młodzież i nie było go tam. Szukałam go w pałacach królewskich mojego ojca i nie znalazłam. Jestem moabicką księżniczką i miałam wszelkie możliwości zakosztowania uroków życia, lecz żadna z tych rzeczy nie dała mi zadowolenia – ani złote pałace mojego ojca, ani radosne orkiestry. Muzyka mnie nie uszczęśliwiała, tańce naszych kobiet i mężczyzn nie bawiły mnie.

Osiągnęłam wszystko, czego człowiek może pragnąć, żadna rzecz nie była poza moim zasięgiem, ale nawet mając to wszystko nie byłam szczęśliwa. Dostrzegałam w tym pustkę i głupi blichtr, wszystko to zaczęło mnie mierzić. To uczucie pogardy wkradło się do mojej duszy i przez wiele bezsennych nocy nie mogłam znaleźć sobie miejsca w moim łóżu. Wtedy tak sobie myślałam, że jeśli to głupie życie ma być spełnieniem tęsknot i marzeń człowieka, to człowiek jest w rzeczywistości bardzo nieszczęśliwym stworzeniem. Gorzki uśmiech pojawiał się na mojej twarzy, gdy widziałam jak głupi człowiek goni za pustym i złudnym blaskiem, który podobny jest do cienia mijającego dnia, co znika wraz z czerwonym blaskiem zachodzącego słońca. Z jednej strony był piękny i bezwartościowy sen o Moabie, a z drugiej widziałam przed sobą udręczone życie żydowskiego narodu, prześladowanego i nękanego przez sąsiednie ludy, które chciały go zgładzić mieczem i ogniem. Lecz ten słaby naród jest podobny do wątłego, cienkiego drzewa, którego najsilniejsze burze nie są w stanie powalić. Zginają je na wszystkie strony, uschnięte gałęzie spadają na ziemię, wiatr zrywa z niego na wpół uschłe liście, ale drzewo pozostaje całe i mocne, a kiedy burza przechodzi, zaczyna znów rosnąć i kwitnąć.

Zrozumiałam, że naród żydowski jest wiecznym nauczycielem człowieczeństwa, a wszystkie inne ludy są jego uczniami – złymi uczniami, którzy odpłacają się swemu nauczycielowi dręcząc go i raniąc. Ale przyjdzie kiedyś czas, kiedy zły uczeń się poprawi, człowiek stanie się bardziej wzniosły i szlachetny i wtedy narody zaczną szanować i doceniać swego starego nauczyciela, naród Izraela, a wiele z nich, z tych ludów, zakryje swą twarz ze wstydu, że rzucali kamieniami w naród, który prowadził ich po drogach sprawiedliwości. I kiedy ja, droga matko, przypominam sobie, że jestem córką ludu, który obrzuca kamieniami największego nauczyciela świata, nie mogę podnieść oczu ze wstydu. Mam jednak pociechę, która mnie wzmacnia – wiem, że kiedy światło Tory zostanie odkryte ludzkości, wszystkim narodom otworzą się oczy, dostrzegą fałsz życia w pustym, głupim blichtrze. Stanie się jasne, że wszystko, do czego dotąd dążyliśmy, za czym tęskniliśmy i z czym wiąaliśmy nasze nadzieje, było tylko głupim snem, który znika jak dym, rozpada się jak czaszki kamiennych i złotych bożków i oczy wszystkich zwrócą się ku wiecznemu źródłu, ku Torze, której prawdy są wieczne, a ścieżki słuszne. Wtedy wszystkie narody powiedzą – oto jest sprawiedliwość, którą dotąd gardziliśmy.

– Teraz, moje kochane dziecko – powiedziała Noemi do Rut, biorąc ją za rękę – widzę twoje szczere serce. Teraz jestem pewna, że twoja decyzja nie jest kaprysem, nie bierze się z lekkomyślności, tylko z głębi twojej szlachetnej duszy. Widzę w tobie szczere i święte pragnienie zostania żydowską córką. Słusznie pojmujesz i rozumiesz życie ludzkości, słusznie rozumiesz wielką przepaść, która dzieli naród żydowski od innych narodów. Do pewnego stopnia widzisz też prawdy judaizmu, musisz jednak wiedzieć, że judaizm to nie tylko filozoficzne pojęcia i etyczne uzasadnienia, które nie są powiązane z realnym życiem, a Tora to nie tylko nauka i dążenie do tego, by się cieszyć jej pięknem i boską muzyką. Na jej sztandarze stoi wypisane złotymi literami: należy ją studiować i jej nauczać, po to, żeby jej przestrzegać i robić wszystko, co jest w niej napisane. Tora jest dziełem, które zawiera przepisy dotyczące tego, co jest pożyteczne i zdrowe dla duszy oraz tego, co jest dla niej trucizną i jadem. Dokładnie tak, jak wiedza medyczna zawiera swoje przepisy o zachowaniu naszych ciał w zdrowiu, tak Tora uczy jak zachować, oczyścić i wzmocnić naszego ducha, duszę, którą otrzymaliśmy od Boga w prezencie. Jednak medycyna została stworzona przez ludzi. Ludzka myśl i doświadczenie wynalazły lekarstwa na choroby naszego ciała, ale Tora została stworzona przez samego Boga, przez Wszechmogącego w Niebiosach, który stworzył duszę i zna jej właściwości. I dlatego, drogie dziecko, musisz wzbraniać się całym swoim sercem przed dotychczasowym sposobem życia, które stoi w sprzeczności z Torą i jej moralnością. Będziesz się też musiała bronić przed różnymi rozrywkami, które burzą młodą krew swoimi lubieżnymi obrazami. Będziesz musiała nauczyć się wszystkich nakazów i zakazów Tory, żebyś je dobrze знаła i równie starannie przestrzegała. Każdy twój krok będzie musiał być przemyślany, abyś nim nie naruszyła przykazań Tory.

Noemi skończyła i zamilkła.

– Matko, droga matko, wiem, że trudno, bardzo trudno jest być żydowskim dzieckiem, ale wszystko przyjmę ochotczo. Wyrzeknę się wszystkiego, co stoi w sprzeczności z Torą, aby tylko zostać córką żydowskiego narodu. Tak, ciężko być żydowskim dzieckiem, ale podnoszę rękę i składam świętą przysięgę, że twój naród będzie moim narodem, twój kraj będzie od dzisiaj moim krajem, a twój Bóg, moja matko, będzie moim Bogiem. Noemi objęła swoją synową i obie serdecznie się ucałowały.

Los Rut został postanowiony – zostanie żydowską córką i będzie prowadzić życie żydowskiego dziecka.

Droga była ciężka, ale obie kobiety nie odczuwały zmęczenia. Noemi podążała do kraju swojej przeszłości, do kraju, w którym stała jej kołyska, a Rut – do kraju swojej przyszłości i obie nawet nie zauważyły, kiedy droga minęła. Były coraz bliżej i bliżej, a po paru dniach dotarły do bram Betlejem.

Z powrotem w Betlejem

Po przybyciu do miasta dwie kobiety zauważyły, że wszyscy jego mieszkańcy pogrążeni są w smutku. Wkrótce dowiedziały się, że miasto jest w żałobie po żonie sędziego, którą ludzie uważali za swoją dobrodziejkę.

Tysiące ludzi z okolicznych miast i wsi przybyło do Betlejem, by oddać cześć zmarłej szlachetnej kobiecie, która była dobrą i oddaną matką dla sierot i siostrą miłosierdzia dla wdów. Wszyscy płakali, całe miasto zanurzone było w smutku i żałobie po śmierci tak dobrej i sprawiedliwej osoby.

Kobiety nie pracowały na polach, rzemieślnicy opuścili warsztaty, a handlarze zamknęli swoje kramy i wszyscy przybyli pod dom sędziego Boaza, który pogrążony był w rozpacz.

Z pięknego, jednopiętrowego domu słychać było płacz i lament. Siedem kobiet w białych sukniach stało przed domem i śpiewało żałobne pieśni. Były to płaczki towarzyszące zmarłej.

– Chodź, córko – powiedziała Noemi do Rut, gdy dotarły do miasta i zobaczyły płaczki. Chodźmy zobaczyć, kto tam umarł, sędzia Boaz był w młodości przyjacielem mojego męża, a jego żona była za młodu moją najlepszą przyjaciółką, serce mi drży ze strachu, chodźmy zobaczyć, kto tam umarł.

Rut nie powiedziała ani słowa i obie kobiety, otulone zakurczonymi szatami podróżnymi, weszły do domu sędziego.

Wmieszały się w tłum zgromadzonych tam ludzi i Noemi zaczęła nasłuchiwać o czym ci ludzie ze sobą rozmawiają.

– Biada mi – płacze bezdomna wdowa, prowadząc za rękę dwie małe sierotki – nasza matka, nasza żywicielka umarła, kto się teraz będzie troszczył o opuszczoną, samotną wdowę, jaką jestem?

Inne kobiety stoją pogrążone w smutku i opowiadają jedna drugiej o zaletach zmarłej prześcigając się w pochwałach. Każdy miał coś innego do powiedzenia o jej dobroci i pobożności. Starsi ludzie z miasta, którzy pamiętali jeszcze czasy strasznego głodu, teraz przypominali sobie jak wiele zrobiła wówczas żona sędziego, by pomóc potrzebującym.

– Pamiętacie przecież jeszcze Elimelecha – odezwał się stary siwy Żyd podparty na lasce – on był o wiele bogatszy od sędziego Boaza, a pomimo to nie chciał pomagać nikomu. Zabrał swoje skarby i uciekł do Moabu ze swoją żoną i dwójką dzieci. Ale Boaz tak nie postąpił. Pozostał z nami i dzielił się z nami jedzeniem.

– Co wiecie o jego miłosiernych uczynkach w czasie głodu – zaczął starszy mężczyzna opowiadać zebranym. – Kiedy, niech nas Bóg dziś przed tym broni, panował ten wielki głód, ludzie z niedożywienia padali na ulicach, ziemia była sucha, trawy na polach martwe, a woda wyparowała ze źródeł. Byliśmy zrozpaczeni i błagaliśmy Boga, żeby dopomógł nam w tej biedzie. W mieście mieszkalo wówczas dwóch bogatych ludzi, jednym był nasz sędzia Boaz, drugim Elimelech.

Elimelech miał serce z kamienia, dla niego Żydzi mogli umierać. Kiedy nadszedł głód, wywiózł Elimelech wszystkie swoje skarby, zboże i wino do Moabu, żeby nie musieć pomagać swoim braciom w czasie straszliwej klęski, a samemu żyć tam w bogactwie i luksusie. Ale przed Bogiem nie da się uciec – powiedział starzec – mówi się, że spotkał go tam gorzki koniec, że umarł jako nędzarz.

Jego przyjaciel, młody sędzia Boaz był jednak całkiem innym człowiekiem, był serdeczny dla wszystkich, nie miał w sobie pychy i kiedy nadszedł głód, otworzył swoje spichlerze i ze wszystkimi dzielił się chlebem. Jego żona, miłosierna kobieta, niech po śmierci towarzyszą jej dobrzy aniołowie, dzieliła chleb własnymi rękami.

– Dlatego Wszechmogący odpłacił mu szczęściem i chwałą – odezwał się drugi Żyd – mało tego, kiedy głód się skończył, na jego polach była tak wielka obfitość, że dosłownie brakowało rąk, żeby ścinać zboże, a jego stada powiększyły się dziesięciokrotnie.

– Niech jej ziemia lekką będzie – odezwał się trzeci Żyd – jej dobroć dla biednych była godna podziwu. Latem, kiedy przychodził czas żniw, a biedacy chodzili za żniwiarzami, żeby zbierać pozostawione na polu źdźbła i snopki, ona sama przychodziła na pole z pełnymi dzbanami mleka i obdzielała nim biedaków, żeby nie opadli z sił. Ubodzy ludzie z całego miasta żywili się zbożem, które Boaz zostawiał dla nich na swoich polach.

– Sprawiedliwa kobieta! Sprawiedliwa kobieta! – mówili wszyscy zebrani, wycierając po cichu łzy z oczu.

Gdy Noemi przysłuchiwała się rozmowom, z jej serca wyrwało się gorzkie westchnienie.

– Co tak wzdychasz, kobieto? – odezwała się do niej stara żebraczka – ty zapewne jesteś z innego miasta, przybyłaś tu na pogrzeb, słyszałaś na pewno, że dziś sędzia będzie rozdzielał sporą jałmużnę.

Noemi odwróciła się w kierunku żebraków i jeden z nich ją rozpoznał.

– Panie świata!!! – wykrzyknął nieswoim głosem, patrzcie tylko, patrzcie, to przecież jest Noemi, żona Elimelecha. Spójrzcie tylko, jak ona wygląda, w obdartych łachmanach, wysuszona jak najgorszy włóczęga w Betlejem!

– Tak, moi drodzy – odezwała się Noemi zasmucona – to ja we własnej osobie, nie mylicie się. Ale nie nazywajcie mnie już Noemi, to mi przypomina lata mojego zachłannego bogactwa. Dziś nazywajcie mnie Marą. Mara brzmi gorzko, a mnie jest teraz bardzo gorzko⁴. Wszechmogący ukarał mnie za zło, które w przeszłości mój mąż względem was popełnił. Teraz jestem biedna i samotna i na moje chore, stare lata wróciłam do domu uboga i porzucona przez wszystkich.

Przemowa została jednak przerwana. Wyniesiono zmarłą i z podwórza znów dały się słyszeć żałobne pieśni płaczek.

⁴ Mar (hebr.) – gorzki.

Wszyscy zamilkli. W pogrzebie uczestniczyło całe miasto, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety. Przed katafalkiem stały w szeregach setki dzieci, uczniów Talmud Tory. Były to sieroty, które zmarła sprawiedliwa kobieta, żona sędziego, wychowała i którym umożliwiła edukację.

Za marami szedł stary Żyd, z piękną brodą posrebrzaną siwizną i cicho płakał. Był to Boaz. Nie towarzyszyły mu dzieci, zmarła nie pozostawiła żadnych dzieci. Na cmentarzu w Betlejem wybrano dla niej najpiękniejsze miejsce pochówku, koło grobów żon kapłanów. Gdy składano zmarłą do ziemi, rozlegał się taki płacz i krzyk, że głosy dochodziły do samego nieba, a kiedy grabarze wysypywali ostatnią łopatę ziemi na świeży grób, stary sędzia Boaz odmówił kadisz.

Czerwone zachodzące słońce spoglądało z nieba w dół, jakby płakało razem z biedakami, którzy stracili drogą obrończynię, oraz wdowami i sierotami, które straciły matkę.

Późnym wieczorem pierwsi uczestnicy pogrzebu zaczęli opuszczać cmentarz.

Noemi cały czas stała przy grobie oplakując swoją przyjaciółkę z czasów młodości. Kiedy wszyscy wyszli z cmentarza, Rut powiedziała jej, że czas już iść do domu.

– Iść do domu – Noemi gorzko się uśmiechnęła – a gdzież ja mam dom. Jestem tu przecież całkiem sama, nie mam żadnych krewnych. Powolnym krokiem obie kobiety opuściły cmentarz i długo potem krążyły po ulicach Betlejem.

Było już późno, ludzie spali w swoich domach, tylko dwie kobiety samotnie przemierzały ulice.

– Gdzie będziemy spać? – Rut z niepokojem spytała swoją teściową.

– Chodź, pokażę ci – powiedziała Noemi z gorzkim uśmiechem. Przypomniałam sobie, że za miastem leżą stare ruiny, chodź, tam pójdziemy przenocować. Rut owinęła się swym obdartym szalem i wolnym krokiem podążała za teściową. Około północy dotarły do samotnych ruin. Tam, na twardym kamieniu położyła się spać Noemi – niegdyśiejsza zamożna kobieta z Betlejem.

Rut położyła się koło niej i ze zmęczenia szybko zasnęła twardym snem.

Żniwa

Był środek lata. Słońce parzyło i piekło. Pola były pełne zboża, a drzewa obwieszone owocami. Sędzia Boaz wstał skoro świt i wyszedł do swego wspaniałego ogrodu. Złociste pomarańcze i zielonkawe daktyle zwisały z drzew i mrugały: weźcie mnie i odmówcie nade mną błogosławieństwo. Boaz chodził od drzewa do drzewa i gdzie zauważył dojrzałe pomarańcze, dojrzałe daktyle, wyrosnięte morele i krwiste czerwone winogrona, obwiązywał je zieloną trawą na znak, że to są „pierwociny” święte dla Boga, które zostaną zaniesione do Jerozolimy.

Po kilku dniach zboże na polu stało się już dojrzałe. Boaz i jego słudzy przyszli na pole i spory kawałek ziemi na skraju lasu, który obrodził pełnymi kłosami, obwiązał sznurkiem i powiedział do żniwiarzy:

– Słudzy moi, ten kawałek pola to *pea*, tego nie ścinajcie. To zostawiam dla biednych mieszkańców Betlejem, zgodnie z nakazem Tory. Jutro tutaj przyjdą i zetną sobie zboże, a wy im w tym nie przeszkadzajcie.

Po kilku dniach spora część pracy była już zrobiona. Żniwiarze z podciągniętymi rękawami odsłaniającymi silne mięśnie unosili nad zbożem połyskujące sierpy, a kłosy padały pod błyszczącym ostrzem. Ze śpiewem i radością przechodzili żniwiarze z jednej części pola na drugą i ścinali tam zboże, ale miejsce, które Boaz wyznaczył jako *pea* omijali.

Od wczesnego ranka przychodziły tłumy biedaków ze swoimi żonami i dziećmi, każdy z nich ścinał dla siebie kilka snopków zboża, wiązał je sznurkiem i zanosił na plecach do domu.

Słabsze i starsze kobiety, które nie umiały utrzymać sierpa w dłoni, chodziły za żniwiarzami. Ci ścinali zboże kosą, a kłosy spadały na ziemię, ale czasem zdarzało się, że łodyga pozostawała nienaruszona przez kosę, wtedy żniwiarze już jej nie ścinali, tylko przychodziła po nią kobieta i wrywając całość z korzeniem wkładała do fartucha. To był leket, który według świętej Tory należał do ubogich. Inne grupy biedaków siedziały na skraju pola patrząc, czy żniwiarze przy ładowaniu wiązek zboża nie zapomnieli czegoś włożyć do wozu i gdy tylko zauważyli, że tu czy tam zapomniał żniwiarz wiązki zboża, zaraz zabierali ją i dzielili między siebie. Żniwiarzom nie wolno już było szukać takiego snopka, to był szikcha.

Pewnego poranka, kiedy żniwiarze przyszli ścinać zboże, zauważyli na polu, pośród biedaków czekających na leket i szikcha pewną młodą kobietę. Jej rysy były bardzo szlachetne, a maniery świadczyły o tym, że widziała kiedyś lepsze czasy. Żniwiarze szepotali między sobą po cichu i jeden mówił do drugiego: toż to przecież Rut, synowa Noemi, która przybyła tu z Moabu.

Pewien starszy żniwiarz, w wieku lat sześćdziesięciu, z opaloną na brązowo twarzą, potrząsnął smutno głową i powiedział do swoich towarzyszy, młodszych żniwiarzy: taki los spotkał rodzinę Elimelecha. Któż mógł się spodziewać, że jego koniec będzie taki marny, a jego synowa będzie musiała przychodzić na cudze pole i żebrać o chleb. Ale jest to kara od Boga za jego nikczemność.

Biedni ludzie, którzy widzieli Rut zbierającą leket zaczęli ją wyzywać i złorzeczyć jej.

– Patrzenie tylko na nią – powiedział ze śmiechem młody, rudowłosy biedak. – Przyszła tu z Moabu zabierać nam chleb. Jakby mało było w Betlejem nędzarzy, jeszcze jej tu brakuje.

– Ona wygląda przecież jak wielka pani – powiedział drugi ze śmiechem. Patrzcie, jakie ma szlacheckie rączki. Z takimi rączkami powinno się raczej grać na harfie, a nie chodzić na pole zbierać leket.

Biedacy wybuchnęli śmiechem. Rut siedziała na uboczu i cicho płakała. Nagle śmiechy umilkły. Na pole przyszedł sędzia Boaz.

– Bóg z wami, moje dzieci – pozdrowił żniwiarzy.

– Bóg z tobą – odpowiedzieli żniwiarze.

– A jak się obchodzicie z biedakami? – zapytał Boaz nadzorcę pola.

– Bardzo dobrze, zwracamy uwagę, żeby przykazania leket, szikcha i pea były zachowane, tak jak każe Tora.

Boaz był zadowolony. Rozejrzał się dookoła, a kiedy spojrzał na biedaków, jego wzrok padł na Rut.

– A kim jest ta młoda kobieta? – spytał zarządcę – widzę ją na polu po raz pierwszy.

– To jest Rut, synowa Noemi, która przybyła tu razem z nią z Moabu.

– Ach, słyszałem już o niej. Porzuciła swoich bogatych rodziców w Moabie i przyszła ze swoją teściową, żeby osiąść w naszym kraju i zostać żydowskim dzieckiem. Przywołaj ją tu, chcę jej coś powiedzieć.

Zarządca zawołał Rut do Boaza. Onieśmielona, ze spuszczonymi oczami Rut pokłoniła się sędziemu.

– Córkko moja, odezwał się do niej życzliwie sędzia. Słyszałem o tobie bardzo wiele dobrego. Jesteś synową mojego najlepszego przyjaciela z młodości, Elimelecha. I tutaj czynisz wiele dobra swojej starej, chorej teściowej Noemi. To bardzo ładnie z twojej strony, moje dziecko. Słyszałem też, że tak jak kiedyś nasz praojciec Abraham, opuściłaś królestwo swojego ojca, odrzuciłaś fałszywych bożków moabickich i przyszałaś do nas, do judaizmu. Pamiętaj, moja droga córkko, nie musisz szukać i zbierać zboża na obcych polach, wszystko znajdziesz na żydowskim polu... Lud żydowski, dziecko moje, dał światu ideały, nasza Tora jest nieskończonym źródłem, z którego ludzkość czerpie moralność, sprawiedliwość i szlachetność. Dziecko moje, powinnaś codziennie przychodzić tylko na to pole, powiem żniwiarzom, żeby pozwolili ci spokojnie przebywać na tej ziemi, zbierać leket, żebyś miała czym wyżywić i wykarmić swoją chorą teściową, a kiedy będziesz głodna, przychodź do moich pracowników, by nakarmili cię chlebem i mlekiem do syta.

– Bardzo ci dziękuję, miłościwy panie – odpowiedziała Rut Boazowi – za dobroć, którą okazujesz mnie i mojej starej teściowej, niech Bóg ci, panie, za to odpłaci.

Odchodząc Boaz nasypał jej sześć miar zboża. Rut szczęśliwa wróciła do domu, do Noemi i opowiedziała jej, jak Boaz został jej opiekunem.

Radosne wesele

Każdego dnia przychodziła Rut na pole Boaza, by zbierać leket. Żniwiarze darzyli ją wielkim szacunkiem. Wszyscy wiedzieli, że cierpi głód i nędzę przez to, że postanowiła zostać żydowską córką.

Boaz od czasu do czasu też przychodził na pole i wypytywał Rut jak się miewa jej teściowa. Tak upłynęło całe lato. Pola były już ogołocone ze zboża. Spichlerze były pełne żyta i pszenicy, a winnice winogron. Betlejem przygotowywało się do wielkiego święta Sukes, które było świętem żniw, kiedy zboże zostaje zgromadzone w stodołach.

Wtedy też w Betlejem zapanowała wielka radość. Sędzia Boaz przygotowywał się do ślubu z ubogą Rut. Noemi była przeszczęśliwa, że jej synowa, która z jej powodu tak wiele wycierpiała, w końcu stanie się zamożna, a imię jej męża i dzieci nie zostanie wymazane z tego świata.

Dzień ślubu był prawdziwym świętem. Na ulicach w całej okolicy rozstawione były długie stoły z jedzeniem dla ubogich. Zewsząd wokół przybyli najlepsi harfiarze i grali na ulicach pieśni wychwalające Stwórcę za to, że pobłogosławił miasto tak szlachetnym i mądrym sędzią. Wieczorem miasto pławiło się w morzu światła. Kiedy Boaz i Rut wyszli spod weselnego baldachimu, wszyscy zebrani życzyli Rut mazal tow.

Rok później Rut urodziła chłopca, któremu nadano imię Obed. Noemi w szczęściu i radości zamieszkała razem z Rut, a chłopca kochała tak, jakby był jej rodzonym wnukiem. Boaz i Rut zestarzelili się w szczęściu. Doczekali się dzieci, wnuków i prawnuków. Jeden z wnuków Rut miał na imię Jesse i był ojcem króla Dawida.

Przełożyła z jidysz Julia Makosz

Puszka rebe Mejera Cudotwórcy⁵

Lata całe nosiłem skarpety, które wyrabiała Rachel-Lea. Cała ulica kupowała sobie skarpety właśnie u Rachel-Lei. Można to było traktować jako uczynek miłosierny: Żydówka, staruszka, kobieta głęboko pobożna, a do tego wdowa. Jej mąż był człowiekiem wielce uczonym, bogobojnym, no i był bardzo, bardzo szanowany. Innego źródła utrzymania wdowa nie miała. Te skarpety były jej ostatnią próbą, którą podjęła, by zarobić na kawałek chleba.

Od czasu, gdy umarł jej mąż podejmowała już ładnych kilka takich prób; zaczynała mierząc wysoko, ale skończyła niziutko. Śmierć jej męża była dla wszystkich wielkim szokiem, więc krótko po tym jak umarł, gmina zebrała trochę pieniędzy i kupiła jej furę węgla, by miała czym handlować. Z początku każdy poczytywał sobie wręcz za obowiązek kupować węgiel właśnie „u wdowy” i miała z tego nawet niezły kawałek chleba. Ona jednak oczekiwała nie tylko kawałka chleba, lecz momentu, gdy odłożywszy parę rubli, będzie je mogła wydać na podróż do Ziemi Izraela. Oczywiście nic z tego nie wyszło. Z czasem ludziska zapomnieli o swym obowiązku, o utrzymaniu wdowy, a nawet o samej wdowie. Zima była łagodna i każdy, kto tylko mógł, oszczędzał na węglu ile się tylko da. I oto pewnego pięknego poranka wdowa stwierdziła nagle, że nie ma ani węgla, ani pieniędzy. Zebrała więc ostatnie siły i podjęła nową próbę – stopień niżej niż pierwszą. Kupiła sobie nieco losów na loterię: brunszwicką i saksońską i zaczęła je rozprowadzać wśród znajomych. Z początku był to nawet niezły interes, ale nie na długo. Kupno losów na loterię nie jest niczym obowiązkiem, a czasy były kiepskie. Koniec końców podliczyła kasę i stwierdziła, że nie ma ani towaru, ani pieniędzy. Wyskrobała ostatnich parę rubli i zesła stopień niżej. Kupiła kilka funtów herbaty i cukru i zaczęła z tymi specjałami chodzić po bogatych domach. Dwa – trzy razy coś tam u niej kupiono, lecz potem już jakoś nikt się nie kwapił. Wdowa nie była już w końcu niczym „nowym”. I tak zesła znów o stopień niżej. Twarz paliła ją ze wstydu, wzdychała ciężko, ale nie mając innego wyjścia kupiła pęczek suszonych śledzi i zaczęła z nimi chodzić od domu do domu. Przez pierwsze dni wstydziła się tak chodzić po ulicach z pęczkiem w ręku, lecz wkrótce zauważyła, że nikt nawet na nią nie spojrzy, a słońce jak świeciło tak świeci. I tak kupowała i sprzedawała, jeszcze raz i jeszcze raz, lecz w końcu stwierdziła, że nie ma już pieniędzy, by kupić następny pęczek. I wtedy zstąpiła na najniższy stopień: za ostatnich kilka groszy kupiła trochę wełny i zaczęła dziergać skarpety. Cała ulica zaczęła u niej te skarpety kupować, także moje skarpety przez lata całe były

⁵ D. Friszman, *Ale szriftm fun Dowid Friszman* [Wszystkie pisma Dowida Friszmana], Łódź 1909, s. 124–133.

wyroblem Rachel-Lei. Jednak szczęście nie trwa wiecznie. W mieście pojawiły się nowe wdowy, nowe szanowane kobiety i ludziska poczuli się w obowiązku czynić nowe miłosierne uczynki i wspierać nowych potrzebujących. Także skarpety, które noszę teraz, nie wyszły już spod ręki Rachel-Lei. Powolutku zapomniano o niej i nikt już nawet nie wymieniał jej imienia. Rachel-Lea zeszła ze sceny. Nie widywano jej już na ulicy i nikt już nie wie, co tam u niej słychać. Gdy ma kilka kopiejek na kupno wełny – kupuje, robi kilka skarpet i znosi je temu, czy owemu i czasami, jeżeli akurat nikt jej nie uprzedzi, ktoś tam od niej te skarpety kupuje. Przeważnie głoduje, wielu jej cierpienie ten głód przysparza, ale nikt o tym nie wie. Czy ktoś wie, ile zwierząt błąka się po lesie szukając jakiegoś kaska? Ile ryb pływa w wodzie i szuka czegoś do żarcia? Kogo to w ogóle obchodzi? Rachel-Lea zniknęła na dobre i nikt jej więcej nie widywał. A może już nawet umarła, tylko nikt o tym nie wie.

Oczywiście Rachel-Lea nie umarła.

Za kilka kopiejek wynajęła sobie jakiś kąt u biednego krawca na przedmieściu. Tam dziergała skarpety, gdy akurat miała za co kupić wełnę, tam też głodowała, gdy nie miała za co. Nieraz krawiec litował się nad nią i podsuwał jej coś do jedzenia, gdy nie miała zajęcia; nieraz jednak się nie litował i kładła się spać nic nie jedząc. Czasami wydawało jej się, że gdy człowiek jest głodny i położy się spać, zapomina o głodzie i zasypia, czasami jednak wydawało jej się, że gdy człowiek kładzie się spać głodny, głód nie daje mu zasnąć, a jeśli nawet i zaśnie, z głodu często się budzi. Z przyzwyczajenia i z braku innego wyjścia wołała się trzymać pierwszej wersji. W końcu leżąc z zamkniętymi oczami wydawało jej się, że śpi. Co prawda kiszki burczą głośno i nie dają jej spokoju – ale to na pewno słabość spowodowana wiekiem.

Czasami, gdy miała coś do roboty i mogła zapłacić krawcowi za pokoik i kupić sobie nieco chleba i garnek kartofli, wracała w myślach do swego starego planu: jeśli Bóg dopomoże i będzie miała nieco pieniędzy na wydatki, wyjedzie do Ziemi Izraela. Nieraz z tych kilku zarobionych groszy oddawała coś na cele dobroczynne – wrzucała kopiejkę do puszek rebe Mejera Cudotwórcy. Przy drzwiach, zaraz obok mezuzy wisiała malutka blaszana puszczonek ze szparą u góry z napisem wykonanym ozdobnymi literami: „Kasa rebe Mejera Cudotwórcy” i w tę szparkę właśnie wrzucała od czasu do czasu kopiejkę. Jednak już od dłuższego czasu nic tam nie wrzucała. Od czasu, gdy jej mózg zajęty jest rozmyślaniami o śnie, czy sen jest w stanie ukończyć głód, jeżeli człowiekowi uda się zasnąć.

Potem idzie do sąsiadów mieszkających w najbliższych domach i prosi o jałmużnę.

Dzierga nowe skarpety i kupuje sobie chleb.

Potem znowu mijają całe dni, gdy nie dzierga nowych skarpet i nie kupuje chleba.

Zaczyna łapać się na tym, że coś za dużo myśli o puszcze, która wisi na ścianie. Co myśli, sama nie wie, jednak często, gdy ocknie się z rozmyślania, łapie się na tym, że myślała właśnie o puszcze, a wtedy nieokreślone, ciemne uczucie wypełnia jej serce, ogarnia ją niespokojny strach i to dziwne łomotanie serca, jednak o czym tak myśli – sama nie wie.

Jednak Bogu niech będą dzięki! Jedna z sąsiadek pożyczyła jej kilka kopiejek i Rachel-Lea kupiła kłębek wełny i znów zrobiła kilka skarpet. Niepokój, strach i to dziwne łomotanie serca znów ustały.

Jednak po kilku dniach wszystko znów było po staremu. Puszka znów zaczęła zajmować jej umysł, jednak tym razem nagle dotarło do niej, o czym myśli. Myśli zaczęły się klarować.

To jest przecież puszka rebe Mejera Cudotwórcy. Rebe Mejer Cudotwórca był wielkim, świętym i strasznym człowiekiem. Jeżeli w pierwszym rządzie stoi sam Święty, niech będzie błogosławiony, to po nim idzie Mojsze, po nim Abram, Icchok i Jakow, po nich – prorocy i prorokinie, niewiasty sprawiedliwe Miriam i Debojra, a tuż zaraz po nich rebe Mejer Cudotwórca. Nie, przed rebe Mejerem jest jeszcze prorok Eliohu. Ale rebe Mejer też ma długą siwą brodę. A w puszcze leży dużo, naprawdę dużo kopiejek. Za jedną kopiejkę człowiek może kupić sobie bułkę, albo kilka kartofli. Kartofle to bardzo dobra rzecz. A głód to bardzo zła rzecz. Ale rebe Mejer to wielki i straszny człowiek. Wszystko wie i wszystko widzi. Jak dobrze jej było, gdy nie męczyły jej żadne złe myśli! Jednak teraz czuje, jak krew nagle napływa jej do twarzy i nie wie, dlaczego i za co. Naciąga derkę na głowę i mocno się nią owija, próbując zasnąć.

Pewnego razu, gdy głód w nocy zbyt mocno jej dokuczał, przyszedł jej do głowy inny środek. Wie przecież, że w wieczór Jom Kipur po ostatnim posiłku, wiele osób ma w zwyczaju wypijać siedem łyków wody. Jest to, myśli sobie, z pewnością świetny środek na to, by nie być głodnym podczas postu. Wstaje więc ze swojego posłania i wypija siedem łyków wody i wydaje się jej, wierzy w to, że głód naprawdę ustał.

Czasami robi to również za dnia, a czasami nawet kilka razy dziennie, potem już co godzinę, a potem już ciągle, raz za razem.

A puszka rebe Mejera Cudotwórcy wisi dokładnie naprzeciwko niej, i ona ciągle ją widzi. I nie ona – Boże broń! – tylko jej mózg myśli: puszka jest pełna kopiejek. A za jedną kopiejkę człowiek może sobie kupić całą bułkę. Puszka wisi obok mezuzy, a czerwony lak na pieczęci na dwóch cienkich sznureczkach stanowi jej zamknięcie.

Zamyka oczy i przewraca się na drugi bok.

Jednak kształt puszek prześladowuje ją również i tam. Szatańskie sztuczki! Ucieka jej, a ta ją goni. Chowa się przed nią, a ona tańczy jej przed oczami. Wszędzie, na każdym kroku, gdzie by się nie zwróciła, puszka wisi jej przed oczami. Nie bez

przyczyny, Panie wszechświata, nie bez przyczyny, to przez jej wielkie grzechy, nie bez przyczyny musi znieść także taką próbę! Jednak ona sama nie wie, po co i dlaczego to wszystko i czego ta puszka od niej chce.

Przez ostatnie osiem dni puszka nie przestaje zajmować jej myśli.

Puszka to takie małe naczynko, pomalowany na biało kawałeczek cienkiej blachy, a pokrywka jest tak cieniutka, że można ją odchylić nawet małym nożykiem. A za jedną kopiejkę człowiek może sobie kupić całą bufkę.

I nagle dowiedziała się i jasno zrozumiała dlaczego i po co to wszystko oraz czego puszka od niej chce. Ciemno się jej zrobiło przed oczami, myśli się zmaciły, fala krwi uderzyła do głowy, a puls w skroniach zaczął walić jak młotem.

O wielki i święty Boże! Co się z nią stało? Jak daleko posunęła się już córka żydowska? Jak człowiek może dalej żyć? I poczuła jak lży ciekną jej po policzkach.

– Dlaczego płaczecie? Zapytał ją krawiec.

Nie odpowiedziała, a krawiec podał jej kawałek chleba.

Przez następnych kilka dni puszka nie męczyła jej więcej. Potem jednak znów zaczęła, ze zdwojoną siłą – a kisзки tymczasem bulgotały i warczały na cały głos, głód zaś przewiercał ją na wylot jak świdrem.

Pewnego dnia usłyszała plotki, że do kantoru „Landau i Spółka” włamali się złodzieje, rozpruli żelazną kasę i wykradli kilka tysięcy rubli i nagle złapała się na tym, że zaklina się na swoje życie, na duszę swego zmarłego męża i na Boga samego, że jej między złodziejami nie było! Wszyscy którzy to słyszeli, pokładali się ze śmiechu.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy została już sama w pokoiku, wstała i podeszła do miejsca, gdzie wisiała puszka. Co się z nią działo, nie wie, to dziwne, bo pamięta wszystkie, najdrobniejsze szczegóły, które wcześniej w ogóle nie rzucały się jej w oczy i nawet ich nie zauważała. Oto na przykład zdała sobie sprawę, że pomiędzy oknami wisi lustro, szerokie na całą ścianę, rzuciło się jej w oczy, że z belki u sufitu zwisa czteroramienny mosiężny lichtarz, przystrojony czerwonymi i żółtymi kawałeczkami błyszczącego papieru z czarnymi punkcikami pozostawionymi przez muchy. Na jednym łóżku leżała jasnoniebieska – tak, jasnoniebieska – odrzucona na bok kołdra, na drugim zaś nie było nic. Pokój był czworokątny, miał cztery ściany – tak, cztery ściany. Zaś pomiędzy tymi czterema ścianami wydawało się, że chodzi jakby jakaś kobieta. W rękę miała nóż i podeszła z nim do puszki. Wsadziła nóż w szparę między wieczkiem puszki, a puszką i wieczko się odchyliło. Dwa, trzy chude palce z trudem wcisnęły się do puszki i coś stamtąd wyciągnęły – jakby monetę. Ale to nie ona, nie ona! Boże uchronaj! Nie ona! Na Boga jedyne, na jej życie, na duszę jej męża i na jej udział w życiu wiecznym może przysiąc: To nie ona, nie ona! To jakaś inna, obca kobieta uczyniła to wszystko.

Bo ta inna, obca kobieta była głodna, bardzo, bardzo głodna.

I wydaje jej się, że ta kobieta poszła – najpierw podniosła prawą, potem lewą nogę – o tak: raz – dwa, raz dwa, ale to nie ona, nie ona! Wyszła z domu i weszła do najbliższego sklepu spożywczego i za jedną kopiejkę kupiła sobie bułeczkę – duża bułka kosztuje przecież dwie kopiejki.

Potem ta kobieta obmyła swoje ręce, wytarła je ręcznikiem i powiedziała: „Wzniescie ręce ku świątyni”, a potem wzięła bułkę do ręki.

I nagle już wie, rozumie i pamięta, kim była ta kobieta, która to wszystko zrobiła.

Rzuca się na łóżko prawie bez zmysłów trzymając bułkę mocno w obu rękach.

Nie można teraz przerwać! Nie można teraz przerwać!

Do pokoju wchodzi rebe Mejer Cudotwórca z długą białą brodą, a w ręku trzyma rozżarzoną stalową różgę. Do pokoju wchodzi też jej zmarły mąż, pokój z nim, odziany w tańs i śmiertelny całun. Do pokoju wchodzi Anioł Śmierci o tysiącu oczu. Do pokoju wchodzi krawiec...

Nie można teraz przerwać, nie można teraz przerwać. To przecież moment pomiędzy obmyciem rąk a błogosławieństwem hamojci...

A ona trzyma mocno bułkę obiema rękami, przyciska ją do siebie z całej siły i jedzie do Ziemi Izraela! Droga jest taka daleka, a im dłużej jedzie, Ziemia Izraela coraz bardziej się oddala, a ona jest coraz dalej stąd, już bardzo daleko...

W głowie jej się mąci i sama już nie wie, co się dookoła niej dzieje.

Rankiem znaleziono ją na jej posłaniu, w ręce bułka, której nawet nie tknęła wargami.

Pierwsze słowa, jakie usłyszała brzmiały: „Ty złodziejko, wynocha z mojego pokoju! Won mi w tej chwili!”

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

Ichok Kacnelson

Z pieśni izraelskich⁶

Śpij syneczku, oczka zmruż
Za oknem szakał wyje już...

„To nie szakał, on już śpi
To jest zbójca żądny krwi,

Tam czatuje na nas zbój”.
Śpij syneczku mój...

Śpij syneczku, oczka zmruż
Tam gdzieś skorpion czyha już...

„To nie skorpion matko, wiesz
To arabski zbójca jest

Tam czatuje na nas zbój”.
Śpij syneczku mój...

Śpij syneczku, oczka zmruż,
Pękł w ogrodzie płot wśród burz...

„O nie matko, to nie płot,
Strzały we mnie trafił grot...

Usiądź mamó, nie budź mnie”.
Ja już zasnąć... Zasnąć chcę.

Przetłóżył z hebrajskiego Dariusz Dekiert

⁶ I. Kacnelson, *Szyrym* [Pieśni], Łódź 1937, s. 78–79.

Malkiel Lusternik

Malkiel Lusternik (1911–1942) urodził się w Łodzi, w rodzinie maskili i syjonistów. Był wychowankiem szkół żydowskich Icchoka Kacnelsona. Studiował literaturę antyczną na Uniwersytecie Warszawskim. Po ukończeniu studiów wrócił do Łodzi, gdzie był aktywny na polu kultury i literatury żydowskiej. Był członkiem ruchu „Gordonia”, dla którego napisał hymn (*Szar Hagordonim*). Po wybuchu wojny uciekł do Warszawy. Zamknięty w getcie zajmował się pracą kulturalną w tajnej grupie „Tkuma”, zrzeszającej pisarzy. Latem 1942 r. został zastrzelony przy bramie getta podczas próby ucieczki. Jego początkowe próby literackie spotkały się z zachętą ze strony Icchoka Kacnelsona. W 1927 r. opublikował wiersze hebrajskie w antologii wierszy żydowskich w Polsce *Baderech* [W drodze]. Był redaktorem kwartalnika „Tchumim” (Warszawa 1937–1938). Pisał również w jidysz w ramach łódzkiej grupy literackiej, a także publikował utwory w tym języku na łamach czasopism „Łodzer Tageblat”, „Najer Folksblat” w Łodzi oraz w „Hajnt” w Warszawie. W 1935 r. opublikował w Warszawie tomik wierszy hebrajskich *Sufas awiw* [Wiosenna burza]. Zajmował się także tłumaczeniami: tłumaczył wiersze z hebrajskiego na jidysz i z jidysz na hebrajski (wiersze Brodersona, Rabona, Ch. L. Fuksa, Izraela Sterna i in.). Tłumaczył z j. hebrajskiego na polski wybór pism A. D. Gordona (*Gordon człowiek i myśliciel*, Warszawa 1935) oraz wiersze Ch. Arlozorowa (*Szklany mur*, Łódź 1936). Brał także udział w redagowaniu „Rocznika Żydów w Polsce” (Warszawa, 1934–1936).

D. Weinfeld, *Haszira haiwrit bepolin bein sztei milchamot haolam*, Tel Awiw 1993, s. 211–213; tenże, *Szlosza meszorerim jehudim – Polin – sznot haszloszim*, „Hadarim” 1981, nr 2, s. 38–41; *Odim – leket diwrei sofrim iurim szenispu beszoat Europa 5700–5705*, ed. E. Indelman, Jerozolima–Tel Awiw 1960, s. 154–155; G. Kressel, *Yediot gnazim – sofrim iurim szenispu beszoa*, z. 81, Tel Awiw 1973, s. 532–541.

Pionierzy⁷

Rozbłysnął sen, lecz jaki? Czym być ma?
I kto rozpałił go – radość czy ból?
Wyczekują proroka Eliasza
I z bronią stoją na straży wśród pól.

Nocami żal dzieli z nimi łoże,
A głód zadręcza całymi dniami.
Daleko matka szłocha niebożę
I ojciec łązy roni na pergamin.

⁷ M. Lusternik, *Sufas – awiw* [Wiosenna burza], Warszawa 1935, s. 51.

Jaszczur wieków nicią smutku mam
Serca od słońca srebrne i drogie.
Czarne wrony krążą nad głowami
Kraczą w tle ciemne ptaki złowrogie.

Wyczekują proroka Eliasza
I z bronią stoją na straży wśród pól.
Rozbłysnął sen, lecz jaki? Czym być ma?
I kto rozpałił go – radość czy ból?

Przetłóżył z hebrajskiego Dariusz Dekiert

Szakal⁸

Z nory ciemnej szakal wyszedł w potrzebie,
Zobaczył księżyc okrągły na niebie.

Pomyślał: księżyc to pewnie jest bochen,
Ze skórką złotą, rad bym uszczknąć trochę.

Gdyż z głodu szakal już płaczu był bliski,
Aż nagle widzi, jak przed jego pyskiem

Księżyc się zniża i bez ruchu prawie,
Swą buzię pyzată zanurza w trawie.

Już zaraz się bochnem pysznym uraczę –
Pomyślał szakal i serce mu skacze.

Pędzi co sił więc przez trawę zroszoną,
By skórkę złotą łapczywie pochłonać.

Przybiegł na miejsce – księżyc nie było,
Tylko na trawie zielono coś lśniło.

Zapach bochenka nos ledwie mu muśnie,
Przystanął szakal i zawył żałośnie.

Przetłóżył z hebrajskiego Dariusz Dekiert

⁸ M. Lusternik, *Sufas – awiw...*, s. 74.

Słowniczek

- Aguna – kobieta porzucona przez męża bez formalnego rozwodu.
Aron hakojdesz – szafa, w której przechowuje się zwoje Tory.
Badchen – błazen zabawiający gości na weselu.
Batlon – mężczyzna bez zajęcia.
Bejsmedresz – dom nauki.
Bejs din – sąd rabinacki.
Cheder – szkoła religijna dla chłopców.
Chomec – zakwas, potrawy niedozwolone podczas święta Pesach.
Dajan – sędzia sądu rabinackiego.
Dintojra – rozprawa przed sądem rabinackim.
Dybuk – demon, dusza zmarłego.
Gabaj – urzędnik gminy żydowskiej.
Gaon – tytuł nadawany rabinom biegłym w interpretacji talmudu, uczonym cieszącym się autorytetem.
Gemara – część Talmudu.
Hachnasas Kalo – towarzystwo dobroczynne zajmujące się wspieraniem biednych panien bez posagu.
Hamojci – błogosławieństwo nad chlebem.
Jomim Noraim (dosł. „Straszne Dni”) – okres pomiędzy Nowym Rokiem a Jom Kipur.
Jesziwa – szkoła religijna dla starszych chłopców i młodzieńców.
Jom Kipur (dosł. „Dzień Pojednania”) – jedno z najważniejszych świąt żydowskich, o charakterze pokutnym.
Kadisz – modlitwa za zmarłych.
Kahał – gmina żydowska.
Leket – część plonów pozostawiana na polu dla biednych.
Mariw – modlitwa wieczorna.
Megila – pergaminowy zwój Pisma.
Melamed – nauczyciel małych dzieci.
Melawe malko (dosł. Odprowadzający Królową) – posiłek spożywany w sobotę wieczorem.
Micwa – przykazanie, dobry uczynek.

Minche – modlitwa popołudniowa.

Minjan – dziesięciu dorosłych Żydów.

Miszna – część Talmudu.

Mohel – osoba dokonująca ceremonii obrzezania.

Omajn! – Amen!

Parasza – odcinek Tory odczytywany w danym tygodniu.

Pea (dosł. „skraj”) – skraj pola, z którego nie zbiera się plonów, przeznaczając je dla biednych.

Rebecyn – żona rabina.

Sandak – mężczyzna trzymający niemowlę w czasie ceremonii obrzezania.

Spodik – tradycyjne chasydzkie nakrycie głowy.

Sukes – Święto Namiotów.

Szlosz seudes (dosł. „trzy posiłki”) – lekki posiłek spożywany w sobotnie popołudnie, celebrowany szczególnie przez chasydów.

Szames – posługacz w synagodze.

Szechina – boska obecność na ziemi.

Szikcha (dosł. „zapomniane”) – kłosa lub snopy zboża zapomniane na polu przez żniwiarzy, po które nie należy się wracać, przeznaczając je dla biednych.

Szofar – róg, zazwyczaj barani (może być też kozy lub antylopy) używany w czasie ceremonii żydowskich, szczególnie w czasie Nowego Roku.

Szolem alejchem (dosł. „pokój z wami”) – tradycyjne pozdrowienie.

Szor Habor – mityczny byk, który po przyjściu Mesjasza będzie przeznaczony na ucztę dla sprawiedliwych.

Sztibl – salka modlitewna.

Szwues – Święto Tygodni.

tales – szal modlitewny.

tales kotn (dosł. „mały tales”) – część tradycyjnego stroju. Rodzaj białej kamizelki z frędzlami – cicis, noszony przez religijnych Żydów pod ubraniem.

Tefilin – filakterie, zakładane podczas modlitwy skórzane pudełka mocowane rzemieniami, w których znajdują się zwitki pergaminu z zapisanymi cytatami z Tory.

Zmires – pieśni śpiewane podczas szbasu.

Bibliografia

Teksty źródłowe

- Abramele, *A rewolucje in himel*, Łódź 1910.
- Adler Jankiel, *Śpiewam mą modlitwę*, „Jung Idysz” 1919, nr 2–3, s. 11.
- Ajzenszlos Alter, *Dos tojte wajb*, Łódź 1929.
- Ajzenszlos Alter, *Mesziach ben Josef*, Łódź 1929.
- Anonim, *A zehr szene wunderliche geschichte fun hajligen rabi Henich zc"l me-Aleksander arojsgetriben cwej dibukim fun a mejdel*, Łódź 1926.
- Anonim, *Cwyszen cwej Batlonym*, Łódź 1932.
- Antologja poezji żydowskiej*, red. S. Hirschhorn, Warszawa 1921.
- Berman Lejb (pseud. Graf Kali), *Akdumos*, Jednodniówka, Łódź, 26 V 1935.
- Berszling Mojsze (pseud. Mojsze Goldsztajn), *Lodz [w:] Dos lid iz geblibn. Lider fun jidisze dichter in Pojln, umgekumene bees der hitlerischer okupacje. Antologie*, red. Binem Heller, Warszawa 1951, s. 43.
- Born Mosze, *Czyngene sztern*, Łódź 1933.
- Broderson Mojżesz, *Manifest*, „Jung Idysz” 1919, nr 2–3, s. 2.
- Broderson Mojżesz, *Tchijes hamejsim*, Łódź 1920.
- Frankental Mark, *Der szloflozer*, Łódź 1928.
- Friszman Dowid, *Ale szriftn fun Dowid Friszman*, Łódź 1909.
- Gliksmen Symcha, *Freuenreich*, Łódź 1930.
- Gor Benjamin, *Blinderhajt*, Łódź–Warszawa 1920.
- Jaffe Józef, *Josele treft in szank arajn ojch...* [w:] *Di chochme*, t. 3, Łódź 1932, s. 67–68.
- Jaffe Józef, *Der lodzer raw git cufilem Poznanskin, wi azoj di orime lajt weren gefrojren* [w:] *Di chochme*, t. 3, Łódź 1932, s. 83–84.
- Kacnelson Benjamin (pseud. I. Ben Jamini), *Lider*, Łódź 1930.
- Kacnelson Icchok, *Hadikduk aruch beszita kala*, t. 1, Warszawa 1920/1921.
- Kacnelson Icchok, *Szirim*, Łódź 1937.
- Kamienic J. N., *Noemi un Rut*, Łódź 1930.
- Ksowim fun Chaim Krul*, red. I. H. Radoszycki, New York 1954.
- Kuperszmid Lejbel, *Citer-fajerlech*, Łódź 1937.
- Lejb(?), *Memuarn fun Lejbl*, Łódź 1933.

- Lusternik Malkiel, *Sufat-awiw*, Warszawa 1935.
Potasz Rikuda, *Wynt ojfklawiszn*, Łódź 1934.
Rabon Izrael, *Groer friling*, Warszawa 1933.
Radoszycki Icchok Hersz, *In der sztil*, Łódź 1909.
Rozenberg Jehuda Judl, *Sefer Rafael Hamalach*, Łódź 1920.
Rudomin Michał, *Sewel hamilchama haolamit*, Łódź 1931.
Szajewicz Symcha Bunim, *A gast fun Amerike*, „Najer Folkscajtung”, 17 II 1939, s. 7.
Uger Szaja, *Megilas dacze*, Łódź 1913.
Ulinower Miriam, *Der bobes ojcer*, Warszawa 1922.
Ulinower Miriam, *Łaciarka*, „Os” 1937, nr 2, s. 19.
Ulinower Miriam, *Majn zejde* [w:] *Jidisze dichterins*, ed. Ezra Korman, Chicago 1928, s. 146.
Ulinower Miriam, *Ofszabas*, „Os” 1937, nr 2, s. 18–19.
Ulinower Miriam, *Z Chetma do Lublina*, „Inzl” 1938, nr 2 (12), s. 8.
Ulinower Miriam, *Żona Lota*, „Ilustrierte Woch” 1924, nr 13 (15), s. 11.
Zelkowicz Józef, *Pęknięcie*, „Der Tritt” 1928, nr 1, s. 33–48.
Zelkowicz Józef, *W domu obłąkanych przy Wesotej*, „Najer Folksblat”, 20 XII 1934.

Źródła archiwalne

Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego, sygn. ARG II 498.

Opracowania

- Adamczyk-Garbowska M., *Odcienie tożsamości. Literatura żydowska jako zjawisko wielojęzyczne*, Lublin 2004.
Badziak K., Walicki J., *Żydowskie organizacje społeczne w Łodzi (do 1939 r.)*, Łódź 2003.
Banner H., *Gmina Żydowska w Łodzi. Krótki zarys dziejów ustrojowo-gospodarczych*, Łódź 1938.
Baranowski K., *Średnie szkoły ogólnokształcące mniejszości narodowych w Łodzi w okresie Drugiej Rzeczypospolitej* [w:] *Rola szkolnictwa łódzkiego w tworzeniu dziedzictwa kulturowego Łodzi w XX wieku. Tradycje i współczesność łódzkich szkół średnich*, red. T. Jałmużna, Łódź 2002, s. 63–84.
Friedman F., *Dzieje Żydów w Łodzi. Od początków osadnictwa Żydów do roku 1863*, Łódź 1935.
Fuks M., *Prasa żydowska w Polsce XIX i pierwszej połowy XX wieku (do końca drugiej wojny światowej)*, „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego” 1973, t. 12, nr 1, s. 27–55.

- Greif G., *Bein sztei milchamot haolam – prakim mechajej hatarbut shel jehudei Polin lelaszonotejhem*, Jerozolima 1997.
- Idel M., *Hasidism Between Ecstasy and Magic*, New York 1995.
- Kaszubina W., *Bibliografia prasy łódzkiej 1863–1944*, Warszawa 1967.
- Kempa A., Szukalak M., *Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny Żydów łódzkich oraz z Łodzią związanych*, t. 1–4, Łódź 2001–2004.
- Kersz I., *Szkice z dziejów Gminy Żydowskiej oraz cmentarza w Łodzi*, Łódź 1999.
- Landau-Czajka A., *Syn będzie Lech... Asymilacja Żydów w Polsce międzywojennej*, Warszawa 2006.
- Liszewski S., *Rola społeczności żydowskiej w organizacji przestrzeni miejskiej Łodzi* [w:] *Dzieje Żydów w Łodzi 1820–1944*, red. W. Puś, S. Liszewski, Łódź 1991, s. 30–41.
- Łódzkie sceny żydowskie*, red. M. Leyko, Łódź 2009.
- Łódź – monografia miasta*, red. S. Liszewski, Łódź 2009.
- Malinowski J., *Żydowskie środowisko artystyczne w Łodzi* [w:] *Polacy–Niemcy–Żydzi w Łodzi w XIX–XX wieku*, red. P. Samuś, Łódź 1997, s. 294–305.
- Marczyńska M., Żmuda R., *Bibliografia łódzkiej produkcji wydawniczej: 1918–1939*, Łódź 1985.
- Olejniki I., *Jisroel Rabon – życie i twórczość* [w:] J. Rabon, *Bałuty. Powieść o przedmieściu*, red. K. Radziszewska, N. Krynicka, Łódź 2016, s. 99–108.
- Olejniki L., *Środowisko dziennikarskie w Łodzi (1918–1939). Problemy koegzystencji trzech grup narodowościowych* [w:] *Polacy–Niemcy–Żydzi w Łodzi w XIX–XX w. Sąsiedzi dalecy i bliscy*, red. P. Samuś, Łódź 1997, s. 386–401.
- Polacy–Niemcy–Żydzi w Łodzi w XIX–XX w. Sąsiedzi dalecy i bliscy*, red. P. Samuś, Łódź 1997.
- Polak, *Żyd, artysta. Tożsamość a awangarda*, red. J. Suchan, Łódź 2010.
- Polski słownik judaistyczny – dzieje, kultura, religia, ludzie*, red. Z. Borzymińska, R. Żebrowski, Warszawa 2003.
- Pod jednym dachem. Niemcy oraz ich polscy i żydowscy sąsiedzi w Łodzi w XIX i XX wieku* / *Unter einem Dach. Die Deutschen und ihre polnischen und jüdischen Nachbarn in Lodz im 19. und 20. Jahrhundert*, red. K. Radziszewska, K. Woźniak, Łódź 2000.
- Prokop-Janiec E., *Międzywojenna literatura polsko-żydowska*, Kraków 1992.
- Puś W., *Żydzi w Łodzi w latach zaborów 1793–1914*, Łódź 2000.
- Pytlas S., *Łódzka burżuazja przemysłowa w latach 1864–1914*, Łódź 1994.
- Radziszewska K., *Środowisko literackie łódzkich Żydów 1918–1950* [w:] *Kultura jako czynnik rozwoju miasta na przykładzie Łodzi*, red. V. Krawczyk-Wasilewska, M. Kucner, E. Zimnica-Kuzioła, Łódź 2012, s. 35–56.
- Rozier G., *Jung Idysz: banda kpiarzy z polskiego Manchesteru* [w:] *Polak, Żyd, artysta. Tożsamość a awangarda*, red. J. Suchan, Łódź 2010, s. 30–39.
- Rozier G., *Mojżesz Broderson. Od Jung Idysz do Araratu*, Łódź 1999.

- Shmeruk Ch., *Hebrew–Yiddish–Polish. A Trilingual Jewish Culture* [w:] *The Jews of Poland between Two World Wars*, red. I. Gutman, E. Mendelsohn, J. Reinharz, Ch. Shmeruk, Hanover 1989, s. 283–311.
- Shmeruk Ch., *Historia literatury jidysz*, Wrocław 2007.
- Sitarek A., *Zarys stosunków polsko-żydowskich w Łodzi w okresie międzywojennym*, [w:] *Rola wspólnot wyznaniowych w historii miasta Łodzi*, red. M. Kulesza, M. Łapa, J. Walicki, Łódź 2010, s. 186–203.
- Spodenkiewicz P., *Zaginiona dzielnica. Łódź żydowska – ludzie i miejsca*, Łódź 2006.
- Strzałkowski J., *Słownik artystów łódzkich*, Łódź 2005.
- Trunk J., *Pojłn. Obrazy i wspomnienia z Łodzi*, Łódź 1997.
- Walicki J., *Ruch syjonistyczny w Polsce w latach 1926–1930*, Łódź 2005.
- Walicki J., *Synagogi i domy modlitwy w Łodzi (do 1939 r.)*, Łódź 2000.
- Walicki J., *Żydzi łódzcy przed wrześniem 1939 r.* [w:] *Łódź w 1939 roku. Studia i szkice*, red. T. Toborek, P. Waingertner, Łódź 2011.
- Żebrowski R., Borzymińska Z., *Po-lin. Kultura Żydów polskich w XX wieku.* (Zarys), Warszawa 1993.
- Żydowski Polak, polski Żyd*, red. A. Molisak, Z. Kołodziejska, Warszawa 2011.
- Żydzi łódzcy*, red. A. Machejek, Łódź 2004.

Indeks osób

- Ab Józef LI
Aba Hija Bar 139
Abraham Ibn Ezra 295
Abramele VI, 111, 323
Adamczyk-Garbowska Monika XIV, XIX, 324
Adler Jankiel VII, XX, XXII, XXIV, XXVI, XXVII, 210, 323
Adler Juliusz XXI
Ajzenszlos Alter V, LII, 21, 24, 27, 29, 32, 35, 323
Akawie Henryk LIII
Akerberg A. XXIV
Alter Abraham Mordechaj XXXVII
Andersen Christian 18
Arlozorow Chaim 319
Aviram Izrael XLVI, XLVII
- Baal Halojmes XXIV
Badziak Kazimierz XXXV, 324
Bajgelman Dawid XXII
Banner H. XXXIII, 324
Baranowski Krzysztof XLVIII, LI, 324
Barcińscy XXXIV
Barciński Henoch XX, XXVI
Baruch August XLIV
Bełcikowska Alicja XXXVIII, XLI
Ben Jamini I. [pseud.] zob. Beniamin Kacnelson
Berlewi Henryk XXVI
Berman Lejb VI, XXX, 69, 134, 323
Berszling Mojsze VII, 234, 323
- Bielecki Tadeusz LV
Bogusz Andrzej LI
Born Mojsze V, VIII, 3, 283, 323
Borzymińska Zofia XVIII, XXI, XXII, XXVII, XXX, 18, 186, 325, 326
Bosak Meir 18
Brandstaetter Michał XLVIII
Brandstaetter Roman XIX, XLIX
Braude Markus XL, XLVIII
Braun Mieczysław XX
Brauner Icchok XX, XXIV, XXVI, 207, 253
Brauner Ida XX, XXVI
Broderson Mojsze VII, XXI, XXII, XXIV–XXVII, 207, 212, 319, 323, 325
Bromberg-Bytkowski Zygmunt XLIX
Bryks Rachmil XXVIII, XXXI, 4
Brzustowski Chaim XXV, XXXI
Bumeil N. 98
Byron Georg Gordon 18
- Chagall Marc XXVI
Chaplin Charlie 203
Chari Piotr LIII
Chaver Yael 9
Chmielewski Samuel XLVI
Chmielnicki Bohdan 126, 128
Częstochowska Soszane XXV
- Dąbrowski Dawid L
Dąbrowski Rafał L

- Dekiart Dariusz III, IV, V, XIII, 3, 37,
64, 123, 134, 154, 202, 211, 228–
230, 232–234, 273, 283, 285,
286, 294, 317, 318, 320
- Denikin Anton 128
- Dietrich Marlena 203
- Dostojewski Fiodor 129
- Dżigan Szymon XXII
- Eisenbach Artur XXXIII
- Eisenstadt Benzion 98
- Ellenberg Zygmunt XLVIII
- Erdberg Mirla XXV
- Ewers Hans Heinz 260
- Fajnsztajn Szejna 284
- Fajwisz Izrael XX
- Fallek Wilhelm XLVIII
- Flakser Awrom-Hersz XXXI
- Flatto Michał XLIII
- Frankental Mark (Motl, Mordechai)
VIII, 273, 323
- Frenkel Jeremiasz XLIX
- Friedman Filip XXXIII, L, 324
- Frizzman Dowid XXV, XXVII, XXVIII
4, 18, 313, 323
- Fryderyk Wielki 130
- Fuchs Lazar XXV
- Fuks Chaim Lejb XXIV, XXVI, XXXI,
9, 10, 81, 186, 231, 319
- Fuks Marian XXIII, 324
- Gadowska Irmina 253
- Gebirtig Mordechaj XXII
- Geller Ewa LVII
- Gerson Chana XXV
- Glatstein Jacob 9
- Gliksman Symcha Bunim 81, 323
- Goerne A. XXXIV
- Gogol Mikołaj 128, 129
- Goldfaden Abraham XXI
- Goldfarb L. XXIX
- Goldkorn Icchok XXVIII, XXIX, 37,
186
- Goldsztejn M. [pseud.] zob. Berszling
Mojsze
- Gor Benjamin [pseud.] VII, 229, 323
- Gordon Aaron Dawid 319
- Gordon Maks LIII
- Górecki Roman XLII
- Grabski Władysław 45
- Graf Kali [pseud.] zob. Berman Leib
- Greif G. 325
- Grünbaum Icchak XL
- Gutentag Zofia XXVI
- Gutman Israel XVIII, 326
- Gutstadt Jankiel XXII
- Halpern Feliks XXIV
- Halpern Leopold XXXIX
- Hamburski Emanuel XXIII, 155
- Hamburski Mendel 155
- Hamsun Knut 273
- Heine Heinrich 18, 284
- Heller Binem 234, 323
- Helman Mojżesz XXXVIII
- Henoch Kon 207
- Hensel Juergen LIV
- Hertz Mieczysław XXXIV, XXXV
- Hertzowie XXXIV, XLI
- Herzl Teodor XLIX, 155
- Hirszberg Józef LIII
- Hirszhorn Samuel 4, 18, 20, 69, 323
- Hochsteinowa Maria LI
- Holenderski Lew XLI
- Holzer Jerzy XL
- Horowic Jaakow Icchak (Widzący
z Lublina) 212
- Huna 139
- Idel M. 325
- Imiłowska Aleksandra IV, 29
- Indelman E. 319
- Isroel ben Eliezer (BESZT) 212

- Jaffe Józef [pseud.] VI, 135, 323
 Jakimiszyn-Gadocha Anna IV, 265
 Jakubowicz Róża XXIV
 Jałmużna Tadeusz XLVIII, 324
 Janasowicz Icchok XXX, XXXI, 186
 Jarblum Michał XL
 Jarocińscy XXXIV
 Jaszuńska-Zeligmanowa Estera LI
 Jaszuński Ignacy LIII
 Jaworski Wojciech XL
 Jedlińska Eleonora 253
 Jehuda Ha-Lewi 295
 Joachimowicz Abraham XXIV, XXXI
 Joel Elias XL
 Juliusz Cezar 130
- Kacnelson Benjamin 124, 323
 Kacnelson Berl 284
 Kacnelson Icchok XXI, XXIV–XXVII,
 L, LI, 124, 284, 294, 319, 323
 Kacnelson Mojsze 284
 Kacnelson-Nachumov Cipora 284
 Kacnelsonowie L, LI
 Kagan Berl 186
 Kahan Cwi XXIV
 Kahan Izrael XXIII, XXV
 Kahan Lazar XXIII
 Kamieniec Joel Naftali 295, 323
 Kamiński Józef XX
 Karp Estera 10
 Karpf Markus XLIII
 Karwacki Władysław Lech LIV
 Kassman Abraham XXIII
 Kaszubina Wiesława 325
 Katarzyna II Wielka 130
 Kazdan Chaim Szlojme 234
 Kaznakow Mikołaj 82, 271
 Kempa Andrzej XLVIII, XLIX, L, 69,
 155, 186, 207, 295, 325
 Kersz Izaak 325
 Kijek Kamil XIX, XXXI
 Kłosiński Józef 59
- Kobos Andrzej 210
 Kobus Helena 82
 Kołodziejska Zuzanna XVIII, 326
 Kon Henoch XXII
 Kon Markus XLIV
 Konstadt Herman XXXIV
 Koprowska Karolina IV, 280
 Korsch Rudolf XL
 Krausz Juliusz XL
 Krawczyk-Wasilewska Violetta XXVII,
 207, 325
 Kressel G. 319
 Krul Chaim V, VI, XXIV, XXVII,
 XXXI, 10, 13, 51, 323
 Krynicka Natalia IV, XXIV, 4–8, 97,
 293, 325
 Kucner Monika XXVII, 207, 325
 Kulesza Mariusz XXXIII, 326
 Kun Bela 131
 Kuperszmid Lejbel VII, VIII, 231, 232,
 286, 323
 Kürten Peter 260
- Landau-Czajka Anna 325
 Landau-Gutenteger Gustaw XX
 Lande Dawid XX
 Langleben Abraham XXXVIII
 Lejb [pseud.] 240, 323
 Leyko Małgorzata 207, 325
 Lichtenstein Izrael XLI
 Lieberth Eduard 82
 Lindenfeld Pola XX, XXVI
 Lisek Joanna IV, 288, 289
 Liszewski Stanisław 325
 Liszewski Stefan XXXVI
 Löw ben Becalel Jehuda 90
 Lusternik Malkiel VIII, XIII, 319, 320,
 324
- Łapa Małgorzata XXXIII, 326
 Machejek Andrzej 326

- Magalifowa Luba LI
 Maharal 98
 Maj Ewa LIV
 Majchrowski Jacek M. XL
 Majmon Ben 42
 Majzel Chaim Eliahu 58, 135
 Makosz Julia IV, 16, 17, 235–239, 287, 312
 Malinowski Jerzy 325
 Marczyńska Maria XLVII, 325
 Mark Ber 37
 Masterman Jerzy Józef LI
 Matus Dina XXII
 Matyjasek Joanna IV, 24, 27, 135, 136
 Mauersberg Stanisław XLV
 Mendele Mojcher Sforim XXV
 Mendelsohn Ezra XVIII, 326
 Miedziński Gustaw XXXI
 Mikołaj, car 133
 Milman Szmul XLI
 Minc Jakub LII
 Mincberg Jakub Lejb XXXVII
 Molisak Alina XVIII, 326
 Morgenstern Menachem Mendel 212
 Mostowicz Arnold XLVIII
 Mościcki Ignacy XLII
 Mrozowski Marek IV, 73, 80
 Mucha Krzysztof LV
 Mussolini Benito 134
 Nachman z Braławia 261
 Nadir Mojsze (właśc. Izaak Reis) XXII, 247
 Najman Jecheskiel XXVI, 207
 Nietzsche Friedrich 18
 Niger Samuel 186, 189
 Nowakowska Wanda 253
 Nowogródzki Emanuel XLI
 Nutkiewicz Szlama XLI
 Obazanek Jankew XXII
 Olejnik Izabela IV, XXIV, XXX, 186–188, 282, 325
 Olejnik Leszek XXV, 325
 Opoczyński Perec VI, VII, LII, 44, 266
 Ormian Henryk XLIX
 Orzeszkowa Eliza 273
 Osserowie XXXIV
 Pasternak Ajzyk XLVI
 Pawłowska Aneta 253
 Penkalla Adam XXXVII
 Perlmutter Moszek XXII
 Petlura Semen 124–126, 128
 Piłsudski Józef XLII, LII
 Polit Monika IV, 44, 50, 191, 267, 270, 272
 Potasz Rikuda V, VII, VIII, XXXIX, 9, 203, 288, 289, 324
 Poznańscy XX, XXXIV, XLI
 Poznański Chaim Lejb XLI
 Poznański Izrael XXIV, XLI, 135
 Poznański Maurycy XXIV
 Praszkie Gerszon XL, LIII
 Prokop-Janiec Eugenia XIX, XLIX, 325
 Prussakowie XXXIV
 Przeniosło Małgorzata XLIX
 Przybylski Zygmunt 273
 Puławer Mojsze XXII
 Puszkina Aleksander 18
 Puś Wiesław XXXIII, XXXVI, 325
 Pytlas Stefan XXXIV, 325
 Rabon Izrael VII, VIII, XXII, XXIV, XXV, XXIX, XXX, 186, 187, 281, 319, 324, 325
 Radoszycki Icchok Hersz V, VII, VIII, XXIV, XXXI, 10, 13, 16, 17, 51, 235–239, 287, 323, 324
 Radziszewska Krystyna II, III, V, XVII, XXIV, XXVII, XXVIII, 4, 37, 189, 207, 325

- Rajzen Zalman 9, 16
 RAMBAM 295
 Raszi 295
 Rawicz Mejlech XXVI
 Reinharz Jehuda XVIII, 326
 Reyzen Zalman 21, 186
 Rogoziński Szymon XLIX
 Rosenberg Aaron 98
 Rosenblat Jerzy XXXIX
 Rosenfarb Chawa 37
 Rozenberg Izrael XXV
 Rozenberg Jehuda Judl VI, XXV, 98, 324
 Rozesztajn Szmul 37
 Rozier Gilles XXII, XXIV–XXVI, 207, 325
 Rubinstein Artur XX
 Rudnicki Szymon XXXVII, XXXIX
 Rudomin Michał VI, 70, 324
 Rumkowski Chaim Mordechaj 4
 Russ Beniamin XXXVII

 Samuel Stuart LIV
 Samuś Paweł XXV, LIII, 325
 Scheiblerowie XXXIV
 Schneerson Sznur Zalman 98
 Schweig Józef XL
 Sforim Mojcher XXV
 Shatzky Jakob 189
 Shimoni Gideon XL
 Shmeruk Chone XVIII, XIX, XXIX, XXX, 186, 207, 326
 Siemaszko Napoleon LV
 Silberstein Teresa XLIV
 Silbersteinowie XXXIV
 Simcha Bunim z Przysuchy 212
 Sitarek Adam XXXIII
 Skórka Pinchas 16
 Słonim H. XXIV
 Smolarz Mojsze-Josel XXXI
 Spektor Mordechaj 240

 Spodenkiewicz Paweł XLVI, XLVII, XLVIII, XLIX, L, 326
 Stawiszyńska Aneta 82
 Stefański Krzysztof 253
 Stempin Inka IV, 13, 15, 185
 Stern Izrael 319
 Stolarska-Fronia Małgorzata 210
 Strindberg August 273
 Strzałkowski Jacek 326
 Suchan Jarosław XXVI, 207, 325
 Symchowicz Aleksander zob. Gliksmann
 Symcha Bunim 81
 Szacki Jakob 186
 Szajewicz Simcha Bunim VI, XXVIII, XXIX, 37, 65, 324
 Szakin Lejb LI
 Szekspir William 18
 Szenirer Sara XLVII
 Szmulewicz Elimelech XXVI
 Sznur Alter XXXI
 Szolem Alejchem XXV, 4
 Szpigiel Jeszaja XXVIII, XXIX, LII, 4
 Sztajnsznajder Abram LIII
 Sztern Leon LII
 Sztrauch Zurech XXXVIII
 Szukalak Marek XLVIII, XLIX, L, 69, 155, 186, 207, 295, 325
 Szulman Jakub XXV
 Szumacher Izrael XXII
 Szwarc Marek XX, XXIV, XXVI, XXVII
 Szyba Anna IV, 32, 34, 36, 96
 Szydłowska Felicja XXVI
 Szydłowski Maksymilian XXVI
 Szymaniak Karolina IV, 9, 203, 288

 Tansman Aleksander XX
 Tartakower Arie XL, XLV
 Taubenschlag Rudolf XLVIII, XLIX
 Tenenbaum Abraham XXIII
 Toborek Tomasz XXXV, 326
 Trębacz Maurycy XX

- Trębacz Michał XXXVI, XLI, 189
 Trunk Izrael XXIV
 Trunk Jechiel Jeszaja XVII, XXVI,
 XXVII, 326
 Tuszewicki Marek IV, 106
 Tuwim Emilia 240
 Tuwim Julian XX
 Tzur 124
- Uger Szaja VII, XXIII, XXV, 155, 324
 Ulinower Miriam V, VI, VIII, XXIV,
 XXVII, XXVIII, XXXI, LII, 4, 7,
 9, 97, 293, 324
 Ulinower Wolf 4
 Urbach Jan Karol XLII
- Waingertner Przemysław XXXV, 326
 Wajcman Józef XXXVII
 Wajngarten Majer LII
 Walicki Jacek II, V, XXII, XXXI,
 XXXIII, XXXV, XXXIX, XL,
 XLII, XLIII, LIV, 324, 326
 Wasser Szmul LII
 Weinfeld Dawid 319
 Weizmann Chaim XXXVIII
- Wiatr Ewa 37
 Wilde Oskar 240, 260
 Winnykamień Boruch LII
 Wirowski Benjamin XLI
 Wittenberg M. 191
 Wojdysławski Icchok Majer XXXVII
 Woźniak Krzysztof 325
 Wulfsohn Hugo XLIV
- Zajbert Izrael XXII
 Zajde Majer XXXIX
 Zandberg Icchok XXI
 Zaremba Małgorzata IV, 43, 68, 209
 Zeligson Adolf XX
 Zelkowicz Józef VII, XXX, 189, 324
 Zimnica-Kuzioła Emilia XXVII, 207,
 325
 Zygielbojm Szmul Mordka XLI
 Zylbercwajg Zalman XXIV
 Zyngerman Abram XXIV
- Żebrowski Rafał XVIII, XXI, XXII,
 XXVII, XXX, 18, 186, 325, 326
 Żmuda Ryszard XLVII, 325

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
90-131 Łódź, ul. Lindleya 8
www.wydawnictwo.uni.lodz.pl
e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl
tel. 42 665 58 63, fax 42 665 58 62

